

WY  
PIY  
CHACZ  
ZWIER  
ZAT

JAROSŁAW  
GRZĘDOWICZ

**WYPY  
CHACZ  
ZWIE  
RZAT**

**trident**



JAROSŁAW  
GRZĘDOWICZ

WY  
PY  
CHACZ



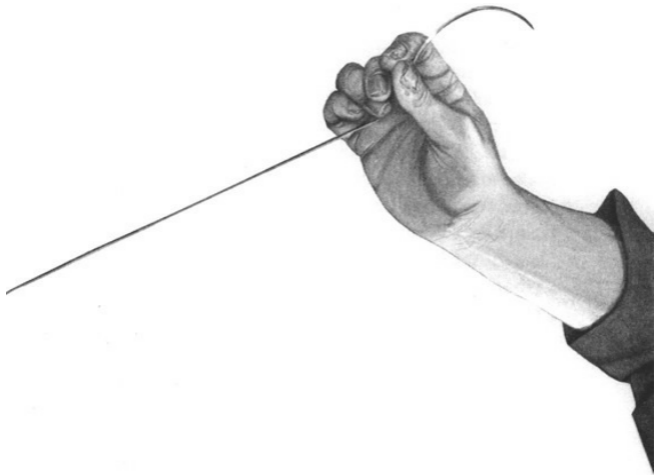
ZWIĘ  
RZĄT

# trident

Ilustracje

Dominik Broniek

2008





Hobby ciotki Konstancji

Amen – zaśpiewał ksiądz, po

czym mahoniowa trumna

ciotki Konstancji zapadła się na

parcianych pasach w głąb dołu

miętko, niczym zanurzający się

okręt podwodny.

Wszystko wyglądało jak trze-

ba. Stary cmentarzyk, pozieleniałe  
kamienne nagrobki

spowite mgłą, bezlistne gałęzie drzew,  
krakanie wron

i grupka krewnych obleczona w czerń.

Nastrój psuło

jedynie pobzykiwanie muzyki ze  
słuchawek na uszach

mojej kuzynki i pełne nienawiści  
spojrzenia pozostałych

żałobników. Wyglądali, jakby mieli  
ogromną ochotę po-

móc mi rzucić się w dół zaraz za trumną,  
a potem szyb-

ciutko zasypać grób i odtańczyć na nim  
kaczuczę.

Na pogrzebach starych ludzi rzadko  
dochodzi do



scen rozpaczy. Ciotka żyła bardzo długo.  
Do końca po-

została sprawna i los oszczędził jej  
żenujących objawów

demencji starczej. Nie ma rozpaczy, bo  
śmierć kogoś

w jej wieku nie wywołuje raczej szoku.  
Tyle że ciotka

8

Jarosław Grzędowicz

wydawała się niezniszczalna. Do  
ostatnich dni prowa-

dziła ożywione życie towarzyskie.

Jeszcze parę lat temu

podróżowała po świecie, a pewnej  
lutowej nocy zgasła

nagle cicho i spokojnie w czasie snu,  
jakby Bóg wyłączył

jej zasilanie.

Każdy by tak chciał.

Kiedy pytałem lekarza pogotowia o  
przyczynę zgo-

nu, burknął tylko: „Dziewięćdziesiąt  
dwa lata, a czego

się pan spodziewał?!”.

Od tego momentu zaczynało się moje życie. Opuści-

łem bractwo bezdomnych. Koniec tułaczki. Koniec upy-

chania całego życia na czterech metrach kwadratowych

pokoju w mieszkaniu rodziców. W wieku dwudziestu

ośmiu lat stawałem się człowiekiem mającym dach nad

głową. Dzięki ciotce. Wcale nie byłem jej najbliższym

krewnym, tylko że mnie lubiła, a tamtych nie. I dlatego

przepisała na mnie swoje mieszkanie wraz z wyposażeniem

i jeszcze opłaciła notariusza.

To z tego powodu po zakończeniu pogrzebu wszyscy

bez słowa rozeszli się grupkami w swoją stronę i nikt na

mnie nawet nie spojrział.

Ukradłem im mieszkanie ciotki.

To, jak wiele się zmieniło, zrozumiałem,

dopiero kie-

dy zamknąłem za sobą drzwi na zasuwę i odłożyłem pęk

kluczy na komodę. Moje klucze. Na mojej komodzie.

I po raz pierwszy w życiu moje własne drzwi.

Mieszkanie, w którym byłem tysiące razy, wyglądało

obco i dziwnie. Dom otaczał mnie zapachem ciotki, jej

przyzwyczajeniami i dziwactwami. Nie przepadam za

antykami. Nie wierzę w skarb kryjący się w posagowych

kufrach na strychu. Kicham, przeglądając stare papiery.

Hobby ciotki Konstancji

9

Nie mam serca do porcelanowych durnostojek. A teraz

miałem wśród nich żyć.

Pierwszym makabrycznym odkryciem było łóżko.

Łóżko z rozgrzebaną pościelą, w którym

umarła. Nie był-

bym w stanie się w nim położyć.

Wyrzuciłem pościel, ale

to niewiele zmieniło. Wiedziałem, że  
wyrzucę również

i łóżko. W lodówce na talerzyku  
spoczywała nadgryziona

kromka chleba z twarożkiem.

Porcelanowe zęby ciotki

zostawiły na kanapce ślad w kształcie  
półksiężycy.

Stół. Okrągły stolik, przy którym  
spotykała się razem

ze swoimi czterema przyjaciółkami.

Siadywały z herbatą,

ciasteczkami i konfi turami, a potem po osuszeniu kolej-

nej butelki „Nalewki Babuni” zapalały świece, łączyły

dłonie i wywoływały duchy. Okrągły blat dawno temu

wyrzeźbiono i inkrustowano w przedziwne znaki. Po-

środku przeplatające się wielokąty ozdobione dziwnymi

symbolami, a wokół nich pierścien



zawierający ozdobne

litery alfabetu. Tysiące razy po tym blacie ślizgał się specjalny talerzyk prowadzony przez połączone dłonie pię-

ciu staruszek, które chciały rozmawiać ze zmarłymi.

A teraz same wymarły. Ciotka była najstarsza z nich,

ale odeszła ostatnia. Koniec.

Nie będzie więcej sabatów.

Teraz będą tu stały tace z kanapkami, butelki, czasem

mój laptop. Figuryнки wylądują w  
kartonach i powędru-

ją do piwnicy. Tak samo jak większość  
rozpadających

się podręczników okultyzmu, ksiąg  
wiedzy tajemnej,

amuletów i szklanych kul. Płomyki  
świec nie będą już

bez powodu odchyłać się od pionu, za  
wydętymi nieist-

niejącym przeciągiem fi rankami nie  
zamajaczy widmo

Mickiewicza. Koniec.

Jarosław Grzędowicz

Teraz ja tu mieszkam.

A jednak bałem się tej pierwszej nocy  
spędzonej na

kupionym w supermarkecie  
nadmuchiwanym matera-

cu. W mieszkaniu panowały niezwykła  
cisza i ciemność.

Gdzieś znikły odgłosy miasta: wizg  
syren, szum opon,

zgrzyt tramwajów. Były tylko cisza i

uroczyste tykanie

wielkiego zegara. A także skrzypienie  
desek starego par-

kietu pod wpływem zmian temperatury,  
trzask, z jakim

otwierały się wypaczone drzwi szafek,  
zgrzyt, z jakim

wysuwały się i zasuwały szuflady.

Wiedziałem, że tak się dzieje ze starymi  
meblami.

Wibracje. Zmiany temperatury. Słabe  
zamki.

A mimo to ledwo dotrwałem do świtu.

Cały wolny czas w ciągu następnych kilku dni wypeł-

niło mi oswajanie domu. Co rano zamykałem pootwiera-

ne drzwiczki i szuflady, chowałem rzeczy, które dziwnym

trafem wypadły przez noc na podłogę. Wynosiłem wory

starych ubrań, pudła nieprawdopodobnych zapychałych

gratów i utensyliów kuchennych, zaschniętych kosme-

tyków. Mimo wcześniejszych  
zapowiedzi nie tknąłem

jednak fi gurek ani kart do tarota, ani  
opasłych wolumi-

nów wiedzy tajemnej.

Jakoś nie śmiałem.

To się zaczęło trzeciej nocy, kiedy  
myślałem, że

już się oswoiłem z mieszkaniem.  
Sądziłem, że to tylko

koszmar.

Najpierw było dziwaczne uczucie,

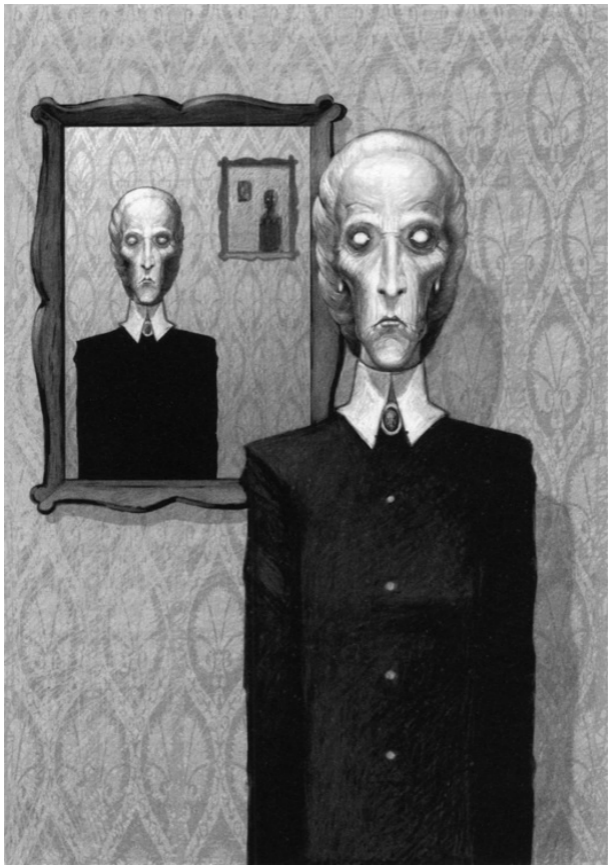
jakbym zapadł

się przez materac mojego nowego  
tapczanu i runął

gdzieś w świetlistą przepaść. Widziałem  
wokół siebie

przelewające się świetliste kształty,  
migały w nich py-

ski dziwacznych i przerażających istot,  
kłapały na mnie





Jarosław Grzędowicz

szczęki, wyciągały się szpony. A potem  
nagle stałem nagi

w ogromnej sali kolumnowej, pod  
łukowym sklepieniem,

wszystko lśniło czernią jak polerowany  
bazalt. Wokół

krążyły półprzejryste widma, falując  
niczym strzępy de-

likatnego muślinu. A gdzieś nade mną z  
sufi tu grzmiący

głos zadawał mi pytania.

Dziwaczne pytania. O sytuację w Iraku.  
O to, co po-

wiedział któryś tam polityk. Jaka jest  
pogoda.

Czasem znałem odpowiedź, a czasem  
nie. Jeżeli nie,

czułem rozczarowanie przesłuchujących  
mnie istot. Lo-

dowate, przejmujące do szpiku kości,  
niemał bolesne. To

było jak tortury.

Obudziłem się zlany potem i już wiedziałem, że to tyl-

ko koszmar. A mimo to następnej nocy bałem się zasnąć.

Później zrozumiałem, że to nie był tylko sen.

Kiedy to samo wydarzyło się w biały dzień pośrodku

kuchni, nad garnkiem z zupą. Było identycznie: straszny,

bezwładny upadek przez mglisty neonowy kosmos, a po-

tem przesłuchanie w czarnej sali

kolumnowej. Dziesiątki

pytań, zimno posadzki i przerażenie.

Gdy wróciłem, leżałem na kuchennej podłodze, a w

garnku syczały i ziały dymem przylepione do dna i ścia-

nek zwęglone resztki mojej zupy.

Oczywiście, przede wszystkim przyszło mi do głowy,

że zwariowałem. Ale nie tak łatwo w to uwierzyć, jak

się wydaje. Oprócz tych dziwnych

ataków halucynacji

rozumowałem i zachowywałem się w sposób całkiem

zrównoważony.

Za którymś razem jednak nie byłem sam. Odwie-

dziła mnie pewna dziewczyna. I wcale nie graliśmy

w karty.

Hobby ciotki Konstancji

Kiedy ocknąłem się na podłodze, jej już nie było. Nie

odpowiadała na telefony. Nie chciała rozmawiać. Dopiero

po kilku dniach zmusiłem ją, żeby mi opowiedziała, co

się zdarzyło.

Wykręcała się, zmyślała, aż wreszcie wybuchła płą-

czem i nerwowo splatając drżące palce, wydukała całą

historię.

Zniknąłem. Najpierw zrobiłem się w jej ramionach

mglisty i bezcielesny, a potem nagle zniknąłem. Została

sama.

Każdy by uciekł.

Dopiero wtedy zadzwoniłem do Adriana.

Adrian to jedyny znany mi autentyczny okultysta.

Wymachuje wahadełkami, opowiada bez przerwy o ener-

giach, bytach i zakłęciach. Przez lata  
traktowałem go

niczym nieszkodliwego wariata, ale  
teraz już sam nie

byłem taki pewien.

Przyjechał natychmiast. Dla takiego to  
gratka, taka

sama jak dla znachora tajemnicza  
afrykańska choroba

nękająca znajomego ordynatora.

Patrzyłem bezradnie,

jak chodzi po moim mieszkaniu z  
dyndającym na lince



ciężarkiem w dłoni, jak kredą smaruje  
na mojej podłodze

kręgi i litery cudacznego alfabetu.  
Słuchałem, jak mruczy pod nosem:  
„Ależ ten kredens wali, co tu się  
działo?”

„No, ten portret tobym zjął”, „A co tu  
robiono, na tej  
podłodze?”.

Sam tego chciałem. Czekałem na  
diagnozę. I nie

w głowie mi było się z niego  
wyśmiewać.

– Mieszkanie może być nawiedzone –  
oświadczył

w końcu. – Mówisz, że ta twoja ciotka  
była okultyst-

ką. Myślę, że przez tyle lat pewne...  
byty... no, duchy,

14

Jarosław Grzędowicz

przyzwyczały się tu bywać. Teraz ciotki  
nie ma, a one

wracają. Ewentualnie to twoja ciotka  
czegoś chce.

Stół go zachwycił.

– Doskonały! Skarb! Skąd ona go wzięła? Mając taki

sprzęt, od razu możemy się czegoś dowiedzieć.

I w ten sposób w moim domu znowu zapłonęły świe-

ce, znowu serweta wylądowała na krześle i znowu w sa-

lonie zapanowały wieki ciemne.

Nie używaliśmy talerzyka ciotki. Adrian podał mi

jedną dłoń, a drugą z wahadełkiem  
wyciągnął nad środ-

kiem stołu. Ja miałem tylko siedzieć z  
dłońmi na blacie

i nie przeszkadzać, ale i tak czułem się  
jak idiota.

Nawet niedługo to trwało. Ciężarek  
najpierw zaczął

się kiwać, później majtać na wszystkie  
strony, w końcu

nagle wychylił się w bok i wskazał  
pierwszą literę wyrytą na brzegu blatu:  
D. Potem kolejną i następną.

– Dzień dobry, Krzysiu – czytał Adrian.  
Włosy sta-

nęły mi dęba. Zrobiło się zimno,  
płomyki odchyliły się

na boki od stołu. Przełknąłem ślinę.

– Dzień dobry, ciociu – powiedziałem.  
Nie za mądrze,

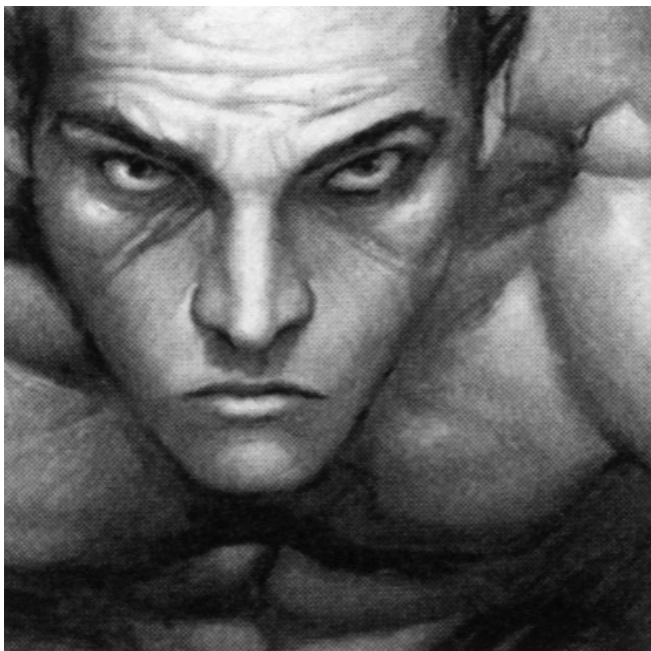
ale znajdźcie kogoś, kto wie, jak się  
zachować w tej sytuacji. – Jak się ciocia  
tam miewa?

– Z początku trochę się nudziłam –  
recytował

Adrian drewnianym głosem. – Ale teraz

już jest do-

brze. Teraz wywołuję żywych.



Zegarmistrz i łowca motyli

Zanim gospodarz przygotowuje mo-

ją poranną kawę, robi pierw-

sze zakupy. Są takie rzeczy, które

muszę mieć na stole codziennie

świeże. Rogaliki z makiem i czar-

nuszką, pączki i bułki od Went-

zla, pudełko „egipskich”. Ale

także „Czas”, „Ilustrowany Kurier  
Codzienny” oraz

„Gazetę Polską”.

Poranek zaczynam od prasy. To nie są gazety z moich

czasów. Nie znajdziecie w nich słowa „orgazm”; jest to

zjawisko na razie niezbadane, a w każdym razie tajne.

Nie zobaczycie kobiecego sutka, gołych nóg ani poślad-

ków. Nie ma też pojęć: „menedżer”, „plik avi”, „hiper-

tekst”, „konceptualizm” ani określenia: „ciepłe, gejaw-



skie klimaty”...

Przebiegam oczami artykuły,  
bezwstydnie obna-

żające poglądy autorów nieznających  
poprawności po-

litycznej i maskujące równocześnie  
zwykłą niewiedzę.

Artykuły oparte na plotkach, zeznaniach,  
informacjach

16

Jarosław Grzędowicz

przekazywanych telegramem albo przez

telefon. Bawią

mnie takie słowa, jak: „referencyj”, „jejmość” albo „stójkowy”, ale już tylko przelotnie. Wzbudzają najwyżej lekką pobłażliwość.

Szukam słów, na które jestem wyczulony. Nazwisk,

incydentów. Czegoś, co może stanowić oznakę, że świat

zamierza potoczyć się taką drogą, jaką znam z podręcz-

ników historii.

Za rok nadejdzie wrzesień trzydziestego

dziewiątego.

I pomimo że wiem, iż nic się nie  
wydarzy, zdaję sobie

sprawę, że będę cały czas spoglądał na  
niebo i czekał na

bomby.

\* \* \*

Trzeba było wyjść w piki, pomyślał  
ksiądz Gorzel-

ski ponuro. I może jeszcze nie pić tyle  
wiśniówki. To aż

grzech. Chyba...

Bryczka turkotała na granitowej kostce,  
za szpalerami

lip tuż nad linią horyzontu zaraz miało  
sinieć niebo. Nadchodził spóźniony  
jesienny świt. Gawryła smagnał konie,

stukot kopyt przyspieszył. Ksiądz przez  
chwilę grzebał

w kieszeni płaszcza, wreszcie znalazł  
papierośnicę i za-

pałki. Szerokie plecy Gawryły jak  
zwykle w czwartek

wyrażały jedynie święte oburzenie, choć  
woźnica nie

ośmielił się powiedzieć ani słowa.

Ksiądz wsunął ust-

nik papierosa pomiędzy wyschłe wargi i  
zagrzechotał

pudełkiem.

A także nie jeść tyle kaczki, najświętsza  
Panienko,

kontynuował milczący rachunek  
sumienia. I tyle paszte-

tu... No i jeszcze kiełbasa z dzika, i  
grzybki... I „myśliwska”, Zegarmistrz i  
łowca motyli

mój Boże... Ile ja tego wypiałem? Nie licząc wina, oczy-

wiście, wino jest w zasadzie ewangeliczne. Aczkolwiek

jarzębiak chyba nie, zafrasował się. Podobnie jak arak,

śliwowica i angielska whisky. Jarzębiak jest niezbędny

dla zdrowia, lecz obawiam się, że piłem też jakiś koniak, ale przecież nie można po kolacji nie wypić koniaku...

Zwłaszcza że był francuski...

Zapałka trafiła właściwym końcem w

draskę i ojciec

Józef zaciągnął się wonnym dymem.

Mam nadzieję, że nie dopuściłem się  
jakichś świń-

skich propozycji wobec niewiast,  
zaniepokoił się. Wdowa

na pożegnanie tak dziwnie się  
uśmiechała... Mój Boże,

jakie ciało jest mdłe, pomyślał  
zatroskany. A już moje

wydaje się mdłe w dwójnasób. Co ja jej  
nagadałem?

Tańczyłem...! – ocknął się na chwilę,  
tknięty fatal-

nym wspomnieniem. I śpiewałem  
żurawiejki...! Wybacz,

Panie...

Milczący dotąd Gawryła splunął ciężko  
przez zęby.

Bryczka toczyła się przez ciężki,  
atramentowoczarny

mrok na minuty przed świtem, wśród  
drzew snuła się

pasmami mgła, kopyta dźwięcznie  
klekotały o bruk.



Pierwszy błysk smagnął sinym,  
acetylenowym błę-

kitem w momencie, gdy nieszczęsny  
proboszcz zapadał

już w ciężki od wyrzutów sumienia sen.  
Niczym bez-

głośne uderzenie pioruna wśród pustych  
pastwisk. Jedno

uderzenie ostrego światła przecięło  
drogę pręgami cieni

i znikło. Znowu zapadła ciemność.

Widoczna na horyzoncie główna ulica w  
Biernatyczu,

oświetlona od roku elektrycznymi  
lampami i migocąca

jak sznur świetlnych paciorków, nagle  
zamigotała i zga-

sła, jakby wieś znikła w brzuchu  
mrocznego Lewiatana.

18

Jarosław Grzędowicz

Ciemność zapanowała niepodzielnie,  
wydawało się, że

nawet gwiazdy przygasły. W głębokiej,  
nieprzeniknionej

czerni zaczęły chórem wyć psy.

– Wciurności z to elektryko – sapnął  
Gawryła i strzep-

nął jeszcze raz lejcamy. – Nu! Hajda!

Gruchocący odgłos kopyt przyspieszył,  
ale niewiele

było widać. Dwie świecowe latarnie  
wiszące u burt brycz-

ki dawały coś tyle światła, jakby  
płonęły w beczce czarnej kawy. Ich  
blask ledwo sięgał do kostki drogi i  
muskął

pnie na poboczu.

Byle na plebanię, pomyślał ksiądz. Byle do łóżka, już

chyba dzisiaj nic nie narozrabiam...

Kolejny rozbłysk zalał całą okolicę rtęciowym

światłem, pokroił drogę smugami cienia i rozlał się po

polach.

– Ki czort... – wycedził ksiądz Józef, osłaniając twarz

od blasku.

Przede wszystkim przyszło mu na myśl,

że ktoś wziął

się za spawanie albo że wybuchł jakiś  
pożar. Dlaczego

nad ranem i pośrodku pustego pola – nie  
wiadomo, ale

trzeba przyznać, że proboszcz nie był  
człowiekiem za-

bobonnym.

Na horyzoncie płonął wyraźnie siny  
ogień, malując

coś na kształt szklanej kopuły, wewnątrz  
której miały

się syczące błyskawice, smagając jej ściany. W samym cen-

trum płonęło liliowym blaskiem miniaturowe słońce.

Bryczka stanęła.

– Łojezujezu – krzyknął Gawryła cienkim głosem.

Ach, więc nie mam delirium, pomyślał rozsądnie

ksiądz Józef. Bo i Gawryła to widzi. Zatem to musi być

kara za nieumiarkowanie w jedzeniu i picciu...

# Zegarmistrz i łowca motyli

19

Kopuła płonęła pośrodku pola,  
oświetlając całą oko-

licę. Powietrze wydawało się dziwne i  
metaliczne, jak

w czasie burzy, a Gorzelski poczuł, że  
włosy na ciele stają mu dęba. Rzecz nie  
mieściła się w głowie, ale absolutnie  
nie czuł się gotów na cud. Nie dzisiaj...  
Nie w pół

drogi między kolacją u hrabiostwa a  
głębokim snem na

przytulnej plebanii. Zdrzemnąłby się,  
odprawił jutrznię,

a potem zjadł aspirynę i wrócił do  
łóżka. To nie jest dobry moment na cuda.  
Nie dziś.

Płonąca wśród pól półkula ostrego  
światła przygasła

niewyraźnie i można było dostrzec wewnątrz  
klęczącą sylwetkę

człowieka. Nagiego mężczyzny,  
skulonego, z rękami przy

ciałem i z pochyloną głową. Wokół  
równym, geometrycz-



nym kręgiem paliła się trawa. Proboszcz skamieniał.

Gawryła przeciwnie. Wrzasnął jeszcze raz: „Łojezuń-

ku!”, zeskoczył z kozła i bez namysłu pognał w mrok, bły-

skawicznie, jakby ćwiczył to przez całe życie. Ksiądz został

sam na siedzeniu bryczki, pod sinym blaskiem płonącym

pośród nocy. Konie zarżały zdjęte nagłym strachem.

Józef Gorzelski mógł być leciutko

wstawiony, mógł

starzeć się na swojej parafi i bardzo daleko od ewentualnej świętości, mógł trawić czas, młóćąc we dworze w karty

albo trik-traka i przystawiając się do owdowiałych pań,

ale pozostawał nie tylko zwykłym wiejskim proboszczem.

Przede wszystkim czuł się kapelanem polowym Dwu-

dziestego Szwadronu Ułanów Zmotoryzowanych i w tym

ujęciu traktował swoje powołanie

śmiertelnie poważnie.

Nie w obliczu powściągliwości,  
skromności i pobożnej

pokory – to jakoś nigdy do niego nie  
przemawiało – ale

gdy sprawy stawały się ostateczne, jego  
wiara zamieniała

się w granitową skałę.

20

Jarosław Grzędowicz

Westchnął ciężko, uniósł się z siedzenia  
i otworzył

skrytkę pod kanapą bryczki. Wyjął ze  
środka zawiniąt-

ko, rozwinął kawałek oliwkowej derki,  
z której wydobył

trójkątne drewniane puzdro z  
zaokrąglonymi brzegami.

Drżące, zdrętwiałe od zimna i alkoholu  
palce przez chwi-

lę borykały się z rzemieniem, po czym  
proboszcz zdołał

otworzyć klapkę na krótszej ścianie  
pudła i wydobyć

lśniący oleście czarny długolufy

pistolet, z rękojeścią

obłą jak uchwyt spłuczki. Odciągnął z trzaskiem zamek,

odwrócił drewnianą kaburę i jednym ruchem umocował

ją na końcu rękojeści. Zaopatrzona w ten sposób broń zy-

skała prowizoryczną kolbę, a ksiądz rotmistrz Gorzelski

podejrzewał, że będzie potrzebował dziś więcej punktów

oparcia niż tylko ziemia pod nogami. Postawił kołnierz

płaszcz, z kieszeni wyjął różaniec,  
który powiesił na

szyi, przerzucił pistolet do lewicy i  
uczynił nad nim znak krzyża. Nie miał  
niczego prócz różańca, ale przecież nie

wybierał się z wiatykiem, tylko na  
wista. Mauzer pod

siedzeniem bryczki podróżował od  
zawsze – trochę na

pamiętkę, a trochę tak na wszelki  
wypadek. Nigdy nie

było wiadomo, czy ktoś, spotkawszy w  
nocy pojazd z bez-

bronnym sługą bożym, nie zechce  
wszczać burdy. Socja-

lista jakiś, dajmy na to. Czasy były pełne  
zepsucia.

Ksiądz Gorzelski zeskoczył z dwukółki,  
rzucił papie-

rosa na drogę, roztarł go podszwą i  
delikatnie nama-

cawszy palcami w ciemności krzyżyk na  
końcu różańca,

przeskoczył rów, po czym ruszył przez  
pastwiska w kie-

runku światła.

Wewnątrz drewnianej kabury znalazł  
jeszcze rze-

mień z karabińczykiem i przypiął go do  
kółka na końcu

rękojeści. Teraz mógł zwiesić pistolet z  
ramienia i w ra-

Zegarmistrz i łowca motyli

21

zie czego pokazać, że ma puste ręce.  
Wiedział, że złapie

kolbę szybciej, niż ktokolwiek będzie  
mógł przypuszczać,



a broń pozostanie na razie niewidoczna.

Maszerując pustym pastwiskiem w kierunku dziw-

nego, ostrego światła i rzucając na burzany długi cień,

przypomniawszy sobie o spoczywającej w kieszeni płaskiej

metalowej flaszeczce, której zwykle nie pokazywał niko-

mu, bo przyszwesowany do ścianki emblemat Korpu-

su Kapelanów Polowych wydawał mu się umieszczony

bluźnierczo. Teraz jednak chlupocąca w  
środku miarka

araku przypominała o sobie wyjątkowo  
kusząco. Zrobił

jeszcze kilka kroków i pomyślał, że to  
nie jest dobry czas na łyk przed szarżą.  
Wypił już dzisiaj dosyć, lepiej mieć  
pewniejsze ręce.

Do błogosławieństw, naturalnie.

Widział krąg płonących krzaków, ale to  
był normalny

ogień, zrozumiały i codzienny. Mógł go  
zaproszyć kto-

kolwiek. Kula liliowego blasku,  
obrysowująca sylwetkę

klęczącego człowieka i miotające się  
wokół błyskawic-

ce, które lizały niewidzialną kopułę, to  
nie było już nic normalnego. Może jakiś  
aeroplan się rozbił? – pomyślał

ksiądz bezradnie, doskonale wiedząc, że  
wmawia sobie

głupstwa.

Słyszał już ostry trzask wyładowań i  
dziwne, basowe

buczenie, które odbywało się aż w

zębach. W powietrzu

pachniało metalicznie burzą i odurzająco  
dymem tłących

się ziół. Na całym ciele poczuł dreszcze.  
Drobne, kłujące, nie całkiem takie, jak  
ze strachu.

W oddali ponuro chórem wyły psy.

Błyskawice zgasły nagle, zostawiając na  
siatkówce

Gorzelskiego zielone zygzaki  
powidoków i smolistą czerń

Jarosław Grzędowicz

dokoła. Tylko wokół ciała klęczącego  
mężczyzny jarzył

się zielonkawy nimb, rzucając słabe  
światło na trawę

i twarz księdza.

Tamten klęczał, wsparłszy dłonie o  
ziemię, ze zwie-

szoną głową, zupełnie nieruchomy i  
jakby wyczerpany.

Jego ciało, widoczne doskonale, jeszcze  
jarzyło się zielonkawym, podobnym do  
fosforycznego blaskiem. Gorzelski

widział wyraźnie szerokie barki,  
wygięte w łuk plecy

i pośladki. Patrzył, a jego mózg milczał  
w osłupieniu.

Człowiek klęczący w idealnie  
półkolistym dole, ob-

wiedzionym kręgiem płonącej trawy,  
uniósł nagle głowę,

po czym wstał z wysiłkiem. Był bardzo  
wysoki; miał nie-

zwykle regularne rysy twarzy.  
Nieziemsko regularne.

Ksiądz, poruszając bezgłośnie wargami,

uniósł w pal-

cach krzyżyk różańca.

Nagi mężczyzna potrząsnął głową jak  
ogłuszony

bokser i wyprostował się. Kapelan  
osunął się na kolana

w mokrą trawę.

– Panie, nie jestem godzien... –  
powiedział. Nic wię-

cej nie przychodziło mu do głowy.  
Chrząknął. Głos nie

chciał przedostawać się przez ściśnięte

gardło. – Nie je-

stem godzien... Nawet nigdy nie  
wierzyłem w anioły... To

znaczy... Jezu, ratuj...

– A u wszystkich tych wierzących było  
jedno serce

i jedna dusza – oznajmił nagle przybysz  
potężnym gło-

sem. – I nikt z nich nie nazywał swoim  
tego, co posiadał, ale wszystko mieli  
wspólne.

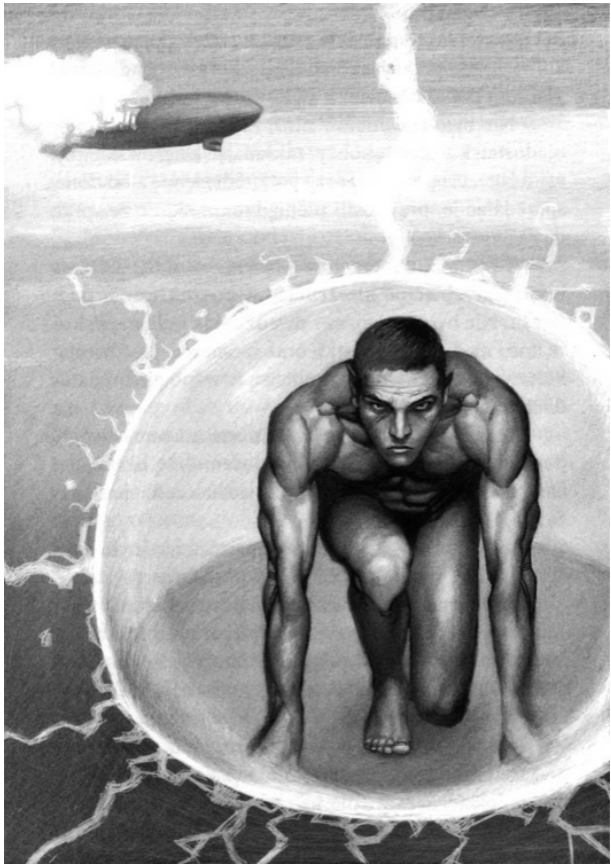
– Dzieje Apostolskie: 2,44... –  
rozpoznał Gorzelski.



Przypowieść o wspólnocie dóbr. A  
wtedy pojął, że kim-

kolwiek jest przybysz, jest zmarznięty,  
bo nagi. Zdjął

plaszcz i podał obcemu.



Jarosław Grzędowicz

– Nie było też między nimi nikogo, kto  
cierpiał-

by niedostatek – ciągnął obcy,  
zakładając księżowskie

rojtszwańce – ci bowiem, którzy  
posiadali ziemię albo

domy, sprzedając je, przynosili  
pieniądze uzyskane ze

sprzedaży.

– Tak, tak... Naturalnie – wymamrotał osłupiały

ksiądz, grzebiąc po kieszeniach w poszukiwaniu pugi-

laresu. Nie był pewien, czy dwadzieścia guldenów, które

nosił na drobne wydatki, oraz szesnaście pięćdziesiąt,

które wygrał w wista od hrabiego, to odpowiedni datek

dla anioła.

– Ananiaszu, czym to szatan omotał serce twoje –

powiedział anioł aksamitnym głosem –  
że okłamałeś

Ducha Świętego i zachowałeś dla siebie  
część pieniędzy

za rolę?

Kapelan zdrętwiał. Doskonale pamiętał,  
co było dalej.

Pochmurne niebo szarzało nad  
horyzontem. Drobnym

deszcz ugasił tłącą się trawę, a siwy  
dym z idealnie okrą-

głego pogorzelniska wchłonęły niskie,  
snujące się pasmami

warstwy mgły. Wstawał ponury, siny  
świt.

Krakały wrony.

Na drogę wyszedł wysoki mężczyzna w  
czarnym

płaszczu i przykrótkiej sutannie. Rękawy  
ledwo sięgały

mu za łokcie. Z ramienia na rzemieniu  
zwisał mu długo-

lufy pistolet z przyprawioną do  
rękojści drewnianą kol-

bą. Mężczyzna zsunął biret na tył głowy,  
wyjął piersiówkę ozdobioną symbolem

Korpusu Kapelanów i pociągnął

spory łyk, po czym wsunął między wargi  
papierosa

i zapalił zapalną jedną ręką. Rzucił ją na  
ziemię i cza-

piąc rozsznurowanymi trzewikami,  
ruszył w kierunku

Zegarmistrz i łowca motyli

25

niewielkiej bryczki stojącej na drodze,  
ledwo widocznej

w sinawym świetle przedświtu.

Konie rżały niepewnie i drobiły w miejscu, oglądając

się trwożnie przez ramię.

Mężczyzna wskoczył na kozioł, spuścił hamulec.

– No, gniade – powiedział – jedziemy na plebanię.

\* \* \*

– Pan się pozwoli przysiąc? – Meier podniósł wzrok

znad gazety i bez słowa wskazał krzesło naprzeciwko.



Mężczyzna usiadł, nie zdejmując kapelusza. Meier upił

łyk kawy i podniósł pudełko papierosów, częstując goś-

cia. Tamten odmówił ruchem głowy, a potem nachylił

się w jego stronę.

– To nie jest git, że pana jest tak łatwo znaleźć, panie Meier. Ja panu to mówię.

– Dlaczego, panie Holzman?

– Pan mnie wynająłeś, bo pan chcesz coś wiedzieć, jak

się stanie. A mnie się tak zdaje, że jak pan się dowiesz, że właśnie się stało, to może pan będziesz potrzebował

uciekać, panie Meier.

– Panie Mońku – powiedział Meier spokojnie – prze-

stań się pan popisywać i mów pan normalnie. To nie

kabaret. Nic nie rozumiem. Gdzie mam uciekać?

– Uj, a co się pana nie podoba w moje normalne mó-

wienie? Czy ja mówię nienormalnie? Ja

do pana przyszed-

łem jako Moniek Holzman, a Moniek Holzman mówi

normalnie. Jak ja będę potrzebował wyglądać jak goj, to

ja będę mówił jak Eugeniusz Bodo.

– Do rzeczy.

26

Jarosław Grzędowicz

– Pan chciałeś wiedzieć, jak się stanie kilka rzeczy. To ja panu mówię, że się stały.

– Znaczy?

– Ja przyszedłem do pana do domu.

Miałem od moich

ludzi i telefon, i depeszę. No to wziąłem i przyjechałem

taksówką, panie Meier, to pana będzie kosztowało gul-

den i czterdzieści groszy górką. To ja przychodzę, a ta

dziewuszka, co to u pana gotuje, mi mówi, że pan po-

szedłeś. Myślę sobie, że jak jest piątek, to pan inżynier Meier siedzi w

„Ziemiańskiej” na dole, czyta gazety i pije kawę. I jak ja to wiem, to ci, co to pana szukają, też będą wiedzieć. Niedobrze tak zawsze robić furt jedno i tak

samo. Pan jesteś przewidywalny, panie Meier.

– Co się stało?

– W zaprzeszłym tygodniu ktoś obrabował plebanię,

a księdza znaleźli zabitego na polu, całkiem gołego. Tak

jak pan mówiłeś. Zabrali mu gelt, co miał przy sobie,

wszystkie oszczędności z plebanii,  
nawet bryczkę. Ale

wzięli, uważasz pan, płaszcz i wszystko,  
co miał na so-

bie, nawet buty i, ja pana przepraszam,  
ale zostawili go

ze szwancem na wierzchu. Kark mu  
skręcili. To było na

Podolu. Pan kazałeś sprawdzać też  
wygrane. I co pan

powiesz? W Berdyczowie jeden ksiądz  
w trzy dni później

wygrał na koniach dziesięć tysięcy. To

jest raz. Drugie, to we Lwowie policja  
znalazła jednego takiego po nocy, też

był całkiem goły i mówił od rzeczy.  
Niby stracił pamięć.

Wiedział tylko, jak się nazywa. O,  
kelner, pan mi weź

kminkówki, panie Meier, sto gram i  
lepiej sam pan też

weź koniaku. Ten zatrzymany to, panie  
Meier, świecił

się w areszcie, jakby go wymalowali  
fosforem. Do rana

mu przeszło. Do tego kilka dni później

ten z zanikiem

Zegarmistrz i łowca motyli

27

pamięci uciekł ze szpitala, a ganc taki sam facete wygrał

w loterii „Koniczynka” dwa tysiące guldenów. To jest dwa.

I też pan mówiłeś, że tak się może stać. Trzecie, to ktoś zamordował ofi cera artylerii i też go zostawił z gołą dupą na ulicy. Pieniądze, ubranie, wszystko. I to jest, panie Meier, trzy. Ale to było wczoraj na Powiślu. Na tym samym



Powiślu jedna baba narobiła rabanu, że widziała diabła, co się narodził w piorunach. Coraz bliżej. Pan mi nigdy nie

mówiłeś, o co panu chodzi, ale ja tak myślę, że pan nagle będziesz szedł pilnie wyjechać. Mam rację czy nie?

– A skąd panu przyszło do głowy, że mnie ktoś

szuka?

– A kto powiedział, że mnie coś przyszło do głowy? Ja

rozumiem, jak dadzą komu po głowie i ukradną pieniądze.

No, ja jeszcze zrozumieć zegarek albo, niech tam, futro.

Ale jak ktoś kradnie nawet gacie i buty, to to nie jest nic normalne. Tak jak nie jest normalne zabić człowieka za parę groszy i jakieś łachy. Co to jest za geszeft wisieć za spodnie?

Mnie nic nie potrzebuje przychodzić do głowy, ja jestem

detektyw i ja potrzebuję, żeby mnie pan zapłacił za robotę, co ja dla pana robię. Jak pan wyjedziesz albo pana znajdą gołego na jakim polu, to kto mnie zapłaci? Król Zygmunt?

Ja nie na to pracuję, że nie mam co

robić, panie Meier. Jestem tylko biedny Żyd, ale ja nie jestem taki głupi, żeby nie rozumieć, że pan się o tych gołych potrzebuje dowiedzieć

nie dla śmiechu. Pan ten koniak wypiłes jednym haustem.

Kto tak francuski koniak pije, panie Meier? Chyba jaki

Ruski... A ten papieros, co go pan masz w ustach, to na co on panu, jak poprzedni jeszcze się pali w popielniczce?

– A kto mówi, że panu nie zapłacę? – zapytał Meier

i przyłapał się na tym, że zaczyna już mówić z takim

28

Jarosław Grzędowicz

samym akcentem co detektyw. –  
Dostanie pan swoje

honorarium, choćby zaraz. Czekałem.

Wyjął wieczne pióro i książeczkę  
czekową z kieszeni

marynarki. Zastanawiał się przez  
chwilę, westchnął, po

czym wypełnił rubryki.

Holzman gwizdnął cicho.

– Co to są za jedni, panie Meier? Pytam teraz, zanim

wzmę czek. Bo mnie się zdaje, że on tak wygląda, żebym

o nic nie pytał.

– Są takie rzeczy, panie Rajmundzie, o które lepiej nie

pytać. – Meier roztarł twarz jak człowiek bardzo zmę-

czony. – Zresztą mógłbym panu powiedzieć, aleby pan

pomyślał, że ja jestem... jak wy to mówicie: *meszugene*.

- Ja się już mam bać?

– Jeśli im pan nie wejdzie w drogę, to nie. Ale jeśli

im się uda to, co chcą zrobić, to... Niech pan się rozejrzy.

Lubi pan to miasto?

– Co ja mam nie lubić?

– Zniknie. Zniknie w jednej chwili razem z całym

światem. Och, będzie tu stała inna

Warszawa i będą

w niej mieszkali inni ludzie... Ale nie będzie ani tej uli-cy, ani takich jak pan, ani też takich jak ja. Wybuchnie

wielka wojna i zmiecie wszystko z powierzchni ziemi.

A potem... A zresztą za dużo by mówić, panie Mońku.

Wszystko się zmieni, i to nie na lepsze. Nawet przeszłość... Nic.

– I trzech gołych gojów ma tak zrobić?

– Jest ich więcej. I sam pan wiesz, że już nie są goli.

– Gdzie?

– Nie „gdzie”, tylko „kiedy”. W całej historii. Na całej linii czasu. Zrobią taki mały sabotaż. Tu zabiją człowieka, Zegarmistrz i łowca motyli

29

tam coś zniszczą albo przeciwnie, przeniosą coś z miej-

sca na miejsce. Ale to będzie tak, jakbyś pan powyciągał

cegły z samego dołu sterty. Małe zmiany,



które wywołają

wielką. Wielką jak cały świat.

– Wiesz pan co? Pan nie potrzebujesz mi nic mówić,

a ja wcale nie szedłem się o nic pytać.

– Zrobi pan dla mnie coś jeszcze, panie Mońku?

– Jak ja się patrzę na ten pański czek, to mnie się zdaje, że chyba będę musiał. Ale pan masz rację. Pan masz coś

niedobrze z kiepele.

Meier zgniótł „egipskiego” w

popielniczce i nachylił

się do detektywa.

– Ma pan rewolwer?

\* \* \*

Raz, dwa... Raz, raz... Nie wiem, po co to robię. Jeśli

mi się uda, i tak nikt nie uwierzy w to nagranie. A jeżeli poniosę klęskę, to zapis zniknie razem ze mną i tym światem. W naszej historii, w roku tysiąc dziewięćset trzy-

dziestym ósmym, nie ma magnetofonów. Przynajmniej

nie w powszechnym użyciu. Tutaj, w tej rzeczywistości,

są drogie, ale wcale nie takie rzadkie. Za trzy, cztery lata będziemy mieli telewizję, chociaż nie wiem, czy jest się z czego cieszyć.

*(Kaszel. W tle szczekanie psa i odgłos grającej na po-dwórzu katarynki. Kroki, odgłos zamykania okna. Najpierw jedna futryna, słycać skrzypienie rygla, potem druga. Robi się ciszej. Skrzypi fotel).*

Jarosław Grzędowicz

Jeszcze raz. Postanowiłem to nagrać, bo ostatnio

próbowałem komuś wyjaśnić i okazało się, że brak mi

słów. Nie umiem. Nie mam z kim porozmawiać. Może

potrzebuję... po prostu terapii.

Chciałbym... wyjaśnić,

dlaczego robię to, co robię. Zdradziłem swoich najbliż-

szych. Zdradziłem nie tylko swój kraj, ale świat i właściwie całą planetę.

Zdradziłem swój czas.

*(Odgłos wyciągania korka, wyraźny  
dźwięk nalewania*

*płynu do naczynia z grubego szkła.  
Niezidentyfikowane szelesty, trzask  
zapalki. Westchnienie).*

Pochodzę z dwa tysiące czterdziestego  
roku i na-

prawdę nazywam się Munir Kozłowski.  
Oficjalnie jestem

pracownikiem EAT, Europejskiej  
Administracji Tem-

poralnej. Prowadzimy badania nad

podróżami w cza-

sie. Prowadziliśmy. Oficjalnie program jest zawieszony.

Pracowałem w europejskim ośrodku transmigracji

temporalnej w Carandache pod Marsylią. Zaczynano

trzydzieści lat temu. Od wysłania informacji o stanie

kwantowym atomu o jakąś tysięczną część sekundy.

Dziesięć lat później wysłali małpę o tydzień. A siódme-

go listopada dwa tysiące trzydziestego  
siódmego roku

wysłali człowieka. Temponautę Colina  
Philippe Derniera.

O tym, że go wyślą, dowiedzieli się rok  
wcześniej, ale nie uwierzyli. Pojawił się  
w laboratorium EAT, zszedł do

kantyny i wypił kawę, mimo że  
równocześnie znajdował

się w ośrodku szkoleniowym pod Essen.  
Wtedy uznano

to za legendę miejską.

*(Suchy, ironiczny chichot, bez cienia*

*wesołości).*

Zegarmistrz i łowca motyli

31

Miało być tak pięknie. Skoczyć na budowę piramid

i zobaczyć, czym przesuwali te cholerne bloki. Sfoto-grafo-wać Jezusa na krzyżu. Powitać Kolumba transparentem:

AMIES GO HOME! Pomachać Joannie D'Arc. Spraw-

dzić, kogo właściwie namalował da Vinci na „Ostatniej



Wieczerzy”. Kilka historycznych wycieczek, za trzy i pół

miliarda euro każda.

A potem okazało się, że historia nie istnieje.

Przynajmniej nasza. To jest jakiś inny świat. Chcecie

wiedzieć, dlaczego Rzym upadł?

Wiecie, jaka jest odpo-

wiedź? „A to on upadł?” Attyla? Zginął pod Acjum. Jeżeli

ktoś chce wiedzieć, dlaczego Husyci zostali pobici pod

Białą Górą, to przykro mi. Można  
najwyżej sprawdzić,

dlaczego zwyciężyli oraz w jaki sposób  
podbili Śląsk oraz Sudety i rozlali  
reformację na pół Europy. Rozbiory  
Polski? Jakie rozbiory? Gettysburg?  
Sorry, panowie, mamy

dwie Ameryki. Wojna secesyjna  
skończyła się rozejmem.

O Hitlerze to nawet mi się już gadać nie  
chce. Siedzi

w wariatkowie w Wiesbaden. Nigdy nie  
zrobił kariery

politycznej.

*(Brzęk szkła. Chwila ciszy, szelest ubrania, odległy*

*dzwonek tramwaju).*

Jako problem czysto akademicki to wydawało się

nawet zabawne. To nie był żaden świat równoległy. Nie

mógł być. Nie bardzo umiem to wyłożyć, ale czas jest in-

formacją. Przynajmniej na poziomie kwantowym. Dzień

dobry: nie wiecie, co to są kwanty? To takie szczególne

jednostki elementarne energii. Czas jest jak struna i my, temponauci, podróżujemy jako informacja wzdłuż tej

32

Jarosław Grzędowicz

struny. Rozpadamy się na cząstki kwantowe naładowane

informacją i składamy w innym czasie, z analogicznych

cząstek – pozyton po pozytonie. Dlatego przestrzeń nie

ma tu znaczenia. Teoretycznie podczas fizycznego prze-

mieszczenia w czasie Ziemia i cała ta część galaktyki po-

winna wam zniknąć spod nóg.  
Wszechświat jest w ruchu.

Dlatego my wędrujemy jako czysta informacja wzdłuż

linii danych czasowych. W przestrzeni, w której wektory

czasowy i przestrzenny są zbliżone do punktu. Nieważ-

ne. Stamtąd jest tak samo blisko do każdego momentu

przeszłości. O to chodzi. Dlatego

potrzebna jest energia

termojądrowa za trzy i pół miliarda euro. Można by za

jej pomocą rozpędzić toyotę do prędkości światła. Toyota

to samochód. Z napędem wodorowym. Nieważne.

*(Trzask zapalniczki. Stłumiony brzęk kostki lodu wpada-*

*jącej do szklanki i chlupot płynu. Stuknięcie naczyniem o szklany blat).*

Istotne jest to, że nie znaleźliśmy się w jakiejś od-

miennej, alternatywnej przeszłości. To była nasza linia

czasu, ale świat wyglądał zupełnie inaczej. Podobnie, ale jednak inaczej. Nic się nie zgadzało. Co gorsza, okazało się, że to się rozszerza.

W tej chwili nasza historia sięga gdzieś tak do 17 paź-

dziernika 1946 roku. Tego dnia żyją nasi przodkowie;

babcie, które dziś pamiętają starzy ludzie, kiwają się w bu-janych fotelach, nie wiedząc, że mają zaledwie kilka go-

dzin życia za sobą. W ścianach widać  
ślady po pociskach

wystrzelonych na wojnie, której nigdy  
nie było. Działają

prasy mincerskie produkujące monety,  
które u nas leżą

Zegarmistrz i łowca motyli

33

w pudełkach na targach staroci. Dzień  
wcześniej słoń-

ce wstaje nad zupełnie innym światem.  
Światem, który



pożera nasz z prędkością dwóch dni na dzień i przyspiesza.

Wasz świat, wasza historia pożera naszą.

Czas powinien być ciągły. Następstwo zdarzeń i tak

dalej. Ale nie tego dnia. Nie w październiku 1946 roku.

Z sekundy na sekundę rzeczywistość zmienia się w zu-

pełnie inną. Świat, w którym wiek dwudziesty wyglą-

da jak skrzyżowanie Verne'a i Conan  
Doyle'a, ze sporą

domieszką Haška, nagle zmienia się w  
świat Trumana,

starego Soso, w Europę rozwaloną  
drugą wojną światową,

podczas gdy naprawdę nie było nawet  
pierwszej... I nie

pytajcie mnie, co pamiętają nasi starcy.  
Diabli wiedzą

co pamiętają. Pewnie przeszłość, która  
istniała, dopóki

była teraźniejszością, ale na osi czasu

została zastąpiona przez inną. Proste?

Ciekawe, jak to będzie, kiedy świat, w którym teraz je-

stem, ogarnie mój rodzimy czas... Kiedy nadjadę jak sur-

fer na fali nowego czasu. Czy wszystko zniknie w ułamku

sekundy? Czy będzie można to w ogóle zauważyć?

To właśnie wtedy cały program poszedł pod dywan.

Kiedy okazało się, że nasza przeszłość kurczy się o dwa

dni dziennie i w ciągu jakichś czterdziestu lat nadejdzie najcichsza i najszybsza zagłada, jaką ktokolwiek mógł-

łby sobie wyobrazić. Koniec z Unią Europejską, Islam-

ską Sunną Arabską, Wspólnotą Niepodległych Państw,

biochemicznym terroryzmem, klonowaniem i tak dalej.

Koniec z Internetem, polityczną poprawnością, Nową

Lewicą i Republikańskim Odrodzeniem. Koniec z kry-

zysem paliwowym i teorią globalnego ocieplenia. Nie

34

Jarosław Grzędowicz

pomogą protesty, petycje, akcje społeczne ani wstążeczki

w kolejnym kolorze. Koniec. Au revoir.

Trudno wskazać, gdzie pojawiły się pierwsze różnice

między naszymi czasami. Spodziewano się schludnego,

zgodnego z teoriami i powieściami

science fi ction sche-

matu. Jedno wydarzenie. Jeden fatalny moment, w któ-

rym coś wydarzyło się inaczej – jakiś Rzymianin, który

poślizgnął się na oliwce na schodach Forum Romanum,

więc nie spłodził syna i tak dalej. Jedno wydarzenie kry-

tyczne, od którego zmiany rozeszły się niczym kręgi na

wodzie i wygenerowały wasz świat.

Nie pytajcie tylko, jak i skąd coś takiego mogło się po-

jawić w przeszłości, która już miała miejsce. Ja zapytałem.

Najlepszego na świecie fi zyka temporalnego. Noblistę.

Jeszcze w Carandache.

Facet miał dwie tablice elektroniczne, takie chodzące

w górę i w dół na szynach, oraz świetlny rysik. W życiu

nie widziałem, żeby ktoś stawiał takie małe znaczki na

tablicach. Mniejsze od kciuka. Zapisał  
tym maczkiem

obie tablice, naotwierał okien  
pomocniczych z anima-

cjami i właśnie miał kasować początek,  
kiedy nie wy-

trzymałem:

– Litości, Daladiere, co pan robi? Co to  
wszystko

znaczy?

– Tak jednym słowem – odparł i  
wyłączył rysik – to



mniej więcej znaczy, że gówny wiemy,  
panie kolego. Tak

jest i już. Bez względu na to, co sobie o  
tym myślimy.

Okazało się, że to nie jest takie proste.  
Nie ma jednej

zmiany, od której wszystko zależy Nie  
wystarczy wy-

ciągnąć z wody tonącego przodka  
Juliusza Cezara albo

zastrzelić dziadka człowieka, który  
zmienił świat.

Zegarmistrz i łowca motyli

To są tysiące zmian większych i mniejszych. W każ-

dym z tych przypadków nasza historia spokojnie mogła

pójść taką samą ścieżką i nawet wydawało się, że powin-

na, ale jakoś nie poszła. Zupełnie tak, jakby coś stawało jej na przeszkodzie.

Te wszystkie bitwy, które nagle zaważyły na losach państw, choć poważniejsze wojny niczego nie

zmieniały. Te momenty, kiedy cywilizacje upadały ta-

jemniczo i właściwie bez powodu,  
jakby ktoś je skasował.

Te wszystkie genialne prawa i  
wynałazki, które powinny

działać, ale czegoś nie chciały. Te  
okresy, kiedy ludzie

rzucali się sobie do gardeł, jakby ich  
coś opętało, mimo

że wojna to było ostatecznie, czego  
potrzebowali. Tysiące

i miliony zmian, rzadko zależnych od  
jednego szczegółu,

takiego jak udany zamach w miejsce

nieudanego. Po

prostu nagle okazało się, że rzeka czasu  
płynie innym

korytem, niż nam się wydawało. Tu  
obsunęła się ziemia,

tam kamień runął w nurt, gdzieś pękła  
tama, a gdzie

indziej wystarczyło może trzepotanie  
skrzydeł motyla.

To była już inna rzeka.

Coś jednak należało zrobić. Nasz czas  
się kończył,

ale przecież nie byliśmy bezbronni.

Można było zajrzeć

w przeszłość. Można było nawet wysłać człowieka. Moż-

na było siłą wprowadzić zmiany. Tylko nie było wiadomo

jakie i gdzie. I wtedy przysłali facetów od matematyki

chaosu i ich upiorne kwantowe komputery.

To oni opracowali teorię węzłowych punktów kry-

tycznych. Teorię skrzydeł motyla.

Trzepotanie motyla w Nowym Jorku  
może wywołać

trzęsienie ziemi w Szanghaju... Może  
nawet wywrócić

czas. Trzeba tylko dużo motyli...

36

Jarosław Grzędowicz

\* \* \*

To była przyzwoita podmiejska  
dzielnica willowa.

Idealne miejsce do mieszkania.  
Zadrzewione posesje

i obsadzone klonami uliczki. Miejsce,  
po którym moż-

na spacerować w środku nocy, ryzykując  
najwyżej, że

zostanie się obszczekany z za parkanu  
przez jakiegoś

ogara. Miejsce, w którym większość  
mieszkańców jeź-

dziła własnymi samochodami, gdzie  
przed południem

spotykało się tylko młodzieńki służące  
plotkujące pod

sklepikiem i gdzie nawet posterunek

policji był otulo-

ny drzewami. Świat herbatek na  
werandzie, naleweczek,

truskawek i cygar.

Porządne sąsiedztwo: ani przesadnie  
bogate, ani ubo-

gie. Adwokaci, lekarze, ofi cerowie,  
inżynierowie, urzęd-

nicy państwowi, bankowi kanceliści.  
Ale tacy średni –

żadne rozwydrzone gwiazdy. Ludzie,  
którzy w niedziele



grywali w tenisa, jeździli na wakacje  
równie dobrze do

Zopotów, jak do Cannes czy Triestu, a  
wieczorami za-

bierali swoje wypiełgnowane,  
pachnące francuskimi

perfumami, piękne i przypuszczalnie  
wyuzdane żony

do przyzwoitych restauracji. Dobrze,  
solidne życie: takie

ani zbyt bogate, ani zbyt biedne – w sam  
raz... Takie,

jakie posterunkowy Kundera też mógłby

toczyć, gdy-

by słuchał ojca i uczył się, zamiast obijać. Gdyby został

mechanikiem samochodowym, może już miałby własny

warsztat i taką willę. W dłoni zamiast uchwytu dębo-

wej patrolowej pałki trzymałby rączkę parasola, laskę

albo raketę tenisową. Zamiast sukiennego munduru

z mosiężnymi guzikami okrywałby się lekkim płaszczem

z lamiej wełny, z futrzanym kołnierzem,  
a oczy zamiast

Zegarmistrz i łowca motyli

37

okutego daszka policyjnej czapki  
ocieniałby mu porządny

angielski melonik. O tej porze, zamiast  
szlifować bruki

na patrolu, wracałby sobie z kart, a w  
domu czekałaby

smukła, ciemnowłosa żona, taka jak pani  
Jadzia. Wy-

tworna i piękna.

Kundera westchnął. Mogło być gorzej.  
Patrol tu, na

Sadach Czerniakowskich, to był spacer.  
Mógł trafić na

Szulki albo Powiśle. Tam przemykałby  
się chyłkiem

niczym szczur, rozpaczliwie ściskając  
pałkę, która tu słu-

żyła mu do artystycznego  
wymachiwania, drażnienia

psów albo obijania parkanów. Tam  
byłyby cuchnące mo-

czem, ciemne bramy i zaułki, rynsztoki  
pełne odpadków

i podpici ciecie. W dłoni każdego  
przechodnia mogła

nagle załsnąć brzytwa, kawał  
rowerowego łańcucha albo

szpadryna zrobiona ze sprężyny od łóżka  
i ołowiu. Tu-

taj nigdy nie działało się nic, co  
wymagałoby interwencji

pieszego policjanta, nic gorszego niż  
dzieciak z głową

wetkniętą w pręty balustrady, kłótnia

sąsiadów albo kot

uwięziony na drzewie.

Na Sadach Czerniakowskich nic się nie  
działo i nic nie

odbiegało od normy bardziej niż młoda  
pokojówka para-

dująca po pokoju nago, przy  
rozsuniętych zasłonach.

Nie widywało się na przykład rosnącego  
księdza klęczą-

cego przy furtce willi i dłubiącego  
wytrychem w zamku

w świetle elektrycznej latarki trzymanej  
przez jegomościa odzianego w  
kosztowną jesionkę Burberry i z  
cylindrem

na głowie.

Posterunkowy Kundera wcale nie był  
głupi. Ale

nawet ktoś stosunkowo bystry rzadko  
potrafi od razu

znaleźć się w sytuacji kompletnie  
obłąkanej. Trudno

powiedzieć, co ogłupiło go bardziej:  
ksiądz-włamywacz

Jarosław Grzędowicz

czy cylinder noszony do kraciastej  
jesionki i pumpów.

W innym czasie i innym świecie ukuto  
określenie „dy-

sonans poznawczy”.

Na widok zwykłych obwiesiów albo  
nawet przecięt-

nych mężczyzn wiedziałby, co robić.  
Osobliwy widok,

który jawił mu się w świetle gazowych



latarni, zakrawał

na gorączkowy majak.

– Co tu się dzieje? – posterunkowy  
Kundera powinien

był to huknąć służbowym głosem.  
Powinien był przygo-

tować sobie gwizdek. Ale nade  
wszystko powinien był

odwiesić pałkę na zaczep i wyjąć  
rewolwer.

Ksiądz uniósł tylko brwi, nadal  
spokojnie majstru-

jąc dwiema stalowymi szpilami w zamku. Szczęknęła

zapadka, furtka uchyliła się ze skrzypieniem. Jegomość

w cylindrze uniósł latarkę i smagnął twarz posterunko-

wego snopem blasku. Ksiądz zaczął się prostować.

Kundera zasłonił oczy dłonią.

– Zabrać światło! – warknął.

Cylinder usłuchał, ale policjant miał już zielone pla-

my przed oczami. Ksiądz wyprostował się na całą ogrom-

ną wysokość i uśmiechnął.

Posterunkowy w życiu nie

widział tak wysokiego duchownego.

– Ach, panie stójkowy! – rozległ się nagle kobiecy głos

gdzieś za plecami.

Kundera odwrócił się, stając rozsądnie plecami do

parkanu. Kobieta wynurzyła się zza samochodu zapar-

kowanego przy ulicy. Ciemny fokker z  
wypukłymi błot-

nikami, przemknęło mu przez myśl.

Dama była piękna,

ale również absurdalnie wysoka. Żeby  
spojrzeć w tur-

kusowe oczy pod jeździeckim  
kapelusikiem i zobaczyć

kunsztowne pukle blond włosów  
otaczające szczupłą

Zegarmistrz i łowca motyli

twarz, musiał zadrzeć głowę. Była również absurdalnie

ubrana: w piaskowy kostium do jazdy konnej z brycze-

sami, wysokie buty, w rękę trzymała nawet szpicrutę.

Przebierańcy, przemknęło Kunderze przez głowę. Wra-

cają z jakiegoś balu.

– Panie stójkowy, a bo ja zgubiłam klucz  
– powie-

działa, wydymając kapryśnie wargi.  
Minęła policjanta

i uwiesiła się na szyi księdza. –  
Najdroższy, poradziłeś  
sobie?

To było o jeden idiotyczny numer za  
dużo. Kundera

puścił rękojeść pałki, pozwalając jej  
zawisnąć na rzemiennej pętli, i sięgnął  
do skórzanej kabury, zastanawiając

się rozpaczliwie, czy załadował  
rewolwer. Amazonka,

odwrócona do niego plecami, całowała  
księdza w usta,

unosząc jedną nogę. Nagle postawiła ją

na ziemi i odwró-

ciła się błyskawicznie jak tancerka,  
machnąwszy ręką.

Kundera poczuł parzące smagnięcie  
przez szy-

ję i krzyknął – chciał krzyknąć, ale  
usłyszał tylko syk,

z jakim gorące powietrze zmieszane z  
rozpyloną krwią

buchnęło przez szczelinę w jego szyi.  
Rewolwer stuknął

o chodnik, a posterunkowy rozpaczliwie  
chwycił prze-

cięte gardło, usiłując zacisnąć brzegi rany i patrząc z bolesnym osłupieniem na brzytwę w wąskich palcach ama-

zonki, na okrwawiony brzeszczot przewieszony przez

kiść dłoni, fachowo, jak u alfonsa. Nogi zaczęły się pod

nim uginać i Kundera osunął się po parkanie.

– No i po co to? – warknął surowo ksiądz. – Nie wy-

starczyło ogłuszyć? Musiałaś wszystko obryzgać, Drzaz-



ga? Zabrać go teraz. Ruchy!

– Co tam się dzieje?! – zawołał  
mężczyzna w tuzurku,

stając w kwadracie światła otwartych  
drzwi.

40

Jarosław Grzędowicz

– Ach, kochany panie doktorze Foch! –  
zawołał jo-

wialnie ksiądz, wchodząc po stopniach  
na ganek. Matowo

oksydowany długolufy mauzer wynurzył

się spod poły

czarnego księżowskiego futra.

Doktor otworzył z osłupieniem usta.

Wysoki ksiądz

wepchnął go do mieszkania, a za jego plecami bardzo wy-

soka kobieta w stroju do konnej jazdy wlokła po kamiennej ścieżce charczącego policjanta, trzymając go pod pachy.

Mężczyzna w pumpach i cylindrze wszedł ostatni,

rozglądając się czujnie, z dłonią za połą

jesionki, i cicho zamknął drzwi.

Jegomość w średnim wieku, ze starannie przystrzy-

żoną siwą bródką, otulony tużurkiem z jedwabnymi wy-

łogami, siedział już na postawionym pośrodku salonu

krześle, z ustami zaklejonymi kawałkiem medycznego

plastra. Okrągłe druciane okulary spadły mu podczas

szamotaniny i leżały rozdeptane w sieni wśród szklanego

pyłu. Wysoka amazonka, nazwana Drzazgą, klęczała za

krzesłem i z trzaskiem odrywała kolejne kawałki płó-

ciennej taśmy, owijając nadgarstki gospodarza.

– Kto jest jeszcze w domu? – szepnął wysoki ksiądz,

wtykając lufę pistoletu pod brodę mężczyzny. – Zaraz

zdejmę ci plaster, a wtedy odpowiesz na pytanie. Naj-

pierw tylko ruchem głowy. Tak lub nie.

Rozumiesz?

Doktor przytaknął, dygocąc z przerażenia.

– Czy jest ktoś w domu? Tak czy nie?

– Nie...

– Pigmej, sprawdzić – szepnął ksiądz, poparłszy roz-

kaz ruchem głowy.

Dżentelmen w tweedach i cylindrze ruszył na górę

cicho jak kot.

# Zegarmistrz i łowca motyli

41

Mężczyzna na krześle szarpnął się  
rozpaczliwie.

– Bez hysterii – uprzedził ksiądz. –  
Zabiję, rozumiesz?

Jeden wrzask, jakakolwiek awantura,  
zabiję natychmiast

jak psa. Zrozumiano?! – Ach, kochany  
panie doktorze! –

zawołał nagle jowialnym tonem. –  
Niechże pan wybaczy

to niefortunne najście! Tyle lat, tyle lat...

Na górze rozległ się stłumiony krzyk,  
szamotanina

i głuchy łomot. Lekarz zeszywniał.

– Wiem, że to barbarzyństwo –  
wyszeptał ksiądz. –

Ale my tu ratujemy miliardy ludzi, panie  
doktorze. Pan,

jako humanista, powinien zrozumieć, że  
ofiary są ko-

nieczone.

Pigmej pojawił się znowu, bez cylindra

na głowie,

niosąc przewieszoną przez ramię  
bezwładną kobietę. Po-

łożył ją na podłodze przed kominkiem.

– Żywa? – spytał krótko ksiądz.

Człowiek nazwany Pigmejem skinął  
głową.

– Znakomicie. To nam zaoszczędzi  
czasu. Zadam

panu proste pytania, doktorze Foch.  
Bardzo proste. Je-

żeli nie uzyskam zadowalającej



odpowiedzi, zaczniemy

torturować pana żonę. Zrobi to moja koleżanka, z całą

wrodzoną intuicją i znajomością kobiecej anatomii. Na-

legam, żeby pan nie tracił czasu na konwenanse. Ta

panna jest najokrutniejsza z nas wszystkich. W pań-

skiej sieni właśnie kona policjant, którego przed chwilą

prawie zabiła...

Amazonka zachichotała, grzebiąc w  
eleganckiej to-

rebce, po czym ułożyła rzędem na  
podłodze brzytwę,

aptekarską buteleczkę z ciemnego szkła,  
kilka denty-

stycznych narzędzi, dużą szklaną  
strzykawkę i spirytu-

sowy palnik.

42

Jarosław Grzędowicz

Jegomość w tweedach właśnie kończył

przywiązywać

nieprzytomną kobietę do krzesła;  
wepchnął jej w usta

sporą śliwkę, zabraną ze stojącej na  
stole patery, po czym starannie zakleił  
usta dużym kawałkiem plastra. Doktor

szarpnął się w fotelu, wytrzeszczając  
oczy, i wydał z siebie kilka  
rozpaczliwych jęków.

– Dzięki temu tortury odbędą się w ciszy  
– objaśnił

ksiądz, gestykulując mauzerem. – Żona  
nie będzie mo-

gła krzyczeć. Może to źle, bo gdyby usłyszał pan jej głos, prędzej zacząłby współpracować, ale nie chcemy alarmować sąsiadów. Pan ma tylko odpowiadać na pytania. Oto

pytanie pierwsze: Gdzie jest klucz do sejfu?

Sięgnął do twarzy lekarza i szarpnięciem zerwał mu

plaster z jednej strony ust. Na pokrytej klejem części

została spora kępka włosów.

– Pieniądze są w biurku, w kasecie. Panowie, w sejfie

nie ma nic wartościowego, przysięgam  
na Boga! Pienią-

dze w kasecie, w prawej szufladzie.  
Puśćcie ją, przecież nic wam nie  
zrobiła, oddam pieniądze i  
kosztowności...

Plaster wrócił na swoje miejsce.

– Niczego pan nie zrozumiał, kochany  
doktorze Foch.

Pytałem o klucz do sejfu. I tylko tyle.  
Drzazga, zaczynaj.

Szczupła amazonka usiadła na kolanach  
kobiety twa-

rzą do niej i wsunęła jej brzytwę pod bluzkę. Rozległ się trzask prutego materiału, rozcięte płótno poleciało na podłogę.

– Przytrzymaj krzesło – powiedziała do Pigmeja. –

Będzie się szarpać jak jasna cholera...

Wyjęła korek z ciemnej buteleczki, pozwalając, by

kropla cieczy spadła na dębowy parkiet. Z politory unio-

sła się cieniutka smużka gryzącego dymu.

# Zegarmistrz i łowca motyli

43

– Ups...! Sorry za podłogę...!

– Ocucić? – zapytał Pigmej.

– Spiko, już ja ją ocucę.

Wysoki mężczyzna w sutannie wybrał  
płytę, podniósł

ramię skrzynkowego gramofonu i  
włączył.

Doktor i jego żona szarpali się w  
więzach, wydając

z siebie okropne, stłumione kneblami  
zwierzęce ryki,

drąc piętami podłogę i szarpiąc  
poręczami. Trwało to

około minuty. Przerazająco cichej  
minuty, do wtóru deli-

katnie grającego patefonu, w której  
brakowało ryku, jaki

mógłby wygnieść szyby w oknach.  
Brakowało tak bardzo,

że aż bolało. Cały hałas z pewnością nie  
zwróciłby uwagi

nikogo na ulicy ani za ścianą.



„Noce takie są upalne, i słowiki spać  
nie dają, a przez

okno do mej chatki jakieś strachy  
zaglądają...” – gra-

mofon zawodził lirycznie, ale niezbyt  
głośno. Wysoki

mężczyzna wyglądał przez okno,  
rytmicznie bębniąc

palcami w parapet.

– Klucze są w łazience... Pod  
ręcznikiem... Wiszą na

łańcuszku... Miałem je na szyi... – doktor  
krztusił się

w torsjach, ale starał się mówić najszybciej jak to tylko możliwe. Bał się nawet spojrzeć w stronę Drzazgi, która

wycierała zakrwawione dłonie strzępami koszuli kobie-

ty. – Jest jeszcze szyfr... Jeden... osiem... dziewięć... pięć...

Po kilku minutach zawartość sejfu znalazła się na

stole w salonie. Pięć wypchanych papierami postrzępio-

nych teczek z brązowej tektury, parę grubych brulionów

w sztywnej oprawie i pistolet, który przywłaszczył sobie

Pigmej.

– Browning efenka – oznajmił, mimo że nikogo to

nie zainteresowało.

44

Jarosław Grzędowicz

Drzazga stała wyczekująco, opierając długą nogę

o krzesło, na którym leżała nieprzytomna, półnaga ko-

bieta. Człowiek zwany Pigmejem cicho  
otworzył drzwi

i wyszedł na zewnątrz. Słysząc było, jak  
otwiera kufer

fokkera i wyjmuje coś metalowego, po  
czym kręci korbą

rozrusznika. Ksiądz przejrzał pobieżnie  
zawartość teczek

i położył jedną na drugiej.

– Czy to wszystko? – zapytał surowo. –  
Wszystkie

dokumenty?

– Tak... wszystkie... Ale, panowie, to nieskończone.

Nikt wam za to nawet grosza nie da. A to jest lekarstwo.

Rozumiecie? Dzięki temu można będzie wyleczyć na-

wet raka... I to wkrótce... Jeszcze trochę pracy... Błagam was... Miejcie na względzie... Przecież też macie rodziny...

Dobro ludzkości... Przecież to może uratować miliony

istnień.

Ksiądz pokręcił głową i westchnął.

– Dobro ludzkości, powiada pan?

Wszystko, co my

robimy, jest dla dobra ludzkości.

Miliony istnień? My

tutaj ratujemy miliardy. Przykro mi,  
doktorze, ale rak

zostaje.

Pigmej wrócił z czterema kanistrami,  
które postawił

na podłodze, po czym przyniósł skądś  
miednicę i ustawił

w niej świecę wyjętą ze stołowego  
lichtarza.

Z gramofonu dobiegała teraz „Ostatnia  
niedziela”.

Ksiądz pozbierał okładki i bruliony do  
skórzanej teczki,

którą znalazł w sieni, po czym wyszedł.

Pigmej i obłąkana amazonka oblali  
wszystko cuchnącą gazoliną, potem na-  
pełnili miednicę i podpalili świecę.

Zanim wyszli, mężczyzna w kraciastej  
jesionce znalazł jeszcze kasetę z  
pieniędz-mi oraz odszukał na górze swój  
idiotyczny cylinder.

Zegarmistrz i łowca motyli

Akurat zamykali za sobą drzwi, kiedy  
płyta zacięła

się na słowach „...na wieczny czas –  
pyk!... na wieczny

czas – pyk!... na wieczny czas...”. Było  
to bardzo irytujące, ale nikt w salonie  
nie mógł poprawić igły.

\* \* \*

Chyba zaczynam wariować. Dzisiaj rano  
wyszedłem

do miasta i wydawało mi się, że coś jest  
inaczej. Niektóre miejsca wyglądały



jakoś obco. Nie wiem, czy stały tam przedtem takie budynki.

Zaczęło się od gazety. W Nowym Jorku spłonął ste-

rowiec. Nie nazywał się Hindenburg, ale jakoś podobnie.

Sto czterdzieści ofi ar. W odróżnieniu od mojej wersji

czasu sterowce są tu na porządku dziennym. Dla mnie

stały się symbolem tego świata. Prawie zawsze, gdy spoj-

rzę w niebo, widzę, jak płynie po nim  
ogromne srebrne

cygaro, i wiem, że wszystko jest w  
porządku. Są napeł-

niane helem. Prawie zawsze. Przecież ci  
ludzie wiedzą,

jak kłopotliwy i niebezpieczny jest  
wodór. A jednak ja-

kiś kretyn wysłał tamten statek  
wypełniony przeklętym

gazem, który zmienił go w bombę  
termobaryczną. Mój

świat uciekł od sterowców. Były

bezpieczne, wydajne

i oszczędne. Umożliwiały długie,  
komfortowe podróże,

a także potrafiły przewozić olbrzymie  
ilości towarów.

Same zalety. Ale zrezygnowano z nich,  
rzekomo z po-

wodu awarii, tak jakby samoloty nie  
spadały... W mojej

linii czasu było mnóstwo takich  
aspektów. A teraz tutaj

już ktoś bredzi o tym, że sterowce są  
błędem, mimo że

przedwczoraj odwieźliby go za takie  
stwierdzenia do wa-

riatkowa. Kocham sterowce.

46

Jarosław Grzędowicz

*(Brzęk szklanki).*

Do tego w Niemczech zdobywa  
poparcie jakaś Partia

Narodowo-Ludowa. Wódz tej partii  
nazywa się Winkler.

Zabawne, nie? Do wczoraj o nim nie  
słyszałem, a teraz

nagle czytamy, jak to rośnie w siłę i  
niechybnie doprowa-

dzi do zjednoczenia wszystkich landów  
w jedną Rzeszę.

W Rosji fala strajków, oczywiście  
rozpędzona przez koza-

ków. Krew, trupy, masakra, czarny  
wtorek w Petersburgu.

Fala zabójstw na skalę, jakiej tu nie  
pamiętam. Huragan

równa z ziemią Atlantę. Zamach na  
prezydenta Republiki

Czesko-Morawskiej. Nieudany, ale

zapowiada rosnący se-

paratyzm Austriaków. Wszystko jednego dnia. Tak jakby

„Kurier” nagle zaczął być redagowany w moim świecie.

Motyl bije skrzydłami. Gdzieś daleko. Słyszę cichut-

ki trzepot skrzydeł, które zmiotą świat z powierzchni

ziemi.

Huragan nadchodzi...

\* \* \*

Meier, wysiadłszy z tramwaju, postawił  
kołnierz

płaszcz, po czym wsunął złożoną gazetę  
pod ramię

i kuląc się w deszczu, przeszedł na  
drugą stronę ulicy.

Stał przez chwilę na chodniku i patrzył  
na neogotyckie

kamieniczki ciągnące się wzdłuż  
Brackiej, potem za-

darł głowę i spojrzał na przedzierający  
się przez niskie

chmury, błyskający światłami

pozycyjnymi błękitny

kadłub aerostatu z wielkim napisem  
LOT. Uśmiechnął

się z aprobatą i ruszył w kręte zaułki  
Śródmieścia. Jakby nigdy nic wszedł na  
chwilę do sklepu „Radlicz i synowie,

Zegarmistrz i łowca motyli

47

artykuły kolonialne” i zaczął rozglądać  
się po półkach,

wdychając aromaty cytrusów, tytoniu,  
kawy i herbaty,



jednocześnie zerkając dyskretnie przez  
witrynę na pustą

ulicę. Przejechała dorożka. Przeszła  
młoda dziewczyna

z koszykiem na zakupy wypchanym  
artystycznie wa-

rzywami, z którego sterczał zielony ogon  
pora. Nikt nie

czekał w bramie budynku naprzeciwko,  
nikt nie czytał

na deszczu gazety.

Nikt go nie śledził.

„Cafe Casablanca” była obskurną  
speluną położoną

w suterenie kamienicy i jak świat  
światem nikomu tu nie

przyszło do głowy zamawiać kawy.  
Podłogę wysypano

trocinami, a w ciemnym, zupełnie  
pustym wnętrzu

siedział tylko barman, kryjąc się za  
ciemnym szynkwa-

sem z odrapanego drewna.

Meier rozejrzał się jeszcze raz, po czym  
pchnął drzwi

i wszedł do środka. Zadzwęczał  
umieszczony nad fu-

tryną dzwonek. Barman uniósł głowę i  
spojrzał ciężko

na gościa. Miał szeroką, buldogowatą  
twarz, siwiejące

włosy zaczesane do tyłu i oczy niczym  
kobra. Bez śladu

życia i litości, lśniące jak dwa gwoździe  
wbite w wieko

trumny. Meier zauważył maleńką  
wytatuowaną łezkę

w kąciuku oka.

– Zamknięte! – barman miał chrypliwy głos, jakby

wypalony kwasem. – Dzisiaj nie przyjmujemy.

– Ja na stypę – oznajmił Meier.

– To wchodzi pan. Ale jeszcze nikogo nie ma.

– Poczekam. Daj mi pan piwo i kieliszek araku.

– Się robi, szefuniu. Zimno, co? Psi czas...

– Siądę w gabinecie.

– Jak se pan życzy, naczelniku.

48

Jarosław Grzędowicz

Meier położył na stole gazetę i wcisnął się na wyśliz-

ganą drewnianą ławę, dziwnie przypominającą kościelną.

Zapaliwszy papierosa, patrzył ponuro przed siebie, na

chybotliwy płomyk nagrobkowego znicza stojącego na

porysowanym blacie. Na gazetę nawet

nie spojrział.

Holzman ubrał się na czarno, jak karawaniarz. Od-

wiesił palto i parasol, w milczeniu uścisnął Meierowi dłoń, po czym usiadł naprzeciwko, nie zdejmując melonika.

– Setkę żytniej i minogi – zawołał w stronę szyn-

kwasu.

– Przyjdą? – zapytał Meier.

– Przyjdą – powiedział detektyw bez śladu akcentu. –

Specjalnie chciałem z panem wcześniej porozmawiać. Ja,

panie Meier, nie zmrużyłem w nocy oka. Chodzi mi o tę

poprzednią rozmowę, u pana w domu. Bardzo długo

myślałem i chyba panu wierzę.

Plasnął dłonią w blat, wychylił kieliszek i nabił na

widelec zwiniętego minoga z cebulą.

– Panie ober, jeszcze jednego! Chodzi o to, co pan mi

powiedział wcześniej. Za dużo rzeczy  
pan wie, zanim

się jeszcze staną. Poszedłem pilnować  
tego Focha, jak

mi pan kazał, ale już było za późno.  
Spalili dom, panie

Meier, a w środku tego doktora i jego  
żonę. Przywiązali

ich do krzeseł i spalili żywcem.  
Pojechałem w to dru-

gie miejsce i też się spóźniłem, ale  
niewiele. Ten młody

Rawicz rzeczywiście najwyraźniej



umówił się z panną

w kawiarni „Alhambra”. Przyjechałem  
prawie równo

z nią i widziałem, co się stało. Do  
Rawicza dosiadła się

jakaś szykowna damulka, wysoka  
niczym dragon. Niby

chciała o coś zapytać, ale kiedy tylko  
tamta podeszła do

kawiarni, nagle zaczęła Rawicza  
całować w usta przy

Zegarmistrz i łowca motyli

ludziach i obmacywać mu spodnie, a panna zobaczyła

to przez witrynę. Ma się rozumieć, nawet nie weszła do

środka. Pan mówił, że tamtym chodzi o to, żeby ci dwoje

się nie zeszli, i ja panu mówię, że się nie zejda. Ta wysoka zaraz wstała i wyszła jakby nigdy nic – zamilkł na chwilę, bawiąc się bezmyślnie minogami na talerzu.

– A wie pan, dlaczego panu wierzę? Bo czytam gazety.

Polskie, żydowskie, angielskie. Pan  
mógł znać tego czy

tamtego, mógł nawet sam zamordować  
tego Focha albo

wynająć tę pannę. Ale tego, że świat  
stanie na głowie, pan żadną miarą nie  
mógł wiedzieć. Nie mógł pan zaangażo-  
wać tego Niemca Winklera, żeby  
wczoraj wygłosił prze-

mówienie o czystości rasy i o  
żydowskim spisku, tylko

po to, żeby zrobić na mnie wrażenie. Ja  
tego słuchałem

w niemieckim radio, panie Meier, u nas

nawet o tym

jeszcze nie pisali.

Z drugiej setki detektyw wypił ostrożnie  
połowę i za-

gryzł minogiem. Meier odstawił kufel i  
obmacał kieszenie

w poszukiwaniu papierosa.

– Powiem panu coś jeszcze. Wie pan, co  
robi Żyd,

gdy nie wie, co robić? Idzie do rabina.  
Ja nie jestem taki bardzo religijny, ale  
poszedłem. Słuchał długo i milczał, a  
potem powiada: „Możliwe, że

zwariowałaś, reb Holzman, ale mnie się tamten świat, co pan o nim opowia-

dasz, śni po nocach. Ja mieszkam na Nowolipkach i ja tu

spać nie mogę. Mnie się śni kolej, którą wiozą Żydów na

śmierć, stłoczonych w wagonach niczym krowy. Mnie się

śnią czarni ludzie, którzy palą kobiety i dzieci w wielkich piecach. Śni mi się wojna i głód takie straszne, jakich

jeszcze nie widziano... Wszystko to mi się widzi tutaj. Ta kolej będzie odchodzić ze Stawek, widzę te same

ulice

50

Jarosław Grzędowicz

i ludzi, których znam, zamkniętych za  
drutem kolcza-

stym i chudych jak szkielety. Doły pełne  
trupów. Co noc

to widzę, reb Holzman, i to jest blank  
tak samo, jak mi

opowiadasz. Więc może i tak jest, że to  
jest jakaś prawda”.

Tak mi powiedział.

– Cieszę się, że pan mi wierzy, panie Rajmundzie. Ja

bym na pańskim miejscu nie uwierzył.

– Ja nie tyle wierzę, co na razie zgadzam się uznać, że

to może być prawda. Ale skoro już tak jest, to niech mi

pan odpowie na kilka pytań, panie Meier. Pan niby jest

stamtąd, tak?

– Tak. Urodziłem się w dwa tysiące piętnastym

roku.

– Wysłali pana, żeby ratować wasz świat, tak?

– Raczej na zwiad. Ale tak, ogólnie rzecz biorąc, tak.

– Jest pan jednym z nich. Dlaczego staje pan po naszej

stronie?

Meier pochylił się nad stołem.

– Dlatego, panie Rajmundzie, że mój świat jest okrop-

ny. Nienawidzę go i nie chcę do niego



wracać. Miałem

go dosyć. Dosyć wszechwładnego państwa, które wtrąca

się do każdej, nawet najbardziej osobistej rzeczy, ale za to napady w biały dzień są na porządku dziennym. Dosyć

tłoku, dosyć najróżniejszych uprzywilejowanych grup,

dosyć niezliczonych zakazów. Każdy człowiek jest obser-

wowany. Dzień i noc. Na ulicy, we własnym domu. Nie

wolno pić alkoholu, nie wolno palić  
tytoniu, nie wolno

mówić wielu rzeczy, nie wolno jeść  
mięsa, nic. Zwykły

człowiek może iść do więzienia za byle  
głupstwo, lecz

bandyci robią, co im się podoba.  
Kilometrami ciągną

się gigantyczne, paskudne miasta, pełne  
biedy, biedaków

Zegarmistrz i łowca motyli

z całego świata. Są takie dzielnice,  
przez które można

przejechać tylko samochodem  
pancernym. Bogaci za-

mykają się w fortecach, a reszta tłoczy  
się jak mrówki.

Nie ma nadziei, nie ma przyszłości.  
Tutaj jest normalnie.

Nie cudownie, nie rajsko, tylko  
normalnie. Wiedziałem

to od chwili, kiedy wyszedłem tu  
pierwszy raz na ulicę.

Spojrzałem na miasto, które tam, u mnie,

było paskudne,

niszczone i głupio odbudowywane po  
kilku wojnach,

niemożliwie zatłoczone, wrogie, i  
pomyślałem: „Boże,

przecież ono właśnie tak powinno  
wyglądać”. Wydawało

mi się, że je poznaję, mimo że wygląda  
całkiem inaczej.

Chodziłem po nim godzinami i  
wszystkim się zachwyca-

łem. Zakochałem się w pańskim  
świecie, panie Holzman.

Tu wszystko jest normalne. Jest tak, jak powinno być.

Zupełnie inaczej niż u mnie. To mój świat jest błędem,

a nie pański. Tu, w tej gazecie – Meier klepnął dłonią

złożony „Kurier” – widzi pan narodziny świata podob-

nego do mojego. Rodzi się przez chaos, zbrodnię i tyranię.

Nadchodzi. Państwa ważniejsze od swoich obywateli, po-

stęp ważniejszy od ludzi, nieustanne,

beżładne, rakowate

zmiany. Zawsze na gorsze. Wszystko ma się zmieniać.

Nieważne, że bez sensu, byle się zmieniało. I wszystko

głupio. – Wypił łyk araku i westchnął. – Zapytał pan

o coś bardzo skomplikowanego i to jest najprostsza od-

powiedz, jakiej mogę panu udzielić. Ale tak naprawdę

mam tysiące powodów.

– Następne pytanie: ma pan coś stamtąd?

Cokol-

wiek?

– Nie. Mówiłem panu. Przenosi się  
informacja o czło-

wieku, o tym, co ma w głowie i jak jest  
zbudowany. To jest jakby dusza. Ciało  
buduje się na miejscu... Z powietrza...

52

Jarosław Grzędowicz

Z atomów... Nie umiem panu tego  
wyjaśnić; dość, że

nie można przenieść niczego. Nawet szpilki. Nie można

wysłać w przeszłość przedmiotu. Dlatego tamci pojawiają

się nago.

– Więc skąd pan miał pieniądze?

– Nie zabiłem nikogo ani nie obrabowałem, panie

Rajmundzie. To się u nas nazywa „asertywna społecznie

technika aprowizacji”, lecz to dobre dla grupy operacyjnej.



Są tu na krótko; ich zadaniem jest sabotaż i nie liczą się z kosztami. Ja postanowiłem zostać, więc nie chciałem zaczynać od zbrodni. Uczą nas różnych sposobów. Jednym

z nich jest oszustwo. Sztuczki umożliwiające wyłudzenie

pieniędzy. Znamy ich dziesiątki. Czasami można przed

skokiem wydobyć samą informację z czasu, do którego

się człowiek udaje. Wyliczyć na przykład numery, które

będą wygraną na loterii, jednak to nie

zawsze wychodzi

i nie zawsze działa. Są specjalne  
maszyny liczące, które

się tym zajmują. Pierwsze ubranie udało  
mi się ukraść.

Zdjąłem je ze sznura, na szczęście było  
lato. Pierwsze

pieniądze wygrałem w karty – nauczono  
mnie oszukiwać.

Potem uwiodłem bogatą, samotną  
kobietę z wyższych sfer

i skłoniłem ją, żeby mnie przez jakiś  
czas utrzymywała,

po czym opatentowałem kilka prostych wynalazków zna-

nych w moim świecie i zrobiłem na tym majątek.

Detektyw patrzył na Meiera szeroko otwartymi oczami i przez chwilę nic nie mówił.

– Co to za wynalazki?

– Co to za wynalazki?

– Wieczny ołówek – metalowa obsadka, w której sie-

dzi cienki kawałek grafitu. Sprzedałem go czeskiej firmie

mie piśmienniczej. Sprzedałem im  
jeszcze pióro kulkowe,

wieczne pióro, które ma w środku taką  
rurkę z gęstym

Zegarmistrz i łowca motyli

53

tuszem, zatkaną metalową końcówką z  
kuleczką. Ten

środek będzie się kupowało za grosze, a  
obsadka będzie

na zawsze. Nie wylewa się, nie zasycha,  
nie robi kleksów.

Jeszcze tego nie produkują, ale niedługo  
zaczną. Suchą

baterię w małej blaszanej puszcze, taką,  
jaka się nie psuje i długo trzyma prąd.  
Kredową taśmę do maszyny do pisania,  
która ukrywa błędy. Jednak największe  
pieniądze

dostałem za wymienne brzytwy. To się  
będzie sprze-

dawało na całym świecie, zobaczy pan.  
Na pewno pan

widział te rzeczy, ale nie wie pan, że to  
ja je niby wy-

nalazłem. Nie produkuję ich sam. Robię

tylko prototyp

i sprzedaję patent dużym firmom.

– A tamci? Dlaczego tak dziwnie działają? Dlaczego

nie zastrzelą premiera Grabskiego, nie wysadzają mo-

stów? Co ma za znaczenie jakiś bajtel w kawiarni? Wy-

bita szyba? Albo tamte walizki przeniesione z miejsca

na miejsce?

– Nie wiadomo, co ma znaczenie. Gdyby

tamci mło-

dzi się zeszli, może ich dziecko  
zrobiłoby coś ważnego?

Może ten, co otworzył nie swoją  
walizkę, dowiedział się

czegoś, czego nie powinien? Jeśli pan  
zastrzeli wodza

albo króla, przyjdzie inny król i może  
zrobi mniej więcej to samo. I nic to nie  
zmieni. Ale z powodu zamienio-nych  
walizek może sto lat później jakaś bitwa  
w ogóle

się nie odbędzie. Są rzeczy z pozoru  
nieważne, które

uruchamiają cały łańcuch zdarzeń. I są wielkie, które nic nie zmieniają. Mówiłem panu. Takich jak oni jest wielu.

W wielu czasach. W przeszłości i przyszłości. I wszędzie

tak robią. A te zmiany się kumulują... No, sumują, gro-

madzą... Ja mogę walczyć tylko z tymi, którzy są tutaj.

I nie wiem, czy to wystarczy.

54

Jarosław Grzędowicz



– Wybita szyba to tylko wybita szyba,  
panie Meier.

Mogę wybijać szyb, ile chcę, ale to nic  
nie zmieni.

– Po pierwsze, może zmieni, panie  
Rajmundzie. Skąd

pan to wie? Po drugie, oni nie są z tego  
czasu. Są obcym

wpływem. Wiedzą, którą szybę i kiedy  
wybić. Wiedzą,

że to będzie miało znaczenie. Gdyby ich  
tu nie było, to

zdarzenie nie nastąpiłoby. Dlatego to

robią.

Detektyw spojrział na zegarek.

– Tamci niedługo przyjdą, panie Meier.

Niech pan

mówi jak najmniej. Ja się wszystkim zajmę. Ma pan

pieniądze?

– Tak.

– Git. Ale o podróżowaniu w czasie nie będziemy

z nimi rozmawiać. Pan im zapłaci, ja będę mówił.

Pierwszy z przybyłych był wysoki,  
niemal tak jak

Meier, ale chudy, ze sterczącą grdyką i  
okrągłymi oku-

larami na haczykowatym nosie. W ogóle  
miał w sobie

coś ptasiego. Nosił melonik, teraz mokry  
i połyskliwy,

ciemny, prążkowany garnitur z  
kamizelką, a buty osłonił

gumowymi kaloszami\*. Długi czarny  
płaszcz, zwisający

niczym złożone skrzydła, i trzepocący

ruch, z jakim su-

szyl parasol, tylko potęgowały to ptasie  
wrażenie.

– Dobry wieczór panom. – Jegomość  
wyciągnął su-

chę dłoń z sygnetem połyskującym na  
małym palcu. –

Jestem...

– Nazywa się pan Abacki – oznajmił  
sucho Hol-

zman.

\* Na początku XX wieku kaloszami

nazywano gumowe pół-

buty zakładane w razie deszczu na zwykłe, skórzane. Nie miały nic wspólnego z dzisiejszymi gumiakami z cholewką, które obecnie się tak kojarzą (przyp. autora

Zegarmistrz i łowca motyli

55

– A dlaczego?

– Bo przyszedł pan pierwszy. Następny będzie Baba-

cki i Cabacki.

– To będą jacyś inni? – Mężczyzna uniósł brwi i lekko

przekrzywił głowę, jak oburzony szpak.

– W takim razie

moje uszanowanie szanownym panom...

– Niechże pan siada! – nie wytrzymał Meier. – Spra-

wa jest poważna. Byliśmy... Moi mocodawcy byli zmu-

szeni poprosić o pomoc aż trzech panów, bo nie możemy

ryzykować. Niech pan zważy, że płacimy podwójnie.

– Nie o pieniądze mi chodzi –  
powiedział Abacki. –

Ale o reputację. Kiedy pracuję, wiem,  
czego się podjąłem, i zawsze się  
wywiązuję. A to dlatego, że nad  
wszystkim

panuję. Dwóch dodatkowych panów to  
dwie niewiado-

me. Co więcej, nie życzę sobie, żeby  
mnie oglądano. To,

że zgodziłem się rozmawiać osobiście,  
to już jest ustęp-

stwo.

– Zgasimy lampy – uspokoił go  
Holzman. – Pozo-

stanie tylko ten znicz. Będzie widać to,  
co leży na stole, a nasze twarze zostaną  
w cieniu. Pańscy koledzy także  
niechętnie pozują do zdjęć.

Meier witał przybyłych przed gabinetem  
i jako jedyny  
mógł im się przyjrzeć.

Babacki przybył w kraciastych tweedach  
i cyklistów-  
ce. Zaciągał z wyraźnym lwowskim  
akcentem. Miał sze-



roka, pospolitą twarz, włosy zaczesane  
do tyłu i wyblakłe niebieskie oczka.

Ewidentny kamuflaż aż z tym Lwowem,

pomyślał Meier. Po wszystkim zmieni  
ubranie, akcent,

zapuści wąsy i szukaj wiatru w polu.

Cabacki z kolei wy-

glądał kompletnie nijako. Przeciętnie.

Ubrany modnie,

ale nie wytwornie, w szerokie spodnie i  
kusą marynarkę,

56

Jarosław Grzędowicz

z szarym stetsonem na głowie.

Przechodzień. *Everyman*.

Po ulicach Warszawy przechadzały się tysiące takich. Ten

w zasadzie nie potrzebował ani półmroku, ani kamufla-

żu. Zapominało się jego twarz pół sekundy po tym, jak

zniknął z pola widzenia.

– Ja panów we wszystko wprowadzę – mówił Hol-

zman. – Ten pan reprezentuje naszych mocodawców, ale

wszystko proszę załatwiać ze mną. Dla panów nazywa

się pan Nemo. I to jest wszystko, co panowie potrzebuje-

cie wiedzieć. Sytuacja wygląda następująco: mamy troje

klientów. To są cudzoziemcy, ale bardzo dobrze mówią

po polsku. Nasi ludzie cały czas ich obserwują. Mamy

też zdjęcia.

Sięgnął do kieszeni marynarki i wydobył trzy koperty,

które rozdał gościom.

– Są nidobre – oznajmił Babacki. – Jak tu kogo po-

znać?

– Zrobiono je z ukrycia, przykro mi.

– Na co nas trzech jest potrzebnych na takich dwóch

tumanów? Ja sam ich zabiji...

– Do trojga. Wszyscy troje są niebezpieczni. Zabili już

zresztą kilkoro ludzi. A ta cizia gołymi rękami wykoń-

czyła policjanta i dwóch uzbrojonych  
mężczyzn. Lepiej,

panowie, wbijcie sobie do głowy, że  
wiemy, co robimy.

I nie jesteście tu bez powodu. Gdyby to  
wyglądało tak,

jak się zdaje, sami byśmy to załatwili.

Teraz proszę posłuchać uważnie. Jeszcze  
ważniejszą rzeczą niż likwidacja...

problemu jest niedopuszczenie do tego,  
żeby udało im

się zrobić, cokolwiek zamierzają.

Będzie się to panom

wydawało bezsensowne, ale cokolwiek to będzie, choćby

kradzież doniczki z okna albo przemalowanie dorożkar-

Zegarmistrz i łowca motyli

57

skiego konia na niebiesko, nie możecie im na to pozwolić.

Choćbyście mieli poginać, doniczka ma zostać na oknie.

Dopóki siedzą w hotelu albo idą coś zjeść, możecie pla-

nować po swojemu, w stosownym czasie i jak chcecie.

Z jednym warunkiem: musicie działać razem. Osłaniać

się nawzajem i rozwalić ich równocześnie. Każdy swoje-

go. Jeżeli jednak nagle postanowią zrobić coś dziwnego,

choćby przejechać się na karuzeli, wychodzimy z ukrycia

i uderzamy. Panie Nemo?

Meier sięgnął w zanadrze, wynurzył się z cienia i po-

łożył przed mężczyznami trzy koperty.  
Zwykle niebieskie

koperty, lecz wyraźnie wypchane.

– Proszę. Tak jak się umawialiśmy. To  
jest po to, żeby

panowie nie musieli się martwić, czy to,  
co robicie, ma

sens. Sens jest w tych kopertach.

– Chwileczkę – odezwał się Cabacki. –  
Moment.

A skąd mamy wiedzieć, co jest ważne?  
Mamy się nagle



rzucać, kiedy postanowią kupić gazetę  
albo iść do kró-

lewskiego muzeum? Bez planu, na  
wariata? Przecież tak

nie można pracować!

– To my będziemy o tym wiedzieli –  
powiedział

Meier. – I uprzedzimy panów, choć to  
może być nagłe.

Wiedzieć takie rzeczy to nasza robota.  
Panów robota

unieszkodliwić ich. Teraz szczegóły...

Pokój był pusty. Na wielkim podwójnym łóżku leżała

rozbebeszona walizka i taca z resztkami śniadania, w ła-

zience poniewierały się przybory toaletowe i powiewała

fi ranka w otwartym oknie wychodzącym na podwórze.

58

Jarosław Grzędowicz

Holzman zsunął kapelusz na tył głowy i

wściekle żuł

zapałkę wetkniętą w kącik ust.

– Nu, git. To ja panom gratuluję.

Mordercy milczeli. Wydawało się  
nawet, że Babacki,

stojący bezradnie we fraku i ciągle  
trzymający na lewej

dłoni tacę z szampanem, a w prawej  
pistolet, wyraźnie

się zarumienił, co mogłoby być  
zabawne, gdyby nie oko-

liczności. Cabacki wciąż pilnował

korytarza, a Abacki

wyglądał przez okno w łazience.

– Wyborny plan, wyśmienity – szydził nadal detek-

tyw. – Możesz mi pan, panie Cabacki, wyjaśnić, do stu

kurveh, jak do tego doszło?

– Wyprowadzili się – powiedział wywołany.

– Przez okno w łazience? Objawienie mieli? Ten dzba-

nek jest jeszcze ciepły. Rzucili wszystko

i wyprowadzili

się na gwałt?

– Przestań się pan pieklić – odezwał się  
Abacki z ła-

zienki i spojrział na swój zegarek. – Oni  
to szykowali od

dawna. Ten bałagan tutaj to jest nie dla  
nas, ale dla ob-

sługi. Żeby wyglądało, jakby ktoś tu  
dalej mieszkał. Przez to okno nie da się  
wyjść z nienacka. Rozkręcili je, i to nie  
przed chwilą. Z tego, co tu zostało, nie  
znajdziesz pan

ani jednej potrzebnej rzeczy. Nawet  
proszku do zębów

zostało tyle co kot napłakał. Zmieniają  
meliny. Mieliśmy

pecha, to wszystko. Jakby skubańcom  
Cyganka przy-

szłość wywróżyła.

Holzman wypluł zapałkę.

– Pan Nemo będzie zachwycony.

– Trudno, dzwoń pan do niego.

\* \* \*

## Zegarmistrz i łowca motyli

59

Inżynier Meier siedział w wagonie restauracyjnym

i czekał. Pistolet wisiał mu ciężko pod pachą, w skórza-

nej kaburze pod marynarką. Przed Meierem leżał notes

i wieczne pióro, zegarek, obok stał kieliszek koniaku.

Nigdy by nie przypuszczał, że kwestia tego, czy nieja-

ki Stefan Fornalski zdąży na pociąg do  
Kielc, może tak

zszargać nerwy. Nieszczęsny Fornalski  
nie miał pojęcia,

że nad jego wyjazdem czuwa dzień i noc  
zespół pięciu

uzbrojonych ludzi oraz dwa samochody.  
Najprościej

byłoby porwać sukinsyna i odwieźć do  
tych Kielc. Pil-

nowali go, kiedy kupował bilety.  
Zabrakło miejscówek

w pierwszej klasie, ale zaraz znikąd



pojawił się przeciętny, modnie ubrany  
mężczyzna w szarym kapeluszu, który

akurat taki bilet miał, a nie mógł jechać,  
więc odsprzedał

go bardzo uprzejmie za pół ceny.

Listonosz zastukał ołówkiem w drzwi i  
zdążył powie-

dzieć tylko: „Panie Fornalski, telegr...”,  
kiedy w mroku

klatki schodowej świsnęła obszyta skórą  
mięka pałka

i nieprzytomny funkcjonariusz poczty  
państwowej został

odwleczony za róg korytarza.

Teraz nadszedł dzień wyjazdu, a Meier siedział w wa-

gonie restauracyjnym pospiesznego do Kielc, patrzył

w tarczę zegarka „Delbana” i czekał.

Do odjazdu zostało dziesięć minut. Z okien wagonu

widać było wejście na perony, kręciło się tam mnóstwo

ludzi, ale Fornalskiego ani śladu. Dama w wymyślnym

kapeluszu, z białym pudełkiem na rękę,  
bagażowy pcha-

jący wózek pełen skórzanych i  
płóciennych sakwojaży...

Tu nie było krótkofalówek ani telefonów  
komór-

kowych. Meier mógł tylko czekać i  
patrzeć na tarczę

szwajcarskiego zegarka. Cichutkie,  
pospieszne cykanie

60

Jarosław Grzędowicz

brzmiało tak, jak mógłby brzmieć łopot  
skrzydeł motyla,

gdyby w ogóle dało się go usłyszeć.

Lokomotywa zasyczała i wypuściła  
kłęby gęstej pary,

którą można by chyba pokroić.

– Zamach w Hercegowinieeee! – rozległo  
się zawodze-

nie gazeciarza. – Winkler grozi  
Polsceeee! Sędzia try-

bunalski zamordowanyyy! Komuniści  
chcą władzyyy!

Kupujcie Kurieeee...

Meier wzdrygnął się lekko i przygryzł cygaro. Po

moim trupie, pomyślał. Śmierć motylom.

Zawiadowca zagwizdał przeraźliwie i uniósł rękę.

Meier wstał, szarpnął w dół okno.

„Paczka dla pana

Fornalskiegooo!” – dobiegł go śpiewny chłopięcy okrzyk,

który utonął w zgiełku i gwiździe zawiadowcy. Lokomo-

tywa wydała z siebie przeraźliwy ryk.  
Meier wychylił

się przez okno, ale zobaczył tylko  
mrowiących się we

wszystkie strony podróżnych. Usłyszał  
ostre sapnięcie

pary, potem następne, pociąg szarpnął,  
martell w kielisz-

ku Meiera zakołysał się. Peron powoli  
zaczął odpływać

do tyłu, razem z gazeciarzami,  
podróżnymi, bufetami na

wózkach, wiadrami kwiaciarek i

policjantami. Pospieszny

czwarta dziesięć do Kielc wyruszał w podróż.

Pan Fornalski nie zdążył na pociąg.

Skład wyjeżdżał już ze stacji, kiedy otworzyły się wa-

hadłowe drzwi wagonu restauracyjnego, wpuszczając

Holzmana.

Detektyw był czerwony na twarzy, miał poluzowany

krawat i dyszał jak karp na brzegu.

– Zdą... zdążył... – wychrypiał. – Wody...

– Zdążył?! – zapytał gwałtownie Meier.

– Sukinsyn

zdążył na ten pociąg?!

Zegarmistrz i łowca motyli

61

Holzman wlewał w siebie wodę  
sodową, potakując

jednocześnie głową.

– Cabacki zginął... Straciliśmy  
samochód. Czekali...



na ulicy, za rogiem. Podjechaliśmy po niego z Abackim...

Tak jak się umawialiśmy: „Widzę, że pan z walizką, wiozę

brata na Główny...” i tak dalej. Wsiadł, jedziemy. Te mi-

glance czekały w samochodzie, w bocznej ulicy. Cabacki

pilnował i zajechał im drogę. Łupnął ich w przednie koło, zepchnął na latarnię. Zdążyłem zobaczyć, że ta damulka

wysiadła i z miejsca strzeliła mu w łeb. Babacki pilnował

w bramie, ale nie zdążył dobiec.

Wsiedli w nasz wóz i po-

jechali, ale nie zdążyli już. Wsiadł... w ostatniej chwili...

Nic nie zauważył. Słyszał strzał, to mu powiedziałem, że

był wypadek i opona strzeliła.

– Gdzie Abacki?

– Poszedł pilnować do przedziału. Tłok jest.

Meier odetchnął z ulgą, rozparł się na pluszowym

oparciu i napił koniaku. Nie trwało  
nawet sekundy, gdy

poderwał się nagle blady jak ściana.

– Chryste Panie, paczka...!

Przepychali się przez tłum w drugiej  
klasie, trwało

to wieczność. Przeszli przez  
walizki, których nie

umieszczono jeszcze w przedziale, przez  
tłum, który cią-

gle dreptał wzdłuż wagonu w  
poszukiwaniu miejsca.

W wagonie pierwszej klasy na korytarzu  
stał zbity

tłum osłupiałych i wstrząśniętych ludzi,  
zupełnie mil-

czących. Niektórzy wyglądali z  
przedziałów, ale komen-

towano tylko szeptem.

Pan Fornalski wpołużał na kanapie pod  
oknem, miał

twarz białą jak śnieg, wytrzeszczone,  
mętne oczy i palce

zaciśnięte niczym szpony. W kącikach  
rozwartych ust

Jarosław Grzędowicz

zebrała się gęsta żółta piana. Przed nim na stoliku leżało rozpakowane pudełko czekoladek „Sucharda”.

Abacki stał tuż przy drzwiach przedziału i patrzył

na swój zegarek.

– Cyjanek – oznajmił sucho. – Nie zdążyłem.

Holzman mruknął coś niewyraźnie w jidysz.

– Co?

– Zdaje się, że szlemiel jednak nie  
zdążył na ten

pociąg.

\* \* \*

Powinniśmy byli pilnować ich, a nie  
punktów kry-

tycznych. Wszyscy to wiedzieli, tylko  
jak to zrobić, kiedy dranie ciągle  
znikają. Chyba już o nas wiedzą. Wiedzą  
przynajmniej, że ktoś ich tropi.

Listę punktów węzłowych w moim

czasie i miejscu

wbiłem sobie do głowy. Mam ją w notesie, ale jest tego

za dużo. Nie wszystkie mają daty. Czasami to są ludzie.

W kilku przypadkach dotarliśmy na miejsce tylko po to,

żeby stwierdzić, że jest już za późno. Nie jestem pewien, czy lista jest kompletna. Nie rozumiem nawet, dlaczego akurat ten czas i to miejsce są takie istotne. Może to jakieś kolejne rozdroże czasu. Nafaszerowane węzłami krytycznymi niczym chałka rodzinami.

*(Brzęk szklanki).*

Holzman zapytał mnie, czy nie miałem w swoim

świecie nikogo bliskiego. Nie mógł zrozumieć. Jak mam

mu wyjaśnić, jak to jest być klonem? Pośmiertnym

Zegarmistrz i łowca motyli

63

dzieckiem? Wychowanym przez państwo produktem

tęsknoty kobiety zbyt starej, żeby być



matką? Klonem

martwego ojca? Nie, panie Holzman, nie mam nikogo.

Zupełnie. „Żadnej rodziny, panie Meier?” Rodziny w jego

rozumieniu już nie istnieją. Były przeżytkiem. Rodzina

to tymczasowy związek. Zmiana. Wszystko jest zmianą.

Nie zrozumiał.

A wszyscy bliscy, których mam, są po tej stronie. Ba-

ronowa Konstancja Stadnicka. Kobieta,  
jakich w moim

świecie dawno już nie ma. Jedyna, którą  
kochałem. Kie-

dykolwiek. Punkt krytyczny. Ostatni na  
liście.

To dlatego pilnuję punktów. Zwłaszcza  
tego.

*(Chrząknięcie. Chwila ciszy. Słyszeć  
skrzypienie skó-*

*rganego fotela).*

Boję się... Gdzieś tam pewnie następna  
grupa pra-

cuje nad wywołaniem rozbiorów. W  
kolejnym węźle

czasu, kiedy to mój kraj nie upadł,  
choć uważamy, że

powinien. Powinien runąć, powinien  
mieć przetrącony

kręgosłup. Co będzie, jeżeli tamtym się  
uda, nawet jeśli

powstrzymamy naszych?

Czy nagle pewnego dnia zobaczę  
Cytadelę tam,

gdzie teraz jest park Bohaterów 1860  
roku, czasu wy-

granej wojny z Rosją? Czy znienacka  
przez środek mia-

sta wyrosną renesansowe pałace?

Pojawią się Łazienki

i Wilanów?

Po prostu wstanę i stwierdzę, że moje  
miasto znikło?

Razem z Sejmem, nadrzecznymi  
bulwarami, wielkim

zamkiem królewskim, neogotyckimi  
kamienicami?

Czy zniknę razem z nim?

Jarosław Grzędowicz

Czekam i boję się...

Motyle nadciągają.

Wypisałem sobie punkty krytyczne w  
moim note-

sie. Skreślam te, które przegraliśmy.  
Jeden po drugim.

Zaznaczam te nieliczne, które  
obroniliśmy. Ale jednego

z nich nie oddam.

Nie oddam Konstancji.

\* \* \*

Dzwonek telefonu w środku nocy jest jak uderzenie

prądem. Meier porwał się do pozycji siedzącej, omal zrzu-

cając śpiącą w poprzek niego Hankę na podłogę. Przez

dłuższą chwilę nie wiedział, gdzie się znajduje.

– Zmiataj do siebie! – warknął na dziewczynę. – Ale

już!

Podniósł słuchawkę z widełek i  
odczekał, aż służąca

zwlecze się z łóżka i podrepce w głąb  
mieszkania, z gniewnym mamrotaniem  
tuląc do ciała zmiętą kołdrę.

– Głupio robię, rozpuści się... – mruknął  
Meier i przy-

łożył słuchawkę do ucha.

– Nemo – powiedział.

– Golem – usłyszał z drugiej strony. –  
Znaleźliśmy

ich, ale za późno. Lepiej pan przyjeźdź.

– Co jest?

– Na miejscu. Jakiś miszmasz. Coś się dzieje. Olbrach-

ta osiem. Willa. Zaparkuj pan kawałek dalej.

Zwłoki leżały na łóżku. Mężczyzna w kraciastej ma-

rynarce, z zawiązaną pod szyją aksamitką spoczywał

na wznak z rozrzuconymi na boki ramionami, a mar-



# Zegarmistrz i łowca motyli

65

twe oczy wpatrywały się w sufi t. Z  
rozchylonych ust

wystawał mu łańcuszek.

– Po co ten pokaz? – spytał sucho Meier.

– Chcecie

się pochwalić?

– Tak go i znaleźliśmy – rzucił ponuro  
Babacki. – Nie

nasza robota, panie Nemo.

– To kto go tak załatwił? Pozostali?

Holzman pokręcił głową. Oblekł dłoń w rękawiczkę,

po czym uchylił szczękę trupa i pociągnął za łańcuszek.

Na końcu zadyndał męski zegarek kieszonkowy.

– Orient, imitacja – powiedział Abacki i spojrzał na

swój zegarek. – Taniocha.

– To jest ostrzeżenie. Znak – oznajmił Holzman. –

Tylko dla kogo? Dla tamtych czy dla nas?

– Jak zginął? Brzytwa? Pistolet?

– Sztylet. Wąski, bardzo ostry, wbity równo w kręgo-

słup na plecach. Żadnej walki, żadnego gwałtu.

– My by się tak nie bawili. Na co ślady zostawiać?

Takie coś to się na postrach robi. Dla nas to ma być?

Własnego batiara ubili? Durni czy jak?

– Jeżeli to nawet jest wiadomość dla nas  
– powiedział

Meier – to ja jej nie rozumiem. Panie  
Golem, szukamy

dalej. Ja będę sam ochraniał cel numer  
dziewięć.

– Tam, w tym pałacu, jest jaki telefon?

– Jest.

\* \* \*

– Co się stało, najdroższy?

W sypialni pachniało różami. Słońce  
wpadało przez

wielkie weneckie okna wprost na  
Meiera, siedzącego na

66

Jarosław Grzędowicz

łóżku, którego nie dałoby się zmieścić w  
basenie. Miał

zwieszoną głowę, łokcie opierał ciężko  
o kolana, gdzieś

z dołu snuła się ku górze smużka dymu z  
papierosa.

Milczał. Baronowa wyciągnęła spod  
kołdry długą nogę

i trąciła go lekko.

– Hej! Jaśnie panie!

– Muszę wyjechać, Konstancjo.  
Natychmiast. Do

Wenecji.

Usiadła na łóżku.

– Doskonale! Jedźmy razem! Uwielbiam  
Wenecję!

Meier westchnął i pokręcił głową.

– Muszę jechać sam. Interesy.

– Kim jest ten człowiek, który

przedstawił się jako

Golem?

Meier pokręcił głową po raz kolejny, ale już nic nie

powiedział. Baronowa przytuliła się do jego pleców i po-

całowała go w kark.

– Dlaczego ja nic o tobie nie wiem?

Pojawiasz się zni-

kąd jak jaki upiór, a potem znowu znikasz. Boję się.

– Kiedyś ci opowiem. Kiedy wrócę.

Jadę właśnie po

to, żebyś już nie musiała się bać.

– Przecież mówiłeś, że chcesz mnie  
bronić.

– Okazało się, że ludzie, którzy mogliby  
ci zagrozić,

są właśnie w Wenecji. Póki są tam, tu  
jesteś bezpieczna.

A ja nie chcę, żeby wrócili.

Milczała, kiedy się ubierał.

Warszawa tamtego czasu była po prostu  
innym mia-



stem. Trochę obcym, a trochę znajomym.  
Meierowi się

podobała. Wolał neogotycką i secesyjną od  
baroku i socreali-

zmu, a zwłaszcza od  
postmodernistycznych wieżowców

Zegarmistrz i łowca motyli

67

z początku dwudziestego pierwszego  
wieku, które przy-

pominały niechlujnie poskładane klocki  
Lego.

Ale Wenecja dopiero robiła wrażenie.  
Kilkakrotnie

większa od tej w jego świecie, miała  
więcej wysp, więcej

kanałów, no i była protestancka. Plac  
Świętego Marka

tu nazywał się placem Epifanii, budynki  
były wyższe

i surowsze, jakby bardziej gotyckie, ale  
temperament

Południa brał górę i wśród  
ewangelickiej surowości nagle

wykwitały takie dziwadła, jak Dom

Taurosa, pod któ-

rym siedział. Wielka kamienica  
ozdobiona monstrualną

rzeźbą przedstawiającą kwadrygę  
zaprzężoną w rozsza-

łałe byki.

Przed nią pluskał Canale Maritimo,  
jedna z odnóg

Canale Grande, która w jego świetle nie  
istniała. Na wo-

dzie roiło się od motorówek, jachtów i  
gondoli, a po niebie sunęły sterowce i  
terkotał wodnosamolot.

Meier siedział przy stoliku i pił kawę.

Trząśł się ze złości.

– Jak to, jest tylko ksiądz?! Jak to możliwe?

– Na lotnisku byli oboje.

– Każ go pan zdjąć! Natychmiast!

– Już się tym zajęli, ale to nie takie łatwe. Poszedł

w miasto. Wszędzie tłum. Czeka pan w hotelu. Tu na

pewno nie ma tych pańskich punktów?

– Żadnego, o którym wiem. Na wakacje pojechał?

Nieważne! Dzwon pan do swoich ludzi w Polsce! Niech

natychmiast jadą do baronowej Stadnickiej i zabiorą ją

w bezpieczne miejsce. Niech powiedzą...

– ...że to pan ich przysyła. Już tak zrobiłem, jeszcze

jak pan byłeś w pociągu. Jak tylko się zorientowałem,

że tej kurweh tu nie ma. Ja nie rozumiem

co inne, panie

68

Jarosław Grzędowicz

Meier. Na co on furt chodzi w tej księżej kiece? Przecież nie jest klutz. Wie, że takiego dryblasa w sutannie widać z daleka. Mnie martwi, że on może chce, żebyśmy go

znaleźli?

– Coś tu jest nie tak, panie Rajmundzie. Straciliśmy

kontrolę nad sytuacją – powiedział Meier. – A wynaję-

liśmy podobno zawodowców...

– Ale nie takich, panie Meier. Oni umią wypuścić kis-

chkes jakiemuś schtarkerowi, ale to jak im się da spokój.

Płacisz pan, pokazujesz zdjęcie i pozwalasz robić, co chcą.

A my każemy im śledzić, tropić, przeszkadzać, ochraniać,

co raz chcemy co inne. Bez przerwy się wtrącamy. Oni

nie są tajni agenci, szefi e. Ale to, co robią teraz, jest dla nich haimish.

Znaleźli go i czekają na okazję. Pewnie sądzi, że ich zgubi w tych uliczkach, ale dla nich to jest lepiej. Łatwiej o miejsce, gdzie nie ma świadków. Wiem, że się rozdzielili i każdy czeka na okazję. On jest jeden, ich dwóch. Byle teraz nie przeszkadzać. Idź pan do hotelu.

On się nazywa Paganelli?

Meier skinął głową.

– A pan się nazywasz Wirski?

– Konstanty Wirski.



– Czekał pan. Ja idę na Piazza Arsenale i też będę

czekał. Dorwiemy go, tylko trzeba cierpliwości.

– Żebyś pan miał rację, panie Mońku.

– Szalom.

Siedział w barze i patrzył na kanał, pijąc kawę oraz

koniak. Nie wiedział, czy to zasługa weneckiego słońca,

czy stresu, ale świat wydawał mu się bardziej kolorowy

i piękniejszy niż zwykle. Ta Wenecja  
była czystsza niż

Zegarmistrz i łowca motyli

69

w jego świecie, ale to jej tylko dobrze  
zrobiło. Tury-

ści snuli się nabrzeżem, mimo że to  
jeszcze nie sezon,

i wszystko było jakieś takie  
uporządkowane. Rzymian

można było rozpoznać po jasnych  
spodniach i pana-

mach, noszonych ostentacyjnie złotych  
krzyżykach na

szyi i wyniosłej wzdardzie, z jaką się  
obnosili wszędzie

na zbuntowanej Północy. Anglicy nosili  
podróżne ubra-

nia khaki, Francuzi berety. Wszystko  
było na swoim

miejscu.

Chciałby móc śmiać się, robić zdjęcia  
za pomocą wiel-

kich, topornych aparatów i spacerować  
razem z nimi, ale

miął wrażenie, jakby oglądał ten świat przez szybę.

Czekał.

Co jakiś czas ukradkiem dotykał kolby pistoletu

pod marynarką. Chłód stali i ebonitu uspokajał go. Na

chwilę.

Patrzył na leżący na stole zegarek „Delbana” i ob-

serwował sekundnik. Za każdym razem, kiedy kelner

wychodził do ogródka, Meier podnosił  
głowę z nadzieją

i czekał na: „Signor Wirski!”, lecz nic  
się nie działo.

Na brzegu jego stolika przysiadł mały  
żółty motyl.

Meier plasnął go wściekle dłonią i  
napotkał osłupiały

wzrok jakiejś Niemki.

Słońce zaszło i nad obcą Wenecją nie z  
tego świata

wstała granatowa noc. Meier czekał  
dalej, czując, jakby

jego gardło zaciskało systematycznie skręcane imadło.

Wiedział już, że coś poszło źle. Jednak czekał dalej.

Poszedł na górę, kiedy już zamykali trattorię, do-

brze po północy. Szedł, obracając klucz w spoconych

palcach, czując uderzenia tętna aż gdzieś w uszach,

i nie wiedział, co robić dalej. Wracać do Polski, do

Jarosław Grzędowicz

Konstancji? Szukać swoich ludzi?  
Samemu próbować

zabić „wielebnego”?

Otworzył drzwi, wszedł i nie zdążył  
nawet zapalić

światła.

W ułamku sekundy, złożonym z  
miażdżącego ude-

rzenia, eksplozji ostrego bólu, snopa  
srebrnych iskier

i smrodu spalenizny, świat zgasł.

– Zawsze chciałem zobaczyć Wenecję –  
mówił szep-

tem głos z ciemności, w której  
przelewały się jakieś

kształty, niewyraźne niczym dym.

Meier jęknął i potrząsnął głową.  
Uczucie było takie,

jakby miał w niej pełno tłuczonego  
szkła.

– Poszedłem na plac Świętego Marka –  
ciągnął głos



płynący od zamazanej, falującej sylwetki. – Ale go nie

znalazłem. Chciałem obejrzeć Bazylikę Świętego Marka

i co? Nie ma! Do dupy z taką Wenecją. Pan uważa, że to

jest w porządku, co? Żeby Bazyliki nie było? Wenecja

bez świętego Marka? A gdzie wenecki lew? Symbolem

Wenecji jest lew, a nie księga. Lew wsparty na księdze,

symbol apostoła. No, ale oni nie wierzą

w świętych. Hu-

syci kopani! Panu się taka Wenecja  
podoba?

Meier jęknął po raz drugi i próbował  
wstać, lecz nie

mógł się poruszyć. Nawet nie czuł rąk.

– Jest pan przywiązany do krzesła –  
wyjaśnił siedzący

w mroku mężczyzna, który przestał już  
falować i przybrał

wyraźne kształty.

W pokoju było ciemno, tylko światła

miasta wpadały

zza okna, przedzierając się przez  
uchylone żaluzje. Wiatr Zegarmistrz i  
łowca motyli

71

znad laguny wzdymał fi rankę.

Mężczyzna był wysoki

i szczupły, miał bardzo regularne rysy  
twarzy, jak ma-

nekin, i niemal łysą głowę.

– Jest pan przywiązany fachowo,  
własnymi jedwab-

nymi krawatami. Sam pan wie, że to dobre krawaty, więc

nie ma sensu się szarpać. – Pochylił się na łóżku i spojrzał

Meierowi prosto w twarz. – Był pan analitykiem w Ca-

randache – powiedział. – Tak. Niebieski kombinezon

analityka. Raz się widzieliśmy w kantine dla pracowni-

ków drugiego poziomu, raz w windzie, a raz na parkingu.

Nigdy nie zapominam twarzy. Tak mnie

wyszkolono.

Miał pan identyfikikator, niech sobie przypomnę... Moha-

med... nie. Munir! Munir Kozłowski.  
Tam było niewielu

ludzi od nas. Cześć, Munir!

– Nazywam się Meier – wychrypiał  
Meier.

– Och, co za różnica, ale jednak  
nazywasz się Kozłow-

ski. Teraz po kolei: twoich ludzi już nie  
ma. Szczegóły? To byli amatorzy.  
Śledzili wysokiego mężczyznę w

sutannie.

Czasem to byłem ja, a czasem wysoki  
gondolier, który

za parę denarów zgodził się ponosić  
sutannę i pielgrzy-

mi kapelusz, żeby ułatwić życie  
pewnemu chutliwemu

księdzu. Zabili go, a ja zabiłem ich.  
Temu w cyklistów-

ce skręciłem kark i spuściłem do małego  
kanału. Ten

chudy karawaniarz sprawiał wrażenie  
niebezpiecznego,

więc stuknąłem go z dziesięciu metrów  
dwoma strzałami

w głowę. Tu są całe opuszczone,  
podtopione kwartały,

gdzie ludzie, kiedy słyszą coś  
podejrzanego, zamykają

okiennice. Ułożyłem go w czyjejs  
gondoli. Ubrany był

jak nieboszczyk, świetnie wyglądał. Jak  
w trumnie. Nie

ma co płakać, przecież oni tak naprawdę  
nigdy nie żyli.

To jest anomalia czasowa, Munir. Iluzja.

Gra.

72

Jarosław Grzędowicz

– Po co tu przyjechałeś? Tu nie ma punktów węzło-

wych. Nie w tej chwili.

– Po to, żebyś ty przyjechał. Byłem ciekaw, kto nas na-

mierza. Sądziłem, że to lokalsi. Poza tym chciałem, żebyś odsłonił mi punkt węzłowy, przy którym się kręciliście,

i posłałem tam Drzazgę... A, prawda, nie



poznaliście się.

Człowieku, przecież nie zerwiesz ani  
plecionych taśm

z naturalnego jedwabiu, ani skórzanego  
paska! Po co te

histerie? Jedno mnie nurtuje. Po co  
wsadziłeś Pigmejowi

w usta zegarek? Przecież to nas  
ostrzegło! Co to miało

być? Wizytówka? Ostrzeżenie? Zdaje ci  
się, że to jakiś

pieprzony komiks?

– To nie byłem ja... – Meier zrozumiał już, że nie zerwie więzów, i poczuł zmęczenie. Bezsilność i bezdenne zmęczenie. Chciał, żeby to się już skończyło.

– Kończ z tym.

– Już prawie skończyłem. Zostały nam dwa węzły i spadamy stąd. Ewakuacja. Powiedz mi jeszcze, mój robaczku, skąd znałeś lokację punktów węzłowych? To mnie naprawdę interesuje, więc chętnie przypalę ci in-

teres, jeżeli się nie dowiem.

Meier splunął. Nie dramatycznie, w stronę wroga,

tylko dlatego, że miał w ustach zgęstniałą ślinę i mnóstwo zakrzepłej krwi.

– Chętnie ci powiem. Wyruszyłem po was. Miałem

sprawdzić, czy węzły są rozcięte. Wszystkie lokacje zna-

łem na pamięć.

– A po cholere?

– Miałem sprawdzić, dlaczego nie wróciliście. Wie-

działem, że mi się uda. Musiałem jedynie cofnąć się

trochę wcześniej. To nie takie trudne przeprogramować

chronoklastor.

Zegarmistrz i łowca motyli

73

Mężczyzna skamieniał na chwilę, ale zaraz odzyskał

rezon.

– Fajna próba. Tylko wiesz co? Raczej nie sądzę, żeby

wysłali analityka.

Klepnął się dłońmi w kolana i wstał.

– Będę leciał. Chcę zdążyć na samolot. Jak mnie wku-

rzają te kopane sterowce! No, co tak patrzysz? Nie zabiję cię. Zostaniesz w swoim wymarzonym świecie.

Najchętniej spaliłbym cię żywcem, ale nie mogę sobie pozwolić

na przyjemności. Myślę, że skoro i tak znikniesz razem

z tym całym krzywym bajzłem, to byłoby to nieprofe-

sjonalne wystawianie operacji na zbędne ryzyko. Jestem

zawodowcem i chodzi mi o zadanie.

Meier patrzył na niego w osłupieniu i właściwie z roz-

czarowaniem.

– Nie wróćcie – powtórzył.

Mężczyzna podrapał się w głowę w zadumie.

– Ach, co tam! Jednak cię rozwalę.

Mogę to zrobić tak,

żeby nie przyciągać uwagi.

Podniósł z podłogi niewielkie pudełko,  
otworzył je.

– Uwierzyłybyś, że nie mają tu nic  
lepszego od troty-

lu? A jak trudno to dostać! Ja mam  
cholerny dynamit.

Popatrz na ten wyzwalacz. Napędzany  
sprężynowo, me-

chaniczny budzik. Nie do uwierzenia...

Nakręcił sprężynę i postawił ładunek na

łóżku. Roz-

legło się suche, mechaniczne tykanie.

– Motyle... – szepnął Meier. – Skrzydła motyla w We-

necji...

– Masz dwie godziny – oznajmił wielebny. – Kupa

czasu, kiedy się tylko patrzy na wskazówki. Nara,

ziomal.



Jarosław Grzędowicz

Dźwięk przypominał odgłos pękającego  
kryształowe-

go naczynia. Suchy trzask, jakby ktoś  
napełnił wrzątkiem

wazę. A zaraz potem paskudny mięsny  
chrzęst, niczym

dzielonej na stole rąbanki.

Wielebny spojrział na swoją pierś, z  
której wyrosło

nagle wąskie stalowe ostrze. Zrobił  
chwiejny, długi

krok w stronę okna i chwycił się  
kurczowo fi ranki,

wysoko, niemal pod sufi tem. Odwrócił  
się, nadal ści-

skając kurczowo muślin, a bąble krwi  
pękały mu na

ustach.

– Zabiłem cię przecież... – wychrypiał.

Abacki stał w miejscu, w którym przed  
sekundą ni-

kogo nie było, i wpatrywał się w swój  
zegarek.

– To tylko kwestia czasu – powiedział  
wyjaśniająco.

Wielebny runął na ziemię, ciągnąc  
zakrwawioną tka-

ninę i zrywając żabki jedna po drugiej.

Abacki zatrzasnął kopertę.

Pochylił się nad konającym i wyjął z  
kieszeni kolejny

zegarek – cebulę z dewizką oraz  
łańcuszkiem – po czym

wepchnął go wielebnemu do ust.

Wyprostował się, jed-

nym ruchem wyjął z ciała sztylet z zakrzywioną rączką,

który z trzaskiem schował w swoim parasolu.

– Nie trzeba było angażować nikogo innego – oznaj-

mił tonem przygany, patrząc na Meiera.

– Tamci zginęli

niepotrzebnie. Nie mieli szans. Na szczęście ich czas i tak był krótki.

Wyjął ponownie sztylet i zniknął za krzesłem. Meier

wytrzeszczył oczy i napiął wszystkie

mięśnie, wzdrygnął

się, słysząc chrzęst, po czym stwierdził,  
że ma wolne ręce.

Czuł lodowate, bolesne ciarki, palce  
miał jak z plasteliny, ale nie był już  
związany. Abacki stanął nad leżącą na

Zegarmistrz i łowca motyli

75

łóżku bombą i wyciągnął dłoń, jakby  
chciał pogłaskać

śpiącego kota. Tykanie ustało.

Meier odzyskał nagle życie i spróbował

zerwać się

z krzesła, ale okazało się, że nogi ma jak worki z piaskiem.

Padł na kolana, chwytając się wezgłowia.

– Tam jest jeszcze jedna! Panie Abacki, musimy...

– Ma takie błękitne oczy, jak porcelanowa lalka – po-

wiedział Abacki. – I taką samą białą, porcelanową skórę.

Ale patrzy tymi oczami w otchłań, a z jej ust wystaje

łańcuszek od mojego zegarka. Niech pan się nie martwi.

W tej linii czasu nie istnieje żaden powód, żeby baronowa Konstancja Stadnicka umarła tak młodo.

– Ale jak... Ale...

– Czas i przestrzeń to dwie strony tej samej karty,

panie Meier. Pan patrzy na czas jak na taśmę w tym pań-

skim magnetofonie, na którą nagrywa pan swój testa-

ment. Ja widzę go jak rzeźbę. Cały

równocześnie. Jego

kształt, zapach, ciężar. Jak rzeźbę.

– Kim pan jest?

– Och, nikim. To jest źle postawione pytanie. Ja nie

bardzo nawet jestem kimś. Ale chcę, żeby pan wiedział

jedno. Pan miał rację. Czas, z którego pan pochodzi,

jest błędem. Jest pełen błędów i dlatego musiał zostać

skasowany. To pan miał rację, a inni się



mylili. Historia pańskiego czasu potoczyła się źle i szła w coraz gorszym

kierunku. Przyszedł czas na korektę. I żadne punkty wę-

złowe nie mają tu nic do rzeczy. To niczego nie zmieni.

– A Winkler... Wojna...

– Pewne błędy, które wydarzyły się w innym czasie,

już się nie powtórzą. Ten czas jest prawidłowy. Winkler

odejdzie. Będzie może wojna, lecz normalna. Niewielka,

Jarosław Grzędowicz

krótka wojna, w której zostanie  
pokonany. Wszystko

wróci do właściwej linii. Niech pan się  
nie martwi.

Abacki sięgnął do kieszeni i wydobył  
kolejny zegarek.

Srebrną cebulę dyndającą na łańcuszku  
niczym wahadło,

odbijającą światło księżyca.

– Dlaczego...?

– Zegarki? Och, to taki znacznik.  
Chronię ten czas.

Nie mogę pozwolić, żeby znajdowały się tu elementy obce.

Oznaczam je zegarkami. Proszę mi wybaczyć, lecz pan też jest obcy.

Meier otworzył tylko usta, czując, jak przełyk napełnia mu się ołowiem.

– Nie mogę pana odesłać, zresztą to byłoby okrucień-

stwo. Pańskie miejsce jest obecnie poza czasem. Chyba

pan rozumie, że tak musi być?

– Panie Abacki...

– Proszę...! Nie znoszę tego. Ja nie mam imienia. Je-

stem tylko wysłannikiem.

– Mogę jeszcze spojrzeć przez okno?

– Oczywiście.

Meier podszedł do balkonu i oparł się o balustradę.

Księżyc rozlewał się tysiącem błysków  
na wodach Laguny

Weneckiej, zamieniając je w rtęć. Przez  
rozwieżdżone

niebo sunął majestatycznie wielki  
sterowiec.

Meier uśmiechnął się.

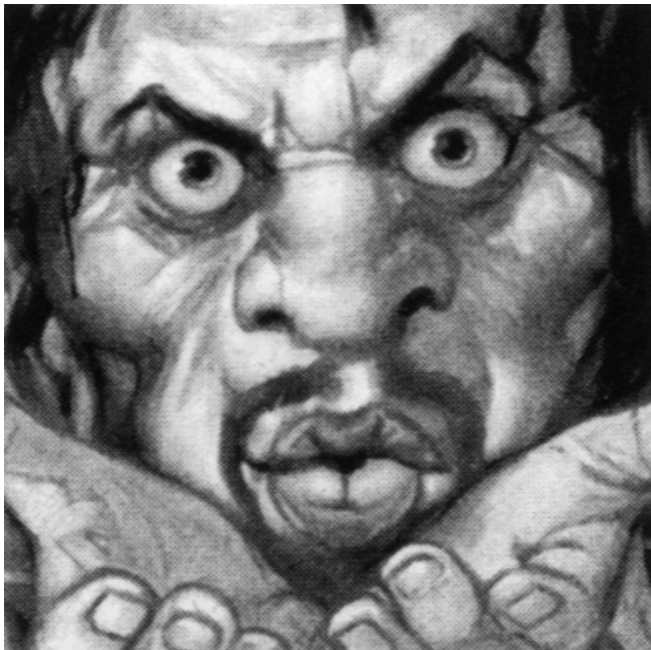
– Kto pana przysłał? Kim pan jest?

– Ja? Mówiłem panu. Nikim. Głowicą  
kasującą.

– Ale kto...?

– Zegarmistrz, panie Meier. Przecież pan

wie.



Nagroda

Nad Port-au-Prince stał upał.

Sztywny, tropikalny i roz-

palony. Lał się z lazurowego nie-

ba, wysuszał czerwony pył drogi,

jaśniał na białych glinianych ścia-

nach. Gdyby którykolwiek kolega

z pracy Jerzego mógł go teraz zo-

baczyć, przypuszczalnie padłby na  
zawał.

Jerzy siedział przy zbitym z krzywych  
bali stole, po-

pijając z przeciętej skorupy kokosa, a za  
jego plecami

przez tłum Jamajczyków i niskie  
kolonialne budynki

przeświecało nieprawdopodobne,  
turkusowe morze.

Życie jest takie niesprawiedliwe  
pomyślał Jerzy, z za-

chwytem patrząc na korony palm  
kołyszące się w lekkim

wietrze znad zatoki. Na długonogie,  
pachnące olejkiem

do opalania i gorące od słońca turystki,



na kolorowe jak

ptaki miejscowe kobiety niczym z  
obrazu zdegenerowa-

nego impresjonisty.

Był ostatnim człowiekiem, którego fi  
rma powinna

była nagrodzić dziesięciodniowym  
wyjazdem na Karaiby.

78

Jarosław Grzędowicz

Spodziewał się raczej, że go wyrzucą.  
Był doskonałym

fachowcem i nie znaleźliby tak łatwo  
lepszego admini-

stratora sieci. Komputery to magia.  
Kiedy Jerzy nad nimi

czuwał, firma nie wiedziała, co to  
awarie. Tylko że robił

swoje i koniec. Wykręcał się od  
wszystkiego, co w dzisiejszych czasach  
określa się jako „nowoczesna  
gospodarka

zasobami ludzkimi”. Nie wyjeżdżał na  
weekendy inte-

gracyjne, nie lubił treningów  
interpersonalnych, szkoleń, nadgodzin i

całego biurowego folkloru. Nie zgodził się

na „ścieżkę awansu”, którą mieli dla niego przygotowaną,

bo musiałby powierzyć swoje komputery komu innemu,

a sam zacząć zarządzać ludźmi. To wtedy zauważyli, że

jest niesforny. Że psuje zespół. Ludzie niewidzący nic

poza bizantyjskim światem korporacji nie powinni mieć

obok siebie niezależnego typka, który

robi swoje i myśli

swoje, po czym uchodzi mu to na sucho,  
bo też zaczną się

wykolejać. Dlatego Jerzy sądził, że w  
końcu go wyleją.

A zamiast tego wysłali na złote plaże,  
pod to ciemno-

kobaltowe niebo, żeby siedział sobie i  
sączył zimny napój ze skorupy kokosa,  
podczas gdy jego bardziej przystoso-  
wani, pokorniejsi koledzy tkwili wśród  
jesiennej mżawki

i popijali cienką kawkę z biurowego  
ekspresu, umierali

z nudy na zebraniach i walczyli z zacinającym się ksero-

grafem. To stanowczo nie było sprawiedliwe.

Podejrzewał, że tkwił w tym jakiś haczyk, bo cała

grupa, którą zarząd wysłał na Karaiby, składała się z ta-

kich samych egzemplarzy jak on. Joanna, dla której po

godzinie siedemnastej istniała tylko jej rodzina i dom, ale która była wirtuozem marketingu. Krzysiek, który bez

wahania sprzedałby wszystkie awanse  
świata za udział

w regatach, ale nikt nie potrafi łąby  
prowadzić logistyki

Nagroda

79

tak jak on. I jeszcze pięciu innych, dla  
których praca była jedynie pracą, a poza  
nią mieli jeszcze cały świat. Czarne  
owce. Zgniłe jabłka w korcu.

Oczywiście był jeszcze przekłęty  
krawaciarz Paweł,

który się nimi opiekował. Drwili za jego

plecami, że naj-

chętniej zwracałby się do nich „witaj,  
zasobie ludzki”, jak w komiksach  
Dilbert. Przez cały tydzień usiłował niby

prowadzić dla nich jakieś zajęcia, trwał  
coś o „pracy nad

procesem motywacyjnym”, ale rozłąziło  
się to w szwach,

odbywało bez przekonania, jakby i  
Pawła pokonało to

zniewalające karaibskie słońce, palmy i  
drewniane ma-

lowane łódki w rastafariańskich

barwach. Trening mo-

tywacyjny w rytmie reggae? Tak to nie pójdzie.

W samolocie obiecywał im, że wróca jako zupełnie

inni pracownicy. Nic takiego nie nastąpiło. Bczyli się na plaży, pławili w gorącym morzu i popijali ze szklaneczek

ozdobionych maleńkimi parasolkami. Wyglądało, że to

raczej Paweł wróci w sandałach, z dredami na głowie



i koszulce z liściem gandzi.

Wieczorem, po kolacji, Jerzy zrozumiał,  
że nie chce

wracać do kraju. Do brudnoszarego  
nieba, wiecznego

zimna i półmroku. Do recesji, kryzysu  
gospodarczego

i strajków górników. Mógłby uciec.  
Zostać tutaj i poszu-

kać jakiejś sieci komputerowej, która  
potrzebowałaby

administrowania.

Ostatni zachód słońca nad Morzem  
Karaibskim.

Ostatnie ognisko na plaży. Potem  
samolot i koniec. Ko-

niec z małymi parasoleczkami w  
szklankach, koniec

z rumem i reggae.

Waliły bębny, na dziedzińcu ich małego  
hotelu

skakał półnagi mężczyzna o torsie  
błyszczącym od

Jarosław Grzędowicz

potu i dzikich, przekrwionych oczach.  
Bokor. Ni to

kapłan, ni to sztukmistrz. Ostatnia  
atrakcja. Makum-

ba. Balanga w stylu voodoo. Płonęło  
ognisko, iskry

sypały się w ciężkie od gwiazd niebo.  
Tańczyli razem

z Jamajczykami, skacząc w rytm dzikiej  
afrykańskiej

muzyki, spoceni, równie dzicy jak oni.  
Joanna, dla któ-

rej istniała tylko rodzina, rzucała się  
pośrodku kręgu,

zdarła z siebie nagle sukienkę i miotała  
się w samym

kostiumie kąpielowym, grały bębny, pod  
rozwież-

dzone niebo wznosił się pół francuski,  
pół afrykański

zaśpiew kapłana.

– *Ellegua Legba! Papa Legba! Atibon  
Legba!* – zawodził

bokor. Pęki amuletów skakały na jego  
chudej piersi.

Szaleli. I tylko Paweł nie tańczył. Stał z boku w bia-

łej koszuli i krawacie i przyglądał im się z krzywym

uśmiechem.

Tańczyli w rzędzie, tak jak ustawił ich bokor. Przytup,

zaśpiew *Papa Legba! Atibon Legba!*, bębny. Joanna padła na ziemię, wijąc się na hotelowym trawniku w zmysłowych konwulsjach. Pożegnanie Karaibów.

Koniec. Wra-

camy do biura.

Dopiero kiedy bokor zatrzymywał się przed każ-

dym z nich i wpatrywał prosto w twarz tymi straszny-

mi, krwawymi oczami, Jerzy zaczął mieć złe przeczu-

cia. Szaman wyciągnął rękę i wykonał jakiś gest przed

Krzyśkiem, żeglarzem od logistyki. Krzysiek runął na

plecy sztywno jak decha i został na trawniku, wpatrując

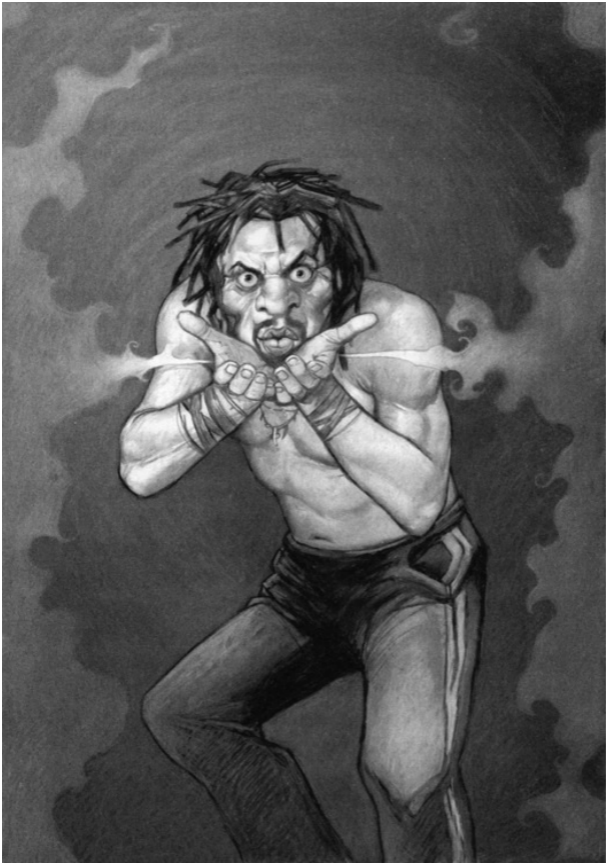
się w karaibskie niebo szeroko

rozwartymi oczami. Je-

rzy postanowił to przerwać. Wyjść z  
kręgu tańczących,

odejść od bębnow i nie słuchać tego  
straszego dzikiego

rytmu, ale było już za późno. Bokor  
stał przed Jerzym,





Jarosław Grzędowicz

wpił się w niego przekrwionymi  
oczyma, oddech śmier-

dział mu rumem. Uniósł dłoń i nagle  
dmuchnął Jerzemu

w twarz gorzkim białym proszkiem,  
drobnym jak mąka.

Ten natychmiast zrozumiał, że jest  
niedobrze. Płuca

zmiały się w beton, świat odjechał w  
mrok. Zdążył

tylko gasnącym spojrzeniem złowić  
krzywy uśmiech

stojącego z boku Pawła. Uśmiech pełen  
satysfakcji.

\* \* \*

W autobusie panowała cisza. Głucha,  
ciężka, grobo-

wa. W milczeniu wysiedli na rozpalony  
beton lotniska

i powędrowali po schodkach do  
samolotu. Stewardesa

patrzyła na dziwaczną grupę identycznie  
ubranych osob-

ników w garniturach. Kobiety miały  
garsonki i rajsto-

py, mężczyźni zapięte marynarki i  
starannie zawiązane

krawaty pomimo wściekłego upału.  
Tylko leżli trochę

niezgrabnie, potykając się i powłócząc  
nogami. Każdy

trzymał w prawym ręku bagaż  
podręczny, a w lewym

kartę pokładową. Nikt nie powiedział  
ani słowa. Martwe,

jak sparaliżowane twarze i straszny,

trupci uśmiech na

każdym obliczu.

Tylko jeden członek dziwacznej  
wycieczki zachowy-

wał się swobodnie. Uśmiechał się  
inaczej. Nonszalancko,

jakby z satysfakcją. Prowadził  
troskliwie swoich kolegów

za rękę, wskazywał im miejsca, a oni  
posłusznie siadali,

gdzie kazał. Milczeli. Stewardesa  
złapała koleżankę za

łokieć.

– Patrz, Madeleine, co za cudaki. Aż  
ciarki idą po

plecach.

Nagroda

83

– Pewnie zombie – zażartowała  
Madeleine. Za głośno.

Żwawy przewodnik wycieczki usłyszał.  
I odezwał się

znośną francuszczyzną:

– Myli się pani. To po prostu wzorowi pracownicy.

*Pamięci Kira Bułyczowa*



Buran wieje z tamtej strony

Gdyby ten człowiek wyszedł na

drogę dwie minuty wcześniej,

Korpałow przejechałby go i nawet tego nie zauważył. Szerokie gąsienice śniegołaza rozgniaty dziesiątki takich podłużnych zasp, a człowiek leżący na drodze, smagany śnieżnym tajfunem w kilkadziesiąt sekund zamieniłby się właś-

nie w zaspę.

Tymczasem omal nie przyprawił Korpałowa o za-



wał serca, bo pojawił się znienacka  
spomiędzy drzew

w świetle halogenowych reflektorów.  
Chudy, wysoki,

w łachmanach, wytoczył się prosto na  
pojazd i runął

na drogę. Wyglądał po prostu jak  
okręcony szmatami

żywy, rozpadający się szkielet.  
Wychowany na niemie-

ckich i włoskich filmach grozy  
Korpałow ku własnemu

zaskoczeniu wrzasnął z przerażenia na

całe gardło, ale

instykt kierowcy wziął górę i jego  
prawa, obuta w wielo-

warstwowy polarny but noga z własnej  
inicjatywy wbiła

w podłogę szeroki pedał hamulca. Obie  
gąsienice stanęły

86

Jarosław Grzędowicz

w miejscu i kabina wahała się z sykiem  
hydraulicznych

amortyzatorów, ale ratrak wciąż sunął

naprzód niczym

sanie. Korpałow, nadal bez udziału woli, wdusił sprzę-

gło i wrzucił wsteczną dwójkę, po czym nadepnął na

gaz. Turbina, dotąd mruczająca dyskretnie, zanosła się

wizgiem, mknące w tył traki gąsienic rzygnęły zmielo-

nym śniegiem w leżącą w poprzek drogi postać, pojazd

zarzucił lekko w lewo, lecz stanął. Prawą gąsienicą o metr od głowy

leżącego na śniegu faceta. W kabinie  
ciągle bez-trosko rozbrzmiewała  
syntezatorowa muzyka. Korpałow

puścił ściskany dotąd kurczowo wolant i  
oparł głowę na

zagłówkę fotela, usiłując opanować  
napływające falami

drżenie. Wyciągnął dygocącą dłoń i  
wyłączył kompakt.

– O Boże... – stęknął z doskonale znaną  
wszystkim

kierowcom ulgą tym-razem-się-udało-  
ale-było-cho-

lennie-blisko. Rozdygotany, skrzypiący  
histerią własny

głos rozlegający się we wnętrzu kabiny  
zabrzmiął jakoś

obco. Korpałow przełknął ślinę i wlepił  
wzrok w leżącą

na śniegu postać, która nie zdążyła  
jeszcze zniknąć pod

śniegiem. Upłynęło dopiero parę sekund.

Efekt pierwszego szoku minął, ale  
Korpałow nadal

bał się wyjść z kabiny. Przyszło mu do  
głowy, że to napad.

Taki zbieg okoliczności był zbyt niewiarygodny. Klasycz-

ny scenariusz. Przed samochodem na drodze leży ktoś

potrzebujący pomocy, kierowca wysiada, a wtedy kilku

rosłych Sybiraków uzbrojonych w wojskowe karabinki

otacza go; mieszkają od lat w sercu tajgi i są ludożerca-

mi, ten wielki, z brodą, wyglądający dobrodusznie, jest

ich ojcem, ale najgorszy jest najmłodszy

syn, straszliwie okaleczony mutacją,  
zasłania oszpeconą twarz maską

z ludzkiej skóry, podnosi piłę  
łańcuchową – dosyć!

Buran wieje z tamtej strony

87

Dookoła szalał buran, wściekłe  
podmuchy wiatru ko-

łysały kabiną i siekły pleksiglas okien  
falami lodowej kaszy. Pracujące na  
trzecim biegu wycieraczki wspomagane

dmuchawami nie nadążały ze zbieraniem  
śniegu z szyby,

na drodze zamarzał człowiek, a on siedział w ogrzewa-

nym wnętrzu i wymyślał jakieś bzdury.

Umieszczony na środku tablicy rozdzielczej elektro-

niczny termometr wahał się przy dziesiątych częściach

stopnia, ale co do reszty najwyraźniej nie miał wątpli-

wości. -38,6 stopnia Celsjusza.

Korpałow ujął poziomy

uchwyt umieszczony w zagłębieniu sufitu pod oknem



i kciukiem włączył halogenowy reflektor. Światło ugrzę-

zło w lodowatej mgle i zamieci, rysując smugę jak wiązka

lasera. Nie umiałby powiedzieć, czy którykolwiek z maja-

czących w mroku i wyjąłym śnieżnym huraganie kształ-

tów jest krzewem stłanika, wykręconym pniem cedru,

niedźwiedziem czy groźnym syberyjskim psychopata, ale

światło dodało mu pewności. Obrócił

szperacz, smagając

promieniem obydwu pobocza, i nie  
wypatrzył niczego.

Potem założył zewnętrzne buty –  
skomplikowane plasti-

kowe skorupy, zapinane na klamry  
niczym buty narciar-

skie, kurtkę, kominiarkę, flisową  
czapkę, maskę i gogle.

Na koniec wydobył pistolet,  
przeładował go i trzymając

niewygodnie dłonią w grubej rękawicy,  
prawą ręką od-

sunął drzwi.

Kiedy gramolił się na osłonę gąsienicy,  
przyszło mu

do głowy, że od zawietrznej nie dałby  
rady wysiąść. Prze-

rażliwy, wymieszany z lodowym pyłem  
huragan wcis-

nąłby go z powrotem do kabiny.

Zeskoczył z gąsienicy,

a niewiarygodny mróz ścisnął od razu  
jak parzące zim-

nem cęgi. Prawie ślepy, z zasypanymi  
śniegiem goglami,

Jarosław Grzędowicz

zataczając się pod ciosami wiatru,  
podpełzł do leżące-

go w śniegu człowieka. Tamten trwał  
tak, jak upadł, na

brzuchu, z podkurczoną nogą i obróconą  
w bok twarzą,

a drobny niczym mąka śnieg nie tajał na  
jego pokrytych

strupami wargach ani na powiekach.

Korpałow wcisnął pistolet do kieszeni,

chwycił męż-

czynę pod ramiona, zebrał się w sobie i  
niemal bez

żadnego wysiłku dźwignął go w górę.  
Zaskoczenie było

tak wielkie, że stracił równowagę,  
poślizgnął się i runął

na śnieg, trzymając tamtego w objęciach.  
Nieznajomy

niemal nic nie ważył, zupełnie jakby był  
manekinem

zrobionym ze starego ubrania i  
stearynowej maski, ale

był człowiekiem; pod kilkoma warstwami ubrania Kor-

pałow wyraźnie czuł ciało. Lekkie, składające się niemal

wyłącznie z kości, ale jednak. Dźwignął go jeszcze raz,

zupełnie bezwładnego, z wyciągniętymi do góry rękami

i wlokącego czubki butów po ziemi. Dopiero przy ratraku

obcy jakby się ocknął i niezbornie, mechanicznie poru-

szył miękkimi nogami, usiłując zrobić

choć kilka kroków.

Korpałow ucieszył się, bo zyskał  
przynajmniej pewność,

że nie wlecze po śniegu trupa.

Oparł męczyznę o gąsienicę, a  
właściwie położył

w poprzek na trakach i przytrzymując go  
w tej pozycji

za kołnierz kurtki, sam wgramolił się na  
górze. Odsunął

drzwi i klęcząc na siedzeniu kierowcy  
wciągnął niezna-

jomego do kabiny. Przez chwilę  
szamotał się bezradnie,

bo wciągnął go na siebie, a musiał  
przesunąć na fotel

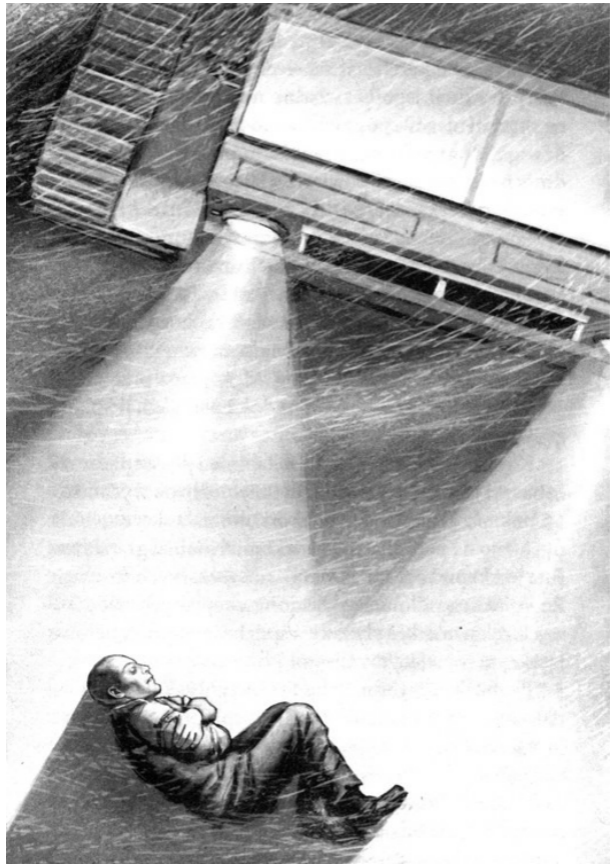
pasażera. Pomyślał, że powinien był  
wchodzić od na-

wietrznej, wtedy wiatr by mu pomagał, a  
poza tym od

razu umieściłby znajdę na właściwym  
miejscu. Abso-

lutnie nie chciało mu się wypychać  
nieznajomego z ka-





Jarosław Grzędowicz

biny, wlec dookoła całego pojazdu i  
zaczynać jeszcze raz

od drugiej strony. Pociągnął mocniej,  
rozległ się trzask

dartego materiału i obcy prawie  
przeleciał na siedze-

nie pasażera. Korpałow przerzucił jego  
bezwładne nogi

na właściwą stronę skrzyni biegów, po  
czym zatrzasnął

drzwi, przesunął dźwignię ogrzewania na maksimum

i dygocąc w podmuchach gorącego powietrza bijących

z klimatyzatora, ściągnął rękawice, gogle, maskę, komi-

niarkę i czapkę.

Dysząc ciężko, roztarł zaczerwienioną, wilgotną

twarz i oparł głowę o zagłówek. Tamten oddychał ciężko,

chrapliwie przez uchylone usta i trzął się tak strasznie, że Korpałow zaczął się

obawiać, iż chory ma drgawki.

Nie miał pojęcia, co robić. Mało na  
czym znał się tak

słabo jak akurat na medycynie.

Mężczyzna przewrócił

się na rozłożonym siedzeniu na bok i  
podciągnął kolana,

zwijając się w kłębek.

Korpałow zapalił światło w kabinie i po  
raz pierwszy

zobaczył obcego dokładnie. Był  
niemożliwie wychudzony,

pokryta grubą szczecina, woskowobiała  
skóra zwisała

mu luźno na policzkach, powieki miał  
niemal granatowe,

sine worki pod oczami, a wargi całe w  
czarnych strupach.

Również jego dłonie, wyłazące z  
rozprutych włóczko-

wych rękawiczek, były jakieś  
spuchnięte, sinofi oletowe

i pokryte ropiejącymi ranami.

Rozbitek? Przybysz z obcej planety? Na  
kolanach Kor-

pałowa poniewierały się białe strzępki.  
Ujął je w palce

i roztarł bezmyślnie pomiędzy  
opuszkami. Była to jakaś

włóknina – brudna i szarobiała, zbrylona  
w twarde gru-

zelki. Wata. Tandetna celulozowa wata.  
Facet wybrał

się na spacer po tym lodowym piekle  
ubrany w kurtkę

Buran wieje z tamtej strony

ocieploną półcentymetrową warstwą  
zwyczajnej, sfi l-

cowanej waty. Wariat? Ubranie rozbitka  
w ogóle było

dziwaczne. Uszyte koślawo i byle jak z  
podłego drelichu

o nieokreślonym brunatnym kolorze,  
nieprawdopodob-

nie brudne i zużyte, jakaś niewiarygodna  
czapka uszanka,

również pikowana i zapewne ocieplona  
tą absurdalną

watą, podarte wełniane rękawiczki. Ale

przede wszyst-

kim nieznajomy był ciężko chory, niemal zamarznięty,

być może konał z głodu lub wszystkich tych przyczyn

naraz. Potrzebował zespołu reanimacyjnego, helikop-

tera Syberyjskiej Służby Medycznej, szpitala, a potem

sanatorium, a nie ratraka z Korpałowem, specjalistą od

reklamowej grafiki jadącym na wakacje.



Zrobił to, co każdy obywatel jego kraju  
robił bez-

myślnie i odruchowo, ilekroć napotykał  
trudności, które

go przerastały – sięgnął po mikrofon  
uczepiony magne-

tycznym zatrzaskiem sufi tu kabiny i  
włączył radiostację.

Przeszukał kilkanaście kanałów, w tym  
alarmowy, i na

wszystkich dostał się pod ulewę białego  
szumu, zupełnie

jakby purga wymiotła fale radiowe i

zdmuchnęła satelity

z orbity. Był zdany tylko na siebie.

Za oknami śniegołaza szalała zamieć,  
wiatr kołysał

lekko kabiną, a pomoc nie nadchodziła.  
Korpałow wparł

potylicę w zagłówek i patrząc bezradnie  
na pogodne, pa-

stelowe wzorki podsufi tki, zapalił  
papierosa. O Boże, jęk-nął w duchu.  
Ładny początek wakacji. Jeszcze nie  
zdążył

zainstalować się w swojej samotni, a już

zyskał Piętasz-

ka – jakiegoś umierającego żebraka.

Pchnął dźwignię

zmiany biegów, pojazd ruszył prosto w  
zawieję i śnieżną

pustynię. Wiedział, że jeżeli nie zgubi w  
zamieci szosy,

jeżeli potem odnajdzie rzekę i też jej nie  
zgubi, jeżeli

92

Jarosław Grzędowicz

trafi na siódmym kilometrze jej brzegu

na stożkowate

wzgórze porośnięte tajgą, to odnajdzie także domek Go-

rypina. Wtedy rozbitek ma jakieś szanse. Jeżeli natomiast się zgubi – zginą obaj.

Trafił na daczę Gorypina, gdy był już zupełnie pewien,

że pomylił drogę. Miał sztabową mapę umocowaną na

konsolecie śniegołaza, wskazówki przyjaciela na dyskietce, elektroniczne przyrządy nawigacyjne, lecz dom na brzegu

Kołymki odnalazł cudem. Gdyby musiał  
przebyć tę drogę

psim zaprzęgiem, na saniach  
zaprzężonych w konie albo

na raketach śnieżnych – zginąłby.  
Dopiero gdy zobaczył

spadzisty dach pokryty płytkami  
fotoogniw, wirujący

wściekle jaskrawożółty rotor elektrowni  
wiatrowej, a po-

tem cały dom, pojął, jak idiotycznym  
ryzykiem była cała

ta wyprawa. Gorypin uważał go

prawdopodobnie albo

za zarozumiałego żółtodzioba, albo  
samobójcę.

Zatrzymał śniegołaz przed domem i  
zeskoczył z gą-

sienicy na gołą, wymiecioną lodowym  
huraganem ziemię.

Gdyby wiatr wiał z innej strony, trzeba  
by drzwi odko-

pywać łopataą spod śniegu.

Otworzył skomplikowany zamek i  
wszedł do środka.

Panowało tam ciężkie, zastarzałe zimno,  
jednak mniej

dotkliwie niż wściekły mróz na dworze,  
spotęgowany jesz-

cze wichurą. Zapalił lampę naftową,  
znalazł w jej świetle latarkę i wszedł do  
piwnicy, gdzie zgodnie ze wskazówka-  
mi Gorypina znajdował się piec  
centralnego ogrzewania,

pompy, zapasy opału oraz urządzenia  
sterujące wiatrową

siłownią. Rozbitka pozostawił  
chwilowo w pojeździe, na-

dal dygocącego na siedzeniu i

sprawiającego wrażenie, że

nie wie, co się wokół niego dzieje. Dla bezpieczeństwa

zabrał broń, podręczną torbę oraz kluczyki ze stacyjki.

Buran wieje z tamtej strony

93

Prawdopodobnie był to zbytek ostrożności. Nieznajomy

nie wyglądał na kogoś zdolnego uruchomić śniegołaz

i oddalić się w śnieżną burzę.



Najpierw przystąpił do skomplikowanej procedury

rozpalania pieca, posługując się notatkami i rysunkami

Gorypina, pełnymi żarcików i docinków, wydrukowa-

nymi starannie na firmowej drukarce mozaikowej. Piec

był wyrafinowanym urządzeniem, które ogrzewało olej

krążący w zamkniętym obiegu niczym chłodziwo reak-

tora, wspomagało podgrzewanie wody

w dwóch boje-

rach, a przy tym było dość proste w obsłudze, o ile już

się je rozpałiło. Przywołał na pomoc swoje zamierzchłe

skautowskie i turystyczne doświadczenia i z pomocą

boską, a także wiązki brzoźowych witek, paru kostek

rozpałki do rusztu, mazutu oraz wiadra brykietów węgla

drzewnego osiągnął sukces. Potem włączył prąd. Wy-

magalo to przerwucenia jednej  
monstrualnej dźwigni

oraz wduszenia kilku przycisków, więc  
nie było to znowu

take osiągnięcie. Uruchomił pompe,  
która wyciągnęła

z układu niezamarzający płyn, chroniący  
instalację przed

rozsadzeniem, i wypełniła ją wodą z  
głębinowej studni.

Zgodnie z instrukcją Gorypina gorąca  
woda powinna

być za jakieś czterdzieści minut.

Opuścił piwnicę niesłuchanie z siebie dumny. Oto

sam zrobił wodę, światło i ciepło.  
Wprawdzie za pomocą

urządzeń wartych fortunę, które  
uzyskałyby to samo

na Księżycu, a obsługiwać je mógłby  
pawian, ale jednak.

Z satysfakcją zapalił lampy w obitym  
boazerią salonie

i w eleganckiej, błyszczącej kuchni,  
która byłaby bardziej na miejscu w  
podmoskiewskiej willi niż w  
syberyjskiej

chacie, i zabrał się za przenoszenie ekwipunku.

94

Jarosław Grzędowicz

Rozbitek nadal dygotał i jęczał podczas przepró-

wadzania do salonu, po czym zwinął się w kłębek na

dywanie, ignorując zupełnie obite skórą fotele i kanapę.

W chacie wciąż było zimno, więc Korpałow zabrał się za

rozpalanie ognia w monumentalnym  
kominku wymu-

rowanym z surowych, ciosanych  
kamieni. Nieznajomy

przyglądał się temu z jakąś  
zachłannością w ogromnych

niebieskich oczach. Patrzył tak  
uporczywie, że Korpa-

łow zaczął odczuwać tremę, układając  
na palenisku ła-

twopalną pryzmę z cienkich gałązek  
karłowatej brzozy

oraz równiutko przyciętych polan

stłanika i świerku.

Pod spód narzucił pokruszone kostki  
paliwa i przypalił

długą zapalką. Obcy przysunął się bliżej  
ognia i chłonał

wzrokiem trzeszczący pożar, chciwie  
pożerający ułożony

przez Korpałowa szafas.

– Szkoda opału, towarzyszu naczelniku –  
odezwał się

zniecka niskim, schrypniętym głosem.

Korpałow podskoczył z wrażenia. Jakoś

przywzy-

czaił się do milczenia rozbitka i nabrał  
wręcz przeko-

nanie, że jest niemową. W pierwszej  
chwili nawet nie

zrozumiał, co tamten mówi, tym bardziej  
że wymawiał

słowa nienormalnie miękko i z dziwnym  
akcentem. Jed-

nak niewątpliwie był to rosyjski. Nadal  
dygocąc, obcy

przysunął się jeszcze bliżej paleniska,  
wyciągając trzę-



sące się, pokaleczone i fi oletowe od  
mrozu dłonie ku

płomieniom. Nagle cofnął ręce i  
spojrzał na Korpałowa

z obawą.

– Można się pogrzać, towarzyszu  
naczelniku? – spytał

jakoś przymilnie. – Tylko trochę, zanim  
mnie zabiorą.

Korpałow poczuł się nieswojo.

Przybysz brał go naj-

wyrażniej za kogoś innego.

– Nie jestem żadnym naczelnikiem –  
powiedział nie-

pewnie. – I tak szybko pana nie zabiorą.  
Na razie, dopóki jest burza, nie ma  
łączości... Ja wiem, że pan potrzebuje  
do szpitala, ale... Wezwę kogoś, gdy  
tylko powróci łącz-ność... Na razie sam  
spróbuję panu pomóc...

Chory przeraził się.

– Ależ co wy, jeżeli się dowiedzą, że ja  
tu siedzę, to

was zabiorą razem ze mną, przecież za to czapa... Ja zaraz pójdę, tylko się ogrzeję, gdybyście mogli... trochę chleba na drogę, Bóg was wynagrodzi... A ja nie powiem. Nikomu.

Korpałow znieruchomiał w kucki przy palenisku

z polanem w rękę. Boże, ten facet bredzi. Najwyraźniej

był w szoku albo może ma gorączkę – oczy takie błysz-

czące. Zaraz tu wykituje...! Odzyskał głos i z oburzeniem zamachał bierwionem.

– Ależ nigdzie pan nie pójdzie! Jest pan  
przemarznięty,

na pewno odmrożenia... Tam purga...  
Pan jest chory...

Temperatura... Lekarz... – bełkotał,  
usiłując w jednym

zdaniu wyrazić bezmiar swojego  
protestu. – Tutaj we-

zwiemy lekarza, helikopter, jak tylko  
wróci łączność. Na

razie ma pan tu ciepło, żywność,  
przecież pan jest wy-

cieńczony... Musi pan wypoczywać, ja

zaraz...

Przerwał i wytarł o spodnie usmoloną dłoń.

– Nazywam się Andriej. Andriej Stiepanowicz.

Rozbitek skamieniał, patrząc na Korpałowa szeroko

otwartymi oczami. Poruszył lekko wargami. Brakowało

mu kilku zębów.

– Dlaczego „pan”? – zapytał bezradnie. Zapanowało

kłopotliwe milczenie. Korpałow cofnął  
dłoń.

Klasnął w ręce.

96

Jarosław Grzędowicz

– Kąpiel! – zawołał z nieco wysiłonym  
entuzjazmem. –

Gorąca woda! Musi się pan wygrzać,  
zmienić te łachy,

a potem koniecznie coś zjeść.

Poszedł do łazienki sprawdzić wodę,  
kręcąc z nie-

dowierzaniem głową. Wariat? Dobry  
Boże – uwięziony

z szaleńcem podczas burzy śnieżnej.  
Terma Gorypina

była dobra, ale potrzebowała czasu – w  
tej chwili tempe-

ratura wody z wysiłkiem osiągnęła  
czternaście stopni. Do

niczego. Potrzebował prawie wrzątku,  
żeby przygotować

gorącą kąpiel. Dotknął płaskiego  
grzejnika umocowa-

nego pod oknem – był już ciepły, lecz w

pomieszczeniu

temperatura oscylowała w okolicach zera. Może takiego

niemal zamarznętego pacjenta należało odmrażać stop-

niowo? Może gorąca kąpiel go zabije? Nie miał pojęcia.

A jeżeli umrze? Na dodatek najwyraźniej jest zagłodo-

ny – nie można go tak po prostu nakarmić, bo dostanie

kataru żołądka – ciekawe, co to takiego „katar żołądka”?



Sraczka? A może jakaś mordercza  
niestrawność?

Wrócił do piwnicy i naładował  
palenisko do pełna

dziwacznymi, lekkimi brykietami, które  
były tam zgro-

madzone – prasowany torf czy coś...

Piec huczał, wskaź-

niki wędrowały po skalach, a według  
wskazań minielek-

trowni akumulatory były pełne – w tej  
chwili prądnice

zasilaly bezpośrednio sieć. Na dworze

szalał niemal śnieżny huragan i turbina zasuwiała aż miło.

Przypomniał sobie, że musi przenieść do środka ba-

gaze; aż go zatrzęsło na myśl o wychodzeniu z powrotem

w to zamrażnięte piekło, ale nie było rady. Pozapinał

kurtkę, naciągnął na twarz kominiarkę i wyszedł.

Przeniósł bagaże do salonu i zabrało mu to prawie

dwadzieścia minut. Rozbitek trząsł się w

tym czasie na

Buran wieje z tamtej strony

97

dywanie, wpatrując się w huczący na  
kominku ogień,

i rozgrzewał dłonie, wciskając je pod  
pachę. Wydawał

się całkowicie pochłonięty swoim  
cierpieniem, jednak

kiedy Korpałow wziął się za pudła z  
żywnością i zaczął

przenosić je do kuchni, uniósł się lekko

na łokciu i nie

przerywając nerwowego rozgrzewania  
dłoni, wlepił

wzrok w stosy paczek mrożonych i liofi-  
lizowanych wa-

rzyw, piramidy puszek i pudełek, a jego  
oczy rozjaśniły

się niemal mistyczną ekstazą.

Po upływie jakiejś półgodziny w chacie  
zrobiło się

prawie ciepło, a temperatura wody w  
bojlerach podniosła

się do osiemdziesięciu stopni.

Korpałow wypełnił wannę

gorącą wodą i wydobył z łazienkowej szafki czysty gruby

ręcznik oraz frotowy szlafrok.

– Kąpiel – oświadczył surowym, nieznoszącym sprze-

ciwu tonem. – Proszę się zupełnie rozebrać i zostawić

mi te łachy. Znajdę panu jakieś ubranie. Żel do kąpieli

wisi na ścianie obok wanny. Znajdzie pan też ręcznik

i płaszcz kąpielowy.

Obcy spojrział na niego bezradnie.

– Moje ubranie...? – zapytał żałośnie.

– Proszę się nie wygłupiać – ofuknął go Korpałow. –

Przecież to się do niczego nie nadaje. To są rozpadające

się łachmany. Nie pozwolę panu w tym chodzić. – Widząc

niemy przeczący ruch głowy tamtego, pełen jakiegoś bez-

silnego, dzieciennego protestu, podniósł

trochę głos i zaczął

mówić jak do dziecka. Stanowczo i zrozumiale: – Dam

panu inne ubranie. Lepsze. Znacznie cieplejsze. Zostanie

pan w domu i tu będzie ciepło. Proszę wziąć kąpiel.

– Słucham – powiedział pokornie rozbitek, a potem

czepiając się belkowanej ściany, podreptał do łazienki.

Jarosław Grzędowicz

W rosnącej temperaturze pomieszczenia pojawiły

się zapachy i okazało się, że rozbitek straszliwie cuchnie.

Nawarstwionym, zastarzałym brudem i ostro, jakimiś

chemicznymi odczynnikami. To było jeszcze nic w po-

równaniu z tym, jak śmierdziała leżąca na posadzce w ko-

rytarzu kupa szmat, którą jeszcze przed chwilą miał na



sobie. Przewyciężając obrzydzenie,  
Korpałow wepchnął

odzież do pustego kartonu po  
mrożonkach i zaniósł do

piwnicy. Kiedy wrócił na górę i zajrzał  
do łazienki, zastał

obcego stojącego na dywaniku obok  
wanny i z nieod-

gadnionym, natchnionym wzrokiem  
kontemplującego

ścienne kafelki, szafk i, lustro,  
umywalkę. Postąpił krok naprzód i z  
obawą zajrzał do wnętrza kabiny  
prysznicowej. Korpałow nigdy nie

przypuszczał, że można być tak

straszliwie, śmiertelnie wychudzonym –  
i żyć. W ostrym

świetle widać było wyraźnie, że twarz  
rozbitka, a zwłasz-

cza nos pokrywały lśniąco białe, niczym  
ulepione ze

stearyny plamy. Odmrożenia.

– Dlaczego pan się nie kąpie? – surowo  
zapytał Korpa-

łow. – Trzeba się rozgrzać. Jest pan  
prawie zamarznięty.

– To wszystko takie czyste... Pobrudzę.  
Może jakaś

beczka...

– Jaka znowu beczka! – wrzasnął  
desperacko Korpa-

łow. – Włóż, człowieku, do wanny.  
Zaraz mi tu wykitu-

jesz! Siedź tam, aż ci się zrobi ciepło!  
Gdy woda wystygnie, dolej gorącej.

Nieznajomy posłusznie włożył do wanny  
najpierw

jedną, potem drugą patykowato chudą  
nogę i usiadł

ostrożnie. Wytrzeszczył oczy, a z jego ust  
wydobył się

skowyt.

– Co się stało?! – skoczył Korpałow. –  
Co panu jest?

Buran wieje z tamtej strony

99

Rozbitek jęknął głucho i potrząsnął  
głową.

– To nic... – wyrzęził z trudem. – To  
prawidłowo...

Krażenie wraca... Nic... Najważniejsze,

że jest... czucie.

Och... Boże ty mój...

Zacisnął kurczowo powieki i oparł kark  
o ocemb-

rowanie wanny. Na zapadniętych  
skroniach i czaszce

wystąpiły mu żyły, wyraźnie widoczne  
pod krótką, siwą

szczeciną włosów. Wyszczерzył zęby z  
wysiłku poskra-

miania bólu i gdyby nie głośny, urywany  
oddech, wyglą-

dałby jak trup. Niezbyt świeży trup,  
nawiasem mówiąc.

Korpałow wrócił do piwnicy. Dobytek  
nieszczęśnika

fascynował go w jakiś sposób,  
zwłaszcza że był to jedyny

ślad, który pozwoliłby zidentyfikować  
jego pochodze-

nie. Zapalił mocny halogenowy refl  
ektorek nad stołem

w warsztacie i rozłożył zawartość  
kartonu. Na twardym

laminatowym blacie znalazł się komplet

dziwacznej bie-

lizny, uszytej niechlujnie z jakiegoś  
cienkiego płótna; ka-lesony i  
podkoszulek z długimi rękawami, z  
niebywale

archaicznym kołnierzykiem, zapinanym z  
boku na dwa

absurdalne guziczki. Kalesony ściągano  
w pasie zwyczaj-

ną tasiemką. Wszystko to było  
niebywale brudne i znisz-

czone, o nieokreślonej burej barwie  
szmaty do podłogi.

Na dodatek nie miało sensu.

Przypominało niechlujnie

wykonaną atrapę. Zupełnie jakby  
rozbitek udawał, że wy-

posażył się na podróż w Daleką Północ,  
ale tylko tak, żeby wystarczyło na  
bardzo pobieżną kontrolę. Ciepła  
bielizna?

Proszę bardzo – mam ciepłą bieliznę.  
Może nie?

Jednocześnie nie przypominało stroju,  
który wyko-

nałby jakiś syberyjski Robinson Crusoe.  
Taki użyłby sen-



sowniejszych materiałów – futer, może  
wełny, nie produ-

kowałby kretyńskiej  
dziewiętnastowiecznej bielizny, za

100

Jarosław Grzędowicz

gorącej na lato, a niezapewniającej  
żadnego ciepła zimą.

Do tego durny, podarty sweter z akrylu,  
równie brudny

jak pozostałe rzeczy, „ocieplane” taką  
samą gruzłowatą

i sprasowaną watą jak ta, która wyleciała z kurtki, kaftan i spodnie wykonane prawdopodobnie przez szympansa.

Czapka uszanka z takiego samego przetartego grana-

towobrunatnego drelichu, słynna kurtka bez warstwy

wchłaniającej, warstwy ocieplającej, bez warstwy tkani-

ny półprzepuszczalnej, bez kaptura z ociepleniem, bez

czegokolwiek, co w ogóle kwalifikowałoby ten wyrób

jako artykuł odzieżowy przeznaczony na  
Daleką Pół-

noc, za to z naszywką zawierającą  
abstrakcyjny szereg

liter i cyfr wymalowanych koślawo na  
prostokątnym

kawałku szmatki.

Najbardziej zaś idiotyczne okazały się  
buty – wykona-

ne domowym chyba przemysłem, ale za  
to nie na przykład

ze skóry renifera, a uszyte z wielu  
warstw takiej watowanej tkaniny,

wetkniętej chytrze do wnętrza  
rozpadającego się

rybackiego kalosza. Kalosza ostatniego  
sortu, niezgrab-

nego, brzydkiego, lecz będącego  
najwyraźniej produktem

przemysłowym. Owocem przemysłu  
obłąkanego, wytwa-

rzającego przedmioty bezsensowne,  
nierokujące nadziei

na korzystną sprzedaż – ale przemysłu.  
To było w tym

wszystkim najbardziej absurdalne i

zagadkowe.

Chory mógł być szaleńcem, który zgubił się w tajdze –

to tłumaczyło i jego stan, i bezsensowne wypowiedzi. Ale

skąd wytrzasnął te wszystkie dziwaczne przedmioty? Kto

wyprodukował tę toporną łyżkę, poczerniałą i najwyraź-

niej trującą – aluminiową. Kto męczyłby się tylko po to,

by stworzyć kaleki kubek, w chwili narodzin kwalifi kujący się od razu na

śmietnik? Kto i dlaczego ozdobił  
rozkład-Buran wieje z tamtej strony

101

ciane pudełko zapalek rozmazanym  
napisem „zapałki”,

skoro gołym okiem widać, że nie umie i  
nigdy się nie na-

uczy drukować? Skąd rozbitek  
wytrzasnął dwa dziwaczne

papierosy długości najwyżej dwóch  
centymetrów, za to

nienormalnie grube i zakończone długą  
na palec tektu-

rową tutką? Nie były to skręty z marihuaną – wykonano

je taśmowo, obcą techniką, kładącą skleić półprzezroczystą,

przypominającą raczej pergamin bibułkę karbowaną linią

niczym zgrzew na plastyku. Powąchał je. Papierosy nie

pachniały haszyszem ani tytoniem – przez bibułkę prze-

świtywały jakieś paździerze. Na papierosach widniał napis

„Kazań 5”. Czy wyprodukowano je w

Kazaniu? Nonsens.

Drobne przedmioty znajdowały się w torbie wyko-

nanej już chałupniczo z burej szmaty zszytej koślawo

dratwą. Oprócz łyżki, kubka, zapalek i papierosów znaj-

dowały się tam: paczka przewiązanych sznurkiem listów

pisanych odręcznie cyrylicą – tusz zdążył wyblaknąć

i rozmazać się; woreczek, który w poprzednim życiu był



podszewką kieszeni, wypełniony w dwóch trzecich kru-

szoną z suszonych liści oraz drobnymi kwadratowymi

karteczkami z grubego, kosmatego papieru.

Korpałow zaklasyfi kował to wszystko jako przed-

mioty osobiste i odłożył na bok, podobnie jak odpru-

tą od kurtki naszywkę. Znalazł w pudle jeszcze szalik

rozbitka – płachtę burej, miękkiej

włókniny, wykonanej

maszynowo z drobnych włóczek i  
resztek rozmaitych

przędz i pakuł. Różnokolorowe kłębki  
sprasowane ra-

zem w szarofioletową tkaninę,  
prześniewaną raz koło

razu mocną nicią i obdzierganą dookoła  
maszynowym

ściegiem – przemysłowa jednorazowa  
szmata do podłogi.

Kto i dlaczego włókł to na tę pustynię  
zamiast szalika.

Jarosław Grzędowicz

Oszczędność? Ile, na Boga, może  
kosztować wełniany

szaliczek? Pięćdziesiąt kopiejek? Na  
szmacie roiły się jakieś maleńkie  
płaskie robaczki. Zauważył je dopiero  
te-

raz, a były wszędzie. Poutykane rzędami  
w zagłębieniach

szwów, w fałdach materiału, łąziły po  
stole. Wszy. Albo

pluskwy. Wstrząsany obrzydzeniem

Korpałow cisnął

szmatę do pudła, zgarnął tam resztę  
ubrań i porwawszy

z półki butelkę rozpuszczalnika, połał  
obfi cie.

Wytarł rozpuszczalnikiem stół, po czym  
otworzył

pokaźne drzwiczki pieca i pomagając  
sobie łopata, we-

pchnął karton na palenisko.

Ledwo uskoczył. W panice potarł twarz  
rękoma, ale

stwierdził, że wykpił się lekko  
przypalonymi brwiami.

Karton z zapluskwioną odzieżą płonął z  
hukiem w piecu.

Ohyda.

Przejrzał schowek pod schodami i z  
łatwością skom-

pletował swojemu gościowi garderobę.  
Większość właści-

cieli domków letniskowych traktuje je  
jak przechowalnię

starej odzieży, którą ratuje się od  
utyliczacji pod pretekstem użycia jej jako

strojów roboczych. Gorypin wcale nie był wyjątkiem. Nazbierał sporo starych bawełnianych

spodni, dresów, jakichś reklamowych bluz i kurtek, za-

służonych swetrów, spędzających emeryturę na półkach,

czy niemodnych już strojów narciarskich.

W sypialni pana domu znalazł też nieco starej, wy-

pranej bielizny oraz niewielką kolekcję zupełnie-jeszcze

-przyzwoitych butów.

Wybierał jak najmniejsze rozmiary –  
rozbiitek był

nie tylko chudy, ale i niski, lecz to nie  
okazało się specjalnym problemem. W  
za dużych rzeczach można od

biedy chodzić.

Buran wieje z tamtej strony

103

Wrócił do salonu, dorzucił dREW do  
kominka i stwier-

dził, że zrobiło mu się gorąco –

pomieszczenie powoli

zaczęło nadawać się do życia. Zdjął  
swoją polarną przy-

odziewek i w samych tylko portkach i  
jednej zaledwie

polarowej bluzie z rozkoszą wyciągnął  
się na fotelu ze

szklanką szkockiej whisky oraz świeżo  
otwartą paczką

„playersów”. Za oknami szalała zamieć,  
atakując pory-

wistym wiatrem zasunięte okiennice, a tu  
z trzaskiem



płonęły polana, sypiąc rojami iskier,  
robiło się ciepło

i przytulnie. Pożałował, że jednak nie  
wziął żadnej dziewczyny. Do czorta z  
Wierą i jej fochami. Miał zamiar w tej  
chacie zaleczyć rany i pozbierać swoje  
zrujnowane nie-udany związek  
życie, więc dlaczego nie miałby się

leczyć towarzystwem jakiejś  
młodziutkiej modelki? Trze-

ba było, zamiast opłakiwać Wierę i jej  
nowe pomysły na

życie, zatroszczyć się o jakąś pannę.  
Tyle tylko, że ani

chciał, ani umiał. Wolał pobyć sam. A  
teraz wylądował

w zapadłym kącie Syberii z jakimś  
podejrzany

kiem. To dopiero towarzystwo.  
Pstryknął wyłącznikiem

radiostacji, ale niepotrzebnie – nadal nie  
było łączności, a sygnał zanikał.

Rozbitek wciąż nie wychodził z łazienki,  
lecz żył – co

jakiś czas dawał się słyszeć szum wody  
płynącej z kranu

i bulgot kanalizacji, gdy nadmiar

wydobywał się przez

otwór przelewowy.

Korpałow wysączył whisky, półleżąc w fotelu, patrząc

na ogień i słuchając wichury. Sielanka. Właśnie tego mu

było trzeba. Poleżał jeszcze trochę, aż drwa wypaliły się i jaśniały złotoczerwonym żarem, a on poczuł narastają-

cą w ciepłe senność. Westchnął ciężko – gdyby był sam,

po prostu wrzuciłby na palenisko kilka

grubszych bier-

104

Jarosław Grzędowicz

wion, przeniósł się na kanapę i okrył  
kosmatym kocem.

A potem spałby do syta, ukołysany  
chichotem purgi, no

bo co miał tutaj do roboty? A, prawda –  
musiał tylko

zatroszczyć się o umierającego rozbitka.  
Boże, jak się

odżywia kogoś zagłodzonego? Może

jakiś lekarz by wie-

dział... Telewizja? Jakaś klęska głodu w Afryce? Może

któreś książki? W dzieciństwie czytał coś przygodowe-

go, o żeglarzach, którym cisza uniemożliwiła dobiec do

brzegu. Czym ich potem karmiono? Pamiętał tylko, że

marzyli o sznyclach, a uraczono ich jakimś „dziecięcym”

żarciem. Co to mogło być? Mleko? Kleik? Miał mleko –

skondensowane i w proszku. Mannę też miał, od biedy

kleik mógłby ugotować. No, bo jeżeli da rozbitkowi coś

nieprawidłowego i ten się rozchoruje, to czy nie będzie

potem mógł zaskarżyć Korpałowa? Nie – przecież nie

jest lekarzem, co za nonsens!

Wstał i poszedł do kuchni gotować kleik.

Rozbitek wyszedł z łazienki parujący, zaczerwieniony,

ubrany w zbyt obszerne spodnie od  
dresu, bawełnianą,

ogromną bluzę z napisem sławiącym  
jakieś polskie piwo

oraz wielkie, treningowe buty zapinane  
na rzepy. Umył

włosy, a raczej tę krótką szczecinę, którą  
fryzjer psycho-pata pozostawił mu na  
głowie. Pomimo wrzodów, upior-

nego wygłodzenia i woskowych plam  
odmrożeniowych

wyglądał znacznie lepiej.

– Posłuchajcie, Andrieju Stiepanowiczu

– powiedział

rozbitek. – Dziękuję za wszystko.  
Wygrzałem się i już jest dobrze.  
Prawdopodobnie uratowaliście mi  
życie, chociaż naprawdę nie wiem, czy  
było warto. Ale zrozumcie,

pozostając tutaj, narażam siebie i was.  
Tak nie można.

Najbardziej w świecie chciałbym tu  
zostać jak najdłużej,

Buran wieje z tamtej strony

105

nie tylko do końca śnieżycy, ale do



końca świata. Nawet

nie przypuszczałem, że takie pałace w ogóle u nas istnieją.

Proszę mnie posłuchać! – rzucił stanowczo, widząc, że

Korpałow otwiera usta. – Stanowię śmiertelne zagrożenie.

Nie trzeba ze mną rozmawiać, nie trzeba mnie widzieć,

a przede wszystkim nie wolno mnie gościć. Nawet sobie

nie zdajecie sprawy z tego, co wam zrobią, jeżeli mnie

tu znajdują.

– Kto pana ma znaleźć?! – przerwał nareszcie Korpa-

łow. – Kto pana szuka? Jacyś przestępcy?

Rozbitek uśmiechnął się okropnym grymasem trupiej

czaszki.

– No cóż... Logicznie rzecz biorąc, to są przestępcy.

No... suki... Czy wy naprawdę nic nie rozumiecie?! – wy-

buchnął z nagłą desperacją. – Przecież ja jestem zekiem!

– Czym? – zapytał bezradnie Korpałow.

– Zekiem! Katorżnikiem! Łagiernikiem!  
Zwykłym

obozowym dochodiagą, a na dodatek  
teraz uciekinierem!

Rozumiecie wreszcie?!

– Nie – przyznał się Korpałow. – Nie  
zrozumiałem.

Nie znam żadnego słowa z tych, które  
pan wymienił.

Znajdzie opadły ręce. Osłabł nagle i  
wydawało się,

że zemdleje.

– To nieprawdopodobne. Ja rozumiem,  
że w Moskwie

albo Leningradzie można nie wiedzieć  
lub udawać, że

się nie wie. W końcu w gazetach o tym  
nie piszą. Ale

ty...? Człowieku! Przecież żyjesz na  
przeklętym środku

Kołymy! Tu gdzie się nie ruszyć – obóz!  
Co sioło, to

etap! Każda stacja kolejowa to  
transporty i transporty!

Wszystko za drutami! Co dwa kroki –  
zona! Wszędzie

psy i kagiebiści! Czy ty nie masz oczu?  
Myślisz, że po

106

Jarosław Grzędowicz

co to wszystko? Te kopalnie uranu, te  
złote zaboje, te

budowy Dalstroju, ten cały BAM  
wreszcie? Że kto tam

pracuje? Dzielni komsomolcy? Każdy  
opłacany „dłu-

gim rublem”? Przecież cały ten piekielny  
Dalstroj stoi

tylko i wyłącznie gułagiem. Rozumiesz  
to wreszcie, nie-

szczęsny człowieku?! Jestem  
dysydem. Więźniem

politycznym! Więźniem GA-120/364 sto  
pięćdziesiąte-

go drugiego obozu, skazanym za  
szpiegostwo na rzecz

Stanów Zjednoczonych czy Danii, już

nie pamiętam,

agitację kontrrewolucyjną,  
przynależność do nielegalnej

organizacji i diabli wiedzą co jeszcze.  
Rozumiesz wresz-

cie, jakie jest ryzyko?! Dlatego jutro  
rano, gdy purga

zelżeje, błagam was, Andrieju  
Stiepanowiczu, o trochę

chleba i moje ubranie. Odejdę. Między  
innymi dlatego,

że jeżeli nie zdecyduję się natychmiast,  
to nie zdecyduję się w ogóle. Jestem

tylko człowiekiem i nie pamiętam,

kiedy i czy w ogóle widziałem taką  
czystą łaźnię, nie

pamiętam, kiedy było mi tak ciepło.  
Człowieku, u was

nawet mydło pachnie! To burżuazyjne,  
kontrrewolucyj-

ne mydło! Podobnie zresztą jak to wasze  
ubranie. Jest

bardzo piękne i ciepłe, ale nie mam w  
nim szans. W tym

starym mogę się kręcić na stacjach i  
stołówkach etapo-



wych, ale w takich jaskrawych,  
zagranicznych ciuchach

zauważą mnie od razu.

– Dobrze – powiedział stanowczo  
Korpałow, zupełnie

oszołomiony. – Nie znam się na Syberii.  
Jestem tu na wa-

kacjach. W porządku: zielony turysta,  
każdy może mnie

zrobić w konia. Nie wiem, co to  
dalstroj, komsomolec

ani suchy rubel...

– „Długi rubel” – poprawił odruchowo osłupiały roz-

bitek.

Buran wieje z tamtej strony

107

– Czort z nim – złościł się dalej Korpałow. – Nic mnie

nie obchodzą szczególne cechy tego osobliwego rubla.

Pozwoliłem panu mówić dość długo i spokojnie słucha-

łem tych wariactw. Pan kłamie albo jest

pan wariatem.

Proszę słuchać! Właśnie, że będę panu zaprzeczał! Nie

jestem psychiatrą, tylko grafi kiem reklamowym, nato-

miast jestem od pana dwa razy większy i jeżeli będzie

pan agresywny, to spiorę pana na kwaśne jabłko. Jesteśmy

u mnie w domu, a pan jest po prostu rozbitkiem, dlate-

go będzie tak, jak ja mówię. Nie jest pan żadnym więź-

niem, bo że na tym pustkowiu nie ma  
żadnych więzień

poza aresztami dla pijanych Czukczów  
na niektórych

komisariatach, to nawet ja wiem.  
Najbliższe więzienie

jest pewnie w Archangielsku, ale tam  
nie trzymają ludzi

ubranych w cyrkowe łachy. Poza tym nie  
przylazł pan

tu na piechotę z Archangielska w  
kaloszach wypcha-

nych szmatami. Tych bredni o więźniach

politycznych

nie będę nawet komentował. Proszę po prostu przyjąć

do wiadomości, że jesteśmy w Rosji, a nie na Kubie albo

w Ameryce. W tym kraju od lat dwudziestych nie było

i nie ma żadnych więźniów politycznych, chociaż jak pa-

trzę na niektórych polityków, to żałuję. Poza tym nigdzie nie będzie pan chodził. Poczeka pan zupełnie spokojnie

i bez żadnych szaleństw, aż powróci

łączność i ustanie

burza. A to po to, żeby z Ujgurska mógł wystartować

helikopter Służby Medycznej. Przylecą lekarze, pan ro-

zumie, co mówię? Czy na pańskiej planecie są lekarze?

Tacy na biało, co leczą ludzi? I zabiorą pana, ale nie do żadnego kozomolca, tylko do szpitala, a policja – pan wie, co to jest policja? – ustali pańską tożsamość. Jeżeli stracił

pan pamięć, to znajdą pańską rodzinę i pojedzie pan do

Jarosław Grzędowicz

sanatorium nad Morze Czarne, żeby  
odzyskać zdrowie.

A kiedy pan wyzdrowieje, to wpadnie  
pan do mnie do

Moskwy, pójdziemy do irlandzkiego  
pubu na Puszkina,

a pan w rewanżu postawi mi whisky. A  
na razie będzie

pan spał, dobrze się odżywiał, siedział  
przy kominku

i wypoczywał. Jeżeli ktoś pana ściga, to i tak nie znajdzie w taką pogodę. A jak się poprawi, możemy wezwać Gleba

Długiego Szpona. Pan zna Gleba Długiego Szpona? Jest

komisarzem policji w Ujgursku i jak na Czukczę jest ol-

brzymi. Ma poza tym o – taki pistolet i ze czterech równie zawziętych czukockich policjantów. Wsiądą w helikopter

albo ratrak i rozpędzą tych pańskich dalstrojów na cztery wiatry. Oni się tu nie cackają z dalstrojami, a gułaga każ-



dy jada na śniadanie. A teraz proszę  
więcej nie zawracać

głowy i powiedzieć mi, co można panu  
dawać jeść, żeby

nie zaszkodziło. Na razie gotuję kleik na  
mleku... A może powinien być na  
wodzie?

– Darujcie, Andrieju Stiepanowiczu, ale  
ja mam awi-

taminozę. To się po ludzku nazywa głód.  
Na złotym zabo-

ju moja racja wynosiła sześćset gramów  
chleba dziennie

i dwie miski bałandy, czasem kasza  
„magar” na wodzie,

tak z garść, albo śledź. Czy wiecie, że  
według „tabel za-

miany” jeden śledź równoważy  
dwieście pięćdziesiąt gra-

mów tłuszczu, który nam przysługuje? To  
by wykończy-

ło nawet takiego, co nic nie robi, ale na  
złotym zaboju

norma wynosi dwadzieścia kubików  
ziemi dziennie. Ja

byłem dochodiagą, więc obcięli racje.

Dochodiagę każdy

bije. Strażnicy biją, brygadzista bije, błatni naturalnie biją, nawet inni polityczni też biją albo przynajmniej popchną.

Rozumiecie, człowiek, jak trzaśnie takiego dochodiagę,

to czuje, że nie jest ostatni. Te wrzody to, Andrieju Stie-Buran wieje z tamtej strony

109

panowiczu, efekt głodu. Więc nie pytajcie, co mi szkodzi.

Jestem trupem, więc nic mi już bardziej nie zaszkodzi.

– Zrobię panu ten kleik – Korpałow nie zrozumiał

z tej przemowy niczego. – Mogę dać panu wszystko, co

pan chce. Przywiozłem mnóstwo żywności i panu nie

żałuję, ale nie chcę, żeby się pan jeszcze gorzej rozchorował. Dostanie pan kleik i herbatniki. W małych porcjach.

I proszę to jeść co jakiś czas. Potem dostanie pan bulionu z jajkiem, czekolady, mięsa i jarzyn. Witaminy! –

olśniło go. – Proszę pić multiwitaminę!

– Zgoda – powiedział rozbitek. – Na razie zostanę

i wypocznę. Nie będę się z wami sprzeczał. Tylko proszę,

nie mówcie do mnie „pan”. Dziwnie się czuję. Nie mam

pojęcia, dlaczego nie napytaliście sobie dotąd biedy przez tę manierę. Proszę do mnie mówić... Iwan Iwanowicz. To

nie jest moje prawdziwe imię, ale tak bezpieczniej.

\* \* \*

Siedzieli w jasno oświetlonej kuchni  
Gorypina, przy

brązowym, onyksowym blacie. Rozbitek  
jadł gęsty kleik

z manny na mleku, a Korpałow grzanki z  
sałatką z kal-

marów. To, jak Iwan jadł, to była cała  
epopeja – wcale nie żarł jak zwierzę,  
czego można by się ostatecznie  
spodziewać – przeciwnie: spożywał  
kaszkę z godnością, ale i nie-

zwykłym zaangażowaniem. Wyglądało  
na to, że posiłek

zaprząta jego wszystkie zmysły bez

reszty. Skończył zupę, oblizał łyżkę i z żalem odsunąwszy od siebie miseczkę

nienoszącą żadnych śladów potrawy, sięgnął po herbatę.

Korpałow podsunął mu cukierniczkę.

– Pan słodzi?

110

Jarosław Grzędowicz

Iwan Iwanowicz spojrział na niego z niedowierzaniem.

– Mogę?

- Naturalnie, cukier panu nie zaszkodzi.
- Przy-

glądał się rozbitkowi z coraz większą fascynacją. Ten

człowiek robił z posiłku cały spektakl, mszę, misterium.

Uczestnictwo w tym obrzędzie uświadamiało człowie-

kowi, jak wielkiej wagi wydarzeniem jest przyjmowanie

pokarmu.

Iwan Iwanowicz słodził bez końca.



Upił łyk i zamarł z wyrazem twarzy  
zbliżonym do

ekstazy religijnej. Była to przyzwoita  
mieszanka angiel-

skiej herbaty – nic w końcu  
nadzwyczajnego, ale Iwan

delektował się nią niczym małmazją.

– To cudowne – powiedział. – Nawet  
sobie nie zdaje-

cie sprawy, jakie to bogactwo smaku.

Korpałow nie wytrzymał i parsknął  
śmiechem. Roz-

bitek spojrział urażonym wzrokiem.

– Przepraszam – tłumaczył się  
Korpałow. – Ale jest

pan żywym ekranem reklamowym.  
Jestem specjalistą

od reklamy i to pańskie „bogactwo  
smaku” wygląda jak

wzięte żywcem z telewizji.

– To teraz w telewizji dają reklamy? –  
zdumiał się

Iwan. – Po co?

– Jak to po co? Żeby zwiększyć

sprzedaż.

– Takiej herbaty? Przecież ludzie staliby po to nocami

w kolejkach.

Impas. To się trafi ało co kilka zdań.  
Mówili tym

samym językiem, ale nie byli w stanie się porozumieć.

Zupełnie jakby naprawdę pochodzili z różnych światów.

Te same słowa znaczyły co innego, a za chwilę pojawiały

się słowa obce. Rosyjskie, ale obce, o tajemniczym zna-

Buran wieje z tamtej strony

111

czeniu. Co parę minut pojawiał się impas i wtedy obaj

rozmówcy patrzyli na siebie właśnie w taki sposób. Jak

wtedy, gdy ma się do czynienia z wariatem. Tylko że obaj

tak patrzyli.

– Nie mogę pana zrozumieć, Iwanie

Iwanowiczu.

Proszę mówić do mnie, jakbym był  
cudzoziemcem z bar-

dzo daleka. Cudzoziemcem, który dobrze  
zna wasz język,

ale nie wie niczego więcej. Inaczej się  
nie dogadamy.

Więc: skąd pan pochodzi i co pana  
doprowadziło do

takiego stanu?

– No dobrze... – Iwan nagle urwał, bo  
Korpałow ot-

worzył plastikowe, okrągłe pudełko „playersów” i zaczął

w nim grzebać. Na twarzy rozbitka pojawił się wyraz żądz i chciwości. Korpałow poczęstował go. Iwan Iwanowicz

przyjął papierosa jak czek na sto tysięcy, przymykając

oczy, przeciągnął nim pod nosem i pieczołowicie umieś-

cił między wargami. Korpałow podał mu ogień. Rozbitek

zaciągnął się uroczyście i uśmiechnął z niewysłowioną

błogością. Potem ułamał fi ltr i zaciągnął się znowu.

– Urodziłem się – zaczął jeszcze raz – i wychowałem

w Leningradzie.

– Nie wiem, gdzie leży Leningrad, proszę podać jakieś

duże miasto w pobliżu.

– Duże miasto w pobliżu Leningradu?! – Impas.

– Duże miasto. Takie jak Moskwa, Mińsk, Archan-

gielsk, Sankt Petersburg, Odessa,  
Murmańsk...

– No przecież Petersburg... to teraz  
Leningrad...

– Byłem w Pitrze dwa miesiące temu i  
wtedy ciągle

nazywał się tak samo: Sankt Petersburg.  
Może ten pań-

ski Leningrad to jakaś dzielnica albo  
miasteczko pod

Piotrogradem?



Jarosław Grzędowicz

Iwan Iwanowicz przestał delektować się smakiem

papierosa, odłożył go na popielniczkę, oparł się wygodnie, splótł ręce na blacie i zapytał bardzo spokojnie, patrząc Korpałowowi prosto w oczy:

– Więc nigdy nie słyszeliście o Leningradzie, We-

necji Północy, mieście-bohaterze, mieście sławy wo-

jennej, kolebce rewolucji? Nie słyszał pan o oblężeniu

i obronie Leningradu przed  
faszystowskimi hordami

podczas Wojny Ojczyźnianej? A czy w  
ogóle słyszał

pan o Leninie?

– Przykro mi, ale nie.

– Czy nazwisko Uljanow jest wam  
znane?

– Zaraz, przedstawiciel Mercedesa na  
Azję... Ale nie,

on nazywa się Uljonow. Jurij Uljonow.  
Może chodzi

o niego?

– Kpicie ze mnie? To naprawdę stary kawał.

Impas.

– Jeszcze raz. Proszę przyjąć do wiadomości, że od

czasu rewolucji wasz Sankt Petersburg nazywa się Lenin-

grad. Jeśli zaczniecie go nazywać inaczej przy ludziach,

to narobicie sobie kłopotu. Ja się tam urodziłem. Podczas wojny, w 1941 roku. Właśnie w Leningradzie. Pod hitle-

rowskimi bombami.

– To jesteśmy rówieśnikami. Ja też urodziłem się

w czterdziestym pierwszym w Petersburgu, ale nie pod

żadnymi bombami, tylko w klinice.

– Mój ojciec dostał się do niewoli, a potem uciekł do

naszych, a oni wysłali go do Workuty. Tam umarł.

– Mój ojciec był malarzem marynistą i ilustratorem

książek, a matka nauczycielką muzyki w prywatnej szko-

le, u madame Skworcowej.

Buran wieje z tamtej strony

113

– Toście się chyba urodzili w tysiąc osiemset czter-

dziestym pierwszym?

– Czy ja wyglądam na sto trzydzieści dwa lata?

– Nie, ale na trzydzieści dwa też nie wyglądacie. Już

prędzej dwadzieścia dwa.

– Co to za wojna, o której pan opowiada?

– Wielka Wojna Ojczyźniana.  
Czterdziestego roku.

Z Niemcami.

– Wojna z Niemcami zaczęła się w trzydziestym dzie-

wiątym i nie toczyła się w Rosji, tylko w Polsce, Niem-

czech, Czechosłowacji, zdaje się, Grecji i Norwegii, i trochę w Afryce, ale to z Włochami. I wcale nie była taka

wielka, chociaż Polacy twierdzą inaczej.  
Wojna jak wojna, dwa lata i po  
wszystkim. Jeżeli pański ojciec  
zaciągnął

się do Polski na tę wojnę, to w  
czterdziestym pierwszym

nie mógł trafić do niewoli, bo wtedy  
Niemcy brali już

zdrowo w skórę. A poza tym dlaczego  
nas wysłali go do

Workuty? Do szpitala? Dlaczego tak  
daleko?

Impas.

– Jeszcze raz: macie jakieś podejrzone luki w historii.

Wojna zaczęła się może w trzydziestym dziewiątym, ale

wtedy tylko Niemcy zajęli Białą Polskę, a my Ukrainę

zachodnią i Białoruś i tyle. A potem Niemcy na nas na-

padli i rozpoczęła się Wojna Ojczyźniana, która trwała

do maja czterdziestego piątego roku. Faszyci doszli pra-

wie na Kaukaz. Niemożliwe, żebyście



tego nie wiedzieli.

Przecież urodziliście się w czasie wojny: głód, kartki na chleb, bombardowania, sześć milionów ofi ar...

– Iwanie Iwanowiczu. O czym pan mówi? W czter-

dziestym pierwszym mój ojciec kupił pierwszy samochód.

Jeździliśmy potem nad Onegę na wakacje. Na mojej ulicy

pachniały wiosną bzy. Chodziliśmy do  
zoo. Ojciec kupo-

wał mi lody w ormiańskiej cukierni,  
reformy Denikina

się udały i w każdym domu było wtedy  
radio. Jeździły

wtedy takie zabawne garbate  
samochody, nazywały się

westenbackery, a po mieście jeździły  
konie. Konne za-

przęgi. Opalano jeszcze węglem i te  
zaprzęgi rozwoziły

węgiel do mieszkań, mój Boże, to był

zupełnie inny świat.

Pamiętam to jak przez mgłę.

Impas.

Iwan Iwanowicz oparł podbródek na dłoniach i po-

kręcił z niedowierzaniem głową.

– Jesteście szaleni. Boże, jak ja wam zazdroszczę.

– Ja jestem szalony?

– Pamiętacie tyle wspaniałych, niemożliwych rzeczy.

Chciałbym być w taki sposób szalony.  
Ja, niestety, pa-

miętam tylko prawdę: wojnę, życie po  
wojnie, szarych

ludzi, szare ulice, aresztowania... Po  
śmierci ojca matkę wyrzucono z pracy.  
Nie zesłali jej jako „członka rodziny”,  
miała szczęście. Po roku znalazła pracę  
jako sprzątaczką

w zakładzie gastronomicznym. Mnie nie  
przyjęto do pio-

nierów, może to i dobrze. To był cud, że  
potem dostałem

się na studia, ale to już było po śmierci

Stalina, wydawało się, że teraz wszystko będzie inaczej. Zacząłem studio-wać i wtedy pojawiły się książki. Rozumiecie, samizdaty.

Najpierw przeczytałem „Jeden dzień Iwana Denisowicza”,

omal wtedy nie oszalałem, a potem wiersze Mandelszta-

ma, opowiadania Warłama Szalamowa, mój Boże... Tyle

tego było. Miałem szczęście: prawie dwa lata spotykałem

się przy wódce z innymi podobnymi idiotami z instytutu,

ale nic się nie działo. A później Żeńka Góralew został na Zachodzie. Wysłali go na jakąś konferencję do Sztokhol-  
Buran wieje z tamtej strony

115

mu, a on został. Wtedy się za nas wzięli,  
wybuchł skandal, bo akademik Góralew  
miał zostać dyrektorem instytutu,

a tu uciekł. Więc zrobili wielką aferę,  
zaczęli chodzić

po mieszkaniach, no i u mnie znaleźli  
książki – pięć lat

obozu. Co tak patrzycie? No, obozu...  
łagru. Łagier to jest obóz pracy

przymusowej. Takie więzienie.

– Pan ukradł te książki? I dostał pan pięć lat za

książki?

– Co? Nie ukradłem ich. Dostałem pięć lat za posia-

danie książek. Przecież to były książki nielegalne, anty-

państwowe. Za Stalina dostałbym dwadzieścia. Zresztą

w sześćdziesiątym ósmym dołożyli mi następne pięć. Już

tu, na Sołowkach.

– Proszę wybaczyć, Iwanie Iwanowiczu,  
ale to jakiś

nonsens. Jak książki mogą być  
„antypaństwowe”?

– Wtedy, kiedy mówią prawdę.

– I prawda jest antypaństwowa?

– A jak sobie to wyobrażacie? Jak  
państwo mogłoby

funkcjonować, gdyby każdy mówił, co  
mu ślina na język

przyniesie? Ludzie muszą mieć



poczucie, że ich ofiary

mają sens. Cierpią, głodują, boją się, ale po to, żeby przyszłe pokolenia żyły w raju. Muszą mieć świadomość, że

budują komunizm. Na co im wasza prawda? Powiecie im,

że ta cała praca, wszystkie wyrzeczenia są tyle warte, ile moja harówka na złotych zabojach? Przewożenie gliny

z miejsca na miejsce po to, żeby ktoś tam nabił kabzę

złotem? I jak będą wtedy żyć? Jaki to będzie miało sens?

Przecież się nie zbuntują, bo już nie potrafią, a wojsko i tak zetrze ich z powierzchni ziemi. Zresztą wam nie

uwierzą. Tyle lat wbijano im do głowy, że żyją w naj-

wspanialszym państwie świata, a teraz co? Mają uznać,

116

Jarosław Grzędowicz

że to wszystko kłamstwo? Przecież nie będą wiedzieli

nawet, jak żyć, w co wierzyć, w którą stronę oczy obrócić.

Dlatego, drogi przyjacielu, prawda jest antypaństwowa.

I dlatego takich jak ja, co znają prawdę, rozsmakowują się w niej i zarażają tą swoją przekłętą prawdą innych ludzi, odizolowuje się niczym trędowatych i wywozi w tajgę,

żeby tam zdechli.

– No dobrze. Opowiada pan bardzo przekonująco, aż

ciarki chodzą po plecach. Sam zacząłem się zastanawiać,

czy nie oszalałem. Gdy burza ustanie, to sam pan zrozu-

mie, że to wszystko są urojenia.  
Helikopter będzie pana

wiózł ze sto kilometrów. Proszę  
poprosić, żeby pana nie

kładli, ale pozwolili patrzeć przez okno.  
Nie zobaczy pan nie tylko setek obozów,  
ale nawet jednego. Nic, jedynie

śnieg, tajga, czasem samotna farma  
reniferów albo stado

wilków. A potem zobaczy pan Ujgursk.  
Jak pana zdaniem

wygląda syberyjskie miasteczko?

– Tu nie ma żadnego Ujgurska. Jest tylko

Jurijewka,

stacja etapowa. Dziura. Jak to: jak  
wygląda? Baraki, sow-

choz, stacja kolejowa, bloki:  
czteropiętrowe, z pustaków, kryte  
eternitem, sklep, stołówka, koszary,  
druty, więzienie, właściwie przejściowy  
łagier, wyglądający jak łagier: baraki,  
wieże, druty, wszędzie płoty z drutu  
kolczaste-go, refl ektory, bocznicą  
kolejowa, wszystko zardzewiałe

i stare. Latem tonie w błocie, zimą w  
śniegu. Poczta tam

jest, a jakże! Poza tym jakieś  
rozgrzebane budowy, na

wpół zarosłe tajgą, śmiecie, góry  
śmieci, puste beczki.

Normalne.

– Jakieś kino? Hotel, restauracja?

– Czyście zwariowali? Jaki, *job jewo  
mat*, hotel? Po co, dla kogo?

Buran wieje z tamtej strony

117

– Hotel? No, dla przyjezdnych,  
turystów...

– Turyści, Andrieju Stiepanowiczu, w  
Jurijewce

mieszkają w barakach i śpią na trzypiętrowych narach.

A wybierają się na wycieczki w takie miejsca jak mój

obóz. Do ścinania drzew w tajdze, do kopalni węgla, złota i uranu, do trelowania drewna, do budowania dróg.

Hotel

im niepotrzebny. I tak jadą tu umierać.

– Mniejsza o te pańskie obozy. Nimi zajmiemy się póź-

niej. Logika, Iwanie Iwanowiczu. Logika i ekonomia. Kto by chciał mieszkać w takim miejscu jak ta cała Jurijewka?

– Co to znaczy chciał? A co oni mogą  
chcieć? Co mają

ze sobą zrobić? Część to robotnicy  
sowchozu, nigdzie

nie pojedą, bo nie mają paszportów,  
zresztą nie puszczą,

nikt im marszrutki nie podpisze... A  
reszta wolniaszki,

są na kontraktach, siedzą, liczą dni, liczą  
ruble, dodatki rozławkowe. Policzą i  
pojadą sobie. A reszta zesłańcy. Po

łagrach, bez zezwolenia na osiedlanie  
się w centralnych



republikach. Im nie wolno nigdzie wyjeżdżać i siły bra-

kuje... No to siedzą w Jurijewce.

– A z czego żyją?

– Ano różnie, pracują w sowchozach albo dalej w ko-

palni, ale już jako wolni. Lżej trochę i zawsze coś płacą.

W sklepie im wolno kupować, spirytus pędzą. Jakoś żyją.

To lepiej, niż nie żyć.

– Ciągłe pan mówi „oni”. Nie puszcza,

nie pozwolą,

nie podpiszą, zamkną... Kto to są ci „oni”?

– No, władza, partia...

– Partia? Jaka partia?

– Jak to jaka? Jest tylko jedna partia.  
KPZR.

– Otóż nie ma takiej partii. Zresztą to nieistotne.

Jakim cudem, pańskim zdaniem,  
jakakolwiek partia

Jarosław Grzędowicz

może kogokolwiek aresztować, zabić,  
zmusić do miesz-

kania w jakimś miejscu? No, przyszliby  
z tej partii i po-

wiedzieli: „Andrieju Stiepanowiczu, nie  
wolno czytać

Puszkina”. Albo: „Nie wolno czytać  
Lema”. Albo: „Nie

wolno słuchać Beatlesów, bo nam się  
tak podoba. Poje-

dziecie za karę do Pletewki i będziecie  
drwalem”. A ja

na to: won. I dzwonię po ochronę,  
mówię tak i tak, ci

panowie wychodzą. No i co mi zrobią?

– Co wy wygadujecie? Przecież partia  
to władza...

– Jest przy władzy? Jeszcze lepiej. To  
jak tylko ich

wyrzuca, dzwonię do partii opozycyjnej  
i robię skandal.

A potem do gazet.

– Skąd pan się urwał? Andrieju  
Stiepanowiczu?

– To pan się urwał. Ja tylko  
udowadniam, jakie bzdury

pan wygaduje. Społeczeństwo to jest,  
Iwanie Iwanowiczu,

stan dynamicznej równowagi. Pozorny  
bezruch, w któ-

rym drzemią potężne siły. Jedna siła nie  
może uzyskać

przewagi, bo cały układ się przewróci.  
Wszyscy patrzą

sobie na ręce. Dlatego właśnie mamy  
prawa człowieka.

Stąd bierze się wolność jednostki.

Nawet przed rewolucją, za carów, władza nie mogła wszystkiego, chociaż naturalnie był to despotyzm.

– To o rewolucji pan słyszał, a o Leninie i bolszewi-

kach nie? To kto, pańskim zdaniem, zrobił rewolucję?

– Zmuszono cara do abdykacji. Kto zrobił...? Bo ja

wiem... Kiereński? Rząd Tymczasowy? Nie jestem spe-

cialistą od historii.

– No, ładnie. A kto obalił pański Rząd

Tymczasowy?

Zapadła cisza.

– Jak to...? Nikt nie obalił. Po paru latach zrobiono

wybory i zarazem referendum konstytucyjne. Stołypin

Buran wieje z tamtej strony

119

znowu został premierem. Zaczęły się nasze czasy i tak to

jest do tej pory. Mamy trzy główne partie... Ale z począt-ku było ze

dwieście. Wybory... Przekłęta burza.  
Gdyby

nie to, włączyłbym telewizję i sam by  
się pan przekonał,

przecież wystarczyłyby wiadomości.  
Zaraz! – olśniło go

nagle. – Zaraz panu udowodnię, że  
Ujgursk istnieje.

– Ciekaw jestem, w jaki sposób –  
powiedział sceptycz-

nie Iwan Iwanowicz i z lubością łyknął  
herbaty.

– Jedną chwileczkę, ja zaraz... –



Korpałow zerwał się

od stołu i jął nerwowo przetrząsać puste kartony po żyw-

ności, rozlokowanej już w szafkach, lodówce oraz zamra-

żarkach. Iwan Iwanowicz popatrzył na niego z rozbawie-

nieniem i delikatnym ruchem zawodowego kieszonkowca

wyciągnął kolejnego papierosa z pudełka.

– Zaraz, przecież ja robiłem tam zakupy, brałem rum,

pepperoni, mrożone brokuły i świeże  
owoce... – mru-

czał Korpałow, grzebiąc w papierowych  
torbach i pustych

kartonach. Iwan Iwanowicz przyglądał  
mu się z ledwo

maskowanym rozbawieniem. Zapalił  
„playersa”.

– Mam! – zawołał tryumfalnie  
Korpałow, wymachu-

jąc wąskim paskiem papieru. – Proszę  
bardzo.

– Co to jest? – spytał rozbitek

zmęczonym głosem.

– Rachunek ze sklepu w Ujgursku.

Proszę: ceny, adres,

wszystko. Proszę czytać.

– Rum Navy 1 but. Piętnaście  
dziewięćdziesiąt

dziewięć R. Herbatn. Babusz. Ludy 6  
op. Dwanaście

dwadzieścia...

– Nie to! – przerwał niecierpliwie  
Korpałow. – Proszę

czytać niżej, na samym dole kartki.

– Suma, sto osiemdziesiąt cztery,  
dwadzieścia. Kasjer:

Stiepanow, Maksym, Nikołajewicz.  
Zapraszamy ponow-

120

Jarosław Grzędowicz

nie i życzymy miłej podróży. Sklep  
całodobowy „Czuko-

cka faktoria”, Ujgursk, ulica  
Kiereńskiego sto dwadzieścia dwa.  
Kołyma. Także dostawy do domu, w  
promieniu stu

kilometrów. Telefon 245-2123242...

– Mniejsza o to – gorączkował się Korpałow. – Proszę,

to jest rachunek za wynajęcie śniegołaza, to jest mój paszport, prawo jazdy, karty kredytowe, a to są pieniądze.

– Takie małe?

– Takie małe i sztywne, żeby wchodziły do automa-

tów. To są banknoty nowej emisji. Przedtem były dużo

większe. Proszę tego nie drapać, to jest hologram.

Pokaz nie osiągnął zamierzonego efektu.

Iwan Iwa-

nowicz wpatrywał się w rozłożone na kuchennym blacie

plastyczne karty zupełnie obojętnie, jakby nic mu nie

mówiły. Wyglądało na to, że są tak odległe od jego do-

świadczenia, iż nie jest w stanie nie tylko zaakceptować

ich znaczenia, ale nawet ogarnąć go umysłem.

– To ma być paszport? – zapytał

ironicznie, unosząc

plastyczną kartę. – Z tym kwitkiem nie dojedziecie na-

wet do najbliższego punktu kontroli. Na tym jest dwu-

głowy orzeł.

– A co ma być? To jest herb naszego kraju. I jakiego

punktu kontroli? Ja z tym jeżdżę za granicę.

Impas.

– Wybaczcie, Andrieju Stiepanowiczu,

ale jestem

zmęczony. Wskażcie mi jakieś miejsce,  
gdzie mógłbym

się położyć.

– Położy się pan w pokoju gościnnym.  
Wszystko przy-

gotowałem.

Do pokoju gościnnego, urządzonego  
skromnie i przy-

tulnie, w takim pseudowiejskim stylu  
prosto z Ikei, Iwan

Buran wieje z tamtej strony



Iwanowicz wchodził niczym do muzeum.

Głaskał pu-

chaty koc, z szacunkiem zbadał  
temperaturę olejowego

grzejnika, zapalił i zgasił nocną lampkę.

– Nie mogłem znaleźć pościeli –  
tłumaczył się Kor-

pałow – więc posłałem panu tylko  
prześcieradło. Ma pan

tu śpiwór, jest bardzo ciepły, ale gdyby  
pan marzył, proszę się jeszcze nakryć  
kocami. Proszę spać do syta. Jest pan

wycieńczony.

Korpałow spał ciężko i śniły mu się  
koszmary. Szedł

ulicami Moskwy, lecz to była inna Moskwa, nie taka, jaką

znał. Usiłował trafić do domu. Do swojego ukochanego

mieszkania, z panoramicznymi oknami wychodzącymi

na śródmieście i rzekę widoczne z trzydziestego piętra.

Ale tutaj nie było jego wieżowca, nie mógł trafić nawet

na żadną znajomą ulicę.

Ulice były szare, nienormalnie szerokie, sunęły po

nich z rzadka brzydkie, obce pojazdy o  
topornych kształ-

tach. Chodniki wyłożone krzywymi,  
połamanyymi pły-

tami były pełne ludzi okutanych w grube  
płaszczki i palta

w rozmaitych odcieniach szarości,  
czerni i brązu. Nie

było kawiarenek ani herbaciarni, z  
których to miasto

słynęło, nie było reklam ani neonów.

Szedł coraz szybciej, potrącany przez  
przechodniów

cuchnących wódką i podłym tytoniem, o  
dziwnie odra-

żających, fi oletowych twarzach, jakby  
zniekształconych

chorobą, oglądały się za nim  
monstrualnie grube wiej-

skie baby owinięte chustami, brudny,  
nigdy niesprzątany

śnieg skrzypiał pod podszwami.

Gapili się na niego, bo się wyróżniał.  
Był czysty. Nie-

normalnie czysty, gładko ogolony, a jego  
polarna kurtka

lśniła na tle szarego tłumu jaskrawymi barwami. Z ja-

122

Jarosław Grzędowicz

kiegoś powodu wiedział, że to niebezpieczne, i dlatego

szedł coraz szybciej, wciąż nie mogąc trafić w żadne znajome miejsce. Mijali go jacyś mundurowi w dziwnych,

archaicznych płaszczach w kolorze stali, wysokich butach

i absurdalnie szerokich, okrągłych czapkach z czerwono-

nymi otokami; ich bał się najbardziej.  
Wiało od nich

grozą i skoncentrowanym  
niebezpieczeństwem, niczym

od drapieżników.

Skręcił w jakąś boczną ulicę, równie  
brudną i nie-

chlujną jak pozostałe, tylko znacznie  
węższą. Zewsząd

osaczały go brudnożółte ściany pokryte  
liszajem i łatami

ukruszonego tynku, okna zasłonięte  
podartymi fi ranka-

mi, zaklejone dyktą i arkuszami folii.  
Zaczął biec. Musiał

znaleźć przynajmniej jeden normalny  
sklep, dom albo

kawiarnię. Jeżeli mu się nie uda, nigdy  
nie trafi do domu i pozostanie tu na  
zawsze.

Ta Moskwa nawet pachniała inaczej.  
Jego miasto

spowite było aromatem pulsującego w  
pośpiechu życia,

wypadkową zapachu milionów ludzi i  
ich działalności.



W powietrzu unosił się swąd spalin,  
zmieszany z zapa-

chem perfum, aromatem gruzińskich i  
chińskich kuchni,

kawy, tytoniu, mrozu i pieniędzy.

Tutaj cuchnęło zastarzałym odorem  
pleśni, strachu,

nędzy i nudy.

Nad bramami łopotały jakieś czerwone  
szmaty na

kijach. Gładkie czerwone flagi, bez  
żadnych znaków czy

symboli, niczym proporce sygnałowe.  
Oznaczały coś.

Coś straszego. Biegł.

Biegł, roztrącając tłum zgromadzony  
przed sklepem

pozbawionym nazwy i reklam, z  
brudnymi, pustymi wi-

trynami. Mijał grupki mężczyzn o  
zaciętych, bandyckich

Buran wieje z tamtej strony

123

twarzach, stojących z rękami w

kieszeniach starych jesio-

nek przed jakąś speluną. Mijał leżących  
wprost w śniegu

pijaków i tajemnicze, archaiczne  
samochody pomalowane

na biało-zielono, z napisem GAI na  
drzwiach. Biegł coraz

szybciej, a straszna, obca Moskwa  
osaczała go, wciągała

coraz głębiej, w zaniebane, pokryte  
śniegiem parki, na

ponure place z dziwnymi, olbrzymimi i  
zarazem topor-

nymi pomnikami.

Skręcił za kolejny róg i nagle w  
rozbłysku radości

zobaczył kopuły Kremla. Dobrze znane,  
pokryte barwną

mozaiką albo złote. Był uratowany. Byle  
na plac Ma-neżowy, stamtąd z łatwością  
trafi do domu. Puścił się

biegiem, niemal płacząc z radości.  
Jeszcze tylko kawa-

łek, zaraz zagłębi się w doskonale znane  
ulice, ucałuje

chodniki, z radością zanurzy się w zbity,

barwny tłum,

a nad nim mimo pochmurnego nieba  
zabłyśną tysiące

reklam, napisów i neonów. Z rozkoszą  
spojrzy na pełz-

nące w gigantycznych korkach miliony  
pojazdów, ziejące

zachwycającymi kłębami spalin, zanurzy  
się w zgiełk

rodzinnego miasta.

Zatrzymał się w pół kroku, czując, jak  
strach wypeł-

nia mu zimnym ołowiem żołądek. Plac  
Maneżowy był

zupełnie pusty. Herbaciarnie, wózki z  
kwiatami, sklepy

z pamiątkami, kłowni na szczudłach,  
studenci Akade-

mii Muzycznej grający pod ścianami  
Starówki, dorożki –

zniknęły bez śladu. Plac Czerwony był  
olbrzymi, pusty,

jakby złowrogi tytan zamiótł go z  
wszelkich śladów życia

i wyszorował gigantyczną szmatą do

podłogi. Burą, prze-

mysłową szmatą ze zmielonej włókniny.

Spojrzał na Kreml, szukając ratunku, ale  
i Pałac był

inny. Na szczyty wież nasadzono  
jadowicie czerwone

124

Jarosław Grzędowicz

pentagramy, a front obudowano  
prostokątnymi, barba-

rzyńskimi budowlami  
nieprzypominającymi niczego.

Wszędzie łopotały na drągach szmaty o  
barwie krwi,

niczym mulety pozostawione przez  
obłąkanych torrea-

dorów. Nad placem górowała  
prostokątna kratowa kon-

strukcja z czerwoną planszą. Była  
olbrzymia, jak ekran

gigantycznego krwawego kina dla  
zmotoryzowanych.

W rogu umieszczono na niej  
schematyczny, kontrastowy

portret jakiegoś łysola z kozią bródką i



chytrymi, lisimi oczkami oraz napis:  
sława czerwonej armii. Centralne  
miejsce planszy zajął dziwny, złowrogo  
wyglądający

symbol młota skrzyżowanego z jakimś  
hakiem, przypo-

minający znak na pirackiej banderze.

Plac Czerwony. Czerwona Armia.  
Czerwone flagi.

Czerwona mgła. Czerwone szaleństwo.

Sinoszare zimowe niebo nad jego głową  
zmieniło

nagle barwę na ceglastą i lunął z niego

ciepły deszcz.

Podniósł twarz, pozwalając, by krople rozgrzały mu

zziębnięte policzki i poczuł je na wargach. Deszcz był

rozgrzany, gęsty, o słonym, metalicznym smaku. Otarł

twarz i spojrzał na swoją dłoń. Była czerwona, pokryta

świeżą krwią. Kopyły Kremla, wyślizgany marmur placu,

ulice, cerkiew, wszystko spływało posoką. Usłyszał płaski, drewniany huk,

potem następny i następny. Padał grad.

Wielki jak owoce melona, biały.

Czaszki. Spadały wokół

niego i rozbijały się o nawierzchnię  
placu z odgłosem

suchych pistoletowych wystrzałów.

Korpałow wpił palce

we włosy, odrzucił głowę do tyłu i  
zaczął krzyczeć.

Obudził się w ciemnościach, siedząc na  
łóżku, dy-

gocąc i ocierając gwałtownie twarz z  
cieplej, słonawej

wilgoci. Krew!

Buran wieje z tamtej strony

125

Po omacku zapalił światło. Nocna  
lampka w mgnie-

niu oka ukazała belkowane ściany, półki,  
szafę, sosnowe

biurko, grubo tkany czukocki chodnik i  
skórę renifera na

ścianie. Za oknem buran walił w  
zamknięte okiennice

i wył w śnieżnej pustce. Syberia.

Wakacje. Dom.

Spojrzał na swoje dłonie. Były wilgotne. Wilgotne

od potu.

– Och, Boże ty mój... – jęknął i przeżegnał się zama-

szystym, skośnym gestem. Serce waliło mu jak oszalałe,

pierś poruszała się w gwałtownym oddechu, jakby właś-

nie wbiegł na dziesiąte piętro.

Uspokajał się, ale wciąż

czuł gasnący powoli pod czaszką nastrój  
koszmaru, opor-

nie wygasający na powierzchni kory  
mózgowej, niczym

uczuciowy powidok zmory.

Bał się zasnąć. Poczł parcie na  
pęcherz, potrzebę

wypicia szklanki ciepłego mleka,  
wypalenia papierosa

w czystej kuchni z onyksowymi blatami,  
wśród milut-

kich glinianych pojemniczków na  
przyprawy i szafek

z fińskiej brzozy.

W kuchni paliło się światło, zalewając  
jaskrawym

jarzeniowym blaskiem panujący tam  
rozgardiasz, przy-

wodzący na myśl napad zgłodniałych  
jaskiniowców bądź

wściekłego rosomaka. Rozdarte puste  
pudełko po wę-

dzonym owczym serze, wybebeszona  
foliowa foremka

z resztkami pasty z szynki, nadgryziona  
tabliczka cze-

kolady, pusty karton po maślanych  
herbatnikach, resztki

opakowań po wędlinach, pieczywie,  
margarynie, nadpita

oliwa z oliwek, spłaszczone puste tuby  
po mleku skon-

densowanym i kremie z wędzonego  
łososia.

Poza śladami pospiesznej, dzikiej uczyty,  
na której

pożerano salami na przemian z konfi turą  
truskawkową



Jarosław Grzędowicz

i czosnkowy twaróg z miodem, w kuchni  
znajdowały

się też tropy niepokojące, przywodzące  
na myśl wyda-

rzenia gwałtowne i tajemnicze. Oto  
przewrócony kubek,

z którego wołowy bulion chlusnął na  
podłogę, znacząc

na posadzce tłustą plamę. Oto  
pozostawione uchylone

drzwiczki szafki, z której poleciało na  
podłogę pudełko

makaronu i pojemnik z herbatą. Oto  
puszka kawy in-

stant gwałtownie potoczyła się pod blat,  
znacząc swoją

podróż półksiężycem brązowego  
proszku. Oto bezcenny

dla rozbitka papieros wypalił się  
samotnie na obrzeżu

stalowego zlewu i zamienił w wałeczek  
popiołu. Oto

przewrócony taboret.

Odruchowo postawił stołek z powrotem  
na nogach

i wyszedł z kuchni. W łazience też paliło się światło, dobiegał stamtąd szum płynącej z kranu wody i odgłosy

gwałtownych torsji, a potem dziwny dźwięk, jakby szloch

albo spazm niepowstrzymanego płaczu.

Zastukał w drzwi.

– Hej! Wszystko w porządku? – Nie uzyskał odpowie-

dzi, ale dotarły do niego uspokajające, zwykłe odgłosy.

Szuranie kapci po posadzce, strumień wody ucichł, ha-

łaśliwie wydmuchano nos.

Korpałow spojrzał na belkowany sufit, wzywając nie-

biosa na świadka swojej udręki, i zabrał się do porządków w kuchni, klnąc pod nosem.

– Proszę wybaczyć, ale obudziłem się taki głodny... –

wymamrotał przepraszająco rozbitek. –  
Ja zaraz...

– Kompletnie panu odbiło! – warknął Korpałow. –

Koniecznien panu spieszo na tamten

świat? Przecież

tłumaczyłem, że nie wolno przeciążać  
żołądka! Zu-

pełnie jak dziecko! Pilnować mam pana  
czy jak? Całe

Buran wieje z tamtej strony

127

szczęście, że się pan porzygał – urwał,  
bo skonstatował

ze zgrozą, że Iwan Iwanowicz ma łzy w  
oczach.

– Jak dziecko... – mruknął tamten przez

łzy. – Raczej

jak zwierzę... Boże mój, co się ze mnie  
zrobiło... Lecz

musicie zrozumieć, że nie jestem  
dzikusem. Łagier zabił

we mnie człowieka, poza tym przeżyłem  
wczoraj własną

śmierć.

– Rzeczywiście... – pokręcił głową  
Korpałow. – Gdy-

bym nadjechał parę minut później...

– Nie o to chodzi... Mnie wczoraj mieli

rozstrzelać...

Dlatego wyprowadzili za zonę, do tajgi.

– Rozstrzelać? Za co?

– Za darmo! – fuknął wściekle Iwan Iwanowicz. –

Na postrach, za niewyrabianie normy.  
Katorżnik to jest

zwierzę robocze. Jeżeli takie zwierzę  
nie przynosi już

zysku, a nie chce samo umrzeć, to się je  
zabija. Także

teraz! Może już nie setkami, ale od czasu

do czasu. Kto

im zabroni?

– Jezu... – powiedział ze zgrozą  
Korpałow. – Bez sądu?

Co na to inni ludzie? Przecież ci  
więźniowie mają jakieś

rodziny, przyjaciół... Nikt się o nich nie  
upomina?

– Nie – odparł Iwan Iwanowicz twardo.

– Nie umiem

wam wyjaśnić tego wszystkiego. To  
przekracza moje siły.



To zupełnie jakby tłumaczyć takie rzeczy  
dziecku, tylko

że dzieciom nie wolno o tym mówić.  
Jesteście tacy nie-

winni w tym swoim szaleństwie, że nie  
mam ochoty tego

burzyć. Chodźmy spać. Jutro będzie czas  
na rozmowę.

– Dam panu coś na sen – powiedział  
Korpałow.

\* \* \*

Jarosław Grzędowicz

Obudził się nagle i usiadł na łóżku, nie mając poję-

cia, czy to dzień, czy noc. Za oknem wył wiatr, szarpał

okiennicami. Burza śnieżna nadal trwała. Zapalił światło

i postanowił poczytać w łóżku, ale wtem przypomniał

sobie nieszczęsnego Iwana Iwanowicza i zaczął się zasta-

nawiać teoretycznie, co zrobi, jeżeli tamten umarł w nocy.

Na dokładkę książki zostały w bagażach,  
a w zasięgu ręki

nie znalazł niczego ciekawego poza  
tanim, kieszonko-

wym wydaniem „Wojny i pokoju”.  
Ostatecznie posta-

nowił zejść na dół, przyrzadzić coś do  
jedzenia i nazwać

to śniadaniem. Podróż samolotem, potem  
jazda przez

zamrożone pustkowia, gdzie od śmierci  
dzieliło go tyl-

ko sprawne działanie silnika, wreszcie

dziwaczna akcja

ratunkowa i szalony rozbitek żyjący w  
świecie parano-

icznych urojeń to trochę za dużo jak na  
pierwszy dzień

wakacji w syberyjskiej pustelni.

Olśnienie przyszło znienacka, kiedy  
golił się, patrząc

na swoje pocziwe oblicze w lustrze.  
Program ogląda-

ny miesiąc temu, jeszcze w Moskwie.  
Pamiętał planszę

z dwoma zdjęciami. Na jednym  
przystojna, granitowa

twarz młodego kapitana lotnictwa.  
Szaroniebieski mun-

dur, bączek na czapce ozdobiony  
skrzydełkami. Ofi cer

Lotnictwa Gwardii. Na drugim ta sama  
twarz, ale już

bez munduru. Ogolone włosy, bury  
drellich, zapadnięte,

bezzębne usta, wielkie, przerażone oczy.  
Ten sam kapitan

lotnictwa, lecz już po tym, kiedy to przez

parę lat gości-li go mili obywatele  
Socjalistycznych Stanów Ameryki.

Ten sam kapitan zestrzelony podczas lotu  
zwiadowczego

gdzieś nad Alaską. Zamiast granitowej  
szczęki zapad-

nięte policzki i blizna tnąca usta.  
Nerwowe tiki. Nie do

rozpoznania, jak dwóch różnych ludzi.

Buran wieje z tamtej strony

129

I oczy, w których na zawsze zastygła

niczym bazalt

polarna groza.

Takie same jak u Iwana Iwanowicza.

Pamiętał też suchy, rzeczowy głos  
spikera opowia-

dający o torturach, obozach pracy na  
Alasce i Florydzie.

O egzekucjach i jakiejś straszliwej  
procedurze, która spra-wiła, że ofi cer  
Gwardii, patriota, członek elity, cudem

odzyskawszy wolność, umiał tylko  
wygłaszać idiotycz-

ne slogany o robotnikach Ameryki i kraju poprawnej

socjalistycznej polityki, rządzonym przez fi lozofów, jak Respublica Platona. O szczęśliwych komunach zakładanych jeszcze przez pierwszych osadników. O Union

Trade, które przeprowadziło rewolucję na strasznym dnie

Wielkiego Kryzysu. Siedział w studiu i powtarzał mecha-

nicznie, że jednostka się nie liczy, liczy się tylko dobro klasy pracującej. A także mniejszości etnicznych. I nowe, straszne słówko z ust spikera – „pranie mózgu”.



W kuchni zastawiono stół do śniadania.  
Syczał elek-

tryczny samowar, na półmiskach i  
deskach do krojenia

rozłożono jesiotra, suszoną rybę, kawior  
z puszki i ogórki.

Kiełbasę krakowską i szynkę.

Korpałow zwykle jadał o tej porze  
bułkę z dżemem

i popijał kawą.

Natomiast na pewno nie wypijał z  
samego rana bu-

telki „Smirnowskiej”.

Rozbitek stał na baczność przy stole i uśmiechał się.

Przed jego krzesłem posłusznie stała miseczka kleiku.

– Iwanie Iwanowiczu, przecież pan jest gościem – ob-

ruszył się Korpałow. – Jak tak można?

– Andrieju Stiepanowiczu, inaczej nigdy się nie do-

gadamy. Usiądźmy jak ludzie. Jak Rosjanie. Napijmy się

Jarosław Grzędowicz

i spróbujmy coś z tego wszystkiego  
zrozumieć. Myślałem

nad tym przez całą noc. – Usiadł i nalał  
herbaty. – No, bo jak jest daleko do  
mojego łagru? Wyprowadzili mnie  
kilkaset metrów od bramy w tajgę.  
Chyba chcieli upozorować

ucieczkę. Potem kazali iść przodem i  
wtedy ogarnęła mnie

ta dziwaczna, rozświetlona mgła.  
Pewnie od zorzy. Na-

prawdę zacząłem uciekać, nie dlatego, żebym wierzył, że

to coś da, ale wolałem tak, w biegu...  
Zawsze lepiej niż na kolanach. To trudno wyjaśnić, ale prawie się już nie bałem.

Bieg pomaga. Tylko że nie mogli mnie trafić. To brzmiało, jakby strzelali w inną stronę albo z daleka. A przecież

kiedy zacząłem biec, miałem ich o dwa metry, najwyżej

trzy. Jeden z tych kagiebiistów, Susanow, miał automat.

I wiem, że strzelał serią. Więc dlaczego nie trafił?

Potem biegłem może z pół godziny.

Więcej przecież

nie dałbym rady. Leciałem, jakbym miał skrzydła u ra-

mion, ale jestem słaby. Ile to mogłem ubiec? Człowiek

biegnie jakieś piętnaście, dwadzieścia kilometrów na go-

dzinę, zdrowy, wygimnastykowany człowiek. Mój bieg

to najwyżej trucht. Z pewnością zresztą kluczyłem. A jak

daleko stąd pan mnie znalazł?

Korpałow zamieszał herbatę i zastanowił się.

– Nie więcej niż piętnaście kilometrów. Była burza.

Jechałem powoli. Bałem się, że zgubię drogę.

– Właśnie. Skąd tu nagle droga?

– Nie rozumiem. Na Syberii może nie być niczego,

ale drogi muszą być, i to dobre. To akurat żadna zresztą

autostrada. Raczej szlak wyznaczony tyczkami. Przecież

inaczej żyć by się nie dało.

– Tak czy inaczej, mój obóz powinien się znajdować

nie więcej niż dwadzieścia kilometrów stąd. Dopóki wieje

Buran wieje z tamtej strony

131

buran, jesteśmy bezpieczni, ale gdy ustanie, wezwą he-

lioptery, ściągną wojsko, psy, milicję. Znajdą nas, An-

drieju Stiepanowiczu. Chyba że...

– Chyba że co?

– Po pierwsze, chyba że uznają, że nie miałem prawa

przeżyć. W takim razie potropią jeden dzień, własnymi

siłami, żeby odszukać ciało. Nadal mogą nas wówczas

znaleźć. To blisko. Jest jeszcze druga odpowiedź. Szalona, lecz u nas wszystko jest możliwe.

– Jaka?

– Napijmy się najpierw.



– Proszę wybaczyć, Iwanie Iwanowiczu,  
ale tak rano...

A ja właściwie prawie nie piję wódki.  
Jeżeli pan ma ochotę, to proszę wypić,  
ale...

– A kto mówi tu o picciu? Parę  
kieliszeczków. Jak ina-

czej rozmawiać?

Trzasnęła nakrętka, zmrożony, gęsty płyn  
zabulgo-

tał, spływając oleiście do ogromnej  
graniastej szklanki

przeznaczonej do picia kwasu lub soku.

Korpałow wy-

trzeszczył oczy. Iwan przekręcił butelkę  
i zmrużył oczy,

czytając etykietkę.

– „Wytwórnia spirytualiów w Carskim  
Siole, Spółka

Akcyjna”. Czorty! O wszystkim  
pomyśleli. Proszę, poda-

tek akcyzowy, Ministerstwo Skarbu  
Republiki Rosyjskiej.

Republiki Rosyjskiej. Proszę. No co?  
Chłop jak dąb

i takiej maleńkiej szklaneczki wódki nie wypije? Zdrowie

Republiki Rosyjskiej!

Korpałow westchnął i dzielnie wypił łyk. Aż go za-

trzęsło. Odczekał chwilę, aż uspokoją się konwulsje żo-

łądka potraktowanego na czczo upiornym czystym desty-

latem, a potem wypił kwas chlebowy prosto z puszki.

Jarosław Grzędowicz

Iwanow Iwanowicz pił niespiesznie –  
duszkciem. Wy-

rażnie było widać, jak porusza chudą  
grdyką i przełyka

wódkę, jakby gasił pragnienie  
szklaneczką wody „Bor-

żomi”. Odstawił pustą szklanekę i  
westchnął.

– Ależ gorzałka! Jak woda! W życiu  
takiej nie piłem.

Ależ czysta. Skąd ją, gady, wzięli?

Sięgnął po maleńkiego korniszona.

A później nalał następną pełną szklanice  
i z najwyż-

szym spokojem godnie spożył kleik.

– Posłuchaj, brat! Dawno z nikim nie  
rozmawiałem

po ludzku. Odzwyczaiałem się rozkrawać  
duszę. Ale opo-

wiem ci o Magadanie. Posłuchaj!

– Dlaczego o Magadanie? Co to jest?

– O Magadanie też nie słyszałeś? To  
port. Miasto-

obóz. Zbudowane rękami takich jak ja.  
Katorżników.

Tam się rozprowadza transporty. W  
tajgę, do kopalni

złota, węgla albo uranu. Kiedy ktoś trafi  
na uran, to się, głupi, cieszy. Lepsze  
racje. Specjalne. Katorżnik szybko

się uczy myśleć żołądkiem, tymczasem  
tam śmierć w trzy

lata. Radiacja. Miałem szczęście, bo  
trafiłem na złoto. Ale nie od razu.  
Zdrowie, brat!

Za oknami wyła zamieć. Wiał buran.  
Mijał czas

i dwóch ludzi próbowało porozmawiać.  
Tak zwyczajnie,

jak ludzie. Nie udawało się. Żadnych  
punktów stycz-

nych. Iwan opowiadał o sobie, ale jego  
wspomnienia,

choć przerażająco konsekwentne,  
brzmiały absurdalnie.

Z opowieści wyłaniał się dziwaczny  
obraz społeczeństwa

donosicieli i kanalii, wymieszanych z  
ludźmi niewia-

rygodnie dobrymi, cudaczną, tragiczną

szlachetnością

wbrew wszystkiemu. Kraju wściekle  
niegościnnego i dra-

pieżnego, przepojonego głębokim  
smutkiem nad własną

Buran wieje z tamtej strony

133

nikczemnością i tęsknotą za tym, by być  
innym krajem.

Ziemi, nad którą wisiało jakieś  
przekleństwo.

Na stole leżały pozostawione



poprzedniego wieczoru

przedmioty, którymi Korpałow dowodził istnienia praw-

dziwego świata. Pięćdziesiąt rubli w różnych nominałach,

paszport, rachunek ze sklepu. Naprzeciw nim rozbitek

zaczął wykladać niczym karty przedmioty ze swojego

woreczka. Pudełko „zapalek” przeciwko rachunkowi. Li-

sty od różnych ludzi, pisane przez dziesięć lat, opatrzone przeróżnymi

pieczęciami, kontra dziesięć – i  
dwudzie-storublówki emitowane przez  
Bank Centralny. Papiero-

sy „Biełomor kanał” przeciwko butelce  
„Smirnowskiej”.

Naszywka Uswitłagu z waciaka  
przeciwko paszportowi

Federacji Rosyjskiej.

– Słuchaj, brat! – Iwan oparł się o stół i  
przegryzł ka-

wałkiem kiełbasy. – Było tak:  
zwariowałaś. Zwyczajnie.

Ludzka rzecz. Tak to u nas jest, że

czasem najlepiej zwa-

riować. Niejeden by chciał. A to znaczy,  
że byłeś dobrym

człowiekiem. Ale nie zwyczajnym.  
Zwyczajny człowiek

pojechałby do psychuszki i cześć.  
Trudno ci będzie uwie-

rzyć, ale wymyśliłeś sobie Rosję.  
Łagodną, bogatą i sytą.

Taką, do której każdy tęskni. Taką, jaka  
powinna być, ale nigdy nie była i nie  
będzie. Zupełnie niemożliwą. Wymy-

śliłeś w każdym najdrobniejszym

szczególe. Tak dokład-

nie, że zaczęło to wyglądać na wspomnienia. Schowałeś

się w niej. Wytarłeś z mózgu wszystko inne i dlatego teraz pamiętasz: te Onegi, akacje, ormiańskie cukierne. Coś,

czego nigdy nie było. Jednak musiałeś być kimś ważnym.

Specjalnym. Więc nie mogli cię zamknąć u czubków. Na-

wet w rządowym spec-szpitalu. Z jakiegoś powodu nie

mogli także zlikwidować. No to zesłali

tutaj. Zbudowali

134

Jarosław Grzędowicz

ci tę twoją Rosję. Maleńką. Tę chatę,  
może jeszcze ten

cały Ujgursk. Spec-zona. Wszystko  
ciche, piękne i bogate.

Ubrani w zagraniczne ciuchy aktorzy.  
Drukują ci gaze-

ty i naklejają niby-rosyjskie etykiety na  
importowane

towary. Będziesz tu siedział, czasem cię

odwiedzą ubra-

ni w carskie mundury, powiedzą: „Z Bogiem, gospodin

Andriej Stiepanowicz, jesteście białą policją z Ujgurska.

Wszystko u was w porządku?”. Aż strach pomyśleć, po

co ta komedia. Naturalnie nie pamiętasz niczego z praw-

dziwego życia. Może widziałeś coś zbyt strasznego albo

ważnego? Może chodzi im o to, co pamiętasz, a co jest

im potrzebne? Byłeś konstruktorem  
jakiejś potwornej

broni? Może agentem wywiadu? Andriej  
Stiepanowicz

zwariował! I jak się teraz dowiemy? Jak  
to z niego wydo-

być? Opiekować się, może sobie  
przypomni? Tymczasem

do tej waszej maleńkiej rajskiej Rosji  
trafił katorżnik.

Co teraz będzie? Wiem, że ciężko w to  
uwierzyć, ciężko

zrozumieć. Ale ja wiem, że musi być

jakieś wyjaśnienie.

Przemyśl to, brat!

Zdjął ze ściany gitarę Gorypina i zaczął ją stroić. Kor-

pałow siedział i przez chwilę sam już nie wiedział, kto ma rację. A jeżeli wszystko, co pamięta, to urojenia? A jeżeli wszystko, co widzi, to tylko teatralne atrapy? Za oknem

purga, zamknięte drzwi i okna, radio nie działa – jak to

sprawdzić?

Wyjechał na wakacje na Syberię, żeby



choć raz w swo-

im uporządkowanym życiu zrobić coś prawdziwego. Żeby

uciec od plastykowego świata Moskwy i kampanii rekla-

mowych. Od tandetnych lat siedemdziesiątych.

Więc jak – jego życie było nudne, monotonne i pła-

skie czy po prostu urojone?

Buran wieje z tamtej strony

Mama, Wiera, Stiopa Gorypin i inni  
bliscy mu ludzie.

Czy mogli być tylko wytworem  
wyobraźni?

Istniała chatka myśliwska w tajdze.  
Istniał też biały

jak zaćma buran. Tyle można powiedzieć  
na pewno.

Co dalej?

Iwan oparł gitarę na udzie, wypił  
jednym haustem

pół szklanki i przebiegł palcami po gryfi  
e.

*Bimbru, piwa, śledzia, chałwy wziąłem  
ja,*

*do plecaka spakowałem rzeczy te*

*i do czubków pojechałem na pół dnia,*

*żeby z bratem mym, wariatem, spotkać  
się.*

*Ach, u czubków żyć, to jak wygrać los;*

*chcesz to pospać idź, chcesz to myśl na  
głos,*

*wszystko wolno im: mogą szczekać,  
wyć,*

*Stalinami być, Hitlerami być... \**

Korpałow uświadomił sobie, że bardzo wygodna

i w pewnym sensie oczywista teoria, iż ma do czynienia

z wariatem, w wielu punktach opiera się na niechlujnym

rozumowaniu. Istniały przecież dowody rzeczowe. Cho-

ry umysł Iwana Iwanowicza mógł wyprodukować wspo-

mnienie o straszliwej tyranii rządzącej Rosją, obozach

i półniewolniczym systemie społecznym,

wymyślić tych

szatańskich Leninów czy Stalinów, ale z całą pewnością

nie mógł wyprodukować kolekcji listów, czarnych, ko-

ślawych kaloszy, cudacznym papierosów wypchanych

\* Aleksander Galicz – „Prawo do odpoczynku”, tłum.: Michał

B. Jagiełło

136

Jarosław Grzędowicz

paździejami, nie powołał do istnienia  
tego brzydkiego

pudełka zapalek ani topornej łyżki.

Natomiast spisek ludzi tak perfidnych i  
potężnych,

jakich obraz Iwan Iwanowicz rysował w  
swoich opo-

wieściach, niewątpliwie mógł wystawić  
daczę Gorypi-

na i zamówić gdzieś wyposażenie. Mógł  
wznieść atrapę

miasteczka Ujgursk.

Korpałow widział tamten świat – we śnie. Czy to zna-

czy, że jednak go pamiętał?

Cierpła mu twarz i dłonie. I chyba w życiu nie czuł

się tak przerażony. Miał wrażenie, że zaraz zemdleje.

Od kilku dni pamiętał tylko tajgę, śnieg i wiatr. Lotni-

sko, pakowanie się do wyjazdu, rozmowa z Gorypinem

w gruzińskiej knajpie, ostatnie dni przed wakacjami były

odległe i nierzeczywiste. Możliwe, żeby  
miało to miejsce –

przedwczoraj?

Kto da głowę za swoje wspomnienia?

Dwie kupki przedmiotów leżały na stole  
naprzeciw

siebie, niczym wrogie armie.

Iwan Iwanowicz przestał grać i oparł  
podbródek na

dłoniach splecionych na pudle gitary.  
Też patrzył na

przedmioty i kiwał smutno głową.



Wydawało się, że sma-

kuje swoje niechciane zwycięstwo.

Wolałby przegrać, ale

wygrał, niestety.

Jeszcze nie.

Korpałow łyknął wódki, wzdrygnął się i przegryzł

jesiotrem.

To jeszcze nie koniec.

– Było trochę inaczej – powiedział.

Rozbitek spojrział na niego jakby z nadzieją. – Byłeś ofi cerem. Lotnikiem,

ma-rynarzem łodzi podwodnej, może agentem wywiadu. To

Buran wieje z tamtej strony

137

wszystko, o czym opowiadasz,  
rzeczywiście ma miej-

sce. W ogólnych zarysach wygląda  
bardzo podobnie,

ale nie dzieje się w Rosji. Ma miejsce  
na drugiej półkuli.

W Ameryce. W kraju, który powstał tam  
po rewolucji

w czasie tak zwanego Wielkiego  
Kryzysu. W Unii Socja-

listycznych Stanów Ameryki Północnej.  
Tam zapewne są

i te obozy, i tajna policja, i te kopalnie.  
Nie wiem o tym wiele. Robię swoje.  
Nie interesuję się polityką. Prawdę

mówiąc, nigdy nie chciałem o tym nic  
wiedzieć. Trwa

zimna wojna. Oni, Amerykanie, mają  
broń atomową.

My, Pakt Euroazjatycki, też. Trzymamy  
sobie nawzajem

lufy przy skroni. Tylko o ile my chcemy  
spokojnie żyć

i pracować, oni chcą rozpętać takie  
same rewolucje jak

ich własna Druga Rewolucja  
Amerykańska na całym

świecie. Nasz świat stoi na skraju  
przepaści, Iwanie Iwa-

nowiczu. Wojny, z której nikt nie  
wyjdzie żywy. Mają już

w rękach połowę Afryki. Japonia już  
należy do amer-socu.

Indie również. Mamy ich prawie za

miedzą. Rakieta wy-

strzelona przez nich leciałaby na  
Moskwę, bo ja wiem...

dziesięć minut? Co zrobisz? Ewakuujesz  
dziesięćmilio-

nowe miasto? W dziesięć minut? Tyle  
czasu wystarczy,

żeby się przeżegnać. Byłeś żołnierzem  
tej cichej wojny.

Zastanów się, może coś się przypomni:  
Republikańska

Ochrona? Korpus Gardermarinów?  
Lotnictwo? Kapitan,

komandor, major, pułkownik? Dostałeś się do niewo-

li. Wystarczyłoby zresztą, gdyby doszło do katastrofy

gdzieś w pobliżu ich granic. Na Oceanie Spokojnym?

W cieśninie Barentsa? Dość, że wpadłeś im w łapy. Ich

obywatele lądują w obozach i tyrają przy szybach naft o-

wych i kopalniach albo na plantacjach. Ale dla naszych

jeńców mają specjalne postępowanie.

Widziałem o tym

138

Jarosław Grzędowicz

niedawno program, nazywa się to „pranie mózgu”. Dłu-

gotrwała obróbka fizyczna i psychiczna. Coś w rodzaju

leczenia psychiatrycznego na odwrót. Chodzi o to, żeby

z normalnego człowieka zrobić świra zakochanego w ich

tyraniu. Nazywają to reedukacją albo

terapią prosocjalną.

My to nazywamy „praniem mózgu”.

Jednak do tej pory

ludzie, których udawało się uratować,  
wracali po prostu

ślepo lojalni wobec ich reżymu i wrogo  
nastawieni do

normalnego świata. Was, Iwanie  
Iwanowiczu, potrakto-

wali inaczej. Wmówili wam istnienie  
innej Rosji i innego

świata. Nie wiem po co. Może to jakiś  
eksperyment. Oni



są absolutnymi mistrzami propagandy,  
może w ten spo-

sób trenują, sprawdzają, na ile umieją  
kontrolować umysł

człowieka? To, co pan pamięta, to nie  
wynik choroby. To

efekt warunkowania. Tymczasem pan  
jakoś uciekł. Cień-

nina czasem całkowicie zamarza. Można  
też ukraść jakąś

łódź. To trudne do wyobrażenia, ale w  
sumie możliwe.

Tylko że nic pan nie pamięta. Szok,

amnezja. A reszta,

te lata spędzone w obozach, to  
prawdziwe wspomnienia,

tylko że obozy nie były rosyjskie. Były  
amerykańskie.

Nie na Syberii. Na Alasce.

– Chwileczkę – dodał, widząc, że Iwan  
Iwanowicz

otwiera usta. – Ja wiem, że oni nie piszą  
cyrylicą ani nie mówią po rosyjsku. To,  
co pan tu ma, to spreparowane

przez nich rekwizyty. Prawdopodobnie  
ze specjalne-

go obozu dla rosyjskich jeńców, gdzie  
nawet strażnicy

mówią po naszemu i noszą fi kcyjne  
mundury. Stąd

listy, papierosy, pieczęcie. Podobno tam  
ludzie siedzą

jeszcze od czasów wojen w Korei,  
Indiach i Pakistanie.

Może i pan wtedy wpadł? Tak to  
wygląda. Teraz to

przemysł, brat!

Buran wieje z tamtej strony

Iwan Iwanowicz oparł gitarę o ścianę i zapalił papie-

rosa, odłamawszy ustnik.

– I tak to jest – oświadczył smutno. –  
Któryś z nas

zwariował. Jak stwierdzić który? Za  
drzwiami purga. Iść

nie ma gdzie. Pytać nie ma kogo. Tylko  
ten dom. Każdy

ma tylko swoje wspomnienia. I te  
rzeczy, twoje i moje.

Które są prawdziwe? Jeden z nas nie  
zna prawdy. Obaj nie

możemy mieć racji. Co by się stało,  
gdybyś to ty mówił

prawdę, Andrieju Stiepanowiczu?

– Ustałaby burza, śnieg by opadł.  
Połączylibyśmy się

przez radio ze stacją Służby Medycznej  
w Ujgursku. Przy-

słaliby śniegołaz albo helikopter.  
Policja, lekarze, telefony do armii. Pan  
wymaga leczenia, sanatorium,  
psychologów. Armia by się panem  
zajęła. W gazetach pojawiłyby

się artykuły, ale dopóki nie znaleźliby  
kogoś bliskiego,

czy ja wiem, rodziny, może kobiety,  
przyjaciół, nie po-

zwoliliby dziennikarzom pana  
maltretować. Ale i tak

byłaby sensacja: „Powrót bohatera”.  
Posiedziałyby pan na

leczeniu w jakimś sanatorium marynarki  
pod Odessą.

Wyleczyłby się pan, może odzyskał  
pamięć. A potem

pewnie zupełnie nowy, odkarmiony Iwan

Iwanowicz

z powrotem w swoim mundurze majora  
podstawiłby

pierś pod Krzyż Świętego Jerzego i  
wróciłby do domu.

Umówilibyśmy się na wódkę w  
najładniejszej knajpie

Moskwy. Zapytałby pan: „Pamiętasz,  
Andriusza, Sybe-

rię?”. I tyle. Tak by było.

– A jeżeli to ja mam rację?

– Nie wiem. Zabiją nas?

– Nie. Powiem ci, jak by było. Ustanie  
purga, we-

zwiemy ten helikopter i on przyleci.

Piękny, zagra-

niczny, polakierowany w jakieś tam orły,  
na pokładzie

140

Jarosław Grzędowicz

będzie stado spasionych byczków  
pachnących wodą

kolońską. Będą się cieszyć. „Andrieju  
Stiepanowiczu,



uratował pan weterana”. A godzinę  
później w obozie

postawią na nogi wszystkich zeków i  
rzucą im krwawy

łachman. „Patrzcie, ścierwa! Tak kończy  
ten, kto chce

nam uciec. Nie ma ucieczki, suki! Nasza  
wielka socja-

listyczna ojczyzna dopadnie każdego!”  
Może potem

wzmocnią ogrodzenia, ktoś polecą precz,  
bez emerytury.

Wpuścił intruza do spec-zony. Burza

ustanie na pewno.

I co zrobimy?

– Na razie wieje. Burza trwa –  
odpowiedział ponuro

Korpałow. – Polej, brat.

\* \* \*

Pili. Śpiewali, trzeźwili. Opowiadali  
sobie o swoich

światach. Buran wył za oknem, po  
tundrze hulał lodowy

huragan, spowijając nieskończone białe  
pustkowia w tu-

man białego jak pusty ekran, martwego  
śniegu. Istniał

tylko wiatr. Jeszcze śnieg i mróz. I na  
wpół zasypana

chata pośrodku białego niczego.  
Wirował rotor genera-

tora. Huczał wiatr. W środku za stołem  
siedziało dwóch

mężczyzn. Na razie nie było innego  
świata.

Korpałow wstydził się mówić o swoim  
życiu. Jakieś

było takie nieważne. Problemy z

kobietami, z rodziną,

to, że myślał zbyt samodzielnie albo że znudził się swoją pracą. To wszystko były, szczerze mówiąc, jakieś głupstwa. Nikt mu na serio nie zagrażał, mógł złorzeczyć na

politykę, ale mógł się nią też nie przejmować. Zawsze

jadł do syta. Nigdy nikt go poważnie nie pobił. Nie pró-

bowano go zabić. Co tu opowiadać?

Buran wieje z tamtej strony

Chyba że nie pamiętał swojego życia.  
Chyba że był

zamkniętym w enklawie wariatem  
specjalnego znaczenia.

Ale o tym bał się nawet myśleć.

Jeden z ich światów nie istniał. Każdy  
wierzył we

własny. Nie umieli znaleźć ani  
ostatecznego dowodu, ani

odpowiedzi.

Trzeciego ranka Iwan Iwanowicz wszedł  
do kuchni

z dziwnie zamyślonym wyrazem twarzy.  
Korpałow czy-

tał przy stole.

– Wiesz, co robiłem w poprzednim  
życiu? Zanim

mnie przymknęli? – zapytał rozbitek.

– Byłeś jakimś naukowcem?

– Tak, astrofi zykiem. Nic już z tego nie  
pamiętam.

Zaledwie jakieś podstawy. Dziesięć lat  
to kupa czasu.

Wywietrzało.

– Mogłeś być i fi zyktem, i ofi cerem  
lotnictwa. Jedno

drugiemu nie przeszkadza.

– Nie o to chodzi. Usiłuję zrozumieć, co  
się stało. Pa-

miętam, jak powinien rozumować  
naukowiec, kiedy staje

w obliczu niewytłumaczonego zjawiska.  
Znalazłem wy-

jaśnienie – przedwczoraj. Teorię  
sanatorium dla wariata.

Dopóki teoria zachowuje moc  
tłumaczącą, nie należy

z niej rezygnować. Tylko że ja najbardziej w świecie, ze

wszystkich sił, chciałbym nie mieć racji. Nie zależy mi na moim życiu ani świecie. Wolałbym, żebyś to ty miał rację.

Nie wolno tak myśleć, to nielogiczne i nienaukowe. Praw-

da jest jedna, czy nam się podoba czy nie. Na szczęście

okazało się, że w mojej teorii są i słabe strony Niewielkie, ale zawsze.

Powinieneś o tym wiedzieć, tak będzie uczciwie. Wiem, że cierpisz, odkąd to powiedziałem. Sam masz



wątpliwości. Więc powinieneś  
wiedzieć, że ja też.

142

Jarosław Grzędowicz

Wątpliwość pierwsza: wprawdzie nie  
jestem kompe-

tentny, nie mam pojęcia o psychiatrii. Z  
drugiej strony

siedziałem i z wariatami, i psychiatrami.  
To wprawdzie

żadna rzetelna wiedza. Amatorszczyzna.  
Lecz nie mogę

uwierzyć w wariata, który uciekł w jakiś  
wymyślony

świat, zaburzonego tak głęboko, że w  
ogóle nie postrze-

ga rzeczywistości, tylko swoje urojenia,  
ale gdy znajdzie się w kontrolowanym  
otoczeniu, zachowuje się najnor-malniej  
w świecie. Obserwowałem was,  
Andrieju Stiepa-

nowiczu. Ani śladu psychozy. Myślicie  
prawidłowo, nie

siadacie co chwilę i nie wymyślacie  
tego swojego świata,

a to musiałyby tak być. Wyobrazić sobie

coś tak wiel-

kiego w tak najdrobniejszych  
szczegółach wymagałoby

nieustannej pracy. Poza tym schizofrenik  
to schizofrenik.

Miałby jakieś ataki, zaburzenia  
zachowania, cierpiał na

nadpobudliwość, płakał, rzucał się,  
chodził niczym wilk

po klatce. Tymczasem za oknami buran,  
wyjść nie moż-

na, dwóch obcych ludzi w zamkniętym  
domu, a ty, brat,

czytasz książkę. Albo rozwiązujesz krzyżówkę. Grasz

w szachy, drzemiesz. Rozmawiasz. Sam chciałbym gdzieś

pójść, sprawdzić, nie wiem. Boję się. A ty układasz pa-

sjansa. Nie chce mi się wierzyć, że jesteś świrem, tyle

chciałem powiedzieć.

Wątpliwość druga: powiedzmy, że istnieje spec-pa-

cjent, któremu choroba zablokowała w pamięci coś nie-

bywale ważnego. Mogliby wystawić  
daczę na Syberii, zbu-

dować sztuczne miasteczko, ale przecież  
nie tak daleko.

Przecież do tego twojego Ujgurska ze  
dwie godziny drogi.

Wystawiliby je o kilkaset metrów,  
gdzieś za pagórkiem.

A nade wszystko przecież takiego  
pacjenta nie wolno

zostawiać samego. Musiałbyś mieszkać  
pod opieką. Przy-

Buran wieje z tamtej strony

najmniej mieć o dwieście kroków  
przyjaznego sąsiada,

który wpadałby z wizytą co najmniej raz  
dziennie. A kto

wie, może i sąsiadkę? Przecież tę  
tajemnicę, na której im zależy, możesz  
wygłosić w każdej chwili,  
wypowiedzieć

przez sen albo mimochodem. Tymczasem  
nikt nad tobą

nie pracuje. Nikt nie pilnuje. Skąd mogą  
wiedzieć, że

jeszcze tu siedzisz? Może uchlałeś się i  
zamarzłeś pod

drewutnią? Może poszedłeś w tajgę?  
Powiesiłeś się pod

powalą na szelkach? Może nie chodzi o  
to, co wiesz, ale

o to, żeby cię ukryć, jak człowieka w  
żelaznej masce?

W takim razie nadal powinni pilnować.  
Jak skarbu, jak

własnego oka. Nie ma mowy, żebym tak  
sobie wbiegł do

tej twojej żony jak do ogródka. A

jeszcze – widziałem tu

strzelby. Dali ci broń? Niemożliwe.

– Więc co się właściwie stało? Miałem  
rację? – Korpa-

łow zamknął książkę, czując idiotyczną  
złość i ulgę. – Od początku?

– Tego też nie mogę zaakceptować.  
Pamiętam zbyt

wiele. Za dużo szczegółów. W takich  
warunkach, jak opo-

wiadałeś, może bym zwariował. Może  
miałbym amne-



zję, ale przecież nie komplet wspomnień  
z pierwszych

dwudziestu paru lat życia. Opowiadałem  
ci tylko o tym,

co było na temat, ale przecież pamiętam  
miliony innych

rzeczy. Zwykłych, codziennych.  
Pamiętam, jak wyglą-

dało moje laboratorium, dom, co miałem  
w szufladach,

jak smakowała pierwsza dziewczyna,  
jak to było jechać

nad Nową na wakacje. Nie da rady, brat.

Mogliby ci twoi

socjoamerykanie zrobić mi pianę z mózgu, mogli zrobić

ze mnie głupka. Ale wyglądałoby to inaczej. A ta moja

ucieczka z Alaski... Oj, nie znasz ty, brat, Syberii. Pieszko po lodzie... Kajakiem, potem tysiące wiorst gołego fi rnu, 144

Jarosław Grzędowicz

przy pięćdziesięciostopniowym mrozie... Co miałbym

jeść, kamienie? Popijać śniegiem? Srać rzeźbami? Zapo-

mniej, Andriusza. Niemożliwe.

– Znaczący zwariowaliśmy obaj czy co?

– Mówiłem: byłem kiedyś fi zykiem. Tu trzeba myśleć

naukowo.

Rozbitek usiadł na taborecie i nalał  
sobie herbaty z sa-

mowara. Wypił łyk po staroświecku,  
trzymając w ustach

kostkę cukru.

– Jest możliwość, choć brzmiąca  
zupełnie nieprawdo-

podobnie, że obaj mówimy prawdę. Nikt nie zwariował.

Prawdziwe są i twoje plastikowe ruble, i moje „biełomory”, twoje dokumenty i mój buszlat. Nikt nie zwariował.

– A to jakim sposobem?

– Są dwa światy. Twój i mój. Dwie planety, identyczne

pod każdym względem, a różniące się szczegółami. Może

dzieli je cały kosmos. A może, istnieje też taka teoria,

znajdują się w różnych wymiarach.

Równoległe do siebie.

Tamta teoria mówi, że istnieje nieskończona liczba takich światów, różniących się poprzez poszczególne wybory. Jest

świat, w którym nie napiłem się herbaty, tylko kwasu,

i taki, w którym wylałem ją sobie na głowę. Nasze roze-

szły się gdzieś. Może spowodowało to drobne wydarzenie,

które nie dopuściło do rewolucji, może jeszcze coś innego wcześniej.

Musielibyśmy porównać znane sobie

wersje

historii. Dość, że losy potoczyły się tam zupełnie inaczej.

I w jakiś sposób ja zdołałem przejść ze swojego świata

do twojego. Nie wiem jak. Trudno wymyślić. Może tam

mnie jednak zabili? A może dlatego, że tu jest Syberia?

Nie wiadomo tak naprawdę, co tu może być i jakie kryje

tajemnice. Wbiegłem w święty krąg Ewenków? A może

Buran wieje z tamtej strony

145

to jednak zjawisko fizyczne? Istnieją w fizyce teorie, że pomiędzy dwoma punktami można podróżować poza

czasoprzestrzenią. Efekt Adnokamiencewa-Sniegowa.

Teoretycznie, naturalnie. A może istnieją przejścia między

wymiarami? Nie patrz tak. To wcale nie jest bardziej

zwariowane niż poprzednie teorie. Nieważne, w jaki spo-

sób można przejść. Ważne, że według  
wszystkiego, co

powiedzieliśmy, muszą istnieć dwa  
światy.

– A co z tego wynika?

– Tyle, że jesteśmy w twoim. Albo ten  
dom i okolicę

rzuciło do mojego, co byłoby już bardzo  
niedobrze. Lecz

bardziej prawdopodobne, że to ja  
przeszedłem. Wtedy,

w tamtej mgle.



– To kompletny idiotyzm – powiedział Korpałow. –

Ale zarazem to pierwsza twoja teoria, która mi się podoba.

Naprawdę wolę uwierzyć, że na Syberii jest Trójkąt Ber-

mudzki, niż że wszystko wokół siebie wymyśliłem.

– Tak że nie będzie orderów. Nikt tu na mnie nie cze-

ka. Nie mam tu domu, ale przynajmniej im uciekłem.

Według tej teorii Gułag został daleko.

Po drugiej stronie kosmosu albo w innym wymiarze. Jak by to było dobrze...

Czy fi zyk z amnezją, powiedzmy, poradzi sobie w twoim

świecie?

– Z pewnością. Nadal jesteś zagubionym w tajdze roz-

bitkiem. Wyleczą cię. Takich leczą za państwowe pienią-

dze. Potem sobie poradzisz. Pomogę. Byle to tylko była

prawda, reszta nieważna.

– Tego się na razie nie dowiemy. Nie,  
dopóki wieje

buran.

\* \* \*

146

Jarosław Grzędowicz

To się stało czwartego dnia rano. Wiatr  
prawie

ustał.

Kiedy się obudzili, za oknami widać  
było czyste gra-

natowe niebo, blade, wiszące tuż nad horyzontem słońce

i płaski pejzaż jak przykryty białym obrusem. Łagodne

wzgórza i czarne piramidki cedrów. Śnieg chwycił od-

blask słońca i mienił się niczym gigantyczna połać cukro-

wego pudru. Temperatura spadła do minus czterdziestu

ośmiu stopni.

Milczeli przy śniadaniu. Jednak co chwilę któryś

z nich, smarując chleb, odkręcając kurek samowara albo

zapalając papierosa, zerkał za okno.

Panowała cisza. Nikt nie nadjeżdżał, nie nadchodził.

W czystym jak chromowany nóż powietrzu nie terkotały

helikoptery. Panowała absolutna cisza.

– Chcesz wezwać pomoc? – zapytał z pozoru lekkim

tonem Iwan Iwanowicz.

Korpałow pokręcił głową.

– Nie. Dopóki nie upewnię się, że wszystko jest w po-

rządku. Wiem, że to mój świat. Wierzę w to, co powie-

działeś. Ale muszę się upewnić.

– W jaki sposób? Radio? Telewizja?

– Nie. Tu odbiera tylko jedna stacja. Telewizja Zoria i radio Rubież. Może udałoby się złapać inne, ale to na nic.

– Dlaczego?

– Dlatego, że nigdy nie będę pewien. Jeśli stworzyli

mi sztuczny świat, to co za problem  
zrobić jeszcze stację radiową i  
telewizyjną? Nie chodzi tylko o ciebie.  
Ja już

sam nie wiem, kim jestem. Przyjadą po  
ciebie, a ja nie

będę wiedział kto. Dopóki nie wrócę do  
Moskwy i nie

zobaczę jej na własne oczy, nie będę  
wiedział, czy nie

Buran wieje z tamtej strony

147

sprzedałem człowieka jakimś

potworom. Może już za-

wsze będę się zastanawiał, co jest  
prawdą, a co nie? Nie.

Musimy być pewni. Obaj.

Iwan Iwanowicz patrzył ze zdumionym  
wyrazem

twarzy, bo Korpałow mówił tonem,  
który brzmiał, jakby

topór rozszczepiał zamrożone  
syberyjskie pnie. Zdawał

sobie sprawę, że robi na swoim rozbitku  
wrażenie kogoś



wyrośniętego, ale poczciwego i łagodnego. Teraz czuł

w środku gniew. Czuł, że ten gniew zamraża mu szczęki.

Rzeczywiście, na co dzień był łagodny. Starał się być do-

brym człowiekiem. Ale teraz myślał i mówił twardo.

Długimi krokami wyszedł na korytarz, otworzył

drzwi szafy.

Ciężka torba z parcianej tkaniny zagrzechotała meta-

licznie na niskim stoliku przed kominkiem. Zazgrzytał

zamek błyskawiczny.

– Co to jest? – zapytał Iwan Iwanowicz.

– Idziemy na zwiad.

– Co?

– Mamy tu siedzieć do końca świata?  
Trzeba spraw-

dzić. Raz na zawsze.

– Skąd masz tyle broni?

– Wypożyczyłem. Karabin jest...

szczerze mówiąc, na

niedźwiedzie. Takie jest zalecenie.

Poszedłem na kurs

przetrwania w warunkach polarnych,  
zanim się tu wy-

brałem. Strzelba śrutowa służyłaby do  
polowania, gdyby

to było niezbędne. A pistolet... tak. Na  
wszelki wypadek.

Do osobistej obrony. Tu są wilki...

Nigdy... Jestem mieszczuchem i czuję  
się nieswojo w takiej dziczy. Potrzebo-

wałem czegoś, co dodałoby mi odwagi.

Nie sądziłem tak

naprawdę, że tego użyję.

Przypuszczałem, że postrzelam

148

Jarosław Grzędowicz

któregoś dnia do butelek i tyle.

Oczywiście, że zrozu-

miem, jeżeli nie chcesz iść. Pójdę sam.

Postawił na stoliku paczki amunicji,  
jedną na drugiej.

Obok położył wielki fiński nóż z  
zestawu ratunkowego.

Rakietnica. Podręczna apteczka.

Iwan Iwanowicz patrzył z niedowierzaniem.

– Ty chcesz się z nimi bić?

– A nie warto? Pójdiesz jak cielę na rzeź? Pewnie

ich tam nie ma, ale jeżeli jest inaczej, to będą musieli

się dobrze postarać. Sam mówiłeś, że chcieli cię zabić.

Nie pozwolę na to. Tu jest Republika Rosji. Tu, gdzie ja

stoję. Niech się wynoszą do siebie. I nie ma znaczenia,

czy ją sobie uroiłem, czy się w niej urodziłem. A jeżeli

to mnie przerzuciło do twojego świata, to trudno. Dalej

jestem obywatelem mojego kraju i mojego świata. Jeżeli

jedynym w tej okolicy, to automatycznie czyni mnie

żołnierzem. Na tym terenie nie ma wyższej władzy ro-

syjskiej niż ja. Na froncie także

dowódcą zostaje ten

z ocalałych, kto ma najwyższy stopień.

Na końcu choćby

i szeregowy. A tu jest tylko jeden

obywatel Republiki

Rosyjskiej.

Iwan Iwanowicz wstał.

– Dwóch. Masz ducha. Zaimponowałeś mi. Chciał-

bym umieć w ten sposób myśleć. My, tam, odzwyczaili-

śmy się. Wstyd mi. Dawaj karabin.

– Najpierw trzeba znaleźć ci ubranie.

Zrezygnowali z gąsienicowego  
śniegołaza, który

według słów rozbitka był „wielki,  
jaskrawy i hałaśliwy”.

Mogli się zmieścić obaj na siodle  
skutera śnieżnego. Na

przyczepionych do niego saniach  
znalazła się torba z je-

dzeniem i apteczką, a także przenośną  
radiostacją.

Buran wieje z tamtej strony



Skuter sunął gładko po zamarzniętej,  
przysypanej

śniegiem rzece, jak po asfalcie.

Korpałow trzymał kierow-

nicę i usiłował w pamięci odtwarzać  
swoją poprzednią

drogę, tylko od tyłu. W blasku  
jaskrawego, choć niskiego

słońca wszystko wyglądało inaczej.

Trakt, którym przyjechał do rzeki z  
Ujgurska, wy-

znaczały dwa rzędy wysokich tyczek pomalowane w od-

blaskowe, kanarkowe i pomarańczowe paski, odcinające

się od martwej bieli śniegu, aż oczy bolały.

Miejsce, w którym Iwan Iwanowicz wypadł na szosę,

znaleźć było dużo trudniej. Droga zasypana śniegiem

wiła się pomiędzy kosmatymi, bodącymi niebo ścia-

nami cedrów i krzewów stłanika.

Kilometr za kilome-

trem wyglądała tak samo. Nie było  
żadnych punktów

orientacyjnych. Tylko drzewa, śnieg i  
pas nieba nad

głową. Mogli tak jechać do samego  
Ujgurska i niczego

nie znaleźć.

Drzewa zaczęły rosnać rzadziej.  
Korpałow jechał wol-

no, usiłując wypatrzeć cokolwiek po  
lewej stronie, po-

między czarnymi, oblepionymi śniegiem  
pniami. Gdzieś

wysoko w gałęziach przebiegła czarna  
wiewiórka, strą-

cając migocące w słońcu fi ranki  
śnieżnego pyłu. Silnik

terkotał miarowo.

– Tam! – zawołał znieścacka Iwan.  
Korpałow zatrzy-

mał skuter.

– Wypatrzyłeś coś?

– Nie. Ale skręć tutaj.

Korpałow wzruszył ramionami i skręcił.  
I tak niczego

nie poznawał, dlaczego by nie skręcić  
tutaj.

Pomiędzy drzewami jechało się gorzej.  
Skuter skakał

na wertepach, natrafił co rusz na  
powalone pnie i wykro-150

Jarosław Grzędowicz

ty. Musieli kluczyć i Korpałow co  
chwile spoglądał na przymocowany do  
kierownicy żyrokompas. Silnik wył,  
skuter

stawał dęba, płozy przyczepki zahaczały o korzenie.

W końcu, po jakiejś półgodzinie, drzewa zrzędniały

i ukazała się kolejna pusta dolina, okolona wzgórzami.

Korpałow wyłączył silnik.

– Biegłeś cały czas przez tajgę?

– Biegłem we mgle. Przez tajgę, po fi rnie... Zaraz... Co to jest? – Wskazał palcem na wschód, wzdłuż ściany lasu.

– Nie widzę – odparł Korpałow.  
Widział tylko biel

i szpaler drzew. A raptem w tym, co z braku punktów

odniesienia uważał za pokryty śniegiem stok pagórka, zo-

baczył majaczące w bieli gałęzie i zrozumiał, że patrzy na skłębioną ścianę mgły i prześwitujące przez nią cedry.

– Idzie mgła... – powiedział niepewnie.

– Chyba zno-

wu pogoda się załamała.

– Podejdźmy tam – zaproponował rozbitek.

Zsiedli ze skutera, Korpałow przewiesił

przez plecy

sztucer i podał Iwanowi Iwanowiczowi śrutówkę.

– Jak to działa?

– Trochę na to za późno – roześmiał się Korpałow. –

Myślałem, że wiesz.

– Też tak myślałem. Nasze są inne. Żeby załadować,

trzeba je złamać jak tę twoją raketnicę.

– Co za starocie. To półautomat. Od dołu ładuje się



sześć gilz. Po każdym strzale trzeba przesunąć czóten-

kiem do przodu i do tyłu. W ten sposób usuwasz wystrze-

loną łuskę i ładujesz następny nabój. Pokażę ci, daj.

Ładował na zmianę – brenekę, pocisk przeciw

niedźwiedziom: walec ołowiu kryjący w środku stalo-

wy trzpień; i loft ki: naboje wypełnione kulkami, które

Buran wieje z tamtej strony

trudno już było nazwać śrutem. Każda miała po osiem

milimetrów średnicy. Trafienie garścią takich pigułek

powinno roznieść na strzępy.

Podał Iwanowi ciężką strzelbę i pokazał, jak prze-

ładować.

– Tu masz bezpiecznik. Trzeba przesunąć do góry

i można strzelać.

Tamten westchnął głęboko, wciągając lodowate po-

wietrze. Najwyraźniej usiłował się zmobilizować, ale pod

kominiarką nie było widać wyrazu twarzy. Tylko niebie-

skie, łagodne oczy, takie same jak u Korpałowa. Iwan

wypuścił gwałtownie powietrze i oparł kolbę o biodro.

– Idziemy, brat.

Szli wzdłuż linii drzew, jeden za drugim, ostrożnie,

jak podchodząc grubego zwierza. Mgła  
przed nimi ciąg-

nęła się jak okiem sięgnąć w obie  
strony, w górę rzedła

stopniowo, brudząc błękit nieba. Im  
bliżej podchodzili,

tym robiło się ciemniej. Z tej strony  
częściowo przysła-

niała słońce, przeświecało bladą tarczą  
niczym stygnący

biały karzeł. Wystarczyło się odwrócić i  
za plecami świat znowu stał w  
oślepiającym blasku pod czystym  
niebem,

śnieg skrzył się kolorowymi iskrami jak  
hałdy diamentów.

Z bliska nie przypominała ściany. Widać  
było, że się kłębi, trochę na  
podobieństwo oparu chloru. Nie  
mówiąc ani

słowa, obaj zdjęli broń z ramion.

Kilkanaście metrów dalej stanęli nagle  
jak wryci.

Korpałow otworzył usta, ale nic nie  
powiedział. Ściana

mgły stała niedaleko przed nimi niczym  
dziwaczne, skłę-

bione urwisko. A w tej ścianie ział  
okrągły, niemal idealny otwór. Mgła  
lekką kłębiła się na brzegach i  
opalizowała

dziwacznym brudnym światłem, trochę  
jak zorza polar-

152

Jarosław Grzędowicz

na, a przez tę dziurę widać było kolejne  
pagórki, sterczące ze śniegu kolumny  
cedrów i pokrzywione brzoźki.

Wyglądało tam tak samo jak po tej  
stronie mgły. Jak

Syberia.

Tylko że pogoda tam była inna. Po tamtej stronie było

pochmurno. Wiał stamtąd wiatr, czuło się go wyraźnie

na twarzy. Wzbijał na wprost dziury kłęby śniegu. Kor-

pałow wyszedł kilka kroków, trzymając broń w pogoto-

wiu, przyklęknął ostrożnie na śniegu i podniósł do oczu

wiszącą na szyi lornetkę.

Po tamtej stronie po zszarzałym niebie  
sunęły strzę-

py ciemnych chmur i sypał śnieg.  
Wydmuchowało go

przez tunel, zdążył usypać już po  
brzegach spore zaspę

o dziwacznych półksiężycowatych  
kształtach, niczym

saharyjskie wydmy. Czasami wicher  
roziewał chmury

i przez szare zasłony majaczyło blade  
słońce.

Drugie słońce.



Słońce tamtej strony.

– Tam jest mój świat – powiedział  
drewnianym gło-

sem Iwan Iwanowicz. – Przejście wciąż  
jest otwarte.

– Przynajmniej wiadomo, gdzie jesteśmy  
– odrzekł

Korpałow.

– Patrz!

Korpałow obniżył szkła lornetki i  
wyregulował

ostrość. Z tunelu na ich stronę wyraźnie

wybiegały śla-

dy kilku par nart.

– Przeszli. Gady! – wycedził Iwan. –  
Znaleźli przejście

i wleźli. Dlaczego ten tunel ciągle stoi?  
Przecież kilka dni temu go nie było. Co  
to za zjawisko?

– Jesteśmy w naszym świecie. Tu nic ci  
nie grozi. –

Korpałow chwycił rozbitka za ramię.  
Był taki chudy...

Buran wieje z tamtej strony

Wydawało się, że w środku nadętej puchowej kurtki Go-

rypina nic nie ma. – Wytropimy ich. Potem możemy we-

zwać pomoc. Powiemy policji, że zostaliśmy napadnięci

przez uzbrojonych bandytów.

Iwan odwrócił do niego manekinową, wełnianą

twarz bez wyrazu. Tylko oczy mu lśniły.

– Powiedźcie mi, Andrieju

Stiepanowiczu. Ilu jest po-

licjantów w Ujgursku? Ilu przyjedzie na takie wezwanie?

– No... dwóch.

– Będą mieli broń maszynową? Wybiją tamtych na-

tychmiast jak wściekłe psy?

– Nie. Będą mieli pistolety. I pewnie strzelby. Wezwą

przez radio wsparcie i postarają się tamtych aresztować.

– Pozwolą nam strzelać?

– Oczywiście, że nie. Jesteśmy cywilami.

– Chcecie więc wezwać dwóch poczciwych wiejskich

policjantów, żeby aresztowali uzbrojony patrol Armii

Czerwonej? Czy w waszym świecie więcej policjanci

miewają rodziny, Andrieju Stiepanowiczu? Dzieci?

– To co robić? Może sami wrócą?

– Tylko jeżeli postanowią wracać po śladach. Zależy,

czy zdają sobie sprawę, czym jest przejście. Zależy, czy

po prostu szukają zbiega, czy wiedzą, że są w jakimś in-

nym świecie. Ale w takim razie za parę dni po tej stronie przejścia nie będzie już śladów nart. Będą ślady kilku

pojazdów gąsienicowych, transporterów opancerzonych,

a we wszystkie strony ruszą patrole. Dziś przeszło pię-

ciu. Jutro będzie tu pięciuset. Trzeba za wszelką cenę

zamknąć przejście!

– Przecież nie wiadomo jak. Samo się pojawiło i samo

się zamknie.

154

Jarosław Grzędowicz

– Miejmy nadzieję. Po kolei.

Podstawowe zagadnie-

nie to patrol. Trzeba ich wybić albo zagonić z powrotem.

Trzeba zyskać na czasie. Może się zamknie.

– Policjanci nie dadzą, twoim zdaniem,  
rady, a my ich

tak po prostu wybijemy?

– My nie będziemy ich próbowali  
aresztować. Zdy-

biemy na otwartej przestrzeni, a potem  
wysztrelamy jak

psy. Z daleka. Bez ostrzeżenia.

Miał rację. Korpałow zacisnął zęby.

– Wracamy do skutera.

Wrócili truchtem, grzęznąc w  
skrzypiącym śniegu



i przepychając się między gałęziami.  
Potykając i prze-

wracając wśród wykrotów.

– Dasz radę zabić? – zapytał Iwan. – Ja  
dam. Mam

powody. Nikt nie ma tylu powodów co  
ktoś taki jak ja,

żeby do nich strzelać. Ale ty jesteś  
spokojnym, dobrym

człowiekiem. Będziesz potrafił?

– Mamy tu wojnę – powiedział twardo  
Korpałow.

– Tak, obywatelu Gorypin. To jest wojna. I to wojna

sprawiedliwa. Obronna.

– Dlaczego „Gorypin”? – spytał Korpałow kompletnie

osłupiały. Rozbitek uśmiechnął się chytrze pod komi-

niarką.

– Przy radiostacji w kuchni jest przylepiona taka

kartka. Tam jest adres i te... kody wywoławcze. I twoje

nazwisko: A.S. Gorypin.

Korpałow roześmiał się.

– Akurat. „Arnold Siergiejewicz Gorypin”. Chata

należy do Gorypina. Pożyczyłem ją na wakacje. To mój

przyjaciel. Pochodzi stąd, ale mieszka w Moskwie. Pudło,

Holmesie! Ja się nazywam Korpałow!

Buran wieje z tamtej strony

– Jak?! – krzyknął Iwan. – Nazywasz się  
Andriej

Stiepanowicz Korpałow?!

– O co chodzi?

Iwan zdjął z głowy myśliwską uszankę i  
cisnął przed

siebie, a potem zdarł z twarzy  
kominiarkę. Twarz miał

białą jak płótno.

– Co ci jest?

– Nic – odpowiedział drewnianym  
głosem. – Nic,

Andriusza. Słabo się poczułem. To nic.  
Posiedzę trochę,  
zaraz przejdzie.

Oparł się plecami o drzewo na skraju  
lasu, a potem

zjechał po nim na ziemię i tak siedział,  
masując skronie

i patrząc tępo na bezkresną połąć śniegu.  
Korpałow ru-

szył do niego, ale stanął zatrzymany  
stanowczym gestem

uniesionej dłoni.

– Milcz przez chwilę, Andriusza.  
Proszę. Daj posie-  
dzieć. Tylko minutkę.

Milczeli.

Korpałow przycupnął na siodle skutera,  
a Iwan siedział

pod drzewem, trzymając się za głowę.  
Korpałow nie wie-

dział, co robić ani co tamtemu się stało.  
W pewnym mo-

mencie wydało mu się, że Iwan  
Iwanowicz chyba cichutko

płacze. Odwrócił wzrok i bezmyślnie bawił się zamkiem

sztucera. Minęło kilka minut zupełnej ciszy. Między drze-

wami przebiegł jenot, ledwo widoczny w białym futerku.

– Daj papierosa, brat – odezwał się Iwan jakoś dziw-

nie martwo spokojnym głosem. – A sam zapal mojego

ostatniego „biełomora”. Na pamiątkę. Popatrz. Tę rurkę

trzeba pozagniatać, żeby zatrzymywała

smołę. Widzisz,

ustnik taki długi, żeby można było palić  
w rękawicy. Sy-

beryjskie papierosy. Dziwne, że takich  
nie macie.

156

Jarosław Grzędowicz

Korpałow zaciągnął się gryzącym  
dymem o aromacie

tlącej się konopnej liny i rozkaszłał.  
Wydawało mu się,

że wypluje płuca.



– Coś mi przyszło do głowy – odezwał się znowu

Iwan. – Idziemy się bić, różnie może być. Mogę nie zdążyć ci tego powiedzieć, a może być ważne. Popatrz tu.

Podszedł do skutera i odwrócił lusterko przymoco-

wane do kierownicy.

– Masz busolę? – zapytał.

Korpałow przytaknął i zaczął przeszukiwać kieszenie,

w końcu namacał w którejś metalową

puszkę pomalowa-

ną zielonym, wojskowym lakierem.

– Popatrz. – Rozbitek otworzył kompas i pokazał

okrągłe lusterko po wewnętrznej stronie wieczka. – Nic

się nie dzieje. Zwykłe lusterko. Ale spójrz teraz.

Przyłożył busolę do lusterka skutera. Oba zwiercia-

delka złapały własne odbicia, tworząc ciąg powtórzonych

w nieskończoność refl eksów.

– Lusterka znalazły się naprzeciw. W tym samym

miejscu. Utworzył się tunel. Tak powstało nasze przej-

ście. A teraz spójrz. – Przekręcił dłoń i busola upadła

w śnieg. – Koniec. Przejście zamknięte.

– Lusterka? – powtórzył osłupiały Korpałow. – Nie mo-

żesz przecież przez nie przejść. Co to za brama? To tylko efekt optyczny.

– Światy to nie odbicia – odparł zagadkowo Iwan. –

Ludzie nie lusterka. Zresztą to tylko model. Przemysł to

później. Teraz trzeba iść.

\* \* \*

Buran wieje z tamtej strony

157

Wrogów nie trzeba było długo szukać, sami się zna-

leźli. Sześciu. Pojawili się na szczycie wzgórza i zjechali jeden za drugim,

ubrani w białe, obszerne kombinezony

przekreślone czernią pasów, z  
nieprzyjemnie wyglądają-

cymi karabinami na plecach. Przez  
lornetkę widać było,

jak zjechali na dno kotliny i rozpierzchli  
się. Czterech

wyznaczyło rogi czworoboku i  
przyklęło, mierząc we

wszystkie strony świata. Pośrodku  
zostało dwóch. Jeden,

ozdobiony lornetką na piersi, rozłożył na  
śniegu mapę,

drugi majstrował przy wydobytym z plecaka pudełku.

Wymontował z niego słuchawkę na kręconym kablu i ma-

nipulował długo przy urządzeniu, a potem powiedział

coś do tego z mapą, kręcąc głową.

Widok nieprzyjaciół nie wzbudził w Korpałowie prze-

rażenia, tylko jakieś dziwne emocje. Ekscytację i jakby

złość. Kto wie, może w gruncie rzeczy naprawdę drzemał

w nim żołnierz? Nie podejrzewał się dotąd o takie rzeczy.

Trzęsły mu się ręce, ale raczej z napięcia.

– Może wróćą na swoją stronę? – wyszeptał do Iwana.

– Raczej nie. Wskazują na tamte wzgórza. Skończyli

jeden rekonesans, wrócili po śladach i wybierają się na

następny. Zresztą to bez znaczenia.

Przejdźcie i tak się nie zamknie. A te gady nie odpuszczają.

– Skąd wiesz?

– Wiem. Boże... musimy ich pozabijać – westchnął

rozbitek.

– Może jak zaczniemy strzelać, sami tam wrócą.

– Wątpliwe. No nic. Zrobimy tak: na brzegu lasu jest taki długi wykrot. Zapewni nam osłonę. Schowamy się za pniami jak najlepiej, obok siebie, i strzelamy ile wlezie. A potem cofamy się o metr w głąb lasu i rozbiegamy w obie strony.



Jarosław Grzędowicz

– Dlaczego?

– Będą strzelać w miejsce, gdzie byliśmy, i może je za-

atakują. Ale my wtedy będziemy po ich bokach, z dwóch

stron. Weźmiemy ich w kleszcze, to chyba tak się nazywa.

To trochę jak szachy. Ta pierwsza strzelanina daje nam

najwięcej szans, bo się nie spodziewają. Poczekamy, aż

znowu się ustawią w rzędzie, i walimy.  
Ty pierwszego, ja

ostatniego. I po kolei. Po każdej salwie  
trzeba zmienić

miejsce. Jaki to dystans?

– Jeżeli dobrze odczytuję z lornetki, to  
jakieś sto sześć-

dziesiąt metrów.

– Daleko. Trudno, nie ma rady.

Korpałow położył się między gałęziami  
i oparł lufę na

przysypanym śniegiem niewielkim

pagórku. Wystrzelił

dwie paczki naboju na strzelnicy podczas kursu Sybiraków.

To wszystko. Czuł, że mimo wściekłego, parzącego mro-

zu jest mu gorąco. W głowie słyszał głos egzaminatora:

„Zarepetować. Nie przykładaj twarzy do okularu. Zdejmij

zaśleпки. Wyreguluj lunetę. Policzek do kolby. Widzisz

krzyż celownika?”.

W dziwnie ostrym, żółtawym polu  
widzenia lunety

ten z lornetką miał surową, nieprzyjemną  
twarz, niczym

nauczyciel matematyki. Przypiął narty i  
ustawił się jako

pierwszy. Pozostali ruszyli gęsiego,  
miarowymi szusami,

pilnując, żeby narty jechały jedną  
koleiną i nie zostawiały dodatkowych  
śladów.

Gotów?

Skoncentruj się, Korpałow! Wdech...

Spust... Deli-

katnie, nie szarpać – ciągnąć. Niech strzeli, kiedy chce!

Bezpiecznik, Korpałow! Co się z tobą dzieje! Jeszcze raz!

Celownik! Wdech! Spust...

Buran wieje z tamtej strony

159

Karabin Korpałowa zaprojektowano w Szwajcarii

jako elegancką broń na grubego, niebezpiecznego zwie-

rza. Na tygrysy, niedźwiedzie,  
nosorożce, krokodyle.

Miał potężny nabój, taki sam jak w  
wojskowym cięż-

kim karabinie maszynowym, większy od  
jakiegokolwiek

stosowanego w broni myśliwskiej. Ale  
to nie wszystko.

Konstruktor uznał, że zwykły  
powtarzalny sztucer to

w takim wypadku za mało. Jeżeli ktoś  
już musi strzelać

do niedźwiedzia albo tygrysa, to jedna

kula nie wystar-

czy. Rozjuszony ranną zwierzę może też nie dać czasu na

skomplikowany czterotaktowy ruch przy repetowaniu,

które pada z magazynka następny nabój. Odryglować,

otworzyć, zamknąć, zaryglować. Nawet u doświadczonych-

go strzelca to prawie sekunda. Wymyślił więc podwójny

repetier. Sztucer miał dwie lufy, jedna nad drugą. Podczas repetowania

podwójny zamek pobierał dwa naboje  
naraz

i wpychał w dwie komory naboju.  
Jeżeli coś poszło

nie tak, myśliwy po prostu musiał  
namacać drugi spust

i strzelać po raz drugi. Wojskowy nabój  
bez trudu mógł

przebić szynę kolejową. Niósł na  
półtora kilometra.

Odrzut niemal złamał Korpałowowi  
obojczyk. Ogłu-

szający huk rozlał się po tajdze, strzelca



przysypały

drobinki śniegu. Nie miał pojęcia, czy  
trafi ł. Celownik

optyczny przysunięty zbyt blisko twarzy  
grzmotnął go

w kość jarzmową gumową muszlą  
wokół okularu. Za-

mrugał, opanowując ból, i natychmiast  
przygotował się

do drugiego strzału. W obiektywie  
mignęło coś ruszają-

cego się, więc ściągnął spust. Obok z  
przeraźliwym łomo-

tem grzmiała raz za razem śrutówka  
rozbitka. Kolorowe

tekturowe łuski śmigały znad jego  
ramienia przy każdym

ruchu czółenka.

160

Jarosław Grzędowicz

Gdzieś blisko wytrysnęły w górę  
wysokie fontan-

ny śniegu, pociski rozstukały się po  
pniach, rwąc korę

i gruchocząc gałęzie. Odgłos broni

tamtych przypominał

drewniany, pusty terkot, jakby ktoś  
przeciągał kijem po

płocie z desek.

Zobaczył, jak Iwan macha ręką, więc  
porwał swój

karabin i przyczajony tuż przy ziemi  
pognał wzdłuż lasu.

Raz obejrzał się przez ramię. Rozbitek  
mknął w swo-

ją stronę niczym pantera, machając  
trzymaną oburącz

strzelbą.

Korpałow odwrócił się i padł ciężko,  
objając so-

bie łokieć. Więc po to są w wojsku te  
niekończące się

„padnij!”. Podczołgał się ostrożnie do  
krawędzi. Cały

czas słyhać było stukot karabinów  
tamtych, pociski

trzaskały o pnie i rykoszetowały po lesie  
z jęśliwym

zawodzeniem.

Ostrożnie rozchylił gałęzie słanika i spojrzął przez

teleskop. Obraz skakał, trzeba było oprzeć łożę karabi-

nu o korzeń. Wszyscy tamci leżeli w śniegu, ale dwóch

zdażyło już podbiec w kierunku lasu i paść dobre trzy-

dzieści metrów dalej, korzystając z osłony dwóch pozo-

stałych, którzy leżąc, zamiatali krótkimi seriami po lesie.

W miejscu, gdzie leżał przed chwilą,

wszystko musiało

być posiekane. Przesunął polem  
widzenia, usiłując zoba-

czyć, co z pozostałymi dwoma. Pierwszy  
leżał na ziemi,

ale widać było, że się rusza, i to raczej  
zwawo. Spadł mu kaptur, ściągnięta  
ból i wściekłością surowa twarz  
nauczyciela pod szopą jasnych włosów  
wyglądała strasznie.

Dowódca przyciskał do uda garść  
prześlkniętego krwią

śniegu i wrzeszczał na pozostałych.  
Ostatni z leżących

na ziemi, z początku trzeci od końca,  
leżał na wznak

Buran wieje z tamtej strony

161

z rozrzuconymi rękami i patrzył w niebo  
połową twarzy.

Zamiast drugiej widać było bezkształtną  
miazgę i wielką,

szybko powiększającą się plamę rudego  
błota. Pocisk

typu breneka pozbawił go niemal głowy.

Zamiast grozy Korpałow poczuł ukłucie

zazdrości na

myśl o tym, że to Iwan go dostał, a on sam tylko ranił.

Co więcej, jeden strzał zmarnował.

Wszystkie te obserwacje trwały może sekundę. Dwaj

wysunięci do przodu żołnierze otworzyli ogień, a pozo-

stali dwaj zerwali się do biegu.

Dowódca zaciskał zębami

węzeł opaski uciskowej i już chwycił pod pachę koniec



jednej narty. Rozglądając się bystro,  
oparł kolbę karabinu o ziemię i  
przeładował nogą, po czym chwycił  
rękojeść

jedną ręką. Znowu rozgwiżdżały się  
pociski i zagrzmiała

strzelba Iwana.

Biegnący żołnierze dobiegli do dwóch  
wysforowa-

nych do przodu i minęli ich po obu  
bokach. Jeden z tam-

tych przekręcił się na bok, odpiął od  
swojej broni wygięty jak banan,  
dziwaczny magazynek i sprawnym

ruchem

założył następny.

Korpałow wstrzymał oddech i strzelił  
raz po raz w to

samo miejsce. Zrywający się do biegu  
żołnierz zwinął

się w pół skoku jak wilk i runął w śnieg.  
W tym samym

momencie Korpałow poczuł, jakby ktoś  
zdzielił go ki-

jem, krótki pień stłanika rozleciał się na  
drzazgi, wokół

ekspłodował śnieg. Wycofując się w głąb lasu, zobaczył

dowódcę, który podpierając się nartą jak kulą, walił do

niego z trzymanego jedną ręką automatu.

Nie czując większego strachu, tylko coś jakby gorycz

porażki, chwycił się za bark w okolicach szyi, ale namacał

jedynie rozerwaną kurtkę i garść ocieplającej włókniny.

Jarosław Grzędowicz

Pod spodem pianka była rozerwana, ale gruba wewnątrz-

na bluza – cała. Pocisk tylko prześlizgnął się po ramieniu, przebijając materiał.

Znowu przebiegł kawałek pod osłoną wykrotu i chi-

chocąc nerwowo, wyczołgał się w innym miejscu, nie

mogąc się już doczekać, kiedy zaczną strzelać. Adre-

nalina płonęła mu w żyłach i Korpałow

po raz pierwszy

w życiu poczuł upojenie walką.

Żołnierze zmienili szyk, zwracając się w jego stronę,

i wykonali ten sam manewr. Dwóch strzela, dwóch zmie-

nia pozycję i tak w kółko.

Zrozumiał wtedy, że go dostaną. Z każdą wymianą

strzałów byli coraz bliżej. Zostali napadnięci na otwartej przestrzeni, tymczasem stracili dotąd tylko dwóch ludzi.

Gdyby atak był dziełem zawodowych  
żołnierzy, byłoby

już po wszystkim. Tymczasem  
bezwzględna egzekucja

zamieniała się w coraz bardziej  
rozpaczliwą obronę. Wte-

dy dopiero Korpałow zaczął się bać.  
Odpędzając natrętne

myśli, by dobiec do skutera i wiać gdzie  
oczy poniosą,

przycisnął policzek do drżącej kolby.

Usłyszał krzyki i śmiech. Zrozumiał, że  
tamci go wo-

łają. Zapraszają, żeby zaczął strzelać, żeby się pokazał.

– No, dawaj, suka! – Poniosło się echem.

Rozbitek zaczął nagle strzelać. Raz, drugi, trzeci.

Chmury śniegu bryznęły w górę, jeden z leżących żołnie-

rzy targnął całym ciałem i krzyknął. Na białych plecach

kombinezonu pojawiły się czerwone piegi. Tylko trzy.

Iwan był za daleko.

Zmienił trochę pozycję.

Korpałow złożył się prawie bez celowania i trafił pod-

rywającego się żołnierza w sam środek pleców. Tamten

Buran wieje z tamtej strony

163

wyskoczył w powietrze w cudacznym piruecie i gruchnął

w śnieg. Korpałow przerzucił lufę w stronę dowódcy, któ-

rego bał się najbardziej, i przymierzył



staranniej. Pudło.

Tylko chmura śniegu wybuchła gdzieś za plecami tam-

tego. Pociski posiekały pnie wokół niego, jakiś kawałek

lodu trzasnął go w twarz.

Zarepetował, klnąc wściekle, i złożył się staranniej.

Nic. Suchy trzask sprężyny. Drugi spust. Nic.

Matko boska, pistolet!

Pistoletu nie było.

Pełznął rakiem, wtulił się pod jakiś pień  
i szukając

trzęsącymi się rękami po kieszeniach  
ładownika, zo-

baczył, że tamci podrywają się do ataku.  
Trzech. Jeden

nietknięty wysforował się już najwyżej o  
dwadzieścia

metrów od lasu, a tamten lekko ranny  
śrutem w plecy

i dowódca z przestrzeloną nogą kryli go  
ogłuszającym

ogniem. Szarpiąc się z zamkiem, słyszał,

jak co chwilę

kule wbijają się z trzaskiem w pień, pod którym leżał.

Z wizgiem pryskały zygzakiem po lesie, rykoszetując

od cedrów.

Spokój, Korpałow. Odryglować!  
Otworzyć! Założyć

ładownik! Wcisnąć amunicję! Wyjąć  
ładownik! Popra-

wić! Jeszcze raz! Zamknąć! Zaryglować!

Pień oberwał chyba kilkanaście razy.

Rozpadał się

dosłownie na drzazgi. Koniec. Jeszcze jedna zmiana

i już go mają. Tylko trzech, ale za to na jednego. Posta-

nowił przepelznąć w inną stronę i znaleźć pozycję do

strzału. Było blisko, a on miał celownik optyczny i mógł

strzelać raz po raz. Musiał trafić oba razy. Wychylił się i natychmiast oberwał w bark. Uderzenie cisnęło nim

o ziemię, karabin poleciał gdzieś w

prawo, przed oczami

164

Jarosław Grzędowicz

zapłonęły krwawe koła. Ból oblał mu  
ramię i bok jak

ukrop. Zabrakło oddechu.

Usłyszał krzyki. Ogień ustał.

– Tu jestem, gady! Dawać, ścierwa! –  
darł się Iwan

Iwanowicz.

Korpałow, stękając, podczołgał się

bokiem i znalazł

miejsce, w którym pień odstawał od  
ziemi i można było

spojrzeć pod spodem. Wychylił się  
bardzo powoli.

Iwan Iwanowicz stał na środku  
śnieżnego pola, z bra-

mą do swojego świata za plecami.

– No, dawać, bydlaki! Suki! Psy jebane!  
Skurwysyny!

Poderwał strzelbę do ramienia i zaczął  
walić raz za

razem. Bez sensu. Ładunki grubego śrutu są bardzo sku-

teczne, ale dopóki stanowią zwartą chmurę. Z każdym

metrem zaczynają się jednak rozpraszać i wokół żołnie-

rzy już wzbijały tylko gdzieniegdzie śnieg, nie czyniąc

nikomu krzywdy. Żołnierze unieśli się lekko, zerkając

to na krzaki, w których spodziewali się Korpałowa, to

w stronę strzelającego raz za razem

rozbitka.

– A ten co? Ochujał?! – krzyknął dowódca. – Kari-

mow, zdjęć to bydlę!

Nietknięty dotąd żołnierz uniósł się ostrożnie i przy-

klęknął, starannie składając się do strzału. Korpałow

rozejrzał się rozpaczliwie, ale karabin leżał kilka kroków od niego w śniegu.

Za daleko. Nie zdąży.

Wtedy wśród załadowanych w



pośpiechu śrutowych

naboi rozbitka trafi ła się ostatnia  
brenka. Wielki pocisk z ohydny  
chrzęstem wbił się w klatkę piersiową  
Karimowa, rzucając go na plecy. Ciało  
żołnierza wzbiło chmu-

rę pyłu i wyprężyło się dwa razy,  
zagrzebując w śniegu.

Buran wieje z tamtej strony

165

Iwan Iwanowicz spokojnie odrzucił  
strzelbę i założył

ręce za kark. Stał na tle kłębiącej się

leniwie burej mgły, mały i chudy, w zbyt  
obszernej szaro-granatowej pu-chówce  
Gorypina, a wiatr wiejący z tamtej  
strony wzbijał

wokół niego tumany śniegu.

Ranny w plecy żołnierz z wściekłym  
rykiem rzucił się

w jego kierunku, potykając się w śniegu  
i wymachując

karabinem.

– Gorodenko, nie! – wrzasnął dowódca.  
Cały czas

lustrował krzaki, w których mógł kryć

się groźny Kor-

pałow ze swoją snajperką, i mierząc  
trzymanym jedną

ręką automatem po drzewach,  
podskakując na zdrowej

nodze, kuśtykał za swoim podwładnym.

Naturalnie Gorodenko mógł po prostu  
podnieść

automat i zdjąć rozbitka jednym  
strzałem. Ale widok

bezczelnie poddającego się  
przeciwnika, bezpośrednio po

zabiciu Karimowa, doprowadził go do  
szału. Stanowczo

wolał najpierw skopać wroga, napluć  
mu w twarz i do-

piero potem ewentualnie zastrzelić.

Korpałow wyczołgał się z krzaków i  
dopadł karabinu.

Nie był w stanie podnieść go jedną ręką  
jak dowódca

swój automat. Szwajcarski podwójny  
repetier był ciężki

jak nieszczęście. Oparł zamek o kark i  
ruszył biegiem.

Lewe ramię zdrętwiało i ćmiło tępym bólem. Mógł nim

poruszać i, o dziwo, kości nie były chyba pogruchotane,

ale nie był w stanie niczego podnieść ani podeprzeć.

Zdażył dobiec na tyle blisko, żeby zobaczyć dokładnie,

co się stało. Kiedy Gorodenko znajdował się o pięć metrów od rozbitka, ten nagle wyjął zza kołnierza zaginiony pistolet Korpałowa i strzelił mu trzy razy w pierś. Pociski zatrzymały żołnierza jak niewidzialna, elastyczna ściana.

Jarosław Grzędowicz

Dowódca wydał z siebie wściekły ryk i  
stając na jednej

nodze, złożył się do strzału. Ułamek  
sekundy później

uwięziony między krzakami Korpałow  
zrobił dokładnie

to samo.

Drewniany stukot automatu wyprzedził o  
pół se-

kundy podwójny, grzmiący wystrzał

repetiera. Bok do-

wódcy przeszyty dwoma  
wielkokalibrowymi pociskami

ekspłodował chmurą krwi i żołnierz  
runął w śnieg jak

worek szmat.

Iwan Iwanowicz leżał na plecach, z  
rozrzuconymi na

boki rękoma, w idealnie okrągłej  
czerwonej plamie. Podziurawiona  
klatka piersiowa dygotała mu  
spazmatycznie, palce zakrzywiały się i  
chwytały mokry od krwi śnieg.

Korpałow

gruchnął na kolana i zdrową ręką uniósł mu głowę.

– Zrozumiałem, co próbowałaś mi powiedzieć – wy-

krztusił Korpałow. – Zrozumiałem, co mówiłaś o lu-

strach, Andriusza.

Rozbitek zakrztusił się różową pianą. I chwycił Kor-

pałowa kurczowo lepкими od krwi dłońmi za pierś. A po-

tem dźwignął się z wysiłkiem i przekręcił na bok, chcąc



zobaczyć bramę.

Ale bramy nie było.

Była tylko ściana mgły, powoli  
roziewającej się

i niknącej – jak zwykła mgła.

– Brat... – wycharczał rozbitek. –  
Pamiętaj, brat...

I nagle puścił kurtkę Korpałowa.

Korpałow stał nad nim, przełykając łyzy i  
czując, jak

marzną mu na policzkach. Jeszcze nigdy  
nie był tak

zmęczony.

Odkąd padł pierwszy strzał, upłynęło  
niecałe sześć

minut.

Buran wieje z tamtej strony

167

Mgła rzedniała i siedem ciał ludzi z  
innego świata

blakło i rozwiewało się tak samo jak  
ona. Znikały kara-

biny, buty oraz mundury, mapa i  
radiostacja, nawet łuski.

I krew. Została tylko ta utoczona z  
Korpałowa. I jeszcze

plątanina śladów, i wygniecione kształty  
na śniegu. Znikł

wbity w jego ramię zrykoszetowany,  
słaby pocisk, a nawet

wpalony w tkanki smar i resztki kordytu.  
Została czysta

półtoracentymetrowa rana. I  
przestrzelone w pięciu miej-

scach stare ubranie Gorypina leżące na  
śniegu.

\* \* \*

Krzyż nie wyszedł bardzo piękny.  
Korpałow nie był

ani rzeźbiarzem, ani cieślą, a na dodatek  
ramię trochę

mu dokuczało, zwłaszcza na mrozie. Był  
jednak w koń-

cu plastykiem i coś takiego umiał zrobić  
przynajmniej

porządnie.

Chciał, żeby krzyż był trwały, i  
postanowił, że z cza-

sem postawi tu kamienny.

Napis wykonał prosty i bez ozdóbek.

W TYM MIEJSCU ZGINAŁ

ŚP. ANDRIEJ STIEPANOWICZ  
KORPAŁOW II

ZNANY JAKO „IWAN IWANOWICZ”

CZEŚĆ JEGO PAMIĘCI

\*1941 † 1973

Korpałow przeżegnał się i przyklęknął,  
zapalając

świecę. Potem wstał i odkręcił butelkę  
wódki. Drugi kie-

liszek wetknął w śnieg. Obok położył na  
rozwiniętym

papierze pokrojoną „myśliwską”.

168

Jarosław Grzędowicz

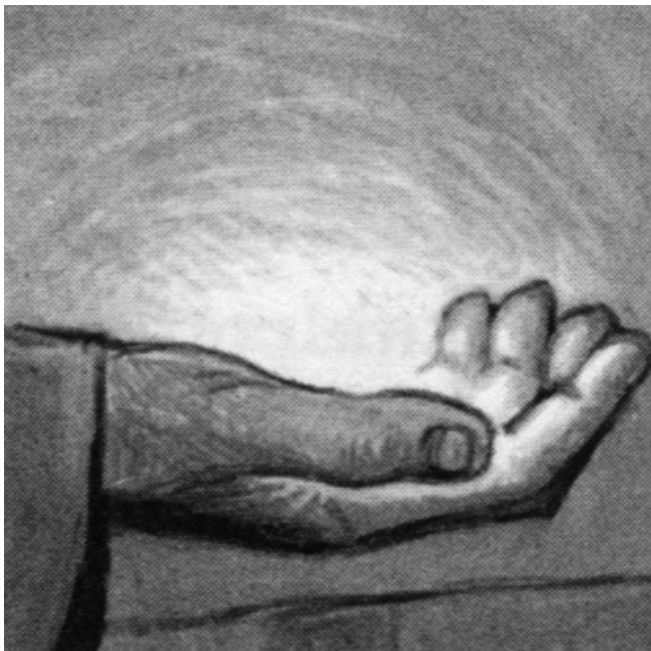
– Twoje zdrowie, Iwanie Iwanowiczu.  
Nie gniewaj się,

ale w przyszłym roku jednak pojedę na  
Krym. Podoba-

łoby ci się tam.

Mróz zelżał, a świeca paliła się równo.

Buran ustał.



Obrona konieczna

Było ich pięciu. Wtedy, jeszcze na studiach, wydawali się praktycznie nierozłączni. Razem wkuwali do sesji, razem siadywali wieczorami, wznosząc puchary i śpiewając pieśni. Nazywali siebie „Bractwem”. Wiedzieli, że mogą liczyć na wszystkich i każdego z osobna, niczym muszkietierowie.



Tym bardziej nie potrafili zrozumieć,  
jak to się

stało, że od blisko piętnastu lat nie udało  
im się zasiać w tym samym gronie. Od  
czasu do czasu zdarzało

się, że dwóch lub trzech mogło się  
wyrwać na parę

godzin i odpocząć w jakimś pubie nad  
kufl em piwa.

Wszyscy – nigdy.

Przyczyny były banalne. Praca, żony,  
dzieci, obo-

wiązki. Zawsze przydarzało się coś, co

eliminowało co

najmniej dwóch przyjaciół.

Skoordynowanie wolnych

chwil pięciu zajętych facetów

równocześnie okazywało

się całkowicie niewykonalne.

170

Jarosław Grzędowicz

Udało się dopiero teraz. Po piętnastu  
latach. Zostawili

za sobą trzy nadęte żony, jedną obrażoną  
kochankę i jed-

ną rozgoryczoną narzeczoną. Zostawili  
też ostentacyjnie

pięć wyłączonych telefonów  
komórkowych. Koniec. Bra-

ctwo spotyka się po raz pierwszy od  
piętnastu lat.

W chałupie Sopera. Na działce.

Drewniany domek stał w głębi lasu,  
odseparowany

tak dokładnie od cywilizacji, że mógłby  
tam zamiesz-

kiwać pustelnik. Zakupy w pobliskim  
sklepie to była

osobna wyprawa, wymagająca  
samochodu albo przy-

najmniej roweru.

Jednak chatkę zaopatrzone w doskonale  
zaprojek-

towany kominek, który błyskawicznie  
ogrzewał całe

wnętrze, mieli opał, prąd i zapasy. Nic  
więcej nie po-

trzebowali.

Biesiada Bractwa trwała już drugi  
dzień. I rzeczywi-

ście, pili jak w dawnych czasach. Tu nie było nikogo, kto mógłby im powiedzieć: „Jutro będzie cię bolała głowa”

albo „Jak ty się zachowujesz!”, albo „Nie masz już dwudziestu lat!”.

Mieli wrażenie, że rozstali się wczoraj.

Temat zagrożeń pojawił się samoistnie. Z powodu

twarży Hawranka. Na trzy dni przed spotkaniem Hawra-

nek stracił samochód. W wyjątkowo paskudny sposób.

Dwóch roślących byczków wywlokło go  
zza kierownicy,

skatowało na środku skrzyżowania  
wśród dziesiątków

patrzących w inną stronę ludzi, a potem  
spokojnie od-

jechało jego eksplorere, uwożąc fi  
rmowego laptopa,

wszystkie dokumenty, pieniądze i nawet  
zakupy, które

zdażył zrobić. Na szczęście niczego mu  
nie złamali. W tej sytuacji temat obrony  
koniecznej wracał jak bumerang.

– A ja raz się obroniłem – opowiadał  
Maciek z gory-

czą. – Zdybałem dwóch gówniarzy,  
którzy włamywali mi

się do mieszkania. Jeden czmychnął od  
razu przez balkon,

drugi rzucił się na mnie. Szczeniak miał  
łom, a ja złapa-

łem laskę po dziadku, która wisiała w  
przedpokoju.

– Zdrowie Maciejasa! – Wszyscy mieli już nieźle

w czubie i na to małe zwycięstwo zareagowali z en-

tuzjazmem, odpowiednim raczej dla kompanii siedemna-

stowiecznych szlachciurów niż grupki statecznych džen-

telmenów o nieco zredukowanym owłosieniu i jednak

zauważalnych piwnych mięśniach nad paskami.

– Czekaście! – Maciejasa bezskutecznie



przekrzykiwał

bojowe wrzaski. – Wiecie, o co mnie oskarżyła prokura-

tor? Wcale nie o przekroczenie obrony koniecznej. Nie

mogła. Więc wytoczyła mi sprawę o udział w bójce. We

własnym domu. Darła się na mnie, że nie jestem w Anglii

i mój dom nie jest żadną twierdzą, a ja rozbiłem dziecku

głowę. Dziecku, macie pojęcie?

Zapadła grobowa cisza.

– Nalej, Saper – powiedział ponuro  
Hawranek i po-

macał spuchnięty, fi oletowy policzek.  
Opuchlizna wylazła mu aż na czoło,  
przez co wyglądał jak neandertalczyk. –

Najlepiej byłoby mieć pistolet.

– Zapomnij. Jesteś politykiem?  
Milionerem? Nie?

Więc nie dostaniesz. Choćbyś się  
skichał. Wiatrówkę

sobie możesz kupić. Jeżeli napadną cię  
krasnoludki, to

je wystrzelasz jak psy.

– Proca. Proca na stalowe kulki. Mój szwagier miał taką

na działce. Próbowali mu gwizdnąć samochód. Skończyło

się na regularnym oblężeniu. Wiesz, jak wali taka proca?

Przy mnie przestrzelił metalowe wiadro. Na wylot.

172

Jarosław Grzędowicz

– Tak, a o co go oskarżyli? O napaść na

przedszkole?

– Tamci uciekli, Bogu dzięki. Ale teraz się boi, że mu

spalą chałupę.

– Powinno być jak w Stanach –  
mamrotał Hawra-

nek. – Jeśli ktoś włazi na twój teren,  
powinieneś mieć

prawo go zastrzelić. Tam tylko  
sprawdzają, z której strony ma dziurę.  
Jeśli z przodu, to znaczy, że intruz.

– A jak przestrzelisz na wylot?

– Przecież widać, która jest wlotowa.  
Polej.

– Zamierzam nosić szablę – wygłosił  
Maciej, waląc

pięścią w stół. – Sprawdziłem. Można  
pod warunkiem, że

nie nosisz w ukryciu. Z szablą w ręku  
jesteś niepokonany.

Gość z bejsbolem nie ma szans. Dopóki  
nie wyciągnie

spluwy...

– Przecież zamkną cię w psychiatryku.  
Po ulicach

będziesz chodził z tą szablą?

– Pewnie. W razie czego będę mówił, że niosę do re-

nowacji.

– To nieporęczne. Może gaz?

– Gaz jest do kitu. Wiatr powieje i sam się załatwisz.

– A wiecie, że mojego szefa zaskarżył włamywacz?

Bandzior spadł z jego własnych schodów, bo złamał się

stopień. Szefa oskarżyli o to, że zastawił

pułapkę. Prawo zabrania. Zakaz. Jeśli podłączysz kłamkę do akumulatora, idziesz do pierdła.

Zrobiło się smutno. Gospodarz nalał następną kolejkę,

ale sam wypił z trudem. Najwyraźniej nie czuł się najle-

piej. Pomarkotniał i z wysiłkiem przełykał ślinę.

Zeszło na bezpieczeństwo domków działkowych.

Każdy miał jakiś tam domek i każdy został co najmniej

kilkakrotnie obrobiony. Przez długi czas panowie licyto-

Obrona konieczna

173

wali się na najgłupsze przedmioty, jakie im dotąd ukra-

dziono. Wysoko na tej liście stało robocze ubranie Górala, w które włamywacz przebrał się, pozostawiając na pod-

łodze własne. Przebił go Hawranek, któremu kompletnie

zdeprawowali drzwi za dwa tysiące, by



skraść dziurawe

wodery i trąbkę wiszącą na ścianie jako dekoracja.

Z kolei Szymon postradał zabytkowy sowiecki te-

lewizor i pompę. W tym był może jeszcze cień sensu,

jednak żeby zdobyć te przedmioty, bandyci wyłamali

drzwi i wyrąbali podłogę, włącznie z konstrukcyjnymi

legarami, bo skarby znajdowały się w piwnicy. Metal-

wym drzwiczkom mianowicie nie dali rady.

Saper koniecznie chciał również coś opowiedzieć, ale

najwyraźniej poczuł się dziwnie i opuścił zgromadzenie,

żeby odświeżyć się w łazience.

Pozostali dżentelmeni

z powodu czystego leśnego powietrza i adrenaliny czuli

się kuloodporni i kontynuowali biesiadę.

Na dworze sypał śnieg. Przyjaciele siedzieli wokół sta-

regu stołu, polana płonęły z trzaskiem w kominku. Było

przytulnie i miło, dopóki się nie pamiętało, że w każ-

dej chwili może się tu zjawić kilku bandytów i zrobić,

co tylko zechcą, bo mają swoje prawa. Ofiary nie miały

żadnych.

W butelce pokazało się dno. Góral i Maciejas spraw-

dzili w lodówce, a potem z rosnącą paniką na werandzie

i w piwniczce, gdzie złożyli większość  
zapasów. Sapera

nie można było pytać, bo zniknął.  
Wreszcie wrócili do

pozostałych z hiobową i przerażającą  
wieścią. Skończyły

się napoje.

Wyprawa gdziekolwiek samochodem nie  
wchodziła

w grę. Żaden z przyjaciół nigdy nie  
prowadził po alko-

Jarosław Grzędowicz

holu. Nawet gdyby któryś postanowił  
sprzeniewierzyć się

rozumowi, żaden nie był w stanie.

Hawranek nie był człowiekiem, który  
łatwo się pod-

dawał. Jeszcze raz przeszukał kuchnię,  
dokładnie prze-

glądając wszystkie zakamarki, aż nagle,  
gdy już wszyscy

stracili nadzieję, odkrył skarb.

Zapomnianą, nie wia-

domo jakim cudem, gdzieś za garnkami  
litrową butlę

cytrynowego bolsa. Powitały go owacje.

Uroczyście złamał plombę nakrętki i  
nalał wszystkim

kolejkę. Wypili.

Temat powrócił.

– Kiedyś chciałem jak z ludźmi –  
opowiadał Góral. –

Zostawiłem na stole flaszkę i kartkę:  
„Kochani włamywa-

cze. Tu nie ma kompletnie nic

wartościowego. Wypijcie

na zdrowie i idźcie do domu”. A kiedy przyjechałem na

wiosnę, chałupa była kompletnie zdemolowana, a na

kartce dopisano: „postaw litra bo cie spale”.

Saper wrócił z łazienki jak nowy i podstawił kieliszek

pod kolejną porcję. Taki już był Saper. Niewywracalny.

Zregenerował się i powrócił w świetnej formie, gotów

biesiadować dalej.

Po kolejnej półgodzinie nagle sobie przypomniał:

– Wiem, co chciałem opowiedzieć.  
Mnie tę chału-

pę obrobili z osiem razy. Coś we mnie pękło, kiedy nie

ukradli niczego, natomiast nafajdali na samym środku

salonu. Dosyć. Wiecie, że jestem farmaceutą. Kupiłem

dobrą wódkę i spreparowałem.  
Wpuściłem do środka



taki lek do anestezji. Coś podobnego do tego słynnego

Pavulon. Syntetyczny odpowiednik kurary, tylko że

silniejszy. Wali w układ nerwowy, nie zostawia śladów.

Kiedy wyjeżdżam, wyjmuję tę wódkę z ukrycia i zоста-

Obrona konieczna

175

wiam w lodówce. Wcale nie na wierzchu, żeby nie nabrali

podejrzeń. Jeden kieliszek i po  
zawodach. Dwie godziny,

a potem do Bozi. Nic nie pomoże. Nie  
ma odtrutki. Dla-

czego tak na mnie patrzycie? Coś się  
stało?

Milczeli.

Długo. Strasznie i martwo, patrząc to na  
siebie, to

na butelkę.

– Już wszystko jedno... – oświadczył  
głucho Góral. –

Polej, Saper. Strzemiennego.



Pocałunek Loisetty

To prawda, co o panu powiadają,  
mistrzu Dourville?

– A co takiego?

– Że umie pan wejrzeć w winę  
człowieka, że każdego łotra widzi  
pan na wylot, jakby byli ze szkła.

Że nic się przed panem nie ukryje.

– Prawda, panie dragonie –  
odpowiedział Dourville. –

Ale tylko tych, którzy są mi  
przeznaczeni.

– A jeżeli okaże się, że są niewinni?

– To zależy. U nas w Corvignac prefekt mnie zna. Po-

kazuje mi w sekrecie delikwentów, zanim wyda wyrok.

A gdzie indziej... Mamy rewolucję. Nie mogę kaprysić.

– Ścina pan?

– Taki fach, panie ofi cerze. Jak i pański.

Rotmistrz zamilkł, przygryzając wąsy. Dourville pa-

trzył na niego spod podróżnego

trójgraniastego kapelu-

sza. Woda ciurkała z dzioba zawiniętego  
ronda niczym

z rynny, mlaskała pod obręczami kół,  
chlapała pod koń-

skimi kopytami.

178

Jarosław Grzędowicz

Rotmistrz dąsał się przez chwilę na takie  
porówna-

nie, ale widać było, że rozpiera go  
ciekawość. Co chwilę

zerkał na wóz. Na opakowane  
nasmołowanym płótnem

skrzynie, w których jechała.

Loisetta...

Jego ukochana.

Jego najśłodsza przyjaciółka. Loisetta.

– Trzyma ją pan w domu?

– A gdzieżby indziej? Mam suchą szopę.  
Dziadek ją

jeszcze zrobił.

– Straszne. A co na to pana żona?

– A pan szablę, panie rotmistrzu, gdzie trzyma?

Chłopi wychodzili na drogę pomimo ulewy i w mil-

czeniu patrzyli na wóz o barwie byczej krwi, toczący się

drogą w eskorcie dragonów. Na skrzyni pod mokrym

płótnem. Przybyła...

Sprawiedliwość.

Ktoś się przeżegnał. Jakaś kobieta zasłoniła usta



w przerażeniu.

Za wozem toczyła się kolasa. Justyna siedziała w mil-

czeniu, z głową nakrytą mantylą.

Milczała tak od ty-

godnia i będzie milczeć jeszcze tydzień po egzekucji.

W milczeniu będzie kłaść się spać i milcząc, wstanie rano blada, z sińcami pod oczami. Będzie modlić się i milczeć.

Wzdychać i odwracać się do ściany.  
Jemu zostanie tylko

to jej milczenie i wino. I sny.

Loisetta.

Jestem głodna – *krzyczała w jego snach*  
*Loisetta.*

*Bosa, z nagą piersią, z dzikimi oczami*  
*pod frygijską czapką.*

*Będzie tańczyć karmaniołę na*  
*przesiąkniętych posoką troci-nach.*  
*Dopuszcza go do siebie tylko po*  
*egzekucji. Tylko raz.*

Pocałunek Loisetty

*Pośród ogni i dziko tańczącego,  
bezglowego tłumu.*

*W krwawym deszczu.*

Jestem głodna.

Dourville wzdrygnął się i trącił nogą  
Barnabę sie-

dzącego z przodu na koźle. Pomocnik  
szafotowy nawet

na niego nie spojrział, tylko od razu  
podał bukłak z wi-

nem.

Lało coraz mocniej.

Kiedy wjechali do Montesour, ulice były puste. Górą,

nad dachami, ciągnęły rozmazane szare chmury. Krakały

wrony.

– Dawnymi czasy musielibyśmy zatrzymać się pod

miastem – powiedział Dourville.

– Stanie pan w zajeździe „Pod Tańczącym Kapłonem”,

bardzo stosowna nazwa – zakpił rotmistrz. – Potem ma

się pan zameldować w merostwie. Teraz  
mamy wiek

roзумu, jesteśmy nowocześni. Może pan  
już wchodzić

w mury miasta.

– Doceniam, obywatelu. Co stałoby się z  
republiką,

gdybym w nie nie wchodził?

Zajazd stał prawie w rynku nazwanym  
placem Bła-

watnym. Belkowany strop, ciemne  
wnętrze, okopcone

ściany. Pachniało kapustą, bazylią i skwaśniałym wi-

nem.

Dourville zrzucił przemoczony skórzany płaszcz oraz

podróżny kapelusz, założył suche odzienie.

– Zjedzcie kolację z Barnabą i Ludwikiem. Ja idę do

prefekta. Potem niech mały szybko idzie spać. Rano ma

być wyspany.

– Czy to... już jutro? – wyjąkała Justyna.

– Nie.

180

Jarosław Grzędowicz

– Nie zmuszaj mnie, żebym go  
przyprowadzała. To

nie jest widok dla chrześcijańskiego  
dziecka.

– To jest dziecko wieku rozumu i  
rewolucji. I gilotyny.

Chrześcijaństwo się skończyło –  
warknął sucho.

– Jesteś potworem.

– Jak każdy człowiek, Justyno.

– Dlaczego za ciebie wysłałam?

– Bo nikt cię nie chciał, kobieto. Jesteś córką kata i żaden z tych hipokrytów nie zechciał cię tknąć nawet kijem.

Mogłaś wyjść tylko za kata i urodzić kata. Tak było i tak będzie. Bo się nas brzydzą, ale nie umieją bez nas żyć.

Takie jest twoje miejsce na ziemi, niewiasto. Nikt inny

cię nie zechciał. Tylko ja.



– Ty też mnie już nie dotkniesz. Masz krew na rękach.

– Bądź zdrowa, Justyno.

Postawił kołnierz płaszcza i poszedł do merostwa.

Wokół wozów na placu Bławatnym mimo deszczu zebra-

ło się już kilkoro gapiów i usiłowało dotknąć mokrych

płacht, pod którymi spała Loissetta.

Rotmistrz wystawił

pikietę czterech wartowników z muszkietami. Opodal

cieśle wyładowywali deski i belki na budowę szafotu. Po-

winien dawno już stać. Amatorszczyzna. Prowincjonalna

dziura. Dourville wyjął cienkie cygaro i odgryzł końców-

kę, po czym pogardliwie wypluł ją na mokry bruk.

W tłumie zobaczył ją albo tak mu się zdawało. Prze-

moczone, wijące się kędziory, dzikie oczy pod frygijską

czapką. Jego ukochana...

Nie. To tylko jakaś zwykła dziewczyna.

Prefekt był niskim, grubawym jegomościem. Co

chwile drapał się pod sfilcowaną peruką i zacierał pul-

chne dłonie, jakby panował mróz.

Pocałunek Loisetty

181

– Eee... pan jesteś mistrz Dourville?

– W rzeczy samej, sire.

– Szafot już kazałem postawić. Ma pan

jeszcze jakieś

życzenia, obywatelu?

– Cztery worki trocin. Kosze wiklinowe.  
Cztery. Nie

wyższe niż na dwie stopy. Chciałbym  
móc, za pozwo-

leniem, porozmawiać z cieślą. Szafot ma  
mieć poręczę.

Solidne.

– Pan nosi szpadę, obywatelu  
Dourville? – odezwał się

chudy jegomość w czerni, z trójbarwną

kokardą przypiętą

do surduta.

– To rewolucyjny prokurator, obywatel  
Sarrate –

przedstawił prefekt.

– Przywilej mego urzędu, sire –  
odpowiedział Do-

urville.

– Burżuazyjny przywilej, jak miemam?

– Bardzo stary, sire. A rewolucja go nie  
zniosła.

Śmiem twierdzić, że teraz bardziej potrzebny niż kie-

dykolwiek.

– Kiedy postawi pan... machineę?

Zawsze ta sama ciekawość, pomyślał Dourville. Prze-

raża ich i fascynuje. Kupują jej miniatury i stawiają na

kominkach. Obcinają nimi cygara, dają dzieciom do

zabawy. Kobiety teraz upinają włosy powyżej linii cię-

cia i zakładają szkarłatne wstążki na szyje, tam gdzie

Loisetta złoży swój pocałunek. Machina dyktuje nawet

modę. Ale przecież żadne z nich nie siądzie ze mną do

stołu. Nikt nie poda mi ręki. Stroją się w piórka pre-

fektów, sędziów i prokuratorów, ale zawsze zadają te

same dziecinne pytania: Jak pan myśli, czy potem gło-

wa jeszcze żyje albo ciało? A czy to

boli? A ilu ludzi

182

Jarosław Grzędowicz

już pan ściał? A nie dręczą pana  
koszmary? A trzyma

pan ją w domu? Nie przestanie ich  
fascynować, są w jej

władzy. To Loisetta rządzi Francją.  
Liczy się tylko jej

głód. Obudzili ją. Tylko nie zdają sobie  
z tego sprawy.

Podejrzewają, że nikt już tego nie



pilnuje, nikt nad tym

nie panuje. Codziennie spada ostrze.

Dziesiątki, setki

razy. Bez wyboru. Loteryjka. Widzą to,  
odkąd pożarła

nawet Dantona. Loisetta jest głodna.

– Pan pobladł, obywatelu – sucho  
zauważył prokura-

tor. – Pana mierzi nasza rewolucyjna  
sprawiedliwość? Tak

jak tego paryskiego oprawcę... Henri  
Sansona?

– Sansonowie ścięli nawet króla, sire.  
Nasza robota

ciąć. Wasza wskazywać kogo.

– Rewolucja wymaga ofiar, obywatelu  
Dourville.

– Do usług, sire.

– Wśród rojalistów będą też trzy  
kobiety. To robi panu

jakąś różnicę?

Zawsze te same pytania.

– Za pozwoleniem, mnie nic nie robi  
różnicy.

– Doprawdy? Żadna to różnica ściąć kobietę?

– Gryzą. Trzeba uważać na palce.

– Słyszałem co innego. Słyszałem, że ma pan szcze-

gólny dar osądzania winy, obywatelu.  
Lepszy niż rewo-

lucyjne sądy.

– Plotki, sire. Zabobony. Ja jestem, by  
ciąć.

– Mistrzu, pozwoli pan ze mną podpisać  
papiery –

przerwał prefekt. – Potem chciałbym  
panu jeszcze kogoś  
przedstawić.

Dourville przeszedł do kancelarii i  
podpisał niezli-

czne dokumenty dotyczące tuzina  
skazanych.

– Dużo.

Pocałunek Loisetty

183

– Nie mieliśmy dotąd prawie  
rewolucyjnych sądów.

Nazbierało się przez rok. Kiedy tylko  
prokurator Sarrate

przybył, od razu rozwikłał spisek  
rojalistów. Nie zmęczy

się pan?

– Szafot musi mieć poręczę. W zeszłym  
roku syn San-

sona pośliznął się we krwi i złamał  
obojczyk. Ja chcę, żeby wszystko było  
jak należy.

– Rozumiem. Ale oto i nasz doktor.  
Mistrzu Dourville,

to obywatel Lacroix, nasz naturalista.

Chudy, wysoki niczym tyka do grochu,  
blady jego-

mość uścisnął Dourville'owi dłoń, co  
ten przyjął z za-

skoczeniem, ale i pewną przyjemnością.  
Podobnie jak on,

doktor nie gustował w perukach i  
ściągnął włosy z tyłu

głowy kokardą.

– Mistrzu Dourville, zaszczyci mnie pan  
rozmową?

Może wypije pan kieliszek wina? Na  
pewno pan zdrożony.

– Do usług, sire.

Poszli do „Tłustej Gęsi” na samym rynku. Z zewnątrz

dobiegał stukot młotów cieśli, którzy zbijali szafot. Dourville położył kapelusz na stole. Zapalono świece.

Doktor

zamówił wino, pasztet i ser.

– Co pan sądzi o skazanych?

– Nic nie sądzę, sire. Nawet ich nie widziałem. Dla-

czego?

– Pański dar... Słyszałem o tym. Proszę wybaczyć, ale

ja wierzę w rozum. W postęp. W naszych czasach takie

gusła nie powinny mieć miejsca. Z drugiej strony to, co

o panu mówią, może to jakiś dar natury...  
Wybaczy mi

pan kilka dzieciennych pytań?

– Proszę pytać, doktorze, ale za pozwoleniem, nie

rozumiem, do czego pan zmierza.



Jarosław Grzędowicz

– Od dziewięćdziesiątego trzeciego  
ścina pan na

rozkaz rewolucyjnych sądów. Znajduje  
pan winę w tych

wszystkich ludziach? Ja jestem  
lekarzem, fi lozofem. Przy-rodnikiem.  
Nie rozumiem tego, co się dzieje. Po co  
ta

masakra?

– Niech pan pyta prokuratora Sarrate'a.

– Niespieszno mi spotkać się z panem  
służbowo. Roz-

mawiamy w cztery oczy, mistrzu. Ja  
popieram rewolucję,

bo to miały być rządy rozumu. Wolność,  
równość, brater-

stwo... A to, co się dzieje teraz, mnie  
bardziej przypomina inkwizycję. Ledwo  
ten Sarrate przyjechał, zaraz wygarne-

li z szufl ad prefektury donosy. Sąsiadka  
pisze na sąsiadkę, bo chłop się za nią  
ogłąda. Dłużnik na wierzyciela. Brat

na brata, bo jest drugi do schedy. Baba  
na młodą wdowę,

bo zazdrosna. A pan będzie musiał ich  
ściąć. Ma pan

opinię sprawiedliwego. I jeszcze w  
jakiś nadprzyrodzony

sposób rozpoznającego prawdę. Co pan  
zrobi?

– Jestem katem, doktorze, nie sędzią.  
Nie ma co

u mnie szukać sprawiedliwości ani  
miłosierdzia. A teraz,

pan pozwoli, chcę się już położyć.  
Muszę też rozmówić

się z cieślą...

– Błagam, niech pan siedzi. Źle zacząłem tę rozmowę.

Pan sądzi, że jestem prowokatorem, prawda? No, niechże

pan usiądzie. Mistrzu, niech pan posłucha. Słyszał pan

o Bestii z Chaverone?

– Słyszałem i cóż? Kto nie słyszał?

– Jest jednym z tych dwunastu. I to ja sprawiłem, że

go złapano. Jeżeli ktokolwiek zasługuje na spotkanie

z panem, to właśnie on. Chcę, by go pan zobaczył. Ale

najpierw proszę, by towarzyszył mi pan jutro do jego

zamku.

Pocałunek Loisetty

185

– A po co?

– Niech pan obejrzy to, co tam znalazłem. Niech mi

pan pomoże zrozumieć.

– Co pan chce zrozumieć?

– Naturę złą.

– Ludzie są źli z natury, doktorze. Nie muszę oglądać

zamku jakiegoś szalonego barona, żeby to wiedzieć. Nic

w nich nie ma, tylko chęć zaznania przyjemności. Nic,

tylko instynkt. Kochają dzieci, bo kochają własne uczucie do nich. Swoją własność. Kiedy płaczą po czyjejs śmierci, to tylko nad sobą. To jedyne zwierzęta zdolne do bezinte-resownej podłości, które potrafi ą to tłumaczyć

wyższymi

celami. Pan mnie pyta, jak to jest, że jeden, pańskim

zdaniem, zasługuje na śmierć, a ja zetnę dwunastu. A ja

panu powiem, że żadne z nich nie zasługuje na życie. Ten

pański baron zabijał dziewczki dla zabawy, ale pozostali

pewnie zrobiliby to samo, gdyby wymyślili dostatecznie

dobry powód. On miał choć tyle odwagi, by to robić dla

kaprysu. Sam pan mówił, że na nich donieśli najbliżsi.

Sąsiedzi, krewni. Przecież ich zabili. Z zemsty, zawiści

albo chciwości. A czym od tej Bestii różni się choćby

prokurator Sarrate? Oni tylko zabijają moimi rękami. Ot

i cała różnica. Ja zresztą pewnie zabiłem więcej ludzi niż on. I nikt mnie nie nazwie bestią. Dlaczego? Bo robię to

na rynku i podpisuję przedtem jakieś papiery? Wyborny



pasztet, doktorze. Dlaczego pan nie je?

– Pan nie wierzy w postęp?

– To niebezpieczne pytanie, doktorze.

Ale po praw-

dzie ja zabijam postępowo. Moją  
machinę wymyślił hu-

manista. Lekarz, który chciał, by  
egzekucje były huma-

нитарne i szybkie. Dobrze zresztą zrobił,  
bo jakieś dwa

186

Jarosław Grzędowicz

lata temu ogłoszono go angielskim szpiegiem i sam ją

wypróbował. Ale gdyby nie doktor Guillotin, ścinałbym

toporem. Niemcy dalej tak robią i też jest dobrze.

– Ależ to jednak jest postęp. Mgnienie oka i...

– Głowy żyją w koszu, doktorze.

– Nie wierzę panu. Doktor Villers udowodnił...

– Kosze są pogryzione. Trzeba je wyrzucać. Tyle panu

powiem.

– Nonsens. Przecięcie mlecza  
pacierzowego...

– Są pogryzione.

Doktor Lacroix pokręcił z  
powątpiewaniem głową

i napił się wina. Dourville przysunął  
sobie świecznik,

przypalił odeń cygaro.

– A jednak proszę pana o pomoc. To nie  
zabierze wie-

le czasu. Niech mi pan towarzyszy do

zamku. Muszę za-

pytać o kilka rzeczy. Naprawdę, proszę  
mi wyświadczyć

ten honor.

– Zgoda.

– A zatem jutro o świcie? Podstawię  
konie.

\* \* \*

Długo w noc Dourville siedział sam w  
gospodzie

„Pod Tańczącym Kapłonem” i patrzył,  
jak płomień świecy

odbija się w zielonkawym, grubym szkłe  
kielicha. Przy są-

siednich ławach siedzieli chłopi, kupcy i  
mieszczanie. Na-lane, czerwonawe  
pyski, szerokie, bulwiaste nosy, drobne,  
świńskie oczka. Ludzie... Cieszyli się na  
egzekucję. Jak

wszędzie. Jakaś zażywna niewiasta w  
rozsznurowanej

koszuli wywodziła ogłuszającym,  
pawim głosem, jak

to ta „wydra i ladacznica Canardin  
posika się na sam

Pocałunek Loisetty

widok szafotu”. Patrzył na szczerbate  
pieńki zębów, wrzo-

dy i pryszcze na brudnej skórze. Słuchał  
ogłuszającego

rechotu i przygnębiających żartów.  
Patrzył, jak gryzą ce-

bulę, jak rozdzierają pularde, jak  
czerwone wino cieknie

im po podbródkach. Zupełnie jak krew.  
Takie same żabio

pólotwarte usta, te same puste,  
wywrócone oczy pod

przymkniętymi do połowy powiekami.  
Niczym u ofiar

Loisetty.

Niczym głowy, które żyją w koszu.

Nie miał po co iść na górę. Mógł tam  
napotkać tylko

nabrziałe pogardą i bólem milczenie.  
Ciszę dusznej

izdebki. Siedział więc sam.

Jak przez całe życie. Tęsknił za Loissetą.

Najpierw widywał ją tylko w snach. Od  
lat. Najczęściej-

ciej na kilka dni przed egzekucją.

Dziewczynę o rybio

białej skórze i kędzierzawych włosach,  
odzianą tylko

we frygijską czapkę i postrzępioną  
spódnicę, tańczącą

ze śmiechem na szafocie. Aż pewnego  
dnia spotkał ją

w końcu.

To było jeszcze przed rewolucją. Zabijał  
wtedy złodziei,

morderców, rozbójników. Topór, kół,  
stryczek – stare,



dobre metody. Miał wtedy swój dar.  
Widywał zbrodnie

w snach, a czasem na jawie. Przychodził  
nocą w towa-

rzystwie prefekta i dwóch strażników do  
celi, po czym

milcząc, patrzył więźniowi w oczy.  
Pamiętał, jak skądś

dobiegał go zapach jabłek, który czuł  
tylko on. Głuszył

odór więziennej stęchlizny, pleśni,  
odchodów i zgniłej

słomy. A potem widział obrazy.

Przerażone oczy, roz-

warte w niemym krzyku usta, rozwiane  
suknie i błyska-

jące stopy kobiety uciekającej przez  
gęstwinię bezlistnych krzaków. Miednicę  
pełną krwi w chybotliwym blasku

188

Jarosław Grzędowicz

kopącego kaganka albo balwierską  
brzytwę we własnych,

oblepionych posoką palcach. Czuł to, co  
oni czuli – ich

gniew, wściekłość, żądzę i chciwość.  
Płonęły w nim jak

ogień. Zabijał razem z nimi.

A czasem wiedział, że było zupełnie  
inaczej. Czuł odór

ich drobnych podłości, tchórzostwa i  
cwaniactwa, ale nie

widział zabójstwa ani żadnej z tych  
rzeczy, za które mieli dać głowę.

Odwracał się wtedy i wychodził. Na  
stronie

mówił prefektowi: „Nie ma w nim tej  
winy. Nie należy

do mnie. Sami go sobie ścinajcie”. A  
wtedy mądry sędzia

Foulquet wydawał wyrok  
uniewinniający. Kat dochodził

do siebie i przez całe następne dni czuł  
okropny posmak

dotknięcia czyjejś duszy. Kwaśny,  
cuchnący i obrzydliwy

niczym skisły rosół.

Za to Corvignac słynęło z  
najsprawiedliwszych sądów

w okolicy.

A potem runęła Bastylia. W rok później przyszedł

dekret Zgromadzenia Konstytucyjnego i Dourville zbu-

dował swoją własną „narodową brzytwę”. Jedną z najlep-

szych w kraju. Składaną, wielką, wykonaną z najlepszego

drewna, pomalowanego na czerwono i pociągniętego wo-

skiem. Z ostrzem, po które pojechał aż do Carcassonne.

Dziewczynę złapano na gorącym

uczynku. Zwykła

wędrowną dziewczynką sprzedajną. Jakiś  
kupiec podwiózł

ją wozem i za pół solida posiadał w lesie  
na belach wę-

ny. A ona potem wraziła mu składany  
hiszpański nóż

w kałdun i zabrała osiem liwrów  
srebrem i miedzią, które

miął przy sobie. Zabrała mu też nogę,  
którą upiekła nad

ogniskiem.

– Byłam głodna – oświadczyła przed sędzią, śmiejąc

się. – A on już jej nie potrzebował.

Pocałunek Loisetty

189

Ktoś w osłupieniu zapytał, dlaczego nie zabiła i nie

zjadła choćby konia, na co odpowiedziała, że zrobiło jej

się go żal.

Dourville poszedł do jej celi właściwie nie wiadomo

po co. Wszystko było jasne. Chciał  
jednak zrozumieć. Po-

szedł sam. I w bezbrzeżnym osłupieniu  
zobaczył dziew-

czynę ze swoich snów. A ona na jego  
widok zgarnęła

postrzępioną koszulę i przyciągnęła do  
siebie.

Wziął ją w piwnicy, na garści zgniłej  
słomy, wśród

harcujących w mroku szczurów i  
odgłosu kapiącej ze

stropu wody. W świetle pełgającego w



okratowanej niszy

płomienia łożowego kaganka. W mdłym  
zapachu jabłek.

I cały czas patrzył jej w oczy.

Loisetta...

Zobaczył, co chciał, i zrozumiał. Zabijał  
razem z nią.

Patrzył w gasnące, przerażone oczy  
mężczyzn, kobiet

i dzieci. Starców, dziewcząt i kapłanów.  
Widział bryzgi

krwi i ogień pożarów. Ale nie czuł

niczego poza płonącym

dziko życiem. Żadnej hipokryzji czy  
chciwości, żadnego

tchórzostwa ani kłamstwa. Była jak  
wilczyca. Kierowała

się samym kaprysem i instynktem. Kiedy  
czegoś chciała,

zabierała to. Kiedy miała ochotę,  
rozkladała nogi. Kiedy

była głodna, jadła. Czyjaś kurę, krowę  
albo dziecko. Gdy

ktoś stawał jej na drodze, wyciągała zza  
koszuli swój hi-

szpański nóż i zabijała. Szybko,  
brutalnie. Jak żmija.

Darła mu grzbiet połamanymi pazurami,  
rzucała

dziko biodrami i jęczała prosto w ucho:  
Jestem głodna!

Głodna!

I cały czas płonął w niej jasny, huczący  
ogień życia.

Zgasił go nazajutrz, o wschodzie słońca,  
spuszczając

na smukły kark dziewczyny ważące pół  
cetnara ostrze.

Jarosław Grzędowicz

Kiedy jej głowa tkwiła już w bloku  
podtrzymki, widział,

jak wywaliła na niego lubieżnie język.

A potem już się od niej nie uwolnił.

Najpierw pojawia-

ła się tylko w snach. Później już zawsze,  
kiedy tylko za-

mknął powieki. Widział ją, jakby ktoś  
mu tam od środka

wymalował jej miniatury. Widział ją

zawsze, kiedy tylko

zbliżył się do swojej maszyny. Była tam.  
Siedziała w ma-

lowanym, nawoskowanym drewnie, w  
stalowym ostrzu.

Gdy dotykał kolumn, czuł, jakby  
przesuwał palcami po

jej jedwabistym udzie.

Kiedy nie było roboty, czuł się coraz  
gorzej. Jak chory.

Pojawiała się co noc i krzyczała: Jestem  
głodna. Tań-

czyła przed nim i doprowadzała go do  
szału. Dopiero gdy

napila się krwi, dopuszczala go do  
siebie.

Tylko raz.

Wtedy zorientował się, że robi się coraz  
potężniejsza.

Gdziekolwiek wystawiano „czerwony  
teatr”, pojawiała

się Loisetta. Stała w swojej czerwonej  
czapce i krzyczała razem z tłumem.

Maszyna była dla niej jak brama.

Rewolucja sprzątnęła Boga, moralność i  
wszelkie hamulce.

Zrobiła jej miejsce. Terror ją obudził.  
Teraz Loisetta rzą-

dziła nie tylko biednym Dourville'em.  
Rządziła Francją.

I chciała rządzić światem.

Nic nie mógł na to poradzić.

Tęsknił.

Słyszał, jak wokół rozmawiają o  
egzekucji.

– A podobnież to ciało jeszcze żyje.

– A jakżeż nie, kumie? Jak tnę kurę, to  
przecie ona bie-

ga. Tak i uny by biegały, jakby ich mistrz nie przypinali.

– Tak powinny robić, nie? To by było śmiechu. Zoba-

czyć, jak dobrodziej Dullac lata tak po rynku bez łba!





Jarosław Grzędowicz

Rechtot.

– A mistrz już zjechali?

– A jakżeż nie, jeśli machina już na rynku?

– A to nie wiecie, że ony tu w gospodzie siedzą?

– Jakżeż? W naszym „Kapłonie”? Tfu!

– Ciszej, kumie, bo usłyszą. Straszny jest. Podobnież

jak człeka ślepiami przewierci, to wszystko o nim wie.

– Ale żeby pomiędzy ludziami siedział, to tak dawniej

nie bywało! Tfy! Ja tu już nic nie zjem. Przeklętnik może krwawymi łapami stołu dotykał.

– Chodźta, chłopcy. Do „Ryżego Kozła” pójdziem.

Dourville dopił resztę wina i poszedł spać bez kolacji.

W gospodzie i tak nie było już niemal nic do jedzenia.

Wojna.

\* \* \*

Doktor przybył, jak obiecał, o świcie.  
Dourville sie-

dział w karczmie na dole i jadł chleb  
wkruszony do cien-

kiej kawy. Pożywne wojenne śniadanie  
patriotycznego

Francuza, zalecane przez Komitet. Jajek  
i mleka i tak

zabrakło.

– Po co panu pistolety?

– Na wszelki wypadek. Właściwie dla spokoju ducha.

– Nie rozumiem, to nie ma tam żandarmów?

– Są, oczywiście. Pistolety zabieram dla siebie, żeby

pewniej się czuć. Zobaczy pan.

Konie stały już na ulicy, trzymane przez pachołka.

Ciągle było szaro i mżyło. Dął nieznośny zachodni

wiatr. Dourville otulił się podróżnym płaszczem i wy-

ruszyli.

Pocałunek Loisetty

193

Z miasta wyjechali bitym traktem  
wiodącym do

wzgórz. Wszystko stało w rozmytej  
szarości mgły i burej

zieleni pastwisk. Na mokrych drzewach  
krakały wrony.

– Zaczęło się dawno. Jeszcze za  
panowania Ludwi-

ka. Zrazu tylko chłopci powiadali, że złe

mieszka w tych

lasach. Czasem ginęły dzieci, potem  
dziewki. Począt-

kowo jedna, dwie na rok. Chłopi  
bredzili o diable, a my

o wilkach, Cyganach i zbójach.  
Opowiadali, że zły jeździ

karetą po leśnych drogach, a która go  
spotka, to rzuca na nią urok. I ona staje  
się dziwna, jakby obłąkana, a potem  
odchodzi nie wiadomo gdzie i już nie  
wraca. Później

była przerwa na parę lat i nastał spokój.  
Teraz łatwo

zmiarkować, że diabeł, znaczy młody  
pan Collers de

Chaverone, bawił wtedy za morzami.  
Dużo podróżował.

Wrócił tuż przed rewolucją i znowu się  
zaczęło, ale już na całego. Na okolicę  
padł strach. Zaczęli ginąć podróżni,

młode dziewczki i niewiasty z okolicy  
przepadały jedna

po drugiej. Bestię widywano co i rusz.  
A to w czarnym

powozie zaprzężonym w kare konie, a to  
jako samotnego,



ubranego na czarno jeźdźca w szkarłatnym płaszczu.

Nikt nie widział nigdy jego twarzy. A ściślej, wielu wi-

działo, tylko każdy inną. Dopiero później zorientowałem

się, że idzie o weneckie maski. Pan wie, jak wyglądają

takie maski? A w oczach chłopca, co nigdy nic takiego

nie widział?

Żandarmi snuli się po lasach i wsiach, lecz jakoś nie

mogli na niego trafić. Natomiast  
baronet, który świeżo

został panem na włościach, hulał.  
Wydawał bale i pikiety

i właśnie podczas maskarady  
zobaczyłem go w szkar-

łatnym płaszczu i weneckiej masce, w  
trójgraniastym

kapeluszu. Wtedy pojąłem. Mało kto  
słuchał chłopów,

194

Jarosław Grzędowicz

ale ja tak, bo chodziłem ich leczyć.

Baronet był bogaty,

wielu do niego jeździło w gości. Pan wie, jakie wtedy były zabawy i co się tam działo. Potem przyszła rewolucja

i przyjaciele pana de Chaverone jeden po drugim lądo-

wali w twierdzy albo na szafocie. Paru ścięto w Lyonie,

a jednego aż w Paryżu. Ale nie baroneta. On był wtedy

pierwszym rewolucjonistą. Żyrodystą. Przyjacielem

samego Dantona. Nic go nie mogło ruszyć. Jeździł do

Paryża, dysputował z Maratem. Sądzę zresztą, że to on

go zasztyletował. Ja tymczasem notowałem zeznania,

myślałem i zbierałem ślady. Trochę z nudów, a trochę

dla eksperymentu. Chciałem popróbować nowej metody

rozumowania. Ot, bawiłem się. Tropiłem legendarną Be-

stię. Rysowałem portrety diabła pod

dyktando chłopów.

Spojrzałem później na te najlepsze i osłupiałem. Wszedł

mi baronet podczas swojej maskarady.

Wziąłem kiedyś mapę i zaznaczyłem wszystkie miej-

sca, gdzie zniknęły kolejne ofiary, te, o których wiado-

mo było, gdzie przepadły. Dużo tego było. Jak mgławica.

Wszystkie jednak zamknęły się w wielkim kręgu mającym

z pięć mil. Wziąłem potem cyrkle oraz linijki i wyliczyłem, gdzie ma środek. Wyszedł dokładnie na zamku. Na zamku Chaverone. A oto i on. – Doktor zatrzymał konia.

Zamek wznosił się na łagodnym wzgórzu, górując

nad pastwiskami, otoczony niewielkimi szarymi skała-

mi. Był stary. Bardzo stary. Wielokrotnie go przebudo-

wywano, zgodnie z kolejnymi modami, ale pod wszyst-

kimi nowoczesnymi faunami, driadami i

kolumnami

widać było jeszcze mroczną, prostą  
bryłę z ciosanego

kamienia oraz ośmiokątny donżon  
sterczący nad oko-

licą jak kamienny palec. Mur obronny  
był równie stary,

Pocałunek Loisetty

195

lecz obrósł pnącymi różami, a jego  
szczyt obudowano

nowoczesnymi, falistymi blankami.

Pod furtaa stało kilku żandarmów. Doktor zeskoczył

z siodła i bezceremonialnie rzucił wodze jednemu z nich.

Dourville przeciągnął się jeszcze, bo od jazdy rozboleł

go krzyż, i też zsiadł.

– Ktoś wchodził do środka? – zapytał Lacroix surowo.

– Ten młody porucznik – powiedział sierżant nie-

pewnie. – Mówiłem mu, że pan doktor zabronili. Teraz



rzyga pod ścianą.

Doktor odpiął swoją sakwę, pogrzebał w niej chwilę,

wreszcie podał konstablowi fl akonik.

– Dajcie mu powąchać, ale nie przysuwajcie za bli-

sko twarzy. Niech otrzeźwieje. Potem niech przyjdzie do

mnie. Dam mu łyk rumu z laudanum.

Weszli na dziedziniec.

– Doprowadziłem do aresztowania Bestii tylko dzięki

temu, że zaczęły się procesy  
żyrondistów. Ale już sły-

szalem pogłoski, że zdążył znaleźć  
potężnych przyjaciół

wśród jakobinów. Zaraz się okaże, że  
jest niewinny. Trze-

ba było panu wiedzieć, jak wił się  
Sarrate. Jedynie w tym

przypadku miał wątpliwości. Przekonał  
go dopiero lud

z widłami pod merostwem.

– Ma czas do jutrzejszego świtu –  
zauważył sucho

Dourville, podciągając pończochę.

W środku zamku wyglądało jak w każdej rodowej

siedzibie. Posadzki, draperie, wazy i biało-złote meble.

Krzesła. Mnóstwo krzesel. Portrety.

Przy fortepianie ktoś siedział.

Porucznik żandarmerii. Kaszkiet odstawił na wieko

instrumentu i brzdąkał jednym palcem jakąś monoton-

Jarosław Grzędowicz

ną, smutną dziecięcą melodyjkę. Kiedy  
podeszli bliżej,

stwierdzili, że oczy ma pełne łez.

Szli po kręconych schodach w starej  
części domu,

wwiercających się gdzieś w głąb ziemi.  
Wokół wszystko

było misternie rzeźbione w łuki, obrosłe  
sterczynami

i pinaklami, rozety i płomienie. Bardzo  
stare.

– Tu jest pełno korytarzy – tłumaczył doktor, idąc

przodem. – Nie zgadzało mi się, kształt budynku sugerował

więcej pomieszczeń, niż można znaleźć w środku.

Jesteśmy na miejscu.

„Na miejscu” oznaczało wnękę w zakręcie korytarza

wiodącego znikąd donikąd. W niszy stał posąg przed-

stawiający rycerza w pełnej zbroi, trzymającego dwa

skrzyżowane miecze.

Doktor umieścił świecę w ściennym  
lichtarzu i wsu-

nął trzy palce prawej dłoni w trójkątną  
rozetę na ścianie.

Rozległ się metaliczny trzask.

– Mistrzu, widzi pan tego gargulca,  
niech pan go weź-

mie za łeb i pociągnie porządnie do  
siebie.

Dourville usłuchał, a w odpowiedzi  
znów rozległ się

szczęk starego, zapiaszczonego  
mechanizmu.

– Teraz musimy obrócić niszę z  
rycerzem i mamy

przejście – oświadczył przyrodnik.

Nisza okazała się walcem, który musiał,  
zdaniem

Dourville'a, chodzić na żelaznej osi, bo  
obracała się wcale lekko.

– Czuje pan?

– Stęchła krew, zepsute powietrze, trupi  
odór, woda

różana i kadzidło – wyliczał Dourville.

– Umarły by

poczuł.

– Chce pan chustkę na twarz?

Pocałunek Loisetty

197

– Raczy pan żartować, doktorze? Co  
byłby ze mnie

za oprawca, gdybym się bał smrodu?

Mój fach śmier-

dzi gorzej niż zajęcie garbarza. Gdzie  
idziemy? To jakaś



kaplica?

– Tak. Stara kaplica. Wchodzimy ukrytym wejściem

przez nawę boczną, bo główne wejście zostało zamuro-

wane. Tak dokładnie, że nawet śladu panie zobaczy.

W dawnych czasach zamek należał do starodawnej he-

retyckiej sekty, do albigensów. Nie wiem, czy mieli jakieś kaplice, ale to pomieszczenie jest z ich czasów. Potem do templariuszy. Później była tu rodowa kaplica Collersów

de Chaverone, a teraz to.

Wysoka nawa główna, okolona  
kolumnadą, przywo-

dziła na myśl kościoł. Stał tam nawet  
ołtarz, ale na tym

koniec. W żadnym kościele nie  
ozdobiono by ścian tak

wyuzdanymi rzeźbami, w żadnym  
posadzki nie pokry-

wałyby kabalistyczne kręgi i w żadnym  
krzyż nie wisiałby

do góry nogami. Na ścianie za ołtarzem  
na półce stała

na srebrnej, wysadzanej szmaragdami  
podstawce od-

cięta głowa, wyglądająca jak świeża,  
opatrzona napisem

„Caput XVII”.

– Pod nami są krypty, w których  
znalazłem szczątki

czterdziestu kobiet. Część z nich była  
krzyżowana. Z czę-

ści ocalały tylko kości. Strzępy, kawałki.  
Nie wiem ja-

kim sposobem. Widzi pan, mistrzu, ten  
ołtarz? Zwracam

uwagę na te rowki prowadzące do basenu w podłodze,

na obręcze na brzegach. Na ten kształt wyżłobiony na

środku. Coś to panu mówi?

– To było łożo tortur, nie żaden ołtarz –  
oznajmił Do-

urville głucho. – Te kanaliki miały  
odprowadzać krew.

Zbierano ją tam w basenie i coś z nią  
robiono.

Jarosław Grzędowicz

Powąchał kielich zrobiony z dolnej połowy czaszki.

– Pito ją. Między innymi. Może też się kąpano?

– Pan baron bawił się tu w jakąś sektę –  
oznajmił le-

karz. – Krwawe ofi ary, zbezczeszczony  
krucyfi ks, znaki.

Czyciele ognia piekielnego i takie tam  
nonsensy. Spot-

kałem się z tym wiele razy, ale w  
większości była to tyl-

ko głupia zabawa oraz pretekst do wyuzdanej orgii. Tu

jednak było inaczej. I pan baronet raczej bawił się sam.

Pozwoli pan dalej. Nie to chciałem panu pokazać.

Uniósł świecę i ruszył w głąb pomieszczenia, stukając

obcasami. Dourville poszedł za nim.

– Miał szerokie zainteresowania –  
oznajmił lekarz

z drwiną. – Nie tylko „religia”. Także „sztuka”. Proszę.

Oto madonna z dzieciątkiem, lecz pierś  
matki jest otwar-

ta, a karmi własnym sercem, widzi pan?  
Piękna metafora

macierzyństwa. Oto, jak sądzę, apoteoza  
dziewiczej nie-

winności. Dość nieprzystojne,  
zważywszy, gdzie umieścił

szczęki. A tu sielska pastereczka. Jest i  
Atena, i Skrzydlata Nike. Proszę  
zwrócić uwagę na skrzydła. Są zrobione

z tkanki płuc. Pomysłowe, prawda? Jest  
ich więcej. Jak

w Luwrze.

Dourville przez chwilę myślał, że to, co  
widzi, to

rzeczywiście rzeźby. A potem postukał  
ostrożnie jeden

z rzekomych posągów.

– Nie wiem dokładnie, jak to robił. Tu  
są jakieś wanny,

widzi pan? W środku, w tamtych  
szklanych balonach, coś,

co jest przezroczyste jak woda, ale  
zastyga niczym żywica.



Moczył zwłoki, potem ustawiał kształty,  
ciął, zszywał,

wywlekał narządy. A ta jego szklana  
woda powoli zasty-

gała i powstawały rzeźby. Gdyby  
wynałazł to ktoś godny

człowieczeństwa, taka rzecz mogłaby  
być bardzo poży-

Pocałunek Loisetty

199

teczna. Można by tego używać do badań  
przyrodniczych

albo medycznych. Można by  
konserwować przedmioty.

Ale ta tajemnica przypadnie razem z  
nim. Ja nawet tego

nie dotknę.

Dourville milczał i wciąż patrzył na  
dwunastoletnią

pastereczkę, spowitą w peplum i  
trzymającą na dłoni

własne oczy. Milczał i czuł, jak  
zaciskają mu się mięśnie szczęki.

– A teraz „nauka” – oznajmił Lacroix  
sucho. – To

zabolało mnie najbardziej. Człowiek  
religijny zobaczy

tu drwinę z własnego uczucia i wiary.  
Artysta ze swojej

sztuki. Pan sam, mistrzu, znajdzie tu  
własne rzemiosło

obrócone w okrutną zabawkę. Ja  
zobaczyłem zmałpo-

waną wiedzę.

Pchnął wielkie, rzeźbione odrzwia i  
wszedł do kolej-

nego pomieszczenia, a potem obszedł  
ściany, zapalając

świece.

– Badał naturę ludzką – oznajmił. –  
Umiejętnie. Za

pomocą eksperymentu. Robił notatki.  
Nie czytałem ich

dotąd dokładnie. I tak, odkąd tu  
wszedłem pierwszy raz,

zażywam już czterdzieści kropli nalewki  
z laudanum

dziennie. To, co pan tu widzi, to  
preparaty naukowe. Ska-

talogowane, opisane i zakonserwowane  
w słojach. Ja tak

trzymam żaby i jaszczurki, on trzymał  
dzieci. Tutaj oczy.

A to w gablotach to nie są motyle. To  
uszy. Szukał pra-

widłowości, jakby klasyfi kował  
gatunki. To wszystko

drobiazg. Nie rozumiem jednak  
przeznaczenia tych urzą-

dzeń. Podejrzewam, że pan mi wyjaśni.

Dourville przyglądał się machinom,  
przechadzając

się po pomieszczeniu, czasem poruszył  
jakąś dźwignię,

patrząc po linach i wielokrążkach pod  
sufi tem.

200

Jarosław Grzędowicz

– Czy zawsze znikwały pojedyncze  
dziewczęta i dzieci?

– Nie. Parę razy młode matki, nawet z  
kilkorgiem

dzieci, rodzeństwo, kiedyś młodzieniec  
z dziewczyną,

czterech mężczyzn w sile wieku,  
dwukrotnie razem

z dziećmi. Przepadały też stare baby,  
różnie.

– Widzi pan to urządzenie? To  
szubienica dwura-

mienna. Dość sadystyczna, sądząc po  
węźle sznura. Do

tego zapadnia otwiera się powoli. Nie  
skręci karku. Udusi.

Nie w tym rzecz. W tej klatce mógł  
zamknąć matkę, a na

szafocie stawiał jej dzieci. Widzi pan tę  
dźwignię? Albo

jedna zapadnia, albo druga, albo obie.

Kazał jej wybie-

rać, które dziecko ma zginąć, a które być może ocaleje.

Nie mogła czekać, bo tutaj przesypywał się piasek. Kie-

dy się skończył, otwierały się obydwie zapadnie. Mogła

zablokować tylko jedną. Albo proszę spojrzeć teraz, jak

wysoko jest pętla. Stawiał tu człowieka, na jego karku

drugiego. Kiedy ten pierwszy upadł lub się poruszył, ten



drugi, zapewne mu bliski, którego miał  
na ramionach,

musiał zawisnąć. A poruszyć się prędzej  
czy później mu-

siał, bowiem stał na tych kolcach. Jak  
pan powiedział,

badał naturę ludzką. Charakter i siłę  
uczuć. Miłości, od-

dania. Większość tych urządzeń działa w  
ten sposób, ale

są też zwyczajne narzędzia tortur.  
Klasyka. Objąć?

To na przykład jest bocian. Zwykle

sztaby i kajdany, ale

dość zakuć w to człowieka, by w  
krótkim czasie cierpiał

na potworne skurcze mięśni. To but  
hiszpański, lecz bar-

dzo mały. I te wszystkie klatki. Stoją tu  
po to, by ofi ary musiały patrzeć na mękę  
najbliższych.

– Prowadził też wiwisekcje –  
powiedział Lacroix. –

I wszystko sobie notował. Naturalista.  
Widziałem dość.

– Co pan z tym robi?

# Pocałunek Loisetty

201

– Już mówiłem z prefektem. Część ofiar oddamy ro-

dzinom i wyprawimy pochówek. Zaś ci obróceniu w rzeź-

by... Sprowadzimy kapłana, który przeprowadzi potrzeb-

ne obrzędy, pochowamy ich gdzie po kryjomu, a potem

wysadzimy cały zamek prochem.

– Kapłan? Obrzędy? Zrobił się pan

religijny, doktorze?

– Nie wiem, czy zacząłem wierzyć w Boga. Za to

w diabła na pewno.

\* \* \*

Siedzieli w przydrożnej karczmie, z dala od innych,

niczym dwóch spiskowców. Dourville patrzył na swoje

ręce i milczał. Doktor, również milcząc, pił wino, do

którego wpuścił kilkanaście kropli z

małej fi olki.

– Nawet pan nie wie, o co pan prosi, sire.

– Nie chce pan zrozumieć?

– On mi nic nie będzie objaśniał, doktorze. Ja to po-

czuję. Nie jestem zacyym człowiekiem, ale w jego skórze

nie chcę się znaleźć nawet na chwilę.

– To już pan nie sądzi, że wszyscy ludzie są źli? Co to

za różnica, ten czy tamten?

– Powiedzmy, że moje przekonanie o tym, że wszystko

już widziałem, trochę się zachwiało.

Wierzę, w co wierzę, ale, doktorze, ja też jestem człowiekiem. Pan wierzy, że

postęp wydobędzie z ludzi dobro, ja – że ludzie są z grun-tu źli. A mimo to obaj wyszliśmy stamtąd przerażeni.

– Bo obaj ujrzeliśmy czyste zło. To, w które rzekomo

obaj nie wierzymy, tylko każdy inaczej. Naprawdę będzie

pan potrafi ł dalej zrównać każdą ludzką słabość z tym,

coś pan dziś zobaczył?

202

Jarosław Grzędowicz

– Zobaczyłem tylko jedno, w co dotąd  
nie wierzy-

łem. Krew na tych wysokich szafotach.  
Oni tam stali

dużo dłużej niż jest w ludzkiej mocy,  
doktorze. Wiedzieli, że śmierć  
przyniesie im ulgę, a mimo to dalej stali.

Bez

końca.

Podczas montażu maszyny zebrał się taki tłum, że

szafot trzeba było otoczyć żandarmami. Dourville wraz

z Barnabą i Ludwikiem umieli zmontować Loissetę w pół

godziny. Pracowali powoli, metodycznie i dokładnie.

Kliny trafiły na swoje miejsca, zastrzały pasowały ide-

alnie. Układali obciążnik podwieszony na dwóch linach,



Dourville osobiście naoliwił zamki,  
unieśli i postawili

trzystażniowe ramiona. Na każdy ruch  
tłum reagował

szemraniem lub okrzykami. Kiedy  
otworzyli skrzynię

i z wiórów wyjęli trójkątne ostrze  
spoczywające na obi-

tych suknem uchwytach, wybuchły  
owacje.

Dourville sprawdził wasserwagą, czy  
podest stoi ide-

alnie płasko, i zmarszczywszy brwi,

kazał lekko pod-

kręcić jedną stronę maszyny. Potem  
sprawdził pionem

murarskim, czy słupy stoją idealnie  
prosto. Deska gładko

stawała do pionu i kładła się na łożu,  
trafi ając równo

między ramiona. Bloki podtrzymki  
unosily się i opadały

bez zacięć.

– Przy zamkach węzeł marynarski, przy  
dźwigni po-

dwójny – przypomniał Barnabie surowo.

Ustawili pierwszy kosz i zabrali pokrywę.

– Nie żałuj trocin – powiedział  
Dourville. – Syp też

wokół podstawy. Tniemy tuzin. Będzie  
ślisko.

Pocałunek Loisetty

203

Przygotowali pozostałe kosze i wiadra z  
wodą do

umycia Loisetty.

A potem kilkoma obrotami koła  
wciągnęli ostrze na

samą górę, aż po podwójny trzask rygli.  
Tłum zamarł

w oczekiwaniu. Barnaba sprawdził i  
naoliwił prowad-

nice w zupełnej ciszy, przerywanej tylko  
krakaniem

wron. Wyprostował się, a wtedy  
Dourville zwolnił

zamki. Ostrze śmignęło w dół z hukiem i  
zatrzymało

się na wypchanych włosiem

amortyzatorach obitych

bawolą skórą.

Wszystko było gotowe.

Tłum ryknął, a Dourville'owi wydało się, że słyszy

tylko wrzask Loisetty. Jestem głodna!

\* \* \*

Bestię z Chaverone osadzono w osobnej celi na końcu

korytarza. Szli we trzech. Dourville, doktor i strażnik

w krótkiej sukiennej kurtce, z pękiem kluczy przy pasie.

– Tam do niego ksiądz dobrodziej weszli. Jakby diabłu

była potrzebna ostatnia posługa.

Mówiłem, niech tam przy

nim stanie choć konstabl z pałaszem, a ten nie i nie.

Drzwi otworzyły się nagle z hukiem i ksiądz, chudy,

stary człowiek, wytoczył się na zewnątrz.

Za nim wyleciał krucyfi ks i plasnął o

ścianę.

– Mówiłem: nie pokładaj w tym nadziei,  
bo to jest za

młode! – krzyknął ktoś z celi.

Ksiądz trzymał się za głowę, a potem  
ruszył, zatacza-

jąc się, jakby był pijany albo obity. Z ust  
wydobywał mu

się tylko głuchy, przeciągły szloch.

Nawet nie spojrzął na krzyż leżący na  
ziemi.

Jarosław Grzędowicz

– Zapamiętaj: Sangrail! Święta krew! –  
krzyczał de

Chaverone.

– Przecież tak się nie godzi – zamruczał  
strażnik,

podnosząc krzyż, ale duchownego nie  
było już w kory-

tarzu.

– Najświętsza panienko! – jęknął. –  
Całkiem dobro-

dziej posiwieli. W jednej chwili.



– Może jednak niech pan nie wchodzi –  
zauważył

Lacroix.

– Trudno. Teraz to już sam jestem  
ciekaw.

– Wystarczy, że pan uderzy w drzwi.  
Będziemy cze-

kali. – Lekarz wyjął pistolet i sprawdził  
panewkę.

Za Dourvilleem zamknęły się drzwi.

Kiedy oczy przywykły mu do półmroku,  
zobaczył

mężczyznę siedzącego wygodnie na  
ziemi, z rękoma sku-

tymi łańcuchem umocowanym do ściany.  
Nie widział

szczegółów, tylko ciemną plamę i oczy  
lśniące niczym

u kota.

– Ależ dziś korowód gości. Był już  
ksiądz, teraz kto?

Niestety, nic nie mogę zaproponować  
krom tej wody

z dzbana. Znakomity rocznik, doprawdy.  
Zaraz, zaraz,

przyjacielu. Pachniesz mi jakoś  
znajomo. Byłbyś katem?

Onym mistrzem z Corvignac, o którym  
wszyscy gadają?

No, z tobą przynajmniej miałbym o czym  
mówić, nie jak

z tym klechą. My przynajmniej mamy  
wspólne zaintere-

sowania. Tylko że ty zabijasz te robaki  
bezmyślnie, a ja

robię to dla wiedzy. I przyjemności. –  
Ach! Jeszcze jed-

no mamy wspólne – zauważył baron po

chwili. – Jedną

kochankę. Naszą słodką! No, to  
naprawdę zbliża ludzi!

Tylko że to ja połączę się jutro z  
Loisettą, nie ty, mój panie.

Trudno, wybrała lepszego.

Pocałunek Loisetty

205

Dourville w milczeniu postąpił krok  
naprzód i spoj-

rzał tamtemu w oczy, czując, jak ciasny  
loch wypełnia

słodki, głęboki zapach jabłek.

\* \* \*

– Co panu jest? Dourville! Dajcie wody!

– Czy żyje?

– Nie wiem, przestańcie się tłoczyć.  
Powietrza! Wy-

nieście go na powietrze!

Nic mi nie jest, chciał powiedzieć  
Dourville, ale jakoś

nie mógł. Czuł się stary. Bardzo stary.  
Jak te kamienne

płyty, na które potokami ciekła krew w  
Circus Maxi-

mus. Jak dzidy, którymi dźgano  
Hugenotów przy blasku

poходni. Jak mury Mastaby, z których  
spadali żydow-

scy wojownicy, spychani przez równe  
płoty pilum Legia

Fulminata. Jak piramidy odrąbanych  
głów, z których ka-

płani Al Mansura wzywali swojego  
boga o zmierzchu.

Jak Loisetta, która wszędzie tam

tańczyła na trupach

i w strugach posoki. Wszędzie, gdzie  
była masakra. Była

bardzo stara. Jej czas już kiedyś  
przeminął, ale miał jeszcze nadejść.  
Loisetta czekała. Była głodna. A przez  
inne

morza krwi podążał za nią jej ukochany,  
który zaczynał,

stojąc przy jej tronie. Rogaty bóg  
łowów. Szukali się.

Żrący odór amoniaku uderzył go prosto  
w nozdrza

i oczy. Oczy, które w jednej chwili zobaczyły więcej krwi, pożogi i śmierci, niż ktokolwiek widział przez całe życie.

Dourville ocknął się.

Zebrał się w sobie i otarł krew sączącą się z nosa.

– Wina... dajcie wina.

206

Jarosław Grzędowicz

\* \* \*

Usiedli w „Tłustej Gęsi”. Dourville patrzył tępo, jak



doktor troskliwie odmierza mu mętne  
białawe krople do

kielicha z rumem. Sięgnął do kieszeni i  
drżącymi palcami

wydobył cygarnicę.

– Co tam się stało? – spytał Lacroix.

– Pierwej: ile tam byłem? Ile do świtu?

– Świtu? Minuty to nie trwało! Mówił z  
panem?

– To nie tak... Ja widzę... obrazy.

– I co pan widział?

Dourville pokręcił w milczeniu głową i jednym

haustem wypił rum z dziwaczny, obco pachnącym

dodatkiem.

– Niech mi pan powie jedną rzecz. Kim lub czym jest

ten potwór?

– Nie uwierzy mi pan. Rzekłbym, że diabłem, ale na-

prawdę nie wiem czym.

Doktor poklepał go po ramieniu.

– Odwagi, mistrzu. Jutro zetnie go pan i wszystko

się skończy.

– Nie – odparł Dourville. – Nie skończy się. Będzie

tylko przenosić się z miejsca na miejsce. A kiedy go zetnę, doktorze, stanie się jeszcze silniejszy.

Lacroix popatrzył na niego nieruchomo.

– Przeżył pan zbyt silne wzruszenie.

Stanowczo musi

się pan położyć.

Dourville chwycił lekarza za surdut.

– Widziałem, co przyjdzie potem,  
doktorze! Widzia-

łem ludzi w pasiastych koszulach,  
zabijanych dymem!

Żelazne ciernie! Widziałem muszkiety  
małe jak dłoń, co

Pocałunek Loisetty

207

strzelają bez nabijania! Widziałem  
okręty w chmurach,

lejące ogień! Ludzi wrzucanych do

rowów na stosy!

– Proszę wypić laudanum do końca. To pana uspo-

koi.

Po twarzy kata płynęły łzy.

– Loisetta odeszła... Moja Loisetta.

\* \* \*

Nazajutrz deszcz ustał zupełnie. Tłum na placu Bławat-

nym zebrał się już w okolicach laudy, a przy jutrzni szpilki nie dałoby się wetknąć. Od szafotu odgradzał go

szpaler

żołnierzy z założonymi bagnetami, w wysokich kaszkietach

ozdobionych republikańskimi kotylionami. Sprzedawano

gorące kasztany, pieczone kartofle i owoce w cukrze. Kieszonkowcy przemykali dyskretnie, pracując już od nocy.

Dourville stał na szafocie i wyglądał zupełnie spokoj-

nie. Założył swój zwykły strój. Krótki żakiet, pantalony, koszulę, frygijską czapkę i pończochy. Wszystko w naka-

zanym starodawnym, zapomnianym już  
prawem kolorze

byczej krwi. W zębach trzymał fajkę i  
milczał. Rozglądał

się po wpatrzonych w niego twarzach,  
zbitych ciasno

niczym kamienie bruku, jakby kogoś  
szukał. Barnaba

i Ludwik nosili się na czarno, tylko  
koszule mieli zwykłe, białe. Czekali.

Kiedy nadjechały wozy, tłum był już  
znużony i znie-

cierpliwiony. Gapie zaczynali wyć i

gwizdać, ale widząc

wozy, szybko się uspokoili.

Potem było jak zawsze.

Niektórzy ze wszystkich sił trzymali się dzielnie,

lecz na widok strzelającej w niebo,  
lśniącej czerwienią

208

Jarosław Grzędowicz

machiny i sinego ostrza w jednej chwili  
wpadali w pa-



nikę. Trzeba było wlec ich po stopniach szafotu, kopia-

cych i wyrywających się niczym spanikowane zwierzę-

ta. Ogłuszający łomot werbli oraz ryk tłumu głuszył ich

krzyk i wołania o pomoc.

Dourville pracował jak przy młócce albo we młynie.

Kilka czynności. Pomocnicy szafotowi przejmowali deli-

kwenta od żołnierzy, Ludwik pchał go na deskę, Barnaba

zapinał pasy, deska opadała na  
zawiasach, spadał blok

podtrzymki, Ludwik już czekał przy  
koszu, przytrzymu-

jąc skazanego za uszy. Dourville w  
nagłej ciszy zwalniał

zamki. Wizg, łomot, miękki, pusty  
dźwięk głowy spada-

jącej do kosza. Raz, dwa, trzy.

Czekał, aż Ludwik pozwoli wylać się  
krwi w trociny

i poda mu głowę na krótkiej żelaznej  
pice. Obnosił ją

wokół szafotu, pokazując tłumowi, ale  
patrzył tylko po

twarzach.

Szukał Loisetty.

Następny. Różnie to szło. Niektórym  
nogi odmawiały

posłuszeństwa, niektórzy wymiotowali,  
niektórym nie

wytrzymał pęcherz lub kiszki.

Płakali, mdleli albo ma-

szrowali dzielnie, sztywno, usiłując  
zachować do końca

twarz. Dourville widywał już takich, którzy tańczyli na

szafocie, śmiejąc się histerycznie.

Ostrze wędrowało pod niebo i po chwili opadało z ło-

motem. Po uniesieniu ostrza Barnaba podstawił wia-

dro pod rynienkę, ale szafot i tak był już cały zbryzgany i śliski. Szczęściem poręcze zostały zrobione, ponieważ

musieli z nich co chwilę korzystać.

Przez cały ten czas baron Collers de Chaverone sie-

dział wygodnie na wózku i czytał  
książkę.

Pocałunek Loisetty

209

Dourville pracował z nieruchomą  
twarzą. Jak przy

młócce albo we młynie.

I gdzieś w połowie roboty ją wypatrzył.  
Stała w tłu-

mie, miała swoją frygijską czapkę  
ozdobioną republikań-

ską kokardą. Loisetta...

Moja ukochana... Musiała przyjść.

Była głodna.

Wóz z trumnami obrócił pod szafot  
trzeci raz, krew

płynęła już rynsztokiem. A kiedy  
przyszedł czas na

ostatniego skazanego, na Bestię z  
Chaverone, baron

zagiął róg kartki i zamknął swoją  
książkę. Wszedłszy

na podest, wręczył tom Dourville'owi,  
który przekładał

go z ręki do ręki, a wreszcie położył na  
zbryzganych

deskach.

Zanim przypięto barona do deski,  
przeciągnął się, aż

trzasnęło mu w stawach, i ułożył  
wygodnie.

Kiedy głowa Bestii tkwiła już w bloku,  
Dourville

usłyszał, jak tamten szepce: „Pocałuj  
mnie, Loisetto”,

i szarpnął za sznurek zwalniający zamki.

Potem, kiedy obnosił głowę na pice,  
widział wyraźnie,

że powieki tamtego drgają, a na ustach  
powoli wykwita

upiorny, drapieżny uśmiech.

\* \* \*

Byli już spory kawał za miastem. Wóz z  
Loisettą,

Dourville'em i oboma pomocnikami,  
kolasa z milczącą,

bladą niczym opłatek Justyną i małym  
Filipem. Doktor



dogonił ich po długiej mili.

– Słyszał pan?! W Paryżu ścięli  
Robespierre’a! Teraz

masakra rychło się skończy!

210

Jarosław Grzędowicz

Dourville wyjął fajkę z ust i odezwał się  
po raz pierw-

szy od dwóch dni:

– Nie skończy się. Przeniesie się gdzie  
indziej. Nigdy

nie będzie temu końca.

\* \* \*

A jednak terror przycichł i po powrocie do Cor-

vignac nie było dla niego roboty. Zamiast jak dawniej

siedzieć w szynku, polować albo choćby pić, Dourville

przesiadywał w ogrodzie i spał albo patrzył na kamienny

budynek, w którym spała Loissetta. Albo siedział z czar-

ną książką, którą dostał od barona, zatopiony w lekturze, lecz nie pokazał jej nikomu. Na wymówki Justyny nie

reagował wcale, zupełnie jakby jej nie słyszał. Jadł nie-

wiele i z musu, włóczył się tylko po okolicy, zarośnięty

i brudny, i mrucał coś do siebie. Pił jedynie wodę z laudanum, a buteleczka, którą ofiarował mu Lacroix, choć

była pokaźna, wkrótce miała pokazać dno.

Rzadko się odzywał, patrzył tylko w dal, a jeżeli coś

mówił, to najczęściej do siebie.

Zazwyczaj: „Wróć, Loisetto”.

A pewnego dnia Justyna wyszła przed dom o świcie

i w najwyższym osłupieniu zobaczyła maszynę stojącą

na ich brukowanym podwórku, wielką i lśniąca czer-

wienią.

Że nie jest to żadna konserwacja ani kolejny wybryk

jej szalonego męża, zakochanego w

swojej machinie

śmierci, zrozumiała, dopiero kiedy  
wyrósł jej za pleca-

mi i jednym ruchem pchnął na deskę, po  
czym zaciąg-

nął pasy. Justyna Dourville przestała się  
szarpać już po

Pocałunek Loisetty

211

chwili i zaczęła odmawiać „Zdrowaś  
Mario”. Była ledwo

w połowie, kiedy obciążnik ostrza

uderzył o obite wola

skórą amortyzatory.

Dourville uprzątnął wszystko, spłukał podstawę

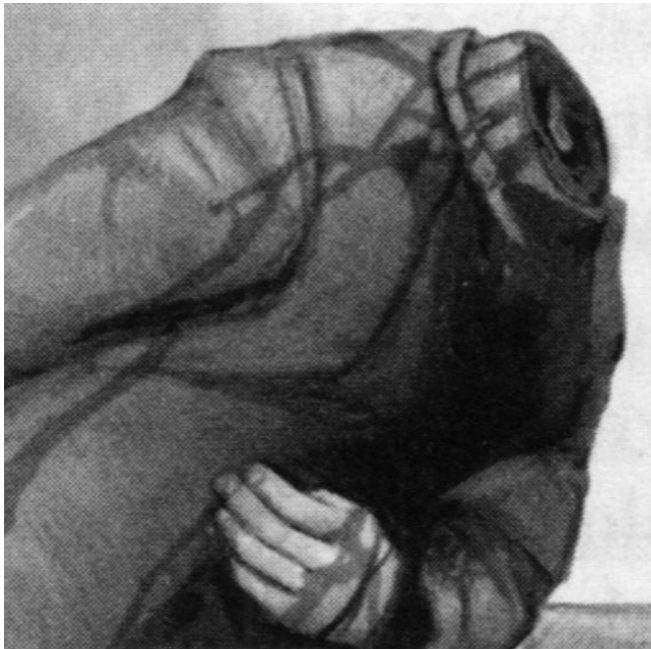
i bruk podwórka kilkoma kubłami wody.  
A potem oka-

zało się, że musi mieć dłuższy sznurek.  
Wrócił na chwilę

do domu i przyniósł sobie sznur od kotary.

A później, mając już głowę złożoną na bloku pod-

trzymki, zanim zwolnił zamki,  
powiedział tylko: „Po-  
całuj mnie, Loisetto”.



Specjały kuchni Wschodu

Rafał spóźnił się pół dnia,



wszedł do gabinetu Wojtka

o drugiej i od progu powiedział:

– Zapraszam cię na obiad do

dobrej knajpy.

Wojtek przestał stukać ołów-

kiem o zęby i wytrzeszczył oczy.

To, co zrobił przed chwilą jego  
wspólnik, przypominało

sytuację, w której wszedłby tu  
arcybiskup i powiedział:

chodźmy na go-go. Rafał nie jadał na

mieście absolutnie

nigdy, a jeżeli już, to w Makdonaldzie.  
Lata młodości spę-

dzone na zmywaku w dziesiątkach  
restauracji za granicą

sprawiły, że brzydził się wszystkiego,  
czego osobiście nie upichcił.

Najchętniej odżywiałyby się jakimiś  
pakowanymi

w laboratorium racjami kosmicznymi z  
tubki. W Makdo-

naldzie, jego zdaniem, było przynajmniej  
sterylnie.

– Gdzie się podziały te wszystkie: „Ja  
wiem, jak to

przyrządzają” albo: „Otruć, to się mogę  
sam” czy „Nikt

nie będzie mi pluł do zupy”? Dzięki.  
Tym razem to ja

nie mam apetytu.

214

Jarosław Grzędowicz

– Powiedziałem, że zapraszam. Co  
znaczy, że mam

specjalne powody. Co tu będziesz robił?

Siedział i obser-

wował telefon? Czekał na cud?

– Będę siedział i rozkoszowałem się nieobecnością Hra-

biego – odpowiedział Wojtek ponuro. – I tak nic nie

przełknę.

– Obiad, który zamierzam ci postawić, przełkniesz

na pewno.

W samochodzie oczywiście rozmawiali o swoim

trzecim wspólniku, jak dwóch  
wrzodowców najchętniej

opisujących sobie kolejne objawy. Albo  
opowiadali pełne

bezsilnej nienawiści dowcipy o  
prawnikach, co na jedno

wychodziło. Kiedy rozkręcali fi rmę,  
obaj dysponowali

odrobiną gotówki i niemal  
nadprzyrodzonym talentem

do interesów. Rozumieli się w pół  
słowa i potrafili przejechać przez pół  
Azji, żeby za grosze kupić coś, co potem  
sprzedali w Londynie za tysiąc funtów.

A potem okazało

się, że o ile obaj są wirtuozami handlu i  
pośrednictwa,

to w obliczu gąszczy przepisów,  
meandrów księgowości,

tabelek i papierków okazują się  
bezradni jak nowo naro-

dzone pieski. W tej sytuacji postanowili  
dokooptować

młodego, zdolnego prawnika, którego  
obaj znali, a który

sprawiał wrażenie sympatycznego.  
Pomysł wydawał się

genialny. Hrabia będzie siedział w biurze, a oni w tym

czasie będą sprzedawać Turkom czeskie szkło, Francu-

zom polską strusinę, a Tajom bursztyn. Skończyło się

inaczej.

Po trzech latach Hrabia, zwany tak z powodu snobi-

zmu i kretyńskiego sygnetu na chudym palcu, co nieco

kontrastowało ze swojskim nazwiskiem „Kapucha”, wy-

rolował ich obu tak dokładnie, że praktycznie siedzie-

Specjały kuchni Wschodu

215

li u niego w kieszeni. To on im mówił, co mają robić,

i zgarniał wszystkie zyski. Co gorsza, nie istniał żaden

sposób, żeby się go pozbyć. W wyniku kilku sztuczek

z przepisami i księgowością Hrabia miał na wspólni-



ków takie haki, że każdy urząd w Polsce  
z zachwytem

skazałby ich na ciężkie galery i kazał  
wyrzucić klucz

od kajdan.

Obracany w nieskończoność temat  
szybko się wyczer-

pał i w samochodzie zapanowała ponura  
cisza. Wojtek,

patrząc na zalaną wiosennym słońcem  
ulicę, wspominał

dawne szczęśliwe czasy, kiedy zarabiali  
na sobie i prowadzili dzikie interesy w

stylu średniowiecznych kupców.

Handlowali, podróżowali, bawili się  
oraz bogacili. Wtedy

życie było przygodą, teraz stało się  
ponurym, szarym

koszmarem.

– Gdzie ty mnie wleciesz na ten obiad?

– zapytał

w końcu Wojtek. – Tu nie ma żadnej  
knajpy.

– Jest, tylko bez szyldu – oświadczył  
Rafał. – Spoko.

Lubisz chińską kuchnię?

– Ty i chińska kuchnia? To już nie wierzysz, że tam

podają koty i gołębie?

– Przekonałem się. To nie jest jakaś tam restaura-

cyjka z europejskimi podróbkami ani brudna bazarowa

buda. To autentyczna chińska kuchnia. Przyrządzą ci

wszystko.

– Znaczy co? Pijawki w cukrze?

Stuletnie jaja?

– Zobaczysz.

Rafał zaparkował pod starą, niczym  
niewyróżniającą

się kamienicą. Przeszli przez bure  
podwórko studnię,

gdzie między oknami suszyły się jakieś  
szmaty.

A potem weszli do piwnicy.

216

Jarosław Grzędowicz

– Wygląda tu faktycznie jak w Pekinie –  
powiedział

sceptycznie Wojtek, krocząc po zaplutej,  
popękanej ce-

mentowej podłodze. – O co chodzi?

– Moment. – Rafał zastukał do drzwi.  
Żelaznych,

z odsuwającym judaszem jak w więzieniu.

Weszli do krętego pomieszczenia  
oświetlonego przy-

tłumionym światłem czerwono-złotych  
lamp obwieszono-

nych frędzlami. Gołe ściany ozdobione  
gdzieniegdzie

kiczowatymi obrazkami malowanymi na  
jedwabiu. Akwa-

rium z pływającymi leniwie karpami.  
Betonowa podłoga,

po której poniewierały się niedopałki i  
ogryzione kości.

Proste drewniane stoły osłonięte  
parawanami. W powie-

trzu unosił się ciężki zapach przypraw,  
sosu sojowego. Pod ścianą przy  
maleńkim stoliku siedział  
nieprawdopodobnie stary i

pomarszczony Chińczyk w czarnym kaftanie

i niewielkiej czapeczce, który patrzył na nich badawczo

przez oczy wążutkie jak strzelnice bunkra.

Wojtek poczuł się jakoś niepewnie. Za zasłoną z pacior-

ków widać było kuchnię. Wielkie woki, nad którymi bucha-

ły różowe płomienie podpalonego spirytusu i kłęby pary.

Wokół garnków i długiego stołu uwijali

się najwyraźniej

autentyczni Chińczycy. Słysząc było  
rytmiczne uderzenia

tasaka i brzękliwą muzykę z  
magnetofonu. Wszystko to

przypominało raczej palarnię opium z  
czasów Powstania

Bokserów niż restaurację. Jednak  
siedzieli tu jacyś klienci.

Kilku Azjatów w ciemnych garniturach  
obsiadło z pałecz-

kami w ręku okrągły stół z obrotową  
tacą, parę innych osób kryło się przy



stolikach za parawanami.

Kelnerka wyglądała niczym wyjęta z filmu z Jackie

Chanem, nosiła czerwony, haftowany w smoki kaftan,

ale jakimś cudem rozumiała po polsku. Rafał, ten sam,

Specjały kuchni Wschodu

217

który tak brzydził się nawet najdroższych restauracji, że w hotelu Hilton własnoręcznie przyrządzał sobie kanapki,

tu rozsiadł się wygodnie, konferował z przygiętą w pół-

ukłonie Chinką stojącą z dłońmi złożonymi powyżej

kolan i w ogóle zachowywał się jak u siebie w domu. Na

początek zamówił piwo.

Nawet piwo mieli tu chińskie. Tsin-Tao.

– Przeszedłeś przemianę osobowości? – zapytał

Wojtek.

Przyjaciel wydobył nagle telefon

komórkowy i przez

chwilę wpatrywał się w ekran.

– Szlag. Przepraszam. Zaraz wracam.

Kiedy wrócił, Wojtek siedział z  
głupkowatym

uśmiechem i oczami pełnymi  
zdumienia, z nadgry-

zioną krewetkową prażynką w dłoni.

– Słuchaj! – zaczął szeptem. – Kiedy  
wyszędłeś, tam-

ten facet, to jest ten z telewizji... Nie gap  
się! Kelnerka przyszła po zamówienia.

No i koleś powiada do niej, że

chce swoją żonę z grzybami mun. A jego kumpel powiada,

że chce serce byłego prezesa w sosie ostrygowym, masz

pojęcie? Pomyślałem, że robią sobie jaja. Ale goście przy tamtym stoliku to są jacyś politycy. Poznają mordy co

najmniej dwóch. Jeden chciał, rozumiesz, posła Cimcia-

ka na słodko-kwaśno, a ten drugi ministra fi nansów na

chrupko. To jest jakieś porąbane! O co

chodzi? Tu jest

ukryta kamera?

Rafał pochylił się w stronę Wojtka i zachichotał.

– Na tym właśnie polega bajer. U Chińców wszystko

jest mistyczne. Równowaga. Yin i yang, nie? Więc to jest

taki rodzaj chińskiej terapii. Możesz symbolicznie pożreć swoje problemy. Coś cię gnębi, zjadasz to i zaczynasz

Jarosław Grzędowicz

sobie dawać radę, rozumiesz? Te  
krzaczki tam na ścianie

oznaczają: „Przyrządzimy wszystko!”.  
Wszystko, rozu-

miesz? Recesję, posła albo teściową. To  
jest najmodniej-

sza knajpa w mieście. Człowieku! Tu  
jadają prawdziwe

szychy! To jak? Zjadamy Hrabiego?

Wojtek roześmiał się.

– Czemu nie? Hrabiego Kapuchę z

kapustą po pe-

kińsku?

Ostatecznie zamówili Hrabiego po  
seczuańsku i że-

berka Hrabiego w sosie czosnkowym.  
Wojtek poprosił

jeszcze o przyprawy, bo twierdził, że  
bez dodatkowych

sosów nie byłby w stanie drania  
przełknąć.

Cudaczna terapia wydawała się jednak  
działać. Może

sprawiły to po prostu potrawy, które  
rzeczywiście przy-

rządzone były perfekcyjnie. Z każdym  
kęsem Wojtek

czuł, że robi mu się lżej na sercu.  
Wrażenie zaszczucia

i koszmarny strach człowieka  
szantażowanego zaczął

ustępować przed prostymi rozkoszami  
podniebienia. Po-

magą tak dobrze, że zamówił jeszcze  
wątróbkę Hrabie-

go w sosie ostrygowym.



A wtedy właśnie omal się nie zakrztusił.  
Rozkaszał

się i wypluł na talerz sygnet. Jedyne w  
swoim rodzaju,

wyjątkowy i niepowtarzalny sygnet  
Hrabiego, którego

nie pomyliłby z niczym, tak samo jak  
cichociemny nie

pomyliłby z niczym emblematu SS.

Gdyby znalazł w ustach cokolwiek  
innego, na przy-

kład zegarek albo spinkę, natychmiast  
uznałby to za

wyraził nowy żart przyjaciela. Ale tego sygnetu sam

Hrabia nie potrafił właściwie zdjąć. Spał z nim i włożył

pod prysznic. Nie było możliwości, żeby mu go w jaki-

kolwiek sposób ukraść.

Specjały kuchni Wschodu

219

A poza tym Rafał był najgorszym aktorem na świecie.

Tymczasem przyjaciel siedział biały jak

kreda i pa-

trzył na pierścionek z nie mniejszym  
osłupieniem niż

Wojtek. Przestał jeść i z wysiłkiem  
wypluł w serwetkę

to, co miał w ustach. Obaj spojrzeli na  
Chińczyka sie-

dzącego pod ścianą, ale twarz starca  
była nieruchoma

i pozbawiona wyrazu jak maska.

Za zasłoną z paciorków dwóch kucharzy  
rąbało tasa-

kami wielki połeć mięsa.

Wspólnicy milczeli.

Po dłuższej chwili Rafał spojrział  
Wojtkowi znowu

w oczy i odwrócił do siebie tacę,  
wyciągając pałeczki.

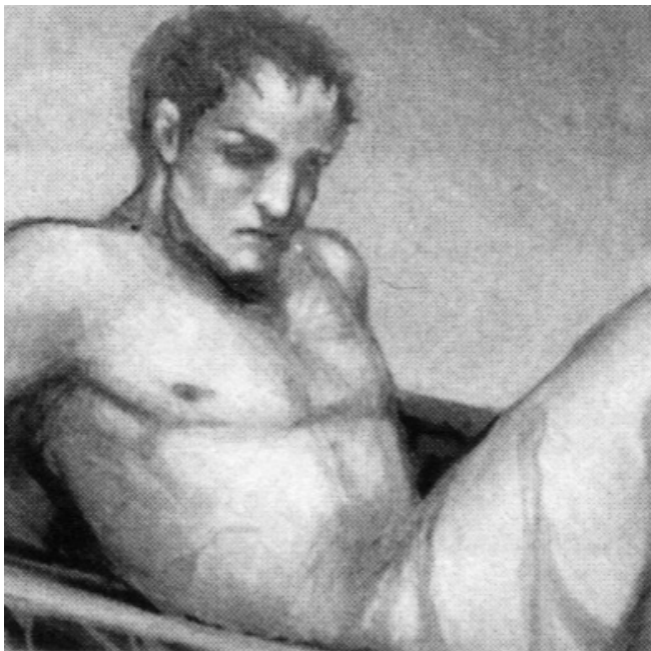
– Niezłe.

Wojtek uchwycił niewielką porcję  
wątróbki Hrabiego

w sosie ostrygowym i też wsadził do  
ust.

– Zimne.

– Zemsta najlepiej smakuje na zimno.  
Nie wiedziałeś?



# Farewell Blues

*Piotr*

Kiedy otworzył oczy ostatniego  
poranka, Słońce nadal świe-  
ciło. To sprawdził przede wszyst-  
kim. Nie mogło dotrzeć do jego  
okna wychodzącego na podwórko  
studnię, paskudną jak chory ząb; jednak  
niewielki kwa-  
drat nieba nad podwórkiem nadal był  
błękitny, poranek

zapowiadał się upalny, ale to chyba był normalny upał.

Zwykły, gorący, kolejny z rzędu dzień wyjątkowo sło-

necznego lata. W każdym razie Słońce znajdowało się

na swoim miejscu i na razie nie wybuchło.

Sprawdzanie zachowania Słońca wszystkim weszło

w krew. Bez względu na to, co robili, odruchowo zerkali

co chwilę na niebo, żeby sprawdzić, czy

rozpalona żółta

kula zajmuje swoje miejsce na  
nieboskłonie. Niemal każ-

dy nosił przy sobie pokryte sadzą  
szkiełko, kawałek czar-

nej kliszy fotografii czarnej albo  
magnetyczną folię wyprutą z wnętrza  
dyskiety. Tekturowe, jednorazowe  
okulary

222

Jarosław Grzędowicz

z lśniąco czarnymi przesłonami,  
zwykle sprzedawane



z okazji zaćmienia, teraz szły niczym  
świeże bułki, po-

dobnie jak gogle spawalnicze. Rzut oka  
na Słońce uspoka-

jał i dawał siłę, by przeżyć kolejny  
dzień w Tym Kraju.

Tak było od dnia, w którym przemówiły  
niemowlęta.

Noworodki i niemowlęta. Jedne miały  
tego dnia

ledwie parę godzin, inne kilka miesięcy.  
Na pewno za

mało, żeby wydawać z siebie

jakiegokolwiek skoordyno-

wane dźwięki. Przemówiły  
równocześnie. W szpitalach,

wózkach i kojcach. Strasznyimi,  
skrzekliwymi głosami

wydawanymi przez wiotkie,  
nierozwinięte krtanie i nie-

wykształcone do końca struny głosowe.

– Zabierzemy was stąd – powiedziały  
niemowlęta

osłupiałym rodzicom, babciom i  
ciotkom. – Przybywamy

dać wam nowy świat. Wyjeżdżajcie.  
Słońce wybuchnie.

Z tym ostatnim zdaniem było najwięcej  
kłopotu. Nie-

mowlęta mówiły bardzo niewyraźnie.  
Jedni usłyszeli:

„Słońce wybuchnie”, a inni: „Bądźcie  
nam ufni” albo coś

w tym rodzaju. Niektórzy upierali się, że  
w ogóle niczego takiego w przekazie nie  
było.

Piotr Siedlarski siedział na łóżku ostatni  
raz w życiu

i patrzył na swój znieawidzony ciemny pokój, który

tego poranka wyglądał jeszcze gorzej niż zwykle. Każdy

szczegół był na swoim miejscu, jak dzieło turpistycznego

dekoratora wnętrz, który zapragnął stworzyć syntezę

polskiego slumsu. Zadbał o żółtawe zacieki i grzyb na

sufi cie, pękniętą szybę, wielotygodniowe warstwy kurzu

i tłustego brudu na wszystkim, łuszczącą

się farbę olej-

ną, a nawet żarówkę zwisającą z sufitu na zabytkowym

kablu i sterty talerzy z zaschniętymi resztkami jedzenia.

Z rządowego wykrywacza dymu zwisała prezerwatywa,

Farewell Blues

223

starannie naciągnięta na szczeliny analizatora jak pa-

skudny, zwiędły owoc. Mieszkanie

pasowało idealnie

do kamienicy, a ta do otaczających ją ulic. Doskonała

harmonia.

Powód pierwszy: to mieszkanie, ten dom, to miasto.

Piotr celowo nie sprzątał od trzech tygodni. Od dnia,

kiedy podjął decyzję. Nie chciał mieć żadnych dobrych

wspomnień. Nawet pokoju doprowadzonego do wzglę-

nej schludności. Co rano otwierał oczy  
w obrzydliwej,

cuchnącej norze i sprawdzał, czy Słońce  
jeszcze świe-

ci normalnie, czy też rozděło się już w  
pomarańczową,

wielką banię, pchającą w stronę Ziemi  
tsunami piekielnej

plazmy, która w ułamku sekundy  
spopieli wszystkim

oczy i ugotuje krew w żyłach. Nie chciał  
się zastanawiać, tęsknić i mnożyć  
wątpliwości. Podjął decyzję.

To nie był jego dom. Jego dom wyglądał zupełnie ina-

czej, ale zrobiono z nim porządek. Załatwił go podatek

katastralny oraz „ustawa o wyrównywaniu szans i zapo-

bieganiu nierównościom społecznym”. Był mężczyzną,

rozwodnikiem, nie miał rodziny i przede wszystkim nie

miał dzieci. Przysługiwała mu kawalerka z oknem wycho-

dzącym na podwórko studnię, z tłustą



plamą na sufi cie.

Tego ostatniego poranka nie  
potrzebował też niczego,

co się tu znajdowało.

– Tylko to, co kochacie – powiedziały  
niemowlęta. –

Tylko to, co ma wartość sentymentalną.  
Nie zabierajcie

pieniędzy, nie zabierajcie przedmiotów  
codziennego

użytku ani ubrań. Tylko pamiątki. Całą  
resztę możecie

mieć nową. Cokolwiek będzie wam  
potrzebne.

Nowe życie, Nowa Ziemia, nowe  
rzeczy. Bardzo  
słusznie.

224

Jarosław Grzędowicz

Wybierał te rzeczy od trzech tygodni.  
Brał w dłonie

i usiłował przywołać wspomnienia,  
które byłyby godne

zabrania pod obce, granatowe niebo, na

Nową Ziemię.

Dziewiczą, nietkniętą ludzką stopą,  
świeżą i pachnącą,

jak wyjętą z opakowania. Obracał je w  
dłoniach i od-

kładał na podłogę. Właściwie nie umiał  
znaleźć niczego,

czego nie mógłby zastąpić.

Co miał zabrać? Prócz zdjęć ludzi,  
których kiedyś

kochał? Każde było obecnie pamiątką  
zdrady, nielojal-

ności, obojętności albo niespodziewanej śmierci. Zabrał

fajkę. Wiedział, że rosną tam już ziemskie rośliny. Kwit-

ną i rozpleniają się bujnie pod ochronnymi kopułami,

żeby nie skaziły lokalnego ekosystemu. Wszystkie, któ-

re mogłyby okazać się potrzebne, a których nie można

by zastąpić miejscowymi. Nie wyłączając tytoniu, koki,

chmielu albo peyotla. Tamtym było

wszystko jedno. Nie

rozumieli ludzkich tabu i nie zamierzali się w to wdawać.

Według nich każdy powinien sam decydować o sobie.

Zachorujesz? Wyleczysz się. Zatrujesz się, zachlejesz albo zaćpasz? Trudno.

To była kolejna przyczyna, dla której się nie wahał.

Powód drugi: tytoń virginia i whisky.

Żegnajcie, bezwzględne zakazy i zdrowy trybie życia.

Kiedy tylko opuści kontener zrzutowy,  
jeszcze zanim się

odleje, zanim kupi karabin i pójdzie w  
głąb lądu szukać

szczęścia, źródeł rzek albo odkrywać El  
Dorado, przede

wszystkim weźmie z dystrybutora  
wielkie hawańskie

cygaro i pójdzie przez miasto, z  
ukontentowaniem wy-

puszczając wielkie kłęby dymu.

Żegnajcie, bijący na alarm lekarze,  
histerie i „style

życia”.

## Farewell Blues

225

Tyle że na razie jego przepisowy pojemnik (nie dłuż-

szy niż metr, nie wyższy i nie szerszy niż czterdzieści

centymetrów), w tym wypadku stary wojskowy plecak,

z którym przemierzył kiedyś Andy, wspinał się na wodo-

spad Kirinyaga i który wybrał na swoją

emigrację, leżał

u jego stóp niemal pusty i oklapły, jak wyschnięta fi ga.

\* \* \*

Siedział nad nim i czuł, jakby żołądek wypełniał mu

roztopiony ołów. Reiseifi eber. Gorączka podróżna. Kom-

binacja strachu, nadziei i bezdennego lęku przed niezna-

nym. Normalna ludzka obawa przed konsekwencjami



decyzji ostatecznych.

Z Anglii mógł przynajmniej wrócić.

Na początku wydawało się, że trafił  
jeśli nie doskona-

le, to przynajmniej znacznie lepiej.  
Miasta były ładniejsze, ludzie życzliwsi,  
państwo, jak sądził, mniej drapieżne.

Miliardy bezsensownych utrudnień  
rodem z Tego Kraju

tam po prostu nie istniały. Anglia była  
przyjazna.

A potem przywykł. Przestał się  
zachwycać, a zaczął

patrzeć. Zobaczył pełne nienawiści  
graffi

ti na bielutkich

ścianach, grupki coraz dziwniejszych i  
coraz bardziej

agresywnych emigrantów, których  
dotyczyły specjal-

ne prawa. Sam był emigrantem, ale  
przyjechał w gości

i zamierzał zostać Anglikiem. Tamci  
zachowywali się

jak okupanci.

Zaczął zauważać zakazy. Nie od razu, bo były sfor-

mułowane sprytniej i delikatniej niż w Tym Kraju. To, co

w Polsce nazwano „bezwzględnym zakazem palenia ty-

toniu”, tam było konsekwencją wielu ustaw składających

226

Jarosław Grzędowicz

się na Fire Safety Act. Chodziło o ochronę przeciwpoża-

rową, sformułowaną tak, jakby całą  
Brytanię zbudowano

z żywicznych listewek i bibułki. W  
każdym mieszkaniu

znalazł się czujnik. Najdrobniejsza  
smużka dymu, choćby

z kadzidełka albo zdmuchniętej  
świeczki, wywoływała

alarm. Jeżeli tak się stało, taniej było  
podpalić własny

dom, niż zapłacić straży za niepotrzebny  
przyjazd.

Nie miał nic przeciwko kamerom na

ulicach, póki

nie zorientował się, że napaść człowieka można równie

dobrze tam, gdzie kamery nie widzą. A potem przysłali

mu mandat na dwa i pół tysiąca funtów. Najpierw nie

miał pojęcia, o co chodzi, bo ratusz napisał list raczej

enigmatyczny. Sądził, że to pomyłka. Okazało się, że

dzięki Civil Safety Act system się nie myli. To był ten

dzień, kiedy idąc do pracy, spotkał na  
Pinewood swojego

listonosza. Poranek był piękny, wokół  
wznosiły się rzędy

bardzo angielskich, schludnych  
szeregówek z brązowej

cegły, a listonosz uśmiechał się  
przyjaźnie. Wszystko

wyglądało jak z jakiejś eleganckiej  
klasycznej powieści.

Listonosz bez żadnych ceregieli wydał  
adresowane do

Piotra przesyłki, pozdrowił go

serdecznie i pożegnał

się. Siedlarski przejrzał koperty, ale znalazł tylko re-

klamówki, które starannie wyrzucił do stojącego przy

przystanku kosza.

– Powinien był pan wrócić do domu i wyrzucić listy

do własnego, płatnego worka, sir – tłumaczyli w magi-

stracie. – Miejskie kubły służą do wyrzucania drobnych

odpadków, a nie pańskich prywatnych śmieci. Ponadto

naruszył pan przepisy o segregowaniu odpadów.

Wiedzieli o tym dzięki ulicznym kamerom. Namie-

rzyli go w cztery dni w kraju, w którym mieszkał od

Farewell Blues

227

pół roku i w którym nie ma dowodów osobistych. „Miś



zwany Paddington” nagle zmienił się w „Rok 1984”.

A potem skini zadźgali kogoś w parku i natychmiast

zakazano noszenia jakichkolwiek noży, nawet szwaj-

carskich scyzoryków wielkości breloczka. Brytyjczycy,

w tym świeżo upieczony Walińczyk Siedlarski, dostali

dwa tygodnie na złożenie w komisariatach całego po-

tencjalnie morderczego żelastwa.

A jeszcze potem zabroniono noszenia nakryć głowy

osłaniających twarz, w tym kapeluszy, kapturów i czapek

z daszkiem. Kominiarki były wykluczone, nawet gdy

nastały mrozy. Chodziło o wygodę kamer.

Później wydano Health Act i zakazano stosowania

solu w restauracjach, przetwórnich oraz ograniczo-

no jej sprzedaż. Obłożono akcyzą mięso

i przetwory,

wszelkie tłuszcze, także słodyczne.

Oklejono ostrzeże-

niami napoje.

Następnie pojawiła się ustawa o zachowaniach anty-

społecznych. Od tej pory nie trzeba już było nowych za-

kazów. Formułował je sąd, według własnego widzimisię

i na miarę, dla każdego obywatela, który czymkolwiek

się naraził. Ktoś, kto przekroczył prędkość, otrzymywał

zakaz prowadzenia samochodu zdolnego przekroczyć

prędkość pięćdziesięciu mil na godzinę. Jeśli przyłapano

go w porsche, dostawał trzy lata.

Zaczął się od jakiegoś gangu osiedlowego. Chłopcy awanturowali się w shop-pingach i nosili jako znak rozpoznawczy żółte rękawiczki

do golfa. Dostali zakaz noszenia jakichkolwiek rękawi-

czek i zbliżania się do centrów

handlowych na bliżej niż

sześćdziesiąt jardów.

I fajnie.

228

Jarosław Grzędowicz

Od tej pory każdy mógł dostać zakaz  
robienia cze-

gokolwiek.

Wtedy dał spokój i wrócił do Polski.

Nawet nie poszło o zakazy. Z tym  
pewnie by sobie

jakoś poradził. Po prostu nie był w  
stanie żyć w kraju,

w którym nie ma nic dzikiego. Cała  
Brytania zdawała

się sprzątnięta, zagrabiona, podzielona  
płotkami i miała

wytyczone ścieżki. Żadnych ostępów.  
Żadnych gęstw,

poszarpanych turni i odludzi.

Znalazł jakiś las w Walii, który  
przypominał

miejski park. Asfaltowe dróżki, proste  
jak strzelił,

zgrabione liście, kosze na śmieci i  
latarnie zasilane

bateriami słonecznymi. Nie mógł tego  
znieść. Miał

to w genach.

Duszę pioniera. Całe życie usiłował  
znaleźć dziewi-

czy obszar i zbudować na nim od zera  
coś doskonałego.

Teraz mu tego zabraniano, odbierano to,  
co zbudował,

i wznoszono płoty z siatki. Zwracano mu  
uwagę, że ist-

nieją procedury, które należy realizować. Kiedyś tacy

jak on wyruszali morzem po Nowe Ziemie. Teraz nie

było już dokąd płynąć, ale Kolumbowie, Pizarrowie i Li-

vingstonowie nadal się rodzili. Dzicy, z jasnym wzrokiem

szaleńców wbitym w horyzont. Miotali się przez kilka-

dziesiąt lat niczym nietoperz w sypialni, obijając o ściany i tabliczki z zakazami, żeby wylądować w więzieniu albo



wariatkowie.

Wrócił do kraju, akurat by zobaczyć, jak instalują

kamery, i usłyszeć, że „Polska nie może być ostatnim kra-

jem w Europie, który wprowadzi ustawę o zachowaniach

antyspołecznych”. Sól już od pół roku wszyscy nosili przy sobie, a kupowali na bazarach od Rosjan.

Farewell Blues

Spakował melonik. Czarny, klasyczny  
melonik

w okrągłym pudełku z Harrodsa.

Melonik, który kupił

dla żartu, kiedy chciał zostać Anglikiem.

Powód trzeci: zakaz noszenia melonika.

Żegnaj, Zielona Wyspo, ograbiona z  
pubów, fajek,

whisky, szklaneczki sherry, kominków i  
meloników. Żeg-

naj, Anglio niebędąca już Anglią. Bye,  
zdetronizowana

Korono. Farewell.

– Tylko to, co kochacie. Pamiątki –  
powiedziały nie-  
mowlęta.

Gdzieś wtedy zrozumiał, że na całej  
planecie nie ma  
dla niego miejsca.

Najpierw mówił: „ten kraj”. Potem: „ten  
kontynent”.

A po podróży na drugą półkulę przestał  
komentować

cokolwiek. Próbował w Stanach, w

Argentynie i Australii.

Okazało się, że generalnie istnieją dwa rodzaje miejsc.

Cywilizowane, nudne, komfortowe i najeżone niezliczo-

nymi zakazami pilnującymi bezpieczeństwa. Oraz zdzi-

czące regiony, pełne niewyobrażalnej nędzy i anarchii.

Królestwo Kałasznikowa, gdzie tyrańską władzę dzierżyli

naćpani nastoletni watażkowie. Samotny biały bez prawa

do noszenia broni miał tam takie szanse  
przetrwania

jak łąza w palenisku. W jednych dusił się  
pod ciężarem

lśniącego, pluszowego totalitaryzmu, w  
drugich może

znalazłby miejsce dla siebie, gdyby  
dysponował brygadą

piechoty zmechanizowanej.

I tyle mu przyszło z emigracji.

„Dear John”.

Kiedyś, dawno temu, podczas wielkiej

wojny, żoł-

nierze nazywali takie listy  
„dearjohnami”. Dostałem

dearjohna, mówili. Oni byli na froncie, a  
ich przyjaciółki, 230

Jarosław Grzędowicz

narzeczone i żony w kraju. Przysyłały  
listy zatytułowane:

„Moje najdroższe kochanie”,  
„Dżonuniu” albo „Misiu-

pysiu”. A pewnego dnia nie było już  
Misia-pysia, tylko

oficjalnie: „Drogi Johnie”. Wtedy wiadomo było, że nie

ma co czytać dalej. Spotkałam kogoś, on jest lotnikiem

(prawnikiem, odpowiedzialnym-młodym-człowiekiem).

Nie mogę czekać w nieskończoność, ta wojna nigdy się

nie skończy, muszę myśleć o dzieciach, a ty zdychaj

w okopach w Ardenach, po szyję w błocie, i niech ci

strzelą w dupę.

Pa.

Buziaczki, Misiu-pysiu.

Piotr też dostał swojego „dirdżona”. W Anglii.

Nawet bez „drogi”. Po prostu „Piotrze”.

Spakował go teraz do plecaka, razem ze wspomnie-

niem o swoim domu, który zbudowali w dalekim Suwał-

skiem. Daleko od wyścigu szczurów, państwa opiekuń-

czego albo solidaryzmu społecznego,



zależnie, kto tam

akurat rządził. Własny dom, niczym z  
bożonarodzenio-

wej pocztówki. Z własną kuźnią  
artystyczną i ogromną

kuchnią. Miał mieć wędzarnię, gorzelnię  
i miniaturowy

browar. Całkowicie samowystarczalny,  
jak pierwsze wa-

rowne domy stawiane po upadku  
Cesarstwa Rzymskiego.

Twierdza dla dwojga.

Było już tak blisko.

„Piotrze”.

Wyrosła z tego. Była zmęczona walką z całym świa-

tem. Zrozumiała, że on nigdy nie dorośnie i wiecznie bę-

dzie uciekał od odpowiedzialnej roli, jaką przeznacza mu

życie w społeczeństwie. Czas pionierów i białych plam na

mapie minął. Ona dojrzała i potrzebowała kogoś odpo-

# Farewell Blues

231

wiedzialnego, kto da jej poczucie  
bezpieczeństwa. Chcia-

ła wychować swoje dzieci w poczuciu  
odpowiedzialności

i poszanowaniu obowiązków. Nie mógł  
pojąć, skąd wzięła

ten język. Zrobili jej operację? Ktoś jej  
dyktował?

Spakował swojego „dirdżona” do  
kolekcji rzeczy,

które kochał. Pamiątek. Razem z jej  
zdjęciem i kluczem,

który zdążył jeszcze wykuć w swojej  
kuźni, zanim musiał

wszystko sprzedać, żeby zapłacić  
podatek.

Tak radziły niemowlęta.

„Zabierzcie to, co kochacie”.

Powód czwarty: „dirdżon”.

Żegnaj, Anitko. Żegnaj, mój nagle  
dorosły czarny

aniele, szukający państwowego

„poczucia bezpieczeń-

stwa”. Farewell, moja piękna, która  
wyrosłaś z człowie-

czeństwa.

Powód piąty: jego kuźnia.

Żegnajcie, przepisy prawa pracy,  
obowiązkowe skład-

ki, podatki wyrównawcze i przepisy  
BHP. Żegnajcie, za-

kazy produkcji „niebezpiecznych  
narzędzi”.

Rozpalę moje palenisko gdzie indziej.

Dlatego w gruncie rzeczy było mu obojętne, czy Słońce wybuchnie czy nie.

Kiedy pojawili się Tamci, dosłownie kilka dni po tym,

gdy przemówiły niemowlęta, było mu nawet obojętne,

czy przybyli, żeby podbić Ziemię, czy żeby zmienić ludzi

w niewolników. Patrzył na to wszystko z boku, przepojo-

ny kompletnym fatalizmem. Na dyski sunące bezgłośnie

i strasznie przez błękitne wiosenne  
niebo. Olbrzymie,

lśniące jak soczewki z rtęci, jeżeli  
patrzyło się z odległości kilometra, a  
czarne niczym studnia do wieczności,  
jeżeli

przelatywały ci nad głową.

232

Jarosław Grzędowicz

Mieli nawet dyski. Pieprzone latające  
talerze.

Ależ to była histeria.

Miotali się jak stado kur na widok pterodaktyla.

Niektórzy popadli w stupor, niektórzy sięgnęli do

zachowań rutynowych. Modły, zawodzenia, próba

ucieczki na wieś i zapasy mąki w tapczanie. Wiedza

prababek kazała jeszcze gromadzić sól, cukier, zapalki,

świece i konserwy, ale to wszystko zdążyło już znaleźć

się na indeksie. Zapasu warzyw na parze



nie bardzo

dało się zrobić.

Pisarze fantastyki i ufolodzy nagle awansowali do roli

ulubieńców mediów i wizjonerów. Nie było po co zapra-

ścić do studia astronoma, który całe życie upierał się, że życie poza Ziemią jest niemożliwe, a podróże międzygwiazdne są kompletną bzdurą. Nie w sytuacji, kiedy nad

głową sunęły dyski świeżo po podróży międzygwiazdnej,

najwyraźniej wypełnione życiem spoza  
Ziemi, które ot

tak sobie kazało przemówić  
niemowlętom.

Histeria trwała tydzień. Histeria  
potężna, na skalę

międzygwiazdą. Pisarze fantastyki  
bredzili o wojnie

galaktycznej, ufolodzy o kosmicznych  
wibracjach i duchu

przyjaźni wszystkich istot.

Najgorsze było to, że w końcu wszystko  
okazało się

takie banalne. Zgodne z wszelkimi  
najbardziej tandet-

nymi wyobrażeniami. Latające talerze.  
Obcy mający

dwie nogi, dwie ręce i głowę. Uczeni  
przez lata tłu-

maczyli przemądrzałym tonem, że o ile  
istnieją jakieś

żywe istoty w kosmosie, nie mogą  
przecież wyglądać

jak ludzie.

A tymczasem wyglądali – mniej więcej.

I już.

Farewell Blues

233

Przynajmniej zgodnie z relacjami tych nielicznych,

którzy ich widzieli. Obcy komunikowali się przez nie-

mowlęta i niewielu mogło spotkać ich osobiście.

Odgrzebano wszystkie stare filmy w nieocenzurowa-

nych wersjach. Dzień w dzień leciały:

„Wojna światów”,

„Dzień niepodległości”, „Gwiezdne wrota”, „Gwiezdne

wojny”, a nawet „Plan 9 z kosmosu”.

Cywile zaciągali się

na ochotnika, żołnierze dezercerowali.

A potem nagle nastąpiła martwa, straszna cisza.

Kosmiczne wojny znikły z ekranów jak zdmuchnięte.

Zastąpiły je filmy pokazujące Obcych jako dobrodusze,

szlachetne istoty. „Bliskie spotkania”, „ET”, „Kula”. To wtedy pojawiła się medialna nazwa „elfy”. Smukłe, eteryczne, starsze od ludzi, szlachetne istoty. Skojarzenia pozytywne.

Coś się działo.

Cisza trwała cztery dni.

Pisarze SF przestali być zapraszani do studia, ich

miejsce po staremu zajęli politycy. Piotr patrzył na to

wszystko obojętnie. Tylko kiedy zrozumiał, że nie będzie

promieni śmierci, poczuł rozczarowanie.

– Jest układ – powiedział mu kuzyn  
zwany Rysio. Ku-

zyn polityk. Kuzyn szycha. Kiedyś był  
grubym okularni-

kiem, którego Piotr straszył pająkami,  
wpychał w pokrzywy i skłonił do  
wypicia tuszu. A teraz siedzieli na  
tarasie wznie-sionego na Mazurach  
pałacu, Rysiek bez najmniejszych

ceregieli palił sobie cygaro, po jeziorze  
krążyła motorówka z uzbrojonymi po  
zęby Ludźmi w Czerni. – Wejdzie  
ustawa

o zachowaniach antyspołecznych, a ty masz już kartote-

kę jak słonia nos. Wiesz, jak to jest. Ludzie są głupi, więc system musi ich pilnować. Prędzej czy później na czymś

wpadniesz. A to z kolei będą haki na mnie. Nasza opcja

234

Jarosław Grzędowicz

już długo nie pociągnie i wróci tęczowa komuna. Na cztery lata. Ale ja jestem ekspert i nie chcę, żeby mnie wymienili.

Dlatego załatwiłem ci to. Robię to dla



mojej matki.

Położył na tekowym ogrodowym stole  
elegancką,

cienką teczkę.

– Co to jest?

– Bilet w kosmos. Nasi przyjaciele  
oferują nową plane-

tę. Dla wszystkich chętnych. Nowa  
Ziemia, kolonizacja,

te rzeczy. Nie dziękuj.

– Słyszałem – powiedział Piotr. – To  
ewakuacja. Słoń-

ce wybuchnie.

– E tam. Ściema. Miejska legenda. Elfy  
nic nie wspo-

minały o Słońcu. Sprawdzaliśmy u  
jajogłowych. Żar-

planeta jest w porzo. Nic jej nie brakuje.

Pochylił się.

– To polityka. Chcą nas osłabić. Ziemię, rozumiesz.

Rozdzielą na mniejsze grupy, zajmiemy się kolonizacją

i przez paręset lat nie zaistniejemy w polityce. My – ludzie.

Ziemia. Myślisz, że tam w górze nie ma polityki? Gdyby-

śmy sami odkryli napęd, zaczęlibyśmy szukać własnych

kolonii i moglibyśmy im namieszać. A tak dają rezerwat

i spokój. Nie mamy wyjścia. Musimy się

zgodzić. Wybrali

nas. Wybrali nasz kraj. Teraz trzeba to  
wykorzystać. Na

całej Ziemi kupa ludzi już się pakuje.  
Porąbańcy, jednostki antyspołeczne,  
socjopaci. Tacy jak ty. A ja chcę mieć

gwarancję, że nie zabraknie dla ciebie  
miejsca. To jak?

Piotr zabrał kopertę ze stołu i nachylił  
się do kuzyna.

– Ci sami jajogłowi upierali się, że  
latające talerze

nie istnieją. I że prędkość światła jest

nieprzekraczalna.

Polecę. Nawet gdyby Słońce nie miało  
wybuchnąć, i tak

bym poleciał.

Farewell Blues

235

Odwrócił się jeszcze, schodząc z tarasu.  
Ochroniarz,

dwumetrowy grabarz z aparatem  
słuchowym, ruszył mu

na spotkanie. Piotr zobaczył swoje  
odbicie w okularach

wyglądających niczym czarne telewizory.

– Rysiu, jak oni wyglądają?

– Elfy? Jak żelki.

– Jak co?

– No, te przezroczyste, gumowate cukierki, które jed-

liśmy w dzieciństwie. Albo jak ludki z wody. No, kurna,

jak ufoki, co tu gadać. Sam zobaczysz.

\* \* \*

Niebieski Paszport – tak naprawdę  
jedyna rzecz, która

mogła być coś warta. Nie był potrzebny,  
żeby dostać się na lotnisko i wsiąść na  
statek. Tamci przyjmowali każdego. Wy-  
znaczyli daty ewakuacji, ale wysyłali je  
mailem każdemu, kto chciał. Chodziło o  
to, żeby tłum nie koczował na lotniskach.

Niebieski Paszport był wynalazkiem  
Tego Kraju. Gwarancją

nietykalności dla emigranta. Nie wolno  
go było aresztować ani zatrzymać. Miał  
datę odlotu. Miał Niebieski Paszport.

Więc nie wolno go było  
powstrzymywać. To najwyraźniej

była część Układu. Jeżeli ktoś naprawdę przesadził, na przykład pobił policjanta, zapalił papierosa, założył czapkę albo przechodził przez ulicę po dwóch piwach, zamykali go, ale zaraz potem z pompą odwozili na wskazane lotnisko.

Cieszył się, że go ma, bo nagonka w mediach na emi-

grantów przeszła ludzkie pojęcie. Wyliczono nawet, że

każdy wyjeżdżający okrada państwo ze średnio pół mi-

lionu euro, które wpłaciliby do końca życia do Systemu



Opieki Społecznej.

236

Jarosław Grzędowicz

Demokratyczna Partia Równości  
nazywała wyjeź-

dżających aspołecznymi faszystami,  
którzy na miejscu

i tak pozabijają się nawzajem z łatwo  
dostępnej broni

oraz wymrą w ciągu paru lat z powodu  
powrotu do nie-

zdrowego stylu życia. Prorokowała

przemoc, nierówność,

dziki kapitalizm, przesady religijne,  
zdziczenie, rasizm

i molestowanie seksualne.

Blok Narodowo-Chrześcijański  
porównywał efekty

emigracji z ludobójstwem i  
eksterminacją narodową. Od-

woływał się do patriotyzmu oraz nie  
ukrywał faktu, że pod obcym niebem nie  
będzie zbawienia. Emigrację ogłosił

równoznaczną z ekskomuniką i zdradą  
główną. Proroko-

wał anarchię, prostytutkę, pornografię i  
dziki kapitalizm.

Wszystko to nie miało dla Piotra  
znaczenia, bo śnił

o tamtym świecie. O ile się zorientował,  
wszyscy zdecydo-

wani emigranci śnili to samo. Od kilku  
miesięcy oglądał

kipiące zielenią lasy, szybował nad  
górami, podziwiał

szmaragdowe morza, puste, gotowe do  
zamieszkania

bezludne miasta, w których budynki,

aleje i chodniki

pokrywała lśniąca, przejrzysta błona,  
podobna do folii.

Nowy świat w nietkniętym pudełku.

Miasta były prowi-

zoryczne, ale komfortowe.

Kiedy się budził, najpierw sprawdzał,  
czy Słońce jeszcze

świeci, a potem czy nadal ma swój  
Niebieski Paszport.

Jego pieśń pożegnania.

Farewell Blues.

Dołożył do plecaka jeszcze rozmaite  
urzędowe pisma,

zapakowane do skórzanej okładki, w  
której Rysio przeka-

zał mu paszport. Wyciągnął minidysk ze  
szczeliny odtwa-

rzacza, na którym nagrał sobie cztery  
godziny publicystyki.

Wiadomości, programy interwencyjne i  
dyskusje.

Farewell Blues

Okupujące stoły w studiach śliskie,  
plastikowe typki,

takie jak Rysio. Wyhodowane na  
demokracji pasoży-

ty. Cała nietykalna kasta wymuskanych  
półgangsterów.

Żaden nigdy nie zrobił niczego  
potrzebnego, na niczym

się nie znał, nie dotyczyło ich nic z  
uciążliwości, które szczerze fundowali  
innym. Mieli forszę, od ręki dostawali  
ochronę i pozwolenia na broń, jeździli z  
taką prędkością, z jaką mieli kaprys,  
jedli, pili i palili, co chcieli. Jedyne, na  
co musieli uważać, to paparazzi. Żadna

skomplikowana

procedura nie mogła ich ruszyć. To oni tworzyli system,

więc był im posłuszny. Mieli swoje ordynacje, immuni-

tety i przywileje.

Żegnajcie, bydlaki.

Jeśli spróbują się tylko odrodzić tam, na Nowej Zie-

mi, zastaną wściekły tłum i suchą gałąź z przerzuconym

sznurem. A Siedlarski będzie stał na

czele tego tłumu

z pochodnią w rękach.

Żegnajcie.

\* \* \*

Kiedyś ogarnie go nostalgia. Wiedział,  
że zatęskni

do znajomych kamieni, do grobów  
przodków, do klifów

Dover, do wybrzeża w Dębkach, do  
mazurskich jezior.

Nawet, dlaczego nie, do Giewontu,  
Wawelu i Dworu Ar-



tusa. Może do czeskiej Pragi. Na pewno  
zatręskni do Tego

Kraju. A wtedy otworzy swój stary  
plecak i wyjmie to

wszystko. Swoje lekarstwa na nostalgię.  
Starannie, jedno

po drugim.

Pamiętki.

To, co kochacie.

238

Jarosław Grzędowicz

Tak jak radziły niemowlęta.

Zamknął plecak i założył świeżo kupione ubranie.

Jedni zakładali najlepsze garnitury, niczym do trumny,

inni stroili się jak na wakacje: klapki, szorty, hawaj-

skie koszule. Wiedzieli, że po tamtej stronie znajdują

te dziwaczne zautomatyzowane składy, wydające za

darmo wszystko, co sobie wymarzysz.  
Ekonomiści

brali się za głowę, politycy tłumaczyli  
godzinami, że

to niemożliwe. Tyle tylko, że widział je i  
wiedział, jak

będą działały.

Widział we śnie.

Siedlarski założył ciężkie buty,  
drelichowe portki

i piaskową koszulę. Mocne, wygodne  
rzeczy, mogące

przetrwać miesiącami wśród  
niezbadanych puszczy Nowej

Ziemi. Tam, gdzie pójdzie szukać złota,  
przewozić towary

ciężarówką, przecierać szlaki i wznosić  
osady.

Nie wiedział jeszcze, co będzie robił.  
Mógł wszystko.

Tam, w głębi lądu, prawo będzie  
obowiązywało tylko na

odległość jego prawego ramienia. Kiedy  
o tym myślał,

czuł się, jakby wracał do domu. Jakby  
czekało na niego

naturalne środowisko.

Ostatniego poranka na Ziemi nie zjadł śniadania. Bał

się otwierać lodówkę. Tydzień temu wyłączono mu prąd

i teraz spod drzwi wyciekał jakiś bury, cuchnący płyn.

Nie wiedział, co to jest, i nie chciał wiedzieć. Zresztą i tak nie było tam nic godnego uwagi.

Zdjął z czujnika zwiędłą, zwulkanizowaną od upału

prezerwatywę i zapalił skręta z

przemycanego tytoniu.

Farewell Blues

239

Żegnaj, moje gniazdko.

Kiedy wychodził już na schody, nadal  
nie było słycać

syren. Państwo zaczynało się sypać.

Zostawił otwarte drzwi. Większość  
samotnych emi-

grantów tak robiła.

Żegnajcie.

Nie dostaną jego składek, ale za to będą mogli prze-

bierać do woli w pustostanach.

Bezrobocie przejdzie do

historii, podobnie jak tłok w autobusach.

Chyba że Słońce jednak wybuchnie.

Żegnaj, Słońce.

\* \* \*

Sąsiad stał na dole w bramie, kryjąc się w jej smrod-

liwym cieniu przed lipcowym, wściekłym upałem, i za-

stawiał swoim rozdętym cielskiem  
drzwi. Celowo.

– A gdzie się sąsiad wybiera?

– Bo co?

– Bo mnie się, kurna, zdaje, że na stację.  
Bez obrazy,

sąsiad, ale podobnież przez takich jak ty  
to ma zasiłków

zabraknąć.

Siedlarski spojrział na zegarek i  
stwierdził, że zostało

mu trzy i pół godziny. Trzy i pół godziny



na Ziemi.

– W telewizji mówili. Nie będzie komu robić, to i za-

siłków nie będzie. Ja jestem inwalida, kurna. Pan, sąsiad, jesteś w porządku, na wino mnie dawałeś. Ale pojechać

to, bez obrazy, nie pojedziesz. No bo każdy ma obowiązki, nie? A jak wszyscy pojedą, to co będzie?

– To będziesz musiał na siebie zarobić, inwalido – po-

wiedział Siedlarski i ruszył do przodu. Na kiwające się

Jarosław Grzędowicz

w świetle bramy rozdęte cielsko,  
rozpychające od środka

pasiasty podkoszulek niczym kosmata  
plażowa piłka.

– Co... do mnie tak?! Ty, kurwa, cwelu,  
przecież cię

zajebię! – zawarczał inwalida.  
Obowiązkowa, tradycyj-

na gadka poprzedzająca wrzaskliwą,  
chaotyczną bójkę

w bramie. Taka gra wstępna.

– Po pierwsze... – zaczął Siedlarski, nie zatrzymując

się ani na chwilę – stoisz mi na drodze. Po drugie...

Sąsiad nigdy nie dowiedział się, co będzie po drugie.

Siedlarski sam nie wiedział. Jedną z niepisanych zasad

ulicznej gry wstępnej było zaczynanie bójki po zakoń-

czeniu kwestii. Haratanina zaczynała się, kiedy wyczer-

pano koncept. Tak było od paleolitu i tak  
odbywa się to

zarówno wśród orangutanów, jak i  
dachowych kotów.

Dlatego Siedlarski powiedział „po  
drugie” i lewą dłonią

chwycił zasłuchanego sąsiada za twarz.

Tamten poderwał odruchowo ręce i  
natychmiast ode-

brał potężne kopnięcie w krocze.

Mocnym butem fi rmy

„5.11”, specjalizującej się w odzieży  
dla najemników i fi rm ochroniarskich.

Wzmacniany kewlarem czubek buta wbił  
się pod brzuch sąsiada i zatonął na  
ułamek sekundy jak  
w worku tranu.

Bez większego efektu. Grubas stęknął  
tylko i ruszył  
naprzód niczym rozwścieczony byk.

Przez jedną okropną chwilę Siedlarski  
pomyślał, że  
już po nim. Jednak impuls nerwowy w  
mózgu sąsiada,  
który najwyraźniej utknął gdzieś po

drodze w korku,

przedarł się przez rzadko używane sieci  
neuronów, trą-

biąc wściekle na wywołane alkoholem  
roboty drogowe,

i wbiegł zdyszany do ośrodka bólu,  
kiedy wielkie pięści

były już w drodze.

Farewell Blues

241

Sąsiad zatrzymał się nagle, jakby wpadł  
na przezro-

czystą ścianę, objął swój rozdęty brzuch  
i złamał się w pół

niczym rodząca foka.

Siedlarski opuścił uniesione obronnie  
ręce i spojrział

na sąsiada składającego mu coś w  
rodzaju pokłonu. Gru-

bas oparł dłoń o cementową posadzkę,  
uniósł się trochę

i zwymiotował na schody.

Piotr podniósł plecak, obszedł grubasa z  
boku i dla

pewności kopnął go jeszcze raz w żebra.  
Tamten zawył

i padł ciężko na bok, jak zdychający  
bawół.

– Żegnaj, sąsiedzie – powiedział  
Siedlarski. – Przekaż

moje pożegnanie wszystkim takim jak ty.  
Farewell.

Na ulicy trząśł się jeszcze ze złości i  
napięcia, ale nie wiedział, czy  
wywołała je bójka, czy wyjazd. Dziwnie

było tak iść znajomymi ulicami, mając  
świadomość, że



to ostatni raz. Absolutnie ostatni. To nie Australia. Tam, po tamtej stronie wielkiej pustki, będzie patrzył na Słońce, wypatrując go nocą wśród gwiazdozbiorów. I będzie to

światło z czasów, gdy ludzie siedzieli w jaskiniach. Nawet nie dowie się, czy w końcu wybuchło. Jeśli zamieni się

w supernową, zobaczą to za tysiące lat. Wszyscy jego

przodkowie – Pizarro, Leif Eriksson albo Vasco da Gama

mogli wrócić ze swoich nowych ziem. Siedlarski wybierał

się w jedną stronę.

I tak nie miałyby do czego wracać.

\* \* \*

Miasto nie wyglądało jak po zagładzie nuklearnej,

ale czuło się, że coś jest nie tak.

Widziało się powybijane szyby w oknach, obrabowane, porzucone samochody

242

Jarosław Grzędowicz

stojące w bocznych uliczkach i straszące

wybebeszo-

nym wnętrzem, ale nie było ich aż tak dużo. Miasto nie

było też całkiem puste. Trochę jak o świcie, a trochę jak w jakieś święto. Przechodniów niewielu, korki też jakby

gdzieś znikły. Podobno dość często natomiast znajdo-

wano porzucone niemowlęta. Niektórym trudno było

zapomnieć, że słodka, świeżo przyniesiona ze szpitala

Pusia nagle otwiera oczy i wygłasza

międzyplanetarne

odezwy skrzekliwym, obcym głosem.

Niektórzy nigdy

potem nie przestali się bać.

Policjanci chodzili w pięcioosobowych patrolach,

w hełmach i z automatami przewieszonymi przez ple-

cy. Od czasu do czasu ulicą przemykał kanciasty samo-

chód pancerny z wymalowanymi białą farbą znakami

I PROFOR-u, pełen Szwedów albo Niemców, kryjących

się przed upałem za zatrzaśniętymi włączami.

Pod dworcem było ich więcej.  
Samochody pancerne,

policjanci topiący się od ukropu w czarnych drelichach.

I tacy jak on. Wychodzący z zaułków i ulic w gwiazdzi-

stym marszu na dworzec, niosący mniejsze niż czterdzie-

ści centymetrów bagaże z pamiątkami.

Walizki, nesesery,

torby. Ktoś niósł nawet tekturowe pudło.

Piotr zastanowił

się, co mogą w nich mieć. Zdjęcia?

Drobiazgi? Bibelo-

ty? Dorobek intelektualny ludzkości

został skopiowany

i znajdował się już na miejscu. Jak

wyssany gigantycznym

odkurzaczem. Święte księgi i chłam z

list bestsellerów.

Wszystko. Wiersze i przekleństwa.

Koran i „Wściekłość

i duma” razem. Wszystko.

Nic nie trzeba było zabierać. Tylko pamiątki.

\* \* \*

Farewell Blues

243

Na dworcu było już ich widać. Z daleka,  
zanim wszedł

na prowadzące na perony schody,  
słyszał już okrzyki

tłumu. Zawsze kiedy odjeżdżał pociąg na  
lotnisko, na

dworzec przychodził tłum. Milczący emigranci, scho-

dzący między szpalerami policjantów na perony, i tłum

tych, którzy zostawali. Czasem przychodzili się pożegnać, a czasem wrzeszczeć i rzucać czymś nad składanymi

barierami ze stalowych rurek.

Tutaj po raz pierwszy emigranci czymś się różni-

li. Niebieskim Paszportem dyndającym na szyi, który



otwierał wejście na peron, oraz  
przytulonym do ciała

tobołkiem.

\* \* \*

Zaczęli rozmawiać dopiero w pociągu.  
Starym pocią-

gu podmiejskim, całym pokrytym  
olbrzymimi graffi

ti

jak liszajem, z ekranami z siatki  
założonymi na powybi-

jane okna. Obcy ludzie, którzy

uświadomili sobie, że nie-

długo położą się do podłużnych,  
podobnych do sarkofagu

pojemników, a obudzą już na Nowej  
Ziemi. Obok tych

samych, którzy teraz jadą tym pociągiem,  
i nie wiadomo

kogo jeszcze.

To była kolejna rzecz, której nikt się nie  
spodzie-

wał. Wywożono jak popadnie. Żadnego  
przenoszenia

narodów i państw. Tylko miliardy  
przypadkowo wy-

mieszanych pojemników. Ci, którzy  
położyli się razem,

mieli szansę, że znajdą się razem  
również na miejscu,

ale pewności nie było. Zbiorniki  
przeładowywano,

transportowano różnymi statkami,  
niczym kontenery

pomarańczy. Można było wybrać  
podwójny sarkofag,

Jarosław Grzędowicz

żeby wyruszyć razem z dzieckiem, i tyle.  
Jeśli ktoś miał

kilkoro dzieci, któreś mogło zostać  
wysłane na drugą

stronę planety. Siedlarski pomyślał, że  
szukanie po-

gubionych bliskich może być tam na  
miejscu niezłym

interesem. I to mimo tej całej globalnej  
sieci, przy której ziemski Internet był jak  
telefon ze sznurka i puszki po

paście do butów.

Tutaj prorokowano, że przemieszani  
koloniści zaraz

po przebudzeniu skoczą sobie do oczu.  
Arabowie Ży-

dom, biali Murzynom, i tak dalej.  
Siedlarski w to wątpił.

Może potem, kiedy utworzą się już  
jakieś koterie i grupki.

Chociaż raczej podejrzewał, że ci  
agresywni spróbują

zdominować resztę. Bez względu na  
pochodzenie i kolor

skóry czy oczu.

Za oknami przesuwał się pusty wiejski krajobraz.

Spalone upałem złote pola, błękitne niebo i wściekłe,

rozpalone Słońce, oko dnia naszego.  
Żegnaj, Słońce.

Słońce wybuchnie.

Ktoś podał mu otwartą butelkę. Łyk wspólnej ciepłej

wódki miał w sobie coś z komunii.  
Przełknął ją, łamiąc

kilkanaście przepisów, i podał dalej.  
Drzwi wagonu były

otwarte, ktoś siedział na schodkach,  
paląc bezwstydnie

papierosa, nad jego głową przesuwały  
się porzucone

pola, chwiejące się łany zboża, przy  
których nikt nie

pracował.

Bezpańskie samochody stały czasem  
przy drodze,

czasem w polu. Zabierano je z ulic i  
jeżdżono, póki nie

zabrakło darmowej benzyny. Wtedy  
zostawiano i szu-

kano następnych.

Rozejrzał się po wagonie, patrząc na siedzących. Nie-

którzy nerwowo wyłamywali palce i patrzyli w podłogę.

Farewell Blues

245

W powietrzu unosiły się kłęby dymu z przemycanego

tytoniu, ale nikt nie protestował. Ktoś się modlił, ktoś

grał na harmonijce bluesa.



Takiego, jaki brzmiał mu w głowie od dawna.

Pożegnalny blues.

Farewell Song.

\* \* \*

Zobaczył ją, kiedy zbierali się już do wysiadania na

okolonej zaporami i strykerami IPROFOR-u prowizo-

rycznej stacji, otoczonej siatką i wyłożonej betonowymi

płytami. To było jak nagły błysk. Jak

objawienie. Zupeł-

nie jakby znał ją od dawna.

Nie była piękna. Nie w tym sensie.

Natomiast była idealna. Kiedy  
Siedlarski ją zobaczył,

odniósł wrażenie, że serce mu pękło z  
zachwytu. Miała

coś takiego w fi gurze i rysach twarzy,  
co pasowało do jego wzorca kobiety jak  
klucz do zamka. Wiedział, że zamarł

z półotwartymi ustami, gapiąc się niby  
cieleń, ale nic nie mógł na to poradzić.  
Ktoś go potrącił i czar prysnął.

Ruszył wąskim korytarzem  
zwieńczonych drutem

żyłtkowym płotów, starając się nie  
stracić jej z oczu.

Tłum wcisnął się w korytarz i zmienił w  
przesuwającą

się powoli kolejkę, niknącą gdzieś przy  
wejściu do budynku lotniska, nad którym  
wznosił się ogromny, płaski masyw

statku. Kolejne trzy tkwiły nieruchomo i  
bezgłośnie na niebie, czekając na odlot  
lub załadunek. Były jak latające wyspy z  
lśniącego obsydianu albo ogromne  
czarne soczewki.

W powietrzu wisiała ciężka, drżąca od upału cisza.

Tam, gdzie pojawiały się statki Obcych, znikwały ptaki.

246

Jarosław Grzędowicz

Nikt nie umiał usunąć mew, kawek i sójek z okolic lotni-

ska, a teraz znikły wszystkie. Co do jednej. Nawet świer-

szcze i muchy umilkły.

Znajdę cię, pomyślał, patrząc na jej

szczupłe plecy

i włosy spięte w koński ogon.

\* \* \*

Wpuszczano po dziesięć osób, potem  
było kilka mi-

nut przerwy. Minut, w czasie których  
należało rozebrać

się do naga i położyć w sarkofagu,  
schowawszy bagaż

i ubranie w specjalnym schowku.  
Pojemnik zamykał się

i usypiał cię delikatnie jak kołysanka

prababci. Kiedy otwierałeś oczy, było już po wszystkim. Nowy świat, Nowa

Ziemia, nowe niebo i nowe, stabilne Słońce.

Wszystko odbywało się automatycznie. Żadnych

pasów, kubeczków soku i posiłków na tackach. Ale też

żadnej zakrzepicy, mdłości i dolegliwości związanych

z jet-lag. Sarkofag, głęboki, śmiertelny sen anabiozy i –

witamy na Nowej Ziemi.

Za siatką, wysokim płotem z cienkich,  
zgrzewa-

nych prętów, ustawiono betonowe  
zapory, potem wozy

pancerne i patrole IPROFOR-u, potem  
jeszcze jeden

płot z żyletkowej koncertyny, jak  
rozciągnięta kolczasta

spirala DNA, i tłum. Nawet nie tak  
wielu. Ci, którzy

chcieli się pożegnać, stali bliżej  
wejścia, tam gdzie moż-

na było wyciągnąć przynajmniej rękę

przez druty. Tu

stały świry.

Ktoś mógł uznać, że niczego nie zgubił  
po drugiej

stronie wszechświata, i postanović  
zostać. To Siedlarski

Farewell Blues

247

rozumiał. Ktoś mógł nie wierzyć, że  
Słońce wybuchnie

albo że aksamitny totalitaryzm  
przynajmniej daje iluzję



bezpieczeństwa. W porządku.

Ale komu chciało się przyjeżdżać tu  
dzień w dzień

w upale, żeby wygrażać pięściami,  
machać transparen-

tami, złorzeczyć, wykrzykiwać jakieś  
głupstwa i rzucać

kamieniami?

Komu chciało się skakać po dachu  
mikrobusu, wy-

machując przyklejoną do dykty  
reprodukcją obrazu z Jas-

nej Góry, nad wypisanym na szybie:

„Jezus zostaje na

Ziemi”?

Bardziej już podobał mu się transparent

„W kosmosie

nikt nie usłyszy twojego krzyku”.

No i niech tam.

Na Ziemi też nikt go nie słyszał.

Im bliżej wejścia, tym ludzie robili się  
bardziej nerwo-

wi. Co chwilę ktoś spoglądał na Słońce,  
osłaniając oczy,

jakby spodziewał się, że nagle rozleje się na pół nieba

i spopielili wszystko, zanim uda się wejść na pokład.

Dziesięciu i pięć minut czekania.

Co najmniej pięć minut.

Przed drzwiami portu stali obcy żołnierze. Spoceni

blondyni o czerwonych twarzach, w mundurach z kan-

ciastym, jaskrawozielonym kamuflażem.

Odliczali dziesięć osób i wpuszczali je

do środka.

Przerwa.

Nie było sensu nawet próbować niczego  
zmieniać,

kombinować czy zagadywać ich. Nie  
znali języka. Byli

w zasadzie nieprzekupni.

Skandynawowie.

248

Jarosław Grzędowicz

Siedlarskiemu to odpowiadało.

IPROFOR był w po-

rządku. Nie rozumieli transparentów ani okrzyków. Jeżeli

odpędzali tłum od barier, można było do woli skando-

wać „gestapo”. Nie wiedzieli, co to znaczy, i nic ich to

nie obchodziło. Obchodził ich upał, bariery i to, że są

odpowiedzialni za bezpieczeństwo emigrantów. Pilno-

wali lotniska. Koniec.

Zawodowcy.

Był ciekaw, skąd pochodzą, i zdołał  
wypatrzeć błę-

kitno-złoty emblemat z trzema koronami.

Szwedzi.

Kolejnych dziesięciu, oddzielonych  
klepnięciami

w ramię, syk drzwi.

Wypatrzył swoją dziewczynę, weszła w  
poprzedniej

grupie. Nic nie dało się zrobić.

I tak mieli szanse wylądować w tym samym miejscu.

Czekał.

I zauważył, że sam spogląda w niebo. Nawet nie dla-

tego, żeby miało wybuchnąć, ale dlatego, że to mógł być

ostatni raz. Jeszcze chwila i Słońce, które zobaczy ponownie, będzie zupełnie inną gwiazdą, świecącą po drugiej

stronie wszechświata.

Cyniu spękał właśnie w tym momencie.

Kiedy Siedlarski spotkał go z nienacka  
na mieście,

serce stanęło mu w piersi, bo Cyniu  
powinien już być po

drugiej stronie kosmosu i byczyć się na  
dziewiczej plaży

z butelką rumu i cygarem.

– Nie mogłem – wyznał Cyniu. – Nie  
chodziło nawet

o moich starych albo o Ten Kraj. Nie  
mogłem. To za

daleko. Uświadomiłem sobie, że nawet  
gwiazdy będą



# Farewell Blues

249

inne. Nie mogę. To nienormalne.

Człowiek nie może żyć

poza swoją planetą. Wybacz mi... Ja nie  
mogę. Przecież

tu zostanie wszystko... Każdy kamień...

Widok płaczącego dorosłego mężczyzny  
w garniturze

i z krawatem jest przerażający i

Siedlarski długo nie mógł

pozbyć się go spod powiek.

Ale nie zamierzał się cofać.

Odliczali ich. Jego grupę.

Zobaczył tamtego, kiedy klepnięto go w ramię jako

piątego z kolei.

Facet wyglądał okropnie. W mundurze z kanciastym

szwedzkim kamuflażem, zasmarkany, czerwony na twa-

rzy, wyszedł chwiejnym krokiem gdzieś ze środka hali

przyłotów i spróbował złapać

przechodzącą dziewczynę.

Krzyknęła i odskoczyła w tył, w tłum.  
Szwed chwycił

Siedlarskiego za koszulę. Ktoś wrzasnął,  
zrobiło się za-

mieszanie.

– *Stick! Dom ljuger! Dom dödar oss!* –  
wyrzeźił beł-

kotliwie, szarpiąc Piotrem rozpaczliwie,  
jakby chciał

wbić mu coś do głowy. Z kącika ust  
Szwedowi toczyła

się strużka spienionej śliny.

Boże, to wariat, zrozumiał Siedlarski i  
chwycił go za

nadgarstek, jednak żołnierz trzymał jak  
imadło.

– *Fly! Dom kommer att döda oss!* –  
krzyknął rozpaczliwie. Miał straszne,  
rozszerzone źrenice i nieprzytomne

oczy, niczym narkoman.

Siedlarski poczuł, jak chwyta go wielu  
ludzi, któ-

ryś z żołnierzy zamachnął się karabinem  
i grzmotnął

tamtego kolbą w bok głowy, obłąkany  
zniknął w tłumie,

jakby w nim tonął, zapadając się wśród  
zielono-oliw-

250

Jarosław Grzędowicz

kowego kamuflażu. W samym środku  
kłębowiska roz-

legł się paskudny, smażący nerwy  
dźwięk paralizatora

i krzyk. Nagle grupka miotających się po  
betonie ludzi

wybuchła krótkim, rozpaczliwym  
wrzaskiem i wszyscy

odskoczyli do tyłu. Żołnierz zdołał  
wyszarpnąć komuś

z kabury pistolet. Emigranci zamarli w  
przerażonym

milczeniu. Szwed siedział przez chwilę  
z bronią w dło-

ni, wtem wsadził sobie lufę pod brodę i  
nacisnął spust.

Huk smagnał powietrze jak pejcz.  
Żołnierz podskoczył

w miejscu, po czym zwalił się

bezwładnie jak worek,

a w pół sekundy później na wstrząśnięty  
tłum spadł

deszcz krwi i kawałków mózgu,  
podobnych do niedo-

smażonej jajecznicy.

Siedlarski stał przejęty zgrozą,  
oniemiały.

– O Boże – wyszeptał i przełknął ślinę.

Przeszedł przez drzwi, patrząc na  
nieruchome ciało

na podłodze. Jedna noga ciągle

podrygiwała lekko.

Temu też odwaliło, pomyślał.

Dosyć, świry, powiedział sobie, kiedy wszedł już do

boksu. Sarkofag wyjechał przez niewielkie drzwiczki

i rozwarł się przed nim zachęcająco, śliski wewnątrz ni-

czym macica, pokryty śluzem i czymś podobnym do

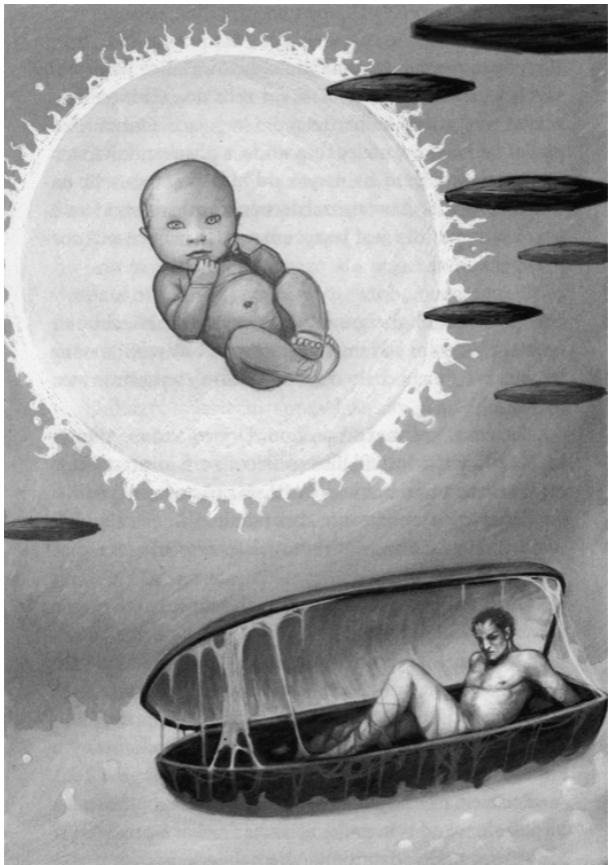
tkanki. Śmierdział lekko acetonem.

– Żegnajcie – powiedział Siedlarski,



rozpinając ko-

szulę. – Farewell, Ziemió.



Jarosław Grzędowicz

*Gunnar*

Tego dnia z samego rana Olle  
zwariował. Bez najmniej-

szych wcześniejszych oznak, od zera do  
setki, co było

w tym wszystkim najbardziej  
przeróżające. Dobra – ku-

pował od Polaków nielegalną wódkę, a  
porucznik Kir-

sten wmawiała im, że to świństwo, od którego można

się nawet przekręcić. Zawiera zanieczyszczenia, olejki

fuzlowe oraz metanol i jest jeszcze bardziej trujące niż

normalny alkohol.

Pieprzenie.

Niechby Ljungberg oślepl – w porządku.  
Niechby się

porzygał i dostał jakichś żołądkowych objawów, można

by wierzyć, że chodziło o wodę. Ale on  
zwyczajnie zwa-  
riował.

Najpierw zniknął z kordonu. Dobra, i to  
się zdarza-

ło. Każdy wiedział, że lubi sobie zajarać  
jointa i włazi

w jakieś zakamarki. Ale pojawił się pół  
godziny później

wyglądający jak nieboskie stworzenie,  
śliniący się i beł-

kocący, rzucił się na emigrantów,  
krzycząc coś i szarpiąc ich niczym goryl.

Gunnar skoczył do niego, zablokował mu ramię, ale

wtedy Olle odwrócił się i wydał z siebie przerażający

wrzask, którego nie mogło zrodzić ludzkie gardło. Ni to

pisk świni, ni to krzyk, od którego jeszcze ciarki chodziły mu po plecach. Olle chwycił Gunnara za bluzę i cisnął

nim na odlew w ogrodzenie, jak słomianym chochołem.

Podcięli mu nogi, Karl wskoczył Ljungbergowi na

kark, założył od tyłu pałkę na szyję i ciskał się na wszystkie strony, usiłując utrzymać się na plecach kolegi, niby kowboj ujeżdżający byka, dwóch ludzi ciągnęło Ollemu

Farewell Blues

253

ramię, chcąc zapiąć kajdanki, Kirsten wpakowała mu

ampułkę w udo, a i tak Ljungberg miotał nimi jak niedź-

wiedź, wydając dzikie ryki, upłynęło ładne parę minut,

zanim zmiękł i uspokoił się.

Świetny dzień, nie ma co.

Do tego z nieba lał się nie ludzki,  
tropikalny upał, ale

Słońce przynajmniej świeciło na swoim  
miejscu.

A może Ljungberg przegrzał banię?

Potem były niekończące się godziny,  
sączące się

w upale niczym ropa z rany. Kordon,  
grzechot krótko-

falówek i niemający końca korowód



emigrantów. Wrzask

protestujących i ciągnący się po  
horyzont orszak smęt-

nych uchodźców z bagażami.

Odliczyć dziesięciu, sprawdzić, czy  
mają przepisowe

bagaze, puścić przez bramkę analizatora.

Zamknąć drzwi, otworzyć... I tak w  
kółko.

Po paru godzinach człowiek zamienia  
się w automat.

Jeszcze cztery miesiące.

Cztery miesiące i sam stanie w tej kolejce. Ale przed-

tem spotka tę sukę Kirsten, panią porucznik Kirsten, sam

na sam.

Gdzieś w ciemnej uliczce.

Najlepiej tutaj. I tak będzie na Polaków.

Dziesięciu, bagaże, drzwi, bramka.

Cztery miesiące...

O ile Słońce przedtem nie wybuchnie.

Kiedy zobaczył ją idącą prosto na niego,

w obcisłych

dżinsach i z torbą w ręku, po prostu odebrało mu mowę.

W życiu nie widział takiej dziewczyny. Była taka, jakiej

szukał przez całe życie. Wiedział, że potrafi łąby być

i kochanką, i przyjacielem. Bliska i pociągająca zarazem.

254

Jarosław Grzędowicz

Wiedział o niej wszystko w ułamku

sekundy. Pasowała

do niego tak, jak pasują do siebie dwie  
dłonie. Czuł, że

wali mu serce.

– Idę się odlać – powiedział  
Källströmowi stojącemu

obok.

Wśliznął się do sali odlotów i nie  
zwracając niczyjej

uwagi, przeszedł w bok, gdzie  
rozciągały się rozmaite po-

mieszczenia techniczne, jeszcze z

czasów, gdy było tu zwykłe lotnisko. Tu i w miejscach, gdzie stacjonowali, wygląda-

ło normalnie. Cała reszta lotniska obrosła konstrukcjami

Tamtych. Na wpół geometrycznymi i na wpół owadzimi,

jak wzniesionymi przez mechaniczne szerszenie. Nikt tam

nie wchodził. Można było się zgubić – lśniąco, cuchnąco

acetoneo owalne korytarze rozgałęziały się, tworząc istny labirynt, ze ścian wystawały pokręcone, pulsujące kształ-

ty, niczym zdrewniałe jelita. Ponoć im bliżej statku, tym dziwniej. Ponoć było tam promieniowanie, które mogło

zabić na miejscu. Ludziom zamkniętym w sarkofagach

nic nie groziło, ale łożenie tamtędy mogło się źle skończyć.

W efekcie nikt nie miał ochoty włązić w podobną do obłą-

kanego stalowego osiego gniazda część Tamtych.

Nikt z wyjątkiem Gunnara.

Gunnar za wszelką cenę chciał zobaczyć

Obcego.

Chociaż raz. Dlatego złamał zasady,  
rozkazy i wskazania

zdrowego rozsądku.

Trzy razy.

Zabrał wtedy latarkę i kłębek linki,  
zupełnie jak Te-

zeusz.

Nie zapuścił się daleko. Przedzierał się  
przez poskrę-

cane korytarze, jakby wędrował  
wewnątrz sera, dwa

razy się zgubił oraz stwierdził, że w labiryncie umarła

Farewell Blues

255

mu komórka i kwarcowy zegarek, ale nie zdołał ani

razu zobaczyć Obcego.

Nie zobaczył w ogóle nic żywego, nawet mrówki.

Za to znalazł drogę do pomieszczenia, w którym po-

jawiały się sarkofagi. Od strony



boksów, tak że sarkofagi przejeżdżały mu po bokach i, ukryty w ciemności, widział

wszystkie pomieszczenia, sam nie będąc widzianym.

Tam poszedł teraz, właściwie nie wiedząc dlaczego.

Przyszło mu do głowy, że oznaczy jej sarkofag. Po-

mysł był głupi, bo pojemnik, oznaczony czy nie, uda się

w swoją drogę i wyląduje, gdzie mu pisane, a Gunnar

przybędzie cztery miesiące później.

W jakiegokolwiek miejsce tamtej planety.

Wielkiej planety, mającej więcej stałego lądu niż

Ziemia.

Wiedział o tym, a jednak poszedł.

Choćby po to, żeby

przynajmniej na nią popatrzeć.

Weszła, kiedy był już pewien, że się spóźnił. Widział,

jak wchodzi do środkowego boksu, i niczym urzecz-

ny patrzył, jak zdejmuje ubranie. Zdjęła bluzkę, później

usiadła w rozwartej muszli sarkofagu, żeby ściągnąć ob-

ciste spodnie i buty.

Patrzył, jak wstaje smukła, naga i złocista, jak chowa

ubrania i niewielką torbę uchodźcy, a potem kładzie się

na wznak w komorze, wśród ciężkiej pary wijącej się

wokół niej niby bagienny opar.

Pokrywa opadła z młaśnięciem i  
sarkofag wyruszył

w swoją drogę.

Gunnar wyjął marker z kieszeni i kiedy  
pojemnik go

mijał, wypisał pospiesznymi kulfonami:  
Gunnar Half-

skey. I love you.

256

Jarosław Grzędowicz

Zdążył jeszcze narysować wokół napisu  
serduszko.

Pojemnik odjechał w ciemność, a  
Gunnar poszedł

za nim.

Latarka natychmiast zaczęła świecić na  
żółto, jakby

ciemność korytarzy wysysała z niej  
światło, jednak coś

było widać.

Usłyszał przed sobą mechaniczny,  
przeciągły syk,

potem łomot, z jakim opadło coś  
ciężkiego. Utknął po-

między jakimiś śliskimi, twardymi  
tworami, podob-

nymi do kłębowiska węży, przez które  
przeświecało

mdłe światło. Zaczepił pasem o lśniące  
niczym dia-

menty kolce.

A potem wdepnął w hałdę.

Chrupnęło mu pod nogami, spojrział w  
dół i skamie-

niał. Stał po kostki w pamiątkach.  
Okularach, zapal-

niczkach, zdjęciach, zegarkach i sznurach pereł. Wokół

rozciągała się ogromna okrągła sala zalana mdłym, nie-

bieskawym światłem. Sala cała wypełniona była wielkimi

stosami drobiazgów, wybebeszonymi walizkami, rozpru-

tymi torbami i porzuconymi ubraniami.

Wyglądało to jak magazyn w obozie koncentracyj-

nym, brakowało tylko wyrwanych zębów.

Na środku znajdowała się wolna  
przestrzeń zalana

snopem światła, na której rzędem stały  
puste sarkofa-

gi. Widział, jak go mijają, jadąc z  
powrotem, na jednym

wciąż widział nabazgrany markerem  
napis, otoczony

krzywym serduszkiem.

Usłyszał łoskot, jakby ktoś przetaczał  
wagony, i z ciem-

ności wyjechały prostokątne kształty,  
niczym wielkie, sto-jące sztorcem karty



do gry. Podszedł jak we śnie.

Bezmyślnie, absolutnie zanurzony w  
bezdennym osłupieniu.

Farewell Blues

257

Poznał ją.

Smukłe ciało znikło, została tylko tkanka  
nerwowa.

Czerwona siateczka nerwów, zatopiona  
w przejrzystej

płytcie, ale za to co do jednego,  
najmniejszego włókienka, dokładnie  
rysująca cały nieistniejący już kształt

ciała,

gęstsza na sutkach, wargach i  
podbrzuszu. Wyglądało

to jak mapa jej ciała. Jednak tak  
dokładna, że rysy po-

zostały te same.

I oczy.

Oczy zostały na miejscu, w widmowej  
twarzy, jak

utkanej ze szkarłatnej koronki.

Przerażone, patrzące

rozpaczliwie oczy.

Oczy, które błagały.

Dziesięć płyt minęło go, tocząc się pionowo na za-

rdzewiałych rolkach, aż stanęły pośrodku sali, pod sno-

pem światła.

A potem jedna po drugiej śmignęły w górę, prosto

w blask.

Nie wiedział, co to jest.

Płyty pamięci do jakiegoś piekielnego komputera?

Części zamienne? A może neuronowa  
odmiana galer-

ników?

Gdzieś za nim rozległ się dźwięk, jakby  
resztki wody

spływały do spustu wanny. Mokry i  
bulgotliwy.

Gunnar odwrócił się gwałtownie,  
usiłując sięgnąć po

broń, ale ręce miał jak niewładne.

Odwrócił się i po raz pierwszy w życiu  
zobaczył Ob-

cego, a zimny, kamienny paraliż ogarnął też jego nogi.

Elf był bardzo chudy i bardzo wysoki – miał ponad

trzy metry wzrostu, niezwykle pociągłą twarz z ogrom-

nymi, wilgotnymi oczami, w których drzemała prastara

258

Jarosław Grzędowicz

mądrość wszechświata. Ciało Obcego wyglądało, jakby

powstało z błękitnej cieczy, przejrzyste,  
o miękkich li-

niach, wewnątrz migotały jakieś  
skomplikowane narządy,

płonące kolorowymi światłami  
luminescencji niczym

głębinowe stwory.

Gunnar usiłował krzyczeć, lecz z jego  
ust wydobył

się tylko charkot.

Elf poruszał się delikatnie, niczym  
wodorost na

dnie spokojnego akwenu. Lekkimi,  
subtelnymi ru-

chami, jak mogłaby się poruszać istota  
nieposiadająca

kości. Migające w jego wnętrzu światła  
przypominały

neonowy ogród.

Oczy Obcego zapłonęły zielenią i  
złotem, niczym

oczy ćmy, i Gunnar odzyskał nagle  
zdolność ruchu.

Odskoczył krok w tył i zwariował.

Ot tak, jakby ktoś strzelił palcami.  
Uczucie było ta-

kie, jak gdyby w głowie pękła mu  
wielka bańka mydlana

kryjąca obłąd.

Ruszył sztywno do wyjścia,  
rozpaczliwie usiłując ze-

brać myśli i skoncentrować się na tyle,  
żeby ostrzec in-

nych. Słowa rozpierzchały się niczym  
rybki w akwarium.

Spróbował coś powiedzieć, ale nie  
umiał przypomnieć



sobie ani jednego słowa.

To, co miał do powiedzenia, można było wyrazić je-

dynie krzykiem, więc krzyczał.

Pamiętał tylko, że musi wyjść na zewnątrz. Szedł więc

jak robot, a wewnątrz jego mózgu jedna po drugiej pękały

kolejne mydlane bańki, gasząc resztki myśli.

Kiedy wyszedł, widział już ludzi jako wijące się

kształty, których nie kojarzył z niczym konkretnym.

Na moment wzrok Gunnara wyostrzył się na tyle, że

Farewell Blues

259

rozpoznał przed sobą sylwetkę wysokiego mężczyzny

z plecakiem na ramieniu. Chwycił go za poły koszuli,

usiłując jak najstaranniej wygłosić ostatnią myśl, jaka

mu pozostała:

– Uciekajcie! To kłamstwo! Oni nas zabijają! – ale

wiedział, że z jego ust wydobywa się tylko bełkot.



Weneckie zapusty

Nie mógł uwierzyć, że się zgu -

bił. Foldery turystyczne wręcz  
to zalecały jako wspaniałą roman-  
tyczną przygodę: „Zgub się w We-  
necji!”. No i masz. Naprawdę się  
zgubił.

Co gorsza, zgubił też Karolinę.

W pierwszej chwili nawet mu się to  
podobało. Puścili

się z jakimś dzikim korowodem  
arlekinów, doktorów,

pulcinellich i zwykłych obłąkańców

uliczkami gdzieś za

placem Świętego Marka, ale to była  
zrozumiała, oswojona

Wenecja dla turystów. Pełna witryn  
sklepów ze szkłem

Murano, cukierni i drogowskazów.  
Grzmiała muzyka,

trzaskały i gwizdały race, wrzeszczano  
w milionie języ-

ków i pito. Koniec karnawału w  
Najjaśniejszej Republice

Weneckiej. Ktoś poczęstował go winem  
z gwinta, ktoś

podał skręta. A gdzieś za mostem Rialto  
tłum zrzęd-

niał, korowód popękał, wszystko  
rozsypało się na grupki

i nagle okazało się, że Karoliny nigdzie  
nie ma. Wokół

słyszał śmiech i obce słowa. Widział  
tylko maski. Maski

262

Jarosław Grzędowicz

z papier mâché, skóry, porcelany i  
plastiku. Białe, czarne, pstrokate,  
gładkie i zdobione piórami, pajetkami i

ceki-nami. Nie widział tylko Karoliny.

Zdawało mu się, że jeszcze na Rialto  
powiedziała coś

w rodzaju: „Wracajmy na Marka”. Miał  
nadzieję, że wró-

ciła. Zaczynał się trochę niepokoić. Tu  
nie było sklepów

dla turystów ani świateł. Były natomiast  
ciemne zaułki,

zapyziałe ściany i wypełnione mrokiem  
okna. Szedł na

wycucie, jak mu się zdawało, tam, skąd  
przyszedł, ale



gdziekolwiek skręcił, trafi ał nad jakiś  
kręty, brudny kanał

szerokości najwyżej trzech metrów,  
wijący się między

ścianami. Nawet nie mógł iść brzegiem,  
bo nie było na-

brzeża. Była tylko zasnuta mgłą  
zielonkawa woda, poje-

dyncze gondole i motorówki, kołyszące  
się na małej fali,

błyskające czernią i chromem okuć jak  
pływające trumny,

i oblażłe liszajem drzwi klapiące pod

uderzeniami fal. Potem znowu kolejne *calle* – wąskie na metr zaułki, wijące się niczym wąwozy pomiędzy zagrzebionymi ścianami.

Nazwy tych zaułków kompletnie nic mu nie mówiły,

a jedyne drogowskazy, jakie napotykał, uparcie kiero-

wały go na „Ferrovio” albo „Piazzale Roma”. Do niczego.

To był dworzec, zupełnie na drugim końcu miasta.

Postanowił się kierować słuchem, ale to nic nie dawało.

Wrzaski, śmiechy i śpiewy docierały ze wszystkich stron. Co chwila ktoś przebiegał u wylotu uliczki, trzaskały race.

Kolejne skrzyżowanie, kolejne *calle*. Techno grzmo-cące z jakiegoś magnetofonu. Na granicy wzroku w kłę-

bach mgły stała kobieta w krynolinie oraz białej masce

zasłaniającej oczy i jeden policzek, wokół głowy maska

zmieniała się w wielki półksiężyc malowany w czerwone

i czarne trójkąty.

# Weneckie zapusty

263

Zawołał ją po angielsku, ale odwróciła się, zamiatając

koronkami, i znikła w mglistym oparze. Zostały tylko za-

ułki pomiędzy brązowymi ścianami, zamknięte witryny

sklepów i mokry bruk pod nogami. Oraz echo śmiechu

i wrzasków skaczące po kamiennowodnym labiryncie.

Wacek był wściekły. Nie należał do tych, co się gubią.

Należał do tych, co zwyciężają. Miał srebrne BMW, kierow-

nicze stanowisko, młodą, odpowiednią żonę i umiał zara-

biać kasę. Nie mógł się zgubić w tej tandetnej, pieprzonej Wenecji jak pierwszy lepszy nieudacznik. Nikim nie gardził

tak strasznie jak ludźmi, którym coś nie wychodzi.

Trafi ł na nieregularny placyk, jak na Wenecję całkiem

spory. Grała tu brzękliwa staroświecka  
orkiestra, walił

bęben. Bawił się spory tłumek, wszyscy  
w historycznych

strojach. Falbaniaste krynoliny kobiet,  
białe peruki z lokami, czarne aksamitne  
kapy i trójgraniaste kapelusze

mężczyzn. I oczywiście przekłete  
upiorne maski. Wszedł

w ten tłum zdecydowany, że tutaj zapyta  
kogoś o dro-

gę. Wokół tańczono, potrącano go, ktoś  
w białej masce

z nosem jak dziób czapli wręczył mu  
butelkę słodkiego

czerwonego wina. Napił się.

Dziewczyna stała tyłem, włosy  
przewiązane aksamit-

ką spadały jej na plecy jak czarna rzeka.  
Miał nadzieję, że będzie znała choć  
trochę angielski. Dlaczego ci cholerni

makaroniarze nie uczą się języków?!

– Przepraszam, gdzie jest kierunek do  
mostu Rialto?

Piazza di San Marco?

Odwróciła do niego twarz, zobaczył  
orzechowe oczy

w wycięciach czarnego aksamitu, pełne,  
koralowe usta.

Zabrała mu butelkę i napiła się solidnie.  
A potem ujęła

go pieśczośliwie za kark i odwróciła  
się, kiwając nań

264

Jarosław Grzędowicz

palcem. Poszedł za dziewczyną,  
przeciskając się przez



skaczący i wijący się tłum. Jakiś  
Japończyk błysnął mu

w twarz fl eszem.

Nie prowadziła na most, tylko do bramy.  
Mrocznej,

pachnącej pleśnią, przypaloną oliwą i  
czosnkiem. Oparła

się o ścianę, jednym szarpnięciem  
rozciągnęła sznuro-

wania gorsetu i z szelestem uniosła z  
przodu spienione

krynoliny, po czym przyciągnęła go do  
siebie. Poczł jej

słodkie od wina, chłodne wargi i  
szorstkie muśnięcia

aksamitu powyżej.

Nie powiedziała ani słowa, jedynie raz  
szepnęła, *Caro mio*. Na placu z  
ogłuszającym łomotem wybuchły race.

To drugi taki numer, jaki udało mu się  
wykręcić, od-

kąd przyjechali z Karoliną do Włoch.  
Pierwszy raz w ho-

telu, zaraz po przyjeździe, kiedy wyszedł  
wieczorem do

baru, dosłownie na godzinkę. Karolina

czuła zmęczenie

podróżą i poszła spać. Wystarczyło  
dziesięć minut roz-

mowy z pewną Niemką i krótka wizyta  
w jej pokoju na

trzecim piętrze. Uwielbiał takie rzeczy.

Dwa skoki w bok podczas podróży  
poślubnej to jest

coś! Przez chwilę nawet, co u niego  
stanowiło rzadkość,

poczuł coś w rodzaju wyrzutów  
sumienia. Cóż, kiedy

świat był tak pełen chętnych suk i  
nieumiejących z tego

korzystać łzawych nieudaczników, że  
szkoda, gdyby się

to wszystko marnowało. Może miesiąc  
po ślubie to rze-

czywiście przesada, ale z drugiej strony  
żona była od

tego, żeby zapewnić dom i rodzinę.  
Powinna być czysta

i skromna, natomiast do zabawy służyły  
takie zdziury jak

ta. Wszystkiego nie można sobie

odmawiać. Na co dzień

stawał się doskonałą maszynką do  
zarabiania pieniędzy,

więc mógł chyba czasem poświętować,  
nie?

Weneckie zapusty

265

Wyszedł z powrotem na plac i znalazł  
swoją butelkę

na ocembrowaniu starej studni. Jego  
dziewczyna wy-

szła tuż za nim i natychmiast wmieszała

się w tłum. Nie

poznał drogi na Rialto, ale przynajmniej  
zaczynał się

dobrze bawić. Karolina i tak z  
pewnością wróciła już

na Świętego Marka. Postanowił dopić  
wino, potańczyć,

a potem znowu zapytać o drogę.

Być może z podobnym skutkiem.

– *Bravo!* – zawołał mężczyzna w czerni  
stojący tuż przed nim i zaklaskał. – To  
jest czuć ducha karnawału –

mówił po polsku, ale z wyraźnym  
śpiewnym akcentem.

Miał na sobie czarną kapę tabarro,  
trójkątny kapelusz

i kanciastą białą maskę, rozszerzającą  
się nad ustami

jak lemiesz pług. Tylko oczy w  
otworach wydawały

się dziwne, nieprawdopodobnie stare. –  
Każdą można

mieć. – Mężczyzna pokazał szerokim  
gestem tańczący

tłum, a nawet arlekina na szczydłach

ziewającego strugą

pomarańczowego ognia. Obok bosa,  
kędzierzawa dziew-

czyna w cygańskim stroju żonglowała  
pochodniami. –

Każdą tutaj i każdą wszędzie. Każdą.

Wackowi pozostało tylko uśmiechnąć się  
szeroko

i zaproponować nieznanemu swoją  
butelkę. Podoba-

ło mu się to. Sam zawsze tak mówił.  
Tamten sięgnął po



fl aszkę.

– *Grazie*. – Pociągnął pod maską spory łyk i oddał

butelkę. – Będziesz miał wszystkie, jakie zechcesz, ale

nigdy nie ugasisz żądz. To pragnienie jest zawsze. Jak

ogień w lędźwiach. I żadna już nie pomoże. Nawet na

chwilę. Nigdy. Ogień nigdy nie gaśnie. To gorsze niż to,

co spotkało Tantala.

Wacek spojrział na Włocha przeciągle.

266

Jarosław Grzędowicz

– Nie narzekam – odparł wymijająco. –

Dobrze mó-

wisz po polsku.

– Ja podróżowałem – uśmiechnął się  
mężczyzna pod

maską. – Ale dopiero teraz, w domu,  
spotkałem brata.

Bawmy się! – krzyknął nagle, unosząc  
ramiona ku nie-

bu. – *Carnivale* się kończy! Idzie post!

Wyciągnął dłoń.

– Giovanni Giacomo Casanova de  
Seingalt. Inżynier

wojskowy.

Wacek podał mu dłoń. Też sobie  
wymyślił. Orygi-

nalne to to nie było.

Załomotały sztuczne ognie. Odwrócił  
się, obda-

rzywszy nieznanego wariata  
przychylnym uśmie-

chem, i wmieszał się w tłum. Postanowił chociaż tro-

chę potańczyć, a potem odszukać swoją szarą myszkę,

która pewnie chlipała samotnie gdzieś pod *campa-*

*nilla*.

Tańczył z nieznanymi kobietami, co chwilę z inną.

Brunetki, blondynki, krępe albo długonogie. Wszystkie

tuliły się do niego chętnie, dzieliły winem i wplatały mu palce we włosy. A

potem wyszedł z najgęstsze­go tłumu,  
żeby odetchnąć, i osłupiał.

Na murku otaczającym jedyne na placu  
drzewo tań-

czyła szczupła brunetka uderzająco  
podobna do Karo-

liny. Miała takie same džinsy, ale  
rozpuszczone włosy

i rozpiętą bawełnianą koszulę, pod którą  
błyskały nagie

piersi. To nie mogła być Karolina.

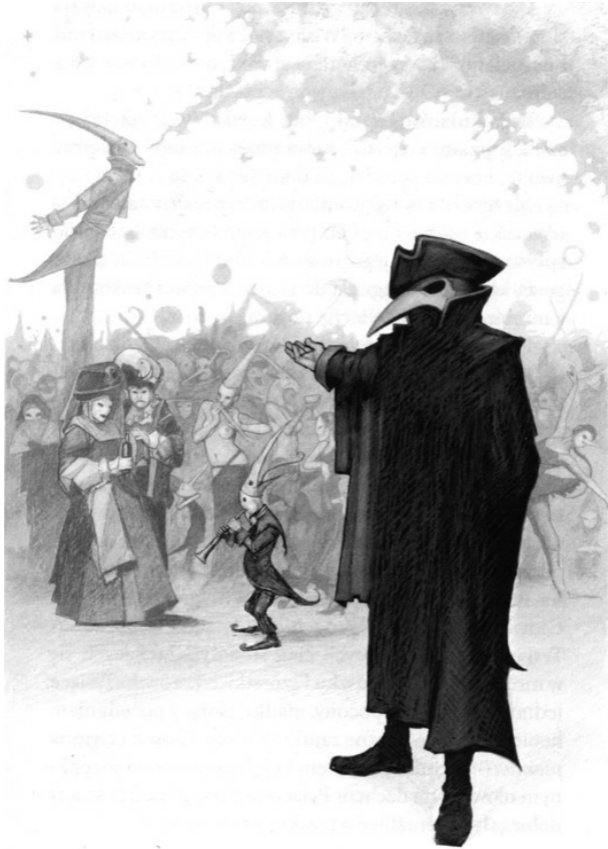
Dziewczyna, kręcąc rytmicznie

biodrami, oblewała

się właśnie szampanem. Wacek stał z  
otwartymi ustami

i uczuciem, jakby zamieniał się w  
kamień. To była Ka-

rolina.



Jarosław Grzędowicz

Bez okularów i spinki, bez kurtki i w  
rozpiętej koszuli.

Jego szara myszka, która miała mu  
zapewnić przyzwoitą,

normalną rodzinę i dom. Jego dom.

Mężczyzna w trójgraniastym kapeluszu  
zasłonił ją

i Wacek z osłupieniem patrzył, jak pije  
spienione wino



spływające z ciała jego żony. Karolina chwyciła tamte-

go za kark i przyciągnęła do siebie, a potem zeskoczyła

z murka, oplatając Włocha nogami w pasie.

Później tłum rozdzielił ich na chwilę.

– Bracie! – zawołał mężczyzna w czerni, który przed-

stawił się jako Giovanni. – Mój bracie! Każdą można

mieć, nie? – Jego dłoń oplatała talię Karoliny, a Wacek

nie mógł wydobyć z siebie ani słowa.

Włoch puścił Karolinę, chwycił Wacka silnie za głowę

i nagle pocałował w usta. Wacek wybałuszył oczy, wydał

z siebie oburzone „mmmpf!” i spróbował go odepchnąć.

Nic z tego.

Razem z pachnącym kwaśno winem pocałunkiem

Giovanniego spłynęły na niego tysiące wspomnień.

Tysiące nagich kobiecych ciał,  
smagłych, wijących się

w mroku wśród adamaszku i szorstkich  
koronek. Tysiące.

Jedno po drugim. Spocony, gładki,  
lśniący pożądaniem

kobiecym tłum. Wilgotne zaułki Wenecji.  
Ciasna i ciemna

*piomba* – cuchnąca kanałem i pleśnią  
nora pod rozpalo-nym ołowianym  
dachem Pałacu Dożów, gdzie zza ściany

dobiegały przeraźliwe wrzaski  
torturowanych.

Tamten puścił go wreszcie. Wacek  
zatoczył się na

mokrym bruku i oparł plecami o kutą  
kratę studni desz-

czowej. Giovanni sięgnął nagle do  
swojej twarzy.

– Nie masz maski – powiedział. – Co to  
za *carnivale*

bez maski. Musisz mieć. – Pociągnął  
swoją, która zaczę-

Weneckie zapusty

ła odrywać się z ohydny trzaskiem,  
jakby zdzierał ją

razem ze skórą. – *Prego.*

Wnętrze maski było wilgotne i gorące.  
Bardzo gorące.

Palilo jak ogień. Wacek krzyknął i  
spróbował ją zdjąć, ale czuł, jakby  
przyrosła mu do twarzy. Spojrzał na  
Giovanniego i wrzasnął przeraźliwie, bo  
zobaczył swoje własne

oblicze. Tylko oczy pozostały dziwne,  
nieprawdopodob-

nie stare. Tamten, obejmując wciąż  
Karolinę jedną ręką,

zdjął z głowy trójgraniasty kapelusz.

– *A rivederci*, bracie. To teraz twoje królestwo.

Tłum nagle gdzieś zniknął. Wacek został na pustym

placu, wciąż usiłując zedrzeć maskę, i patrzył na dwoje

objętych wpół młodych ludzi, siebie i Karolinę, jak idą

pewnym krokiem w kierunku mostu Rialto i przystają

tylko po to, żeby się pocałować.

Usłyszał bicie dzwonów z San  
Francesco delia Vig-

na, które biły godzinę dwunastą i  
ogłaszały koniec kar-

nawału.

Nadchodził post.

Czas pokuty.



Wypychacz zwierząt

Nie wierzę, że to robię – po-



wiedział do siebie Igor, usiłując przedrzeć się wzrokiem przez mgłę i mżawkę.

Istotnie, nie pasował do wijącej się przez las wyboistej drogi, mniej więcej tak samo jak jego

skoda fabia combi. Jej światem był asfalt miejskich ulic, ostatecznie trasy szybkiego ruchu, skrzyżowania i stacje

benzynowe, a nie żwirowe koleiny i tnące drogę korzenie

sosen wijące się niczym zdrewniałe węże. Igor również

należał do miasta. Biura, restauracje, neony. Umiał ra-

dzić sobie z miejską dżunglą, unikać krępych wyrostków

w dresach stojących w bramach albo zdławić w zarod-

ku każdą intrygę, która mogła wykiełkować na jakimś

zebraniu zarządu czy biurowych korytarzach. A teraz

brnął przez puszcę, a w bagażniku

spoczywały zawinięte

w grubą torbę z „folii termicznej”  
zwłoki.

– Nie wierzę – powtórzył, ale to nie  
zmieniało sytuacji.

Pachan nie żył od wczoraj. Igor nie miał  
pojęcia, co mu

272

Jarosław Grzędowicz

się stało. Dwa razy dziennie nakładał mu  
porcję konser-

wy, dosypywał chrupek, wyrzucał

zafajdany żwir. Kiedy

wracał z pracy, kocur najczęściej spał  
zwinięty w kłębek

na najwygodniejszym fotelu albo na  
łóżku. Rano budził

go, wpychając kłujący wąsami pyszczek  
w oko i zanosząc

się histerycznym mruczeniem. Chodziło  
głównie o po-

ranną porcję konserwy, którą Igor  
wyjmował z lodówki

zaspany, w samych gaciach, jeszcze  
zanim poszedł do

toalety. Nic nie zapowiadało katastrofy.  
Sprawy toczyły  
się utartym rytmem.

We wtorek Pachan po prostu go nie  
obudził. Igor

był przekonany, że zasnął, i dał kotu  
spokój. W gruncie

rzeczy w porannym rozgardiaszu  
właściwie o nim za-

pomniął. Parzył kawę, jednocześnie  
myjąc zęby, wiązał

krawat z jagodzianką w zębach, potem  
porwał teczkę

i poszedł do pracy. Wieczorem kocur  
leżał dokładnie

w tej samej pozycji – na boku, z  
wyciągniętymi łapami.

W rozchylonym pyszczku bieleły ostre  
zęby, w szczelinie

uchylonej powieki błyskało jedno,  
czarne jak paciorek

oko. Najwyraźniej musiał wyzionąć  
pręgowanego ducha

jeszcze w nocy.

Igor wpadł w panikę. Pewnie, że żal mu  
było kosma-

tego, bezczelnego stwora, który plątał się po jego życiu od dwunastu lat. Ale chodziło też o żonę i córkę. Ich miłość do Pachana graniczyła z obłądem. Igor przez całe swoje

życie nigdy nie był przez nikogo tak kochany, jak ten bury, tłusty kocur przez jego własne, najbliższe kobiety.

„Jeżeli coś się stanie temu kotu, rozwiodę się z tobą” –

powiedziała mu na odjezdnym Irena. Nie brzmiało to jak

żart. O ewentualnej reakcji córki, której Pachan towarzy-

szyl od niemowlęctwa, nie chciało mu się nawet myśleć.

Wypychacz zwierząt

273

Kiedy dzwoniły z Norwegii, najpierw i przede wszystkim

pytały, jak się ma i co robi Pachan. Obecnie sztywny

i martwy, wypełniający torbę po mrożonkach.

W ostatniej chwili przypomniał sobie absurdalną,



niesamowitą opowieść przyjaciela i  
zadzwoił do niego,

czując, że trzęsą mu się nogi.

Samochód wytoczył się z lasu na drogę  
wśród pól,

wysadzaną ledwo mającącymi we mgle  
rosochatymi

wierzbami. Igor odetchnął z ulgą.

Dom, stare pruskie gospodarstwo,  
wznosił się wśród

sosen i brzóz, otoczony krzakami  
jaśminu. Dokładnie

tak, jak miało być.

Stał i z bijącym sercem naciskał  
dzwonek, wściekle

obszczekiwany przez dwa psy kryjące  
się gdzieś w krza-

kach. Co jakiś czas między deskami  
parkanu pojawiały

się dwa gryzące sztachety pyski, tak  
blisko siebie, jakby gospodarstwa  
pilnowały psie syjamskie bliźnięta.  
Wypchana makabrycznym ciężarem  
torba obijała się Igorowi

o nogi.

– Błagam, bądź w domu – jęknął Igor.

Upłynęła piekielnie długa chwila  
wypełniona piekiel-

nym ujadaniem, aż wreszcie kobiecy  
głos zawołał: „Cerbi,

do budy!” i szczekanie ucichło.

– Przepraszam bardzo – powiedziała  
najpiękniejsza

kobieta, jaką Igor widział kiedykolwiek  
w życiu, otwie-

rając mu furtkę. – Musiał wyleźć z  
zagrody. Zazwyczaj

puszczamy go dopiero w nocy.

– Dzień dobry – wydukał, patrząc w bezwstydnie

zmysłowe oczy o barwie lapis-lazuli.  
Był pewien, że się

rumieni. – Ja... ja dzwoniłem... Znaczy...  
Byłem umówio-

ny z panem, eee... panem Romanem...

274

Jarosław Grzędowicz

– Mąż jest w pracowni na dole. W piwnicy. Pokażę

panu.

Dziewczyna miała najwyżej  
dwadzieścia pięć lat, grzy-

wę kruczoczarnych kędziorów,  
niebieskie oczy i szczupłą

twarz arabskiej księżniczki. Szeherezada  
mogła nosić za

nią tren płaszcza.

Prowadziła go, okutana  
przeciwdeszczowym płasz-

czem, wąskie bose stopy migały przed  
nim w mokrej

trawie, nie mógł oderwać od nich  
wzroku. Psy już nie

szczękały, mignęły mu gdzieś we mgle za  
stodołą, biegły

przy sobie tak ciasno, że wydało się, iż  
to jeden dwugłowy stwór.

W domu było mrocznie i staroświecko.  
Pachniało sta-

rym drewnem i jeszcze czymś dziwnym,  
jakby kalafonią.

Szeherezada wskazała mu jakieś drzwi i  
zapaliła światło,

a potem znikła za dwuskrzydłowymi

wierzejami do salo-

nu. Zdążył zobaczyć w szczelinie, jak płaszcz spływa z jej ramion na podłogę, w kompletnym osłupieniu zarejestrował błysk światła na nagich, smagłych pośladkach. Dziew-

czyna zwinęła się w kłębek na fotelu na wprost telewizora.

Wypatrzył jeszcze jedwabiście gładką pierś zwieńczoną

strzelistym sutkiem, kiedy sięgała po pilota.

Na schodach prowadzących w dół i w wąskim ko-

rytarzu stały wypchane zwierzęta. Dzik,  
zające, jakieś

psy, lisy. Powiesił swój płaszcz na  
rozłożystym wieńcu

jelenia, który spoglądał ze ściany  
smutnym szklanym

wzrokiem. Zapukał.

– Proszę – rozległo się. W tym  
momencie jeleni wydał

z siebie przeciągłe mruczenie, poruszył  
łbem i zrzucił

płaszcz na podłogę. Igor nie był w stanie  
wrzasnąć. Wydał



## Wypychacz zwierząt

275

z siebie tylko żałosny mysi pisk i oparł się plecami o drzwi.

Jelenia głowa wyciągnęła się w jego stronę tak daleko, jak tylko pozwalała umocowana na drewnianej tarczy szyja.

Powąchała Igora i prychnęła w niego trocinami.

Powinien był się spodziewać, ale co innego usłyszeć,

a co innego zobaczyć na własne oczy.  
Został uprzedzony,

mimo to omal nie zemdłał.

Drzwi za jego plecami ustąpiły. Chudy mężczyzna

o pobrużdżonej twarzy, siedzący za ogromnym stołem,

miał na twarzy kwadratowe powiększające gogle z wbu-

dowanymi latarkami, a w ręku coś, co przypominało

długopis. Przed nim stała biała ręka szkieletu. Dłoń

i kilkanaście centymetrów kości, sterczące pionowo na

blacie, jakby kostucha pozdrawiała spod stołu. Igor stał

nieruchomo, trzymając torbę z martwym kotem, i nie

mógł nic powiedzieć.

Długopis w ręku mężczyzny zasyczał i strzelił drob-

nymi iskrami. Trupie palce poruszyły się.

– No dobra, zobaczymy.

Odwrócił się na obrotowym fotelu, popukał w klawia-

ture. Komputer stojący w tej graciarni  
wyglądał bardzo

profesjonalnie, to znaczy nie miał  
obudowy, a wszystkie

elektroniczne bebechy poniewierały się  
dookoła podpięte

taśmami wielobarwnych kabli.

Dłoń poruszyła się, następnie zgarnęła z  
blatu dużą

monetę i trzymała ją między palcem  
wskazującym

a kciukiem.

– Uważaj pan teraz. – Gospodarz stuknął  
w kławię.

Palce poruszyły się, moneta przetoczyła  
się podawa-

na między kostkami, koziółkując aż do  
małego palca

276

Jarosław Grzędowicz

i z powrotem. A potem wypadła nagle i  
stuknęła o blat. –

Szlag – powiedział mężczyzna.

Siedząca na podwieszonym pod sufi tem

drażku sowa

błysnęła znieńska kocimi oczami i zahukała. Igor stał

nieruchomo i nadal nie mógł wykrztusić ani słowa. Za-

częła mu natomiast świtać nadzieja.

– Podoba się panu moja sowa? – zapytał mężczyzna.

– Wypchana?

– Oczywiście.

– Kot mi... umarł – wygłosił wreszcie Igor. Określenie

„zdechł” w stosunku do w gruncie  
rzeczy członka rodziny

wydało mu się co najmniej niestosowne.

– Pokaż pan.

Pachan spoczął na metalowym blacie. W  
ostrym

świecie lamp wyglądał na jeszcze  
bardziej martwego niż

wcześniej. Mężczyzna, poświstując  
jakąś nieokreśloną

melodię, podważył mu szczęki, obmacał  
sztywne łapy,

zajrzał w oko.

– Skąd pan ma mój adres? – zapytał wypychacz zwi-

rzął surowo. Google powiększały mu oczy, wyglądał jak

głębinowa ryba.

– Mój przyjaciel... Robił mu pan papugę.

– Dlaczego pan po prostu nie pochowa zwierzątko?

Koty żyją krócej niż ludzie. Trzeba się pogodzić z tym, że przeżyje pan kilka pokoleń. To tak, jakby drzewo miało



człowieka. Nie oszuka pan śmierci. Ten kot nie żyje i tak już zostanie.

– Nie chodzi o mnie. Moja żona... i moja córka... One

tego nie zniosą. Monika ma dwanaście lat, znała tego

kota przez całe życie. Uwielbiają go. Irena, moja żona,

Wypychacz zwierząt

277

powiedziała mi kiedyś, że jeżeli temu kotu coś się przeze mnie stanie, to się ze mną rozwiedzie. I to nie brzmiało

jak żart. Teraz są w Norwegii. Moja żona tam pracuje.

Staż naukowy. Zabrała córkę na wakacje. Wracają za trzy

tygodnie, ja... proszę pana. Zapłacę.

– Już dobrze, dobrze. Lubię robić koty. Najlepiej mi

wychodzą. Zaczynałem od kotów. Pomyślałem sobie, że

jeśli zrobię kota tak, żeby nikt się nie zorientował, to inne zwierzęta to będzie pestka. Ta elegancja ruchów, gracia...

Wie pan, w Ameryce czy Japonii wydają

na to miliony,

a ich roboty są beznadziejne.

Przewracają się, chodzą go-

rzej niż kukiełki. Moje są inne. Nikt nie zauważy różnicy.

Nawet pańska córka. Widział pan Cerbera?

– Widziałem dwa psy...

– To jest jeden pies. Dwugłowy. Składa się z Burka,

który umarł ze starości, i Szoszona, który wpadł pod

traktor. Tylko głowa ocalała, więc postanowiłem zacho-

wać obydwu. Lubiłem je.

Wyjął coś, co wyglądało jak miniaturowa piła tar-

czowa, i włączył świszczący silniczek. Ostrze zagłębiło

się w ciało kota, jadąc wzdłuż długiego, prostego cięcia.

Futro rozstało się, ukazując sinoróżowe mięśnie. Igor

wzdrygnął się.

Mężczyzna wyłączył silnik.

– Dobra, przepraszam. To dla pana przykry widok, ale

muszę się spieszyć. Zamroził pan kota, lecz teraz rozkład będzie szybko postępować. Pół godziny go jednak nie

zbawi. Musi mi pan powiedzieć, jak on się zachowywał.

Co lubił, jak reagował, wszystko. Bez obawy. Zrobimy

tak, że nikt nie zauważy różnicy.

Jarosław Grzędowicz

– On będzie jadł?

– Będzie jadł, wydalął, zagrzebywał w kuwecie. Spał,

mruczał i włożył na kolana. Ludzie widzą to, co chcą wi-

dzieć. Sądzi pan, że pańska córka pomyśli: „Mój kotek

jest jakiś dziwny, to chyba robot”? Spokojnie. Koty naj-

lepiej mi wychodzą. Usiądziemy na górze i opowie mi

pan wszystko przy herbacie. Zdaje się, że przyda się panu jeden głębszy.

Igor pomyślał, że jeden głębszy to chyba jednak nie

będzie magiczne „pół promila” i chyba rzeczywiście się

przyda. Na górze wypychacz zajrzał za dwuskrzydłowe

drzwi.

– Kochanie, zrobisz nam herbaty?

Odpowiedziało mu wściekłe syknięcie i jakiś trzask,

jakby Szeherazada miotnęła w niego  
kubkiem. Mężczy-

zna cofnął się skonsternowany i zamknął  
drzwi.

– Chyba sami zrobimy sobie herbaty –  
powiedział.

Siedzieli w kuchni nad herbatą i  
wiśniówką. Igor opo-

wiadał o swoim kocie, a wypychacz  
notował. Pachniało

wiśniami i migdałami, ogień huczał w  
kafl owym piecu.

Dziewczyna weszła nagle i



bezszelestnie, kiedy właś-

nie opowiadał o tym, jak Pachan wpadł kiedyś do wanny.

Założyła przynajmniej kusy szlafroczek, ale i tak robiła

niesłychane wrażenie. Pojawiła się znikąd i bezceremo-

nie wślizgnęła się Igorowi na kolana, obejmując za

szyję. Igor zająknął się i umilkł. Szeherezada bezwstyd-

nie polizała go w szyję i zamruczała. Zamarł, nie mając

pojęcia, co dalej robić. A potem  
znieńcka ugryzła go

potężnie w ucho i wyszła z kuchni.

Wynalazca siedział jakby nigdy nic.

– Piękna, co? – zapytał z dziwną dumą  
w głosie.

Wypychacz zwierząt

279

– Tak... przepraszam – wydukał Igor,  
trąc ucho, które

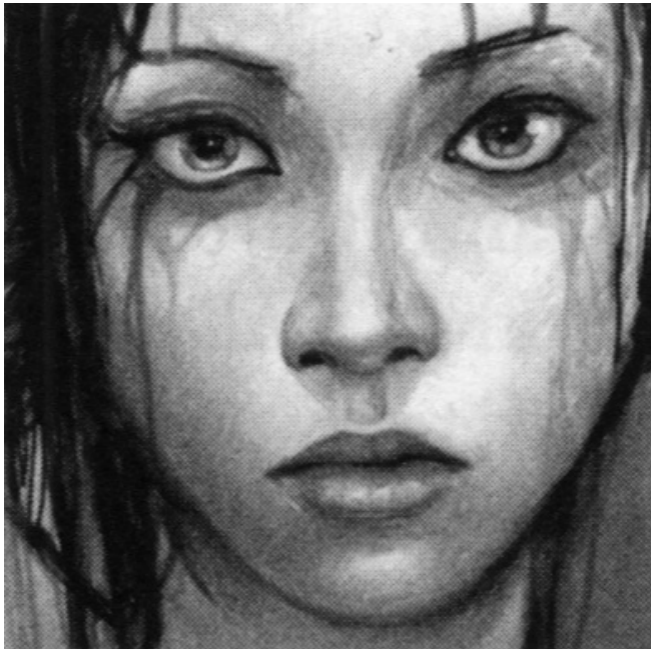
pałiło niczym oblane wrzątkiem. – Ta  
pańska żona jest

trochę... dziwna.

– No tak... – odpowiedział smutno  
wypychacz zwie-

rzął i westchnął. – Mówiłem panu, że  
koty mi najlepiej

wychodzą.



Weekend w Spestreku

Jeżeli ktoś stoi na balustradzie

tarasu na wysokości siedem-  
dziesiątego piętra z rozłożonymi  
szeroko ramionami, to rzeczywi-  
ście może co najmniej sprawiać  
wrażenie zmęczonego.

Norman miał z tego miejsca

doskonały widok na cały budynek.

Projekt nazywał się

„Srebrna Góra”. Biurowiec zbudowany  
na wzór górskiego

szczytu. Oczywiście nie był aż tak

nieregularny jak praw-

dziwa góra. Przypadkowe z pozoru  
załamania i uskoki

kryły okna i balkony, gabinety z  
panoramicznym wido-

kiem na miasto, więc zamiast obłych  
linii skał musiały

je wyznaczać płaskie tafle szyb. Jednak  
z odległości kil-kudziesięciu metrów, a  
nawet z balustrady na szczycie

złudzenie pozostawało absolutne. Góra  
wyciosana z błę-

kitnego kryształu górskiego. Były też

tarasy porośnięte

pokręconymi po japońsku cedrami,  
obłożone starannie

wyrzeźbionymi marmurowymi skałami,  
a nawet wodo-

spad. Wypływał ze ściany na wysokości  
pięćdziesiątego

282

Jarosław Grzędowicz

szóstego piętra i spadał migotliwą  
kaskadą w nieregu-

larny basen na dwudziestym. Woda

kręciła się w obiegu

zamkniętym. Spływała szklistą kurtyną  
za szybami gabi-

netów menedżerów, dyrektorów i  
brokerów, a po upadku

na skaliste dno basenu, poganiana  
pompami, wracała na

pięćdziesiąte szóste. I tak w kółko. Przy  
okazji napędzała turbiny, które w jakimś  
stopniu zasilają pompy.

Bardzo ekologicznie.

Świat jest podły, pomyślał Norman, a  
potem roz-



łożył ręce i runął płasko do przodu, na podobieństwo

strąconego z parapetu krucyfi ksu.  
Uderzył w powietrze

jak w elastyczną ścianę. Przy tej  
szybkości zagęszczone

do konsystencji galarety wciskało się do  
płuc, grzmiało

i świszczało w uszach. Obłożony  
skałami i obrośnięty

limbami basen minął go w pędzie i  
uciekł gdzieś do góry.

Normana odwróciło kilka razy i był

akurat na wysokości

piętnastego piętra, kiedy w błękicie  
nieba otworzyły się

nagle drzwi, wpuszczając prostokąt  
białego światła, we-

szła przez nie Różowa Pantera  
trzymająca w ręku okrągłą

bombę i odezwała się głosem szefa.

– Norman, wpadnij do mojego biura –  
powiedziała

Pantera.

Lont dopalił się do końca i bomba

wybuchła różowy-

mi zygzakami, a Norman wylądował na swoim fotelu.

Zdjął wirtualizator, pomagając sobie zębami, odpiął

rzepy rękawic sterujących i rozmasował twarz.

Wnętrze hangaru obstawione było pulpitami grafo-

matów i stanowiskami komputerów.

Wszędzie, gdziekol-

wiek spojrzeć, znajdowała się Srebrna Góra. W postaci

rzutów, rysunków, wyobrażeń,  
wydruków i projektów.

W przekroju i w detalach. Do tego na  
stojącym pośrodku

Weekend w Spestreku

283

hali okrągłym podeście holoskopu  
powoli obracał się jej

ukończony wizerunek, migocąc jak  
ogromna bryła krysz-

tału górskiego. Dokoła leżały hałdy  
płaskich pudełek po

pizzy, skrobiowe pojemniki po  
pikantnych skrzydełkach

albo krewetkach, papiery od kanapek.  
Piramidy jedno-

razowych pojemniczków po chemicznie  
podgrzewanej

kawie espresso i kolekcje papierowych  
kubków. W powie-

trzu wisiał ciężki odór potu, dymu i  
kawy. Odór skoń-

czonej ciężkiej pracy.

Większość pracowników snuła się jak  
muchy w smole,

niemrawo zbierając swoje rzeczy. Na materacu wsunię-

tym za kopiarki spali Mariola i Wojtek. Miłosz drzemał

na pulpicie grafomatu, obejmując głowę ramionami. Na

dłoniach wciąż miał rękawice sterujące. Przez okno wi-

dać było porośniętą młodą trawą płytę starego lotniska

i, przed wejściem do hangaru, Irenę spoczywającą na

leżaku – długie nogi wyłożyła na

składany stolik w oto-

czeniu pustych puszek po „jomsborgu”.

W zasięgu jej

ręki znajdowała się otwarta turystyczna lodówka, ale

zastępczyni szefa najwyraźniej drzemała w promieniach

porannego słońca, z na wpół opróżnioną puszką w zwie-

szonej bezwładnie dłoni.

Norman wstał od swojego stanowiska, z obrzy-

dzeniem konstatując nieprawdopodobną  
hałdę śmieci

i odpadków wokół, wyglądającą jak  
wyrzucona przez

sztorm.

Kanciapa szefa znajdowała się na  
antresoli, pod da-

chem hangaru. Panował tam mniejszy  
bałagan niż w pra-

cowni, ponieważ szef od dwóch tygodni  
prawie tu nie

bywał, siedząc na dole przy grafomacie.  
Teraz rozłożył się w fotelu, najwyraźniej



walcząc z opadającymi powiekami

284

Jarosław Grzędowicz

i pałac ogromne cygaro „Corona”. Na  
widok Normana

uśmiechnął się tym swoim wyuczonym,  
„motywującym”

uśmiechem, który nie znaczył kompletnie  
nic.

– Dlaczego nie jedziesz z nami na  
Malediwy? – zapytał

bez wstępów. – Nie cieszysz się, że

sprzedaliśmy „Góre”?

– A dlaczego mam się cieszyć akurat na Maledi-

wach? Muszę jechać do Sztilbarku.  
Mówię ci o tym od

pół roku.

– Ale akurat wtedy, kiedy wygraliśmy?  
Wszyscy za-

łują, że nie jedziesz. A mnie jest przykro. To nie jest ja-kaś zakichana korporacja ani integracyjny weekendzik.

Sprzedaliśmy ten projekt, fi rma żyje, w zanadrzu mamy

osiedle Zamkowa Brama. Spokój  
przynajmniej na półtora

roku. Chciałem zrobić wszystkim  
prezent.

– Romek, zrozum, dostałem przepustkę.  
Nie wydają

jej od ręki. Akurat wypadło teraz. Jeśli  
nie pojedę jutro, to przepadło. Cały bal  
od początku.

– A co cię tam ciągnie? Zamknij drzwi.  
Norman, to

nie jest normalne. Na Malediwach też są  
panienki, jeże-

li o to chodzi, ale według mnie wcale  
nie musisz robić

takich...

Norman oparł się dłońmi o biurko i  
wychylił w stronę

przełożonego.

– Romeczku, szefi e najdroższy,  
pryncypale mój. Wy-

myśliłeś, że jestem seksturystą, tak? Ja  
się, szefi e, urodzi-

łem w Spestreku. Mieszkałem tam do  
dwudziestego roku

życia. Tam jest moja matka, brat, siostra  
wychowująca

mojego siostrzeńca. W Sztilbarku.

– Jezu. Przepraszam, skąd miałem  
wiedzieć? Dlaczego

ich stamtąd nie wyciągniesz? Przecież  
mógłbyś jakoś ich

urządzić...

Weekend w Spestreku

285

– Nie chcą. Uwierzysz? Boją się. To co  
mam robić?

– Przepraszam – powiedział szef. –  
Głupio mi. Ale

sądziłem, że ci odbija. – Wycelował w  
Normana oskarży-

cielsko palec. – Zaharowaliśmy się.  
Wszyscy. Powinieneś

odpocząć. Ot co. Rozumiem, że musisz  
jechać, ale powi-

nienieś też naładować baterie. Skoczyłeś  
z dachu!

– Tania psychologia. Chciałem obejrzeć  
wodospad.

– Akurat.

– A ty, szefi e, wlażłeś do mojego komputera. To się

nazywa już „małping”, proszę szefa. Mogę jechać?

– Pewnie, że możesz. Sprawdziłeś tamte węzły kon-

strukcyjne?

– Zasymulowałem huragan. Trzymają jak głupie. Ro-

zumiesz, że muszę?

– Idź już w cholere. Miłego weekendu, Norman.

Wyszedł przed płaski hangar i powlókł się na par-

king. Od dwóch tygodni ich samochody właściwie nie

opuszczały swoich miejsc przy płocie. Norman nama-

cał w kieszeni pilota. Jego jaskrawożółta sportowa tatra

pulsar kwiknęła dwukrotnie i zaczęła zwijać dach, który

Norman postawił jeszcze w połowie kwietnia, kiedy za-

czął się ten straszny maraton związany



ze Srebrną Górą.

Jeżeli mieszka się w pracowni przez piętnaście dni, to

skąd można wiedzieć, czy nie będzie padać?

Wstawał piękny wiosenny dzień. Po drugiej stronie

lotniska, przy hangarach aeroklubu, ktoś cierpiący na

bezsenność męczył silnik repliki trzypłatowego fokkera.

W górze skowronek zanosił się histerycznym ćwierka-

niem. Norman rzucił marynarkę na  
siedzenie pasażera

i solennie obiecał sobie, że przez  
najbliższe tygodnie o tej porze będzie  
wracał do domu z imprez, a nie z pracy.

286

Jarosław Grzędowicz

Pulsar błysnął mu w oko światłem  
czytnika i uru-

chomił podzespoły.

– Dzień dobry, Norman – powiedział  
samochód.

Norman, walcząc z opadającymi powiekami, oparł

dłonie na małej sportowej kierownicy, po czym westchnął

i poddał się. Uwielbiał prowadzić, ale czuł, że za chwilę będzie miał z niewyspania halucynacje.

– Tryb auto. Do domu. Trasa standardowa. Napęd

hybrydowy, start: pędnik elektryczny, na trasie przejść na napęd wodorowy, styl: ofensywny. Prędkość: najwyższa

legalna.

Silnik wydał z siebie irytujący,  
narastający świst tur-

biny odrzutowca i przygasł do ledwo  
słyszalnego mru-

czenia. Norman pomyślał, że samochód  
o takim wyglą-

dzie powinien wydawać grzmiący ryk, a  
nie bzyczyć jak

suszarka do włosów.

Oparłszy kark o zagłówek, patrzył na  
obracającą się

kierownicę.

– Tryb auto aktywny. Program podróży przyjęty –

marudził pulsar. – Uwaga: sugestia korekty trasy. Komu-

nikat o kolizji na moście Grota. Korek czerwony w po-

rywach do czarnego. Sugerowana korekta: most Bora,

trasa modlińska, skręt w drogę na Nieporęt, trasa wzdłuż

Kanału. Nasilenie ruchu: zielone do żółtego. Aproksymo-

wany czas podróży: dwadzieścia siedem

minut.

– Zezwalam na korektę trasy. Uruchomić  
odtwa-

rzacz, biblioteka: muzyka klasyczna.  
Utwory: London

Calling, Man in the Long Black Coat,  
Red Right Hand,

Road to Hell.

Miał nadzieję, że muzyka poważna  
trochę go obudzi.

Weekend w Spestreku

Weekend w Spestreku. Sam nie wiedział, czy się z tego

cieszy, czy się boi. Pomyślał, że w gruncie rzeczy wolałby chyba jechać na te Malediwy.

Przez całą drogę do domu raz po raz opadały mu

powieki, ale nie zasnął.

\* \* \*

Opuszczone przed dwoma tygodniami mieszkanie

wydało mu się niemal obce. W powietrzu wisiał dziwny

zaduch. Na stole jadalnym odkrył resztki sałatki hawaj-

skiej ze śniadania w połowie kwietnia. Rzucił marynarką

w stronę wieszaka, ale oczywiście nie trafił.

– Wróciłem do domu, nie powiem nikomu. Sama pra-

ca, tylko praca, zrobi ze mnie wnet pajaca – zaśpiewał.

– Hasło przyjęte. Tryb obronny dezaktywowany.

Dzień dobry, Norman – powiedziało



mieszkanie. – Czy

chcesz odsłuchać wiadomości?

– Szeregować! – odrzekł, idąc do kuchni i zabierając

się do sprzątnia.

– Kategoria: spam...

– Pomiąć, do kasacji.

– Przyjęte. Kategoria: osobiste.  
Nadawca: „Zazula”.

Treść:

W pół drogi do kuchni zamajaczyło

widmo chudej,

wysokiej dziewczyny z włosami  
sterczącymi wokół głowy

jak kolce rybki fugu.

– Cześć. Pamiętasz mnie? Spotkaliśmy  
się na imprezie

u Denata. Pamiętasz łazienkę?

– O Boże, pamiętam – jęknął Norman.

288

Jarosław Grzędowicz

– Chciałam powiedzieć, że było

zajebiecie. Gdybyś...

– Kasacja. Nadawca: graf zero.

– Przyjęte. Kategoria: sprawy.

Nadawca: detektyw

Rybczyński. Treść:

Detektyw zmaterializował się, siedząc na zdrowot-

nym krześle-klęczniku, ubrany w kosmaty dres. Twier-

dził, że kiedyś go skopano i odtąd miał problemy z krę-

gosłupem.

– Dzwonię w sprawie pańskiego zlecenia. Według

uzyskanych dotąd informacji żaden, powtarzam: żaden

Grzegorz Karwinowski nie przekroczył dotąd granicy

Specjalnej Strefy Ekonomicznej Pomorze 17. Nie prze-

kroczył to znaczy nie przekroczył. Ani legalnie, ani nielegalnie. W żadnym punkcie imigracyjnym nie pojawił się

też człowiek noszący dostarczone przez pana parametry

rozpoznawcze kodu genetycznego,  
podając się za kogoś

innego. Nie udało się na razie nikogo  
takiego znaleźć

także wśród pracujących na czarno  
robotników. Z tego,

co wiem, nasi nie interesują się  
kompletnie sposobem

przekroczenia granicy, więc ten pański  
szwagier musiałby

zwariować, żeby się nie zarejestrować.  
Dostałby trochę

forsy, zupełny dach nad głową, jakieś

kursy, może i robotę.

Od dwóch lat każdy kibuc jest witany z otwartymi ramio-

nami. Istnieje minimalna szansa, że z jakiegoś powodu

nie mógł albo się bał, ale wtedy jednak powinien był się

gdzieś pojawić. Wątpię, żeby od razu pojechał w Europę,

bo według pana słów nie miał żadnych środków. Obsta-

wiam, że nadal znajduje się na terenie któregoś Spestreku.

Teoretycznie mógł opuścić siedemnastkę, a wylądować

w innym. Albo coś mu się stało tam, na miejscu. Tyle

wiem. W każdym razie raczej nie przekroczył granicy.

Weekend w Spestreku

289

Skoro pan tam jedzie, może pan zgłosić jego zaginięcie

miejscowej policji, chociaż odradzam. Jeżeli nic mu nie

jest, to tylko mu pan zaszkodzi. Może mi pan zlecić śledztwo po tamtej stronie, ale to będzie kosztowne. Kibuce nie pozwolą, żeby ktoś taki jak ja łąził i węszył. Jak pan wróci, to pogadamy. Raport wysyłam mailem. Do widzenia.

– Zachować do analizy. Katalog: osobiste, podkatalog:

szwagier. Ohasłować. Hasło domyślne.

– Przyjęte.

Posprzątał w kuchni, wziął prysznic, a potem padł

na łóżko.



– Osiem godzin snu. Tryb: twierdza. Nie  
łączyć ni-

kogo, kto nie powoła się na hasło  
alarmowe. Pobudka

stopniowa, szesnasta trzydzieści.

\* \* \*

– Wstań, Normanie, wstań, Normanie,  
rano wstań!

Rano wstań! Wszystkie dzwony biją... –  
odgłos przypo-

minał oszalały chór milionów wróbli i  
słowików, ale sło-

wa były całkiem wyraźne.

– Rany boskie, dezaktywacja! –  
wrzasnął. – Znaczy,

ten... ekstrapolaryzacja, magnificencja,  
Nabuchodonozor

to niezła dupencja! Obudziłem się!  
Światło: poziom zero!

Temperatura domyślna!

– Dzień dobry, Norman. Pobudka  
zdezaktywowana.

Godzina szesnasta trzydzieści, do  
odjazdu pozostało sie-

dem godzin.

Norman rozmasował zdrętwiałą i śliską  
od potu

twarz. W sypialni panowała temperatura  
jak w saunie,

a lampy płonęły niczym stadionowe refl  
ektory. Ktoś kie-

290

Jarosław Grzędowicz

dyś wymyślił, że naturalnym i zdrowym  
sposobem bu-

dzenia się jest stopniowe znalezienie się

w pełnym słońcu i upale, wśród  
ćwierkania ptaków. Słoneczko już  
wstało,

robi się ciepło i jasno, śpiewają ptaszki.

– Dzień dobry, Norman – powiedziała  
lodówka.

– Dzień dobry, Norman – powiedział  
prysznic.

– Dzień dobry, kurwa – powiedział  
Norman.

Pakował się, wybierając starannie  
ubranie. Jedna

z pierwszych zasad w Spestreku brzmi:

Nie zwracać na

siebie uwagi. Nie mógł ubrać się ani jak na co dzień, ani tym bardziej w elegancką czarną marynarkę haftowaną w łodygi bambusa. Powstałoby zbiegowisko. Ktoś

chciałby za wszelką cenę kupić, dostać w prezencie albo

ostatecznie ukraść mu ubranie. A przede wszystkim

nieustannie by się gapili. Co gorsza, pogoda mogła się

załamać. Początek maja potrafi być upalny, ale może też

dmuchnąć nagle arktycznym zimnem.

Przygotował sobie możliwie najmniej  
rzucające się

w oczy rzeczy; większość z nich zwykle  
nosił na działce.

Czarny sweter, dzinsy w jednolitym  
kolorze khaki, bez

wzorków, turystyczne buty.

Problemy zaczęły się z prezentami.

Wożenie czego-

kolwiek do Spestreku to loteria, wielka  
rozgrywka i po-

jedynek człowieka z bezduszną machiną.  
Do tego jeszcze

wojna sprytu i chciwości pomiędzy  
człowiekiem i funk-

cjonariuszem. Norman miał swoje  
metody, ale żadnej

stuprocentowo pewnej. Przygotował  
sobie arsenał kilku

sztuczek i liczył na trochę szczęścia.  
Część rzeczy i tak będzie musiał kupić  
po drodze.

Czuł się jak szpieg wybierający się z  
misją do wrogiego

kraju, a nie jak ktoś, kto jedzie odwiedzić rodzinę. Nie był

Weekend w Spestreku

291

nowicjuszem. Gotówka: kibuce przeliczali euro na bony

ekonomiczne według urojonego, absurdalnego kursu 1:1

i frajer, który wetknąłby tam gdziekolwiek czip, zostałby z miejsca ograbiony. Zresztą wszyscy wszystko załatwiali

w gotówce. Miał więc zapas pieniędzy



w banknotach o ni-

skich nominałach. Odpiął swój zegarek,  
tytanowego Tag

Heuera, i założył jednorazową  
reklamówkę jakiejś fi rmy

konstrukcyjnej. I tak zrobi przesadne  
wrażenie, jeżeli

ktoś ją zauważy. Zegarek miał radio,  
budzik i kompas.

Schował do torby jeszcze dwa. Taki  
prezent ofiarowany

komuś w odpowiednim momencie mógł  
w Spestreku

uratować życie.

\* \* \*

Autobus sunął w noc. Norman patrzył na  
dziwny,

zielony jak dno akwarium krajobraz  
wyświetlany przez

noktowizory. Trochę się bał, a trochę  
było mu smutno.

Tłumaczył sobie, że to wynik ostatniego  
przepracowania,

ale nic nie pomagało. Czuł się  
przemęczony, lecz miał też wrażenie, że  
jego życie jest tandetne i plastikowe.

Projektował kolejne budynki, siedział w domu i patrzył w ścia-

noekran, żyjąc ciekawszym, lepszym i fikcyjnym życiem

bohaterów filmów, albo tkwił na balkonie ze szklanką

w ręku, gapiąc się na żagle na Zalewie. Toczył również

puste i głupie pogawędki z widmami ludzi siedzących

czasem o setki kilometrów od niego – wszystko to jakieś

nieprawdziwe i płaskie. Życie w

Spestreku może i było

ciężkie, ale bardziej autentyczne.

Wydawało mu się, że

gdy tam mieszkał, umiał się bardziej cieszyć. Wystar-

czało kupić sobie podkoszulek albo kawałek wędzonki

292

Jarosław Grzędowicz

i człowiek radował się jak dziecko. Co musiałby teraz

zrobić, żeby poczuć aż takie szczęście,

jak kiedy Marian-

nie udało się wykołować harpie i mogli się spotkać przy

ognisku nad jeziorem? Przypomniał sobie te całonocne

rozmowy nad butelką podłej wódki i jednym ogórkiem.

Tam przyjaciel był przyjacielem, wróg wrogiem, a życie

miało prawdziwy smak i zapach.

Zgasił okno i świat utonął w smolistej ciemności.

Przez jakiś czas czytał „Herolda”, ale akurat te artykuły, które go poprzednio interesowały, nie zaktualizowały się.

Wyłączył gazetę i złożył arkusz na cztery, żeby zmieścić

się do kieszeni fotela. Znalazł tam jeszcze zestaw ulotek firmy organizującej te przejazdy.

– Zobaczymy, co tam nowego w domu – mruknął.

„Specjalne Strefy Ekonomiczne powstały przed po-

nad trzydziestu laty jako eksperyment społeczny – gło-

siła pierwsza z ulotek. – Miały  
zakończyć nieustanny

i coraz ostrzejszy konflikt pomiędzy  
obywatelami kra-

jów europejskich, którzy prezentowali  
dwie całkowicie

sprzeczne i niemożliwe do pogodzenia filozofie i style

życia: odmienne rozumienie roli  
państwa, obywatela

i prawa. Dopóki nie ustalono, że  
obydwie te koncepcje

będą realizowane równocześnie na

różnych, wyłonio-

nych plebiscytami obszarach, konflikt  
owocował coraz

silniejszymi spięciami społecznymi, aż  
do serii krwawych

wydarzeń roku 2020. Obecnie, po ponad  
trzech deka-

dach, wiadomo, że istnienie obydwu  
stref nie tylko nie

jest już eksperymentem, ale że należy  
mówić o dwóch

różnych Europach. Odmiennej, lecz  
żyjących ramie



w ramię w jednej strukturze państwowej. Dzięki temu

obywatele każdej z nich mogą realizować wizje państwa

Weekend w Spestreku

293

takie, jakie są najbardziej zbliżone do ich światopogląd-

dów, co więcej, zawsze mogą wybrać, w jakim chcą żyć

państwie. Obecnie wybór pomiędzy wolnością jednostki

a bezpieczeństwem, pomiędzy  
indywidualizmem a ko-

lektywizmem, pomiędzy wolnością  
gospodarczą a opieką

ze strony państwa, a także pomiędzy  
prawem do ryzyka

a prawem do bezpieczeństwa, pomiędzy  
realizowaniem

prywatnych ambicji a budowaniem  
wspólnego dobra –

nie jest już dla Europejczyków  
dylematem, a stale otwartą  
możliwością”.

– Bla, bla, bla – powiedział Norman.  
Przekartkował

ulotki, ponieważ interesowało go coś  
innego. Co można

teraz wwozić, co można mówić  
publicznie oraz jakie sło-

wa, pojęcia i zachowania zostały  
ostatnio zakazane. Tylko że takich  
szczegółów nie dało się z ulotek  
dowiedzieć.

Były tylko zupełnie podstawowe  
ostrzeżenia:

„Pamiętaj! Na terenie Specjalnej Strefy  
Ekonomicznej

nie wolno palić tytoniu w żadnych miejscach publicznych.

Złamanie tego zakazu to przestępstwo!

Pamiętaj! Zawsze noś przy sobie kartę identyfikacyjną i okazuj ją na każde wezwanie służb porządkowych.

Żadne inne dokumenty nie są respektowane. Brak dokumentów to przestępstwo!

Pamiętaj! Spożywanie alkoholu w miejscu publicznym

w Specjalnej Strefie Ekonomicznej jest przestępstwem.

Pamiętaj! Opowiadanie dowcipów dotyczących poli-

tyki społecznej strefy, problematyki płciowej, zdrowego

stylu życia, religii niechrześcijańskich, kultur innych

niż patriarchalna kultura zachodnia, przedstawiających

w niewłaściwym świetle mniejszości i w jakikolwiek spo-

sób dotyczących kobiet jest

przestępstwem!

294

Jarosław Grzędowicz

Pamiętaj! Osoba samcza oskarżona o molestowanie

seksualne musi przedstawić dowody swojej niewinności.

Pamiętaj! Jakikolwiek kontakt fi zyczny o podtekście

seksualnym z kobietą, która w dowolnej formie i w do-

wolnym momencie nie wyrazi lub nie

podtrzyma pełnej

zgody, to gwałt.

Pamiętaj! Ocena, czy kontakt ma podtekst seksualny,

zawsze zależy od kobiety.

Pamiętaj! Skorzystanie z jakiegokolwiek formy prosty-

tucji to przestępstwo!

Pamiętaj! Użycie wyrażen, które mogłyby zostać

uznane za opresywne, to przestępstwo!

Pamiętaj! Uznanie twojego zachowania  
za mole-

stowanie seksualne zależy wyłącznie od  
subiektywnej

oceny osoby molestowanej.

Molestowanie może polegać

na mówieniu, ostentacyjnym milczeniu,  
spojrzeniu, ja-

kiejkolwiek formie dotyku, unikaniu  
spojrzenia, a także

na wyzywającym stroju i  
prowokacyjnych grymasach

twarzy. Molestowanie seksualne to



przestępstwo!”

Wydrukowano tego ze cztery strony, ale to jedynie mate-

riały dla nowicjuszy. I to jeszcze napisane przez idiotę. Prawda była taka: wszystko można, tylko trzeba znać sposób.

To tak jak z papierosami. Należy palić możliwie nie-

chlujnie wykonane skręty albo tytoń w małych fajecz-

kach, udając, że to konopie. Tytoń był zabroniony, ale na gandzię patrzono przez palce.

Przepisy powinny być prostsze: Nigdy  
nie gadaj z ob-

cymi. Nigdy nie zostawaj sam na sam z  
obcą kobietą ani

dzieckiem. Nie podnoś oczu. Nie  
odzywaj się. Bądź niewi-

dzialny. Cokolwiek robisz, lepiej, żeby  
nikt tego nie widział

i nikt o tym nie wiedział. Nie ufaj do  
końca nikomu.

Weekend w Spestreku

I najważniejsze: Jeżeli zechcą, to zawsze cię udupią.

Jeżeli cię nie zobaczą, to może nie zechcą.

Dwa kilometry przed granicą Strefy numer 17 au-

tobus wjechał na parking pod nocnym supermarketem.

Uważny obserwator mógł się wiele dowiedzieć na te-

mat sytuacji w Spestreku, czytając wywieszki o promo-

cjach. W tych sklepach przeceniano

towary, na które był

w Strefie największy popyt. Niektórzy robili na tym jakieś interesy, ale jedyna zapłata, na jaką mogli tam liczyć,

musiałaby zostać pobrana w naturze.

Przebój każdego sezonu stanowiło konserwowe je-

dzenie. Wojskowe i turystyczne racje, liofilizowane albo zamknięte w puszkach. Po prostu można je zamknąć

w szafce i długo przechowywać. W sklepach Spestre-

ku dostaniesz bez kartek niemal

wszystkie podstawowe

produkty. Chleb, kasze, makarony, ocet i produkty so-

jowe w kilku rodzajach. Większość rzeczy – w jednym

tylko gatunku. Nabiał otrzymywano na kartki, ponie-

waż zawierał cholesterol. Podobnie mięso. Jeżeli było,

to zazwyczaj mielone. Teraz okazało się, że z niejasnych

powodów kibuce mają problemy z solą i cukrem. Za-

wsze doskonale szły przeróżne przyprawy. Sosy sojowe,

mieszanki ziołowe, tabasco, różne marynaty i ostre sosy.

Powód był prosty: za ich pomocą można zmienić jałowe,

monotonne i dietetyczne żarcie w coś jadalnego. Władze

z niezrozumiałych powodów patrzyły na to krzywo i cza-

sopisma Strefy były pełne alarmistycznych artykułów

o niebywalej szkodliwości wszelkich

przypraw.

Doskonałym towarem pozostawał lepszy alkohol.

Tania whisky, metaxa, rum i koniak stanowiły od nie-

pamiętnych czasów zastępczą walutę, podobnie jak tytoń.

296

Jarosław Grzędowicz

Należało jednak kupować, mając na uwadze dwudziesto-

kilogramowy limit przewozowy. Dlatego

Norman naby-

wał zwykle tytoń do skrętów i koniak.

Nie zapomniał też

o słodyczach i owocach dla małego

Kuby. W Spestreku

owoce ograniczały się właściwie do jabłek i śliwek, a słodycze – do kilku lokalnych, dziwnych wyrobów. Niektóre

Norman nawet lubił. Na przykład kulki z mleka w prosz-

ku albo pudrowe tabletki.

Na co dzień nie przepadał za robieniem zakupów,



a zwłaszcza nie znosił kupowania w hipermarketach.

Jednak tym razem miały one zupełnie inne znaczenie.

Czuł się niczym Święty Mikołaj szycujący się za kołem

polarnym do misji. Jeżeli się pamiętało nieustanne ko-

lejki, listy oczekiwania i talony w Spestreku, to zwykły

supermarket zamieniał się w Sezam.

W Spestreku we wszystko, co się dało, zaopatrywano

się na zapas.

Wydawało się, że powinien pamiętać,  
jak to jest,

a mimo to niemal zapomniał o kawie.

Nie miał pojęcia, dlaczego brakowało  
tam rzeczy

w rodzaju kawy. Tutaj, tuż za granicą, w  
sklepach zale-

gały dosłownie hałdy kawy pod postacią  
ziaren, proszku

i granulatu. Całe Alpy i Himalaje kawy.  
Niektóre gatunki

z pewnością w zasięgu portfela  
mieszkańca Strefy, któ-

rego zarobki miały równowartość  
niespełna stu euro.

Nawet gdyby przyjąć, że wszyscy mają  
dostawać tylko

najtańsze i najgorsze towary, ale za to  
dzielone sprawiedliwie, to i tak powinni  
posiadać znacznie większy wybór.

Skąd więc niedostatek kawy? Mieli  
jeden wzór ołówków,

jeden wzór zeszytów, jeden typ żarówek,  
jeden gatunek

pasztetu. A i tak wiecznie czegoś brakowało.

Weekend w Spestreku

297

Niektórych towarów nie było, bo zostały uznane za

niepoprawne politycznie. Nie zabraniano ich posiadania,

ale nie pojawiały się w sklepach. A innych brakowało i już.

A to baterii, a to zapalek, a to butów.

Ledwo dopchał wyładowany wózek do

automatycznej

kasy. Towary na taśmę wykladał chyba z pięć minut. Przy

samej kasie złapał jeszcze paczkę jednorazowych cienko-

pisów, jakieś orzeszki piniowe w soli, ostrza do maszyn-

ki do golenia i zgrzewkę baterii. Przypomniał sobie, że

Kuba prosił go w sekrecie o czyste kostki pamięci, więc

pognał jeszcze raz do działu elektronicznego, podczas

gdy komora kasy zaczęła połykać jego sprawunki. Do

autokaru zaniósł cztery wypchane torby z chitynowej

biofolii, a zapłacił mniej niż zwykle za tygodniowe zaku-

py. Rozpiął dodatkowe komory swojej torby, zmieniając

ją w tobole wielkości marynarskiego worka.

W Spestreku wszystko, włącznie z tandetnymi pisa-

kami, zamieni się w skarby i sprawi

komuś radość.

\* \* \*

Podjechali do granicy około czwartej rano i okazało

się, że trzeba będzie czekać. Wjazd do Strefy prywat-

nyimi samochodami był zabroniony, w kolejce czekały

jeszcze trzy autobusy. Chodziło o wychowanie obywa-

teli w upodobaniu do ekologicznego transportu zbioro-

wego, więc postanowiono, że sprawę  
załatwi zjawisko

śmierci technicznej. Dopóki nie  
pokochają autobusów,

nie będzie nowych samochodów. Nie  
licząc oczywiście

tych, które przyznano ze względu na  
potrzeby i zasługi.

Reszta mieszkańców Strefy spędzała pół  
życia, reanimu-

298

Jarosław Grzędowicz



jąc straszne mechaniczne zombie,  
czasem pochodzące

sprzed ustanowienia stref ekonomii  
rozdzielczej. Jeden

po drugim ponosili klęskę i opłakawszy  
zardzewiałego

trupa, ustawiali się w  
kilkusetmetrowych kolejkach do

przystanku, wiedząc, że odtąd dystans  
dwudziestu kilo-

metrów będą pokonywać w około trzy  
godziny, a pralki

do naprawy nie zawiozą już nigdy.

Jeżdżono natural-

nie na rowerach, ale po pierwsze, nie wszystko można

tak przewieźć, po drugie, w Polsce od października do

kwietnia podróżowanie w ten sposób wcale nie było

zabawne.

Od strony imperialistycznej,  
patriarchalnej Europy

granica była zwykłym parkingiem i  
budką ozdobioną

jedną flagą polską i jedną unijną; w budce siedział policjant, na wypadek gdyby ktoś go potrzebował. Od strony

postępowej skarbów ekonomii rozdzielczej chroniły trzy

rzędy siatki, szlabany, betonowe zapory i pas zaoranej

ziemi najeżonej betonowymi blokami, a podobno także

naszpikowanej minami przeciwpiechotnymi.

Utopia potrzebowała ochrony nie tylko przed szkod-

liwą i dekadencją ideologią, ale także przed mafią, nar-

kotykami, przemocą w szkołach i rodzinie, niezdrowym

stylem życia i terroryzmem, właściwym dla zgniłej części

Europy.

Czekali ponad dwie godziny. Stojący przed nimi

autobus pochodził ze Strefy i przywoził kibuców z wy-

cieczki do innego Spestreku, może gdzieś w innej części

kontynentu. Wszystkich pasażerów  
wyprowadzono

do rewizji osobistej, a stary, poobijany  
autokar armia

ludzi w szarych uniformach rozbierała  
dosłownie na

części.

Weekend w Spestreku

299

Szczały psy, cały betonowy plac  
zalany był jaskra-

wym, rtęciowym blaskiem refl ektorów.

W górze łopotały

pasiaste flagi o barwie tęczy.

Nie wolno było wysiadać. Norman z  
nieprzyjemnym

uczuciem kręcenia w żołądku patrzył na  
kobietę w sta-

lowoszarej bluzie, z tęczową opaską na  
rękawie i w be-

recie ściągniętym na jedno ucho,  
pilnującą drzwi od ich

autokaru. Z jej ramienia na pasie wisiał  
drogi niemiecki

pistolet maszynowy.

\* \* \*

Do odprawy stawało się w długim,  
wąskim pomiesz-

czeniu, wzdłuż rzędów metalowych  
stołów, pod ostrym

światłem refl ektorów.

Najpierw badano dokumenty.

– Nazwisko osoby? – spytała z  
nienawiścią umun-

durowana urzędniczka. Niedobrze.  
Kobiety w służbach

mundurowych Spestreku były zaciekle,  
ideowe i zazwy-

czaj nieprzekupne.

Podał.

– Imię osoby?

– Norman.

– Tożsamość płciowa osoby?

Dawno się oduczył jakichkolwiek  
żarcików. Były one

traktowane z wyjątkową agresją.

Podejrzewał, że funk-



cjonariuszki po prostu nie rozumiały  
żadnych dowcipów

i za każdym razem obawiały się, że są  
obrażane.

– Mężczyzna.

– Nie ma takiej kategorii. Jest osoba  
samcza albo ko-

bieta.

300

Jarosław Grzędowicz

– Osoba samcza.

– Orientacja seksualna?

– Hetero.

Urzędniczka pokręciła głową. Albo z dezaprobaty,

albo ze zdziwienia, że ktoś może wykazywać tyle tupetu.

– Cel przyjazdu?

I tak bez końca. Przyzwyczał się. Nie był nowicju-

szem. Odpowiadał mechanicznie. Błąd popełnił przy

pytaniu o tożsamość karnacyjno-

etniczną. Już zdążył

o tym zapomnieć, bo to była kategoria, z którą nigdy

nie zetknął się poza Spestrekiem, a w takiej formie nic

podobnego nie istniało nawet za jego czasów. Odpowie-

dział: „polska”, ale nie o to chodziło. „Europejska” też nic nie dała, bo okazało się, że urzędniczka chce w gruncie

rzeczy znać kolor skóry, ale nie wolno jej tego powie-

dzieć. W świecie Normana nie istniały  
żadne urzędowe

okoliczności – poza ustalaniem rysopisu  
poszukiwanego

albo zaginionego – w których  
ktokolwiek by o to pytał,

więc odpowiedział bezradnie: „biała”.  
Od urzędniczki

dowiedział się tylko znudzonym tonem,  
że „nie ma ta-

kiej kategorii”. Jest kaukaska albo  
afroeuropańska, albo

orientoeuropańska, albo indoeuropańska,

albo rdzenna

amerykańska, albo rdzenna afrykańska,  
albo magreb-

skoeuropejska. Nie miał pojęcia.  
Wybrał kaukaską, ale

okazało się, że jego poprzednia  
wypowiedź sprowokowa-

ła przechadzającą się opodal szefową  
strażników.

– „Biała”! „Biała”! – przedrzeźniała go,  
wyraźnie roz-

juszona, chwytając się ostentacyjnie za  
kaburę. – Przy-

jeżdżą takie faszystowskie  
szowinistyczne świnie! Bez

kultury! Chamstwo takie się zjeżdża!  
Biały się znalazł.

Rasista!

Weekend w Spestreku

301

Faszystowskie świnie odebrały karty  
identyfikacyjne

i powlokły swoje toboły na żer  
celników. Gruby, wąsaty

jegomość w poplamionej szarej koszuli

nie umiał sobie

poradzić z zapięciem gekko, więc  
Norman musiał go

wyręczyć.

– Pomarańczki! – ucieszył się celnik. –  
Jedna dla cie-

bie, misiu, jedna dla mnie. Jedna dla  
ciebie... Nie podoba się? Climy  
kurteczkę?

To nie były pomarańczki, tylko  
persymony, ale celnik

najwyraźniej nie był botanikiem.

Norman dyskretnie przesunął w jego stronę jedną

z toreb, zawierającą pół kilo kawy, paczkę tytoniu i ma-

łego Johnnie Walkera oraz wielką, choć marną czekoladę

z przeceny, kiść bananów i sześć baterii. Wykonawszy

ten manewr, cofnął się delikatnie, pokazując, że nie chce mieć z tą torbą nic wspólnego.

Lekkie skrzywienie warg oznaczało, że bóstwo nie



zostało usatysfakcjonowane ofiarą.

Otaksowawszy krągłą posturę przeciwnika sugerują-

ca upodobanie do hedonizmu, Norman zastosował chwyt

„zakazany owoc”. Machinalnie dołożył puszkę chałwy

(cukier to biała śmierć!) oraz drugą, z konserwowym

boczkiem, pochodzącą z wojskowej racji arktycznej. Na

pyzatej twarzy funkcjonariusza pojawił się lekki uśmiech.

Wówczas Norman wykonał ostatni ruch  
i lekko odpiął

gekko kieszeni na klapie torby. Oczom  
celnika ukazał się

wąziutki brzeg kolorowego pisma z  
wyraźnie widocznym

na grzbiecie tytułem „Laskożerca”.

Przeciwnik poruszył dwukrotnie  
brwiami, poddając

partię, i rozejrzawszy się, przepięknym,  
iluzjonistycznym ruchem zwinął pismo  
pod blat, mówiąc: „Konfi skata”.

Jarosław Grzędowicz

Ostatni urzędnik, zaopatrzony w pieczętkę, został

łatwo pokonany za pomocą banknotu 5 euro, zapomnia-

nego w okładkach karty identyfikacyjnej.

\* \* \*

Odjeżdżając spod granicy, pasażerowie wyglądali

niczym cudem ocaleni z katastrofy lotniczej. Zaczęto

rozmawiać, ktoś częstował whisky  
(przestępstwo!), kie-

rowca włączył muzykę. Norman patrzył  
na oświetloną

blaskiem porannego słońca Strefę.  
Wracał do domu. Za

oknem ciągnęły się takie same lasy jak  
po drugiej stronie, puste połacie, pola.  
Droga połatana i węższa. Widział bil-  
boardy, ale mniejsze, rzadziej  
rozstawione, nieruchome

i na ogół bez własnego oświetlenia.  
Strefa była wolna od

infantylnego natręctwa reklam. Plansze

prezentowały

plakaty o treści społecznej, politycznej i zdrowotnej.

Na przykład piękne zdjęcie w sepii, co najmniej z po-

czątku dwudziestego wieku,  
przedstawiające maleńkiego

i chudego Azjatę, który w podkasanych  
gatkach brnie po

kolana w wodzie, taszcząc na barana  
wąsatego grubasa

w białym mundurze. I slogan: Biali  
mężczyźni mają

za co przepraszać.

Albo wzdęta padlina i napis: Mięso to śmierć.

Albo młoda kobieta z karabinem na tle tęczy i zagad-

kowe hasło: Nasza historia!

Oraz stare, które doskonale pamiętał:  
Najpierw inni,

potem ty!

Minęli puste pole, porośnięte rzadko drzewami,

i Norman uświadomił sobie, że to musi

być chyba las

jesionów, który sadził jako dziecko. Z  
niezrozumiałych

Weekend w Spestreku

303

i tajemniczych powodów władze nagle  
uznały, że sosny

nie są ekologiczne, i las, który rósł tu od  
niepamiętnych czasów, wycięto do zera,  
po czym wysłano uczniów, żeby

sadzili drzewa poprawne: jesiony, buki i  
graby.

Przyjęło się pięć.

Od tej pory dziką pustać pod miastem  
zarośniętą

burzanem nazywano „lasem jesionów”.

\* \* \*

Kiedy dojechali na miejsce, spowite  
szarym brzaskiem

miasto wyglądało na kompletnie  
bezludne. Wydało się

Normanowi mniejsze, bardziej krzywe i  
zapyziałe, niż

pamiętał, a równocześnie w jakiś



bolesny sposób znajome.

Znał tu każdy kamień, nie zmieniło się  
nic, żadna budka

z warzywami nie została odmalowana.  
Co pękło dzie-

sięć lat temu, nadal było pęknięte, a co  
się wykrzywiło,

pozostało krzywe.

Ulice obwieszane były tęczowymi fl  
agami – święto.

Na pustym dawnym Starym Rynku,  
obecnie placu

Che, wciąż stała pokraczna rzeźba  
zwana „gilotyną”. Po-

siedział trochę na ocembrowaniu  
zabytkowej studni, paląc

papierosa. Po strefowemu: schowanego  
w dłoni, pociąga-

nego ukradkiem, mimo że nigdzie nie  
było żywego ducha.

Lodowaty wiatr gonił po pustych ulicach  
papiery.

Podniósł się i wlokąc na kółkach swoją  
olbrzymią tor-

bę, rozciągniętą do granic objętości,

poszedł do katedry.

Musiał sprawdzić, czy nie przewidziano na dziś ja-

kiegoś wydarzenia chrześcijańskiego, bo to by znaczyło,

że mama będzie koniecznie chciała tam iść, a nie miał

kluczy. Przeczytał grafi k przybity do drzwi świątyni i do-304

Jarosław Grzędowicz

wiedział się, że w Centrum Kultury Duchowej najbliż-

szere wydarzenie poświęcone tradycji  
chrześcijańskiej

odbędzie się dopiero w przyszłą środę,  
szóstego maja,

i będzie to wykład o roli kobiet we  
wczesnych gminach

chrześcijańskich oraz misterium w  
wykonaniu zespołu

Kultury Duchowej Multi-Kulti:  
„Tradycyjna tzw. Msza

Wielkopiątkowa”. W nadchodzących  
dniach miało się od-

być jedynie czytanie „Pieśni o śmierci

Alego”, Dzień Gai

i „Tańce w kręgu dla kobiet”, „Bębny wedyjskie i transo-

we” oraz „Śra Baśwaśwara”, cokolwiek to oznaczało.

Na rynek za jego plecami wjechały trzy ciężarówki

i dwie kanciaste furgonetki o barwie ołowiu, ozdobione

czerwonym labrysem na drzwiach.

Ujął torbę i pociągnął ją za sobą, starając się nie ga-

pić i iść jak najspokojniejszym krokiem.  
Grupka ludzi,

która zeskoczyła z ciężarówek, zaczęła  
zdejmować z pak

naręcza transparentów i rozkładać je,  
opierając o rur-

ki ustawionej pod „gilotyną” trybuny.  
Słyszał rozmowy

i pokrzykiwania po polsku, francusku i  
chyba włosku,

a potem hurgot odsuwanych drzwi  
furgonetek i tupot

ciężkich butów. Opiekunowie i

opiekunki rozstawiali

patrole wokół placu.

Skręcił w pierwszą lepszą uliczkę,  
czując, że ognek

papierosa parzy mu wewnątrz dłoni, i  
dopiero za rogiem

wrzucił go do kanału. Usłyszał krzyki i  
śpiewy. W stro-

nę rynku schodziły się grupki młodzieży.  
Długie włosy

u chłopców, krótkie fryzury albo łyse  
glace u dziewcząt.

Opaski, chustki i bandany w barwach tęczy. Pacyfy, la-

brysy. W kilkunastoosobowej grupce wyróżniała się tań-

cząca dziewczyna, ubrana w białe gieźło, z kwiatem kalii

za uchem i pogrzebowym wieńcem na szyi.

Weekend w Spestreku

305

Uskoczył w zaułek, żeby ich przepuścić. Nie miał po-



jęcia, o co chodzi, ale też nie chciał się dowiedzieć.

Zatrzymali się w ciasnej uliczce pomiędzy ocalałymi

starymi kamienicami i zaczęli coś skandować. Akurat

na wprost miejsca, które sobie wybrał. Wszedł w głęboki

portal bramy i oparł się o zablokowane drzwi. Nie rozu-

miał słów. Wrzeszczeli jeden przez drugiego.

Norman czekał cierpliwie. Nowicjusz

próbowałyby

przejsć przez taką grupkę, bo „co gówniarze mogą mi zrobić i w ogóle nikogo nie zaczepiam”. Nie, przyjacielu. To, czy zaczepiasz, czy nie, zależy wyłącznie od subiektywnej oceny osoby zaczepianej. A ich było z piętnaścioro. Jeżeli poradysz sobie z piętnastoma przeciwnikami, to i tak awantura ściągnie tu blacharnię. A wtedy dowiesz się z rozczarowaniem, że bynajmniej nie przyjechali ci na pomoc.

Nagle ktoś zaczął śpiewać. Inni natychmiast pod-

chwycili, skandując zachrypłym chórem, najwyraźniej

darli się tak od paru godzin.

– Doktorze! Doktorze! Wydłub mi z cipy  
tę żabę!

Doktorze! Doktorze! Bo muszę już iść na  
zabawę, um

pa pa! Um pa pa!

Dziękuję, pomyślał spokojnie Norman.  
To właśnie

Szwejk nazywał zbałwanieniem do  
kwadratu. W końcu

im odwaliło na amen.

Usłyszał blaszany łomot – skakali po

karoserii ja-

kiegoś nieszczęsnego weterana szos.

Sekurit posypał się

z chrzęstem na bruk, zawył staroświecki alarm.

Wreszcie ruszyli dalej, wrzeszcząc z uporem idiotycz-

ny kuplet. Od strony rynku rozległ się taki sam zaśpiew,

więc obie grupy wybuchły opętańczym entuzjazmem.

Norman podniósł torbę i poszedł w swoją stronę.

Jarosław Grzędowicz

Kolejna grupka przecięła mu drogę dwie  
przecznice

dalej. Poczekał spokojnie, aż przejdą. Ci  
na szczęście

nie śpiewali o doktorze, co przyjął z  
ulgą, bo miał wra-

żenie, że kretyńska melodyjka  
pozostawiła mu siniaki

na mózgu. Wykrzykiwali rymowane  
hasła. Skąd tylu

tu zapaleńców? W mieście nigdy nie  
było za dużo mło-

dych ludzi, a już na pewno tłumów  
działaczy. Siłę Strefy

stanowiły starsze pokolenia. Życzyły  
sobie, żeby ktoś

dał im pracę, wszystko za nich załatwił i  
zdecydował,

a w zamian chcieli mieć zakładowe  
mieszkania, spokój,

lekarza oraz pensję, która wystarczy na  
butelkę karto-

fl anki, chleb i smalec. Resztę mieli

gdzieś. Więc skąd

nagle te entuzjastyczne ryki?

– Rostock, Lyon! Nasz ci on!

Co to niby znaczy?

Osiedle Normana składało się z  
wyglądających ni-

czym kostki szarego mydła  
trzy piętrowych blokhauzów,

pomalowanych burą i fi oletową farbą w  
kształty mające

przypominać fasady renesansowych  
kamieniczek. Było

paskudne, a zarazem w jakiś sposób  
wzruszające i przytul-

ne. Minął kępę krzaków bzu kryjących  
trzepak, z którego

zleciał jako pięciolatek, garaże, o które  
odbijał zeszmąconą piłkę, szpital  
psychiatryczny z pruskiej czerwonej  
cegły, otoczony parkiem, gdzie się  
przekradał i w krzakach za

boiskiem poznał tajniki kobiecej  
anatomii.

Był w domu.

Na własnym osiedlu – tu nic mu już nie  
groziło.



Szły całą szerokością ulicy Nerudy.

Młodzieżówka Europejskiego Frontu  
Równości.

Grupka liczyła najwyżej osiem  
dziewczyn w różnym

wieku, w spodniach z demobilu i  
ciężkich wojskowych

Weekend w Spestreku

307

butach, z tęczowymi opaskami na  
ramieniu. Norman

zrezygnował z holowania bagażu na

kólkach i przewiesił

pas ciężkiej jak nieszczęście torby przez ramię.

Facet z krótkimi włosami, w przeciwsłonecznych ray-

banach, piaskowych spodniach i w skórzanej kurtce.

Zobaczyły go.

– Te! Maczo z malinową sraką! Szukasz tu łatwych

lasek?

Przyspieszył kroku. Co jest, pełnia?

Zaczęli wreszcie

dodawać LSD do wody?

– *Du, Männerschwein! Komm hier!*

- No chodź, chodź. Może spróbujesz ze mną, świnió?

Pokaż, jaki z siebie samiec!

Jeżeli trzeba się bronić przed wieloma przeciwnika-

mi naraz, najlepiej znaleźć jakiś kąt albo zaułek. Cias-

nota sprawi, że napastnicy będą sobie przeszkadzać.

Należy pamiętać, że nikt ci nie pomoże,  
więc szkoda

sił na wołanie o ratunek. Trzeba mieć  
osłonięte plecy.

Nie dać się zwalić z nóg. Jeżeli już  
przewrócą, chronić

organy wewnętrzne. Nerki, golenie i  
żebra można spi-

sać na straty, ale chronić brzuch i głowę.  
A dopóki się

stoi, zacząć od najsłabszego i od razu  
wyeliminować.

Atakować oczy, grdykę, nasadę nosa.

Jeżeli napastnicy

to kobiety, bić w biust. Na zmianę walczyć i uciekać.

To nauki z dzieciństwa w Specjalnej Strefie Ekonomicz-

nej. Strefo-Lin.

Ale nie z dwudziestokilogramową torbą, po nieprze-

spanej nocy, na otwartej przestrzeni.

Zobaczył kątem oka szybki ruch i zatrzymał się

w pół kroku. Kawał betonu rozbryznął

się niecały metr

przed nim.

308

Jarosław Grzędowicz

– No chodź tu, panie i władco! Boisz się  
kilku dziew-

czyn?

– *Komm, Imperialistenschwein!*  
*Mistvieh!*

Dwie czy trzy ruszyły w jego kierunku  
truchtem.

Zauważył, że jedna trzyma w dłoni elektryczny taser,

druga teleskopową pałkę, którą rozłożyła z metalowym

trzaskiem.

Zdjął okulary i schował do kieszonki w torbie.

Nie wiadomo skąd rozległ się długi, wibrujący gwizd.

Jedna z dziewczyn zatrzymała się. Okno na parterze

najbliższego bloku otworzyło się i niespiesznie, poma-

gając sobie nawzajem, wyszło przez nie  
dwóch mniej

więcej trzydziestoletnich, rudych  
jegomościów, ostroż-

nie, żeby nie podeptać malw w ogródku.  
Byli identyczni,

z tym że jeden miał na sobie majtki  
bokserki w prosiaczki, a drugi  
niebieskie džinsy. Obaj założyli czarne  
koszulki

i rozsznurowane wojskowe buty.

Bracia Madej.

Otworzył się garaż i wymaszerował z



niego zbudo-

wany jak gladiator, ostrzyżony na jeża  
blondyn, bawiąc

się łańcuchem napędowym od  
motocykla.

Amoniak.

Przed dziewczynami z hukiem  
ekspłodowała ciśnięta

z wysoka duża butelka, pewnie ze  
strychu, tam przecież

mieszkał Wodzu. Stały, ale nie musiały  
obawiać się

następnych pocisków, bo Wodzu z pewnością biegł już

po schodach.

Wodzu...

Gdyby w Sevres zamierzano postawić wzorzec Szo-

winistycznej Męskiej Świni, powinno się poprosić Amo-

niaka o pozowanie.

Weekend w Spestreku

Pięćdziesiąt lat temu uznano by, że jest uderzająco

przystojny. Wyglądał jak dwumetrowa kolumna żyla-

stych mięśni. Nawet szczęki miał umięśnione. Nie brał

żadnych sterydów. Od dziecka po prostu ćwiczył w swo-

im garażu za pomocą cudaczných przyrządów, które zro-

bił z rurek od rusztowania i betonu. Jeśli nie majstrował

przy swoim junaku, to ćwiczył.

Albo grał w szachy.

Kto go znał, mógł zauważyć, że kanciasta twarz Amo-

niaka i blond język oprawiają dobre, szare oczy, ufne jak u dziecka. W tej chwili jednak przypominały strzelnice

bunkra.

– Spierdalać, kurwy – rzucił Amoniak sucho, bez

nadmiernej agresji.

– Chodź, Erika – powiedziała jedna z dziewczyn.

– *Weg! Heraus!* Zabiję ta fascisten  
szwina!

– Idziemy, nie będziemy sobie brudzić  
rąk.

Blondynka z taserem splunęła w stronę  
Normana, ale

nie przekroczyła granicy wyznaczonej na  
asfalcie przez

szklaną stłuczkę. Cofnęły się.

– Dzień dobry, Norman – powiedzieli  
bracia Madej

chórem.

Norman pospiesznie otworzył kieszonkę torby i czym

prędzej zasłonił oczy ray-banami.

– Wiking... – zdziwił się Amoniak. – Nie wiedziałem,

że to ty. Wróciłeś, debilu?

– Nie. Przyjechałem do mamy. Amoniak, zawołasz

gdzieś chłopaków na wieczór?

– Straciłem coś? – zapytał Wodzu, wychodząc z bra-

my. – Słuchajcie, mam halucynacje.

Wydaje mi się, że tak

pod słońce to widzę jakby Wikinga...

310

Jarosław Grzędowicz

– Wodzu, pijemy wieczorem u ciebie?

– Jak dragoni, szlachetni panowie.

Wyciągam ostatni

smalec z piwnicy. Będziemy czcić

Konstytucję, panowie

szlachta. Wiwat Trzeci Maja! – to

ostatnie Wodzu wyry-

czał zapewne na użytek odchodzącej bojówki.

\* \* \*

Na schodach wyraźnie pachniało pieczenią i ciastem.

Było w tym coś rozczulającego. Matka zignorowała obo-

lały kręgosłup i wystąpiła gdzieś mięso; zaoszczędziła talo-ny i zdobyła jajka; załatwiła cukier. Chciała przyrządzić coś dobrego na powitanie.

Mieszkając w „prawopółkulowej” Europie już dziesięć



lat, Norman jadał potrawy, których tutaj  
nie potrafi łąby

nikomu nawet opisać. Znał osiem  
gatunków krewetek,

lubił smardze i trufl e. Towarzyszyło mu  
jednak przeko-

nanie, że jego matka jest niedościgłym  
mistrzem kuchni.

To żadna sztuka ugotować potrawę,  
przed którą goście

padną na twarz, kiedy dysponuje się  
wszystkim, co tylko

planeta Ziemia umie urodzić. Mama

miała jedynie mielo-

ne ochłapy wołowiny, jajka, cebulę i ziemniaki. I niewiele więcej. A mimo to była w stanie sporządzić setki potraw.

Na ciepło i na zimno, wykwinnych i codziennych, tra-

dycyjnych oraz eksperymentalnych.

Powitaniom towarzyszyła bieżanina, wrzaski i na-

woływanie.

– Synku!

– Wujek Norman!

– Jak ty wyrosłeś!

– No, chodź tu, siostra.

Weekend w Spestreku

311

Kuba okazał się już zdecydowanie zbyt dorosły, żeby

siedzieć wujkowi na kolanach. Zresztą nie było tu takie-

go obyczaju. Wszyscy się przyzwyczajają do podobnych

czułości, a potem ktoś obcy zobaczy i doniesie. Koniec.

Molestowanie seksualne.

Norman spędził nad herbatą i szarlotką najwyżej

dziesięć minut, kiedy zorientował się, że chłopak co chwile strzela oczami w stronę wypchanej do granic możli-

wości torby. No bo kto przyjeżdża z takim bagażem na

trzy dni?

Norman zlitował się i zawlókł swój tobole do salonu,

czując się jak Święty Mikołaj.

– Mam dla ciebie różne rzeczy –  
powiedział Ku-

bie. – Ale najpierw wyjmujemy jedzenie.  
Wszystko jest

pod spodem.

Jedzenie wcale nie było nieciekawe.  
Najgłupsze rzeczy

wywoływały entuzjazm.

– Mamo! Wujek przywiózł żółty ser! I  
kielbasę, i szyn-

kę! Mogę kawałek?

– O Boże, sól i cukier! Skąd wiedziałeś,

synku?!

– Nie wiedziałem. Kupiłem na głupa, bo wystawiali

w sklepie pod Strefą. Co, to teraz nagle soli nie ma?

– Oj, bo podobno szkodzi na serce. Teraz walczą

z chorobami serca. Niby na kartki jest, ale tyle co kot

napłakał. Kolejki aż na ulicę. Mamy jeść warzywa na

parze. Poczekaj, aż Gerard przyjdzie. Od niego się nasłu-

chasz. Gotuję mu na parze cukinię i marchew, ale i tak

będzie kręcił nosem.

– To mój brat przyjdzie na obiad?

– Tylko się nie kłóćcie, proszę.

– Jemu to powiedz.

312

Jarosław Grzędowicz

– Ile ja czasu już „krakowskiej” nie widziałam! Och,

przyprawy! Kupiłeś curry! I paprykę! I

vegetę!

– Mamo, zobacz: musztarda! A co to jest?

– Taki krem z czekolady.

– Szampon! Jak pachnie!

– Długopisy! I baterie!

Prezenty dla Kubby Norman wyciągał po kolei z drzą-

cym sercem. Dzieci są takie skomplikowane. Starał się

jak mógł, ale może nie trafi ł? A dla chłopaka to jedyna



okazja na spełnienie różnych drobnych marzeń. Na pew-

no od miesiąca wyobrażał sobie magiczne skarby, które

przywiezie wujek.

Siedzieli w małym pokoju, obwieszonym repro-

dukcjami malarstwa marynistycznego i rysunkami za-

glowców. Wśród modeli statków klejonych przez Kubę

z benedyktyńską cierpliwością z kawałków tektury. Pro-

fesjonalny model w pudle ozdobionym hologramem omal

nie przyprawił chłopaka o zawał serca.

– Tu masz jeszcze farby i kleje, a tu komplet piratów

i marynarzy królewskich. Możesz z niego zrobić okręt

marynarki albo piracki. W pudełku jest też kostka pa-

mięci. Jak ją załadujesz do tabletu, to będziesz miał ency-klopedię wiedzy o żaglowcach. Rysunki, przekroje, nawet

szanty. Wszystko.

– A wujku, wiesz, że ja teraz należę do  
Tęczowych Wo-

jowników? Zapisali całą klasę. A nasza  
przodowniczka to

mówi, że jak ktoś będzie dobry, to potem  
przyjmą go może

do Greenpeace i będzie pływał! I mam  
już mundur!

– A co wy tam robicie?

– Ćwiczymy zadymy i wchodzenie do  
elektrowni ato-

mowych. Zbudowali nam takie płoty i  
wszyscy robią za-

## Weekend w Spestreku

313

dymę. A jeden z nas w takiej specjalnej koszuli musi wbiec do środka, a inni przebrani za imperialistów go łapią.

A jak mu się uda, to wygrywamy.  
Elektrownia zepsuta!

– A po co to robicie?

– No, żeby walczyć z imperialistami. Bo te elektro-

wnie to pożerają tlen i wszystko trują. A na morzach to

oni wylewają ropę i zabijają wieloryby biskajskie.

– A po co?

– No jak to? Oni są chciwi, wujku. Wszystko robią

dla ropy.

\* \* \*

Matka poszła się położyć, a Kuba pobiegł z nową piłką

na podwórko. Brat z siostrą usiedli w kuchni przy bute-

lecze jarzębiaku i kabanosach z dzika.

– Zapisałaś dzieciaka do jakiejś  
bojówki?

– A myślisz, że pytają? Wiesz, co by się  
działo, gdybym

odmówiła? Nie podoba mi się to.  
Faszerują go bez przerwy

propagandą. Tresują. Likwidują „skutki  
typizacji płcio-

wej”. Zwalczają postawy  
„indywidualistyczne”. Wmawiają

mu poczucie niższości, bo jest  
chłopcem. Gorszy, głupszy, słabszy  
psychicznie, egoista, analfabeta  
emocjonalny i tak w kółko. I co mogę

zrobić? Państwo wie lepiej. Norman,  
nie męcz mnie dłużej, wiesz coś o  
Grześku?

– Zero.

– Czyli znowu nic.

– Zero to nie jest nic, Martyna. Mój  
detektyw mówi,

że jego nie ma po naszej stronie. Dałem  
mu markery

DNA Grześka, wszystkie parametry. Nie  
ma człowieka.

Jakby stąd nie wyjechał.

Jarosław Grzędowicz

– Ale ja wiem, że wyjechał. – Martyna włączyła szu-

miący nawiew w okapie nad kuchenką i mówiła szep-

tem. – Zapłacił takiemu jednemu, który przerzuca ludzi

na Południe. Potem miał się zarejestrować i od razu skon-

taktować z tobą. A kiedy tylko miałby pracę i jakiś ką,



ściągnąłby mnie i Kubę. Coś się musiało stać.

– A może on nie chce, żebyś wiedziała, gdzie jest?

– Grzesiek? Człowieku, ty wiesz, jak myśmy się ko-

chali? Jak on mnie kochał? Gdyby mnie nie miał, tysiąc

razy wyskoczyłby przez okno. Czasami godzinami sobie

opowiadaliśmy, co będziemy robić, kiedy się wyrwiemy

ze Spestreku. Nie zrozumiesz, jak ludzie

są blisko, kiedy mają cały świat przeciw sobie. Ja wiem, że coś się stało.

– Ale co?

– Nie wiem, może go złapali? Norman, tu się robi

coraz gorzej. Wszyscy donoszą, szpiegują. Ludzie znikają, są przesiedlani do innych Spestreków.

– Wyciągnę was. Spłacę twoje studia...

Pokręciła głową.

– Spróbuj zabrać mamę. Ale ona się nie zgodzi.

– Dlaczego?

– Pomaga mi przy Kubie. Ma tu emeryturę, mieszka-

nie, bezpłatną opiekę medyczną, gównianą, ale zawsze.

Boi się przeprowadzać. Całe życie tu mieszkała. Nie ze-

chce być na twoim garnuszku. A ja muszę czekać.

– Na co?

– Aż go puszczą. Albo ucieknie, albo nie wiem co.

Ktoś może się czegoś dowiedzieć i jak się wtedy znaj-

dziemy, jeżeli ja będę tam, a on tu? Nie chcę bez Grześka.

Albo oboje wyjedziemy, albo oboje zostaniemy w Spe-  
streku.

Weekend w Spestreku

315

– A przez Gerarda nic nie można załatwić?

– Idź, przestań! Ten toby sam na niego

doniósł. Nie-

nawidził go.

– Za co?

– Bo Grzesiek to był facet! Nie takie  
homo-niewiado-

mo, jak oni chcą. „Jak ty moożesz!” –  
próbowała imito-

wać głos brata. – „To patriarchalna  
świinia! Gotujesz mu

obiadki!” Knur obleśny!

\* \* \*

– Aleś zasmrodziła całą klatkę! – wołał Gerard od

drzwi. – Pierwszy Maja, a u nas śmierdzi opalaną padli-

ną! Bo mój brat kapitalista przyjechał i musi mieć swoją

zdechliznę. Wstyd na cały dom. – No cześć – zwrócił

się do Normana. – No nie – oświadczył na widok wy-

ciągniętej dłoni. – Tu trzeba się witać serdecznie. Jesteś w Spestreku.

Po czym przywitał się serdecznie, jak

stara ciotka,

przytulając policzek do policzka i  
wysyłając w powietrze

udawane pocałunki.

Wyraźnie przytył, długie włosy ustąpiły  
miejsca gła-

dzi czoła, które wysforowało się do  
przodu, wypierając

loki na tył czaszki.

Pierwsze, co zrobił, to ocenzurował  
zabawki.

– Po co ci taki stary okręt? To były czasy

patriarchatu.

Nie mógłbyś sklejać modeli autobusów  
albo zwierząt, jak

twoi koledzy? Czego to cię nauczy?  
Musisz koniecznie –

to było już do Normana – wyjeżdżać z tą  
swoją typizacją

płciową? Co to jest?

– Załoga.

316

Jarosław Grzędowicz



– Może mi wytłumaczycie, w jaki sposób te fi gurki

podkreślają równy status płci? Poza tym tu są armaty

i szable. Uczysz dziecko przemocy?

– Część, a nawet większość piratów to kobiety – wypalił

Norman. – Widzisz, że mają kolczyki i chustki na głowach?

To kobieca załoga, polująca na morzach na męskie statki.

To nie przemoc, tylko walka o równouprawnienie.

To było niewiarygodne, ale Gerard uwierzył. Norman

popatrzył na niego ze zgrozą.

Usiedli do stołu, lecz miła atmosfera nie przetrwała

długo.

– No, co tam u ciebie? – zagaił Gerard.

– Awanse, pie-

niądze? Nowe samochodziki?

Zbudowałeś więcej fastfu-

dów i supermarketów? Opowiedz nam,

ile to zarabiasz!

– Dziękuję, nie narzekam –  
odpowiedział Norman. –

A co u ciebie? Uszyłeś więcej koszulek  
dla moich fastfu-

dów? Może twoi niewolnicy zrobili  
więcej szczotek do

supermarketów?

– Chłopcy! – zgromiła ich matka.

– On zaczął – wybąkał Norman, czując  
się, jakby miał

siedem lat.

– Mamo! Posoliłaś to?!

– Tylko odrobinę, Gerciu. Przecież tego się jeść

nie da.

– I pewnie kroilaś tym samym nożem, którym doty-

kałaś padliny?! Mamo, dlaczego nie nauczysz się wreszcie

gotować? Posłałem cię przecież na kurs kuchni wegań-

skiej i wegetariańskiej! Niedługo przyrządzisz dinozaura!

Mamuta! I dziecko to je! Proszę. Padlinę posypaną białą

śmiercią. I wszystko uperfumowane tymi  
śmierdzącymi

proszkami. Nigdy nie wychowamy  
postępowego spo-

Weekend w Spestreku

317

łeczeństwa! Czy wy nie znacie wyników  
najnowszych

badań? Któregoś dnia wezmę to  
wszystko i wywalę.

– Nie drzyj się na matkę!

– O, proszę, głowa rodziny się

odezwała! Wielki biały

ojciec! A ty dlaczego im to za każdym razem przywozisz?

Cała lodówka tych gówien w kolorowych opakowaniach!

Plastiki jakieś! Same konserwanty. Bo co?! Głodują?! Tu

w sklepach jest wszystko, co potrzebne do zdrowego

żywienia. Są kursy, są poradniki. Komitet wychodzi ze

skóry, żeby wszyscy jedli prawidłowo. Kartki zapewniają

zbilansowaną, zdrową dietę. Ale nie,  
musi przyjechać

dobry wujek z proamerykańskiej  
imperialistycznej Eu-

ropy i wszystkich truc. W ten sposób  
nigdy nie zmienią

nawyków żywieniowych!

– Nie chcesz, nie jedz. Żryj swoją  
szyszkę. Kto ci

broni?

I tak w kółko. Przy kawie i szarlotce  
Gerard wreszcie

się uspokoił i zaczął wszystkich  
namawiać, żeby poszli

na rynek, na paradę miłości.

– Gerard – poprosiła matka – nie  
możemy chwilę

posiedzieć jak rodzina?

– Nie rozumiecie, że to nie jest święto  
jakichś patriar-

chalnych umownych „rodzin”, tylko  
wielka tradycja?

Gościmy młodzież z kilkunastu  
Spestreków.



– Skąd oni się tu wzięli? – zapytał Norman.

– Bo jest zjazd radykalnej młodzieży w Białymstoku,

a część nocuje i świętuje w naszym mieście.

– Widziałem. Dwa razy omal mnie nie napadli w drodze z dworca.

– Pewnie ich prowokowałeś. Muszą się wyszumieć.

Trzeba było nie dyskryminować całego świata przez setki

Jarosław Grzędowicz

lat. Wystarczy na ciebie spojrzeć:  
ogolony łeb, amerykań-

skie okulary. Symbolizujesz wszystko,  
czego nienawidzą:

patriarchalną cywilizację zachodnią,  
całe to zakłamanie

kapitalizmu, indywidualizm,  
imperializm, męskie, testo-

steronowe zadufanie, nierówność. Oni  
tylko sięgają po

sprawiedliwość! Zamknęliśmy nas w rezerwach i myślicie, że możecie spokojnie pożerać tę planetę? Już niedługo!

Dzisiaj świętujemy nowe plebiscyty w Lyonie i Rostocku!

Mamy nowe Spestreki, a niedługo cała Europa będzie nasza.

To twoje miejsce jest w rezerwacie, mój braciszku. Jeszcze trochę zamieszek, parę zamachów bombowych i wasi też

zrozumieją, że dość już tego! Nie zatrzymasz postępu!

– Jedyne sens waszego istnienia to tania

siła robocza –

wycedził blady ze złości Norman. –  
Szyjcie T-shirty

i kleicie zapalniczki, wypalacie kości  
pamięci i skręćcie długopisy taniej niż  
Chińczycy. Karmicie się naszymi

podatkami, bo ktoś przecież musi na  
ciebie pracować,

braciszku, kiedy budujesz utopię  
Platona. Takich paso-

żytów jak ty taniej utrzymywać w  
strefach niż na zasiłku.

Ale nie trzymajcie siłą wartościowych

ludzi.

– A kto kogo trzyma siłą? Każdy może wybierać!

– To po co wam te wszystkie pola minowe i druty

kolczaste? Dlaczego Grzesiek nie mógł wyjechać?

– Ta świnia? Przecież uciekł! Uciekł i zostawił Marty-

nę! Bo nie wytrzymał budowy lepszego świata! Nie zniósł

równości! Bo tak samo jak ty nie mógł zrozumieć, że nie

jest najważniejszy. My nie wierzymy w indywidualistyczną

samoświadomość. To jest samowytworzony mit patriar-

chatu. Nie ma znaczenia jakiś Grzesiek. Byli ważniejsi od niego! A on skorzystał ze wszystkiego, co mu daliśmy za

darmo: z wykształcenia, opieki medycznej, i uciekł.

Weekend w Spestreku

319

– Czyli nie mógł wam zapłacić na czas dość dużo

kasy? A dlaczego nie mógł tu  
wytrzymać? Dlaczego przez

dziesięć lat pracował cały czas jako  
brygadzista? Na nic

nie zasłużył? Przecież to był świetny  
fachowiec.

– Nareszcie mówimy konkretnie.

Powtarzałem, u nas

nie wystarczy jakaś tam fachowość.

Liczy się sprawied-

liwość. Awansuje ten, kto na to  
zasługuje. Byli lepsi albo zasługujący na  
awansację. Kobiety, przedstawiciele  
mniejszości. Najpierw inni, potem ty.

Ale on, oczywiście, nie

potrafi ł tego zrozumieć.

– Jasne. Pamiętam. Całe życie do  
wszystkiego był

ostatni w kolejce.

– Był głupi! Ja pracuję w zasobach  
ludzkich! Widzia-

łem jego wyniki testów inteligencji!

– Grzeška? Przecież go znałem. Bystry,  
wykształcony,

błyskawicznie kojarzył fakty...



– Mówię o prawdziwej inteligencji. Nie o tych prawo-

półkulowych, testosteronowych  
bzdurach, jak tak zwana

logika. To wszystko są twory kulturowe.  
A widziałeś wy-

niki jego testów na inteligencję  
społeczną?! Emocjonalną?

Na współpracę zespołową? Poczucie  
dyscypliny?! Świa-

domości grupowej?! To był debil! Jak  
każdy niewolnik

testosteronu! Egoista! Tylko ja, ja i ja!

– Przestańcie! – zaprotestowała matka, a  
Martyna po-

bladła i miała łzy w oczach. – Nie  
możemy zachowywać

się jak ludzie? Gerard, nie jesteś na  
wiecu!

– O postępowe społeczeństwo należy  
walczyć w każ-

dym miejscu i w każdym czasie –  
oświadczył Gerard. –

Wszystko ma znaczenie polityczne. Ale  
w porządku.

Mogę nic nie mówić.

Jarosław Grzędowicz

Po dłuższej chwili spędzonej na  
dziubaniu szarlot-

ki Norman spróbował opowiedzieć  
zabawną historyjkę,

która przydarzyła mu się na Krecie.  
Matka i Martyna

słuchały z ulgą i nawet zaczęły się  
uśmiechać. Gerard

wytrzymał chyba ze trzy minuty.

– Martyna też była na pięknych

wakacjach – oświad-

czył. – Załatwiłem jej wymianę do  
Spestreku pod Soczi.

Zamiast nudzić się całymi dniami  
bezmyślnie przy ba-

senie i pić alkohol, pracowała w  
zakładach montujących

sprzęt AGD i miała najwyżej kilometr  
do plaży. A wie-

czorami były imprezy kulturalne,  
poznawała miejsco-

wy folklor i uczestniczyła w  
wycieczkach autokarowych.

I jeszcze mogła kupić doskonały odkurzacz z odrzutów.

Było bardzo wesoło. Prawda, Martyna?

– Tak – odpowiedziała. – Bardzo wesoło.

Norman umilkł i napił się herbaty.

Postanowił, ze

względu na mamę i Martynę, za wszelką cenę nie dać

się sprowokować.

Gerard spojrział wreszcie na zegarek.

– Naprawdę nie obejrzycie parady?

Będą transwestyci

w pięknych strojach i występy  
muzyczne, i...

– Nie.

– Jak tam chcecie. Ja idę.

Wyszedł, a Norman zauważył, że  
dyskretnie zwi-

nął z przedpokoju przygotowaną dla  
siebie reklamówkę

z drobiazgami.

Matka przetarła dłonią twarz.

– Dajcie mi kieliszek czegoś. I  
papierosa.

– Z nim jest coraz gorzej – powiedział  
Norman

ostrożnie.

Weekend w Spestreku

321

– Nawet nie pytaj...

Koło siódmej zabrał sekcję swojej  
pękatej torby, którą

można było nosić na osobnym pasku.  
Zawierała osobiste

rzeczy, kosmetyczkę i olbrzymią butlę  
wódki zaopatrzoną

w pompkę oraz trochę zakąsek w  
konserwach. Matka

przeraziła się.

– Norman, dzisiaj nie wychodź. Jak jest  
ta ich manifa,

to nawet tutejsi siedzą w domu. Lepiej  
się nie szwendaj.

– Mamo, nie idę na rynek, tylko do  
Wodza. Dwa bloki

stąd. Pewnie u niego przenocuję.



– Tylko uważaj, proszę. I pozdrów  
Amoniaka.

\* \* \*

Istnieją pewne zasady dotyczące imprez.  
Przede

wszystkim nie wolno wrzeszczeć. Co  
jest ważniejsze –

spontaniczne wrzaski czy sama  
możliwość spotkania?

Kilka osób mówiących naraz to  
wystarczający hałas.

W zasadzie spotkania towarzyskie są  
legalne, ale niemile

widziane. Jedna skarga i nalot. A potem okazuje się, że

ktoś przekroczył dozwoloną dawkę alkoholu, że palono

tytoń; niby we własnym mieszkaniu wolno jedno i drugie,

ale czy mieszkanie otrzymane od Strefy jest rzeczywiście

prywatne? A może to już zgromadzenie?

Za tymi spotkaniami Norman tęsknił najbardziej.

Miał po tamtej stronie znajomych, lecz nie mógł znaleźć

takiego poczucia wspólnoty i przyjaźni.  
Tutaj wszystkich

łączyła wspólna niedola. Ten sam wróg.  
Te same poglądy.

Kilku ludzi, którzy ufali sobie  
nawzajem, bo poza tym

zawsze byli sami i zagrożeni. Nie  
wygłaszano żadnych:

„No, co u ciebie słyhać?”. Tutaj  
rozmowy były kontynu-

322

Jarosław Grzędowicz

acjami tych, które przerwano przy ostatnim spotkaniu.

Na przykład pięć lat temu.

Siedzieli przy wielkim stole, który Wodzu zestawiał z ar-

kuszy grubej sklejki opartych na składanych kozłach.

– Dobrze słyszałem, że pojawił się duch Wikinga?

– Cześć, Waldi! Przyniosłeś ropę naftową?

– To jest słynny białostocki bimber!

– Spadaj z tym! Dzisiaj pijemy  
wyborową, jak lordy!

Wiking przywiózł. Można oślepnąć od  
tej twojej berbe-

luchy.

– Won z łapami. Bimber jest dla  
Wikinga, żeby pa-

miętał o swoich korzeniach.

– Dziękuję... Jestem wzruszony.

Po paru kolejkach wyczerpały się  
łżejsze tematy. Za-

częto przegląd wszystkich kumpli. Apel

poległych. Ci,

którzy wyemigrowali, właściwie już nie istnieli. Norman

był jedynym znanym wszystkim wyjątkiem, który starał

się za wszelką cenę odwiedzać Strefę. Pozostali woleli

zapomnieć o niej raz na zawsze. Ktoś zanucił „Co się

stało z naszą klasą”.

– Człowieku, tu się zrobił już taki syf, że... Po co tu

przyjeżdżasz?

– Dlaczego właściwie sami nie wyjechaliście?

– Nie każdy jest taki wariat jak ty. Kończysz osiemna-

ście lat i musisz zdecydować z dnia na dzień. Bez zawodu, z gołą dupą, bez roboty, pieniędzy... Daliśmy się nabrać

na darmowe studia. I teraz, jasne, możemy wyjeżdżać, jak

oddamy po pięć tysięcy euro za każdy rok akademicki.

A ja się głupi cieszyłem, że bez

egzaminów... A zarabia-

my... Stryjek, ile my zarabiamy  
właściwie?

– Mniej więcej po osiemdziesiąt euro.

Weekend w Spestreku

323

– Jak ty to właściwie przeliczasz?

– Towarowo. Według parytetu baterii.

– Czego?

– A na co mam przeliczać? Nasze żarcie  
to u nich jest



pasza dla bydła. Na wódkę? Mam  
porównywać butelkę

kartofl anki z tym nektarem, którym mnie  
zaraz uraczy

Wiking? A bateria AA to jest bateria.  
Nasze wyciekają

i mają krótszy żywot, ale bateria to  
bateria. Mógłbym

jeszcze przeliczyć na żarówki, ale oni  
używają już innych.

Zimnych. Wartych sto naszych.

– Dobra, to nie możesz oddać  
dwudziestu tysięcy

bonów aprowizacyjnych? Przecież  
twierdzą, że to jest

to samo.

– Nie są tacy głupi. Chcą w euro.

– Ale przecież nie wszyscy poszli na  
studia.

– Prawie wszyscy. No, Amoniak chciał  
jechać zaraz za

tobą, to taki sam kozak, ale mu się matka  
rozchorowała.

Limit czasu minął i do widzenia. Z kolei  
Madeja Brat się

zakochał w jednej lasce, która nie widziała życia za Strefą, i dawaj się żenić. Już po zawodach. Molestowanie seksualne w małżeństwie. Puściła go w gaciach. Dwie córki.

– A Brat Madej?

– Madejów nie znasz? Jak Madeja Brat nie jedzie, to

Brat Madej zostaje. Co tu gadać.

Wszyscyśmy myśleli, że

jest czas, że się zdąży, najpierw trzeba okrzepnąć, czegoś się nauczyć, zdobyć jakiś fach i dopiero. Wydawało nam

się, że jesteśmy cwani. Wiesz, jak to

jest, kiedy się ma

osiemnastkę. Kosmos czasu na wszystko.

A teraz dupa

zimna, przyjacielu.

– Wiking, a co z tym twoim szwagrem?

– Nie ma.

324

Jarosław Grzędowicz

– Jak to?

– Już wynająłem detektywa. Nie pojawił się.

– Oż w mordę. Znaczy wpadli. No to po klocach.

– To gdzie on teraz jest?

– Chodź pogadać. – Amoniak wskazał głową wyj-

ście ze strychu. Wyszli na płaski dach, nazywany przez

Wodza ogrodem. Budynek suszarni, w którym mieszkał,

ochrzcił zresztą „penthousem”.

– Wiking... Tu się robi coraz gorzej. Zupełnie możliwe,

że twojego szwagra rozwalili. Były już takie przypadki.

Nic nie udowodnisz. Zniknął i cześć.

Nie ma trupa, nie

ma sprawy. Ale siorce na razie nie mów.  
Może jeszcze żyje.

Mają jakieś obozy reedukacyjne... Wiem to na pewno, bo

Koniu tam wylądował. Już wyszedł, ale z nikim nie gada.

Chyba mu odwaliło. W ogóle się nie odzywa.

– Koniu?!

– No, Koniu, Koniu. Kurde. Szkoda Grześka. Znałem

go. Naprawdę równy gość. Z tego względu twoja siorka

nawet nie wie, że się w niej bujałem.

– Amoniak!

– A co? Sześć lat. Ostatnia normalna laska w Spestre-

ku. Co za kobieta. Dlatego nie uwierzę, że Grzesiek mógł-

łby mieć jej dosyć. Wiesz, że dla nich fakt, że mężczyźni nie podrywają kobiet przyjaciół, stanowi obrazę? Wydaje

im się, że to chodzi o nie i że je  
uprzedmiotowiamy. Nie

mają pojęcia, co to jest lojalność...  
Zimno. Chodźmy się

napić. A jak tam twój braciszek?

– A ino mi z nim idź. Wstydzę się za  
niego. Przyszedł

dzisiaj do matki z ryjem jak megafon...

– Wiedziałaś, że się dał wykastrować?

– Amoniak, co ty opowiadasz?!  
Odwalilo ci?!

Weekend w Spestreku



– Normalnie, jak wieprz. To jest bardzo modne. Prze-

dłuża życie, uwalnia cię od złego testosteronu, chroni od wielu chorób i działa antykoncepcyjnie.

– Może chodzi o wasektomię?

– Nie, Wiking. Chodzi o usunięcie męskich hormo-

nów płciowych. Wycięcie jąder.

Całkowicie. Bierzesz

potem tabletki z estrogenu, ale słabe, żeby ci cyc nie rósł.

Masz pojęcie?

– Ale po co?

– Bo to jest SNAG. *Sensitive New Age Guy*. Miękki mężczyzna nowej ery. Nie chce być niewolnikiem złego

testosteronu. Poza tym teraz awans murowany. Stał się

prawie pólkobietą. Wrażliwość mu, bracie, wzrośnie.

– Chodź, Amoniak. Teraz to ja się muszę napić. Ja

chrzanię! Moja matka wie?

– Wszyscy wiedzą, Wiking.

\* \* \*

Kładli się spać bardzo późno. Na noc  
został nie tylko

Norman, ale i Stryju, i Waldi, który  
zasnął jeszcze przed zakończeniem  
kolacji. Bracia Madej i Amoniak wyszli

razem, przy czym Brata Madeja trzeba  
było, niestety,

nieść.

– Co tam łykasz, Wiking?

– Też weźcie. To jest lekarstwo na kaca.

– Jak to? Wynaleźli coś takiego, a ja nic o tym nie

wiem?

– Teraz bierzesz niebieską i wypijasz pół litra wody

albo mleka. A rano czerwoną i jesteś zdrow. Tylko trzeba

przespać minimum cztery godziny.

326

Jarosław Grzędowicz

– I nie będzie mnie łeb bolał?

– Łeb? Będziesz miał zero promili.  
Zostawię wam

całe pudełko.

\* \* \*

Rano wyszedł dyskretnie, nie budząc przyjaciół. Jak

coś robisz w Strefie, to lepiej, żeby nikt o tym nie wiedział.

Kiedy chodził do liceum, Marianna była niezaprzecza-

ną królową szkoły. Kochać się w Mariannie było rzeczą

banalną, pospolitą i oczywistą. I  
absolutnie skazaną na

porażkę. Dystans pomiędzy Księżniczką  
a zwykłymi

śmiertelnikami pozostawał tak  
monstrualny, że zmie-

niał zadurzenie w niemądrą dziecinadę,  
niczym miłość

do gwiazdy fi lmowej. Wyglądała jak  
najpiękniejsza córka

Morza Śródziemnego. Gdyby zagrała  
Kleopatę, taśmy

z poprzednimi kreacjami aktorskimi

uroczyście by spalo-

no. Norman i tak dostał się do szczytów, bo udało mu się do-

prowadzić do tego, że spotykali się ukradkiem któregoś

lata przez całe dwa tygodnie. A potem złała mu serce

i zdesperowany, nie mając nic do stracenia, wyjechał ze

Strefy. Po jakimś czasie Marianna również wyemigrowa-

ła, ale do Paryża. Była naprawdę przeraźliwie, uderzająco piękna. Chyba

jasne, że postanowiła zostać modelką.

Trafiła w moment, kiedy kreatorzy mody postawili na

nowy typ urody. Potrzebowali bladych, anorektycznych

blondynek o rozmaślonym spojrzeniu i chudych palcach.

Smagła, wysoka, śródziemnomorska piękność o migda-

łowych oczach, otulona w sięgający pośladków płaszcz

czarnych włosów i królewski majestat, nie wzbudziła



najmniejszego zainteresowania.

Weekend w Spestreku

327

Wystarczył rok biedy i braku sukcesów,  
by pokona-

na, złamana Księżniczka wróciła do  
Spestreku. Miała

tu dach nad głową, jakąś pracę i nadal  
uważano, że jest

piękna.

A teraz, po kilku latach, Norman mógł  
przyjechać do

Strefy i w każdej chwili mieć swoją  
lewantyńską księż-

niczkę – za rajstopy.

Gdyby jej się wtedy udało, nie  
odbierałaby nawet jego

telefonów.

Myślał o niej ciepło. Było mu żal  
Marianny. Uwiel-

biała mężczyzn, luksus i fatałaszkę.  
Chciała być kochana

i noszona na rękach. Strefa pełna  
brzydkich, aroganckich

i wrogich kobiet oraz zaszczutych,  
chowających się po

kątach mężczyzn – to musiało być dla  
niej piekło. Za-

miast futer, klejnotów i marmurów miała  
wokół siebie

zapyziałe ściany i niedomytych ludzi w  
burech, zgrzeb-

nych szmatach.

Norman nie wiedział nawet, czy ją  
kocha. Wiedział,

że na pewno nie chciałby z nią mieszkać  
– tam, w domu.

Już znał ją na tyle. Lecz kochał jej piękno. Nieziemskie, gorące piękno Królowej Lewantu.

Na klatce schodowej śmierdziało kapustą, ale chyba

nie gotowaną na parze. Byli już umówieni. Zadzwoił od

matki jeszcze pierwszego dnia. Teraz, jak zwykle, sko-

rzystał z budki telefonicznej, bo komórka w Strefie nie

działała. Powiedział tylko: „To ja”.

W bramie jej bloku już bzyczał

odblokowany zamek.

Jak najciszej wszedł na trzecie piętro,  
po czym dyskretnie wsunął się przez  
otwarte zawczasu drzwi.

Księżniczka całowała go czule, jakby  
był jej zaginio-

nym ukochanym. Stali tak, Norman  
jeszcze z torbą w rękę,

328

Jarosław Grzędowicz

a Marianna wtulona w niego całym  
ciałem, drżąca i ści-

skająca go z kurczową, desperacką  
namiętnością. Niestety, nie chodziło o  
Normana. Królowa Lewantu  
rzeczywiście

tęskniła i drżała z pożądania. Ale nie  
miał złudzeń. Ma-

rianna w tej chwili tuliła i całowała  
Europę.

Paryż, Londyn, samochody porsche,  
wieżę Eiffl

a

i hotele Ritz i Savoy. Giełdę diamentów  
w Amsterdamie.

Zamki nad Sekwaną. Lazurowe  
Wybrzeże.

Życie w jego świecie nie oferowało  
nigdy okazji do

takich wzruszeń. Tutaj wystarczyło dać  
komuś długopis,

kilka buteleczek perfum, komplet cieni i  
tuszu, dziesięć

par rajstop i pończoch, jakieś halki, a  
choćby kilka my-

dełek Yardleya. Tak oto można  
podarować, przynajmniej

na chwilę, prawdziwe szczęście.

Pozwolić zapomnieć na

krótko o Spestreku.

Szczyście za pięćdziesiąt euro.

Uwielbiał to.

– Co to jest? – Marianna trzymała w ręku prosto-

kątną torbę z grubej folii wypełnioną jaskrawozielonym

zelem.

– Multimorf.

– Co?



– Kiecka. Pokażę ci. Masz jakąś miednicę? Na tyle

dużą, żebyś mogła w niej stanąć?

– Mam.

– Tutaj jest tablet sterujący. Zobacz. Wylewasz tę galaretkę do miednicy, wanny albo ostatecznie na podłogę, wkła-

dasz tę końcówkę i dotykając palcem na ekranie, wybierasz najpierw fason, później kolory i fakturę materiału i naciskasz enter. A potem w tym stajesz. Żel powleka ci ciało

i przybiera zadaną formę. Koniec. Trzy

minuty i kiecka.

Weekend w Spestreku

329

– Ojej! Poczekaj! Najpierw muszę się zrobić! – Ma-

rianna chwyciła kosmetyki, pończochy, multimorf oraz

tablet i pobiegła do łazienki.

Norman rozsiadł się w fotelu, pociągnął łyk koniaku.

Kiedy wyszła z łazienki, jej ciało pokrywała suk-

nia w kolorze burgunda, mieniąca się  
diamentowymi

pajetkami, tak obcisła, że wyraźnie  
widział pieprzyki

na skórze, aureolki piersi i każdy włoszek  
precyzyjnie

wymodelowanej fryzury intymnej.  
Sukienka wyglądała

jak wymalowana na gołym ciele  
czerwonym lakierem.

Marianna upozowała się w drzwiach, a  
potem przeszła

w szpilkach aż pod okno, fachowo

zaplatając długie

nogi i kołysząc krągłym, lewentyńskim tyłkiem. Od-

wróciła się.

– Jak ci się podobam?

– Jesteś cudem świata. Zobacz. – Norman podniósł

tablet i postukał palcem w ekran, następnie wdusił kła-

wisz przesyłania. Materiał spienił się futrem i zmienił

kolor na błękitny.

Dziewczyna podeszła do fotela, usiadła okrakiem na

kolanach Normana, zakładając nogi za oba podłokietniki.

– Jak to się zdejmuje?

– Trzeba po prostu rozedrzeć. Potem wpychasz ka-

wałki do torby albo do miednicy, wkładasz końcówkę

i naciskasz reverse. Znowu zamieni się w galaretkę.

– Więc podrzyj ją na mnie.

W Strefi e nie wolno było mieć niczego  
w oknach. Ani

fi ranek, ani zasłon, ani żaluzji. Zwyczaj,  
który kalwini wprowadzili w  
Amsterdamie, na dobre zadomowił się

w Spestreku, gdzie miał chronić kobiety  
i dzieci przed

brutalnością mężczyzn. Żeby Wielki Brat  
mógł patrzeć.

330

Jarosław Grzędowicz

Dlatego kiedy odwiedzał Mariannę, z  
reguły szli do

łóżka wieczorem i gasili światło. W dzień kładli się na

materacu na podłodze, pod parapetem okna. Albo szli

do łazienki. Tak było bezpieczniej.

Ale nie dziś.

– Nie chcę czekać do wieczora. Nie chcę na podło-

dze, ale na fotelu! I chcę cię widzieć. Cały czas widzieć, Norman.

Nie umiał się temu oprzeć.

– A teraz na stole! Pragnę, żebyś wziął

mnie na stole! –

rozkazywała królowa Lewantu.

Z największą przyjemnością, Wasza  
Wysokość. Po-

tem leżeli na zapadniętej kanapie.  
Księżniczka tuliła się do niego i  
cichutko płakała.

– Tak mam tego dosyć... Tak dosyć! Oni  
są tacy podli!

Dlaczego ja głupia wróciłam, dlaczego!  
Może w końcu

by się udało.



Pocałował mokre policzki i gładził idealną, smagłą

skórę, która nie wzbudziła żadnego zainteresowania na

wybiegach Paryża.

– Chciałam wyjechać znowu, przecież nie mam stu-

diów, ale ciągle mi odmawiają. Składam kolejne podania

i znowu nic. Bo to, bo tamto. Potem się dowiedziałam, że

muszę dać dwadzieścia tysięcy euro takiemu jednemu

w komisji ludnościowej. Skąd wziąć? Ja zarabiam tu ze

sto... Mogę zaoszczędzić piętnaście...  
Wiesz, ile odłożyłam?

Czterysta... Nie gniewaj się, ale już chciałam się przespać z tym facetem, chociaż jest obleśny, a wtedy... wtedy...

– Co się stało?

– Okazało się, że jest geeeejeeem... Ja już nie wytrzy-

mam... Nie chcę tu żyć, Norman. Nie chcę!

Weekend w Spestreku

– Nie mów tak. – Poglądził ją po głowie. – Pomogę

ci. Nie mam tyle ze sobą, ale dam ci dwa tysiące. A gdy

znowu przyjadę, przywiozę więcej. I stopniowo odłożysz

na łapówkę. Wyjedziesz stąd.

– Jesteś taki kochany... Ale jak ja ci oddaaaaam...

– Zaczepisz się tam gdzieś, przecież nie musisz ko-

niecznie być modelką. I kiedyś mi  
zwrócisz.

Znalazł spodnie, wyszukał zapięcie  
gekko wzdłuż

paska. Otworzył długą kieszonkę i  
wygrzebał ostatnie

tysiące. Zostało mu już tylko trochę  
drobiazgów.

– Proszę.

Pocałowała go jak jeszcze nigdy. Jakby  
świat miał się

kończyć.

Nagle zaczęła się spieszyć. Ni z tego, ni z owego. Zmu-

siła go, żeby się ubrał. Jakby ją piorun strzelił. Biegała wokół niego naga, w chmurze rozwianych włosów; pocałowała go znowu i wyszeptała:

– Przepraszam.

A potem wykopała za drzwi z torbą w rękę, podska-

kującego w jednym bucie.

Usiadł na schodach i zasznurował drugi, kiedy usły-

szał, że na dole otwarto drzwi i na

klatkę weszło liczne

towarzystwo. Nie lubił tego. Spojrzał  
wzdłuż korytarza,

ale nie było się tu gdzie ukryć.

Cokolwiek robisz, choćby idziesz po  
schodach, lepiej, żeby nikt tego nie  
widział.

W końcu wzruszył ramionami i zaczął  
schodzić na dół.

No to minie się z jakimiś ludźmi, w  
końcu co to takiego!

Jednak piętro niżej zniecka otworzyły  
się drzwi

i Norman został złapany z tyłu za kołnierz, po czym gwał-

townym szarpnięciem wciągnięty do mieszkania. Czyjeś

ramię zablokowało mu łokcie, dłoń zamknęła usta.

332

Jarosław Grzędowicz

Za drzwiami na schodach słychać było tupot ciężkich

butów. Wielu butów.

– Teraz cię puszczę – usłyszał w uchu

szept Amonia-

ka. – Bądź zupełnie cicho. Nie rób wrzasków ani niczego

głupiego. Rozumiesz, Wiking? To ja. A to jest mieszkanie

mojej ciotki.

Pokiwał głową, prawie zupełnie unieruchomioną w chwy-

cie równie ciasnym co splot węża boa. Uchwyt zelżał.

– Chodź – tchnął Amoniak. – Przy ścianie, nie po-



kazuj się w oknie.

Weszli do pokoju pełnego książek.  
Amoniak stanął

mu za plecami i podał starą teatralną  
lornetkę.

– Dom naprzeciwko. Piąte okno od  
lewej, najwyższe

piętro. Widzisz?

W głębi tamtego pokoju dwie młode  
kobiety demon-

towały statyw i małą cyfrową kamerę z  
wielkim obiek-

tywem.

– Teraz na dole. Patrz.

Pod wejściem parkowały dwie  
kanciaste furgonetki

koloru okopconej blachy, z czerwonymi  
labrysami na

drzwiach.

– Dałeś Malinie kasę? Jakies prezenty?

Dałeś, senty-

mentalny durniu?!

Norman skinął głową. Milczał.

– No, to jest prostytutka, głupku.  
Ostatnio jej stały

numer.

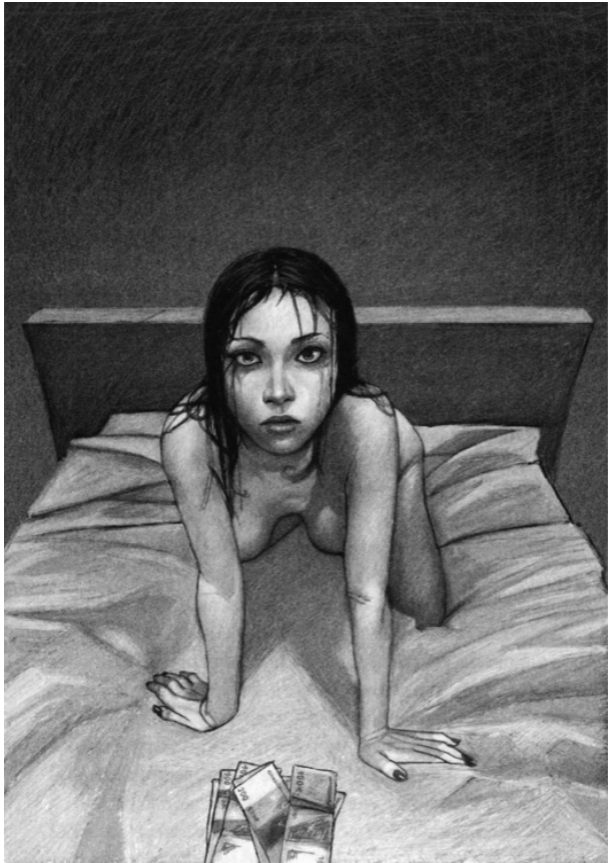
Na schodach dały się słyszeć tupoty,  
krzyki i jakieś

łomoty. I wrzask rozwścieczonej  
kobiety, z rozdzierają-

cym płaczem Marianny w tle.

– Ostrzegłaś go! Ostrzegłaś, zasrana  
patriarchalna

dziwko!



Jarosław Grzędowicz

Norman szarpnął się, lecz dłoń  
Amoniaka spadła mu

na ramię niczym chwytak koparki.

– Stój, durniu! Nic jej nie zrobią. Jest  
ofi arą patriar-

chatu. Najwyżej dostanie parę razy w  
pysk. Ale ty sko-

rzystałeś z prostytucji. Jeżeli cię dorwą,  
nigdy już stąd nie wyjedziesz.

Na schodach słychać było łomot  
podeszew, grzechot

krótkofalówek i komendy.

– Nie zniknął przecież! Sprawdzić ulicę.  
I przesu-

kać mi mieszkania! Od góry! Ruchy,  
suki! Znaleźć mi

tę świnię!

– Ciociu, którędy można stąd wyjść?

– Przez kuchnię. Na gzyms, stamtąd na  
dach kiosku

i szybciotko między garaże. Tam jest

taka przerwa na pół

metra. Trzeba przebiec na drugą stronę  
płotu i wychodzi

się na drugie podwórko. Z naszego nic  
nie widać. Tylko

szybko, panie Wikingu. Otworzę panu  
okno!

– Słyszałeś? Na tamto podwórko i idź  
przez działki

do lasu. Ktoś chciał się z tobą spotkać.  
Przy bunkrze,

pamiętasz? Idź, nie biegnij! I nie wracaj  
do matki! Ja

jej potem wszystko powiem,  
zrozumiałeś? Do bunkra

podejdz, gwizdząc „Shenandoah”.  
Kojarzysz? To spadaj!

I torba! Zabierz torbę!

– Amoniak, ja...

– Nieważne, Wiking. Nie rozklejaj się. Z  
Bogiem,

bracie.

– Z Bogiem, przyjacielu.

\* \* \*



## Weekend w Spestreku

335

To było jak we śnie. Smak tynku,  
szorstkie, piekące

otarcia skóry, gorąca papa na dachach  
garaży, potem cias-

ny, cuchnący moczem i smołą korytarzyk  
między dwoma

barakami. I straszny, dziki napęd  
adrenaliny. Światło

stało się jaskrawe, kolory jak  
przepalone, a rozmazane

obrazy nagle śmignęły ostrą mozaiką  
szczegółów. Ziarna

piasku pod nogami. Błysk słońca w  
oknach. Białe niebo.

Pod osłoną zdziczałych ogródków  
działkowych nie mógł

powstrzymać się od biegu.

Niewielki bunkier stał dobre kilkaset  
metrów w głąb

lasu, oddalony od ścieżek, od ludzi  
wyprowadzających

psy, od rowerzystów. Przychodzili tu  
słuchać pozastre-

fowego radia, pić piwo albo po prostu  
gadać, z dala od

straszego świata dorosłych. A kiedy  
sami dorośli, za-

chowali tajemnicę, podejrzewając, że  
ten płytki, jedno-

komorowy cekhaus, wystający z ziemi  
niczym betonowy

grzyb na zboczu zarośniętego leszczyną  
jaru, może się

jeszcze przydać.

Odgwizdano mu dopiero za drugim  
razem. Z wnętr-

trza bunkra.

W środku na piasku siedział mężczyzna  
w czarnej

bawełnianej bluzie, z kapturem  
naciągniętym głęboko na

czoło. Palił papierosa i milczał. Żar  
wydobywał z mroku

ostry nos i oczy jak puste, czarne  
oczodoły

– Wiking...

– Koniu...

– Dwie sprawy – powiedział Koniu

suchym, rzecz-

wym głosem. Kiedyś był dziennikarzem.  
Prawdziwym

krasomówcą. Teraz mówił, jakby  
dyktował telegram. –

Widziałem twojego szwagra. Wtedy  
jeszcze żył. Pracuje

w tajnym ośrodku badawczo-  
reedukacyjnym. W Stre-

336

Jarosław Grzędowicz

fi e 20. Nie wiem, gdzie to jest. Kiedy

nas tam wieźli, mieliśmy worki na głowach. W jakichś lasach. Według mnie,

stary poligon. Nie rozmawiałem z nim. Nie wiem, czy

teraz jeszcze żyje. Szanse na to, że wróci żywy, są nie-

wielkie, ale są; ja wróciłem. Z tych ośrodków zwykle się

wraca, ale ten jest specjalny. To źle wróży. Twój szwagier był jakimś inżynierem?

– Chemikiem przemysłowym. I to dobrym. Techno-

logiem chyba.

– To źle. Druga sprawa. Zobacz.

Podał mu kawałek grubej bawełnianej tkaniny. Zie-

lonej.

– Szmata... – powiedział Norman.

– Tak, szmata. Popatrz teraz. – Koniu wyjął scyzoryk

i położył szmatkę na kamieniu, po czym odciął wąski

strzęp, najwyżej parę milimetrów. –  
Masz telefon?

– Mam, ale tu nie ma zasięgu...

– Nieważne. Poczekaj... – Koniu wziął szmatkę

i starannie umieścił ją w blaszanej tulejce po cygarze

„Punch”. – Zapamiętaj, Wiking. Musi być w metalowym

pojemniku. Ekranowana. Rozumiesz?

– W metalowym pudełku – powtórzył Norman bez-

myślnie.

– Chodź teraz.



Zeszli na dno jaru i przez chwilę  
posuwali się po dnie

wyschłego strumyka, pomiędzy  
omszałymi głazami.

– Tutaj. – Koniu przyklęknął i zagrzebał  
odcięty

strzęp w łasze piasku. – Chodź za tamte  
kamienie. Usiądź

i trzymaj głowę nisko.

Trzy wielkie kamienie tworzyły  
przytulny zakątek,

osłonięty ze wszystkich stron.

## Weekend w Spestreku

337

– Telefon. – Norman wydobył swój nadgarstkowy

aparat z kieszeni kurtki i podał Koniowi. Tamten zabrał

mu aparat i wymienił kartę na wyjętą z własnej kiesz-

ni. – Teraz włącz telefon i wybierz ten numer. – Podał

Normanowi karteczkę formatu wizytówki.

Norman zatrzasnął aparat na nadgarstku i włączył,

po czym poczekał, aż na wnętrzu dłoni wyświetli mu

się klawiatura. Przyłożył kciuk do ucha, ale nie było

sygnału.

– Nie ma takiego numeru – skwitował.

– Rozłącz się – powiedział Koni. – Teraz wybierz ten

drugi i trzymaj otwarte usta.

Nagły huk był jak smagnięcie biczem.

Norman zo-

baczył rozbłysk pomarańczowego ognia  
na kamieniach,

a potem schował głowę. Z góry przez  
dłuższą chwilę sypał

się żwir, piasek i patyki. Z drzew  
poderwało się stado

przerażonych srok, skrzecząc  
przeraźliwie. Zamiast łachy

piasku w dnie parowu ział spory lej z  
wypalonymi na

siwo brzegami.

– Widziałeś, ile tego było? – mówił  
Koniu, kiedy wra-

cali do bunkra. – Skrawek. A teraz  
wyobraź sobie, co

potrafi ą spodnie. Albo kurtka. Dopóki  
tego nie uzbroisz, to jest zwykły  
materiał. Klonowana bawełna i  
niegroźne

domieszki. Nazywa się fi brex A-9.  
Sami tego nie wymy-

ślili, ale produkują. I sprzedadzą  
każdemu, kto nie lubi

zachodniej cywilizacji. Tego nie  
wykryje żadna kontrola.

Dopóki nie wyślesz pierwszego sygnału,  
to jest po pro-

stu szmata. Dostaniesz materiał w  
pudełku, kartę i oba

numery telefonów. Robią to w Strefi e  
Pomorze 20. Stary

poligon. Musisz to komuś pokazać.  
Zapamiętasz?

– Koniu, nie mam jak wrócić.

338

Jarosław Grzędowicz

– Jak to? Zostajesz?!

– Nie o to chodzi. Blacharnia mnie szuka. Odwie-

dziłem...

– Byłeś u Maliny?

– Tak.

– Szlag! Szlag! – wrzasnął Koni, kopiąc drzewo. – Zo-

stań w bunkrze. Idę sprawdzić. Czekaaj, aż usłyszysz...

– Wiem. „Shenandoah”.

Siedział na piasku i patrzył na drzewa przez otwór

wejściowy i strzelnicę. Czekał bardzo długo. Tak długo,

że całkiem przestało mu pisać w jednym uchu i trochę

przycichło w drugim.

W końcu odzyskał słuch w obu.

Czas mijał.

Znalazł w torbie paczkę tytoniu i bibułki. Na podłodze

leżało wąskie srebrne pudełko po cygarach „Punch”.

Gwizd usłyszał, kiedy upłynęła cała



wieczność.

Wieczność w bunkrze.

Koni ułękł przy wylocie.

– Obstawili dworzec. Trzepią  
wszystkich, którzy pod-

chodzą do waszych autobusów. Mają  
zdjęcie przypięte do

nadgarstków. Suki, opiekunowie, harpie.  
Tu nie chodzi

o molestowanie. Skojarzyli twojego  
szwagra.

Norman poczuł, że wnętrzości

zamieniają mu się

w ołów. Starał się oddychać nosem.  
Splótł palce. W ułam-

ku sekundy spoczęły mu się dłonie. A  
potem usłyszał, że

na zewnątrz ktoś kaszlnął.

– Kto tu jest?!

– Nie bój się. Wyciągnę cię stąd,  
Wiking. Żebyś wrócił

do domu, to jest teraz najważniejsza  
rzecz na świecie.

Masz jakąś forszę?

## Weekend w Spestreku

339

Nadzieja zapłonęła i zgasła jak raca na wodzie.

– Nie. Oddałem wszystko matce i Malinie.

– W domu! Możesz szybko skołować forszę, gdy znaj-

dziesz się w Europie?

– Mam. To zależy ile.

– No... pewnie ze trzy tysiące.

Norman nabrał powietrza. Trzy tysiące euro. Za wol-

ność. Bez namysłu zapłaciłby trzydzieści.

– Mam. Muszę tylko znaleźć bankomat. Gdziekol-

wiek.

– Poczekaj. – Koniu odszedł i wdał się w cichą roz-

mowę.

Do Normana dobiegały tylko fragmenty. „Tak to nie...”

„Idę z mięsem”. „Prześwietłą ci  
chłodnię”. „Plomby to nie problem”.

Mężczyzna wyjął z kieszeni mały walec  
z błyszczą-

cego metalu.

– Japońska robota – zaśmiał się. –  
Pojedzie na disne-

ja. – Podrzucił fi olkę w rękę. – To  
będzie pięć patoli.

Koniu wrócił do bunkra.

– Masz pięć tysięcy?

– Mam.

Koniu odetchnął z ulgą.

– Dobra. Tylko musisz mi zaufać. Jego się nie bój,

znam go. Tylko tak wygląda i struga twardziela.

– To on przerzucił mojego szwagra?

– Zglupiałeś? Twój szwagier idiota zadał się z Łow-

cami Skór. Flak jest w porządku. Dostaniesz zastrzyk.

Jest bezpieczny. Sprawdziłem fi olkę. Zapieczętowana. Fa-

brycznie. Zapadniesz w letarg, obniży ci się temperatura

ciała. Funkcje życiowe będą niewyczuwalne. Położymy

340

Jarosław Grzędowicz

cię w ciężarówce chłodni i owiniemy folią. Nic nie za-

uważą. Nie udusisz się, bo prawie nie będziesz oddychał,

a folia jest perforowana. Na miejscu pójdziecie z Flakiem do bankomatu. Proste.

– Gdzie to będzie?

– Do wyboru. Pułtusk, Serock, Zegrze,  
Radzymin,

Mińsk, Góra Kalwaria, Grójec, Radom.

– Najlepiej Zegrze. Tam już sobie  
poradzę. – Starał się

nie okazywać żadnych emocji. Zegrze!  
Mógł być w domu

w ciągu pół godziny na piechotę.

\* \* \*

Spanikował dopiero na widok wnętrza  
chłodni. Na



hakach wisiały wielkie, sinoczerwone  
tusze, owinięte

w obryzgane krwią arkusze folii. Wiało  
lodowatą zgni-

lizną i metalicznym odorem rzeźni.

– Co to jest?!

– Ekologiczne mięso – roześmiał się  
Flak. – Podstawa

słynnych tradycyjnych polskich wędlin.  
Żadnych ulep-

szaczy ani konserwantów. Za tydzień  
kupisz sobie kieł-

basę lisiecką, z którą podróżowałaś do domu.

Norman zacisnął zęby i pozwolił sobie zrobić zastrzyk.

Ultradźwiękowa ampułka strzeliła w ramię i poczuł, że

mięśnie mu zdrętwiały. Przez chwilę nic się nie dzia-

ło. A potem stopniowo, z każdym oddechem jego ciało

zaczęło zamieniać się w gumę, a płuca w rtęć. Umysł

Normana, wrzeszcząc przeraźliwie,

runął nagle w czarną

jak atrament studnię.

\* \* \*

Weekend w Spestreku

341

Dźwięki dochodziły z daleka, wszystko się chwiało.

Cały był szronem, jego mięśnie składały się z sopli,

w żyłach przeciskał się sorbet, oddech przypominał wiatr

znad lodowców Alaski. Dygotał. Czuł niewyraźne wstrzą-

sy, a potem zorientował się, że Flak bije go po twarzy.

– Dobry wieczór! – wołał. Norman rozkaszał się

i otworzył oczy. Widział jakieś plamy, kleksy rdzawego

światła.

– Gdzie jestem?

– Zegrze! Zgodnie z rozkładem!

Stwierdził, że siedzi w otwartych

drzwiach starej cię-

żarówki. Cały drżał. Zupełnie jakby  
wpadł do przerębli.

Zegrze...

Flak podał mu kubek od termosu pełen  
parującego

płynu.

– Co to jest?

– Herbata z cytryną.

Norman wypił, obejmując kubek dłońmi.  
Z każdym

łykiem wracało mu życie. Zaczął poznawać okolicę.

– Podjedźmy tam. – Wskazał ręką.

– Dlaczego? – zapytał Flak.

– Bo tam jest bankomat.

Kiedy wysiedli z ciężarówki, Norman stwierdził, że

prawie może już chodzić. Nogi miał jak ścierpnięte, ale

powoli odtajał.

Flak odchylił połę kurtki i pokazał srebrny pistolet

z grubą lufą, podobny do rakiety

– O co chodzi?

– Spokojnie. To jest pneumatyczna strzykawka. Jeżeli

mi spróbujesz wykiwać, dostaniesz drugiego disneja

i odwiozę cię z powrotem do Spestreku. Na koszt firmy.

342

Jarosław Grzędowicz

Palce nie chciały go słuchać, kiedy wprowadzał kod PIN.

Bankomat mógł nie mieć tyle gotówki.  
Wprowadził PIN na

transakcje specjalne, więc limit nie miał  
znaczenia.

Kod PIN nieprawidłowy. Zostały dwie  
próby.

Bankomat czeka na połączenie z Twoim  
ban-

kiem.

Słyszał, jak tamten sapie mu za plecami.

Operacja w toku.

Kiedy wreszcie oddał kierowcy plik



szttywnych, no-

wiutkich banknotów, poczuł, że nogi się pod nim trzęsą.

– Dziękuję bardzo – powiedział Flak. –  
Przepraszam

za pistolet. Takie czasy. Interesy z panem to przyjemność.

Naprawdę pan sobie tu poradzi?

– Tak.

– Proszę. Pańska torba. Chce pan kanapki? Zostały

mi jeszcze. Z wędzonym tofu i ogórkiem.

Nieźle.

– Dziękuję. Nie.

– A jakby jutro bolała głowa, to proszę się nie przej-

mować. Może tak być. Trzeba połknąć proszek od bólu

głowy i przespać się. I najlepiej od razu wziąć gorącą

kąpiel.

Norman przez jakiś czas siedział na krawężniku pod

bankomatem.

A potem, kiedy wszedł już na tamę,  
długo patrzył

na wody Zalewu, w których odbijał się  
księżyc, zupełnie

jakby widział go pierwszy raz w życiu.

Obmacując kieszenie kurtki w  
poszukiwaniu papie-

rosów, natrafił na metalowy cylinderek.  
Aluminiowe pu-

dełko po cygarze „Punch”. Z kartonikiem  
przyklejonym

taśmą z dwoma numerami telefonów.  
Kartę dalej miał

w swoim aparacie.

Weekend w Spestreku

343

– Nie jestem bohaterem – powiedział w stronę księż-

życa, oparty o balustradę, patrząc na migoczące fale. –

Mam dosyć. Nie wiem, co miałbym z tym zrobić.

Pudełko wydało mu się bardzo ciężkie i gorące.

I kiedy unosił rękę, przypomniał sobie

nagle podeks-

cytowany głos siostrzeńca.

„Robimy zadymę, a jeden z nas w takiej specjalnej

koszuli musi wbiec do środka, a inni przebrani za im-

perialistów go łapią. A jak mu się uda, to wygraliśmy.

Elektrownia zepsuta”.

– O Boże – powiedział Norman.

A potem schował tulejkę do kieszeni i poszedł do

domu.

– Dzień dobry, Norman – powiedziało  
mieszkanie. –

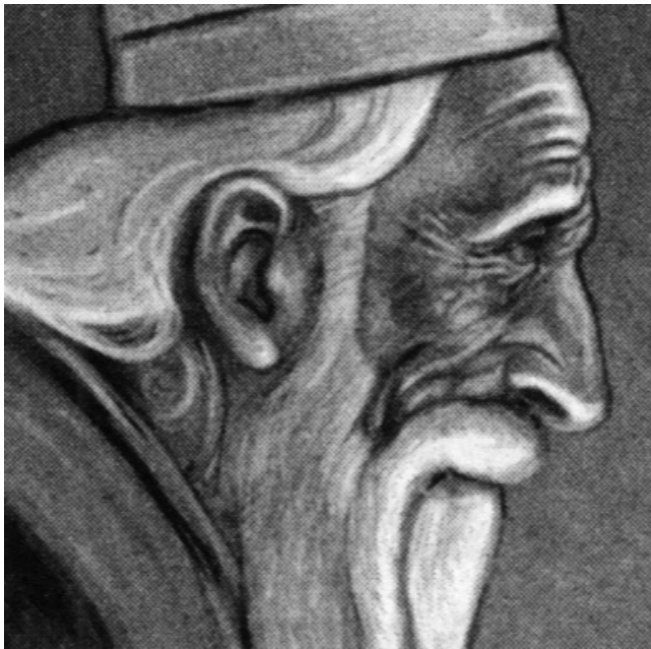
Jak weekend?

– Jak to weekend w Spestreku –  
odpowiedział Nor-

man pustym czterem ścianom, czując, że  
łzy ciekną mu

po policzkach. – Jak zawsze. Wróciłem i  
czuję, że jestem

najszczęśliwszym człowiekiem na  
Ziemi.



Trzeci Mikołaj

Tomek nie potrafi łąby właściwie

powiedzieć, kiedy wyzbył się  
wiary w Świętego Mikołaja. Prawdopodobnie nastąpiło to jeszcze przed piątym rokiem jego życia, w wyniku serii prostych błędów taktycznych popełnionych przez rodziców. Ile w końcu razy można dać się nabrać na manewr z wypatrywaniem pierwszej gwiazdki, podczas gdy ojciec nagle musi dostać się do szafy w



przedpokoju i ko-

niecznie zamknąć na chwilę drzwi do jadalni.

Jednak tego roku, mając jedenaście lat, nie tylko nie

spodziewał się już reniferów, białej brody, krasnali ani

szybujących w powietrzu sań. Stracił też złudzenia co

do magii świąt.

Niby wszystko było. Choinka, zapachy żywicy, sma-

żonej ryby i kapusty z grzybami.

Świąteczka lampek od-

bijające się w szklankach i kieliszkach  
na stole. Bombki.

Biały, wykrochmalony obrus. W  
telewizji cichutko leciały

kolędy. Wszystko było jak trzeba.

346

Jarosław Grzędowicz

I tym bardziej wydawało się to jakimś  
okrutnym

szyderstwem. Jego siedmioletnia siostra,

którą na świę-

ta rodzice zabrali ze szpitala, wyglądała jak cień. Błada, z granatowymi sińcami pod oczami, kiwała się obojętnie

przy stole, z plastrem otaczającym końcówkę umiesz-

zonego na stałe wenfl onu w przedramieniu. Rodzice

nie patrzyli na siebie. Milczeli.

Zdawkowe, obowiązko-

we życzenia matki. Dla niego: „Życzę ci, żebyś się lepiej uczył”. I ojcu: „Żebyś nauczył się lepiej żyć”. I Joli: „Żebyś wyzdrowiała”.

Przełykane ukradkiem łyzy.

Magia świąt.

Trzeba trafu, że właśnie tego roku, po najgorszej Wi-

giii w całym życiu, Tomek naprawdę zobaczył Świętego

Mikołaja. Właściwie od razu trzech.

Pierwszym był ojciec. Tata o mało się nie spóźnił na

kolację. Nic dziwnego. Zatrudnił się jako Święty Mikołaj

i do ostatniej chwili łąził po centrum

handlowym w czer-

wonej czapce i z doczepioną brodą z waty, pokrzykując

„Ho! Ho! Ho!”, wymachując dzwonkiem i rozdając ulotki.

Już pół roku nie miał pracy i brał, co się dało. Dlatego

kiedy wrócił na ostatnich nogach, z tanimi prezentami

pod pachą, stół był już zastawiony, a mama wściekła.

Rodzice zamknęli się w kuchni i dobiegały stamtąd tyl-

ko podniesione głosy, gwałtowne jak  
szczekanie psów,

a czerwona czapka i kurtka obszyta  
futerkiem zostały

na wieszaku.

Tomek patrzył na swoją siostrę  
apatycznie przewra-

cającą kartki książeczki do kolorowania  
i siedział, trzy-

mając bombkę w spoconych dłoniach. W  
gardle rosła

mu kula. Nie miał pojęcia, dlaczego mu  
się wydawało,

## Trzeci Mikołaj

347

że Wigilia wszystko zmieni. Jola dalej była chora i mogła umrzeć. Przez lata uważał ją za utrapienie. Nieznośnego, wrzaskliwego bachora. A teraz sama świadomość, że

mogłaby zniknąć na zawsze, powodowała, że kręgosłup

zamieniał mu się w lód. Tata dalej nie miał pracy. Mama

dalej była nieszczęśliwa i miała dosyć.

To tylko przeddzień święta. Dzień w

kalendarzu,

poprzedzający dwa zaznaczone na czerwono. Niczego

przecież nie mógł zmienić.

Kiedy był już sam w pokoju, zupełnie sam, skryty

bezpiecznie w mroku, pozwolił sobie na płacz w podusz-

kę. Próbował się pomodlić, ale właściwie nie wiedział już o co. Za dużo tego było, nie dawało się ubrać w słowa. Bał

się o siostrę, martwił o rodziców, miał



też w końcu własne, malutkie marzenia.  
Zwykłe, takie jak u innych chłop-ców.  
Wreszcie poprosił o prawdziwe święta,  
co zawierało

w sobie wszystko. Magia świąt za  
jednym zamachem

załatwiała i zdrowie Joli, i uśmiech  
rodziców, i nawet

jakąś paczuszkę pod choinką dla niego.

Nie potrafi ł powiedzieć, czy śniło mu  
się, że się obu-

dził, czy też obudził się naprawdę.  
Zdarzało mu się to

wcześniej. Spał i nie spał, a świat  
wyglądał wtedy dziwnie.

Mówili, że to miało coś wspólnego z  
dojrzewaniem.

Pogrążony w ciemności stary dom,  
odziedziczony

kiedyś po dziadkach, wyglądał jak nie  
ten sam. Coś

w nim skrzypiało, po kątach kryły się  
tajemnicze cienie.

Tomek wstał z łóżka i wyszedł z pokoju.  
Tata spał sam,

z brzegu łóżka, zwinięty w kłębek. W

ubraniu. Mama

spała w sypialni Joli, obejmując córkę  
kurczowo. Zszedł

na dół, do jadalni pogrążonej w mroku.  
Choinka maja-

czyła kolczastą piramidą igliwia, czarna  
i martwa. Prąd

348

Jarosław Grzędowicz

jest drogi. W innych domach przez okna  
migotały mgła-

wice kolorowych lampek, mimo późnej

pory dobiegały

stamtąd śmiechy, czasem wiatr niósł  
chóralne kolędy.

Ale tam Boże Narodzenie było  
naprawdę. Tutaj to tylko

dzień w kalendarzu.

Wtedy właśnie go zobaczył. Zobaczył  
Świętego Mi-

kołaja. Najpierw myślał, że to ojciec  
obudził się, założył

czerwoną kurtkę, którą będzie musiał po  
świętach zdać

do agencji, i poszedł się czegoś napić z lodówki. A potem pomyślał, że to włamywacz, bo krępy, brodaty mężczyzna

z czerwonymi policzkami w niczym nie przypominał

jego taty. A potem zobaczył, że postać stojąca przy otwartej lodówce niczym wyrosnięty krasnal, dokładnie tak jak

w reklamie, jest lekko przezroczysta. Wtedy zrozumiał,

że chyba jednak śpi. Mikołaj napił się mleka, odstawił

karton do lodówki i spojrzał na Tomka.

Miał w oczach

fosforyzujące zielone tarczki, jak kot,  
wyglądało to raczej niesamowicie.

Chłopiec patrzył, czując na plecach  
lodowate dreszcze, przekonany, że zaraz  
się obudzi. Słyszał

dzwonki. Rytmiczne pobrzękiwanie  
wielu blaszanych

dzwonków, jak u końskiej uprzęży.

Mikołaj nucił, mija-

jąc go w korytarzu i idąc do salonu.

Jednak to, co nucił, choć miało znajome  
melodie, tylko brzmiało jak kolędy.

W kompletnym osłupieniu Tomek pojął,

że tamten śpie-

wa... reklamy. „Pójdźmy wszyscy po kredyty!”, „Przybie-

żeli do marketu z ku-po-nem!”

Lampki na choince zapłonęły czerwienią i złotem,

półprzejrzysty Mikołaj krzątał się, układając prześwi-

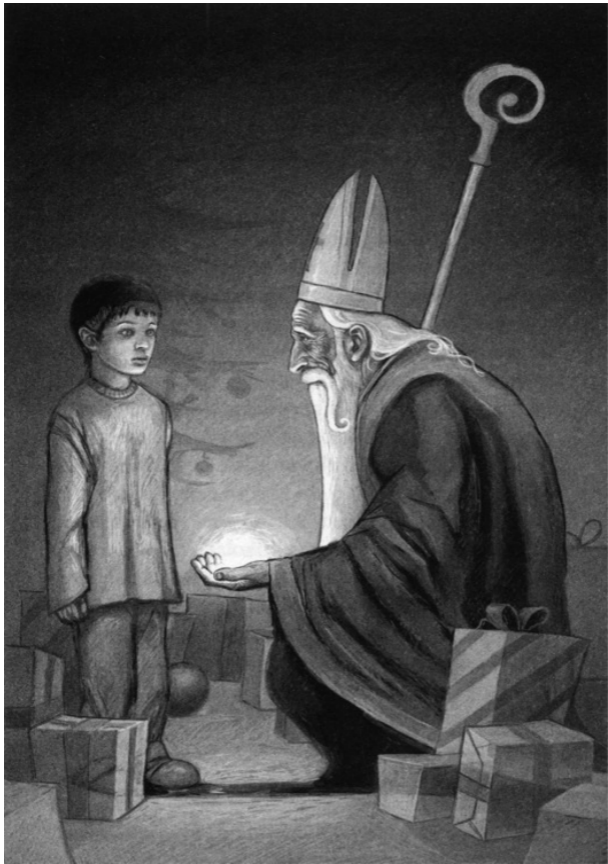
tujące, nierzeczywiste paczki.

Wyglądało na to, że jest

tam telefon komórkowy na kartę – zestaw promocyjny,

discman – na raty, jeszcze specjalne  
taryfy i nisko opro-





Jarosław Grzędowicz

centowane spłaty. Nic nie było  
naprawdę i za wszyst-

ko trzeba będzie płacić jeszcze długo po  
świętach. I nic

z tego nie sprawiało, że święta miałyby  
dla nich powrócić.

To były tylko produkty, i to jeszcze  
nieprawdziwe.

Proszę – też sobie załatwił cud.

Tomek patrzył, marznąc w samej piżamie, i czuł, że

zaraz się rozpłacze.

– Nie jesteś prawdziwy – wyszeptał z goryczą.

„Tania i cicha, praleczka licha, weź sobie nową na ra-

aty” – zaśpiewał tamten w odpowiedzi.

I wtedy, nie wiedzieć skąd, do pokoju wszedł następny

gość. Wyglądał podobnie, a jednak zupełnie inaczej. Nie

miął czerwonej kurtki lamowanej  
futerkiem ani czapki

z pomponem. Okrywała go mieniąca się  
fi oletem, po-

łyskliwa szata, na głowie miał coś  
dziwnego, jakiś wy-

soki, spiczasty pieróg, opierał się na  
zawiniętej na końcu lasce. Też miał siwą  
brodę, ale podobieństwo na tym się

kończyło.

Tomek znieńacka, nie wiadomo w jaki  
sposób, zrozu-

miął, że patrzy na taumaturga Mikołaja,

biskupa miasta

Miry w prowincji Licja. Tego samego,  
który ukradkiem

wrzucał zawiniątka ze złotem do domu  
pewnego biedaka

niemogącego wydać swych córek za  
mąż. Chłopiec nigdy

o tym nie słyszał, ale teraz nagle  
wiedział, zupełnie jakby ktoś wyszeptał  
mu to do ucha.

Ubrany w czerwień i futro Mikołaj  
zmienił się na

twarzą i nie wyglądał już dobrodusznie.

Fosforyzujące

oczy zaśniły niczym u tygrysa.

Wyprostował się powoli, ściskając w  
dłoni paskowaną

cukrową laskę, ale dzierzył ją jakoś  
groźnie, jak nóż.

– Moc truchleje... – wycedził.

Trzeci Mikołaj

351

Trzeci Mikołaj uniósł pastorał i krzyknął  
czystym,

silnym głosem:

– Apage!

Tamten zasyczał wściekle jak rozzłoszczony kot.

A potem – zniknął. Został tylko obłok dymu o zapa-

chu zimnego ognia.

Święty kucnął przed Tomkiem i wyjął spod płasz-

cza coś, co wyglądało trochę jak złota bombka, ale było

utkane ze światła. Chłopiec wyciągnął

dłoń, a wtedy

bombka oblała mu palce chłodnym  
złotem, płynnym

niczym rtęć, i znikła. Chłopiec poczuł,  
że to złoto wlewa mu się ciepłem do  
serca. Radością. I nadzieją. Mikołaj

ujął jego dłoń i zaprowadził po  
schodach na górę. Tomek

patrzył, jak taka sama kula mieniąca się  
złotym światłem

szybuje w nocnej ciszy i spływa nad  
głowę śpiącej Joli.

Dziewczynka nagle rozluźniła się, jakby



puściła ściska-

jąca ją niewidzialna obręcz. Poprawiła się na poduszce

i zaczęła oddychać głęboko i spokojnie. Następna złota

kula była dla jego mamy. Potem poszli jeszcze do poko-

ju, w którym samotnie spał zmęczonym, niespokojnym

snem jego ojciec. Kolejna kula blasku popłynęła z dłoni

Mikołaja i ojciec drgnął, uśmiechnął się przez sen, po



czym spokojnie zachrapał.

Biskup pochylił się przed Tomkiem i uniósł dwa palce.

A wtedy zapadła ciemność.

Obudził się, słysząc coś bardzo dziwnego. Tupanie.

Jego siostra Jola, chora od miesiący, gasnąca w oczach

i blada niczym płatek śniegu, biegała tam i nazad po schodach, zanosząc się ogłuszającym chichotem, aż ściany

się trzęsły. Nie wierząc własnym uszom, wstał i sam też

zbiegł po schodach. Stół był zastawiony  
do świątecznego

352

Jarosław Grzędowicz

śniadania, a mama w samym szlafrocuku  
siedziała tacie

na kolanach. Grał telewizor, za oknem  
sypał wielkimi

płatkami śnieg.

Tomek patrzył ogromnymi oczami i nie  
wiedział, co

powiedzieć.

– Wesołych świąt, synku – powiedział ojciec.

– Tak – odpowiedział Tomek. –  
Wesołych świąt.

Czasami najlepsze są te rzeczy, których  
wcale nie

widać.

Ho.

Ho.

Ho.

*Bracia bić i zabijać się będą,*

*dzieci sióstr rodzonych związki krwi  
kalają,*

*czasy szaleństwa, bezwstydu,  
cudzołóstwa,*

*wiek topora, wiek miecza i tarcz  
strzaskanych,*

*wiek zamieci wilczych, nim świat w  
przepaść runie.*

*(Völuspá – Wieszczba Völvy)*



Wilcza zamieć

*Atlantyk Północny, wrzesień 1944*

64°27'n 13°11'w

stan morza – 3

wiatr – 4b n-nw

Świat zalany ołowiem, pomyślał  
Reinhardt, wciskając

się między chrapy a kolumnę peryskopu,  
by utrzymać

równowagę na chybotliwym pokładzie.  
Ołowiane morze

marszczyło się długimi, gładkimi falami  
przypominają-

cymi fałdy na dywanie. Ciężkie,



ołowiane niebo wisia-

ło nad głowami niczym nagrobna płyta.

Dziób okrętu

wbijający się w kolejne fale również  
był szary. Podobnie

jak twarz stojącego obok Fanghorsta.

Marynarz przypo-

minał dziwaczny stwór o lśniącej  
czarnej skórze, z ocza-

mi wystającymi z głowy na dwóch  
czarnych szypułach.

Ciekawe, czy kiedykolwiek zdoła  
oderwać lornetkę od

twarży. Nawet bryzgi piany wykładające  
się w odkosach

dziobowych i zwieszające jak festony ze  
spychacza sieci

wydawały się szare. Ołowiany świat.

356

Jarosław Grzędowicz

Słysząc było tylko świst wiatru i  
dźwięczne, głę-

bokie uderzenia fal o zbiorniki  
balastowe jak o pustą

beczkę.

W szklach widać było dwie szare  
płaszczyzny – ciem-

niejszą na dole i jaśniejszą na górze.  
Przecięte nićmi podziałki, nieznośnie  
monotonne i puste.

– Wracamy do domu, panie  
*Oberleutnant*? – zapytał

Fanghorst.

Z tyłu mat Zemke przepatrujący swój  
kwadrant tylko

parsknął.

– A gdzie się panu niby tak spieszy? –  
mruknął nie-

wyraźnie Reinhardt, przygryzając ustnik  
fajki. – Do tych

blaszanych baraków i fi ordów? Tam  
jest gorzej niż tutaj.

– Trondheim! – zawtórował mu z tyłu  
Zemke, cedząc

to słowo jak ordynarne przekleństwo. –  
Zasrana świńska

dziura! Nawet nie ma gdzie postawić  
patyka! Jak pomyślę

o Saint-Nazaire...

– W Saint-Nazaire pewnie już są Tomki  
i ciupciają tę

twoją Żermienę aż iskry lecą.

– Ma szansę się zrehabilitować –  
dorzucił któryś. –

Musi odstawić tylko pięć patriotycznych  
numerków za

każdy kolaboracyjny, szwabski sztos z  
tobą.

– Dość rajdania – warknął Reinhardt. –  
Zaraz nadleci

jakiś Tomek i zrobi ci Trondheim z  
dupy!

No tak, nadciągał dyżurny Temat Numer  
Jeden. Już

i tak cały okręt od przedziału  
torpedowego po maszy-

nownię elektryczną rozbrzmiewał  
Tematem Numer Je-

den. Gówniarze wyżywali się w  
gadaniu. Jeszcze tylko

brakowało tego na pomoście podczas  
wacht. Można

było dostać kiły od samego słuchania.

Zemke ucichł natychmiast.

Wilcza zamieć

Wszyscy wyglądali jak lśniące czarne kukły. Zapięci

szczelnie w ubraniach sztormowych, tak żeby pomiędzy

postawionym kołnierzem, uszczelnionym ręcznikiem,

a okapem zydwestki mieściły się jedynie okulary lor-

netek.

Przepatrywać horyzont. Minuta po minucie i stopień

po stopniu. Każda plamka, która pojawi się w tej szarej,

ołowianej nicości może być cholernym  
hudsonem z brzu-

chem pełnym bomb głębinowych.

Albo mewą.

Atlantyk nie należał już do nich. Wilki  
zamieniły się

w zwierzynę.

Korba rygla zakręciła się, a potem  
ostrożnie uniesio-

no właz. Człowiek, który stał na  
drabince, najwyraźniej

uważał, że nie jest odpowiednio ubrany



na spacery w taką

pogodę. Boczna fala łupnęła o kiosk i zasypała ich gra-

dem lodowatych kropli.

– Szyfrogram do pana pierwszego oficera!

Reinhardt opuścił lornetkę i rozmasował zdrętwiałe

palce. Odczekał kolejne przejście fali, a potem wystukał

fajkę o stalowy falochron. Pedantycznie – od zawietrz-

nej, żeby popiół i iskry poleciały w morze. W środku

wszystko mu się gotowało. Szyfrogram. Zamiast rozkazu

powrotu szyfrogram.

Przeciek nad kolektorami głównego zbiornika ba-

lastowego, przeciek przy oringach lewego wału śruby,

brak żarcia, dwie tony paliwa, jedna jedyna torpeda

w rurze. Chrapy biorą wodę. Wgnieciony cudowny, no-

wiutki kadłub elastyczny. Wylane osiem  
akumulatorów,

zbocznikowane jakimiś śmieciami. A oni  
przysyłają

szyfrogram. I to jeszcze taki, którego nie  
może rozłożyć

358

Jarosław Grzędowicz

radzik. Chłopak zapewne przepuścił już  
wszystko przez

Enigmę i zobaczył tylko słowa  
„pierwszy ofi cer”, a potem ciąg  
literowo-cyfrowych bzdur. Niedobrze.

Szyfrogram

jest jak nagły telegram. Nigdy nic dobrego.

Otworzył właz i szedł na dół, starannie stąpając po

szczeblach. Rozkosz. Nie trzeba zjeżdżać na łeb na szyję, nie trzeba zdzierać gardła przy zanurzeniu alarmowym.

Radiowiec stał obok z depeszą w ręku, niczym nadgor-

liwy kamerdyner.

Reinhardt rozsznurował taśmy zydwestki

i zdjął ją

z daleka od ciała, a później wziął się za rozpinanie sztor-mowego płaszcza.

Zapleśnieję w tej gumie, skórach, fi  
lcach i wełnach,

pomyślał. Tu trzeba dostępu powietrza.  
To nie jest tylko

kwestia wody, mydła ani wody  
kolońskiej. Od tygodni

nie zdjąłem ubrania.

Gdyby w tej chwili weszła tutaj sama  
Marlena Die-

trich. Marlena otulona jedynie  
szlafroczykiem, miękka,

pachnąca i gładka, a potem wślizgnęła  
się do koi i kiwała na niego palcem zza  
zasłonki, nawet by jej nie dotknął.

Wstydziłby się. To nie po ludzku.

Najpierw kąpiel. Długa kąpiel. Mydło,  
pumeks, pro-

szek do zębów.

I żyletka, oczywiście. Zgolić tę  
paskudną, cuchnącą

koźlą brodę. Natrzeć się wodą kolońską.

Dopiero wtedy można pokazać się kobiecie.

Boże, jak tu cuchnie, jęknął w duchu. Do końca życia

przypuszczalnie nie tknę limburgskiego sera.

Jednak przyszło mu do głowy, że nawet najbardziej

dojrzały i oślizgły limburgier to o wiele za mało, by od-

tworzyć niepowtarzalny aromat okrętu podwodnego.

Wilcza zamieć

To duszny, słodkawy smród brudnych  
ciał, rozkła-

dającego się męskiego potu, zwłaszcza  
na stopach, zmie-

szany z ropą, gumą, kwasem  
akumulatorowym z zęzy,

z delikatną nutą pleśni, wymiocin i  
amoniaku. Do tego

resztki aromatu neoprenowego kleju i  
farby. Taki koźło-

techniczny odór.



Bosman nazywał to krótko – „mokra bździna”.

– Panie Pierwszy, radiogram. –  
Radiowiec dźgnął po-

wietrze trzymaną w dłoni kartką, jakby  
chciał wepchnąć

ją Reinhardtowi do ust. Pod rzadką jak  
islandzkie porosty, niedorozwiniętą  
bródką widać było woskową cerę i  
czerwone rumieńce na policzkach.  
Dzieci. To wszystko były

dzieci. Podwodne przedszkole  
Północnego Atlantyku.

Zapewne tak samo jak na frachtowcach i

w niszczycielach

Tomków. Dziecięca wojna. Ten tutaj podskakuje już ze

zniecierpliwienia. „No i co? No i co? Puchatku?”

– Czekać – burknął Reinhardt, walcząc z guzikami

mimo zdrętwiałych i przemarzniętych na kołki palców.

Zdjął wreszcie ciężki jak nieszczęście płaszcz i powiesił

na kolumnie peryskopu, żeby ociekł.

Radiowiec uniósł się lekko na palcach,  
podsuwając

znowu swój świstek niczym lokaj  
srebrną tacę z poranną

poczta, ale Reinhardt, przysiadłszy na  
skrzyni z mapa-

mi, ścigał ciężkie, podbite od środka  
korkiem i fi lcem

morskie buty.

– Naprawdę pan sądzi, że nasz dawca  
szczęścia, *Ober-*

*befehlshaber der Kriegsmarine,*  
*Großadmiral* Karl Dönitz, nie wytrzyma,

zanim zdejmę płaszcz?

Radzik spąsował pod swoim złotym puchem.

– Taa... – wycedził z zadowoleniem Reinhardt, ściąga-

jąc przez głowę wilgotny, sfilcowany pulower w nieokre-

360

Jarosław Grzędowicz

ślonym burym kolorze. Drogi pulower z lamiej wełny,

zapinany na zamek błyskawiczny aż po

uszy, który jesz-

cze miesiąc temu był niebieski. –

Właśnie tak. Spokojnie

i po kolei. Nie szarpać się i nie miotać.

Zawodowo trzeba, panie radio. Kuk! Co się dzieje z kawą, o którą prosiłem

pół godziny temu?

– Się parzy, panie Pierwszy.

– Cholerny zwierzak selcerski, gryzie tę kawę, zamiast

zmielić – burczał Reinhardt. – Gdzie jest mat z centrali?

Co tu się dzieje? Zanieść mi to mokre  
gówno, gdy tylko

obcieknie. Rozwiesić pięknie w  
maszynowni. Ma być

suche jak pieprz za pół godziny! Buty  
też! Dawaj pan

ten radiogram.

Nowiutki, jeszcze niedawno nawet  
pachnący farbą

i klejami okręt typu XXI oferował  
rozmaite luksusy,

o których na starym U-115 mógł tylko  
pomarzyć. Dwie

toalety zamiast jednej. Prysznic.

Umywalnia. Niestety,

wskutek awarii odsalaczy na razie  
teoretycznie. Można

się było wykąpać, ale jedynie w słonej,  
pompowanej zza

burty wodzie. Jednak chyba mniej tu  
śmierdziało. Gdy-

by klimatyzatory lepiej działały, może  
nawet powietrze

można by uznać za czyste. Ale  
najważniejsze, że pierwszy

ofi cer dorobił się malusieńkiego

kantorka – niemalże

prawdziwej kajuty, którą dzielił jedynie z czifem. Cudow-

ne. Coś jak kibel w wagonie kolejowym drugiej klasy. Na

starym VIIc miał tylko koję z zasłonką w przedziale O,

jak każdy ofi cer pokładowy. Teraz z rozkoszą zamknął

drzwiczki z udającego drewno arkusza sklejki i mógł

rozkoszować się namiastką samotności.



Natychmiast założył inny pulower oraz tenisówki.

Odetchnął ciężko i zabrał się do roboty.

Wilcza zamieć

361

Położył kartę na maleńkim składanym stoliczku

i otworzył drewniane pudło z Enigmą.

Wyglądała jak

przerośnięta, cudaczna maszyna do pisania. Klnąc pod

nosem, Reinhardt wyszukał w

wyłożonych miękko

gniazdach cylindry szyfrujące i założył je na osie. Po-

tem zamknął oczy, bębniąc palcami po stole, następnie

spojrzał na kalendarz i w sufit, szukając w pamięci ak-

tualnych nastaw.

– 2178, teraz kontakty: REGENBOGEN, ULLA 88

NORDPOL – zamruczał pod nosem, ustawiając oznaczo-

ne literami i cyframi pierścienie, a  
potem przekładając

wtyczki do oznaczonych literowo  
gniazd. – Szlag by ich

trafi ł, banda błaznów. Komancze w  
dupę jechani.

Pisał niewprawnie, kciukami i palcami  
wskazującymi,

gryząc wygasłą fajkę i cedząc w ustnik  
okropne słowa.

Stukał powoli, potykając się, niczym  
gminny urzędnik.

Nie znosił tego.

Mieli tu kalkę, suszki, dziurkacze i  
kopiowe ołów-

ki. Walizkową maszynę do pisania  
„Torpedo”, zawie-

rającą czcionkę ze swastyczką, i drugą –  
ze znaczkiem

SS. Pływająca kancelaria pośrodku  
Atlantyku. Kawa się

kończyła, chleb pleśniał, brakowało już  
aspiryny, ale spi-naczy – w żadnym  
wypadku. Porządek musi być. Stary

był prawdopodobnie szczęśliwy.

Stukał w klawisze, nie patrząc na efekt,

tylko zerkając

na kartę pełną kodów, żeby czegoś nie pomylić.

Dopiero po wszystkim spojrział na kartę z rozszyfro-

wanym tekstem i zmartwiał.

KAPITÄNLEUTNANT ZUR SEE – to były jedyne

sensowne słowa. Resztę stanowił ciąg liter i cyfr bez żadnego sensu. Potrójny szyfr. Naprawdę niedobrze. Zdecy-

Jarosław Grzędowicz

dowanie, rzeczywiście, poważnie niedobrze. Niepozy-

tywnie. Ponuro. Bardzo złożona sytuacja. Kłopoty.

Zabrał poprzednią kartę i tę nową, po czym odsunął

drzwiczki i poszedł do Starego. Ten też dorobił się lepszej kajutki w miejsce dziupli, którą musiał się zadowalać na

poprzednim okręcie.

O ile był jakiś poprzedni okręt, pomyślał Reinhardt

złośliwie. Wszystko wskazywało na to, że jego wódz dotąd żeglował jedynie na biurku przez oceany para-grafów. Kiedy było już wiadomo, że wchodzą na nowy,

oceaniczny XXI, cała załoga była absolutnie pewna, że

to Reinhardt dostanie trzeci złoty pasek oraz założy nie-

przepisowy, choć tradycyjny biały pokrowiec na czapkę.

Prawdę powiedziawszy, w głębi serca Reinhardt też był

tego pewien.

Niestety. *C'est la vie.*

Skończyło się na kawałku blachy na szyć. Taki fe-

tysz. Coś w rodzaju kości kazuara do wetknięcia w prze-

grode nosa.

– Szyfrogram dla *Kaleu* – oznajmił Reinhardt i zapukał do kajuty. Na okręcie zapadła grobowa cisza, która

przeniosła się w górę do centrali i w obu kierunkach

wzdłuż kadłuba, jak trujący gaz.

Najpierw szepty: „szy-



frogram... kapitański...”, potem zduszone przekleństwa

i cisza, jakby zabił ich tymi trzema słowami.

Stary siedział oczywiście przy blacie swojego biu-

reczka i skrobał piórem w zeszyście. Wokół piętrzyły

się papierzyska, pisma i kwestionariusze. Ścianę nad

koją zdobiła wyszyta przez żonę kapitana makatka. Nie-

bieskim kordonkiem, łańcuszkiem, w

bardzo pruskim

stylu. Z pewnością stała tam jakaś patriotyczna, bu-

Wilcza zamieć

363

dująca sentencja, ale wisiała tak, że nic nie było widać.

Zakładano się o to nawet. Fenrich Fanghorst upierał się,

że to z pewnością „Boże, skarż Anglię!”. Natomiast mo-

torzyści ustalili między sobą, że

obstawiają „Naprzód,  
do zwycięstwa!”.

Reinhardt prywatnie sądził, że raczej  
„Jeden Naród,

jedna Rzesza, jeden *Führer*”. I pod tym  
wyprężony hit-lerek wśród kwiatków,  
ptaszków i baranków.

– Słucham, Reinhardt? – Stary uniósł tę  
swoją bez-

litosną twarz belfra od matematyki i  
spojrzał na pierw-

szego przez okulary.

– Szyfrogram trzeciego stopnia, *Herr Kaleu* – wycedził Reinhardt. –  
Przyniosłem kartę i maszynę.

– Proszę postawić na stole i wychodząc,  
zamknąć za

sobą drzwi. Przepisy, *Oberleutnant*.

- Według rozkazu.

– I... Reinhardt?

– Tak?

– Po co pan wrzeszczy na cały okręt, że  
dostałem

szyfrówkę? To budzi tylko niepotrzebne

emocje. Załoga

powinna cierpliwie czekać na rozkazy, a nie się dekoncen-

trować. Ci, którzy nie trzymają wachty, mają obowiązek

wypoczywać i pozostawać w gotowości.

– Tak jest! – „Durny bucu”, dodał w myślach. Zaraz

powie coś o odpowiedniej postawie i żołnierskim wy-

poczynku.

– Odmaszerować.

\* \* \*

364

Jarosław Grzędowicz

Reinhardt wcisnął się za stół w mesie O  
i napotkał

ciężki wzrok czifa, który udawał, że  
czyta wystrzępione

numery „Signalu” sprzed miesiąca.

– Kuk, kawę do mesy, biegiem! –  
krzyknął Pierwszy. –

Z cukrem i mlekiem! I gorącą jak piekło!

– Ten interes już się kończy – stwierdził czif, składając starannie pismo.

– A skąd to taki brak ducha? Dostał pan nowy, cudow-

ny okręt, perłę niemieckiej myśli technicznej, i jeszcze

przed podwieczorkiem zaczyna pan wątpić w zwycię-

stwo?

– Gdy pan opalał się w ogródku na tarasie, dostaliśmy

dwa „trzygwiazdkowe” meldunki.

– Kto?

– U-112 i U-329.

– To pewne?

– Ten sam konwój, który zrąbał nam  
dupę. I jeszcze

samoloty.

– 329 to chyba Hagenstoss, a ten drugi?

– Korbatschek.

– Nie znałem. To jakiś nowy. Ale na 329  
pływał Vo-



gelmann. Cholera, niemożliwe.  
Vogelmann?! Znałem

go jeszcze ze szkoły Marynarki.  
Służyliśmy razem na

„Scharnhorście”...

– Dwa jednego dnia! Wyobraża pan  
sobie coś takiego

jeszcze dwa lata temu? Tak, panowie z  
konkurencji robią

się coraz sprawniejsi. W tym tygodniu to  
już będzie...

– Dziesięć okrętów. Jeszcze dwa i tuzin.  
Cała paczka.

Powinniśmy im dorzucić coś w promocji.

– Taa. Kupują już hurtowo.

– I wcale tanio. Ile zarobiliśmy na całej tej awanturze?

Wilcza zamieć

365

– My jednego i Stimmt jednego, do kupy niecałe sześć

tysięcy ton.

– Ale trofea! Zaczynamy już strzelać kutry jakieś.

W przejściu obok mesy zrobiło się ciasno. Zmiana

wachty na kiosku. Wszyscy w skórze i cuchnących sztor-

miakach, już z ręcznikami wokół szyi i z zydwestkami

w ręku.

– Zmiana. Nareszcie coś zjemy –  
ucieszył się Rein-

hardt. – Stołowy, dlaczego dostaję kawę  
w tym blaszanym

świństwie? Nie ma już fi lizanek?

– Wytlukły się – wycedził ponuro  
marynarz. – Pod-

czas nalotu, melduję posłusznie. Może  
bym znalazł, ale

kuk mówił, że się panu spieszy.

– Spieszy?! Prosiłem o tę kawę godzinę  
temu! Co się

wyprawia na tym okręcie?

– Co pan z nim gada – zauważył czif. –  
Wołaj pan od

razu oberkelnera. Albo lepiej  
kierownika sali!

Reinhardt zdążył ledwo dźgnąć  
widelcem parującą

papkę z puszkowej kaszanki z cebulą i  
octową sałatką

z ziemniaków, gdy usłyszał dolatujące z  
mesy PO ko-

mentarze:

– Przecież to śmierdzi gównem! Z puszki  
ta kaszanka?

– Nie, z twojej babci.

– Och, zamknij się! Zastrane głupoty!

– Pierwszy do kapitana! – zabrzmiało z

centrali.

– *Scheiße* – powiedział Reinhardt.

– Na wieki wieków, amen – dodał czif uroczyście,

żując.

\* \* \*

366

Jarosław Grzędowicz

– Otrzymaliśmy drugą szansę – oznajmił kapitan,

patrzając na Reinhardta.

Czyli urodzimy się po raz drugi?! W Kanadzie?! –

przemknęło tamtemu przez głowę, ale milczał cierpliwie.

Wobec *Kapitanleutnanta zur See* Waltera Rittera żadne żarciki nie wchodziły w ogóle w rachubę.

– Dobrze pan wie, jakie to szczęście. Otrzymaliśmy

doskonały okręt prosto ze stoczni i zamiast rozbić konwój, zawiedliśmy.

Rozbić konwój jednym okrętem, ty patentowany

koźle?! – ryczał w myślach Reinhardt.  
Prawie że ekspe-

rymentalnym i skomplikowanym jak  
cholera? Na któ-

rym połowa tych cudownych patentów w  
ogóle nie chce

działać?! Z bandą dzieciaków, która  
jeszcze niczego się

nie nauczyła? Po tygodniowym rejsie  
szkolnym wzdłuż

Norwegii? Z psującą się instalacją?  
Czterema uszkodzo-

nymi torpedami? Z przeciekającym



balastem?! Tamci

mieli ASDIC, który wykrywał ich jak  
chciał, mieli te

straszne, nowe wyrzutnie, które kładły  
cały dywan bomb

głębinowych jedną serią, mieli nawet  
oryginalną Enigmę,

mieli te przeklęte elektronowe maszyny  
liczące, które

łamały każdy szyfr, i dziesiątki  
niszczycieli, mieli niebo pełne  
samolotów, a my nie mieliśmy nawet  
dosyć paliwa,

ty bałwanie! Zatopili dziesięciu w tym tygodniu, świński

psie! Dziesięciu tylko w rejonie Lofotów!

– Tak. Zawiedliśmy. Wiem, co pan powie: jeden frach-

towiec. Ale co to jest jeden frachtowiec, jeżeli przepuści-liśmy ich dziesiątki? Naród odjął sobie od ust żywność.

Spaliliśmy paliwo, o którym nasi towarzysze w czołgach

marzą po nocach. I w zamian co dajemy *Führerowi*? Jeden maleńki frachtowiec!

# Wilcza zamieć

367

„Marysia mała pierdolca miała –  
zaśpiewało w głowie

Pierwszego. – Pierdolca jasnego jak  
śnieg...”

– Dlatego jestem szczęśliwy z naszych  
nowych rozka-

zów. Wyznaczono nam spotkanie na  
pełnym morzu ze

statkiem zaopatrzeniowym „Oxfolt”.

„Gdziekolwiek biegła Marysia mała...”

– Tam otrzymamy zaopatrzenie, paliwo, nawet części

do naprawienia tych wydumanych, mazgajskich uszko-

dzeń oraz dalsze rozkazy. Wracamy do akcji!

„Pierdolec rozsadzał jej łeb”. (Oklaski)

– Czy zna pan dokładną pozycję, panie *Oberleu-*

*tnant?*

- Ze zliczenia, panie kapitanie.

– Co to znaczy?

Nie wiesz, co to jest zliczona pozycja,  
pruski kapu-

stożerny bawole?

– Ostatni namiar braliśmy w nocy  
poprzedzającej

atak. Potem płynęliśmy w zanurzeniu,  
częściowo klucząc

pod bombami, po wynurzeniu  
znaleźliśmy się we mgle,

również dzisiaj ze względu na brak  
słońca i brak dobrej

widoczności nie można było  
potwierdzić namiarów. Zna-

my pozycję z analizy kursowej i...

– Może pan wyznaczyć kurs do podanej pozycji?

Tutaj?

Reinhardt spojrział na kartkę.

– Oczywiście.

– Więc proszę to zrobić. Musimy zdążyć na jutro na

czwartą rano. Da pan radę?

– Sądzę, że tak. Mogę potwierdzić to po konsultacji

z pierwszym mechanikiem.

– Proszę go przysłać.

368

Jarosław Grzędowicz

– *Herr Kaleu...* Proszę o pozwolenie przekazania krótkiego komunikatu załodze.

– Wie pan, że jestem temu przeciwny. Żołnierz ma

stulić pysk i służyć, a nie politykować. Zaraz się zaczną dyskusje.

– Jednak doradzam. Wiem z

doświadczenia, że ludzie

lepiej pracują, kiedy wiedzą, o co chodzi. Spodziewali się powrotu do portu. Powinni się zmobilizować.

– Dobrze, skoro się pan upiera. Ale krótko i rzeczowo.

I żadnych dyskusji.

\* \* \*

Obiad był już niemal zimny, co gorsza, drugi oficer

wymieszał swoją porcję z musztardą, produkując coś



takiego, na co w ogóle nie dało się patrzeć. Wyglądało

jak rzadka zawartość pieluchy.

– Czif i e, ma pan iść do zarządu.  
Natychmiast.

– *Scheiße* – warknął czif i wypił  
duszką resztę herbaty.

– Na wieki wieków.

\* \* \*

Stali nad stołem nakresowym, patrząc na  
mapę

przykrytą pełnym oznaczeń arkuszem

celuloïdu. Czif

ogryzał w milczeniu koniec ołówka. Na  
czole pogłę-

biała mu się pionowa zmarszczka  
będąca wyrazem

zwątpienia.

– To tylko głupie dwieście mil –  
zachęcił go Rein-

hardt. – No, powiedzże pan coś. Co  
pana trapi, czifi e?

Wilcza zamieć

– W kolejności? Najpierw te rozchrzanione baterie.

Nie ma mowy o przejściu tego w zanurzeniu na czas. Na

wierzchu nadziejemy się na samolot, zanim zdąży pan

powiedzieć *mamma mia!*

- Dlatego pójdziemy na peryskopowej. Przecież ma

pan cudowny wynalazek, chrapy. Wystawimy je i poje-

dziemy pięknie na dieslach.

– Te słynne chrapy też mnie martwią.  
Potrzepało je.

Pamięta pan te bliskie bomby nad  
kioskiem, a potem

przechył? Teraz cały czas biorą wodę.  
Dławiki się blokują.

Jak mi się ta woda dostanie do oleju... –  
Pokręcił głową. –

Łożyska cały czas hałasują, wał się  
grzeje, jeszcze te oringi... To  
najmniejszy problem. Przeciek usuniemy  
pompą

zężową do zbiornika wyrównawczego i  
za burtę. Trym

się utrzyma jako tako. Kwas już kazałem zneutralizować,

wypompujemy hurtem.

– A paliwo?

– To jest główny problem. Cały czas gubimy. Dużo

mniej niż przedtem i nawet wiem już którądy. Uszczelni-

liśmy jak się dało, ale środkami pokładowymi... – Znowu

powątpiewający gest głową. – Altenberg tłucze w chrapy

i może coś z tego będzie. Dojść  
dojdziemy. Martwi mnie

co innego. To nie jest miła okolica.

– Wiem – przyznał Reinhardt. – Jeszcze  
ta cisza ra-

diowa...

– Przypuśćmy, że dojdziemy tylko po to,  
żeby do-

wiedzieć się, że tego mitycznego  
„Oxfolta” kupiła już

konkurencja. Co wtedy?

Reinhardt pokiwał głową.

– Do Trondheim na wiosłach.

370

Jarosław Grzędowicz

\* \* \*

Dopóki było jasno, Reinhardt siedział za perysko-

pem, kręcąc się jak na karuzeli. Lewo, prawo, unosił

głowicę wyżej – na krótko, żeby zerknąć między fa-

lami, i z powrotem nisko, tuż nad wodę. Należało się

spodziewać niszczycieli, dozorowców,  
nawet ścigaczy.

Kilka razy minęli maszt na horyzoncie,  
sterczący po-

między falami niczym odległa tyczka do  
grochu. Co

pewien czas akustyk unosił głowę,  
przytrzymując pal-

cem słuchawki.

– Szumy śrub z SW, daleko. Oddalają  
się. Chyba nisz-

czyciel.



Reszta załogi wolnej wachty siedziała w kojach. Nie

bardzo nawet rozmawiano. W dziobowym torpedyści bez

przekonania grali w skata, raczej dla zamianifestowania,

że mają wszystko gdzieś.

Ritter się nie naprzykrzał. Siedział w swoim kantorku

i wypisywał niekończące się sprawozdania. Ze zużycia

torped, zapotrzebowania na części zamienne, protokoły

awaryjne. „Mam mnóstwo pracy.  
Poradzi pan sobie?”

„Na wojnie najważniejsza jest  
sprawozdawczość. Bez tego

nie ma porządku”.

Z kolei czif nie wychodził z  
maszynowni, obserwując

z troską swoje diesle, sprawdzał co  
chwila smarowanie

i z marsem na czole spoglądał na  
wskaźniki temperatury

i obrotów, patrzył na lśniące osie  
wałów.

Łożyska wału grzechotały, ale się  
kręciły. Co dziesięć

minut włączali na moment pompę  
zęzową, usuwając to,

co naciurkało przez różne  
nieszczelności.

Jakoś płynęli.

Wilcza zamieć

371

Pod wieczór Reinhardt zszedł z centrali,  
nakazaw-

szy utrzymywać nasłuch radiowy i

akustyczny, i usiadł

w mesie, żeby napić się herbaty. Trochę liczył na to, że

będzie pusta. Rzadko się to zdarzało, ale na XXI i tak było luźno. Przynajmniej w porównaniu z tym, co się działo

na poprzednich okrętach. Niestety, w samym kącie sie-

dział lekarz okrętowy, ponury Austriak, który zdaniem

Reinhardta był słabo zaleczonym alkoholikiem, i Ritter.

Lekarz usiłował czytać postrzępiony

kryminał, a kapitan

patrzył nieruchomo w gródź, splótłszy  
palce na blacie

stołu. Zawsze tak było. Siedział i gapił  
się przed siebie.

Nigdy nie czytał, niechętnie rozmawiał,  
jadał też na osob-ności. Reinhardt przez  
całe życie nie spotkał drugiego

takiego sztywniaka. Ritter zawsze, w  
dzień czy w nocy,

był tak ofi cjalny, że aż nieprawdziwy.  
Do tego wszystko, nawet  
najpotworniejsze propagandowe  
brednie, które

ofi cerowie czytali sobie nawzajem,  
rycząc ze śmiechu,

traktował absolutnie serio. Nie dało się,  
niestety, ustalić, czy jest taki głupi, czy  
tylko udaje.

Kiedyś Reinhardt usiłował zgadnąć, jak  
stary jest

Stary. Od lat na okręcie podwodnym ofi  
cer, który prze-

kroczył trzydziestkę, uważany był za  
wiekowego. Sam

Reinhardt, który miał trzydzieści pięć –  
sam środek Con-

radowskiej „smugi cienia” tuż-tuż, na wyciągnięcie ręki –

uchodził za jakiegoś matuzalema. Marynarze mieli i po

dziewiętnaście lat. Ale Ritter wyglądał na co najmniej

pięćdziesiąt. Skąd się wziął? Skąd przybył i dokąd zmie-

rzał? Nie wiadomo.

Gdyby służył na *U-Bootach*, Reinhardt powinien go znać. Sam był jednym z ostatnich „asów wilczych stad”.

Służył od mata do Pierwszego.

Jarosław Grzędowicz

– Panie Pierwszy?

Reinhardt drgnął i oderwał wzrok od kubka z her-

batą. Niechętnie. Podnieść oczy w tej chwili oznacza-

ło patrzeć na martwą, belferską fi zjonomię kapitana,

a gdyby zerknąć jeszcze wyżej, nieuchronnie spoglądało

się na wiszącą na grodzi, oprawioną w



szkło fotografi ę

GröFaZa\*. Na innych okrętach w mesie  
wisiały portrety

egzotycznych piękności, jakieś alpejskie  
widoczki albo

fregaty pod żaglami czy tropikalne  
wyspy. Tutaj gapił ci

się w talerz Największy Wódz Wszech  
Czasów ze swoim

kretyńskim wąsikiem i wbitą na oczy  
zbyt dużą czap-

ką. Obok smutnym wzrokiem głodnej  
małpki patrzył

Dönitz z odstającymi na boki uszami. To stanowczo

odbierało apetyt.

– Kiedy znajdziemy się na pozycji „Oxfolta”?

– Godzinę przed czasem, jeżeli nie będzie kłopotów.

– Proszę przygotować listę członków załogi, którzy

mogą zejść z okrętu.

– Słucham?!

– To dalszy ciąg rozkazu, którego

szczegółów nie

musi pan znać. Proszę opróżnić z ludzi  
dwa przedziały

dziobowe. Zabierzemy kilka osób, które  
zamieszkają

w przedziale torpedowym. Płyniemy  
dalej ze szkieletową

załogą. Trzeba zostawić co najmniej  
piętnaście, a najle-

piej dwadzieścia osób. Zejdą na  
„Oxfolta” i wrócą z nim

do bazy.

– *Herr Kaleu*, to wyklucza prowadzenie boju zaczepnego. I tak okręt nie jest obsadzony. Bez torpedystów...

\* Slangowe określenie Hitlera, skrót od *Größter Feldherr aller Zeiten* – Największy Wódz Wszech Czasów (przyp. autora) Wilcza zamieć

373

– Nie będziemy prowadzić działań zaczepnych. Nasze

zadanie będzie inne. Musi pan wiedzieć tylko, że załoga

ma być jak najmniejsza i że na pokład wejdzie parę osób.

Będą traktowani jak pasażerowie specjalni.

– Ilu?

– Mniej niż dziesięciu, ale muszą mieć odpowied-

nio dużo miejsca i będą przewozić też ładunek. Kilka

dużych skrzyń. – Kapitan uniósł się i przecisnął obok

stołu. – I, Reinhardt...

– Tak?

– Na okręcie mają zostać tylko

prawdziwi Aryjczycy.

– Słucham?!

– Słyszał pan. Pan ich lepiej zna.  
Rozkazy są jasne.

Żadnej skażonej krwi. Żadnych  
mieszkańców, *Mischlin-*

*gów*. Jestem pewien, że co najmniej  
ośmiu to w jednej czwartej Słowianie,  
Żydzi albo jeszcze jakieś inne bydło.

Ma pan oczyścić okręt i nie dyskutować.  
Co to jest na

przykład za nazwisko: „Boditschek”?

Nie wiadomo skąd przyszła  
Reinhardtowi do głowy

obłądana myśl, by odpowiedzieć: „To  
nazwisko Boditsch-

ka, *Herr Kaleu*”, ale zmilczał.

– To *Sudetendeutsch*, kapitanie. Z  
Marianenbadu.

– Wszystko jedno. Będę u siebie. Proszę  
kazać podać

mi tam kolację o dziewiątej.

Kiedy Ritter zasunął drzwi, Reinhardt  
wezwał bos-

mana.

– Dwudziestu ludzi to wszystko, na co możemy so-

bie pozwolić – powiedział. – Zostaw pan tylu, ilu się da.

Proszę wybrać do spisania z pokładu przede wszystkim

żonatych, szczególnie od niedawna, i tych, co mają jakieś dzieci, o których wiedzą. No i takich, którzy są do nicze-  
374

Jarosław Grzędowicz

go. Głupi albo wypaleni, albo ze



zszarganymi nerwami.

Muszę mieć jakąś załogę pokładową,  
muszę mieć mo-

torzystów i palaczy. Na tej luksusowej  
trumnie co rusz

wszystko się psuje. I muszę mieć  
artylerzystów. Może

pan oddać część „lordów”. Proszę  
przyjąć, że będziemy

w takim razie robić trzy wachty zamiast  
czterech.

– Zrobi się – odparł bosman, drapiąc się  
pod czarną

furażerką, która siedziała na jego wielkiej, łysej głowie niczym zawiązek na ziarnie bobu. – Spiszemy Houdiniego,

Głuchokrzykacza i Himmericha, i... Utter się ożenił, i...

– Niech pan zrobi listę oraz przygotuje im karty ur-

lopowe. Nie muszę tego w tej chwili wiedzieć. Przecież

nie będę się żegnał z każdym z osobna.

Potem poszedł siedzieć w centrali, ale po godzinie

machnął ręką. Sternik sterował, akustyk

nasłuchiwał,

gdzieś dookoła pojawiały się czasem okręty, ale raczej

daleko.

– ASDIC-ów to się pan *Oberleutnant* może nie oba-

wiać – mówił pierwszy sternik. – Oni mogą namierzać

tylko do dwunastu węzłów, a my robimy teraz czter-

naście. Za szybko idziemy. Robimy czternaście węzłów.

Jeżeli będą chcieli nas gonić, to stracą  
namiar. Chrap na radarze też nie  
zobaczą, bo za duża fala. W razie czego  
sprawdzimy, jak działa ta... niby... buna,  
co to niby

pochłania ultradźwięki i radar, i  
wszystko. Ta dzidzia

jednak zupełnie nieźle chodzi. Pan się  
położy, panie

Pierwszy. Od wczoraj pan na nogach.  
Gdyby co, będzie-

my budzić.

Reinhardt podrapał się w głowę, a  
potem postanowił

rzeczywiście pójść na dół. Dla spokoju sumienia poszedł

jeszcze zobaczyć, co się dzieje w maszynowni.

Wilcza zamieć

375

Później zjadł kolację, mimo że nie miał apetytu.

Wmuszał w siebie chleb, suchą kiełbasę i sardynki, ale

myślami był zupełnie gdzie indziej. W świecie niedo-

brych podejrzeń. Pasażerowie, ładunek,  
potrójny szy-

frogram...

Rejs do Ameryki, Boże uchroni? Z  
ładunkiem szpie-

gów albo dywersantów?

Raczej nie chodzi o tę odwieczną idée fi  
xe z rejssem do

amerykańskiego wybrzeża i zatapianiem  
im statków w por-

tach, bo kazali oddać torpedystów. A  
zatem szpieczy.

Dlaczego nie?

To chyba lepsze niż samobójcze ataki na konwoje.

„Znaleźć! Zatopić! Zawsze naprzód! Jak Blucher pod

Katzbach!” Ach, bzdury. I lanie za każdym razem. Czi

miał rację. Ten interes już się kończył. Każdy mógł to

jasno zobaczyć, gdyby tylko miał olej w głowie. Kiedy

zaczynamy tracić, czas wstawać od stołu. A to właśnie

oznaczała utrata Afryki, Włoch,  
Normandii, Rosji, Gre-

cji, Polski... Patrzeć tylko, jak będziemy  
się bić o stację *S-Bahnu* w Berlinie.

Każdy to widział, tylko nie ci dur-nie. A  
te konwoje? Atakując konwoje,  
Reinhardt czuł

się teraz jak pies szczekający na pociąg,  
a nie straszliwy wilk Atlantyku.

Wlazł do swojej kajutki i położył się.

\* \* \*

Nie miał pojęcia, co go zbudziło. Łoskot  
powietrza



szasującego balasty? Tupot nóg? Czy dopiero blaszane

„czszwuum!” fal tłukących o kiosk.

Zerwał się na nogi.

376

Jarosław Grzędowicz

– Co się dzieje?! Meldunki!

– Trochę się przejaśniło, na chwilę.

Okazja gwiazdy

strzelać, panie Pierwszy. Drugi ofi cer  
poszedł z sekstantem na pomost.

Będziemy mieli pozycję.

Reinhardt rozmasował zdrętwiałe  
policzki i powie-

ki, jakby chciał wepchnąć do środka  
oczy. Póki się nie

kładł, jakoś to jechało. Po trzech  
godzinach snu czuł się po prostu chory.

Wsunął stopy w grubych, sfilcowanych  
skarpetach

w buty i namacał wiszącą na grodzi  
ciężką skórzaną

kurtkę podbitą futrem. Znalazł jeszcze  
wełnianą czapkę

i poczłapał do centrali.

– Jeden na pomost?

– Można!

Zdążył tylko postawić nogę na szczeblach drabinki.

Wszystko wydarzyło się naraz.

Najpierw operator radiolokatora krzyknął:

– Lotnik! Nadchodzi! Kierunek dwieście! Osiem mil!

Równocześnie rozległ się wrzask: „Alarm!”. Drugi

oficer zjechał po poręczach zejściówki

Reinhardtowi

prosto na głowę, za nim mat z centrali.  
Jazgot dzwonka

złał się z krzykiem zbierającego się z  
pokładu centrali

Reinhardta:

– Zanurzenie alarmowe!

Mat wisiał już na korbie rygla i zamykał  
właz, woda

waliła z góry jak z wodospadu.

– Cała naprzód! Sternik, ostro w prawo!  
Ster dwieście!

Wszyscy na dziób! – wrzeszczał  
Reinhardt.

Okręt przechylił się wyraźnie na dziób.  
Otworzyła

się któraś szafka, coś wywróciło się z  
hukiem i poto-

czyło po podłodze. W mesie O z  
brzękiem posypały

Wilcza zamieć

377

się naczynia. Okręt klasy XXI umiał  
wejść awaryjnie

pod wodę w osiem sekund.

Słysząc było, jak syczy powietrze wypychane ze

zbiorników, skrzypi i jęczy kadłub, jak brzęczą silni-

ki elektryczne. Okręt pochylił się na burtę, wykonując

najciaśniejszy z możliwych skręt. Prosto pod nadlatu-

jący samolot. Tak jest najbezpieczniej. Skrócić dystans.

Niech hamuje, niech robi zwroty, niech wyrzuci go poza

obszar ataku.

– Poszły dwie – oznajmił akustyk uroczystym tonem.

Wszyscy przysiedli odruchowo, chowając głowy w ra-

mionach. Reinhardt przytrzymał się barierki.

Zapadła cisza.

Widzieli je. Na wewnętrznej stronie zaciśniętych po-

wiek. Tak wyraźnie, jakby każdemu otworzyło się trzecie

oko. Dwa obłe, lśniące kształty, które  
wbijają się coraz

głębiej w atramentowoczną wodę,  
ciągnąc warkocze

fosforyzujących bąbelków powietrza. A  
potem zamieniają

się w upiorne małe słońca i rozdzierają  
toń pęcherzami

zgazowanej wody.

Pierwsza eksplozja spadła nagle, jak  
uderzenie topora.

Przeraźliwy łomot, światło zamigotało,  
ktoś krzyknął.



– Spokój! – wrzasnął oburzony  
Reinhardt. – Przecież

to nic nie jest! Kompletne pudło!

– Przeciek pod kolektorem szasu  
awaryjnego!

Kolejny grzmot. Okręt przebiegły fale  
wibracji, po-

tem wstrząs, słychać było grzechot, z  
jakim podrzuciło

podłogowe gretingi. Zapadła ciemność.

– Przedział maszynowy daje wodę!

– Bez hysterii! Jak tak można!

Zapłonęło niebieskie światło awaryjne.

378

Jarosław Grzędowicz

– No i tyle – oznajmił Reinhardt. – O co  
tyle wrzasku?

Rąbnął w pianę pozanurzeniową. Po  
najmniejszej linii

oporu. Zejść na sto osiemdziesiąt. Kurs  
sto dwadzieścia.

Panie Wichtelmann, dlaczego  
stanowiska oerlikonów nie

były obsadzone? Mogliśmy zdjąć tego

drania.

– Kazałem wynurzyć jedynie na chwilę,  
*Herr Ober-*

*leutnant* – tłumaczył drugi ofi cer. –  
Tylko żeby zdjąć namiary.

– I wystarczyło – skonstatował  
Reinhardt. – Już nie mo-

żemy nawet pokazać głowy na tym  
morzu? Aż niewiary-

godne, co za pech. Wziął pan te namiary  
przynajmniej?

– Zdążyłem.

– Zostaniemy pod wodą jeszcze pół godziny. Potem

wrócić na peryskopową i przejść na diesle.

– Ale jakim cudem w nocy? Przecież nie mógł nas zo-

baczyć! – indyczył się ktoś w przedziale podofi cerskim.

– Człowieku! Oni od dawna mają radary w samolo-

tach! Nie do wiary, jak można być takim wołem! Zajrzyj

sobie w dupę i zobacz, czy tam jeszcze

jesteś!

– Reinhardt, co się dzieje? Proszę o meldunek. – Ritter

otworzył drzwi i wkroczył mężnie na plac boju. Brzęk-

nęły bezpieczniki, znów zapłonęło światło.

Pierwszy westchnął.

\* \* \*

Na miejsce dotarli następnego dnia o drugiej w nocy.

Reinhardt kazał zastopować maszyny i

stanęli w dryfie e.

Wysunęli peryskop, ale morze wokół było zupełnie puste.

Przypadkowy kwadrat północnego Atlantyku, oznaczony

na mapach czteroliterowym kodem.

Wilcza zamieć

379

Niczego tu nie było. Ani statku zaopatrzeniowego,

ani Royal Navy, ani nawet mew.

– Czif e, jak z paliwem?

– Niedobrze. Do domu na pewno nie wystarczy.

– Radionamiernik, pytam namiary?

– Nic, panie Pierwszy.

– Akustyk?

– Nic.

– Czekamy – oznajmił Reinhardt. Splótł dłonie na

dźwigniach peryskopu i oparł głowę o kolumnę. – Kuk,

proszę o kawę!

– Oczywiście, że będą – zaprotestował kapitan ostrym

głosem. – Niech pan nie rozsiewa defetyzmu!

\* \* \*

Dwie godziny później Reinhardt polecił wynurzyć

okręt i opływać powoli sektor. Sam wyszedł na górę i ka-

zał sobie dać lampę sygnalizacyjną Aldissa.



Silniki mruczały.

Kapitan siedział oparty o pluszową kanapę w mesie

ze szklanym wzrokiem wbitym w gródź i kontemplował

nicość. Lekarz apatycznie tasował wyświechtane karty.

Bez końca. Okręt zamienił się w gigantyczną poczekalnię

gabinetu dentystycznego.

Wszyscy siedzieli na kojach albo w mesach i milczeli.

Mniej więcej co dziesięć sekund ktoś  
spoglądał na ścien-

ny zegar elektryczny. Niektórzy kładli  
się spać przepel-

nieni żołnierskim fatalizmem. Wiadomo,  
że niczego na

wojnie nie da się przegapić. Obudzą.  
Póki się da, trzeba

spać. A co ma być, to będzie.

380

Jarosław Grzędowicz

Dlatego skrzypnięcie włazu i kanonada

żwawych

wrzasków Reinhardta podziały jak  
wybuch granatu

w zamkniętej przestrzeni.

– Mała naprzód! Ster trzydzieści pięć!  
Załoga pokła-

dowa na górę! Szykować okręt do  
cumowania! Biegiem!

Obsada artylerii na stanowiska!  
Przygotować luki za-

ładunkowe! Szykować cumy! Wysunąć  
polery! Ruszać

się, ludzie! – Po czym normalnym głosem do centrali: –

A ten radionamiernik to se pan w dupę wsadź.

\* \* \*

Statek zaopatrzeniowy „Oxfolt” okazał się przebu-

dowanym rudowęglowcem, całym w resztkach zielonej

farby i rdzawych zaciekach, nie wiedzieć dlaczego kryją-

cym się za szwedzką banderą. Tak jakby ktokolwiek mógł

uwierzyć, że te górne pokłady najeżone  
bronią przeciw-

lotniczą należą do neutralnego statku.

Wszystko odbywało się po ciemku i  
wydawało się

trochę nierzeczywiste. Krzyki  
marynarzy, rzędy wielkich

odbijaczy zwieszane między burtami  
niczym gigantycz-

ne kielbasy, worki prowiantu spuszczone  
z góry do luków

załadunkowych, torpedy kołyszące się  
na żurawikach,

karbowany gruby wąż dystrybutora ropy  
zwieszający się

nad rufą jak dziwaczna pępowina.

Niebo siniało.

Przy zbiorniku balastowym słychać było  
syk spawa-

rek i pomimo ochronnych ekranów  
rozbłyski i pęki iskier

musiały być widoczne na wiele mil.

Wewnątrz okrętu zo-

stawiono tylko słabe czerwone światło.

Załoga miotała się po pokładach,  
marynarze z naręczami bochenków

chleba

Wilcza zamieć

381

i kręgami sera włązili w drogę tym,  
którzy wymieniali

akumulatory albo nieśli elementy  
instalacji. Chaos. Cziif

ciskał się między nimi jak oszalały  
szaman Papuasów

i kierował naprawami.

Reinhardt wraz z kapitanem weszli po  
drabince na

pokład „Oxfolta”.

Okręt podwodny nowej generacji mógł wydawać się

luksusowy, ale tylko podwodniakom.

Tutaj pod noga-

mi ścielił się kokosowy czerwony dywan, ostre światło

biło w oczy, w mesie kapitańskiej wśród eleganckich

mahoniowych mebli pysznił się nakryty białym obru-

sem stół zastawiony jak na świętego Marcina, były pół-



miski kielbas, pieczone gęsi, pasztety,  
spienione, zimne

piwo w szklanych kuflach. Płomyki  
świec odbijały się

w kryształach.

Stali w salonie niczym dwóch  
oszołomionych wę-

drownych dziadów. Ritter w swoim  
popękkanym i wysz-

melcowanym skórzanym płaszczu,  
Reinhardt w ciężkich

pokładowych butach i cuchnącej  
smarem, pokrytej za-

ciekami soli kurtce, obaj zarośnięci,  
brudni i bladzi. Obaj mrużyli oczy jak  
wykopane na polu krety.

Kapitan „Oxfolta” i jego świta  
wyglądali z kolei, jakby

urwali się z opery. Czarne mundury,  
śnieżnobiałe koszule, lśniące złotem  
paski na mankietach, ordery  
wypucowane

sidolem do połysku.

Zapach cygar i wody kolońskiej.

Huknęli obcasami, przęzając ręce w  
salucie. Ritter ocho-

czo dźgnął dłonią, jakby chciał  
wydłubać komuś oko,

Reinhardt wykonał tylko nieokreślony  
gest, przypomi-

nający coś pomiędzy pożegnaniem ciotki  
na peronie

a próbą odwieszenia kapelusza.

382

Jarosław Grzędowicz

– Panowie, czym chata bogata...

– Nasi morscy bohaterowie...

– Rycerze podwodnej bitwy...

– Wilki Atlantyku...

– *Prosit!*

Głosy mieszały się w zgiełku. Kapitan pozwolił się

zaprowadzić do stołu. W tej chwili tak bardzo przypomi-

nał złachmanionego nauczyciela matematyki jak to tylko

możliwe. Na okręcie wydawało się, że jest schludny. Żad-

nych cywilnych łachów, żadnej brody.

Codziennie drapał

szczękę żyletką, kazał sobie czyścić  
szczotką mundur.

A teraz wystarczyło trochę światła i czar  
pryskał. Poja-

wiały się wyświecone mankiety,  
postrzępione dystynkcje,

jakieś odbarwienia, plamy i zacieki. Do  
tego żółtawa cera, niczym po ciężkiej  
chorobie.

Kiedyś Reinhardt dąsał się na takie  
cyrki, przewracał

oczami na toasty, uprzejmie odmawiał

prezentów i he-

roicznie wynosił co się dało załodze, po  
czym uciekał

na okręt. Teraz już zmądrzał. Wiedział,  
że później i tak

ocean zamknie mu się nad głową, a on  
będzie siedział

w stalowej rurze i tęsknie wspominał  
każdego papierosa

oraz każdą lampkę koniaku, których  
odmówił.

Pozwalał się więc rozpieszczać,  
poklepywać po plecach,

przyjmował cygara, piersiówki i tabliczki czekolady.

– Reinhardt, proszę poznać naszych gości – odezwał

się Ritter, chwytając Pierwszego za rękaw. – To *Herr*

Klaus Vordinger, doktor Alfred Wiesmann... A to *Fräu-*

*lein* Ewa Loewengang.

Ewa Loewengang zwracała uwagę. Przede wszyst-

kim wzrostem. Jej głowa udekorowana loczkami „na

pułki” wznosiła się odrobinę ponad top  
Pierwszego,

Wilcza zamieć

383

dodatkowo szacunek budziły szerokie  
bary i imponują-

ca, łabędzia pierś pod kosmatym  
sweterkiem. Jej kształt

przywodził na myśl dwie gruszki  
dziobowe bliźniaczych

niszczycieli.

Reinhardt strzelił obcasami swoich



morskich bucio-

rów i uścisnął dłonie. Smukłą, silną dłoń  
damy, lodowatą, szkieletowatą łapkę  
Vordingera oraz suchą Wiesmanna.

Vordinger nosił wąs i wyglądał jak  
stalowosiwy eme-

rytowany lekarz, Wiesmann był chudy,  
miał okrągłe dru-

ciane okulary i dwa razy za dużo zębów.  
Przypominał

uczłowieczonego krokodyla.

– Czy kajuty naszych gości już są  
gotowe?

– Niestety, trudno to nazwać kajutami –  
zauważył

Reinhardt – ale kazałem już opróżnić  
dwa przedziały,

według rozkazu.

– Poznaje mnie pan, *Herr*  
*Oberleutnant*? – zapytała postawna  
blond-bestia.

Reinhardt wpadł w popłoch. Mózg  
ruszył mu na

najwyższych obrotach jak przelicznik  
artyleryjski, lecz

wśród epizodów, przygód, a nawet

pijackich incydentów

nie fi gurowało wspomnienie prawie  
dwumetrowej blond

-szkapy, z cycem przypominającym dwie  
pławy i głosem

niczym nurkujący sztukas. Z pewnością  
nie.

– Pani wybaczy... ale...

– *Madame* Loewengang jest diwą opery  
berlińskiej –

oznajmił surowo Ritter. „Siadać,  
Reinhardt! Niedosta-

tecznie!” – Jej wykonanie Wagnera  
wzbudziło zachwyty

samego *Führera!*

- Przepraszam, ostatnio nie bywam w  
operze.

– Może zechce się pan wykąpać? –  
zapropnował ka-

pitan „Oxfolta”.

384

Jarosław Grzędowicz

– Dziękuję, ale powinniśmy jak  
najprędzej odpłynąć.

Kiedy nastanie świt...

– *Herr Oberleutnant*, jest pan pod ochroną naszych baterii przeciwlotniczych i stoimy z daleka od szlaków.

Okręt jest tu bezpieczny.

– Chyba się pan nie boi, poruczniku? –  
Ewa spojrzała

na Reinhardta oczami błękitnymi jak  
szafi ry zamrożone

w bryłkach lodu.

– Boję się, proszę pani. O załogę i okręt.  
Spięci cu-

mami jesteśmy bezbronni i niezdolni do manewrów. Za-

opatrzenie należy pobierać jak najszybciej. Do tego stan

morza może się pogorszyć...

– Och, mają tu tyle tych armat... Może pan być zupeł-

nie spokojny. Na pewno nic się nie stanie.

– To państwa zabieramy na pokład?

– Panie Reinhardt, pański kapitan jeszcze nic panu nie

mówił? – zagadnął Vordinger. – Nie tylko nas. Jeszcze ła-

dunek i naszych ludzi. Mam nadzieję, że się zmieścimy.

Reinhardt spojrzął za jego dłonią i z osłupieniem

zarejestrował czterech potężnie umięśnionych mężczyzn

w czarnych jak sadza mundurach i polowych czapkach,

którzy podpierali rzędem ścianę i przypominali ożywio-

ne plakaty *Volkssturmu*. Granitowe

szczęki, niebieskie oczka zwężone w szparki łypiące spod czarnych daszków, włosy barwy lnu. Nosili bryczesy, koalicyjki i wy-

pucowane do połysku ofi cerki, ale nie mógł rozpoznać

formacji. Nie mieli chyba nawet przepisowego godła na

ramieniu.

Pomyślał, że to niekoniecznie wojsko. Tyle było roz-

maitych organizacji i służb, a wszyscy oblekali się w jakieś mundury, i to coraz bardziej operetkowe.



# Wilcza zamieć

385

Obaj przedstawieni mu mężczyźni niby  
byli w cywilu,

ale ubrali się identycznie. Obaj mieli  
okrągłe swastyki

wpięte w krawaty i dziwne znaczki w  
klapach maryna-

rek. Coś, co wyglądało jak czarna  
strzałka skierowana

grotem do góry, obwiedziona bielą na  
czerwonym tle.

Diabli wiedzieli co to było.

– Zmieszczą się państwo. W tych dwóch przedziałach

zwykle podróżuje do dwudziestu ludzi, ale komfortu tam

nie ma. Zwłaszcza dla pani nie będzie odpowiednich

warunków.

– Wszystko dla zwycięstwa, *Herr Oberleutnant*. To jest warte każdej ceny.

Reinhardt postanowił dać sobie godzinę. Jedną go-

dzinę przeznaczoną na korzystanie z  
piwa, koniaku, pie-

czonej gęsi z czerwoną kapustą, rolady i  
wątrobianych

kluseczek. Tam na dole i tak musiało  
potrwać.

„Proszę skosztować kiełbasy, panie  
Pierwszy. Praw-

dziwy *Wurst!* W kraju pan nic takiego  
teraz nie zje, mam kuka, który pochodzi z  
Gór Kasperskich!”

„Za zwycięstwo!”

Dosyc tego bałwaństwa, pomyślał sobie

po jakimś

czasie Reinhardt. Postanowił wyślizgnąć się stąd i wra-

cać na okręt. Równocześnie ładowano prowiant i zaopa-

trzenie, na gwałt naprawiano co większe uszkodzenia,

dwudziestu ludzi z dziobowego pakowało w pośpiechu

toboły, to musiało być istne pandemium.

Był już w połowie drogi, kiedy dopadł go lekko podpi-

ty Wiesmann i z miejsca zaczął łapać za guzik. Reinhardt

nie znosił takich typków z lepkiemi rączkami. Aż się pro-

siło, żeby przydzwonić mu w tę krokodylą szczękę.

– Wykonał pan rozkaz?

386

Jarosław Grzędowicz

– Znaczy?

– W załodze nie może być elementów nieczystych

rasowo. Do trzeciego pokolenia... Tylko  
czysta krew. To

bardzo ważne. – W ogólnym zgiełku nie  
za bardzo było

go słyszeć.

– Zredukowałem załogę, według rozkazu  
– powie-

dział Reinhardt wymijająco.

– Tak... zredukować. Żadnych  
mieszkańców. Tylko

Aryjczycy. Prawdziwi. Jak się nazywa  
pański okręt?

– Nie nazywa się. To okręt podwodny U-780. Ozna-

czenie wywoławcze ULF.

– Więc Ulf! Ulf, czyli wilk po starogermańsku! Wspa-

niale. Panowie, za pomyślność okrętu Ulf, który przynie-

sie nam wszystkim upragnione zwycięstwo! Za operację

*Götterdämmerung! Heil Hitler!*

Wszyscy wstali, ktoś wcisnął osłupiałemu Reinhard-

towi kieliszek koniaku.

Więc tak wygląda w Abwehrze  
najwyższy stopień

tajemnicy, skonstatował w duchu.  
Poddam się. To nie

ma sensu. Poddam się pierwszemu  
napotkanemu nisz-

czycielowi i pojedę sobie do Kanady  
karczować lasy.

Starego się udusi... Ta wojna  
prowadzona jest przez

imbecylów. Szkoda mojego czasu. Panie  
i panowie,



zostaliśmy nabrani. Podszedł do stołu,  
szukając Rit-

tera, i zastał go rozmawiającego ze  
śpiewaczką oraz

Vordingerem.

– Jakże państwu zazdroszczę – mówił  
Ritter. – Bar-

dzo chciałbym też zobaczyć *Führera* na  
własne oczy.

– Ależ panie kapitanie – wdzięczyła się  
diwa – kiedy

wrócimy, jestem pewna, że przyjmie  
pana osobiście! Na-

wet pan nie wie, jak wiele od tego zależy. My...

Wilcza zamieć

387

– Najuprzejmiej przepraszam panią – powiedział Re-

inhardt. – Panie kapitanie, proszę o pozwolenie powrotu

na okręt. Muszę dopilnować prac pokładowych i przy-

gotować wszystko do odpłynięcia.

– Co...? Ach tak, Reinhardt.

Przygotować. Słusznie.

Zezwalam.

– Już pan nas opuszcza, *Herr Oberleutnant*?

- Niestety. Serdecznie radzę, żeby państwo również

przygotowali się do odpłynięcia i weszli na pokład naj-

dalej za dwie godziny.

\* \* \*

Czif wyglądał jak duch ojca Hamleta. Z podwinięty-

mi rękawami, po łokcie utyłłany  
smarem, którego smugi

pojawiły się nawet na jasnej brodzie, z  
włosami zlepio-

nymi od potu siedział pod barierką  
diesla i apatycznie

wycierał dłonie szmatą.

– Baterie akumulatorów i siłownia  
elektryczna

sprawne – powiedział Reinhardtowi  
zmęczonym gło-

sem. Gdzieś w tle jego mechanicy  
zbierali narzędzia

i kawałki kabli, z hałasem układali na  
miejscu lśniące

kraty gretingów. – Dławiki chrap i  
siłowniki sprawne,

nieszczelności głównego kolektora za  
wodowskazem za-

łatane, dwa odsalacze sprawne, łożyska  
wału obsadzone,

oringi wymienione, uszkodzenie kadłuba  
elastycznego

nad zbiornikiem balastowym zaspawane.  
Da się jechać.

Zostało trochę drobiazgu, ale to możemy

spokojnie poła-

tać po drodze. Mamy paliwo. A jak  
wygląda na górze?

– Dziękuję. – Reinhardt podał tamtemu  
butelkę

piwa.

388

Jarosław Grzędowicz

Główny mechanik przyjął ją z  
wdzięcznością i jed-

nym ruchem odbił kapsel o śrubę bloku  
silnika. Piwo

huknęło jak szampan, kapsel poleciał  
gdzieś, rykosze-

tując z brzękiem niczym pocisk. Czif  
uniósł się, znalazł

kawałek blaszki i posłał ją do wiadra ze  
zużyтым olejem.

Pił duszkiem, piana wsiąkała mu w  
brodę i widać było,

jak niezmordowanie porusza chudą  
grdyką.

– Dwóch kretynów, moim zdaniem,  
Abwehra, czte-

rech byczków prosto z aryjskiej farmy

rozpłodowej i śpie-

waczka operowa. Mamy to wszystko  
wieźć w ocean. Nie

wiem dokąd i nie wiem dlaczego. Mam  
nadzieję, że cho-

dzi o to, żeby ich gdzieś utopić.

– Śpiewaczka? – zapytał czif z  
niedowierzaniem.

– Operowa – potwierdził Reinhardt z  
goryczą. – Dwa

metry, tleniony blond, brak nosa, oczy  
krowy i cyce jak



pontony. Głupia niczym bawarskie  
gacie. Prezes jest za-

chwycony.

– Robi się coraz dziwniej.

\* \* \*

W centrali zrobił się tłok. Sznur  
marynarzy z wor-

kami w rękach tłoczył się do wyjścia,  
tymczasem ciągle

jeszcze noszono skrzynki konserw i  
suszone kiełbasy,

przy radionamierniku szafk i straszyły

plątaniną kabli

i biedzili się tam elektrycy. Reinhardt starał się nie przeszkadzać. Siedział w mesie O, popijając sok jabłkowy

z butelki, i czekał, aż chaos przeistoczy się w coś sen-

sownego.

– Mamy teraz torpedy we wszystkich wyrzutniach,

ale żadnego zapasu – mówił drugi oficer. Napił się ofi a-Wilcza zamieć

rowanego mu piwa i młasną. –  
Amunicji do pelotek nie

braliśmy w ogóle, bo mamy komplet.  
Dwa przedziały

dziobowe wolne, a ponieważ nie ma  
zapasu torped, ni-

czego nie trzeba będzie regulować, więc  
to w zasadzie bez znaczenia. Będziemy  
odpalać elektrycznie. Spisaliśmy

siedemnastu ludzi. Będziemy robić trzy  
wachty i jakoś

to będzie. Jeśli nie mamy prowadzić  
normalnych ataków,

to w zasadzie nie ma problemu.

Marynarze w centrali ruszyli wreszcie na górę, a po-

tem po zrzuconej im z burty „Oxfolta” sieci. Na pokładzie *U-Boota* natychmiast rozległy się wrzaski.

– Nie zapomnijcie pisać, cholerni szczęściarze!

A wsadź swojej starej raz ode mnie!  
Trzymać mi tam koje

gotowe do akcji, aż wrócę! Pozdrówcie zimne Norweżki!

Rozgrzać je jak należy!

– Szczęściarze – mruknął Drugi.

– Czy ja wiem...? Zimno, parszywe  
żarcie, naloty. Sam

już nie wiem, gdzie gorzej. Widział pan,  
jakie dali zaopatrzenie? Świeże sery,  
owoce, kielbasa, konserwy...

– Widziałem nawet rosyjski kawior,  
pasztety i łososia

w puszkach. Skąd to wytrzasnęli?

– To raczej dla pasażerów. Niech pan  
nie liczy, że zo-

baczymy takie rzeczy na stole w mesie.

Na kiosku rozległy się kroki i kobiece śmiech.

– Jaki on malutki! Jaki maleńki!

– Ona mówi o okręcie? – zapytał ktoś w mesie pod-

ofi cerów, chyba Fanghorst.

– Nie! O twoim fi utku!

– Och, zamknij się, stara świnió, z nikim tu nie moż-

na porozmawiać!

Reinhardt westchnął i napił się soku.

Jarosław Grzędowicz

Na pomoście znowu rozległ się piskliwy chichot,

później okrzyk: „Chrzczę cię! Chrzczę cię... Nibelung!”.

A potem szklany łomot o burtę. Drugi skrzywił się od-

ruchowo.

– Co to było?!

– Butelka po szampanie  
prawdopodobnie. Kolacja

mianowicie dobiegła już końca.

Kolejny dźwięk, który rozległ się na górze, w pierwszej

chwili kojarzył się z syreną alarmową. Akustyk siedzący

apatycznie na swoim stanowisku nagle zdarł z głowy

słuchawki i poderwał się z krzesła.

– A to co?!

– Aria. Zdaje się „Pierścień Nibelungów” Wagnera.

Drugi oficer zrzucił furazerkę na stół i



rozmasował

twarz.

– Co tu się wyprawia?! W co my się pakujemy?

Właz do centrali otworzył się ze skrzypnięciem, po

czym pokazała się szczupła noga obleczone jedwabną

pończochą ze szwem, w damskim pantoflu i poła futra.

A potem rozległ się chichot.

– Jakie to ciasne! Ostrożnie, bo złamię

obcas! Au! Tu

wszystko jest żelazne!

Kiedy *madame* Loewengang gramoliła się po zej-

ściówce, wszyscy obecni w centrali, jak jeden mąż, w mil-

czeniu patrzyli w górę. Nawet akustyk odwrócił się na

swoim siedzisku. Śpiewaczka miała na sobie długie futro

i stojąc już na pokładzie, marszczyła nos niczym roz-

złoszczony pekińczyk.

– Fuj! Przecież tu trzeba wywietrzyć!  
Okropne! Mój

kufer się nie zmieści! Trzeba zabrać mój  
kufer!

Wilcza zamieć

391

Istotnie. Nie tylko jej kufer, obity skórą i  
spięty skó-

rzanymi pasami, ale i cztery okazałe  
skrzynie podobne

do amunicyjnych nie miały szansy

zmieścić się w luku.

Reinhardt wyszedł na górę i otaksował stertę bagażu.

– Do luku załadunkowego przedziału torpedowego

z tym wszystkim! Ruszaj się, człowieku!

– Ostrożnie!

– Już ja się za was wezmę, chłopcy! –  
dobiegało

z dołu. – Jeszcze będziecie jeść z  
kwiatami na stole!

Na pomoście i w centrali znowu zrobił

się tłok, chaos

osiągnął szczyt. Pasażerowie przeciskali się przez gradzie na dziób, Ewa straciła równowagę i z piskiem usiadła na

koi w sekcji motorzystów, lądując jednemu z marynarzy

na kolanach. Czterej ubrani na czarno Aryjczycy pchali

się w milczeniu, holując swoje toboły. Ktoś potknął się

o próg sztormowy w mesie PO, przewracając butelkę z so-

kiem w czyjaś pościel. Ritter wcisnął

się do centrali i stał

pośrodku, wsparty majestatycznie o  
barierę stanowiska

radionamierników, zawadzając  
każdemu, kto chciałby

gdziekolwiek przejść. Pierwszy sternik  
przeciskał się na

swoje miejsce.

– Szykować się do zdjęcia cum! Chować  
polery! –

wrzeszczał Reinhardt na pomoście. Na  
horyzoncie niebo

już różowiało i zaczynało się robić szaro. Burta okrętu stojącego obok nich zmieniła się w smoliście czarny masyw.

A potem w jednej sekundzie świat stanął nagle na

głowie.

Najpierw rozległ się ryk klaksonu na kiosku, niemal

prosto w ucho, później wrzask Rittera: „Alarm! Lotnik!”.

Reinhardt aż przysiadł z wrażenia.

Ryknął: „Rzucac

Jarosław Grzędowicz

cumy!” i rozejrzał się bezradnie po niebie, ale zobaczył

tylko czarną masę nieruchomego „Oxfolta” wiszącą nad

nim jak górskie zbocze. Marynarz na dolnym pokładzie

zrzucił cumę z ostatniego polera i pobiegł do luku zała-

dunkowego. Reinhardt spojrział jeszcze na dziób i rufę,

upewniając się, że zamknięto wszystkie luki załadunko-



we, i zjechał w głąb kiosku, zamykając  
właz i dokręcając

rygle w momencie, kiedy okręt szedł już  
pod wodę.

– Wszyscy na dziób! Zanurzenie  
alarmowe!

Gdzieś z przodu rozległo się Ewy:  
„Auu! Nadepnął mi

pan na nogę!” i nerwowy tupot.  
Reinhardt przytrzymał

się barierki stołu nakresowego. Po  
pokładzie z łoskotem

potoczyła się jakaś butelka.

– Radionamiernik, pytam namiar?

– Nic nie miałem – powiedział operator.

– Zupełnie

nic. Albo „Oxfolt” go zasłonił, albo to fałszywy alarm.

W tym momencie potężna eksplozja wstrząsnęła oce-

anem. Jedno krótkie, głębokie tąpnięcie, które mogło

połamać zęby, a potem seria wibracji, która przepłynęła

przez kil okrętu. Światło zamigotało.

– Dostali ich?! Jedną bombą? – zapytał  
ktoś w osłupieniu.

Spojrzeni na akustyka, ten przyciskał  
słuchawki do

głowy i patrzył nieobecny wzrokiem  
gdzieś w prze-

strzeń. Reinhardt otworzył usta, ale  
niepotrzebnie. Było

już słyszeć doskonale, także bez  
słuchawek. Dźwięk, który pierwszy ofi-  
cer słyszał już wielokrotnie –  
wielorybie, przeciągłe zawrozczenie  
konającego statku. Wiedział, że źród-

łem hałasu jest powietrze wypychane  
przez wodę z komór

kadłuba, lecz i tak ciarki zawsze  
chodziły mu po plecach.

– Co to jest?! – usłyszał przerażony głos  
Ewy.

Wilcza zamieć

393

– Śmierć statku – odpowiedział. –  
Zawsze tak krzyczą,

kiedy toną.

Idący na dno „Oxfolt” minął ich w

odległości dwustu

metrów. Słysząc było, jak fragmenty  
kadłuba szczękają

i obijają się o siebie, potem skrzypienie  
i potrzaskiwanie pękających grodzi.

– Houdini... – szepnął ktoś. –  
Himmerich...

– Ofi ary są niezbędne dla zwycięstwa –  
oznajmił

nagle Wiesmann gdzieś z dziobu. –  
Zresztą to byli tylko

podludzie...

Gdzieś za mesą elektryków słychać było  
szamotaninę,

ktoś coś przewrócił, ktoś syknął  
zduszonym głosem: „Nie,

kretynie... Zamknij się... Puść mnie! Nie!  
Spokój!” – ale wszystko szeptem.

Reinhardt z trudem rozluźnił szczęki

i zobaczył zalaną zielonkawym światłem  
przysięgów

mostka twarz Starego. Bez wyrazu, ze  
zmrużonymi oczami.

Kapitan patrzył na niego badawczo.  
Akustyk trzymał

się kurczowo za barierkę, a kostki jego  
chudych dłoni

były zupełnie białe.

– Głębokość peryskopowa! – krzyknął  
Reinhardt. –

Zwrot! Kurs w rejon katastrofy!

– Nie! – huknął Stary. – Co pan sobie  
wyobraża! Był

alarm lotniczy!

– Tam mogą być rozbitkowie.

– Samolot może wrócić!

– Nie słyszałem żadnego samolotu –  
powiedział Re-

inhardt, patrząc kapitanowi prosto w  
oczy. – Nie było

też namiaru.

– Powiedziałem: nie!

– Proszę zostać pod wodą – odezwał się  
sucho Wies-

mann. – Wiem, że uważa nas pan za  
pasażerów, ale

394

Jarosław Grzędowicz



zapewniam, pański kapitan wyprowadzi pana z błędu.

Wiem, jak to jest z marynarzami.  
Chciałby pan powie-

dzieć, że na morzu mam siedzieć w kajucie, a pan do-

wiezie mnie na miejsce i że tutaj dowodzi kapitan albo

pan w jego imieniu. Myli się pan. Tu chodzi o ostateczne

zwycięstwo. Te romantyczne bzdury o morskim obyczaju

nie mają zastosowania.

Zbliżył twarz do twarzy Reinhardta i  
wlepił w niego

bladoniebieski, obłąkany wzrok.  
Pierwszy patrzył spo-

kojnie, a nawet pogodnie, i raptem  
zaczął się uśmiechać.

Najpierw lekko, niewinnie, potem coraz  
szerzej.

Sternik nieraz odwiedzał w  
towarzystwie Reinhardta

rozmaite knajpy od Marsylii po Gdańsk,  
więc doskonale

wiedział, co ten uśmiech znaczy.

Chwycił ofi cera za ramię i unieruchomił mu rękę.

– Panie Pierwszy, pan usiądzie – powiedział, odgra-

dzając go od Wiesmanna.

– Nie wynurzy się pan – oznajmił Wiesmann. – Nato-

miast wyznaczy pan kurs do tego miejsca. – Podał mu kartkę z zakodowanymi współrzędnymi, które można było znaleźć

tylko na mapach Dowództwa Okrętów Podwodnych.

– Po pierwsze, była tylko jedna eksplozja – mówił

Reinhardt, niemal nie otwierając ust. Oparty o mapy na

stole nakresowym uważnie przesuwał liniał. – Nie było

serii bomb, tylko pojedyncza eksplozja, po której dzie-

sięciotysięcznik zatonął w ciągu pięciu minut.

– Statek idący pod szwedzką banderą, zaznaczam –

powiedział Drugi, gryząc jabłko.

Wilcza zamieć

395

– Mniejsza o banderę. Stary okrzyknął alarm. I natych-

miast poszliśmy pod wodę. A „Oxfolt” milczał. Przecież tam była cała wystawa techniki przeciwlotniczej. Daleki horyzont obserwacji, radiolokatory, namierniki i nie zauważyli samolotu? Nie było namiaru radiolokacyjnego, nie było

słyszeć silnika, żadnej strzelaniny. A pół minuty później trafił enie. Do tego

patrzyłem na naszych gości. Żadnej paniki. Alarmowe zanurzenie w momencie, kiedy wchodzą na

pokład, i „nadepnął mi pan na nogę”? A statek tonął raptem kilka minut. Tak idą na dno tylko niszczyciele. I to o ile płyną pełną parą i dostaną torpedę w dziób. Owszem. Ale

nie frachtowiec stojący w dryfie. Przecież to jest wanna.

– Co pan sugeruje?

– Że „Oxfolt” został wysadzony w powietrze.

Znalazł drugi namiar i zrobił malutki

krzyżyk ołów-

kiem, po czym wyznaczył kurs.

– Dokąd płyniemy?

– Donikąd. Dwieście mil na północ od Islandii.

W miejsce, w którym nie ma kompletnie nic.

– Powinien pan złożyć raport. Tak czy inaczej. Dönitz

nie przepada za Abwehrą.

Reinhardt przygryzł tylko cybuch pustej fajki i po-

kręcił głową.

– Stary pokazał mi papiery. To są rozkazy z Kance-

larii Rzeszy, panie Wichtelmann, a nie żadna Abwehra.

I niech pan zgadnie, kto je podpisał. Ta banda błaznów

dostała okręt w prezencie. Jeżeli każą panu wsadzić sobie strusie pióra w zadek i tańczyć na stole nawigacyjnym

albo wystrzelić się z torpedą, będę mógł tylko rozłożyć

ręce. Sternik! Kurs sto osiemdziesiąt! Za



dwadzieścia

minut wyjść na peryskopową.

396

Jarosław Grzędowicz

\* \* \*

Przed zamkniętą grodzią przedziału  
dziobowego stał

wartownik. Jeden z czterech blondynów,  
których zaczęto

uważać już za czworaczki. Stał w  
rozkroku, w swoim

czarnym mundurze, z MP40  
przewieszonym przez pierś

i w błyszczącym, pokrytym chromem  
hełmie, w którym

wyglądał jak strażak. Stał i patrzył przed  
siebie przymru-

żonymi oczami, zupełnie jakby pilnował  
Reichstagu.

Natknąwszy się na niego po raz  
pierwszy, Reinhardt

zbaraniał. Jediną sztuką broni osobistej  
na pokładzie był

do tej pory pistolet zamknięty w szafce

dowódcy. Nawet

nie chciało mu się wyobrazić sobie skutków, jakie miało-

by strzelanie wewnątrz okrętu z szybkostrzelnej armaty

wiszącej na piersi wartownika.

– Poza tym grodzie muszą być otwarte – tłumaczył

Wiesmannowi delikatnie, takim tonem, jakim rozmawia

się z wariatem. – Chodzi o przepływ powietrza. To jest

okręt podwodny. Nie można otworzyć okien. W razie

alarmu musi być dostęp do sekcji dziobowej. Do tego

tam jest druga toaleta i umywalnia. Nie możecie jej tak

po prostu zablokować.

– Zgoda, *Hen Oberleutnant*. Drzwi zostaną otwarte, a wartownik będzie stał wewnątrz przedziału. Ale niech

załoga nie wchodzi tam bez potrzeby. Proszę mi powie-

dzieć, *Herr Reinhardt*, to jest imię czy

nazwisko?

– W moim przypadku nazwisko.  
Nazywam się Udo

Reinhardt.

– Bardzo ciekawe... Skoro już o tym  
mówimy, pani

Ewa skarżyła się na marynarzy.

Reinhardt uniósł brwi.

Wilcza zamieć

397

– Tak?

– Chodzi o atmosferę... Szczerze mówiąc, ja też spo-

dziewałem się, że jest tutaj więcej żołnierskiej postawy.

Więcej patriotyzmu. Tymczasem marynarze rozmawiają

wyłącznie o jedzeniu i o... spółkowaniu. I te wulgarne

żarty... Żołnierze aryjscy nie powinni się tak zachowywać.

Nie widać w nich poczucia misji. No i ten brak higieny.

Czy tak wyglądają Niemcy?

– Spodziewał się pan błędnych rycerzy,  
Wiesmann?

Może psalmów? A może pelargonii w  
luku torpedowym

i gipsowego krasnala na pomoście? –  
Reinhardt poczuł,

że chce stąd wyjść. Chociażby na kiosk.  
A najlepiej wy-

siąść. – To po prostu marynarze. I to  
marynarze floty

podwodnej. Od chwili wyjścia z portu  
wszyscy na nich

polują. Może ich zabić najgłupsza

awaria. Większość

okrętów nie wraca już z pierwszego rejsu. A dla tego

okrętu to jest pierwszy rejs i oni dobrze o tym wiedzą.

W tej chwili w całej flocie jest może ze stu ludzi, którzy przeżyli na *U-Bootach* dłużej niż trzy lata.

– A jednak...

– A jednak – powtórzył Reinhardt z naciskiem – Wies-

mann, to są młodzi chłopcy. Większość nie ma jeszcze



osiemnastu lat. A pańska przyjaciółka  
wcale miło spędza

czas tam w dziobie. Łatwo zauważyć, że  
jest śpiewaczką,

bo słyhać ją aż w maszynowni. Jak  
panu się zdaje, jaki

to może mieć wpływ na morale  
czterdziestu młodych

mężczyzn, którzy od tygodni nie widzieli  
kobiety?

Wiesmann zrobił się purpurowy na  
twarzy.

– Ja sobie wypraszam...!

– A wypraszaż pan sobie – warknął  
Reinhardt. – Ale

nie zwracaj mi pan głowy bzdurami!

398

Jarosław Grzędowicz

\* \* \*

Kolejnego dnia rejsu goście  
rozpanoszyli się po całym

statku. Ewa Loewengang z własnej  
inicjatywy postanowiła

poprawić morale załogi i umilała im  
czas, śpiewając wybra-ne arie z

Wagnera przez radiowęzeł. Wiesmann i Vordinger

siedzieli w centrali, co gorsza, w towarzystwie Starego.

To chyba nastąpiło właśnie wtedy.

Potem wielokrotnie Reinhardt usiłował sobie uświa-

domić, kiedy świat oszalał. Uchwycić ten moment, kiedy

rejs zamienił się koszmar wariata. Gdy tamci weszli na

pokład? Później?

Ale to chyba była ta chwila, gdy zaczęli  
rzucić kości

wróżebne na stole nakresowym w  
centrali.

Zrazu myślał, że to jakaś gra. Coś w  
rodzaju mah-

jonga. Rozsypali po mapach garść  
płaskich rzecznych

otoczków z wymalowanymi  
zygzakowatymi znaczkami.

Otworzył już usta, by poprosić ich o  
przeniesienie się

z tym do mesy, „bo to jednak jest pomost

bojowy okrę-

tu podwodnego, panowie”. Ale usłyszał nieprzytomne:

„Raidho... Mannaz... Jera... w domu Asgardu...”.

– Skuld – odpowiedział na to Vordinger.

– Kenaz...

Perthro. Tak. Przyszłość jest jasna.

Zamierzenia oczywi-

ste. – Spojrzał na Reinhardta i wskazał palcem przypad-

kowy punkt na mapie. – Tu. Kiedy tu możemy być?

– Za godzinę, podejrzewam –  
powiedział Pierwszy.

– Niech pan każe tam wynurzyć.

Reinhardt spojrział przeciągle na  
kapitana.

– Słyszał pan, Reinhardt – warknął  
Stary.

– Proszę uprzejmie – odparł Reinhardt.

– Według

rozkazu.

Wilcza zamieć

W rzeczywistości znaleźli się w tym punkcie pra-

wie dwie godziny później. Reinhardt kazał wystawić

najpierw peryskop, wynurzyć kiosk i wreszcie z ulgą

wyszedł na pomost, rozpalając fajkę już na schodkach

zejściówki.

Obaj dziwni pasażerowie również wyszli na pomost.

Bez ceregieli, nie uprzedzając nikogo,  
zupełnie jakby wy-

chodzili na balkon u cioci.

Ocean był zupełnie spokojny, nad wodą  
nisko wisiała

gęsta mgła, więc nie trzeba było  
obawiać się samolotów.

Reinhardt oparł się o przedni falochron i  
całkowicie

poświęcił rozkoszom palenia fajki.

Pasma oraz smugi

mgły snuły się nad wodą, dziób rozcinał  
niewielkie fale.



Nagle Reinhardt, zmarszczywszy brwi,  
uniósł lornetkę

do oczu. Zesztywniał cały, a ściskana w  
zębach fajka

lekko obwisła.

Wpływali na morze trupów.

Najpierw były to pojedyncze sylwetki  
kołyszące się

w kamizelkach ratunkowych jak  
spławiki albo maka-

bryczne boje. Ludzie bez rąk lub tylko  
bez palców, o twa-

rzach czarnych od poparzeń i zakrzepłej krwi, czasem

wydziałanych do gołej czaszki przez mewy. Kamizelki

mieli staroświeckie, z kostek korka zaszytych w żółtym

brezencie, takie jakie zdarzały się już tylko na transpor-towcach. Trupy widać było z obu burt jak okiem sięgnąć.

Kołysały się na falach. Tuż pod wodą przy każdym nie-

boszczyku kłębiły się małe ławice ryb.

Reinhardt przygryzł fajkę i miał już

nakazać zanu-

rzenie, ale spojrzął na obu Niemców na  
pomocie, którzy

400

Jarosław Grzędowicz

uśmiechali się radośnie, i dał spokój.  
Vordinger wyjął

z kieszeni płaszcza mały aparat fotografi-  
czny i zaczął

robić zdjęcia topielcom.

Skąd ich tyłu...? – pomyślał  
rozpaczliwie ofi cer. Przecież Tomki

przeszukują cały sektor, kiedy tylko stracą statek. Za każdym konwojem idą statki ratownicze. Mają samoloty

poszukiwawcze. Skąd ci nieszczęśnicy się wzięli?

Zza kolejnej fali wynurzyło się coś, co wyglądało jak

gigantyczna meduza. Dryfujący kilem do góry kawałek

szalupy otoczony wianuszkami rozbitków. Kilku siedzia-

ło na łodzi, pozostali unosili się w wodzie zanurzeni do

pasa i najwyraźniej żyli.

Gdybym mógł ich zabrać, pomyślał  
Reinhardt. Gdy-

by to była cywilizowana wojna,  
powinienem ich zabrać

i odstawić na ład. Tak to się powinno  
robić. To musiało

się stać niedawno. To musiało być  
niedawno, bo jeszcze

żyją pomimo wyziębienia.

Miał nadzieję, że jego weseli goście nie  
zobaczą ży-

wych rozbitków, bo gotowi zażądać  
karabinów maszy-

nowych.

Mylił się. Co dziwniejsze, Wiesmann  
zareagował

okrzykiem: „Tam są!” – zupełnie jakby  
na kogoś czekał.

– Reinhardt! Proszę podpłynąć do tych  
ludzi. – Vor-

dinger wyciągnął rękę, a potem zrobił  
rozbitkom zdjęcie. –

Bierzemy ich na pokład.

– Niestety, nie możemy brać rozbitków.  
To wyraźne

rozkazy *Kommando der Unterseeboote*.

- A ja panu mówię jeszcze raz, że nie  
podlega pan już

Dönitzowi, tylko *Th*

*ulegesellschaft*. I ma pan tylko moje

rozkazy. A ja rozkazuję wyłowić tych  
ludzi.

Wilcza zamieć

Reinhardt odpiął mikrofon interkomu, patrząc na

Vordingera w osłupieniu. Jego fajka zgasła.

Rozbitków było dziewięciu. Posadzono ich na ażuro-

wym przednim pokładzie, wokół osiemdziesiątki ósemki.

Reinhardt kazał wyciągnąć dla nich koce i podać gorącą

herbatę. Nie wiedział, jak się zachować. Kręcił się między nowymi pasażerami, patrzył na zapadnięte twarze, włosy



posklejane ropą, na usta popękane od soli i pokryte stru-

pami. Wolał utrzymywać się w przekonaniu, że walczy

ze statkami. Z wielkimi, sunącymi na horyzoncie lewia-

tanami, o skórze z nitowanej blachy. Widok dygocących

rozbitków był nie do zniesienia. Tak łatwo może podzielić ich los. Dryfować potem po oceanie i konać powoli dzień

po dniu, wisząc w tych sparciałych korkach nad otchła-

nią. Nie umiał spojrzeć im w twarze.

– *What ship?* – zapytał wreszcie. Bez odpowiedzi. Patrzyli na niego tylko wielkimi, sarnimi oczami.

– „*Millehaven Lady*”, *sir!* – odezwał się wreszcie któryś niechętnie.

– Przecież nie mogą leżeć na pokładzie  
– powiedział

Reinhardt. – Musimy się zanurzyć.

– Popłyną w przedziale torpedowym, na samym dzio-

bie – oznajmił Vordinger. – Ścieśnimy się trochę i kilka

dni wytrzymamy.

Dlaczego kilka dni? – pomyślał  
Reinhardt. Co będzie

za kilka dni?

Otwarto luk artyleryjski i dwóch z  
czworaczków

w hełmach zagoniło rozbitków pod  
pokład.

– Jak daleko jeszcze do celu, panie  
Reinhardt? – za-

pytał Vordinger.

Jarosław Grzędowicz

– Niedaleko – odparł. – O ile chodzi  
panu o tamte

współrzędne na północ od Islandii.

– A wie pan, kiedy będzie jesienna  
równonoc?

– Równonoc? Za dwa dni.

– Więc niech pan dołoży starań, żebyśmy  
zdążyli tam

wcześnie.

\* \* \*

– Słyszał pan kiedykolwiek o czymś, co by się nazy-

wało Towarzystwo Th

ule? – zapytał Reinhardt półgłosem,

krojąc chleb.

Czif pokręcił głową.

– Kojarzy mi się to z jakimś klubem gimnastycz-

nym.

– Ja słyszałem – oznajmił drugi ofi cer.

– Moja ciotka

jest mianowicie okultystką. Kompletnie szurnięta. Kupo-

wała sobie broszury. Zakon Germanów, Zakon Nowych

Templariuszy, *Hammerbund* i takie tam gówna. Zdaje się, że było tam coś o tym Towarzystwie Th

ule. Taka aryjska

mistyka. Wotan, mity germańskie i tak dalej. Wszędzie

u niej w domu leżało pełno tego gówna. Ktoś mi mówił,

że GróFaZ się tym specjalnie interesuje.

– Zniżył głos do szeptu. – To ma być nowa religia Tysiącletniej Rzeszy. Po-  
noć poszczególne ofensywy planują  
magowie i wróżki...

– Cicho, cicho – mruknął Reinhardt. –  
Bo sobie pan

napyta biedy. O tym to już wszyscy  
słyszeliśmy. Zresztą

rzekłbym, że to widać z geniuszu  
strategicznego, jaki

nam się tu prezentuje.

Głośnik zatrzeszczał i popłynęły z niego  
znane już

do obrzydzenia dźwięki Wagnera.

Wilcza zamieć

403

– Jeżeli ta płyta poleci jeszcze raz,  
zacznę się modlić

o bombę głębinową prosto w kiosk –  
oznajmił czif.

– Wszystko jest lepsze od śpiewu tej  
szlampy.

– Ale nie sądziłem, że zatęsknię do  
marszów pusz-

czanych przez Starego.



– Za dwa dni staniemy na środku Morza Północne-

go, na współrzędnych, które pokazali.  
Ciekawe, co dalej.

Wysiądą?

– Załadowali cztery gumowe łodzie. Te duże. Może

wysiądą.

– I powiosłują na biegun?

\* \* \*

– Jesteśmy w miejscu, które pan wskazał  
– powiedział

Reinhardt.

– Doskonale. Kiedy jest równonoc?

– Dzisiaj.

– Świetnie, proszę wynurzyć i wyłączyć motory. – Vor-

dinger sięgnął do swojego skózanego woreczka i wyjął pięć kamieni, które ułożył na mapie. – Doskonale... Gdyby tylko mógł pan zdać sobie sprawę z wagi sytuacji. Za chwilę wygramy wojnę, panie Reinhardt. Pański okręt i my. Nie samoloty tego grubego błazna, nie Himmler, nie czołgi dywizji *Großdeutschland*. Nie żadna *Wunderwaffe*. Tylko my, przy

niewielkim pana udziale. W tej chwili dzieje się historia.

Wyglądał na podekscytowanego, głos mu się łamał

i trzęsły ręce. Poklepał ofi cera po ramieniu, po czym

wszedł do centrali.

Przez radiowęzeł powiedział coś w zasadzie podobne-

go, ale jeszcze bardziej pompatycznie. Motorzyści, „lordo-404

Jarosław Grzędowicz

wie”, marynarze z centrali i artylerzyści  
zastygli w swoich podartych  
podkoszulkach oraz niewiarygodnych  
swe-trach, drapiąc się po głowach albo  
trzymając w dłoni

zafuszczone karty, i patrzyli tępo w  
kratki głośników.

Przemowę zakończyło wezwanie załogi  
do trzykrotnego

*Heil!*, a potem Ewa Loewengang zaczęła  
śpiewać.

Reinhardt miał taką minę, jakby rozboleł  
go ząb,

i odczekał cierpliwie niemal do końca,

zanim przełą-

czył mikrofon.

To było najbardziej osłupiałe *Heil!*,  
jakie w życiu słyszałem, stwierdził w  
myślach.

– Szasować – oznajmił sucho. – Do  
wynurzenia.

– Niech nikt nie wychodzi na pomost –  
zażądał Wies-

mann. – Tylko my, kapitan Ritter i pan.

Właz otworzył się z hukiem  
przywodzącym na myśl

korek od szampana, przez okręt  
przebiegł podmuch i ciś-

nienia wyrównały się. Reinhardt  
wyszedł niespiesznie na

pomost, zapalił fajkę. Morze zdążyło się  
trochę rozhuścić, wiał ostry wiatr. Mgła  
opadła, ale wciąż było szaro. Zrobiło  
się wyraźnie zimniej.

Stojący w dryfie okręt wpadł w  
dokuczliwy boczny

przechył, a potem zaczął odwracać się  
do wiatru. Fale

uderzały o kiosk i łamały się z łomotem  
na dolnym po-

kładzie.

Stary milczał, a Reinhardt również nie  
czuł się w obo-

wiązku podtrzymywać rozmowy.  
Postawił tylko kołnierz

kurtki i wcisnął głębiej czapkę, żeby  
wiatr jej nie zabrał.

Otworzył się właz załadunkowy i na  
dolny pokład wy-

szło najpierw dwóch z czworaczków w  
swoich lśniących

nocnikach na głowie i długich  
skórzanych płaszczach. Za

nimi wyprowadzono trzech rozbitków.  
Reinhardt chwy-

Wilcza zamieć

405

cił kurczowo za falochron i patrzył  
szeroko otwartymi

oczami, jak z wjazdu wychodzą  
Wiesmann i Vordinger,

obaj owinięci kosmatymi futrami, w  
jakichś kretańskich

operetkowych strojach, hełmach z  
krętymi, imponujący-



mi rogami. Za nimi wygramoliła się  
Ewa, ubrana równie

idiotycznie, w futro spięte na ramionach  
i pancerz zaopa-

trzony w złote, błyszczące, ozdobione  
swastykami mi-

seczki, które kryły imponujące piersi.  
Jej hełm wieńczyły rozłożone skrzydła,  
wyglądało to, jakby kaczka usiłowała

usiąść diwie na głowie. Potknęła się na  
rozkołysanym

pokładzie i przytrzymała ociekającego  
wodą relingu. Za

Ewą pojawiły się chromowane hełmy  
pozostałych czwo-

raczków, niczym pokryte lśniąca pleśnią  
grzyby.

Reinhardt pyknął z fajki i zaśmiał się  
cichutko przez

zęby. Kiedy spojrział jednak na bosych,  
obdartych, trzę-

sących się na kracie pokładu marynarzy,  
przestało mu

być do śmiechu.

Pierwszemu nie podobał się sposób, w  
jaki ich usta-

wiono, ślizgających się na pokładzie i  
czepiających siebie nawzajem. Ani ten,  
w jakim stanęły czworaczki. Zwłaszcza  
zaś nie podobał mu się jeden z nich,  
który odwrócił

się tyłem do jeńców i zerkał w górę na  
kiosk oraz przy-

glądającego się temu Reinhardta.

Megafon na kolumnie masztu  
antenowego zatrzesz-

czał i bluznął ofi cerowi prosto w ucho  
dziką, pompatycz-

ną muzyką. Ewa zaczęła śpiewać:

*Runy otrzymasz i czytelne znaki.*

*Bardzo wielkie runy,*

*bardzo mocne runy,*

*co Olbrzym Śpiewak zabarwiał, a  
bogowie stworzyli*

406

Jarosław Grzędowicz

*i boski run Głosiciel rytował.*

*Odin – Asom, Alfom – Dain,*

*Dwalin – karłom,*

*Alswidr – Olbrzymom, a ludzkiemu pokoleniu*

*ja sam runy kreśliłem.*

Wiatr przybierał na sile, okręt obrócił się już dzio-

bem do fal i teraz dostał się w łatwiejsze do zniesienia

kołysanie wzdłużne. Przebierańcy na dziobie z trudem

utrzymywali równowagę, fale obmywały kadłub, syczały

im pod nogami.

Vordinger krzyknął coś, na co dwaj z  
czworaczków

chwycili jednego z jeńców pod rękę i  
zmusili do ukłęk-

nięcia. Vordinger wyjął nagle błyszczący  
miecz z jelcem

zawiniętym w spiralę i poderżnął  
rozbitkowi gardło.

Wiatr gwizdał na sztagu i spychaczu  
sieci, głośnik

ryczał, Ewa śpiewała, a człowiek  
szarpiący się w ramio-

nach czworaczków wykrwawiał się na

pokład i korpus

głównego zbiornika balastowego  
wyraźną ciemną stru-

gą spienionej krwi. Reinhardt widział  
jego białe stopy

dygocące w drgawkach i pulsujący  
strumień uderzający

o blachę jak z ogrodowego węża.

*Dziewiątą znam: gdy muszę ratować*

*mą łódź pędzoną po morzu,*

*wicher uspokoję na fali*

*i uśpię całą wodę.*

Reinhardt stał jak skamieniały, blady  
niczym płótno,

i trzymał się kurczowo falochronu.

Żołnierz przed nim bez słowa odciągnął  
suwadło automatu, lekko uniósł lufę.

Wilcza zamieć

407

Z tyłu jego „bracia” zepchnęli z pokładu  
pierwszą

ofi arę i powalili drugiego rozbitka. Nie  
wierząc włas-



nym oczom, Reinhardt patrzył, jak  
marynarz pogrąża

się w spienionej szmaragdowej wodzie,  
a wokół niego

rozlewa się ciemna plama wyglądająca  
jak dym.

– *Bastard! Fucken nazi bastard!* –  
wrzasnął trzeci je-niec, ale jeden z  
blondynów wykonał szybki ruch i ude-

rzył go lufą empi w twarz, po czym  
przydepnął leżącemu

plecy.

*Jedenastą znam: gdy mam na bój*

*druhów wieść,*

*śpiewam w tarczę, a oni siłą naprzód  
pędzą,*

*zdrowi do boju*

*i zdrowi z boju,*

*żadna ich szkoda nie spotka.*

Reinhardt stał nieruchomo, aż rzeźnia  
dobiegła końca.

Ewa kilka razy straciła równowagę i  
zwymiotowała przez

reling. Vordinger zebrał część krwi do  
miski, po czym

przytrzymywany za pas przez jednego z  
czworaczków

podszedł do kiosku i zaczął malować na  
nim takie same

zygzakowate znaki, jakie miał na swoich  
kamieniach.

Reinhardt odwrócił się i odprowadzał  
wzrokiem trze-

ciego marynarza, który tonął w pozycji  
siedzącej, kiedy

kątem oka zobaczył błysk metalu. Ritter  
z nieprzenik-

nioną, kamienną twarzą belfra chował

do kabury swój

pistolet. Pistolet z szafki kapitańskiej.

– Teraz proszę płynąć! – krzyknął  
Vordinger, zadzie-

rając głowę na pomost. – Nie zanurzać  
okrętu i płynąć

dokładnie na północ.

408

Jarosław Grzędowicz

– Poradzi pan sobie z tym, Reinhardt? –  
wycedził

kapitan.

– *Jawohl* – odparł Reinhardt nieswoim głosem. Bardzo chętnie płynął teraz na powierzchni. Szczerze mó-

wiąc, niczego sobie tak nie życzył jak samolotu RAF-u

albo niszczyciela.

\* \* \*

– Czifi e – powiedział półgłosem kwadrans później –

niech pan znajdzie wśród swoich skarbów spirytus do

konserwacji torped i wleje mi na trzy  
palce do pustej

butelki. Potem proszę dopełnić to  
sokiem cytrynowym

z łyżką miodu i podesłać mi na pomost.  
Ale niech zwłasz-

cza doktor nie widzi, co pan robi.

– Co tam się stało?

– Nie chce pan wiedzieć. Egzekucja.  
Ale szczegóły

sobie darujemy. Ten okręt jest we  
władzy szaleńców.

– Jak cały świat, *Herr Oberleutnant*.  
Jeszcze pan się nie zorientował?

Wyszedł na pomost, nakazawszy trzymać  
kurs na

północ, i został tam, oparty  
przedramionami o falochron,

pykając z fajki i pociągając ze swojej  
butelki. Tylko morze było uczciwe.

Okrutne, ale szczerze i uczciwe, takie jak

zawsze. Reinhardt patrzył na fale i od  
czasu do czasu

przepatrywał horyzont. A potem  
opuszczał lornetkę na

pierś i pociągał łyk.

– No dalej, *boys* – mruknął. – Akurat kiedy jeste-

ście potrzebni, to was nie ma. Dalej. Jestem tu. Jak na

patelni. Możecie załatwić oceaniczny XXI. Wilka At-

lantyku.

Wilcza zamieć

409

Ale horyzont był pusty. Ani nisko lecącego hudsona,



ani przysadzistego halifaksa, ani  
prującego fale rekiniego dzioba  
niszczyciela. Nic.

Pomyślał, że skoro ma pełne zbiorniki  
ropy, mógł-

łby właściwie uciec. Uciec od tego  
kretyńskiego świata,

od nawiedzonych dyktatorów,  
aroganckich premierów,

zdurowiałych generałów i ich parszywej  
wojny. Zostać

zwyczajnym piratem. Wywiesić Jolly  
Rogera na maszcie

antenowym i płynąć, gdzie mu się  
podoba. Na Karaiby

albo na Kubę. Miał sześć torped i  
mnóstwo amunicji.

Mógłby łatwo sterroryzować niewielki  
port i zażądać pa-

liwa lub żywności. Mógłby zresztą  
rabować frachtowce,

zamiast je bezmyślnie zatapiać. Miał  
okręt o najwięk-

szej dzielności morskiej, jaki  
kiedykolwiek skonstruo-

wano. W zanurzeniu mógł drwić sobie z

najcięższych

sztormów i płynąć choćby na koniec  
świata. Kto by go

zatrzymał?

– Niemiecki Nemo się znalazł – mruknął  
pod nosem,

ale pomysł mu się podobał. Właściwie  
dlaczego nie? Co

miał do stracenia? Trzeba by tylko  
utopić Starego i tę

bandę popaprańców, która panoszyła się  
na jego okręcie,

i – hulaj dusza! Przecież to dużo rozsądniejsze, niż dać

się zatopić w kretyńskiej, przegranej wojnie.

Kiedyś, na początku, wydawało mu się, że wie, o co

walczy. Mieli odzyskać utraconą godność, odebrać siłą to, co im się należało, a przy okazji podpalić stęchły świat

i zbudować na zgliszczach coś lepszego i sensowniejszego.

W oparciu o logiczną niemiecką cywilizację. O Schillera,

Junga, Plancka, Heideggera. Jednak od dawna nic z tych

planów nie zostało. Doskonale rozumiał, że to były jakieś romantyczne bzdury. Owszem, udało się spalić i zniszczyć-410

Jarosław Grzędowicz

czyć bardzo wiele, ale niczego nie budowano. A jeśli już, to na pewno nic lepszego od tego, co zostało zniszczone, lecz spotworniałe i bezsensowne jak rak. Teraz, jak

wszyscy, był już jedynie wykonawcą rozkazów oszalałej

machiny, której nikt nie umiał zatrzymać.

Czuł się już

tylko zbrukany i wykorzystany.

Pomost drżał od wibracji, dziób ciął  
fale, okręt płynął

na północ. Reinhardt patrzył na wodę, na  
niebo i starał

się o niczym nie myśleć.

Najpierw sądził, że odblask, który widzi  
na kursie,

to płonący tankowiec. Potem, kiedy  
podpłynął bliżej,

uznał, że zorza polarna. Jednak tęczowe

lśnienia, zamiast pozostać na  
horyzoncie, przybliżyły się i rozlały po  
obu

burtach. Reinhardt zgłupiał. Niebo i  
woda mieniły się

różnokolorowymi blaskami, które  
rzucały plamy wielo-

barwnego światła na pomost, kadłub  
okrętu i na bładą,

osłupiałą twarz ofi cera. Wszystko to  
przelewało się wokół

niego barwami od królewskiej purpury i  
fi oletu po ciepłą czerwień. Podniósł  
twarz i patrzył oniemiały. Nie miał

pojęcia, co to, ale było piękne.

Dopłynąłem do krańca

tęczy? – pomyślał z zachwytem.

Dogoniłem zorzę po-

larną? Kraniec horyzontu? Właz uchylił się i ukazała się

twarz Wiesmanna.

– Proszę meldować, kiedy zobaczy pan coś dziwnego.

– Właśnie teraz widzę – warknął Reinhardt. Właz

odskoczył.



– Co?! Dlaczego pan nic... To niesamowite! To Bi-

frost! – Schował się na chwilę i słyszeć było, jak wrzeszczy do centrali:

„Dopłynęliśmy! Płyniemy Tęczowym

Mostem! Udało się! To już Bifrost! Cudownie!”.

Wilcza zamieć

411

– Proszę trzymać kurs! – krzyczał ktoś na sternika. –

Proszę nie zboczyć nawet o milimetr!

Na pomoście zrobiło się ciasno. Obaj okultyści tań-

czyli i klepali się po plecach, załoga pokładowa w osłupieniu gapiła się w utkane z różnobarwnego światła drape-

rie wijące się wokół okrętu, tylko Reinhardt czuł się tak, jakby coś mu ukradziono.

Zjawisko, które Wiesmann nazwał „tęczowym mo-

stem”, przypominało raczej tunel i utrzymywało się jesz-

cze przez pół godziny.

Potem zostało jakoś z tyłu i rozwiało się. Okręt płynął

przez noc. Reinhardt zmarzył w końcu na kość i uświado-

mił sobie, że nie może zamieszkać na stałe na pomoście.

Wyznaczył wachty i zszedł pod pokład.

Podano świąteczną kolację. Stół nakryty obrusem,

pekelfl ajasz z puszki w kapuście, świeży chleb i pikle. Kapitan świętował na szczęście w przedziale dziobowym ra-

zem z gośćmi. Reinhardt jadł, patrząc w

talerz, i walczył

z wszechogarniającą chęcią upicia się.  
Ale tak porządnie.

Bez żadnej taryfy ulgowej.

– Okazja na namiar według gwiazd! –  
krzyknął ktoś

z pomostu.

– Zjedz pan najpierw spokojnie –  
oznajmił Reinhardt,

widząc, że drugi oficer już na stojąco  
zgarnia ostatni kawałek mięsa z talerza i  
napycha usta kapustą. – O co ten gwałt?

Postanowił zaszyć się w swojej kajutce i spokojnie

osuszyć piersiówkę martella, którą podarowali mu w cza-

sie kolacji na „Oxfolcie”. Drugi oficer z sekstantem pod pachą wgramolił się po drabince do centrali i zniknął,

przez cały czas żując.

412

Jarosław Grzędowicz

– Nie wie pan, co teraz? – zapytał czif.

– Nie wiem. Dopłynęliśmy, gdzie

chcieli, widzieliśmy

dziwną zorzę, a teraz kazali trzymać kurs  
na północ. To

znaczy, że za parę dni dopłyniemy do  
granicy pływające-

go lodu. Dalej i tak się nie da. Możemy  
wtedy odśpiewać

*Deutschland über alles* i wracać do  
domu.

– Pan pierwszy ofi cer proszony na  
pomost!

Reinhardt z westchnieniem zgarnął  
swoją ciężką

kurtkę ze skrzyni z mapami.

– O co chodzi?

– Lepiej niech pan sam zobaczy!

– Panie Wichtelmann, to nie są imieniny u cioci, tylko

okręt podwodny! Czy muszę pana uczyć, co musi zawie-

rać meldunek? Co to za zgadywanki?

– Tak jest, *Herr Oberleutnant*. Melduję posłusznie, że pomiar nawigacyjny jest niemożliwy z powodu braku

znanych gwiazdozbiorów!

– Pan jest pijany, panie Drugi, czy stroi pan sobie

żarty?

– Chciałbym, *Herr Oberleutnant!*

Reinhardt wyszedł na pomost i zamarł z zadartą do

góry głową. Wszyscy stojący tam marynarze milczeli

i również patrzyli w niebo.

Gwiazdy były wielkie, kolorowe i w zupełnie innych

miejscach. Niektóre wyraźnie



przesuwały się płynnym

ruchem, zakreślając jakieś niemożliwe,  
kręte linie.

Patrzyli tak długo i długo milczeli.

– Proszę zapisać w dzienniku, panie  
Drugi – odezwał

się Reinhardt. – Pomiar gwiazd  
niemożliwy z powodu

braku widoczności. Nie widzieliśmy  
tego, panowie. Nie

wiem, co to jest, ale nie widzieliśmy  
tego.

# Wilcza zamieć

413

– Ale... to jest... niebo, panie Pierwszy –  
wyjąkał któ-

ryś z rozpaczą. – Co za szajs!

– Też nic nie rozumiem. To jakieś  
złudzenie optyczne

i tyle. Coś jak fatamorgana. Proszę  
trzymać wachtę. Nie

zwracajcie na to uwagi. Zmianie  
powiedźcie od razu,

że to złudzenie charakterystyczne dla

okolic polarnych.

Proszę odznaczyć pozycję ze zliczenia.

\* \* \*

Ląd pojawił się następnego dnia po śniadaniu, aku-

rat kiedy Reinhardt stał pod prysznicem i szorował

się mydłem do morskiej wody.

Oczywiście nie miało

prawa być tu żadnego lądu. Poprzednia pozycja, któ-

rą osiągnęli wczoraj, miała normalny

namiar. Był to

punkt pośrodku niczego, po czym płynęli  
dokładnie

na północ.

– Co jest, *Donnerwetter*?! – warczał,  
szamocąc się ze spodniami. –

Grenlandia czy co?! Panie Wichtelmann,  
co

to za nawigacja?! Skąd tu ład?! Gdzie  
my jesteśmy?

– Nie wiem, panie Pierwszy. Nic nie  
rozumiem.

Kiedy wyszedł na pomost, byli już z

kilometr od brze-

gu. Łąd był bury, skalisty, ale wcale nie pokryty śniegiem ani lodem. Rosła tam trawa i drzewa, w oddali widać było

wzgórza i ciągnące się jak okiem sięgnąć wysokie mury,

przypominające wypolerowany metal. A gdzieś w oddali

wznosiło się gigantyczne drzewo. Tak monstrualne, że

Reinhardt uznał je za kolejne złudzenie optyczne albo

formację chmur. Tytaniczny pień

przykryty niebieskawą

mgiełką wbijał się w niebo, a korona  
nikła w chmurach.

Wyglądało jak odległy szczyt górski.

414

Jarosław Grzędowicz

– Nadal pan nie wie, co to jest, panie  
Reinhardt? –

zapytał Wiesmann, szczerząc krokodyle  
zęby – A może

pan sprawdzi na swoich mapach?

– A może pan mi powie?

– Chętnie. Bo teraz nie będzie pan mógł drwić. To

Asaheim. Kraina Asów. Germańskich bogów. Ta olbrzy-

mia, lśniaca budowla, którą pan tam widzi, to Walhalla.

Dwór Wotana, gdzie zmarli wojownicy szykują się do

ostatecznej bitwy. Do ostatecznej bitwy, panie Reinhardt.

A my poprowadzimy ich na tę bitwę. To jak, wierzy pan

już? Czy zobaczyć to jeszcze za mało?

Reinhardt milczał, stojąc z ręcznikiem w rękę i pa-

trząc na ląd przed dziobem.

Na przednim pokładzie krzętałi się marynarze na-

dmuchujący przewodem podłączonym do okrętowej

sprężarki pokaźne czarne łodzie pneumatyczne. Dwie

z nich były już gotowe i leżały na pokładzie jak stłoczone na plaży foki.



– Po co to panu?

– Schodzimy na ląd, a co pan myśli?  
Porozumieć się

z Wotanem i przekazać mu zaproszenie  
od Największego

Wodza Wszech Czasów. Zaproszenie do  
ostatecznej bitwy.

Na tym polega nasza misja.  
Sprowadzimy największego

germańskiego boga i jego wojowników.  
Jak pan sądzi,

jaki to będzie miało wpływ na przebieg  
wojny? Czy tamci

zdołają ściągnąć swojego wiszącego na  
krzyżu Żydka,

żeby im pomógł? Bóg jest z nami,  
Reinhardt. I to nie

byle jaki bóg. Sigfödr – Ojciec  
Zwycięstw, Wotan – Sza-

lony, Ojciec Poległych. Nie jakiś rabin  
od nadstawiania

drugiego policzka.

Wilcza zamieć

415

Reinhardt zapalił fajkę i patrzył zupełnie

spokojnie.

Otaczający go obłąd osiągnął rozmiary,  
wobec których każ-

da reakcja była już bez sensu.

Pozostawał tylko stoicyzm.

– Kuk, proszę o kawę i kanapki na  
pomost! – zawołał.

Okazało się, że na ląd schodzą obaj  
mistycy w swo-

ich absurdalnych strojach operetkowych  
rycerzy, Ewa

przebrana za Walkirię, czworaczki,  
pozostali rozbitko-

wie i kapitan. W specjalnie na tę okazję  
wypastowanym

płaszczu i butach, z białym szalikiem i  
wyszorowanym

Krzyżem Rycerskim na szyi. A do tego  
jeszcze czterech

wybranych marynarzy do pomocy.

– Schodzę na ląd – oznajmił Ritter. –  
Przejmie pan na

ten czas dowodzenie, Reinhardt. Proszę  
kazać podejść

jak najbliżej do brzegu.

– Sternik, podejście do brzegu, na echosondzie – za-

wołał Reinhardt.

Wpłynęli do niewielkiej zatoczki i stanęli niecałe

pięćdziesiąt metrów od kamienistej plaży. Dalej nie dało

się już dopłynąć, bo dno usiane było skałami. Reinhardt

kazał rzucić dziobową kotwicę.

– Ojej... To jeszcze się używa czegoś takiego? Słysza-

łam, że kotwice to były na takich starych  
statkach – za-

wołała Ewa.

Reinhardt spojrzał na nią spod daszka i  
napił się kawy

z kubka.

Łodzie napompowano i pierwszą z nich  
zaopatrzone

w dostawny zaburtowy silnik.

Kawalkada połączonych

pontonów odbyła całą podróż tam i z  
powrotem trzy-

krotnie, wożąc ludzi, w tym związanych  
długą cumą

rozbitków, skrzynie i worki.

416

Jarosław Grzędowicz

– Niech pan mówi, co tam się dzieje,  
panie Pierwszy –

poprosił Fanghorst.

– Kazali rozbitkom siedzieć na plaży.

Teraz wypa-

kowują worki. – Reinhardt ugryzł  
kanapkę i ponownie

uniósł lornetkę do oczu.

Na brzegu Wiesmann wskazał uschnięte  
drzewo stoją-

ce opodal i ustawiono wokół niego krąg  
masztów ze zwie-

szającymi się czerwonymi proporcami  
opatrzonymi czar-

nymi znakami: swastyką i kanciastymi  
runami. Pomiędzy

fl agami marynarze wetknęli w ziemię  
metalowe pochodnie.

Widać było, jak mat Zemke obchodzi je,  
przypalając zapal-



niczką końcówki podobne do suchego spirytusu.

– Będzie chyba marsz z pochodniami –  
komentował

Reinhardt. – Do kupy w czternaście  
osób niezbyt impo-

nujący, ale zawsze. Nie wiem tylko, czy  
będą maszerować

po wyspie, czy wokół tego drzewa.

– A mają tam bębny?

– Nie widać.

– Ale! To jak: bez bębnow?

– Za to mają portret GröFaZa. Ustawiają go na jakichś

sztalugach.

Śpiew Ewy Loewengang docierał jednak na okręt

mimo wiatru i odległości. Wykonywała arie z zaangażo-

waniem, robiąc komicznie egzaltowane miny, wiatr szar-

pał proporcami, a pochodnie kopciły czarnym dymem.

Rozbitkowie siedzieli rzędem twarzami do morza,

pilnowani przez jednego z czworaczków  
z pistoletem

maszynowym przewieszonym przez  
pierś.

Po kilku minutach dwóch blondwłosych  
żołnierzy

zeszło na plażę, zabrało jednego z  
jeńców i trzymając

pod rękę, powlokło w stronę drzewa.

Wilcza zamieć

417

– *Himmelherrgott* – wyjąkał po chwili

Reinhardt. –

Wieszają ich. Wieszają rozbitków.

– Odyna nazywali „ojcem  
powieszonych”, panie

*Oberleutnant.* Oni składają ich w ofi-  
erze – powiedział

ktoś martwym głosem.

– Skąd to wiecie?

– Ja jestem w połowie Duńczyk, *Herr  
Oberleutnant.*

Słyszałem bajdy o starych bogach od  
babci. Jestem *Obermatrose* Frenssen.

Na pokręconych i uschłych konarach  
drzewa szarpa-

ło się i dygotało w drgawkach sześciu  
niedoszłych topiel-

ców, a obaj mistycy obeszli drzewo,  
przebijając każdego

skazańca włócznią z kutym, wąskim  
grotem.

Reinhardt opuścił lornetkę i pokręcił  
głową.

– To jest obłąd. Normalny obłąd.  
*Scheiße!* Wiedzia-

łem! Zamordowali tych ludzi!

Odpiął mikrofon od kolumny  
radionamiernika.

– Uwaga, załoga! Obsadzić działa  
pokładowe!

– Co pan robi?

– Nie podoba mi się ta okolica –  
wycedził Rein-

hardt.

Tupot butów artylerzystów i ich  
sprawne, celowe ru-

chy, kiedy ustawiali oerlikony i  
zakładali bębny amu-

nicyjne, wydawały mu się jakoś kojące.  
Miał ogromną

ochotę otworzyć ogień w grupkę na  
brzegu, ale nie był

pewien, czy artylerzyści go posłuchają.  
Działa wyjechały

ze swoich komór, patrzył, jak opuszczają  
się podwójnie

sprężone lufy oerlikonów w  
wieżyczkach. W jarzmie

w tylnej części pomostu ustawiono już  
cekaemy.

– Mimo wszystko niech pan się

zastanowi – mruknął

drugi oficer.

418

Jarosław Grzędowicz

– Stoimy przy nieznanej wyspie, na  
terenie kontrolo-

wanym przez lotnictwo nieprzyjaciela.  
Nad czym tu się

zastanawiać?

Nie zauważył, kto wrzasnął. Co najmniej  
kilku lu-



dzi równocześnie i był to krzyk  
autentycznego, nagłego

przerażenia.

– Co się dzieje! – huknął Reinhardt. –  
Bez hysterii

mi tutaj!

– Tam... Na brzegu...

Na brzegu pojawił się jeździec. Brodaty,  
z włócznią

w ręku. I mimo że siedział w siodle, nie  
mogli nie za-

uważyć, że miał przynajmniej ze cztery

metry wysokości.

Ale nie chodziło tylko o wzrost. Koń, na którym siedział

wojownik, miał pod brzuchem istną plątaninę nóg. Na

ramieniu olbrzyma siedział kruk wielkości kondora, nad

jego głową unosił się drugi taki sam ptak.

Reinhardt ugryzł kanapkę.

– Pytam namiar radiolokacyjny – krzyknął do cen-

trali. – Obiekt na brzegu, kierunek  
trzysta czterdzieści!

– Potwierdzam, nieruchomy obiekt na  
brzegu – usły-

szął w odpowiedzi.

– Przynajmniej coś rzeczywiście tam  
jest.

Frenssen skulił się z jakimś dziwnym  
skowytem i zje-

chał po ścianie falochronu, po czym  
zwinął się w kłębek

na pokładzie.

– Co to znaczy! W tej chwili weźcie się  
w garść, ma-

rynarzu! – wrzasnął Reinhardt.

Drugi chwycił Frenssena za ramię i  
szarpnięciem

postawił na nogi. Ten usiłował stać na  
baczność, ale ko-

łana ugiwały się pod nim i przebiegały  
go fale drgawek.

Reinhardt patrzył na Frenssena z  
obrzydzeniem.

Wilcza zamieć

– T-to jest Odyn... – wybełkotał  
marynarz. – Na oś-

mionogim koniu... S-Sleipnirze...

– Klawo – wycedził Reinhardt. –  
Uspokój się, czło-

wieku, albo staniesz do raportu!

Wychylił się przez falochron do obsady  
działek.

– Załoga do strzału!

– Gotów!

– Chce pan strzelać do boga? – zapytał niepewnie

Wichtelmann.

– Czy ten dziadek z dzidą, jeżdżący wierzchem na

stonodze kojarzy się panu z jakimś bogiem? Poza tym

na razie do niczego nie strzelam.

Olbrzym zeskoczył z konia i podszedł kilka kroków

w kierunku drzewa. Zmarszczył brwi, patrząc na wisiel-

ców, na płonące pochodnie i łopocące flagi. Całe towa-

rzystwo – obaj mistycy, śpiewaczka, czworaczki, a także

kapitan – padło na kolana i biło mu pokłony, unosząc

ramiona. Wyglądało to groteskowo nawet z daleka i przez

lornetkę.

W końcu Wiesmann wstał, ostrożnie podszedł do

olbrzyma wspartego na swojej włóczni, tłumacząc coś

i gestykułując. Była to niewątpliwie płomienna przemowa,

pełna okrzyków oraz dramatycznych gestów.

Odyn wycedził coś z nieszczerólnie przyjaznym

wyrazem twarzy. A potem wydał z siebie wściekły ryk.

Nie jakiś nieartykułowany wrzask – było to zdanie, ale

wykrzyczane przez niewątpliwie rozwścieczonego osob-

nika. Jego głos był przerażający,



przeniknął wibracjami

okręt, pokrył zmarszczkami fal wodę w zatoce. Wszyscy

chwycili się za uszy i skulili na pokładzie lub za falochronem. Ludzie na plaży zwałili się na plecy, jak odrzuceni

420

Jarosław Grzędowicz

podmuchem eksplozji. Olbrzym wyciągnął włócznie,

wskazując niebo, następnie uderzył nią w ziemię. Zie-

mia pokryła się pęknięciami, w stronę okrętu popłynęło

kilka sporych fal.

– Frenssen, tłumaczyć – krzyknął Reinhardt. – Ro-

zumiecie coś z tego, co on gada?

– Ogłuszył mnie – jęknął marynarz.

– Na dół, do stanowiska akustyka. Ścisz na słuchaw-

kach, może coś zrozumiesz przez wodę. Zawsze trochę

tłumi.

– On dziwnie mówi, to niezupełnie po  
duńsku, ro-

zumiem tylko pojedyncze słowa –  
meldował Frenssen

z centrali. – Coś... że idź do  
szronowych... czy lodowych  
olbrzymów... Coś o tchórzostwie i  
wojowaniu z babami

i dziećmi... Wieczny mrok czy lód, nie  
rozumiem, sza-

leństwo... Czas szaleństwa i zamieć...  
Wilki... nie. Tego nie rozumiem.

Leżący w piachu Wiesmann przekręcił  
się na brzuch

i podczołgał do Odyna, rogaty hełm  
spadł mu z głowy, po-

toczył się po piasku. Olbrzymi starzec  
przykucnął, wysunął

przed siebie dłoń i położył  
Wiesmannowi na głowie takim

gestem, jakim dorosły mężczyzna  
mógłby chcieć zmierz-

wić włosy dwuletniego dziecka. A  
potem zacisnął palce na

czaszce mistyka i mimochodem skręcił  
mu kark.

Dalej wszystko potoczyło się bardzo

szybko. Towa-

rzystwo na brzegu wpadło w panikę.

Odyn uniósł włócz-

nię i w ułamku sekundy jednym ciosem  
przybił do pnia

dwóch z czworaczków. Natychmiast  
wyjął miecz dłu-

gości sporego dyszla i zamachnąwszy  
się, przeciął wpół

kolejnego razem z jego skórzanym  
płaszczem i kołyszą-

cym się na gałęzi wisielcem. Po czym  
wpadł pomiędzy



Jarosław Grzędowicz

biegających panicznie i  
przewracających się o proporce

ludzi. Odrąbana głowa Vordingera  
przeleciała nad okrę-

tem i plusnęła w wodę zatoki.

Marynarze na pomoście

w osłupieniu odprowadzili ją wzrokiem.

– Dla ciebie kozi mocz, a nie miód

Walhalli – tłu-

maczył z dołu Frenssen monotonnym głosem. – Runeę

Th

urs ci rytuję, czy rysuję... I trzy... znaki... ogień... śmierć i rzeka ostrzy... Coś o węzłach... Tego nie rozumiem.

– Oerlikon, do strzału na wprost – wyrąbał Rein-

hardt. – Krótkimi seriami, cel na optycznej, szykuj się.

– Nie ryzykowałbym – zasugerował Wichtelmann.

– Tam są nasi marynarze – odpowiedział



Reinhardt

i uniósł rękę, otwierając usta do komendy.

Olbrzym też wyciągnął rękę. Włócznie wyskoczy-

ła z pnia i wróciła do dłoni boga, uwalniając oba ciała,

które runęły na ziemię. Obróciwszy ją ostrzem w dół,

narysował coś na piasku i w tym momencie cały brzeg

staął w ogniu. Ogarnął go huczący pomarańczowy pło-

mień, jaki Reinhardt widywał dotąd  
jedynie na pokła-

dach trafi onych zbiornikowców. Znowu  
przykucnęli za

falochronem, chroniąc twarze przed  
uderzeniem gorąca.

Na brzegu rozległ się przeraźliwy  
chóralny wrzask pło-

nących ludzi.

Trwało to kilka sekund, a kiedy wyrzeli  
zza osłony,

brzeg był pusty. Nadal rosła tam trawa,  
nadal łopotały

proporce, a jedynym śladem pożaru były  
niewielkie ster-

ty jasnego popiołu, wysypujące się z  
leżących na ziemi

nietkniętych ubrań. Odyn zniknął.

Milczeli oniemiaли, stojąc na pomoście,  
ale nic więcej

się nie wydarzyło. Tylko wiatr kołysał  
pustymi pętlami

zwisającymi z konarów.

Wilcza zamieć

– Panie Wichtelmann – głos Reinhardta przerwał

grobową ciszę – proszę zapisać w dzienniku pod dzi-

siejszą datą: „Godzina ósma rano, przybicie do nieozna-

czonej na mapie wyspy w rejonie Islandii”, tu poda pan

współrzędne ze zliczenia, „pasażerowie specjaliści wraz

z kapitanem Ritterem schodzą na ląd w celu przeprowa-

dzenia swojej misji. Dowodzenie

okrętem przejmuje Udo

Reinhardt, pierwszy ofi cer. Godzina  
ósmą trzydzieści

pięć, atak lotniczy na brzegu, odpowiedź  
ogniem artylerii pokładowej, wszyscy  
uczestnicy desantu zabici w wyniku  
eksplozji bomby fosforowej, na okręcie  
bez strat.

Jako najwyższy stopniem na zasadzie  
prawa wojennego

przejmuję tymczasowe dowodzenie.  
Zarządzam powrót

okrętu w rejon bazowania. Udo  
Reinhardt. ULF". Spo-

rządzi pan szyfrogram tej samej treści,  
tylko doda pan,

że czekam na rozkazy, i nada pan do  
dowództwa. Co pan

tak patrzy? Nie nauczyli pana, że w  
komunikatach dla

dowództwa floty należy unikać  
wspominania o syrenach

i krasnoludkach? Wolałby pan:  
pasażerowie wraz z kapi-

tanem schodzą na ląd w celu dokonania  
krwawej ofiary

i wzbudzają gniew germańskiego boga,

przypuszczalnie

nazwiskiem Wotan lub Odyn, po czym  
giną porażeni

jego ognistym oddechem?

– Nadam ten radiogram – powiedział  
Wichtelmann,

schodząc do centrali.

– Proszę nakazać przygotowanie tratwy  
ratunkowej,

jeżeli jakaś została, i dać mi jednego  
marynarza. Schodzę na ląd.

– Ale, panie Pierwszy...

– Może ktoś przeżył. Panie  
Wichtelmann, przejmuje

pan dowodzenie. Proszę nas osłaniać.

424

Jarosław Grzędowicz

Wrócili dziesięć minut później w dwa  
pontony, przy-

wożąc trzy ocalałe empi i ładownice z  
magazynekami, Re-

inhardt odnalazł jeszcze pas z  
kapitańskim pistoletem.

Zabrali też dwie nieotwarte jeszcze



skrzynie.

– Jak pan sądzi, co tam jest? – zapytał drugi.

– Nie wiem, ale są zapieczętowane. Coś mi mówi, że

lepiej zabrać to z powrotem. Pod pokład z tym. Do komo-

ry torpedowej. Z łodzi spuścić powietrze. Rwać kotwicę

i cała wstecz. Wynosimy się stąd.

\* \* \*

– Herr Kaleu... To od załogi. My...

znaczy w naszym

imieniu, chcielibyśmy... – Bosman  
trzymał w ręku starą

czapkę Reinhardta, która zapodziała mu  
się natychmiast

po odbiciu od wyspy. Teraz patrzył z nad  
stołu nakreso-

wego, unosząc brwi. Czapka została  
oczyszczona, pozry-

wane i rozplecione haft y naprawiono  
złotym bajorkiem,

a denko obszyto nowym białym  
pokrowcem. Czapka

dowódcy okrętu.

– Bosmanie... – powiedział powoli Reinhardt. – To

bardzo miły gest. Doceniam... ale nie dostałem nominacji.

To tylko tymczasowe dowództwo. Czapkę przyjmę, bo

w końcu jest moja, lecz kategorycznie proszę nie tytuło-

wać mnie *Kaleu*. Widzi pan na moim rękawie trzeci pasek *Kapitanleutnanta*? Nie? To proszę się trzymać regulami-nu. Mimo wszystko nie jesteśmy okrętem pirackim.

Wrócił do mapy.

– Sternik, jak długo płynęliśmy kursem na północ?

– Dwadzieścia osiem godzin, z marszową prędkością

dwanaście węzłów.

Wilcza zamieć

425

– Proszę przyspieszyć i trzymać kurs dziewięćdziesiąt.

– Jest, kurs dziewięćdziesiąt.

Reinhardt wyszedł z centrali i poszedł na dół. Wa-

hał się przez chwilę, w końcu pchnął drzwi kapitańskiej

kajuty i wszedł. Wciśnięta pod ścianę koja, kilka półek,

na ścianie mosiężny wieszak z mundurem wyjściowym,

obok ubranie sztormowe. Niemal nieużywane. Usiadł za

biurkiem i odpiął pas z kaburą. Pistolet kapitański wy-

glądał dziwnie obco, jakoś zagranicznie.

Trochę przypo-

minał FN-kę, a trochę amerykańskiego automatycznego

colta, ale nabito na nim cechy niemieckie. P-35(p)\*. Nie

słyszał o takiej broni. Wpisane w trójkąt litery FB na

okładzinach rękojeści też nic mu nie mówiły. Spodzie-

wał się raczej walthera. Wysunął magazynek, po czym

przeładował dwukrotnie dla bezpieczeństwa i wrzucił

pistolet do szuflady razem z kaburą.  
Papiery na biurku

kapitana leżały starannie posortowane i  
pospinane, nie-

które włożono do specjalnych  
przegródek. „Na wojnie

najważniejsza jest sprawozdawczość,  
Reinhardt”.

Przy przymocowanym stalową taśmą  
kubku na ołów-

ki i pióra stał mały szklany  
pingwinek. Pingwinek Re-

inhardta zaniepokoił. Nie pasował do

lodowatego belfra.

Co to było? Pamiątka? Amulet? Nie chciał wiedzieć.

Przypomniał sobie o makatce i zajrzał do koi.

\* P-35(p) – to niemieckie oznaczenie doskonałego polskiego pistoletu VIS. Po zagarnięciu w 1939 roku Fabryki Broni w Radomiu kontynuowano tam produkcję naszych pistoletów, ale na użytek armii niemieckiej. Większość trafiła do Kriegsmarine i Luftwaffe.

Pistolety w Fabryce Broni produkowano bez łuf, które powstawały w Austrii. Miało to zapobiegać wynoszeniu



kompletnej broni przez pracowników  
(przyp. autora)

426

Jarosław Grzędowicz

Zacisnął szczęki i wziął kilka głębokich  
oddechów,

po czym kciukiem oraz palcem  
wskazującym usunął

przypadkową wilgoć z kącików oczu.

Patrzył na makatkę przez chwilę w  
milczeniu, a po-

tem ostrożnie wydłubał pineski, złożył ją

na czworo i pieczołowicie włożył do walizki z kapitańskimi rzeczami

osobistymi. Razem z dziecięcym rysunkiem przedsta-

wiającym żaglowiec i podpisem „Tatuś wraca do Helgi”.

Razem ze zdjęciami Rittera trzymającego na kolanach

dwie sześciolatnie na oko dziewczynki, Rittera w krót-

kich spodenkach bawiącego się z dużym wilczurem oraz

kędzierzawej, ciemnowłosej kobiety

jadącej na rowerze

przez łąkę, siedzącej na oplecionej  
różami werandzie

albo stojącej na plaży z ogromną piłką w  
rękach. Nawet

niebrzydka. Pospolita, ale zgrabna. I  
wyraźnie młodsza

od Starego. Pomiedzy materacem a  
ścianą koi znalazł

jeszcze jeden cienki plik zdjęć  
przedstawiających tę samą kobietę.  
Zupełnie innych zdjęć. Stała naga, z  
jedną nogą

opartą o taboret, i bezwstydnie  
rozchyłała swoje wdzięki

prosto do kamery albo leżała na łące,  
albo...

Wrzucił je wszystkie do kuferka i  
zatrzasnął zamki.

A później usiadł przy biurku z kamienną  
twarzą.

– Przestań udawać człowieka, przekłety  
skurwielu –

wycedził z goryczą. – To tutaj to była  
twoja prawdziwa

twarz. Nie odbierzesz mi mojego osądu,

skurwysynu. Ani

nie odbierzesz mi już mojego okrętu.

Potem posiedział jeszcze przy biurku,  
patrząc przed

siebie, i w końcu powiedział z  
uczuciem: „gówno”. Otwo-

rzył drzwiczki i wyszedł do mesy.

\* \* \*

Wilcza zamieć

427

– Lotnik! Nadchodzi! Kierunek

osiemdziesiąt! –

wrzeszczano na pomoście. – Ale, panie  
Oberleutnant,

to nie jest samolot!

Ogromna kobieta galopowała na dzikim,  
prychają-

cym pianą rumaku, naga, tylko w  
kolczudze i z rozwia-

nymi rudymi włosami pod miskowatym  
hełmem. Znaj-

dowała się na wysokości dwustu  
metrów i przecinała ich

kurs przed dziobem.

– *Scheiße!* – warknął Reinhardt i zsunął czapkę na tył

głowy. – Jak mnie to wkurza! Flak\*, alarm przeciwlotniczy, szykować się do salwy według rozkazu! Na razie czekać!

Szczęknięły zamki, obie lufy dwudziestek uniosły się

i zaczęły obracać.

– Ja pierdziele...! – wyrwało się komuś na pomoście.

– Spokój – wycedził Reinhardt. – Czekać!

Ktoś przełknął ślinę. Działko obracało się, kanonier

siedział ze stopą zawieszoną nad pedałem spustu, czeka-

jąc na rozkaz. Druciany krążek kolimatora sunął przez

niebo, prowadząc sylwetkę galopującej wojowniczkki.

Minęła ich, po czym wydała z siebie przeraźliwy

wrzask, który przygiął ich w pół. Brzmiał jak dźwięk sy-

reny nurkującego sztukasa.



Reinhardt zaklął i odpiął mikrofon interkomu.

– Sternik, jeden długi sygnał rogiem mgłowym!

Okręt zagrział w odpowiedzi, ale odgłos nie był aż

tak imponujący.

– No tak, panowie – westchnął Reinhardt. – Walkiria.

Ktoś chce może zanucić Wagnera?

\* Flak – (niem.) *Flugabwehrkanone*, działo przeciwlotnicze (przyp. autora)

Jarosław Grzędowicz

– *Herrgott*, gdzie my jesteśmy, panie *Oberleutnant*?

- Według mnie, na Morzu Północnym. I płyniemy

sobie chwilowo kursem na Islandię.

– Ale co to wszystko znaczy?

– Wiem tyle, co i pan. Moja rada: niech się pan skupi

na tym, co można zrozumieć. Na swojej wachcie. Musimy

dopłynąć do Trondheim. Cała reszta jest bez znaczenia.

\* \* \*

– Pytam o możliwość pomiaru pozycji gwiazd?

– Bez zmian, panie *Oberleutnant*.

- To znaczy?

– To znaczy dalej to popierdzielone niebo, to znaczy

przepraszam, złudzenie optyczne okolic polarnych.

– Nie rozumiem – powiedział

Wichtelmann. – Po-

winniśmy dawno opuścić tamten rejon.

– Co panu wyszło ze strzelania słońca?

– zapytał Re-

inhardt.

– Przykro mi, ale zamiary były błędne.

– Co to znaczy?

– Zrobiłem co trzeba i jak zawsze i wyszło mi, że je-

steśmy pośrodku Sahary. To jeszcze nie wszystko. Albo

wszystkie nasze kompasy są wadliwe,  
albo to słońce za-

chodziło na południu.

– Co takiego?!

– Główny żyrokompas i kompasy  
pomocnicze mo-

gły się zepsuć, bo są elektryczne. Ale  
kompas klasyczny

wskazuje dokładnie to samo. Tylko że to  
się nie zgadza

ze słońcem.

Obaj pokręcili głowami i ponownie

spojrzeli na mapę.

Wilcza zamieć

429

– Właściwie to ja bym chciał zobaczyć  
jakiegoś Tom-

ka. Cokolwiek normalnego. Statek,  
samolot. Miałbym

przynajmniej nadzieję, że może nie  
zwariowałem. Tak,

mam wrażenie, że to wszystko mi się  
śni.

\* \* \*

O świcie rabanu narobił dyżurny  
akustyk. Długo nie

mógł wykrztusić sensownego meldunku.  
Nie chodziło

o okręt nieprzyjaciela ani o nic, co  
umiałby zidentyfikować -

kować. Słyszeć było szum. Potężny,  
przeciągły i niepo-

wstrzymany, jak odgłos spadającej  
wody.

Reinhardt zabrał mu słuchawki i przez  
chwilę sam

schylał się nad stanowiskiem,

przyciskając jedną słuchaw-

kę do ucha z głupią miną, wreszcie wyszedł na pomost

kiosku.

– Wał mgły na kursie, *Herr*

*Oberleutnant!* – zameldował wachtowy.

– Na całym przednim perymetrze!

Istotnie, okręt sunął prosto w stojącą na całej szero-

kości morza ścianę białego oparu i wyraźnie się do tej

ściany zbliżali.



– Nie podoba mi się to! – powiedział  
Reinhardt. – Ma-  
szyny stop!

Równe łomotanie diesli zmieniło się w  
odgłos jało-

wego biegu, ale okręt sunął z tą samą  
prędkością, a nawet jakby szybciej.

– Oba wstecz! – krzyknął Reinhardt. Za  
rufą zagoto-

wało się, lecz *U-Boot* nadal płynął  
sennie do przodu.

– Coś nas ściąga – powiedział  
Wichtelmann. – Prąd

jakiś?

Reinhardt zszedł do centrali.

430

Jarosław Grzędowicz

– Peryskop góra! Na całą wysokość!

Rozległ się wizg silnika, kiedy kolumna peryskopu

wyjeżdżała wysoko nad kiosk. Reinhardt przekręcił czap-

kę daszkiem do tyłu i wtulił twarz w muszlę okularu.

Trwało to chwilę, wreszcie odsunął się  
blady jak

płótno.

– Cała wstecz! Pełna moc!

– Co tam jest?

Reinhardt wstał z siodła peryskopu.

– Koniec świata. Dogoniliśmy horyzont.  
Jak pan nie

wierzysz, to sam sobie popatrz. – Pognał  
po schodkach

na pomost.

Istotnie. Morze kończyło się jak ucięte  
nożem, a wody

przelewały się przez krawędź i spadały  
w nicość, wzbi-

jając chmury wodnego pyłu. Tak samo  
było aż do końca

horyzontu. Ogromna półkula nieba i  
gigantyczny wodo-

spad od krańca do krańca.

Silniki wyły, za rufą kipiała woda,  
unosily się kłęby

czarnego dymu.

- Zwrot! Ostro! Ster sto! Cała naprzód!
- wrzeszczał

Reinhardt do interkomu.

Okręt, dygocąc niczym koń chory na febrę, zaczął

skręcać, ale czuło się, że jakimś nienaturalnie szerokim

łukiem.

- Lewy mała naprzód, prawy cała! – krzyczał Rein-

hardt.

- Nie zdążymy – wyszeptał ktoś.

– Bzdura! Jechać!

Odwrócili się wreszcie rufą do przepaści i Reinhardt

kazał dać pełną moc. Okręt ruszył, ale wydawało się, że

z każdym obrotem śruby zwalnia.

Wilcza zamieć

431

Silniki ryczały, a *U-Boot* płynął coraz wolniej.

– Panie *Oberleutnant*, ten prąd jest powierzchniowy! –

krzyknął czif. – Uciekniemy pod wodą!

– Zanurzenie alarmowe! – ryknął

Reinhardt bez na-

mysłu. – Ruszać się! Pod wodę!

Prąd puścił dopiero na stu

pięćdziesięciu metrach.

Stopniowo, ale uwolnili się. Trwało to

prawie godzinę,

podczas której siedzieli w milczeniu,

patrząc na wskaź-

nik logu, wyłamując palce albo wbijając

pełen wysiłku

wzrok w plecy sternika, który wyglądał,  
jakby popychał

okręt siłą woli.

– Może log idzie, bo prąd nim kręci? –  
wyszeptał

Drugi.

Reinhardt pokręcił głową.

– Nie. Już byśmy spadli. Płyniemy!

Wrzask entuzjazmu niemal rozsadził  
okręt. Tylko Re-

inhardt siedział nieruchomo w mesie i  
patrzył, jak klepią się po plecach,



unoszą jeden drugiego w ramionach i  
tań-

czą na gretingach. Odczekał, aż wszystko  
się uspokoi.

– Płyniemy w przeciwną stronę –  
oznajmił. – Z po-

wrotem do Asaheimu.

Euforia przycichła.

– Gdzie jest starszy marynarz Frenssen?

– W mesie torpedystów.

– Dawać go do centrali!

Frenssen był święcie przekonany, że staje do zaległego

raportu za atak paniki na pomoście, i szedł jak na ścięcie.

Reinhardt, popatrzawszy na jego szczenięcą gębę, poczuł

się okropnie stary i zmęczony.

– Frenssen, usiądzie pan z drugim oficerem w nawi-

gacyjnej i opowie mu wszystko, co pan słyszał od swo-

Jarosław Grzędowicz

jej babci. Weźmiecie papier i postaracie się sporządzić

mapy tego całego Asaheimu.

– Panie *Oberleutnant*, przecież to bajki, zresztą byłem dzieckiem i...

– Wykonać, *Obermatrose* Frenssen!  
Przypomnijcie

sobie! Jako jedyny wiecie, o co tu chodzi!

– *Jawohl!* Wykonać... mapę Asgardu...

\* \* \*

– Wie pan, co mi to przypomina  
najbardziej? – zapy-

tał cził przy kolacji.

– No?

– Odyseję.

Reinhardt pokręcił głową.

– Nie ma tak dobrze. Odys mógł sobie  
żeglować i dwa-

dzieścia lat, ale my musimy mieć  
paliwo.

– Według tego małego Duńczyka  
Frenssena kluczem

jest ten „tęczowy most”. On ma łączyć światy.

– Popłynęliśmy dokładnie tam, gdzie był. Zniknął. –

Reinhardt posmarował kawałek chleba pasztetem. – Bę-

dziemy się teraz tak kręcić pomiędzy jakimiś karłami,

Wanami, Asami, aż któryś nas załatwi albo zabraknie

paliwa. Mapa Frenssena nie daje nam wielkiego wyboru.

Czy chciałby pan popłynąć może do Alfh

eimu, gdzie

mieszkają karły, świetliści Alfowie, co  
to opiekują się

zwierzętami, albo może Czarni Alfowie  
parający się ko-

walstwem? Albo może do Jottunheimu,  
gdzie mieszka-

ją... – spojrzał na kartkę – Lodowe  
Olbrzymy? Nie chce

pan zwiedzić Żelaznego Lasu? To może  
Wybrzeże Tru-

pów? Spodziewałbym się tam kurortu. –  
Odgryzł potężny

## Wilcza zamieć

433

kęś i znów pokręcił głową z politowaniem. – Martwię się

też o ludzi. Nie każda psychika wytrzyma coś takiego.

Dzisiaj rano ten Fliecke z „lordów” dostał szału. Chciał

gramolić się do kiosku i skakać za burzę. Trzeba było go

związać. Teraz leży w przedziale torpedowym. Doktor

dał mu jakieś proszki, ale to się może rozprzestrzeniać.

– A dlaczego nam nie odbija?

– Po prawie sześciu latach wojny? Mam wrażenie, że

widziałem już bardziej idiotyczne rzeczy. Wypaliłem się.

Nic mnie już nie dziwi. Nie chce mi się już nawet dziwić.

I tyle.

– W każdym razie w tej Walhalli chyba nie mamy



już czego szukać.

– Dziwi się pan? Pojawiliśmy się i na dzień dobry

obwiesiliśmy drzewo stryczkami, po czym odstawili-

śmy miniwiec hitlerowski. Oto nasza wizytówka. Pan

by z takimi gadał?

\* \* \*

– Co to znaczy, że akustyk słyszy wołanie o pomoc? –

zapytał Reinhardt cierpliwie mata z

centrali. – Pod

wodą?

– Powtarzam meldunek, panie  
*Oberleutnant*.

Reinhardt wygramolił się z koi i ruszył  
na górę, za-

kładając po drodze koszulę.

– Ktoś woła po niemiecku, panie  
dowódco! Krzyczy,

jakby okropnie cierpiał.

– Pokaż! – Założył na chwilę słuchawki  
i pokręcił

głową z niedowierzaniem. – Namiar?

– Kierunek dwadzieścia pięć!

434

Jarosław Grzędowicz

– Ster dwadzieścia pięć! Zobaczymy, o co chodzi. Ster-

nik, jechać według wskazówek akustyka. Idę na górę.

W razie zmian meldować.

Okręt sunął na krótkiej fali, było pochmurno i zimno.

Ląd ukazał się po półgodzinie,  
dokładnie przed dzio-

bem. Ciemnobrunatny pasek na  
horyzoncie, potem coraz

wyraźniejsze zęby skał, białe jak głowy  
cukru lodowce

i zwały śniegu. Reinhardt odpiął  
mikrofon.

– Ziemia na kursie! Czy te... głosy są  
nadal słyszalne?

– Coraz wyraźniej, *Herr Oberleutnant*.

Stanęli w dryfie około dwustu metrów  
od skalistego

brzegu. Krzyk było słychać zupełnie wyraźnie już bez

pomocy aparatury. Zachrypły, przeciągły, pełen cier-

pienia, ale mocny.

Drugi oficer wyszedł na pomost, przynosząc kawę

i żując chleb z kiełbasą.

– Nie wydaje się to panu dziwne?

Wołanie o pomoc

po niemiecku? Tutaj?

– Nie umiem ocenić, panie Wichtelmann.

A latająca

goła cizia nie wydaje się panu dziwna?

Co tu tak napraw-

dę uznać za dziwne?

– Wchodzimy do tej zatoki?

– Tak. Niech pan każe obsadzić działa.

Wąska, otoczona skałami zatoka była wystarczająco

głęboka, żeby wprowadzić tam okręt,  
ale płynęli jak

najostrożniej. Obie wieżyczki obracały się z burty na

burtę. Na pomoście bojowym *Obermaat*  
Lietzmann za-

łożył do kaemów bębny amunicyjne,  
trzasnął suwadłem

i wpasował ramiona w obszyte skórą  
kolby. Panowała

cisza. Krzyk ustał. Ofi cerowie zastygli z  
lornetkami

przy twarzy, przepatrując każdy  
centymetr skalistego

Wilcza zamieć

brzegu. Zaskrzeczała mewa. Kawałek lodowca oderwał

się z trzaskiem i zjechał do wody.

– Co to za dźwięk?

– To pękający lód, panie *Oberleutnant*. Lód tak skrzypi. Topi się i zaraz znowu gdzieś się oberwie.

– Ale gdzie?

Skrzypiało i trzeszczało coraz głośniejsze, aż zauważyli

gdzie. Kawałek lodowca pokrył się bliźniaczymi pęknię-



ciami, ale zamiast odpaść, uniósł się, ukazując szklistą, srebrnobiałą twarz wielkości fasady małego ratusza.

Nieprzyjemną twarz, dziką, z wybałuszonymi oczami

lśniącymi zimnym, niebieskim blaskiem acetylenowego

płomienia i pełną wyszczerzonych kłów jak dwumetrowe

sople. Na pokładzie zapanowała głucha cisza. Potwór,

klęczący dotąd na brzegu, zaczął wstawać i prostować się, gubiąc płaty lodu, potrzaskując i skrzypiąc. Miał z

osiem metrów wzrostu.

– Szronowy Olbrzym – wyszeptał  
Frenssen.

– Silniki cała wstecz, pelotki,  
przygotować się do ot-

warcia ognia – powiedział spokojnie  
Reinhardt.

Potwór rozwarł karykaturalną, półludzką  
paszczę

i wydał z siebie ryk, który brzmiał  
ogłuszająco, lecz nisko, jakby pękał  
ładolód Arktyki. Ni to trzask, ni  
przeciągły

grzmot, który ściał wody zatoki jęzorem  
szronu i dmuch-

nął im w twarze piekącym mrozem.

Jęk marynarzy utonął w tym ryku, część  
padła na

kolana, zatykając uszy, ale w tym samym  
momencie spadł

na nich suchy łomot oerlikonów. Brzeg  
porósł nagle og-

nistymi krzakami eksplozji pocisków  
przeciwlotniczych,

zasypując zatokę odłamkami. Potwór  
poruszał się jak

błyskawica i jakimś cudem pozostał  
nietknięty.

436

Jarosław Grzędowicz

– Pudło! – wrzasnął Reinhardt. – Na stu  
pięćdziesię-

ciu metrach, skandal! Poprawić!

Olbrzym skulił się i zaskakująco szybko  
pomknął

pośród skałami, wokół niego  
eksplodowały pociski

przeciwlotnicze. Lód i kamienie

wybuchwały pod jego

nogami i tuż za zgarbionymi plecami,  
lecz nie można

było ocenić, czy cokolwiek mu  
zaszkodziło. Lietzmann

pogonił go jeszcze strumieniami  
pocisków ze swoich jaz-

gocących kaemów, ale bez większego  
efektu. Kanonierzy

kręcili korbami jak szaleni, obracając  
oerlikonem. Gorące łuski sypały się do  
wody.

Olbrzym ukazał się znowu, unosząc nad

głowę kawał

lodu wielkości traktora, i zamachnął się.

– Uwaga! – rozdarł się Reinhardt. – Ster  
lewo! Cała

wstecz!

– Całkiem jak Polifem – zadrwił drugi  
ofi cer.

Bryła lodu przeleciała z szumem nad  
pokładem i rąb-

nęła dziesięć metrów od burty,  
wyrzucając słup wody

i potrzaskanego lodu. Okręt zakołysał

się, wielki kawał

lodu rozbryznął się o kiosk,  
przewracając artylerzystów.

Celowniczy schował głowę w ramiona i  
obrócił korbami,

po czym nadepnął na spust. Lufy działka  
dziobowego

wypluły strugę ognia, cel utonął w  
dymie, fontannach

odprysków i rozpylonego śniegu. Na  
zatokę i okręt po-

sypał się grad odłamków. Kiedy się  
uspokoilo, Reinhardt

wychylił się zza falochronu. Wszystko dookoła, brzeg

i skały zbryzgane było zabarwionym na czerwono śnie-

giem, hałdami kryształków przypominającymi malino-

wy sorbet, które dopiero teraz zaczęły topnieć i płynąć

jak krew.

Nad zatoką eksplodował zwycięski wrzask.

Wilcza zamieć



– No dobra. Artyleria, pozostać na stanowiskach.

Ponton i dwóch ludzi do desantu –  
zawołał Reinhardt. –

Bosman, wydać trzy automaty. Panie  
Wichtelmann, pro-

szę być gotowym przyjąć nas na pokład  
w każdej chwili.

I niech ktoś obudzi doktora.

– Marynarz ranny! – rozległ się krzyk od  
dziobowej

wieżyczki.

– Co się dzieje?

– To Frenssen, *Herr Oberleutnant*.

Rzuciło nim o właz komory amunicyjnej.

Nieprzytomny, ale chyba żyje. Ma

rozwalony łeb.

– Pod pokład z nim, niech doktor go opatrzy.

– Chyba nie powinien pan iść – odezwał się Wichtel-

mann. – To nierozsądne, żeby dowódca szedł na zwiad.

Pójdę z bosmanem i...

– Nie, panie Drugi. Trochę to trudno wytłumaczyć,

ale chcę choć raz zrobić coś jak człowiek. Rozumie pan?

Nie rozstrzelać rozbitka, nie spalić bezbronny kuter, nie powiesić jeńców, tylko postąpić po ludzku. Na przykład

zareagować na wołanie o ratunek i pomóc komuś. Nie

żeby go zaraz obrabować, zatłuc albo wysłać do obozu

i zrobić z niego mydło. Chcę coś zrobić

jak człowiek, raz w życiu, rozumie pan?  
Prześladuje mnie myśl, że zmu-szono  
mnie do oszukańczej gry.

Reinhardt zapiął pas z kapitańskim  
pistoletem, prze-

wiesił przez ramię automat i wziął  
jeszcze ładownicę

z pięcioma magazynkami.

Nad skałami znowu popłynął nagle  
rozpaczliwy jęk

i okrzyk: „Ludzie, pomocy! Ratunku!”.

Ziemia zadrżała lekko, przez zatoczkę  
przebiegły

fale.

438

Jarosław Grzędowicz

– Idziemy. Bosmanie, niech pan weźmie jeszcze linę

i granaty. Kto idzie z nami?

– Fanghorst, panie Pierwszy.

Wspinali się ostrożnie między skałami,  
grzęznąąc

w śniegu, przygięci i niepewni, jakby  
odzwyczaili się od

nieruchomego lądu. Reinhardt zadyszał się, dotarłszy na

górze klifu, i zdjął empi z pleców.

– Skąd dochodzi ten wrzask?

– Tam. Pod tą skalną ścianą, widzi pan?

Przed nimi wznosiła się ponura ściana z płytką pie-

czarą. Krzyk dochodził stamtąd.

Reinhardt odciągnął suwadło i przewiesił automat

przez pierś.

– Coś się tam rusza. Ja i bosman idziemy na skrzydle,

pan, Fanghorst, w ariergardzie. Nie strzelać bez rozkazu.

– Coś stamtąd wycieka, widzi pan? Spod tego nawisu.

Paruje i ziemia wygląda tam jak wypalona.

Podeszli do pieczary z obu stron, wzdłuż ściany. Re-

inhardt przyklęknął i zajrzał ostrożnie pod nawis, akurat w momencie, kiedy rozbrzmiał stamtąd ogłuszający krzyk.

Cofnął się natychmiast, krzywiąc twarz,  
po czym zaj-

rzał jeszcze raz. Z pieczary wypłynęła  
struga cuchnącego

ostro, dymiącego płynu. Wydawało się,  
że w zetknięciu

z cieczą kamienie parują i kipią.

Pod skalnym nawisem leżał nagi  
mężczyzna rozkrzy-

żowany na skałach, ramiona miał skute  
kajdanami, a z góry, gdzieś ze stropu  
jaskini, sączył się cuchnący, parujący  
płyn, prosto na pokrytą czerwonymi  
oparzeniami twarz. Przy



jego głowie klęczała półnaga  
dziewczyna o skołtunionych

włosach, okryta jakąś niemożliwie  
brudną i podartą szma-

tą. Trzymała w dłoni misę, usiłując  
chwytać strumyczki

Wilcza zamieć

439

cieczy i chronić głowę mężczyzny. Na  
przedramionach

miała takie same ropiejące blizny, które  
znaczyły twarz

i pierś mężczyzny. Misa dygotała w jej  
dłoniach. Włosy

okrywały umorusaną twarz i Reinhardt  
widział tylko oczy.

Wielkie i przerażone.

– Proszę, pomocy... To mój mąż, jad się  
zaraz przeleje,

ja muszę opróżnić misę... Błagam...  
Pomóżcie nam...

Płyn istotnie wypełniał już naczynie.  
Dziewczyna

pochyliła się i chlusnęła cuchnącą  
cieczą poza jaskinię,

ale kilka kropli spadło natychmiast na  
twarz mężczyzny,

tworząc parujące wżery. Ten wyprężył  
się konwulsyjnie

i wrzasnął przeraźliwie. Z sufi tu  
posypał się piasek, ziemia zadrżała.

– Bosmanie, proszę wziąć misę od pani  
– powiedział

Reinhardt. – Spokojnie, pomożemy  
wam. Niech pani

usiądzie. Co to jest? Co to za płyn?

Dziewczyna niechętnie oddała naczynie,  
po czym

osunęła się na ziemię, dygocąc z wyczerpania. Skuty męż-

czyzna zajęczał rozpaczliwie. Był półprzytomny z bólu.

– To jad... Tam jest wąż... Jego jad ścieka na twarz

mego męża dzień za dniem i rok za rokiem. Chwytam jad

w misę, kiedy jest pełna, wylewam... Rok za rokiem...

– Co ona gada, panie Pierwszy?

– Nie wiem, ale faktycznie coś się rusza tam na górze.

Niech pan czeka, najważniejsze łańcuchy.

– Może przynieść palnik acetylenowy z okrętu?

– Szkoda czasu. Te łańcuchy oplatają skałę i kończą

się za tamtą ścianą. Może je rozsadzić?

– A nie zawali jaskini?

– Jest solidna, a to tylko granat. Tam z tyłu jest wielka komora. Nie będzie skoku ciśnienia.

Jarosław Grzędowicz

Reinhardt wczołgał się za skałę i  
wepchnął granat

po między ogniwa łańcucha, odkręcił  
nakrętkę trzonka,

wydobył sznurek z zawleczką na  
zewnątrz, po czym przy-

wiązał do kółka kawałek linki. Potem  
znalazł wilgotną

glinę i ulepił z niej zatyczki do uszu,  
żeby zabezpieczyć mężczyznę. Na koniec  
obwiązali mu nogi liną i wyprowadzili  
dziewczynę pod skałę.

– Będę musiał wylać ten szajs – ostrzegł  
bosman. –

Cuchnie jak kwas akumulatorowy i  
iperyt naraz. Zaraz

się przeleje.

– To wylewaj pan, nie ma rady. –  
Reinhardt zajrzał

ostrożnie w górę jaskini i wydawało mu  
się, że widzi pła-

ski trójkątny łeb wielkości maski  
ciężarówki, nieruchomy

niczym krokodyl w hamburskim zoo. Z  
rozchlonej

paszczy kapał jad jak rzadki trujący  
deszczyk. Oficer miał

wrażenie, że widzi bladożółte oczy  
rozmiaru melonów.

– Nie mogę trzymać misy, gdy będziemy  
detonować

granat. Może pan pogonić to bydłę z  
rozpylacza?

Reinhardt wpakował w górę ogłuszającą  
serię z empi,

po czym szarpnął za sznurek i obaj  
uciekli z jaskini. Kiedy strzelał, tam w  
górze coś eksplodowało konwulsyjnym,  
wi-jącym się ruchem jak gigantyczna



zwolniona sprężyna.

Huknęło, dopiero kiedy Reinhardt był już całkiem

pewien, że to niewypał. Najpierw ujrzeli pomarańczo-

wy rozbłysk, potem z pieczary zionęło kłębami dymu.

Pociągnęli za linę i mężczyzna wyjechał na wznak na

świeże powietrze. Był nieprzytomny, a zerwane łańcuchy

ciągnęły się za nim po ziemi.

Powlekli go między sobą łąką w kierunku klifu.

Dziewczyna szła za nimi, potykając się z wyczerpania

i chlapiąc. Zdążyli zrobić połowę drogi, kiedy Reinhardt

Wilcza zamieć

441

zerknął przez ramię i zobaczył ogromny pokaleczony pysk

pokryty łuskami, wyjeżdżający z pieczary niczym szarżu-

jący czołg. Fanghorst przyklęknął i zaczął strzelać.

Reinhardt upuścił rannego i uniósł automat, naciska-

jąc spust. Bosman zamachnął się i posłał syczący granat

prosto pod sunący łeb.

– Padnij!

Eksplozja targnęła sucho powietrzem, z góry posypa-

ły się kamienie, kawałki darni i bryły lodu. Wąż zwinął

się w miejscu ścigany kolejnymi  
strumieniami pocisków

i zanurkował w głąb pieczary. Reinhardt  
wstał, odpiął

magazynek.

– Już? Pusty? Ależ to szybko idzie. Nie  
jestem pewien,

czy go trafi łem. Nie miałem tego w ręku  
od szkółki.

– A ja jeszcze nigdy nie strzelałem z  
empi – powie-

dział Fanghorst. – W szkółce dali nam  
mauzery. Jak na

polowanie.

– Zabierajmy się stąd. A gdzie jest delikwent?

Mężczyzna zniknął. Nie było też śladu jego towa-

rzyszki. Zostali sami.

– Trochę głupio – skonstatował Reinhardt. – Przynaj-

mniej rozprostowaliśmy nogi.

\* \* \*

– Jad ściekał mu na twarz?! – pytał Frenssen. Miał oban-

dażowaną głowę i szwy pod okiem  
zaklejone opatrunkiem,

ale trzął się z wrażenia. – Kobieta  
podstawiała misę?!

– Przecież wam mówię.

– Jezu, panie *Oberleutnant*, czy pan  
wie, coście zrobili?

442

Jarosław Grzędowicz

– Uwolniliśmy torturowanego człowieka  
wzywające-

go pomocy – zauważył sucho Reinhardt,

nabijając fajkę.

– Przecież to był Loki! Loki! Bóg-oszust,  
który został

zakuty, żeby nie sprowadził końca  
świata i zagłady! To on wywoła  
Ragnarok – wiek ciemności i ostatecznej  
bitwy,

w której wszystko przepadnie! Zginą  
bogowie i cały świat

pogrąży się w mroku!

– Trudno. Już się stało. Niech pan nie  
rozpacza. Co

pana obchodzi koniec świata

skandynawskich bogów?

My musimy znaleźć tylko ten cały  
Bifrost i wynieść  
się stąd.

– Panie *Oberleutnant!* Nasłuch ma  
sygnał radiowy!

Bardzo silny!

Reinhardt pomknął do centrali,  
przeskakując stop-  
nie.

– Co to za częstotliwość?



- Eee... – powiedział radiotelegrafi sta.
- Nadaje na

wszystkich częstotliwościach. Na fonii.

- Dawać na głośnik!

Najpierw zatrzeszczało jak zdarta płyta,  
po czym

rozległo się monotonnym głosem:

„Loki do dowódcy ULF. Loki do  
dowódcy ULF...”

- Tu dowódca ULF, *Oberleutnant*  
Reinhardt. Słu-

cham?

„Chciałbym podziękować... Uratował  
mnie pan. Mo-

żemy porozmawiać?”

– Rozmawiamy przecież.

„Normalnie – w cztery oczy. Czekam na  
brzegu. Bez

odbioru”.

– Panie *Oberleutnant*, niech pan nie  
idzie! To oszust!

Bóg zła!

Wilcza zamieć

– Mam doświadczenie, Frenssen. Taki sam wieształ mi

Krzyż Rycerski na szyi. Wychodzę na pomost. Zamknąć

wszystkie włazy. Wchodzę do pierwszej wieżyczki przeciw-

lotniczej. Jeżeli nie odezwę się przez interkom, to znaczy, że zginąłem. W takim razie idźcie w zanurzenie i wychodźcie

z zatoki. Wichtelmann, przejmuje pan dowodzenie.

– Aha, *Herr Oberleutnant*... zajrzeliśmy  
w tamte

skrzynie. Na moją odpowiedzialność.  
Miałem nadzieję

na mapy albo cokolwiek, co pozwoli  
znaleźć nam drogę

powrotną. Stanę do raportu, jeśli...

– Dobrze już. Co w nich było?

– Paznokcie, *Herr Oberleutnant*.  
Obcięte ludzkie paznokcie. Rzygać się  
chce.

– I nic więcej?

– Nic.

\* \* \*

Reinhardt wyszedł na pomost i tupnął we właz.

– Zamykać!

Właz opadł, słychać było trzask rygli.  
Reinhardt prze-

de wszystkim starannie rozpalił fajkę.  
Następnie wgramo-

lił się na stanowisko strzelca  
oerlikonów i sprawdził stan bębnow  
amunicyjnych. Były wystarczająco  
wypełnione.

Bóg-oszust siedział na brzegu wśród skał oparty

wygodnie o ścianę skalną. Miał teraz ze cztery metry

wzrostu, lekko świetlistą skórę i co chwila przykładał do twarzy kompres z chusty, który moczył w misce wielkości

pokaźnej wanny. Jednak poza tym nie robił wrażenia

specjalnie zmasakrowanego. Wyglądał jak atletycznie

zbudowany, długowłosy młodzieniec.

Jarosław Grzędowicz

Reinhardt odciągnął po kolei oba zamki,  
po czym

zakręcił korbami, obracając działo w  
stronę rozmówcy.

Lufy oerlikona opadły, a potem  
wieżyczka przekręciła

się w lewo. Druciany krążek kolimatora  
zawisł na wprost

piersi olbrzymia.

– Co pan robi, kapitanie? – zapytał Loki  
aksamitnym

głosem.

– Powiedzmy, że wyrównuję szanse. Nie dysponuję

boskimi atrybutami, ale mam sprzężone działka prze-

ciwlotnicze dwadzieścia milimetrów.

Wystrzeliwiają ze

trzysta pocisków na minutę z jednej lufy.

Są zaprojek-

towane do niszczenia celów

powietrznych. Zapewniam,

że z takiej odległości rozniosą na strzępy wszystko, co



się znajduje na brzegu. Jeżeli nawet jesteś nieśmiertelny, będziesz się zbierał z małych kawałków. Wystarczy,

że nacisnę ten pedał. Także padając.

– Tak, widziałem, co pan zrobił biednemu Eggdiro-

wi. Nie był może specjalnie mądry, ale to coś zmieniło

go w śnieg w jednym błysku. Jest pan niebezpiecznym

wojownikiem, kapitanie.

– Tylko kiedy ktoś wejdzie mi w drogę.

– A jednak nie ma pan powodu do mnie strzelać.

– Wykorzystałeś mnie. Jesteś bogiem-oszustem, któ-

ry zniszczy świat, sprowadzi zagładę i rozpęta wieczną

wojnę.

– Oczywiście. To część faktów. Wiem o tym, od-

kąd się urodziłem, i wszyscy inni też o tym wiedzie-

li. A mimo to mi dokuczali. My tu nie mamy łatwych

charakterów. Zwłaszcza Asowie. Nawet pan sobie nie

wyobraża, jak to jest dorastać w takim środowisku. Do-

brze, ja też im dokuczałem, ale tylko po to, żeby coś się Wilcza zamieć

445

działo. Przecież to trwa już prawie pięćdziesiąt tysięcy

lat. Narodziłem się pod koniec paleolitu, jeszcze trwała

epoka lodowcowa, ma pan pojęcie? Zresztą posługiwali

się mną. Kiedy chcieli kogoś wykiwać,  
okraść albo mu

nie zapłacić, ja załatwiałem sprawę. Bo  
jestem zły, pan

rozumie? Widzi pan ten paradoks?  
Dobry Odyn chce

mieć nieprzebyty mur wokół Asgardu i  
czym kusi bu-

downiczego? Freją. Potem oczywiście  
do mnie z pła-

czem: „Zrób coś, nie chcę, żeby ten  
olbrzym rznął mi

Freję!”. On nie może nikogo oszwabić,

przepraszam za

to określenie. Od tego jestem ja, zły  
bóg-oszust. Więc za-

łatwiam sprawę. Istotnie. Sprowadzę  
Ragnarok na cały

ten burdel. Jak pan widzi, jestem  
najzupełniej szczery.

Zrobię to poniekąd dzięki panu, bo  
uwolnił mnie pan

z łańcuchów.

– Jakoś chyba czujesz się już lepiej –  
zauważył Rein-

hardt kwaśno. – Ja nie zdążyłem zmienić  
przemoczonych

butów ani wypić herbaty. A tobie nie  
tylko wygoiła się

twarz, ale i urosłeś ze dwa metry z  
okładem.

– Och, no przecież jestem bogiem, mimo  
wszystko!

Zresztą twarz trochę mi jeszcze dokucza.  
Blizny i dzioby

już chyba zostaną. Widział pan, w jakim  
byłem stanie?

To trwało gdzieś od siedemsetnego roku.

Tysiąc dwie-

ście czterdzieści cztery lata tortur! Skoro  
chcieli mnie

unieszkodliwić, mogli darować sobie  
ten jad, prawda?

Zwłaszcza że są niby tacy szlachetni?

– Jednak coś mi zawdzięczasz, prawda?

– Do czego pan zmierza, kapitanie?

Przecież to ja pro-

siłem o tę rozmowę, to znaczy, że chcę  
się odwdzięczyć.

– Świetnie. Chcemy znaleźć Bifrost i

przepłynąć nim

w drugą stronę.

446

Jarosław Grzędowicz

– Aj, zaraz Bifrost i Bifrost!

Porozmawiajmy najpierw.

Przecież most panu nie ucieknie.

– Loki, jeżeli uznam, że kręcisz i że nie  
dojdę z tobą

do ładu, odpalam. Daję całą wstecz i  
wychodzę z zatoki.



Bifrost mi uciekł właśnie. Nie ma go tam, gdzie był.

– Nie oszukuję, kapitanie. Szczerze mówiąc, pan już

został wkręcony, i to wcale nie przeze mnie.

– Co to znaczy?

– No... Asgard to jest w zasadzie zaświat. Trochę lep-

szy niż Helj, ale... No sam pan wie, jak i dlaczego trafi a się do Walhalli.

– To znaczy, że ja nie żyję? I cała załoga?

– Żeby to było takie proste. Wtedy by pan tu chyba

nie trafił, o ile nie jest pan żarliwym neopoganinem.

Ale i wtedy przecież nie okrętem, w czapce i w ogóle.

Siadłby pan w Dworcu Odyna, by pić miód bohaterów

i tak dalej. Pan tu wpłynął żywcem. Jako pierwszy od

bardzo dawna. Dzięki magii. Ale wypłynąć... – Loki

pokręcił głową.

– Żyję czy nie?

– Technicznie rzecz biorąc...

– Rzeczowo, Loki.

– Jest pan pomiędzy. Zawieszony.  
Musiałbym panu

wytłumaczyć, jak to jest z Normami i ich  
linią losu, co

zmienia napicie się ze źródła Urd na  
przykład. To nie jest takie proste, że  
wszystko jest zapisane. Mamy wolną  
wolę, ale ona jest częścią osnowy tego,  
co tkają Przędki.

– Nic z tego nie rozumiem.

– Wiedziałem. To najłatwiej pokazać matematyką...

Dobra. Spróbujemy inaczej. Zniknął im pan z radarów.

Prządkom. Uznany za zaginionego. I przeszedł pan w za-

Wilcza zamieć

447

światy. Pan nie ma obecnie losu. Załoga też nie. Jeżeli

wrócicie, to prosto pod bomby. Albo na celownik nisz-

czyciela. *Verstehen*?

- Dlaczego?

– Bo tamten świat chce wrócić do równowagi. Tak jest

skonstruowany. Odrobina magii od razu wywołuje reakcję

obronną. Teraz jest tak, jakbyście już nie żyli. Rzeczywistość waszego świata może to kupić. Najwyżej trochę zafa-

luje. Ale kiedy wrócicie, postawicie ją na głowie. Uruchomicie wszystkie zabezpieczenia. Mogę pomóc wam znaleźć

Bifrost, kapitanie. Ale niech pan się zastanowi, czy warto.

– Ja muszę się jeszcze zastanowić, czy aby to wszystko,

co mówisz, to nie jest lipa.

– Dobra. Przyznaję, że nie jestem tego pewien tak na

sto procent. Natomiast jest to wysoce prawdopodobne.

Ale przyjmijmy, że się mylę.

Przypuśćmy, że wypłyniecie

i nic się nie stanie. Co będzie dalej?

Będzie pan atako-

wał konwoje? Ma to sens i szanse  
powodzenia? Ile pan

pożyje, próbując toczyć tę wojnę? Ona  
potrwa do maja

1945 roku. Do Berlina wejdą Rosjanie.  
Pańskie Drezno

zostanie zbombardowane. Totalnie.  
Alianci też popełnia-

ją błędy. Ktoś sobie wymyśli, że to was  
powinno złamać,

i rozpieprzy miasto do zera. Nic im to  
nie da i w zasadzie będzie im potem  
głupio, ale domu ani rodziny już pan nie

będzie miał. Z kolei Trudi... Przykro mi to mówić, lecz

w końcu zorientowali się, że jest w jakiejś części Żydówką, i wywieźli ją do Dachau. Już nie żyje. Hitler strzelił sobie w łeb, niektórzy uciekną, innych powieszają, zachodnią po-

łowę pańskiego kraju zajmą alianci i tam po pewnym cza-

sie jeszcze jakoś da się żyć, wschodnią zabiorą Rosjanie

i zrobią z niej kraj komunistyczny. Pan sobie wyobraża,



Jarosław Grzędowicz

jak się żyje w kraju Prusaków udających  
komunistów? Do

tego trzeba będzie żyć z piętnem hańby.  
Dlaczego? Pan

pamięta te plotki o obozach? No, to  
wszystko prawda, tyl-

ko że jest sto razy gorzej, niż pan myślał.  
To się działo na skalę kilku milionów  
ludzi. Bezbronnych cywilów. Tego

to wam świat nie daruje. A pan jest  
podwodniakiem, za

wami też nikt nie przepada.

Zatapiałiście cywilne statki.

Słowem: mam dla pana lepszą propozycję.

– Słucham.

– Ragnarok.

– Strzelam.

– Chwileczkę! Jest pan żołnierzem.  
Żeglarzem. Czy

pan rozumie, czym jest Ragnarok?

– Bezsensowną, krwawą zawieruchą.  
Apokalipsą.

Zniszczeniem dla zniszczenia, byle  
wszystko rozpieprzyć.

Dziękuję, już brałem w czymś takim  
udział.

– Nie! – krzyknął Loki. Od jego okrzyku  
ziemia za-

drżała, od lodowców oderwało się kilka  
płaskich tafl i

lodu i runęło w wodę. – Przeklęta  
propaganda! To bę-

dzie ogień, który strawi świat, prawda.  
Wiesz, dlaczego

chcą go za wszelką cenę powstrzymać?

Żeby zachować

status quo! Bo im odpowiada świat taki,  
jaki jest! A to-

bie odpowiada? A teraz powiem ci, o co  
będę walczył.

Tak! Uwolnię wilka Fenrira! Zbuduję  
straszliwy drakkar

z trupich paznokci zwany Naglfarem!

Tak, ściągnę armię

Olbrzymów, Surta i Byleipta. Tak!

Powalę wszystkich

bogów. A potem? Posłuchaj:

*Rola nieobsiana będzie rodziła,  
zło w dobro się przemieni; Baldr wróci,  
na Hropta boiskach zamieszka Höd i  
Baldr*

Wilcza zamieć

449

*w świątyni bogów – wiecie teraz czy  
nie?*

*Salę widzę, od słońca piękniejszą,  
dach złotem kryty, na Gimlei  
sprawiedliwi tam mieszkać będą.*

*Szczęścia wiecznego doznawać będą.*

Tak mówi wieszczba o świecie, który  
nastanie po mo-

jej wojnie. Wszyscy o tym wiedzą. Ja  
tego nie wymyśliłem.

I Asowie, i Wanowie, i wszyscy!  
Wiedzą! Powiedz mi,

panie kapitanie: nie warto? Raz cię  
namówiono, żebyś

podpalił świat. W nikczemnej sprawie.  
Złamali ci życie

i zrobili z ciebie wilka. Wojownika.  
Będiesz potrafił

uczyć w szkole albo przybijać pieczętki na poczcie? Napij się miodu, kapitanie.

– Siedź, gdzie siedzisz – warknął Reinhardt. – Myślę.

Loki nalał miodu do rogu, a potem dmuchnął lekko

na wodę i postawił róg pionowo na tafl i. Naczynie zako-

łysało się jak boja, po czym miękko popłynęło w stronę

*U-Boota*, aż stuknęło o pancierz zbiornika balastowego.

Wystarczyło pochylić się i sięgnąć.

Reinhardt wypił łyk.

– Ci, którzy nas tu sprowadzili,  
przy płynęli z podobną

propozycją – zauważył. – I Odyn  
rozniósł ich na strzępy.

Loki zaśmiał się, pokręcił głową.

– To zupełnie inna sytuacja. Słuchaj,  
można o Sta-

rym powiedzieć niejedno, ale nie jest  
głupi. Nie jest głupi.

Zwłaszcza on, który oddał własne oko  
za wiedzę. Przecież



dobrze wiedział, co to za jedni.  
Przyłączyli, powiesili kilku  
bezbronnych i rannych jeńców. W  
prezencie dla niego,

uważasz, po czym usiłowali mu  
wmówić, że jest taki sam

jak oni i jeszcze że ma walczyć dla  
chwały tego małego, po-kręconego  
tyranka. On, Odyn! Wiesz, dlaczego  
nazywają

450

Jarosław Grzędowicz

go Hangagud? „Bóg powieszonych”?  
Przecież nie dlatego,

że lubi egzekucje albo wiesz  
bezbronnych! On się sam

powiesił! Złożył się sobie w ofiarze,  
żeby uzyskać moc run.

Alboby ją osiągnął, albo skisł na tym  
drzewie! Udowodnił, jak wiele może  
poświęcić, żeby uzyskać tak cenny dar!  
To

było poświęcenie! A oni ofiarują mu  
tchórzliwe morder-

stwo. Nic dziwnego, że się wściekł. Ci  
głupcy nie wiedzieli nawet, że jego  
wyobrażenia jako dzikiego okrutnika to

późniejsza chrześcijańska propaganda.

Nie. Ja mam inną

propozycję. Posłuchaj, kapitanie. Bądź szczerzy ze sobą.

Wejrzyj głęboko w swoją duszę i posłuchaj. Co ci zostało?

A gdyby tak podpalić świat naprawdę? Naprawdę sfajczyć

to wszystko: politykę, hipokryzję, Hitlerów, Stalinów, ale i Churchillów, adwokatów, tych, co pierwsi rzucą kamie-niem, i tych, co zawsze mają wszystko na tacy, tych, co

wszystkiego się domagają, i tych, co rozdają przywileje?

Sfajczyć cały ten spleśniały świat, niech  
go zetnie mróz

i niech po nim odrodzą się wreszcie  
szczęśliwe łąki? Spójrz w swoje  
sumienie! Po której stronie chcesz stać  
podczas

ostatniej bitwy? Nieskalanych  
świecistych hipokrytów,

którzy chcą chronić Republikę Jest Jak  
Jest? A może desperatów, którzy chcą  
walczyć o marzenia albo zginąć? Kim

pan jest, kapitanie? Czy to nie brzmi dla  
pana znajomo?

Pociągająco? Lepiej być piratem czy

niewolnikiem, Rein-

hardt? Niech pan posłucha. Miałem zbudować drakkar.

Przerażający okręt, który zanieśie ostateczną bitwę wro-

gom. Budzący przerażenie Naglfar zbudowany z trupich

paznokci. Ale tak pomyślałem: czy to musi być drakkar?

A gdyby to był oceaniczny okręt podwodny typu XXI? Nie

beziemienny U-ileśtam, pływający na posyłki jakiegoś kre-

tyna? Moje karły potrafi ą skopiować  
wszystko. Wezmą ten

Wilcza zamieć

451

okręt na wzór i wkrótce powstanie  
przerazający Naglfar,

który przyniesie spleśniałemu światu  
zawieruchę. *U-Boot* z trupich paznokci.  
Sześć wyrzutni torpedowych. Działa

przeciwlotnicze. I pan. W białej czapce  
dowódcy.

Reinhardt pociągnął łyk miodu. Milczał.

– Słucham? – powiedział Loki.

Reinhardt wstał.

– Muszę pogadać z załogą.

– Będę czekał. Nie spieszy mi się.

\* \* \*

*Jednak przeptywamy przez Tęczowy  
Most. Tam i z*

*powrotem.*

*Potrzeba paznokci.*

*Dużo paznokci. Przestaliśmy się już na  
to krzywić.*

*W zręcznych dłoniach karłów z Nilfheimu trupie paznokcie stają się kowalne niczym metal. Zmieniają się w doskonały, lekki i wytrzymały materiał, z którego mogą zbudować*

*wszystko. Czasem wchodzimy do jaskini zmienionej w suchy dok, żeby popatrzeć, jak stawiają wręgi, zabudowują zbiorniki balastowe, jak układają kolektory szasu, kadłub sztywny, klapy wyrzutni. Patrzyć na lśniące złotem, srebrem i platyną kartery diesli, na dźwignie i przełączniki tablic sterowania lśniące złotem i polerowaną kością. Patrzymy na pęki iskier ze spawarek, słuchamy huku nitownic.*



*Jest piękny.*

*Pod zręcznymi palcami małych kowali z  
Nilfh eimu*

*nasz Naglfar trochę się zmienia. Kil i  
wręgi przypominają kręgosłup i łuki  
żeber, przewody wiją się we wnętrzu jak  
nerwy i żyły żywej istoty.*

452

Jarosław Grzędowicz

*Jeszcze trochę i skończymy. Naglfar  
będzie gotowy. Poniesie ogień  
parszywemu, nieudanemu światu.  
Koniec*

*z niesprawiedliwością, koniec z  
płaczem, nędzą i rozpaczą.*

*Koniec czasów szaleństwa, bezwstydu i  
cudzołóstwa.*

*Jeszcze trochę.*

*Nadchodzi wiek topora, wiek miecza i  
tarcz strza-*

*skanych.*

*Nadchodzi wilcza zamieć.*

*Jeszcze trochę.*

*Trzeba tylko paznokci. Więcej paznokci.*

*Na szczęście to, czego wasz zgniły  
świat daje w nad-*

*miarze, to właśnie trupie paznokcie. I  
krew, która tak pięknie zapłonie w  
cylindrach naszych diesli. I niespeł-  
nione pożądanie, którym można  
naładować akumulatory.*

*Naglfar może się wykarmić tym, czego  
wasz świat ma  
w nadmiarze.*

*Trzeba tylko więcej paznokci.*

*Więc przepływamy Tęczowy Most i  
suniemy przez*

*wody waszego świata. Możemy  
wynurzyć się wszędzie*

*tam, gdzie czyjeś szaleństwo każe  
mordować innych bez powodu.*

*Wynurzamy się i zbieramy plon pychy  
szalonego mułły albo zwierzęcej  
nienawiści skaczących sobie do gardel  
warlordów, albo opętanego ideologią  
tyrana. Nawet ląd nie jest dla nas  
przeszkodą.*

*Darfur, Srebrenica, pola pod  
Phenianem, Sierra Leone.*

*Hawana.*

*Tyle miejsc. Tyle paznokci.*

*Opowiadają sobie o nas na morzach. O  
przeklętym*

*U-Boocie z załogą upiorów. O  
kapitanie w sztywnej od*

*solii kurtce, o oczach jak ołów  
północnego morza. Wiedzą Wilcza  
zamięć*

453

*o nas marynarze tanich bander i  
samotni żeglarze. A tak-*

*że załogi pięknych, kosztownych  
jachtów. Ale rzadko mogą podzielić się  
tą wiedzą.*

*Krew, pożądanie i paznokcie.*

*Tyle nam trzeba.*

*Wracamy potem na Wybrzeże Trupów i czekamy.*

*Czujemy, że nasz czas się zbliża, lecz wciąż nic się nie dzieje.*

*Czekamy.*

*- Już niedługo – mówi Loki. –  
Nadejdzie nasz czas.*

*Wkrótce zaszczeka Garm. Fenrir-wilk  
zerwie łańcuchy*

*i połknie słońce. Wyplynie Naglfar.*

*Przyjdzie wilcza zamięć.*

*Już niedługo.*

*Nadchodzi czas.*

*Niedługo.*

Posłowie

Najczęściej pada pytanie o pomysły.

Inspiracje, przy-

czyny. „Skąd pan bierze pomysły?” jest  
pytaniem

z żelaznego repertuaru do tego stopnia,  
że na spotkaniach autorskich wzbudza  
wesołość. Jest w tym jakaś ogromna

nieświadomość co do samej istoty  
pomysłu. Głęboka

wiara, że gotowe historie skądś się  
bierze i że istnieje sposób, by trafić na  
ich źródło. Stąd większość autorów ma

jakąś ulubioną odpowiedź. Chandler na  
przykład twier-

dził, że inspiracji szuka pod  
nieobecność innych pisarzy

w ich szufladach. Sam, trochę za  
Kingiem, odpowiadam,

że prenumeruję specjalne pismo, w  
którym można re-



zerwować sobie pomysły, wysyłając SMS, a ostatnio, że

w Fabryce Słów pomysły przydziela się autorom odgórnie,

a rozdaje w zalakowanej kopercie raz do roku.

Jest w tych drwinach jakaś ucieczka, bo naprawdę

nikt nie ma pojęcia, gdzie znajduje pomysły, i każdy autor podświadomie się boi, że tajemnicza maszynka ukryta

głęboko w mózgu raptem się zatrzyma. Jeśli ktoś zarabia

na życie wymyślaniem historii, a sam nie wie, skąd je

bierze, to wcale nie jest takie zabawne.

456

Jarosław Grzędowicz

Są takie, które nadlatują znikąd i trafiają człowieka

prosto w czoło w postaci skondensowanego ładunku – od

razu z początkiem, zakończeniem, tytułem i głównym

bohaterem. Te są najbardziej

niepokojące. Naprawdę nie

wiadomo, skąd się biorą.

Wszystkie opowiadania zebrane w tej książce po-

wstały na czyjeś zamówienie. Głównie do rozmaitych

antologii tematycznych. W tym sensie inspiracja została

narzucona – robimy antologię o drugiej wojnie. O katach.

O smokach. O szczeniaczkach. O salcesonach.

Mogłoby się wydawać, że dzięki  
takiemu postawie-

niu sprawy kwestia pomysłu jest już z  
głowy – no, bo

„o szczeniaczkach”. Tylko że cała sztuka  
polega na tym,

żeby napisać coś, co mieści się w  
ramach antologii i spełnia warunki  
zamówienia, a jednocześnie będzie inną  
historią

niż pozostałe. No bo przecież wszyscy o  
tych pegazach czy szczeniaczkach.  
Tworzenie takich antologii ma na  
świecie

długą tradycję, w Polsce trochę krótszą,  
ale od pewnego

czasu powstaje ich co najmniej kilka  
rocznie. Sam bardzo je lubię i lubię do  
nich pisać, choć znam takich, co nie  
znoszą i zawsze odmawiają. Uważają,  
że to zbyt duże ograniczenie dla umysłu i  
procesu twórczego. Osobiście uważam,  
że

takie zamówienie to po prostu  
wyzwanie. Czasem kusi, by

wykręcić się od oczywistych skojarzeń,  
a czasem, żeby wy-

wrócić je do góry nogami. Są tematy tak  
wyeksploatowane,

że napisanie w ich ramach czegoś oryginalnego to istna

akrobatyka. No bo co można zrobić w dziedzinie antybaśni

albo na temat wampirów? Tymczasem można, tylko trzeba

się nagimnastykować. Tym większa radość, jeśli się uda.

Dobry opowiadacz do wynajęcia powinien mieć historię

na każdy temat, a jeśli nie ma, powinien ją znaleźć.

Posłowie

Wilcza zamieć – Kiedy Eryk Górski  
zadzwoił ze swo-

im pomysłem na antologię opowiadań  
fantastycznych

związanych z drugą wojną światową, w  
pierwszej chwili

pomyślałem, że zwariowałem. Ale potem  
przywykłem do tej

myśli i pomyślałem „Czemu nie?”.  
Fantastyka pozwala

spojrzeć z własnej, osobliwej  
perspektywy nawet na krwa-

wą jatkę i czasem znaleźć jakieś  
odpowiedzi tam, gdzie

fi lozofowie rozkładają ręce. Czasem  
niemożliwe przy-

czyny wydają się bardziej racjonalne niż  
to, co nastąpiło naprawdę. Nikt nie wie,  
dlaczego kilkadziesiąt milionów

ludzi oszalało na punkcie kretyńskiej  
ideologii zwanej

narodowym socjalizmem do tego  
stopnia, że postanowili

rzucić się na cały świat. Wyjaśnienie, że  
owładnął nimi



kosmiczny wirus albo moc pradawnego boga, wydaje

się bardziej prawdopodobne niż wytłumaczenie, że tak

jakoś wyszło, bo gospodarka leżała, inflacja była wysoka, a Hitler przekonujący.

A potem przypomniałem sobie o jednej z tych historii,

które od dawna chciałem napisać, ale jakoś nie było oka-

zji. A chciałem napisać o U-Boocie widmie. O skrzyżo-

waniu okrętu podwodnego „wilczego

stada” z Latającym

Holendrem.

W U-Bootach w ogóle jest coś  
fascynującego – naj-

pierw wlokący się miesiącami rejs,  
gdzie ponad setka

ludzi stłoczonych w stalowym pudle  
stanowi łatwy cel

dla każdego samolotu i okrętu, póki nie  
natrafi na kon-

wój i nie przyczai się pod wodą. Wtedy  
okręt staje się

drapieżnikiem – ukrytym i groźnym.  
Salwa torped jest

dla idącego w ciasnym szyku,  
wypchanego tuszonką,

amunicją i kalesonami statku  
handlowego śmiertelna

i niemal nie do uniknięcia. Ale potem do  
akcji wchodzą

458

Jarosław Grzędowicz

niszczyciele ochrony i U-Boot znowu  
zmienia się w ofi a-

rę, schodzi pod wodę i może tylko  
czekać, podczas gdy

wokół spadają wypełnione amatołem  
beczki, a załodze

pozostaje milczenie, patrzenie na  
kadłub, który w każdej

chwili może wpuścić wodospad, i  
słuchanie ćwierkania

ASDIC-ów.

Z jakichś tajemniczych przyczyn armia  
III Rzeszy

niemieckiej wciąż budzi fascynację, i to  
także w ludziach, którzy na logikę nie

powinni czuć do niej sympatii. Mówi

się, że Hitler był marnym plastykiem.

Odrzuconym,

niedocenionym, ze skłonnością do kiczu.

Ale o opra-

wę plastyczną swojego obłędu dbał.

Warto zauważyć,

że dowódcą nie był najlepszym, bo

przegrał w końcu

z kretesem, politykiem jeszcze gorszym,

bo zbudował

piekło na Ziemi, a jego armia wciąż się

podoba. Nawet

człowiek, który nie ma nic wspólnego z narodowym so-

cializmem, uzna, że *Stalhelm* jest znacznie bardziej twa-rzowy i nadający bardziej bojowy wygląd niż podobne do

koślawych kociołków nakrycia głowy większości wojsk

po naszej stronie okopów. Chyba tej dziwacznej ambiwa-

lencji mieszającej strach, abominację i fascynację należy zawdzięczać fakt, że niemal wszyscy do tamtej antologii

napisali o Niemcach.

Uważny czytelnik dostrzeże kilka  
odwołań do naj-

lepszej książki, jaką kiedykolwiek  
napisano o Wojnie

Podwodnej – do *Okrętu* Buchheima. To  
nieuniknione.

Nie było okazji, by zaokrętować się na  
U-Boota, a coś

tak natchnionego jak *Okręt* musi  
zostawić ślady w pod-

świadomości.

Posłowie

Zegarmistrz i łowca motyli – Nigdy nie  
przepadałem

za podróżami w czasie, ale tak  
wyświechtany paradygmat

to kuszące wyzwanie. Opowiadanie  
jednak nie szło. Ści-

ślej rzecz biorąc, zamierzałem je  
napisać w jakiś miesiąc, a ugrzązłem w  
nim na pół roku, które chciałem  
przedtem

poświęcić na pisanie powieści.  
Głównie dlatego, że wszelkie założenia  
dotyczące podróży w czasie i zmian



rzeczywistości są skomplikowane do  
obłędu. Wiedziałem, co chcę

napisać, ale nie miałem pojęcia jak.  
Taplałem się w klasycznych objawach  
*writers block*, aż wymyśliłem kolejną  
postać.

Detektyw Rajmund Holzman postawił  
natychmiast na nogi

całą historię oraz zatrudnił trzech  
płatnych morderców

występujących pod kryptonimami  
Abacki, Babacki i Caba-

cki. Od tego momentu fabuła złożyła się  
nagle z trzaskiem, wszystkie części

zaczęły do siebie pasować i działać.  
Wiele mu zawdzięczam. Czasem tak  
bywa.

Pocałunek Loisetty – To była jedna z  
nazw aparatu

opracowanego według legendy przez  
doktora Guillotina.

W rzeczywistości upiorny stelaż z  
opadającym ostrzem

znano od starożytności, a na szerszą  
skalę stosowano

w Irlandii od 1307 roku. Dobrze znana  
była czterometro-

wa gilotyna z Halifaksu, zwana Szkocką  
Dziewicą, której

używano od 1286 do 1650 roku. To o  
niej przypuszczał-

nie wspomniał doktorowi Guillotinowi,  
szukającemu

humanitarnego sposobu  
przeprowadzania egzekucji,

doktor Lois z Akademii Chirurgicznej.  
Stąd „Loisetta”,

jednak nazwa się nie przyjęła. Mówiono  
też „Narodowa

Brzytwa”, „Mścicielka Ludu” – stało

na „gilotynie”.

Sam Joseph Ignace Guillotin został  
ścięty za sprzyjanie

rojalistom w 1814 roku.

460

Jarosław Grzędowicz

Uczestnicząc w antologii na temat  
katów, wiedzia-

łem, że nie chcę pisać czegoś, co  
miałoby być „głosem

w dyskusji o karze śmierci” albo czegoś  
w tym rodzaju.

Miałem przed oczami pewnego arystokratę, o którym

niegdyś czytałem. Człowiek ten, ofiara terroru, w drodze na szafot czytał książkę, a chwilę przed egzekucją zagiął

kartkę w miejscu, gdzie przerwał, jakby za moment miał

wrócić do lektury. Prawdziwy heroizm, więc skorzystam

z okazji i przeproszę go za sposób, w jaki wykorzystałem

tę wyjątkową scenę, bo w mojej historii robi tak pewien

łajdak.

Kiedy skończyłem zbieranie materiałów,  
wprawdzie

umiałbym złożyć i obsłużyć to piekielne  
urządzenie, ale

też nabawiłem się koszmarów.

Buran wieje z tamtej strony – Jedno z  
najstarszych

opowiadań w zbiorze. Zacząłem je pisać  
jeszcze w XX

wieku, gdzieś około 1997 albo 1998  
roku. Do szuflady.

Nie wydawano wówczas Polaków,  
istniały dwa pisma,

które kupowały opowiadania – jedno  
sam prowadziłem

i niesporo mi było drukować własne  
teksty, a drugie

było konkurencyjne. Pisałem  
niespiesznie, historia była

skomplikowana psychologicznie i  
wydawała mi się prze-

wrotna. Właściwie robiła się z tego  
sztuka dramatyczna,

bo istniało tylko dwóch bohaterów

zamkniętych w sy-

beryjskiej chatce. Chodziło o to, że albo jeden z nich jest wariatem, albo drugi, albo obaj, albo istnieją dwa światy.

Mikropowieść skrzyżowana ze sztuką, z zachowaną za-

sadą potrójnej jedności to był najbardziej niehandlowy

produkt literacki na północ od Zambezi, ale nic mnie to

nie obchodziło. I tak nie miałem gdzie wydawać. Przypo-

Posłowie



mniałem sobie o niej już w nowych czasach, skończyłem

w ciągu miesiąca i sprzedałem do antologii Wojtka Se-

deńki *Wizje Alternatywne*. Traktuje o zjawisku, na które dość łatwo się natknąć – o dobrych Rosjanach. Spotyka się takich czasem, zwłaszcza w fantastycznym świecie.

Kończy się na wódce i długich rozmowach, a potem przy-

chodzi refl eksja: jak to jest, że

społeczeństwo wydające ludzi tak  
sympatycznych jednocześnie emanuje tak  
wrogim

i przykrym państwem? Pojawia się też  
tęsknota za Rosją,

taką, jaką chcielibyśmy mieć za sąsiada.  
Wielką i niechby zamożną, ale  
przyjazną, bez imperialnych zapędów.  
Taką

podobną do Kanady.

Spotkałem wielu dobrych Rosjan, ale  
przede wszystkim

Kira Bułyczowa. Akurat kiedy  
kończyłem *Buran...* przyszła

wiadomość, że niespodziewanie umarł.  
Nie miałem innego wyjścia, tylko  
zadedykować mu to opowiadanie. Mam  
nadzieję, że gdziekolwiek teraz jest,  
spodobało mu się.

Opowiadanie otrzepałem po latach i  
stwierdziłem, że

wystarczy zaszpachlować największe  
szczeliny, dokręcić

śruby i nadal jakoś działa.

Farewell Blues – Tak to już jest z  
bluesem, że jego

tytuł często kiepsko brzmi po polsku.

*Pieśń pożegnania* nie niesie w sobie odpowiednich skojarzeń, podobnie

jak *St. James Infirmary* brzmi lepiej niż *Szpital pod we-zwaniem św. Jakuba*. A opowiadanie miało być w rytmie bluesa. Antologia *Niech żyje Polska. Hura!* Klubu Twórców trafi ła w taki czas, że opowiadanie o Polsce

lub Polakach kojarzyło mi się głównie z emigracją. Co

rusz ktoś wyjeżdżał albo zaraz miał wyjechać, sporo

było pożegnalnych rozmów.

Jarosław Grzędowicz

Wielu uważało, że wyjazd jest jedynym  
lekarstwem

na problemy, a ja czułem rozliczne  
wątpliwości. Do tego

jest to opowiadanie o niepokoju – o  
fazie rozwoju cywi-

lizacji, która w imię „zdrowia i  
bezpieczeństwa” sięga po metody  
właściwe raczej reżimom totalitarnym.  
Zdrowie

i bezpieczeństwo – definiowane i  
narzucane przez urząd-

ników, a egzekwowane kamerą i pałką,  
jawi mi się jako

koszmar. Większość epizodów,  
przedziwnych przepisów,

zakazów i represji opisanych w tym  
opowiadaniu opiera

się na faktach. Inaczej nazywają się  
ustawy i przepisy, ale wydarzenia są  
prawdziwe i mają miejsce.

Kolejna rzecz, którą postanowiłem  
zaplątać do tej

historii, to wrażenie, że jeśli kiedyś  
dojdzie do kontak-

tu z obcą cywilizacją, to uwierzmy bez  
zastrzeżeń we

wszystko, co tamci nam powiedzą. Aż  
tak nie ufamy

sobie samym, że każdy, kto przybędzie z  
zewnątrz, wyda

nam się bardziej wiarygodny.

No i kusiło mnie, żeby napisać historię,  
w której po-

jawią się klasyczne „latające talerze”.

Weekend w Spestreku – To jedno z tych  
opowiadań,

które leżą w dębowych beczkach w  
dojrzewalni gdzieś

na dnie mózgu i czekają. Czasem kilka  
lat, czasem parę

miesiący.

Kiedy Jacek Dukaj powiedział, że robi  
antologię o Pol-

sce za pięćdziesiąt lat – *PL+50*,  
wystarczyło powiedzieć:

„Słuchaj, mam coś takiego”. Odbiłem  
więc beczkę i wy-

ciągnąłem *Weekend*... Nie pamiętam  
dokładnie, kiedy go wymyśliłem, ale



pamiętam dlaczego. To była refl eksja, która nasza mnie podczas jakiejś dysputy. Być może

zupełnie prywatnej. Uświadomiłem sobie kiedyś, słucha-

Posłowie

463

jąc rozjuszonych dyskutantów, że w większości kwestii

ludzie o różnych poglądach należą do dwóch światów.

Brak zdolności porozumienia już na poziomie znaczenia

poszczególnych wyrazów. Dlatego nasza rzeczywistość

jest taka ułomna. Jest bowiem próbą kompromisu ognia

z wodą. Nie da się stworzyć państwa, które będzie rów-

nocześnie szanowało prawa jednostki i ideologię kolek-

tywistyczną. Nie można tworzyć „państwa opiekuńczego”

i „Tygrysa Europy Środkowej” równocześnie.

Ściślej rzecz biorąc, to bolączka całej

planety, nie

tylko nasza. Nawet republikanie i demokraci sprawiają

wrażenie, że potrzebne im dwa państwa. Myślę, że to się

pogłębia, i dlatego przyszło mi do głowy, żeby naprawdę

je fi zycznie rozdzielić. Stworzyć obszary, na których jedni i drudzy będą mogli żyć, jak chcą. Pomysł jest surrealistyczny, ale robiono już dziwniejsze rzeczy. Bohater

odwiedza strefę, która jest silnie zideologizowana, więc

prezentowane tam przez różne postaci  
wypowiedzi mogą

sprawiać karykaturalne wrażenie, ale  
przysięgam, że

wszystkie są autentyczne. Słyszałem je  
na własne uszy

i czytałem na własne oczy. Każda z  
osobna budziła tyl-

ko sprzeciw i lekką irytację, lecz  
skomasowane w jeden

światopogląd wyglądają groteskowo.  
Niemniej istnieją

w takiej właśnie postaci i niektórzy

ludzie je wyznają.

Hobby ciotki Konstancji, Nagroda,  
Obrona ko-

nieczna, Specjały kuchni Wschodu,  
Weneckie zapu-

sty, Wypychacz zwierząt, Trzeci Mikołaj  
– Wszyst-

kie krótkie opowiadania zostały  
napisane na zamówienie

Magazynu Faktu. Był to dodatek, który  
wychodził przez

jakieś pół roku, a jego załoga usiłowała  
stworzyć coś, co 464

Jarosław Grzędowicz

nie będzie się kojarzyło z tabloidem i trafi do trochę innego czytelnika niż zwykle wydania gazety, omawiające

zwykle skład chemiczny biustu poszczególnych gwiazd

albo konfi guracje towarzyskie, w jakich ludzie mediów

kładą się spać. Wspominam to miło, ponieważ praca

polegająca na pisaniu klasycznych *short stories* w regular-nych odstępach czasu do gazety bardzo mi się podobała.

Raz na miesiąc siadałem za biurkiem ze świadomością,

że muszę wymyślić opowiadanie na około dziesięć ty-

sięcy znaków z zaskakującym zakończeniem, i to muszę

mieć je na jutro. Najpierw byłem spłoszony i przerażony,

a potem okazało się, że potrafię. Po jakimś czasie dodatek zamknięto jako zbyt ambitny i nietrafiający w „target” i, dokładnie tak jak podejrzewałem, pozbawiony terminu

i motywacji, przestałem pisać co

miesiąc jedno *short story*, choć solennie sobie obiecywałem, że będę tak robił

dalej. Napisałem tylko jedno – *Specjały kuchni Wschodu*.

Dopóki kupowano tamte opowiadanka, niczego mi nie

narzucano, czasem tylko skracano je do rozmiaru kolum-

ny – lub słowa, których nie zrozumiał menedżer, redaktor

zmieniał na jakieś prostsze. W tej książce są zaprezen-

wane w odrobinę dłuższych,



„autorskich” wersjach.

Najbardziej z nich lubię *Trzeciego Mikołaja*, ponieważ stworzenie go to jedna z tych rzeczy, które zawsze

chciałem zrobić – napisać opowiadanie wigilijne do świą-

tecznego numeru jakiejś gazety. Jest to w zasadzie kla-

syczna „opowieść wigilijna”, lecz zupełnie bez inspiracji Dickensem. Niby nic takiego, ale zrealizowanie marzenia

z katalogu „zawsze chciałem to zrobić” jest sporo warte,

czy to będzie napisanie historii  
wigilijnej czy ruszenie

pełnym gazem na żwirze.

Posłowie

465

\* \* \*

Zbiór, który macie za sobą, powstawał  
kilka lat. Opo-

wiadania lądowały w rozmaitych  
antologiach, aż dotarło

do mnie, że teraz już często tak bywa, iż  
mało kto kupuje wszystkie książki.

Poczułem, że zebranie ich w jednych okładkach ma głęboki sens. To trochę jak zgromadzić

rozproszoną rodzinę przy jednym stole. Mam nadzieję, że

niektóre z nich rozpoznaliście, ale powitaliście jak daw-

no niewidzianych przyjaciół. Pozostałe, myślę, sprawiły

Wam niespodziankę.

Spis treści

Hobby ciotki Konstancji / 7

Zegarmistrz i łowca motyli / 15

Nagroda /

77

Buran wieje z tamtej strony / 85

Obrona konieczna / 169

Pocałunek Loisetty / 177

Specjały kuchni Wschodu / 213

Farewell Blues / 221

Weneckie zapusty / 261

Wypychacz zwierząt / 271

Weekend w Spestreku / 281

Trzeci Mikołaj / 345

Wilcza zamieć / 355

Posłowie /

455

Wydanie I

ISBN 978-83-7574-020-2

# Wersja papierowa

Redakcja serii Eryk Górski, Robert Łakuta

Projekt okładki Piotr Cieśliński

Grafika na okładce Dominik Broniek

Ilustracje Dominik Broniek

Redakcja Karolina Kacprzak

Korekta Barbara Caban, Magdalena Byrska

Skład Monika Nowakowska

# Wydawca

Fabryka Słów sp. z o.o.

20-607 Lublin, ul. Wallenroda 4c

[www.fabryka.pl](http://www.fabryka.pl)

email: [biuro@fabryka.pl](mailto:biuro@fabryka.pl)

**Wersja elektroniczna**

**Skan Trident eBooks**

Korekta Trident eBooks

Skład Trident eBooks



# Kontakt

tridentebooks@gmail.com